

**Louis Paul**  
**BOON**

**DROGA Z KAPLICZKĄ**

**Przełożył Ryszard Pyciak Czytelnik Warszawa 1982**

|

Tytuł oryginału niderlandzkiego De Kapellekensbaan

© **De Arbeiderspers, Amsterdam 1953**

Obwolucę, okładkę i kartę tytułową projektował Jacek Przybyszewski

© **Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza**

**„Czytelnik”, Warszawa**

ISBN 83-07-00557-4



## *KSIĄŻKA O DRODZE Z KAPLICZKĄ*

czyli książka o dziecięcych latach blondynki, która urodziła się w roku 1300 którymś tam... i która zakochała się w panu achillesie derenaneourt, dyrektorze przedzalni filatura, ale która na końcu książki wyjdzie za mąż za wzbudzającego litość oskarka... o jej bracie walerku-tralerku, z olbrzymią głową, która kołysała się przez życie w tę i wewtę, i o panu brysie, który sam o tym nie wiedząc, był jednym z 1-szych socja-łów... o jej ojcu vapeurze, który przy pomocy swojej bezbożnej maszyny chciał uratować świat, i o wszystkim, co mi w tej chwili nie przychodzi do głowy, ale co rna z grubsza naszkicować mozolne WSTĘPOWANIE SOCJALIZMU i upadek mieszczaństwa, któremu spadły na łeb 2 wojny i które się załamało. Ale wśród tego i oprócz tego jest to też książka, której akcja rozgrywa się dużo później, w nam współczesnych, dzisiejszych czasach: gdy ondynka żyje w roku 1800 którymś tam, to mossieu colson z miństerstwa, johan janssens, dziennikarz z gazety codziennej, malarka tippetotje, mec. pinak i prol dr kpiydom — a także ty sam, boon-tje — żyjecie obecnie, poszukując wartości, które naprawdę się liczą, poszukując czegoś, co mogłoby powstrzymać ZSTĘPOWANIE SOCJALIZMU. Ale... niech nas Bóg broni, gdyby to nie miało być niczym więcej jak tylko tym: jakieś rozlewisko, jakieś morze, jakiś chaos; jest to książka o wszystkim, co się słyszało i widziało na drodze z kapliczką od roku 1800 któregoś tam do dnia dzisiejszego.



**TU SIĘ ZACZYNA 1-SZY ROZDZIAŁ WIOSNA W  
*TER-MUREN***





## *NA WSZYSTKIM DUŻY KRZYŻ*

Przez otwarte okno na swym poddaszu widzisz, jak zachodzące słońce maluje na czerwono niczyj las, i słyszysz, jak smętna owca mossieu colsona z miństerstwa pobekuje jeszcze po raz ostatni, nim zamkną się za nią skrzypiące wrota obórki: i odsuwasz na bok swoje papiery i schodzisz na dół akurat w tym momencie, kiedy otwierają się drzwi i staje w nich kantyczny nauczyciel, który wraz ze swą piękną żoną lucette wpuszcza do domu trochę tego późnego, czerwonego słońca. I słyszysz go, jak kantycznie po nauczycielsku kręcąc głową, mówi: jak mi się wydaje, siedziałeś na górze pochylony nad swoimi papierami, po to, żeby pisać 0 naszym dzisiejszym świecie, a ja, który już tak wiele książek źle-zrozumiałem, wiem, że wszystko to, co jest do powiedzenia, zostało już powiedziane, nie wspominam tu nawet o predykancie, o autorze fausta czy szalonym odtwórcy hamleta... nie, nie przerywaj mi, bo tego nie lubię, ale czy wysmażysz tam na swoim strychu większą mądrość niż lao-cy, czy możesz być bardziej surrealistycznie-erotycznie-debilowaty niż pieśni maldorora? czy potrafisz przeniknąć ludzkie głębie 1 wyżyny głębiej i wyżej niż w demonach braci kara-mazow, czy potrafisz czas poza czasem i przestrzenią ścigać szybciej niż proust, lub życie w czasie i przestrzeni biczować mocniej, jeszcze niemiłosierniej niż w podróży do kresu nocy? czy umiesz wykolejonego--człowieka-w-wypaczonym-społeczeństwie lepiej umieć

scowić w jego właściwej relacji żyjącego i myślącego zwierzęcia niż kochanek lady chatterley? czy potrafisz obchodzić się ze słowami trzeźwiej niż lenin, natura-listycznie niż zola, plastyczniej niż biblia? czy potrafisz być dostojniejszy i bardziej nieomylny niż rzymski papież, bardziej bajeczny i niemoralny niż tysiąc i jedna noc, bardziej niebiański niż imitatio christi, prze-bieglejszy i bardziej wyrafinowany niż lis przechera mnicha willema — twórcy madoca, tragiczniej chłopski niż isengrinus nivardusa? a czy możesz być nowocześniej niewiarygodny i podlejszy niż tropic-of-capricorn?, lub bardziej romantycznie -mizerabilistyczny niż de voorstad groeit?

I kiedy słyszysz, że kantyczny nauczyciel milknie, i widzisz, jak zaciska usta, odpowiadasz: możliwe, że niemożliwe jest powiedzieć coś nowego i trafniejszego, ale na wszystko, co zostało napisane, opada kurtyna czasu, i dlatego myślę sobie, że dobrze jest, jeśli co 10 lat ktoś inny położy krzyżyk na tych wszystkich starociach i współczesny świat na nowo wypowie się innymi słowami.

#### *ATLANTYCZNY — ATOMOWY*

Podczas gdy johan janssens, poeta i dziennikarz z gazety codziennej, podchodzi do ciebie szurając pantoflami na bosych stopach, mówiąc zaledwie pff zamiast dzień dobry... i podczas gdy kantyczny nauczyciel odpowiada mu, że zbiera się na burzę, bardziej patrząc w nieruchome oczy swojej pięknej żony lucette niż w niebo, które jest 1 niebem gdzieś daleko w oddali..., ty pytasz, o co im chodzi: przecież już była mowa o literaturze światowej, czy teraz znów będzie to samo?

Jeśli podsumować to, co zostało powiedziane, zaczy

na johan janssens w swoim najpiękniejszym, gazetowym stylu, to muszę przyznać rację kantycznemu nauczycielowi, kiedy mówi, że już niczego więcej nie można powiedzieć, ale też nie mogę nie przyznać racji tobie, kiedy mówisz, że wszystko, co zostało powiedziane, należy co 10 lat powtórzyć, ale innymi słowami. Ha, a jeśli przedtem dobrze zrozumiałem, to rzecz sprowadza się do tego, że właśnie forma musi się zmieniać, bo ewoluujący ludzki rozum i trwała ludzka głupota, jak również piękna wiara w przyszłość i kacer-skie zwątpienie w nią były w cywilizacji antycznej akurat takie same jak dziś w naszej współczesnej cywilizacji, ktoś jednak musi nalać stare wino do nowych pucharów — jeśli mogę się tak wyrazić jako Fbeta — aby każdy, kto się nim upije, zrozumiał, że zaniknął nie tylko czarowny-świat-atlantydy, ale że atomowy--świat-bezrobotnych następuje mu na pięty... ha, wzdragam się, ogarnia mnie strach i chce mi się śmiać z mojego uduchowienia... i szybko zaczynam mówić

**0** czymś innym, no więc o formie: jeżeli chcesz jeszcze raz powiedzieć to, co kantyczny nauczyciel już raz podsumował, to powinieneś poszukać innej formy, ale jakiej? np. powieści, w której wygarniesz wszystko jak leci, pach, jak skrzynia z zaprawą, która nagle spada z rusztowania, -f- do tego i ponad to twoje wahanie

1 wątpliwości co do celu i pożytku tej powieści, + przy tym i ponad to coś, co można by było nazwać podróżą od nihilizmu do realizmu — tam i z powrotem, 3 klasą — bo jeszcze dziś jest nadzieja, że z tego świata coś będzie, ale nazajutrz ta nadzieja znów jest wdeptana w ziemię... a przy tym mógłbyś jeszcze zawrzeć w niej uwagi na marginesie, nieoczekiwane pomysły, niepotrzebne opisy, skryte erotyczne sny, a nawet wycinki z gazet... To znaczy coś takiego, co teraz robimy... i johan janssens, kantyczny nauczyciel i mossieu colson z miństerstwa patrzą na ciebie z otwartymi ustami.

## *ŁATANINA*

W ten ciepły, trochę deszczowy wieczór johan janssens jako Poeta mówi o swoich wątpliwościach odnośnie tej powieści. Ale kiedy ma zamiar śmiertelnie poważnie oznajmić, że powieść ta gardłem mu wychodzi, odkrywa, że samo to wyrażenie •— gardłem wychodzić —• już mu gardłem wychodzi, i domaga się zwołania posiedzenia przy drzwiach zamkniętych, aby to wyrażenie zastąpić jakimś innym... i jak później piękna żona' lucette dowiedziała się od swego kantycznego nauczyciela, johan janssens w czasie posiedzenia wygadał się, że układa listę wyrażzeń, które nie występują w żadnym idiotykonie, i że ujawni tę listę w 1-szej nielegalnej powieści napisanej przez boontje, w momencie kiedy ostatni czytelnik zejdzie z tego świata, z czego akt...

I gdy twoja własna żona i piękna żona lucette znów weszły do pokoju, kontynuuje on swój wywód, który mu gardłem wychodzi — ogólne porozumiewawcze mruganie — żeby przetrząsnąć jedną przyzwoitą powieść za drugą, bo gdy porównujesz powieść z Życiem, to widzisz, że to niewiele więcej niż łatanina i że wykazuje więcej niż uderzające podobieństwo do akrobacji kłowna, który naśladuje linoskoczka, ale gdzieś tam wysoko pod kopułą cyrku, cały się kiwając i całkiem świadomie wykonując zwariowane ruchy, równie niespodziewanie może się ześliznąć...

I podczas gdy johan janssens w charakterze Poety nabiera oddechu, kantyczny nauczyciel podnosi palec i oświadcza, że taki wywód jest rzeczywiście ni z gruszki, ni z pietruszki. Ale johan janssens nabrał świeżego powietrza i kontynuuje swój wywód przeciw powieści: lecz tymczasem kłown wciąż jeszcze porusza się tam na napiętej linie, komicznie płacząc, ale nagle się ze

ślizgując i ryzykując życiem... bo bez względu na swe zadanie sparodiowania akrobata ryzykuje on życiem tak, jak sam akrobata, który występował przed nim... i potykając się o spodnie, które mu opadają, pyta spoglądającą w górę publiczność, czy nikt nie może mu pożyczyć agrafki, ale kiedy zwraca się we wszystkie strony okrągłego cyrku, wyżej wymieniona publiczność dostrzega na jego plecach ogromną agrafkę. Po czym johan janssens siada, a kantyczny nauczyciel dodaje, że zapisując 1000 stron zniekształcono i przekreślono 1000 małych prawd, wsadzono je do jednego worka, wytrzesiono, wymieszano i jak leci wyciągnięto znów na wierzch. Tych 1000 małych prawd tworzy razem 1000-krotne wielkie Kłamstwo, parodię życia, kłowna z cyrku, bezsens, wykrzykuje johan janssens jako Poeta i zrzuca ze stołu swoją szklanę.

### *ANI BOGA, ANI DEMOKRACJI*

Zrzuciłeś i stłukłeś swoją szklanę, powiada twoja żona do johana janssensa, poety i dziennikarza z gazety codziennej... ale on występuje tutaj jako dziennikarz i od tej strony za dobrze nie słyszy: i szurając nogami po twojej podłodze i bębniąc rękami po blacie twego stołu, stuka... nie, bębni... pieśń powieści-wieści--wieści-plan, że aż piękna żona lucette zatyka rękami małe uszka. I wciąż potrząsając głową mówi jej, że spokojnie może odsłonić te śliczne, różowe uszka, bo on ma do powiedzenia coś ciekawego: jako Poeta ledwie dostrzegam, że każdy żyje sam dla siebie i w nic więcej nie wierzy, gdy oto mój konfrater poeta johan brams oświadcza mi, że żyje tylko dla siebie i staje się cyniczny, i w nic więcej nie wierzy. I opo

**wiada mi o** jakimś prostym człowieku, którego aresztują **i** skazują, ponieważ w czasie wojny z głodu przeszedł na niewłaściwą stronę, ale wielcy hitlerowscy **generałowie** mówią przez radio, że im grunde nigdy **nie mieli** z hitlerem nic wspólnego, **I** równocześnie myśli **on, ten** mój konfrater johan brams, że znów mamy rok **36 i** że świat zdąży do ery powszechnego unicestwienia... **i** jeszcze coś ciekawego, ale to już zapomniałem, **I** jako dziennikarz zachodzę na tej samej ulicy do profesora kpiydoma, który uczy na uniwersytecie i jest jednym z 7 inteligentnych ludzi w belgii, i przy **którym** zawsze czuję się taki mały i głupi, bo on ma w **głowie** goethego i heinego, **i** dostojewskiego, i ogarnia świat, a mimo to najzwyczajniej w świecie gra w wiejskiej orkiestrze dętej... **i** on mi mówi: cholera jasna, zaczynam w nic nie wierzyć, robię się taki cyniczny, **że aż sam się** sobie dziwię. A ja go pytam, co on, jego zdaniem, **o** tym myśli, cały świat staje się cyniczny **i nie** wierzy ani w boga, ani w demokrację, ani w **żadne** gówno — pardon — i on głęboko się namyśla i **mówi**, co myśli, a ja jestem tym bardzo zdziwiony: jest **to** taka mała myśl, że z wrażenia mało nie klapnąłem **na** dupę. A wieczorem wypytuję na ten sam temat, znowu jako dziennikarz z gazety codziennej, kogoś, kto się na wszystkim zna i chodzi tak, jakby miał **na** głowie czułki, i zawsze spada na cztery łapy, obojętnie, gdzie by go los rzucił — **i** kto jest taki dumny **jak** jakiś idiota, że mógł iść kawałek ze mną, poetą **i** dziennikarzem z gazety codziennej — i odpowiada **mi na to** pytanie i jest to również taka maleńka myśl, że znowu o mało nie klapnąłem na dupę: był to więc 2-**gi raz**, że o mało co nie klapnąłem na dupę, ale rozumie **się** samo przez się, że nie zrobiłem tego, wołałem wrócić do domu i pójść z żoną do łóżka... Ale piękna żona lucette znowu zatyka rękami swoje

odsłonięte różowe uszka, a twoja żona odzywa się: jeśli mowa o kłapaniu, to czy masz zamiar zapłacić za tę szklanę, którą zrzuciłeś?

### ZASTÓJ

Jest sobotni wieczór i piękna pogoda, gdy poeta i dziennikarz z gazety codziennej, johan janssens, podąża za kantycznym nauczycielem i jego piękną żoną lucette i dogania ich, kiedy kierują się do twego domu. I spoglądając koso na odsłonięte różowe uszka pięknej żony lucette, johan janssens powiada: mówiłem wczoraj o wierze i cynizmie, i o czymś, co mi wyleciało z pamięci... bo tak to już bywa, to, co koniecznie należy powiedzieć, zapomina się w pierwszej kolejności — i poruszony myślę o tym, jakie wielkie rzeczy mogły zostać wypowiedziane na przestrzeni dziejów, gdyby ich niefortunnie nie zapomniano — ha, ale ledwo zdążyliście wyjść, kiedy sobie przypomniałem... mój kolega po piórze johan brams powiedział mi, że panuje powszechny zastój, nikt już w nic nie wierzy ani nie bierze się do większej roboty, bogaci nie budują szeregowych domów dla robotników, tylko kupują sobie seryjne auta, a biedacy, których nie stać na zbudowanie sobie najbiedniejszej nawet chałupy, gnieźdzą się na kupie jedni przy drugich w wynajmowanych izbach, albo w państwowych domach dla biednych — chwilowo oczywiście, tak jak wszystko jest chwilowe, bóg i ludzie, i świat, i era atomowa, i powieściopisarstwo — a budownictwo leży. Nikt już nie zadaje sobie trudu, żeby przeczytać jakąkolwiek książkę, a wydawcy odmawiają przyjmowania od autorów rękopisów, obo

jętnie: dobrych czy złych, głęboko przemyślanych czy też napisanych w pośpiechu... i jeśli w moim przekonaniu głęboko przemyślana książka jest książką dobrą, to w przekonaniu zrozpaczonego wydawcy może być nieomal na pewno odwrotnie... i ani jeden wielki pisarz nie ma odwagi przedstawić tego okresu w jakimś niezrównanym dziele. Ha, a dzieje się tak dlatego, że tenże pisarz... wraz z wyżej wspomnianymi bogatymi, którzy nie budują domów, i z bi?dnymi, którzy gnieźdzą się chwilowo w wynajętych izbach albo jeszcze bardziej chwilowo koczują w walących się mieszkaniach, i z budownictwem, które leży, i z wydawcą, który nie przyjmuje rękopisów... nie musi sobie więcej zadawać trudu, żeby zaczynać wielkie dzieło: świat przecież i tak jest w stanie rozkładu. Ha... chce powiedzieć kantyczny nauczyciel... ale johan janssens przerywa mu jako dziennikarz z gazety codziennej i opowiada, że spotkał także andre, teozofa i studenta me-dykamecyny, i że spytał go, czy ten odkrył coś w rodzaju powszechnego zastoju, ale tenże andró odpowiedział z niewinną miną: nie, bo wykłady na uniwersytecie nadal trwają. Ha... chce jeszcze raz powiedzieć kantyczny nauczyciel... ale jego piękna żona lucette słysząc siowa johana -janssena nie może powstrzymać się od śmiechu, a tymczasem są już przy drzwiach twego domu i kiedy wchodzi do środka, widzą, jak stoisz tam z jakimś papierem w ręce:  
**PRZEDMOWĄ DO TWOJEJ NOWEJ POWIEŚCI.**



## MAŁA ONDYNA MIĘDZY ŻELAZEM A SZKŁEM

Zachowaj teraz powagę, bo chociaż już się więcej nie pisze powieści, to autor tej powieści-planu chciałby dać coś takiego, co obejmowałoby Całe Życie... ale widzisz, że już od początku wszystkie za wielkie słowa musi zaczynać z dużej litery... a więc, mówiąc po ludzku, można się spodziewać, że w samej powieści nie osiągnie tego, co zamierzał. To prześlizgnie się po czymś zbyt pobieżnie, to znów coś innego za bardzo rozciągnie, i w ten sposób zrobi się z tego morze, rozlewisko, coś, co jest do niczego niepodobne; zostaje jednak mała pociecha, że okaże się on genialny w wątkach pobocznych. *Będzie pisać powieść, której tak zwaną bohaterką będzie mała ondyna — bo pośród strachu i zwątpienia, i ostatniej nadziei ostatniego mohikanina, pośród żelaza, szkła i betonu, pośród biurokracji i rozszczepienia atomu, i budowlanego zastoju, postać tej dziewczyny będzie działać zbawiennie i odświeżająco... ale prócz powieści o malej ondynie musi ona stać się również powieścią o jej kochanku-i-mężu oskarku — ondyna i oskarek, dwa „o”, które przez przypadek muszą zostać postawione jedno obok drugiego, aby ramię w ramię odwijać nić ze szpulki swego życia, podczas gdy jedno nigdy ani trochę nie zrozumie drugiego i podczas gdy ich poglądy na każdy temat będą jednak tak samo zwariowane — ale niech bóg ma mnie w swojej opiece, jeśli to nie staje się czymś więcej: musi to także stać się powieścią o socjalizmie, od jego powstania po dzień dzisiejszy, i plus do tego powieścią o drobnomieszczaństwie, któremu spadły na łeb 2 wojny i które się załamało, cały czas oszczędzając i cierpiąc głód, ale mimo to ratując pozory. O, w tej powieści będzie mowa o vaporeurze z jego bezbożną maszyną i o walerku-tralerku z obciętym palcem i mon*

*strualną głową, która kiwając się na boki w tę i wewtę toczyła się przez życie...*

Niestety, jesteś dopiero w połowie swojego planu, kiedy twojej żonie, która kręci przy tym głową, wyrywa się, że to o wiele za dużo. Dobrego nigdy nie może być za dużo, powiada johan janssens po poetycku, ale po dziennikarsku dodaje: jednak ze względu na brak miejsca nie możemy... I kantyczny nauczyciel podnosi palec i oświadcza: co za dużo, to niezdrowo, A mos-sieu colson z miństerstwa, który niewiele mówi, mówi teraz: ty, panie kantyczny nauczycielu, tak sobie myślisz, ale to dlatego, że jesteś człowiekiem, który niewiele mówi.

### *POMYŁKA I OSTRZEŻENIE*

No **i** popatrz, idziesz na zebranie, na którym opisują ci i obiecują przyszłe społeczeństwo — to po społeczeństwie rozszczepienia atomu — i jesteś szczęśliwy jak dziecko ze świętego mikołaja, ale w drodze do domu trzaska ci sznurówka **i** klniesz na czym świat stoi. To nie znaczy bynajmniej, że święty mikołaj... przepraszam — społeczeństwo przyszłości nie nadejdzie, lecz znaczy to, że zawsze należy się liczyć z pękającymi sznurowadłami. Trzeba również liczyć się z tym, żebyś mógł do końca odczytać plan swojej powieści — choćby to była właściwie tylko połowa twego planu — **i** z tym, że zebranie najzwyczajniej w świecie stwierdza trzeźwo, że tego jest za dużo... co za dużo, to niezdrowo... i powieść czy nie powieść, włączasz radio i słuchasz prognozy pogody: wiatry umiarkowane, poziom wód podwyższony. Ejże, ale ty z tego powodu nie pogrążasz się w rozgoryczeniu, ty też słuchasz prognozy

pogody i konkludujesz „sytuacja normalna”, i chwytasz za klapy mossieu colsona z miństerstwa, choć on nigdy nic nie mówi ani nie czyta żadnych powieści: *w mojej powieści, oświadczasz, będzie również mowa o panu brysie, który mówił wierszem i był 1-szym so-cjałem, nawet o tym nie wiedząc, i o jeanninie, która była taka miła i taka, że niech ją... i o zezowatej mal-winie — o tak, to też prawda, o tym i o owym odnośnie spirytyzmu — mocno się trzymaj, mossieu colson z miństerstwa, ale nawet o tym, czego żadnemu poważnemu człowiekowi powiedzieć nie mogę — i o wzruszających, subtelnych wspaniałościach, których nikt nie dostrzega, jak zwykle. Ale gdzieś w środku powieści kryje się, jak sądzę, omyłka, bo nagle jest mowa o dziecku, a czytelnik nie został uprzedzony o jego przyjściu na świat.* I pan colson z miństerstwa, który nigdy nic nie mówi, mówi teraz: kręcę głową, bo twoja książka będzie **jak** świat, jak 100 światów, ale oczywiście będziesz musiał powiedzieć, że to wszystko to od początku do końca 1 wielkie kłamstwo: powiedz na przykład, że sam się dziwisz sile swojej wyobraźni, która kazała ci to wszystko wyssać z palca, i że każdemu, kto zechce ci wytoczyć proces, rozwalisz łeb, bo ty jesteś tym, no... nieważne... ale człowiek ostrzeżony jest wart tyle co 2.

### *DROGA Z KAPLICZKĄ*

Popadało trochę nad króliczą górą i nad niczym lasem, ale teraz zaczyna już świecić słońce i wszystko staje się znacznie ładniejsze, niż jest: a ty czytasz 1-szą stronę swojego planu powieści-wieści, który jest opi

sem okolicy w 7 słowach: błotnista droga z kapliczką wila się zakrętami ku osadzie ter-muren wzdłuż nieskończenie długiego muru tkalni labor i wzdłuż nie-uprawianego kawałka pola na króliczej górze, które było ostatnim ugorem należącym do zamku derenan-courtów. Było tam pusto. Błędne ogniki, które są duszyczkami martwo urodzonych dzieci, unosiły się ponad chaszczami. Czort na koźlich kopytkach napadał na późno powracające z fabryki dziewczyny, które brodziły w biocie na drodze, a jedna z nich, najpiękniejsza, "jaka kiedykolwiek w życiu rozkwitła, została tam zgwałcona. To grzech -być tak piękną i zostać tak boleśnie okaleczoną czarcimi rogamami. A jeden stróż nocny, który twierdził, jakoby natrafił na ślady i że prowadziły one do zamku, został zwolniony ze służby, ponieważ najprawdopodobniej znowu był pijany. A do tego, i to był najbardziej przejmujący dowód, w tym samym tygodniu wybuchła epidemia budzącej przerażenie ospy: ludzie z ter-muren żegnali się wieczorem w milczeniu wielkim znakiem krzyża.

I pokaszujesz, i wsadzasz swoje papiery do tekturowej teczki, w której będziesz składać swą opowieść o małej ondynie, podczas gdy mossieu colson z miństerstwa milczy i wyczekuje, widząc, że kantyczny nauczyciel kręci głową: opowiadasz mi o króliczej górze, którą stąd widzę, i o niczym lesie, którego zapach czuję przez otwarte okno, ale ze szpetnego domu bogaczy na króliczej górze robisz zamek, w którym jakoby mieszka nie znany mi pan derenancourt. Tego nie rozumiem: dlaczego nie mówisz wszystkiego tak jak jest, dlaczego mieszasz jedno z drugim i do znanych nazw doczepiasz nie znane sprawy i ludzi, przez co wprowadzasz zamęt w mojej kantycznej głowie? a równocześnie mówisz o błędnych ognikach i o diable, który ponoć zgwałcił najładniejszą dziewczynę — och, jakie to romantyczne — a tego nocnego stróża, który

*odkrył ślady prowadzące do zamku, zwalniasz ze służby, i na to wybucha jeszcze epidemia ospy, i ludzie z ter--muren — ładna nazwa, bardzo ładna nazwa — żegnają się powoli i w milczeniu. Ale moim zdaniem sprawy tego świata są już dość skomplikowane, żeby ich w pierwszej kolejności i przede wszystkim nie mieszać nie do poznania w jakiejś fantastycznej książce, a później przesuwając je wstecz w dawno minione czasy diabłów i ospy, powiedzmy do 1800 któregoś tam. Czy powieściopisarz, który swymi nerwami, swoją krwią i swoimi spermatozoidami — pardon — osadzony jest w dniu dzisiejszym, nie powinien oddawać dnia dzisiejszego, zamiast z latarnią stojącą w ręce ważyć się wkroczyć na ścieżkę 1800 któregoś tam? I mossieu colson z ministerstwa kiwa głową i przyznaje kantycz-nemu nauczycielowi rację: *ale to jednak było ładne, powiada, ten opis drogi z kapliczką.**

#### *BOHATERKA POMIĘDZY DWIEMA FABRYKAMI*

**I** każdy się śmieje, bo mossieu colson z ministerstwa mówi to tak przekonywająco, i ty też, a po opisaniu okolicy próbujesz przedstawić swoją bohaterkę: *wśród ludzi z ter-muren, tam przy drodze z kapliczką, żyła mała ondyna, która najprawdopodobniej mogła wyrosnąć na piękną kobietę, ale nie będąc tego świadoma, chodziła w drewniakach i swoje kasztanowe włosy nosiła splecione na plecach w 2 sztywne warkoczyki, i bardzo egoistycznie traktowała świat ter-muren jako świat tylko dla niej. Początek długiego muru tkalni labor traktowała jednak jako początek innego świata... o. szare deszczowe niebo, w które sterczały kominy przędzalni filatura, traktowała jako niebo filatury.*

*Miała takie uczucie, jakby jej świat był wciśnięty z jednej strony pomiędzy bezkresne pola, gdzie ostatni chłop pochylał się nad swoim kawałkiem gruntu, a z drugiej pomiędzy dymiące i śmierdzące miasto, do którego ludzie z ter-muren chodzili pracować w fabryce pana derenancourt. Kiedy po raz pierwszy usłyszała o bogu, który był wszechmogący, pomyślała, że chodzi o pana derenancourt z zamku, mieszkającego latem na króliczej górze, a zimą w mieście z dymiącymi kominami filatury. Mała ondyna widziała też, jak ci z przędzalni filatura, którzy wracali do domu drogą z kapliczką, bili się z tymi z tkalni labor, którzy mieszkali tam, w pierwszych brudnych domach za niczym lasem: ter-muren było encykliczne, bo taki był pan derenancourt, a ci z pierwszych brudnych domów byli libertyńscy, bo taki był właściciel laboru: nawiasem mówiąc żadni, ani ci, ani tamci, nie mieli prawa wyborczego... coś, czego mała ondyna wtedy jeszcze nie wiedziała.*

I mossieu colson z ministerstwa budzi się nagle, gdy słyszy te ostatnie słowa o prawie wyborczym. Być może, powiada, kantyczny nauczyciel znów powie to, co powie, ale do tego, że ludzie z ter-muren bili się między sobą, a mimo to nie mieli jeszcze prawa wyborczego, chciałbym dodać, że obecnie w ministerstwie... I mossieu colson z ministerstwa robi akurat coś odwrotnego niż to, co ty chciałeś zrobić: wciąga sprawy z czasu przeszłego do czasu terażniejszego. Ha, widzisz, właśnie to chciałem powiedzieć, wykrzykuje radośnie poeta i dziennikarz z gazety codziennej johan janssens; jako dziennikarz unikałbym tych wszystkich poetyckich sformułowań, „ona myślała, miała takie uczucie, traktowała...” i sfabrykowałbym raczej powieść wprost z wycinków prasowych, od 1800-któregoś-tam do dnia dzisiejszego. Zamieściłbym wiadomości o systemie wyborczym dla zamożnych, o wypadkach w przędzali fila

tura, o panu derenancourt w zamku na króliczej górze i o spalonym dziecku, albo drzewie przewróconym przez wiatr na pierwsze brudne domy za niczym lasem: to by mi dopiero była powieść, w której biłoby moje dziennikarskie serce... muszę się powstrzymać, bo zacznę mówić jako poeta.

### *ODROBINA CZŁOWIEKA*

Zdaje się, że w ten zapadający już niedzielny wieczór koło 1-szych brudnych domów za niczym lasem jest jarmark. I mżawka, która jakby od niechcienia siąpi za twoim oknem, zapewne tak samo od niechcienia moczy płótna namiotów karuzeli i strzelnicy. A więc to taki wieczór, kiedy świat się zastanawia, czy zadać sobie jeszcze tyle trudu, żeby dalej się obracać, Ale kantyczny nauczyciel i jego piękna żona lucette dotarli mimo to do twojego domu, mówiąc, że mało ludzi na ulicy: minęło nas tylko kilku zapewne umrzyków. A ty wieszasz ich przemoczone płaszcze, zamykasz drzwi od ulicy i powiadasz: teraz, kiedy to i tak stracony wieczór, *przeczytam wam coś z życia malej ondyny, smarkuli, która już od lat podkrada mi moje życie, i która nie daje się nawrócić na porządną bohaterkę powieści.* I podczas gdy piękna żona lucette zaczęła razem z twoją żoną coś tam sobie szeptać o dzisiejszych czasach, **O** drogim życiu i o szmince rouge atomie, kantyczny nauczyciel nastroszył się, żeby nie usnąć: *mata ondyna była jeszcze zbyt naiwna, żeby widzieć świat ter-muren w jego właściwych proporcjach. Była egoistką*

*I przywłaszczała sobie wszystkie refleksje i wrażenia, aby je gromadzić gdzieś głęboko w sobie, więcej o nich nie myśląc. Wciągała świat w siebie, co prawda świat*

*zdeformowany, świat małej ondyny, zwróconej plecami do długiego muru tkalni labor i 1-szych brudnych domów za niczym lasem. I w ten sposób niskie domki ter-muren wydawały się jej jeszcze niższe, a pola wokół, z czarną postacią przygiętego do ziemi chłopca, jeszcze bardziej bezkresne. Na drzwiach, gdzie mieszkała ondyna, ze swą matką zulmą i swym ojcem ca-rolusem, wisiała tabliczka: „tu przechowuje się klucze do kaplicy matki boskiej z ter-muren”, i mała ondyna czuła się przez to ważniejsza niż inne dziewczynki bawiące się w błocie lub pyle ter-muren albo uwieszane na szlabanie przejazdu kolejowego i kręcące się na nim bez końca, aż było widać ich małe, brudne, gołe pupki... ale uważała za krzyżącą niesprawiedliwość to, że na ich drzwiach nie wisiała również tabliczka „tu przechowuje się klucze od szlabanu kolejowego”. I żeby zademonstrować swoje oburzenie z tego powodu — czego to dzieciaki nie wyprawiają! ■ — wyciągnęła na dwór swego małego braciszka, który miał słabe, bezkształtne ciało z monstrualnie wielką głową i leżał w wózku na drewnianych kółkach. Miał 4 lata i wszystko, co potrafił, to unieść tę monstrualną głowę kilka centymetrów ponad czerwony kocyk, na imię miał wa-lerek, ale co znaczy imię dla takiej odrobiny człowieka? I teraz przelicytowała innych pchając wózek wzdłuż torów i w szalonym pędzie przejeżdżając pod szlabanem tuż przed pędzącym z gwizdem pociągiem. Drewniane kółka podskakiwały na szynach i głowa w wózku podskakiwała razem z nimi. Ktoś krzyknął, jakaś kobieta oniemiała i stanęła jak słup soli, ale mała ondyna była po drugiej stronie i śmiała się do rozpuku.*



## 1800 KTÓRYŚ TAM

Mata ondyna uważała wszystko, co miała, za coś oczywistego, ale o wszystko, czego nie posiadała, była na-dąsana. A ponieważ ter-muren... wciśnięte pomiędzy króliczą górę z zamkiem pana derenancourt a niczyj las z 1-szymi brudnymi domami i dymiącymi kominami 2 fabryk... było bardzo biedną osadą, to ondyna była nadąsana prawie przez cały boży dzień. Działo się to jeszcze przed tamtą, pierwszą wojną, kiedy ludzie 0 głodzie i chłodzie przebijali się przez życie wegetując jak króliki, na obiad były ziemniaki duszone, a na kolację tłuczone. Były to czasy, kiedy od najmłodszych lat wbijano człowiekowi do głowy niestychany szacunek dla księdza i dla pana derenancourt z zamku. Mała ondyna zaczęła dostrzegać, że świat, w którym żyła, był co prawda nie tylko dla niej, lecz że ją w nim jednak tolerowano, pod warunkiem, że bardzo uprzejmie mówiła dzień dobry, proszę księdza... to wprost nie do wiary, ona, która przecież przechowywała klucz od kaplicy! Jej ojciec pełzał na kolanach, jej matka kłaniała się pokornie do samej ziemi, gdy tylko jakiś pan przekroczył ich próg, a od niej żądano... no właśnie, czego? żeby zamiatała podłogę swymi 2 kasztanowymi warkoczykami? O, to wcale nie znaczy, że się buntowała, co to, to nie, ale za nic w świecie nie mogła uwierzyć, że należała do tych, którzy powinni być posłuszni. Myślała, że urodziła się po to, aby chodzić z nadąsaną miną, tak jak starsza pani z zamku... myślała, że urodziła się po to, by wydawać przyjęcia 1 rozkazy. A ponieważ wydawało się, że jest akurat odwrotnie, to w duchu śmiać jej się z tego chciało: jutro ktoś przyjdzie i powie, że to pomyłka. Widziano teraz, jak Jclanią. się niżej niż ktokolwiek inny, jak gdyby jarąła się wykonać to, co sobie ot tak, ni stąd,

*ni zowąd, wymyśliła: zginać się tak głęboko, żeby jej warkocze opadały ponad głową i zamiatały piasek na podłodze. Ale uśmiech nie zniknął z jej ust, ten uśmiech oznaczał: zrozum mnie, pragnę, by nadeszło Jutro...*

*Mogła jak najbardziej wyrosnąć na kobietę nie tylko piękną, ale również i mądrą. Po drugiej stronie szlabanu był sklep-gospoda należący do jej wuja, gdzie oprócz bańki z naftą i worka z solą były tylko półki z drewnianymi chodakami. Ondynie wydawało się niezwykle komiczne to, że ludziom tak mało było potrzeba, trochę soli, żeby posolić ziemniaki, i trochę nafty do lampy, żeby naprawić przy niej roboczy kombinezon. Najważniejsza jednak była wódka — niedobry gene-ver — podawana od tyłu, w kuchni. Wuj ondyny był kiedyś majstrem w przędzalni filatura, a ponieważ nosił brodę, ludzie z ter-muren mówili na niego, kiedy tego nie słyszał, chrystus... niemniej jednak mieli obowiązek upijać się u niego i wychwalać pana derenancourt, bo inaczej zostaliby zwolnieni z fabryki.*

*Pewnego razu mała ondyna usłyszała, że również jej ojcu dawano przezwisko, że w oczy zwracano się do niego karol, a poza oczami nazywano go vapeur. Była wtedy zła, że nie był on wszechwiedzący, dzwoniła kluczami od kaplicy i powiedziała matce boskiej z ter-muren, że ta niesłychana głupota jej ojca musi się skończyć. Niedługo ludzie zaczną sądzić, że jesteśmy zwyczajnymi, głupimi biedakami, takimi samymi jak reszta, myślała ondyna.*

#### *ONDYNA I JEJ GŁUPIA MATKA*

*Gdy sobie wyobrazisz małą ondynę, to zobaczysz, że jej matką musiała być głupia zulma, o której ludzie z ter-muren mawiali: „twoja matka w swoim czasie*

potrafiła liczyć tylko na palcach, a o wszystkim, co było ■większe od tego, mówiła, że to wielkie jak niebo, no i sama powiedz: siedziała na nauce do pierwszej komunii i nawet nie spytała, czy może wyjść się załatwić, tylko zrobiła tam, gdzie siedziała". A ponieważ była siostrą Chrystusa, mogła zostać na zamku na króliczej górze służącą starszej pani derenancourt, ale gdy już się raz znalazła za ogrodzeniem zamkowego parku, nie mogła więcej stamtąd wyjść, bo na polecenie starego pana derenancourt rozpowiadano, że... nie, nie po prostu... ale że rozchorowała się na nerwy. Ludzie z ter-muren nie rozumieli oczywiście, do czego to dojdzie, jeśli zuariatki nie będzie można więcej nazywać wariatką, tylko nerwowo chorą? I nagle wróciła na dobre spoza żelaznych prętów zamkowego płotu i całymi wieczorami przesiadywała u **Chrystusa** za piecem, przysłuchując się wszystkiemu z cichym, głupim i właściwie trochę przestraszonym uśmiechem. Śmiała się razem z innymi, kiedy ten postrzeleniec vapeur pojawił się w ter-muren, ale płakała, kiedy pewnej nocy przyszli libertyni i pomalowali na niebiesko front domu, a majster z laboru wołał: że teraz w lesie na króliczej górze leży pochowany mały senator. Może jednak było to wzięte z sufitu, może ten majster z laboru wołał tak tylko z nienawiści do majstra z filatury. Ale popatrz, **ku** jego wielkiemu zdziwieniu, zwolniono go z roboty, powiedziano mu, że nie był najlepszym majstrem; pił i potem kopał 9-letnie dzieci, które zasypiały przy pracy, Ale on jednak nie potrafił tego pojąć, upił się i stał przy bramie laboru wykrzykując, że znajdzie ten kopczyk w zamkowym lesie. Przyszli po niego i zawlekli go do paki, a tam wyśpiewał on swoje opijanie-nie: że wszyscy bogacze to dranie i że wszyscy oni, obojętnie do jakiej należą partii, są tyle samo warci! Kiedy mała ondyna usłyszała to po raz pierwszy, zrozumiała tylk-o tyle, że biedni są głupi, a bogaci mądrzy,

*i strasznie była tym uradowana. Głupia, mówiła na widok swojej matki, która siedziała przy oknie, wyglądała na ulicę i co jakiś czas wybuchała idiotycznym śmiechem. O, ta śmiała się z niczego, z liścia, który wirując opadał z drzewa na dach kapliczki, z pociągu, który z gwizdem przelatywał obok szlabanu. A kiedy vapeur podchodził, żeby zobaczyć, co tam też mogło takiego być i nic nie było, to z kolei zulma patrzyła na niego zdziwiona, dlaczego on stoi przy oknie. Tak, mała ondyna czuła wzbierającą w niej pogardę dla ojca za to, że ożenił się z wariatką. Wariatka, mówiła i podawała matce filiżankę gorącej jak wrzątek kawy, i przyglądała się, jak ta parzyła sobie palce. I choć następnego dnia znowu robiła to samo, zulma nigdy nie mogła się nauczyć, że coś może być gorące. Ale kiedy ondyna podała matce rozżarzony węgiel z pieca, wtedy zulma popatrzyła na swoją córkę i rozplakała się, że aż ondyna się od tego zawstydzila.*

### **PERPETUUM MOBILE**

*Tak więc ojca małej ondyny zwano z imienia carolus, przydomek vapeur. Był on tu jedynym, który się nie urodził w osadzie ter-muren, a kiedy sobie trochę wypił, to twierdził, że pochodzi z brukseli. Tego ter-muren nie mogło mu wybaczyć. Nie mogło mu wybaczyć również tego, że nie pracował w przedzalni filatura, ale wołał niebo i ziemię na świadków, że jest kimś innym, że należy do mieszczaństwa. O, bo dotąd istnieli tylko panowie i słudzy, aż tu nagle z pojawieniem się wśród nich tego szaleńca, zrodził się 3-ci stan, coś połowicznego, coś niezrozumiałego. I zwabiono go do gospody Chrystusa, spojono i kazano mówić po brukselska. A on,*

*dureń, bełkotał w języku, którego nikt nie potrafił zrozumieć. To jest francuski, powiedział, ale kiedyś będzie taki język, w którym będzie się mówić we wszystkich krajach, bóg pomieszał ludziom języki, ale nauka stworzy kiedyś nowy język. A ponieważ go nie rozumiano, paplał w tym mniemanym języku, ziozozito, i zaczął też pokazywać sztuczki, podrzucił jednofrankową monetę i chciał ją wyciągnąć z nosa jakiegoś chłopca, ale ponieważ za dużo wypił, sztuka się nie udała i frank wypadł mu z rękawa. Twierdził, że jest specjalistą od budowania schodów, ale kiedy jednemu zrobił masywne wiejskie krzesło, drugiemu koryto i przekonano się, że jednak ma o tym jakieś pojęcie, zamówienia się skończyły. Prawdopodobnie jednak nie bardzo się tym przejmował, choć jedyne, co robił w tamtych dniach, to trochę grzebania w polu za domem, a potem majstrowania w nieopalanym warsztacie przy czymś, co nazywał perpetuum mobile. Ponieważ jednak -nie rozumiano by tego słowa — podobnie jak jego światowego języka — opowiadał, że to będzie coś na parę. Ryczano wtedy ze śmiechu z tego wariata. Z pewnością czuł się w ter-muren strasznie samotny, ale czy miał się dlatego upijać do nieprzytomności? Skończyło się na tym, że jego poszukiwanie czegoś, czego nie umiano zrozumieć, uważano za coś nie tylko śmiesznego, ale również bezbożnego, i że zwrócono się z tym do księdza. Ksiądz zaklinał go na litość boską, żeby porzucił swoje bezsensowne poszukiwania. Och, odpowiedział vaporeur, ksiądz by może wolał, żebym poszedł do roboty w przędzalni, jak ta ciemnota z ter-muren, i może chce ksiądz jeszcze powiedzieć, że ja, który znam się na maszynach, mógłbym tam nawet zostać majstrem: ale ja nie lubię zostawać majstrem, ja lubię siedzieć w moim warsztacie za domem i szukać czegoś, czego nie można znaleźć. I lubisz również być uważany za durnia przez ludzi z ter-muren, odpowiedział ksiądz. A wy przez ludzi*

*z pałacu na króliczej górze, odrzekł vapeur z lekceważącym uśmiechem. Mała ondyna mogła być wtedy z niego dumna, ale za bardzo była zła o to, że jakby nie chciał się podporządkować prawom wyższego rzędu i kiedy miał kolejny ze swoich napadów, próbowała swoimi słabiutkimi paluszkami zniszczyć jego robotę. Wyzywała go od głupich vapeurów i wraz z tymi słowami miotała w niego całą swą nienawiść o to, że nie był panem ani sługą, ale takim samym durniem jak jej matka. Ale on nie był durniem, rozumiał, jakby nie był pijany, dokąd ciągnęło jego córkę, i w milczeniu szedł do swego warsztatu, aby w cieniu swego perpetuum mobile odespać swoje opijanie.*

### **ANORMALNOSCI**

Na ile nadażam za tobą, odzywa się kantyczny nauczyciel, ci wszyscy, o których piszesz, to nienormalni: wybierasz setki drobnych faktów z normalnego życia, ale te fakty mieszasz najpierw z sobą nie do poznania, aż zrobi się z nich rozedrgana bryła, a następnie przesuwasz tę bryłę na nie istniejący plan. Albo, jeśli mogę jaśniej się wyrazić: te setki drobnych faktów z normalnego życia stają się w twoich rękach cegłami, z których budujesz anormalny świat. Ani jeden z twoich bohaterów nie jest człowiekiem normalnym i ani jedno wydarzenie nie odbywa się tak, żeby je można było rozpoznać, ani w tym, ani w minionym czasie.

A ty na to: och, siedź lepiej cicho, kantyczny nauczycielu, bo przypominasz mi tych wyniosłych i jakby wszechwiedzących i zawsze nieomylnych krytyków współczesności: łatwo im mówić, że pisząc o życiu, trzeba również rozważyć to i prześledzić tamto, i dodać

do tego szczyptę pieprzu i soli, gałkę muszkatołową i cynamon... nie, pomyliło mi się, to jest recepta na biszkopt... i można tych krytyków w przybliżeniu porównać z nad wyraz tragicznym wypadkiem, kiedy przez pomyłkę wyrzucono dziecko, a włożono do kołyski łożysko. Ale najbardziej tragiczne w tym wszystkim jest to, że zaczęli oni traktować tę pomyłkę jako stan normalny i chcą narzucić swoją całkowicie aptekarską mentalność w naturalny sposób zapłodnionemu, brzemiennemu i rodzącemu pisarzowi. I nie mów mi więcej: „opisujesz zawsze to, co anormalne, i później nazywasz to nienormalnym”, bo gdzie jest ta granica, która oddziela normalne od nienormalnego? Zobacz tylko takich mistrzów jak bosch i breughel, i goya, jak zatarli oni swoim pędzlem porządną i bardzo mieszczańską normalną linię... i jak w tobie wzbiera żałosna odwaga, żeby kawałkiem kredy na nowo przeciągnąć tę linię na ich obrazach. I posłuchaj równocześnie, co mi powiedział jeden znany psychiatra: każdy człowiek jest nienormalny, ale wielu nie manifestuje tego na tyle, żeby można ich było zamknąć w domu wariatów. A przy tym, czy nienormalni nie mogą zostać najszybciej i naj-celniej przedstawieni przez nienormalnych? I czy nie można poprzez świat fantastyczny przekazać niedoskonałego obrazu świata Istniejącego? Ale kantyczny nauczyciel, który jest skrepowany tym, co można i czego jeszcze ciągle nie można, co jest dozwolone i co jest wciąż jeszcze niedozwolone, mówi drwiąco: jeśli w ten sposób możesz robić to, co chcesz, i pisać to, co chcesz, to jeszcze skończysz tak, że sprawy w ich najbardziej niewiarygodnym kształcie będziesz postrzegać jako sprawy najbardziej realistyczne.

## *GDZIE PODZIEWA SIĘ ŻYCIE*

Przed drzwiami twego domu unosi się oddech letniego wieczoru, a johan janssens siadając na twoim progu zaczyna mówić: nie chcę słuchać dziś wieczór o tej powieści i lepiej przyjrzyjmy się wszystkiemu tak, jak to jest... bo nie przypuszczam, że sobie tak po prostu piszesz i piszesz, i bujasz gdzieś tam wysoko w zrobionych z waty obłokach tekturowego świata... powieścio-pisarz powinien zostać dziennikarzem, tak jak ja, aby doświadczyć takiej rzeczywistości, w której można rnu zapłacić za wypełnienie całego numeru gazety, ale nie za urodzenie najbardziej nawet genialnej powieści... i aby później to doświadczenie przetworzyć w swoich papierach... *zakładam na przykład, że ia mała ondyna ileś tam lat temu przejeżdżała z drewnianym wózkiem przez tory, ale kogo to jeszcze interesuje?...* dodaj lepiej w swojej książce to, co z życia wzięte, na przykład, że twój pokorny sługa johan janssens musiał wczoraj udać się do redakcji, bo przez cały czas wisiano przy telefonie: gdzież on się podziewa, żeby mu dać kopniaka w jego dziennikarską dupę. I dodaj również to, że zanim wyjechałem tramwajem, zamówiłem w piwiarni, tam przy 1-szych brudnych domach, oranżadę i że siedzieli tam 2 mężczyźni, którzy pili piwo, i którzy skorzystali z tego, że właścicielka poszła do kuchni się przebrać: wypili piwo do końca i dali nogę nie zapłacony... i że na to wpadła właścicielka mając na sobie tylko znoszoną kombinację, aby tych 2 mężczyzn, którzy już przechodzili przez tory w ter-muren, przywołać z powrotem i zbesztać... i że gdy tak stała w drzwiach, widziałem poprzez tę kombinację tłuste pośladki i brzuch właścicielki — och ty, felicien rops — ale zjawiwszy się w redakcji, znów usłyszałem, że moja robota jest niedobra, bo wszystko to, co piszę, nie jest



takie samo jak to, co piszą inni... „vive l'originalite, ale nie za bardzo...”,  
lecz najgorsze było to, iż doszedłem do oszałamiającego odkrycia, że nie  
jestem żadnym marksistą tak jak inni, ale przeciwnie, anarchistą, nihilistą,  
świntuchem, i że powinno mi się zabronić dalszego kontaktowania się z  
ludźmi, może z wyjątkiem dziewcząt, które teraz chodzą po brukseli'w  
swoich letnich sukieneczkach... i to też tylko z daleka: bo kiedy się do  
mnie za bardzo zbliżą, widzę ich zmarszczki albo brodawki, albo  
pryszczki, albo jeszcze coś innego, co wygląda na chorobę i co mi  
przepowiada ich coraz bliższą śmierć. I dodaj w końcu jeszcze i to, że  
wracając do domu, też tramwajem, widziałem scenę prosto z życia, 1-szy  
wagon z proletariatem urzędników, noszących aktówki i rozmawiających  
po flamandzku z panienkami w przezroczystych kwiecistych  
sukieneczkach, i 2-gi wagon z proletariatem prostych dziewcząt, które  
mają bardziej szorstkie twarze i noszą bardziej szorstkie bawełniane  
sukienki, i 3-ci wagon z proletariatem starych kumotrów z krostowatymi  
twarzami i matronami, które z obwisłymi piersiami w swoich bluzkach  
uginają się pod ciężarem toreb z ziemniakami. I wszystko to dodawszy,  
napisałbyś przynajmniej coś, co jest odwrotną stroną tego medalu, którym  
jest powieść: *Zycie*.

### *MROCZNE CZASY*

Napisałem w gazecie, powiada johan janssens, felietonik o lisie  
przecherze z nadtytułem „mroczne czasy”: to o lisie-przecherze,  
przychodzącym do nas z mrocznych i zalesionych czasów średniowiecza,  
w których hrabstwa były dzikie i rozległe, a katedry ze swoimi ka

**miennymi** koronkami i rzygaczami sięgały prawie nieba, kiedy panowie **na** zamkach byli encyklikierami **i** wracali ze swych łupieżczych wypraw krzyżowych, i ochrzczeni ciągnęli na mszę świętą pokłonić się panu naszemu, ale mogli bezkarnie puszczać z dymem miasteczka, „jako sępy na grosz w trudzie zebrany **i** kro-winę spadając i jako byki zajuszone na białogłowy się rzucając”. O, to **ci** dopiero były wspaniałe czasy, kiedy feudalni panowie nie potrafili nawet się podpisać, ale w swoich ufortyfikowanych zamkach na zajęczej górze mieli zapadnie i sale tortur, i błażna, **i** trubadurów, co lizali po rękach tych, od których brali razy, aby w wierszach opiewać czyny swoich panów... o, to ci dopiero były czasy, kiedy nie mogłeś zrobić ani pięciu kroków, żeby nie natknąć się na opactwo, za którego murami żarło się i piło, że można było pęknąć, **i** gdzie dla zabicia czasu opisywano w grubych księgach żywot świętego bimbombardusa **i** ozdabiano to kolorowymi obrazkami... i kiedy tłusty papista lub jego przewie-lebność z ter-muren nakazywali ci wyruszyć z pielgrzymką gdzieś do hiszpanii, boso i w pokutnym kapturze na głowie, abys po powrocie stwierdził — o, piękn<sup>n</sup>y języku przechery — „że babę moją posromocił, dziecka mi srodze ogrzmocił, na dwoje nasikał, gdy **tamo** leżały, aże nic już nie widziały, oczy im się cale zaćmiały”... przynajmniej o ile pan derenancourt miał na to ochotę... i kiedy się wzajemnie obficie polewano pobożnymi łacińskimi frazami i wodą święconą, ale kiedy prowadzono cię na stos, jeśli przez pomyłkę stwierdziłeś, że ziemia obraca się wokół słońca, A równocześnie były to czasy, kiedy wieśniacy i głuptycy byli jeszcze tacy, jak ich breughel... który właściwie pojawił się znacznie później... jeszcze w przebłysku ujrzał i namalował: ciemnych i biednych, i brzydkich, **i** wychudłych od postów i modłów, i **1** dnia w roku z okazji świniobicia obżerających się **i** upijających do

nieprzytomności, ale przez cały boży rok żyjących w tak wielkim strachu przed duchami, diabłami i błędnymi ogniami... podczas gdy nie było żadnych innych diabłów niż te z klasztorów i z zamku na króliczej górze, i żadnych innych strachów niż zaraza i głód, i ospa, które ich kosiły jak muchy, i żadnego innego błędnego ognia prócz najżałośniejszej niewiedzy.

I podczas gdy johan janssens milczy i w poetycznym zamyśleniu wkłada zapisaną kartkę do tekturowej teczki, obok twoich papierów... i podczas gdy inni mówią, że to ładne i że powinieneś dalej pisać i nie słuchać tego, co redaktor naczelny ma na ten temat do powiedzenia... i podczas gdy kantyczny nauczyciel podnosi palec i znów zamierza powiedzieć coś wspaniałego, np. że jest to piękny dodatek i relief planu powieści--wieści... piękna żona lucette siedzi z boku, kręci głową i milczy.

#### *ZDARZYŁ SIĘ CUD*

*Jeśli ondyna żyła swoim osobnym życiem, to odbywało się to jednak bardziej wewnątrz: zewnątrz była wciąż małą ondyną carolusa vapeura, która dłubała w nosie i nie znała słów, w jakie mogłaby przyodziać nachodzące ją gwałtownymi przyptywami pytania... dziś o to i owo, a jutro znów o coś innego. Straszyla swoją zwariowaną matkę, rzucając kamieniami w ścianę domu, albo znienacka wpadając z wrzaskiem do kuchni z czerwonym kocykiem na głowie, w który normalnie zawinięty był ten pożałowania godny okruszek jej brata. Tyle jej tylko z tego przyszło, że jej matka zrobiła się od tego tak nerwowa jak spłoszony ptak w klatce, że z przerażenia chciała chodzić po ścianach i ze strachu chwytala za firankę, zrywała ją*

*i tłukła wszystko, co jej wpadło w ręce. A kiedy jej ojciec vaporeur wychodził z warsztatu, ondyna płakała i wykrzykiwała urywki ze świętej historii; o jesusie, który karcił i powiedział: „umilknij, a wynijdź z niego”. I myślała, że może ojciec poprosi, aby teraz umilkła... kochana, mała ondynka... ale nie zrobił tego, przewracał w milczeniu kartki jej świętej historii i też przeczytał ten ustęp o duchach nieczystych i stał dłuższy czas jakby bezmyślnie, patrząc na małą ondynę. Potem odrzucił książkę i pokręcił głową. W końcu spojrzął na walerka, ten okruszek jej brata, który leżał w swoim drewnianym wózku pozbawiony swojego czerwonego kocyka. Gdzie on się podział? Mała ondyna wciąż jeszcze miała go na głowie. Były w niej skrajności. Zdarzały się dni, kiedy z powodu tego wszystkiego bardzo się dąsała, ponosiło ją do tego stopnia, że ze złości waliła pięściami po ścianach. Że kopła swoimi sobotami w wózek walerka, aż rozlatywały się one na kawałki i wrzeszczała: ty leniu, kiedy wreszcie wstaniesz i naliczysz się chodzić? Po dobrze przespanej nocy złość jej mijała, zaplatała swoje warkoczyki i zastanawiała się, co też się takiego straszego zdarzyło: to, że zakłęta, że kopnęła drewniany wózek? to przecież tylko po to, żeby z matki zrobić kobietę jak trzeba, a z brata człowieka jak każdy chrześcijanin. Wjechała z wózkiem do kaplicy w ter-muren, wyjęła z niego walerka i stanęła z nim przed obrazem: chcę, żebyś zrobiła z niego człowieka, chcę, żebyś mu teraz kazała chodzić. Walerek zachwiał się na miękkich jak z waty nogach i upadł, waląc swoją wielką głową o kamienną posadzkę; mała ondyna trzęsła się z wściekłości, stawiała go wciąż na nowo, aż cały był siny, aż jego głowa była 1 guzem. Niech to szlag trafi, powiedziała. A cud z walerkiem zdarzył się w dzień świętej urszuli. Ter-muren było opustoszałe, bo był to dzień*

*patronki przędzarzy i tkaczy, i wszyscy mieli na sobie najlepsze portki i najczystszy chałat i poszli do przędzalni filatura, żeby wziąć udział w procesji: pan derenancourt z zamku w ter-muren z przędzalni fila-tura przybył sam we własnej osobie specjalnie na tą okoliczność z brukseli, chociaż od,bywało się posiedzenie senatu, żeby ich poprowadzić na mszę. I tego właśnie ranka, w tej samej godzinie, kiedy trwała msza, zdarzył się z walerym cud: popatrz, stoi i nie przewraca się. Uczepił się mocno krzesel i zatacza niebezpiecznie głową tam i z powrotem. Małą ondynę strach nawet na ten widok obleciał, szybko wsadziła go z powrotem do wózka i ani słowem nikomu o tym nie wspomniała. A wieczorem gapiała się, jak vapeur karmił go tłuczonymi ziemniakami z serwatką albo kładł go na stole, żeby wyczyścić jego wózek. I nawet mu do głowy nie przyjdzie, pomyślała ondyna. I co dziwne, nie sprawiło jej to żadnej przyjem,ności, wręcz przeciwnie, napędziło strachu. Nie mogła sobie jednak odmówić powtarzania tego cudu w każde południe, jakby to było przedstawienie teatralne: walery chodził coraz lepiej.*

### *ŚWIĘTY WALERY*

*Ondyna czytała świętą historię tak, jakby to była jej własna historia, pościła, biła się sznurem po nogach, przywiązywała się w nocy do swego wyrka. Ale poszukiwała wciąż czegoś, co byłoby jeszcze okropniejsze, jak przebicie dłoni gwoździem albo wsadzenie nóg do wrzątku. Nic jednak z tego nie wyszło, bo inni też zaczęli dostrzegać, że walery chce wstać z wózka i chodzić, i tak oto stało się to czymś całkiem zwyczajnym, od czego najlżejszy zapach świętości był jak naj*

dalszy. Mała ondyna stała się zazdrosna o każdego, zagarniała swego walerka, jeździła z nim daleko wzdłuż torów i gdy nikogo nie było w zasięgu wzroku, wbijała mu do głowy rękami i nogami, że zdarzył się z nim cud. W swoim zapale nie widziała, że co prawda walek zaczął chodzić, ale wcale nie zaczął jeszcze myśleć, co to, to nie. A więc jej słowa były rzucane na wiatr: równie dobrze mogła tłumaczyć byle jakiemu psu, że zdarzył się z nim cud. Pilnowała, żeby walery nie zachowywał się jak zwierzak. A także, prowadząc go za rękę, rozglądała się w napięciu wokół, czy nikt z ter--muren nie śmieje się z niego, ale za chwilę bila go za to, że chciał się schylić i wyciągnąć z rowu zgnile jabłko. Myślała o tym, żeby może zrobić z niego kamienną rzeźbę, Świętego, który nie musiałby więcej kakać. Za każdym razem szła dalej wzdłuż torów, aż znalazła miejsce, w którym kwitł janowiec, i tam, w całkowitej samotności, uplotła mu koronę z żółtych kwiatów janowca: walerek ugiął się pod nią, stąpając na swoich słabych nogach, tupał i płakał. Mała ondyna w ekstazie nie widziała tego, klęczała i modliła się: Święty Walery, z którym zdarzył się cud, módl się za mną.

Za każdym razem, kiedy chciała pójść w to miejsce, musiała przejść obok gospody „u **Chrystusa**”, stojącej przy przejeździe, i zawsze traj chciał, że widziała ich żona Chrystusa i wołała za nią: ondynko, pobaw się też trochę ze swoją kuzynką! Mała ondyna z największym obrzydzeniem patrzyła na swoją kuzynkę, dziewczuszkę z włosami jak siano i rybimi oczyma, jakże coś takiego mogłoby być świadkiem jej nabożeństwa do walerka? Ale wyglądało na to, że walery sam czuł pociąg do kuzynki, za każdym razem, kiedy ondyna mogłaby się tamtędy niepostrzeżenie prześlizgnąć, on sterczał przy płocie, co za uparty osioł z niego. Nie chciał chodzić z nią tam do janowca, bo to żółte, co musiał nosić na głowie, budziło w nim przerażenie.

*Swoimi małymi palcami czepiał się mocno progu gospody i mała ondyna musiała go siłą odciągać, że aż nieraz je sobie pokrwawił... i jeśli nic już więcej nie pomagało, ondyna wołała „si si”, musiała wtedy rozpiąć spodenki swojego świętego. I nie tylko dlatego, że okropnie się tego brzydziła, ale przede wszystkim dlatego, że musiało się to tam właśnie odbywać: biła go, chociaż on jeszcze nie załatwił swojej małej potrzeby, kopala i kiedy dławił się łzami, chwytala go mocno i zmykala z nim. Tam, na swoim ulubionym miejscu, pełzała wokół niego na kolanach i błagała go, aby nigdy w życiu nie zadawał się z kimkolwiek innym: wyobrażała sobie swoje życie tylko z nim, wyobrażała sobie ter-muren w nigdy nie kończącym się letnim niedzielnym poranku, gdzie kwitnie janowiec i gdzie nie spotkasz księdza ani chłopca, ani matki ich kuzynki. Tej nocy śniło się jej, że razem się utopili. Na parę dni zaniemówiła, a kiedy obok ich ulubionego miejsca przejeżdżał pociąg, wystraszona kładła rękę na swym mocno bijącym sercu.*

#### **PARODIA**

Jak ktoś, kto śmiałyby się w kułak, gdyby rzecz nie była aż nadto bolesnej powagi, i jak żebrak, który mówi: „niech ci bóg wynagrodzi”, ale myśli: „cholera, to tylko 10 centymów...”, tak właśnie willem, który był stworzył madoca i który w pewien piękny dzień zielonych świątek zwołał wszystkie zwierzęta, miał więcej strzał w swoim łuku, niż walentyna-ze-sklepiku martwych much w swoim kramiku z cukierkami; kapelusz założył sobie na bakier, piórkiem do tyłu i wystawił obsadkę do przodu jak miecz, naśladując w ten sposób

rycerza, co siedział w swym warownym zamku w ter--muren,  
wciągnąwszy za mury łup i rozebrane córuchny biednego chłopca,  
podciągnąwszy zwodzony most, słuchając ułożonych do rymu i rytmu  
rycerskich opowieści — na koniu siedząc i miecz w dłoni dzierżąc —  
których nowsze i ulepszone wydanie widziałeś w czasie hitlerowskiej  
okupacji... zachowywał się równocześnie tak, jakby wszystko było  
bardzo poważne i wcale nie pomyślane tak, aby z czegoś lub kogoś się  
natrzęsać: a co ty sobie myślisz, czcigodny panie kapitanie-jednooki i  
hrabio, i książę biskupie od lippeloo do lotelippe, kiedy mówię o wilku,  
który każe sobie zgolić tonsurę i proponuje opatowi, by jeść owce na  
surowo, to wcale nie chcę przez to wyśmiewać się z zakonników albo  
ultraczerwonych marksistów, którzy głoszą mękę pańską— strzeż,  
wieśniacze, swoich gęsi\* — ale z głupiego zwierzęcia: prosty człowiek  
też może się czasem pośmiać. Ale trzeba tu również dodać, że ten willem  
to tylko ktoś, kto będzie chciał zdeptać larwy bezprawia i kłamstwa, ale  
także oczywiście człowiek taki sam jak ty i ja: ktoś, kto jest zawsze w  
konflikcie z kimś innym, jak nie z tym, to z tamtym, i kto w końcu wypnie  
się na belgię i zamieszka w erembode-ghem\*\*): taki jest ten lis przechera  
**a** kto nie chce w to wierzyć, nie musi, bo nigdy nie napisano czegoś, co  
jest ewangelią. Ale jeśli jednak czytacie to, wieśniacy i głuptacy, to nie  
zaczniście zachowywać się tak jak wrony, które ciągle kraczą i wszystko  
oczerniają, w zimie śnieg, **a** w lecie ziarno, ale wbijcie sobie do głowy, że  
w naszych czasach za najpiękniejszymi hasłami rozkwita, tryumfuje tylko  
oszwabianie chłopca, **a** hulanki i kurewstwo stały się po bogu, królu i  
demokracji naj-

\* przysłowie: gdy lis głosi mękę pańską — strzeż, wieśniacze, swoich  
gęsi (przyp, tłum.)

\*\* miejscowość pod Brukselą, w której osiadł Boon (przyp. tłum.)



wyższym dobrem... tak że prostemu, biednemu, poniżanemu, ciemnemu, trawanemu i wozonemu za nos człowiekowi nie pozostało nic innego, jak tylko wykopać sobie dół z 7 wyjściami, troszcząc się jeszcze tylko o swoją żonę, swoje potomstwo i siebie samego, doszedłszy do wniosku, że to ^statnie może być jedyną prawdziwą religią i jedyną prawdziwą ojczyzną. Bądź tym, kim jesteś, ale naucz się, że ideały się rozsypują z twojej i z mojej winy, ale najbardziej z winy tych, którzy wynaleźli idealizm, żeby zarobić na nim talara, johan janssens.

### *UPIÓR LUDZKIEGO WYCHODZENIA NA SWOJS*

Nie tak znowu często się zdarza, żeby mossieu col-son z ministerstwa coś powiedział... jego stała obecność ma raczej cichy charakter... ale dzisiaj widać z jego twarzy, że jego umysł — a może to jego duch? — narzmiął jest słowami: miałem problem z ogrodzeniem mojego domu, mój nowy sąsiad nie chciał tego przejąć po poprzednim, i dlatego poprosiłem swojego szefa o zwolnienie, i poszedłem do mec. pinaka, i mec. pinak wyciągnął swoje ogromne, prawnicze księgi, i dał mi pierwszą poradę, a przy okazji opowiedział mi cały swój życiorys: jeden brat mec. pinaka jest adwokatem w spa i jest bogaty, drugi brat mec. pinaka jest adwokatem w Ostendzie i też jest bogaty, a on sam jest adwokatem w tym żalnym, prowincjonalnym miasteczku z fabrykami labor i filatura i jest biedny... biedny i nie znany pomimo swoich mistrzowskich występów, bo należy do tego powszechnie pogardzanego bractwa naszego przyjaciela johana janssensa: do ultra-marksistów: jest on naprawdę adwokatem Ubogich, co

jest romantycznym tytułem honorowym... ale świat nie potrzebuje więcej romantyzmu, z wyjątkiem przede-dnia wyborów. I wszyscy ci nieboracy w swoich wyświechtanych czapkach i z krostowatymi twarzami przychodzą do jego poczekalni mając w kieszeni dobrze widoczny dziennik ultramarksistów, żeby nic nie płacić: ale nie pytaj ich czasem, co to takiego np. dom bractwa lub nowy klasztor ultramarksistów: ani tego nigdy nie wiedzieli, ani nigdy nie będą wiedzieć, bo ani trochę ich to nie obchodzi... obchodzi ich w danej chwili tylko 1: żeby nic nie zapłacić, wyjść na swoje i kogoś dobrodusznego i mającego jak najlepsze zamiary wystrychnąć na dudka. To mi opowiedział mec. pinak i natychmiast ukazał mi się upiór ludzkiego wychodzenia na swoje... i uciekłem stamtąd i nie mam odwagi więcej tam pójść po następne porady z grubych prawniczych ksiąg mec. pinaka. I mossieu colson z miń-sterstwa dał upust swym nabrzmiałym słowom i swojemu sercu, i ponownie pogрузzył się w swojej stałej, lecz milczącej obecności.

#### *ZNACZENIE TWOJEGO POEMATU*

Kiedy deszcz i wiatr bębnią w twoje szyby, chcesz odczytać nowy wiersz o *małej on&yynie*, o jej 1-szym ukochanym, ale mossieu colson z miństerstwa powstrzymuje cię niespodziewanym Stop... tak jak na nie strzeżonym przejeździe kolejowym w ter-muren: Stop... i już przychodzi ci na myśl śmierć, i niebezpieczeństwo, i więzienie, ale tutaj chodzi tylko o to, żebyś wszystkie swoje zakupy robił w au-bon-marche. Stop z twoim wierszem o ondyńce i jej 1-szym ukochanym, ale czy ty też piszesz o ter-muren i dzisiejszym świecie tylko

po to, żeby umocnić swoją pozycję? I ze swoim zbitym z tropu poematem gapisz się, niczego nie rozumiejąc, na mossieu colsona z ministerstwa... ale on już wypowiedział swoje słówko, Bum, i jeśli chodzi o resztę, to milczy teraz jak martwa flądra na rybnym targu. I dopiero później dochodzi do ciebie, gdzie jest pies pogrzebany, kiedy johan janssens, poeta i dziennikarz z gazety codziennej, kiwa głową i mówi: to dlatego, że opowiedziałem mossieu colsonowi z ministerstwa, jak to dzisiaj jest: Robotnik i nowe społeczeństwo, i sprawiedliwszy świat, cholera, to wszystko też już są dzisiaj puste frazesy, które się jeszcze stosuje, ale w które już nikt więcej nie wierzy... być może chrystus i marks posunęli świat o krok do przodu, ale jeśli popatrzyś wokół siebie, to można się co do tego spierać, i powiedziałem mossieu colsonowi z ministerstwa, że mnie jako redaktorowi dziennika przysyła się poemat o ignorowaniu ludzkiej osobowości i o służeniu masom, ale że się wpada w złość i wycofuje się z zabawy, jeśli ten wiersz nie zostaje natychmiast zamieszczony: i encykliczni poeci zajmują się bogiem, podczas gdy ani z bliska, ani z daleka nie chcą mieć z bogiem nic wspólnego, a inni piszą poematy o nowym społeczeństwie, ale wierzą tylko w siebie i swoje własne poematy: gdyby nastąpiła religia albo partia, której symbolem i obrazem przyszłości byłby koci ogon, to pisaliby poematy o koci ogonie to, o koci ogonie tamto. A mossieu colson z ministerstwa przerywa johanowi janssensowi i pyta: a czy ty nie masz zamiaru ze swoim poematem o *1-szym ukochanym ondyny* zrobić nic innego, tylko postarać się o to, żeby został zamieszczony, aby przez to umocnić swoją pozycję?

## *STARY GARBUS MÓWI*

Kantyczny nauczyciel i jego żona Lucette spotykają na drodze z kapliczką starego garbusa i ten stary garbus zagaduje ich: słyszałem, że cały czas pisze się

**O** ter-muren, w latach 1800 ileś tam, i chciałbym to też przeczytać, ale nie umiem, wiecie, jak to było za naszych czasów... chociaż za naszych czasów, o których mówię, to jest daawno, daawno temu, ter-muren było wtedy w gruncie rzeczy jeszcze czymś całkiem innym, niż sobie myślicie: rozlegało się tylko stukanie drewnianych sabotów i szemranie różańców, i rozchodził się zapach mocnej jałowcówki i kopających lamp naftowych, i fabrycznych szaleatów, to właśnie było ter-muren. I nie myślcie sobie, że pan derennakur z zamku i przędzalni filatura żył tam sobie wtedy jak pan bóg we francji: nie, on był taki sam bydlak. Ha, powiem wam, jak kiedyś zapomniał swoich cygar i stangret józef, który teraz też jest już na tamtym świecie, musiał iść po nie do sklepiku, ale w sklepiku oczywiście zabrakło jednego centa reszty, i stangret józef powiedział: niech tam, zostawcie, to jest wiece dla kogo... ale pan derennakur zapytał o swojego centa reszty

I sam poszedł do sklepiku: czy wy sobie myślicie, że ja jestem taki bogaty? A na początku swojej fabryki nici, która wtedy była jeszcze tylko fabryczką nici, sam stał w bramie z laską w ręce i walił nią każdego, kto się spóźnił. Ha, i ja też się spóźniłem, miałem nowy niebieski kitel i prześlizgnąłem się obok niego do fabryki, i powiesiłem swój kitel na innej maszynie, i pan derennakur, który przyszedł mnie odszukać, sprzął laską innego. Ha. A jeśli mowa o fabryce, to w maju musieliśmy odmawiać nasz księżaniec, a na świętą urszu lę mieliśmy iść na mszę, w szeregu po 4, jak oddzia wojskowy, i gdy tak szliśmy, wyglądaliśmy jak gąsie

nica, której głową był nasz pan derennakur, ale najpiękniejsze były jednak dzieci, co nie miały nawet 10 lat, które szły razem z nami, szczególnie dziewczynki, które były jak aniołki, i szły się modlić o powodzenie fabryki... i naturalnie wieczorem trzeba było dłużej pracować, żeby nadrobić stracony czas, a to, że aniołki zasypiały, nie miało nic do rzeczy, majster chrystus-z--tą-swoją-brodą chodził wokół i budził je kopniakami. Mówiłem o ustępach, no więc pewnego razu było znów coś nowego, komisja zdrowia, w której był brat wuja pana derennakur i córka glemassonów, którzy byli krewnymi... wiecie, ta córka była piękną osobą, ale mówiono, że miała platfusa, ja tam tego nie widziałem, bo zawsze nosiła spódnice do samej ziemi... i jak powiedziałem, przysła komisja i wszystkie dzieci, co nie mogły tak późno pracować, wepchnięto do ustępów, ale 1 zaczęło ryczeć i ta komisja usłyszała, i pan derennakur sam wyciągnął tę małą i powiedział: co to jest, chowasz się w ustępie zamiast już być w domu u mamy i już dawno leżeć w łóżku...? widzicie, co to za dzieci, zostają tak długo na pewno po to, żeby coś zwędzić. I kiedy piękna żona lucette pyta, jak potrafił to wszystko zapamiętać, to stary garbus odpowiada: ha, to dlatego, że za naszych czasów nie było nic innego, o czym by można było pogadać.

### *JEJ 1-SZY LUBY*

*Tak jak były dni, kiedy mała ondyna czuła, jak ciągnie ją do jej brata, jakby to był magnes, tak też bywały dni, kiedy budził on w niej obrzydzenie... właśnie to, dzięki czemu wczoraj była tak szczęśliwa, dzisiaj budziło w niej największy wstręt. Unikała walerka,*

pozostawiała go samemu sobie i mówiła: nie mogę przecież na wieki wieków amen czuwać nad nim. Choć czuła, że chodziło o coś całkiem innego: zapomniała o nim, bo może chciała o nim zapomnieć. Porzuciła wtedy rozgrzaną drożynę wzdłuż torów, aby skryć się w cieniu i chłódzie zamkowej alei... po drodze zrywała kwiatki, robiąc z nich o wiele za duży bukiet, który znów kwiatek po kwiatku rozrzuciła, myśląc, że one znów puszczą korzenie, żeby wskazać, którądy ona — Święta ondyna — przeszła. Ale w chwilę później zapomniała o swej świętości i wdrapywała się na niski murek ogrodzenia zamkowego parku, trzymając się mocno jego żelaznych prętów. Widziała stamtąd, jak żył pan derenancourt, jak gasił swoje cygaro i wydawał polecenia ogrodnikowi... to cygaro nie było jej zdaniem nigdy wystarczająco duże, a on nigdy nie wydawał poleceń dość twardo. Nosił jednak czapkę i tego ondyna nieomal nie potrafiła mu wybaczyć: wolałaby go oglądać w hełmie z kolorowymi piórami. Ale w sobotę, kiedy trochę padało, z zamku wybiegło do parku 2 chłopaczków i ondyna zobaczyła, jak starszy upominał młodszego, grożąc mu palcem. Och, dobry boże z ter-muren, tylko ty mogłeś pojąć, co miała ondyna wtedy czuć i czego pragnęła, lub też mogłeś pojąć, dlaczego myślała tak: czy zapomnę teraz ten sobotni poranek i ten park, i mżawkę, i ten podniesiony palec, tak jak zapomniałam wiele innych rzeczy? I równocześnie oczami wyobraźni widziała siebie, ja!C upomina walerka, tak samo podniesionym palcem. A zarazem nie mogła wytrzymać, żeby komuś nie opowiedzieć o tym, czego przecież sama nie rozumiała, jakiejś przyjaciółce, tej grubej lizie, która mówiła przez nos... chociaż nie miała nic do opowiedzenia, bo cóż się takiego w gruncie rzeczy zdarzyło? Ale co ciekawe, gruba liza rozumiała ją, natychmiast poszła z ondyną

*aż do ogrodzenia, aby popatrzeć na opuszczony park. O, stali tam, pokazała jej mała ondyna. To twój ukochany, powiedziała liza przez nos. Ondyna popatrzyła na nią zdziwiona, a zarazem nieomal podniecona... mój ukochany, mój ukochany, rozbrzmiewało w niej. Och, żebyś tego nigdy nikomu nie powiedziała, popatrzę na ciebie i pogrozę ci palcem, i wtedy będziemy obydwie wiedzieć, co to oznacza. A jeśli tajemnica ta wniosła w ich życie związane z nią troski i uczyniła to ich dziecięce życie życiem jakby dorosłym, to właśnie dlatego były szczęśliwe, nie będą mogły już żyć tak zwyczajnie, jak żyły wczoraj i przedwczoraj.*

*Lecz było jeszcze coś, co na małej ondynie wywarło olbrzymie wrażenie: ci dwaj chłopcy nosili skórzane płaszcze, jakich ona jeszcze nigdy nie widziała. Myślała*

*O tym, żeby poprosić matkę boską z ter-muren o taki sam dla jej świętego brata walerka. I wracając ze szkoły zobaczyła swego brata, jak bawił się z innymi dziećmi: wszystkie były w jego wieku, ale on był najgłupszy, największy oferma... bawiły się w chowanego I kiedy on z głową wtuloną w ramiona stał przed bramą ich warsztatu, wszystkie dzieciaki odchodziły i zaczynały się bawić gdzie indziej. I właśnie w tym momencie, kiedy nadeszła ondyna, wciąż modląc się o to, aby, bardzo proszę, wystarać mu się o skórzany płaszcz, przyszła ta mała wiedźma, ich kuzynka, i popchnęła cierpliwie czekającego walerka głową na bramę. Pocięła mu krew i rozplakał się. Mała ondyna chciała zakląć, niech to szlag trafi, ale nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła, potrząsała kurczowo zaciśniętymi pięściami i rozwścieczona kopnęła swe soboty o ścianę tak mocno, że aż się rozleciały. I upadła. Musiał wyjść jej ojciec i rozewrzeć siłą jej zaciśnięte pięści.*

## PRZESTĘPSTWO

*Tej nocy mała ondyna miała sen — matka, boska z ter-muren pokazała jej walerka w błyszczącym od złota surducie — obudziwszy się gwałtownie ondyna leżała w łóżku wierząc się i przewracając z boku na bok, i nie mogła ponownie usnąć: modliła się i błagała, żeby to tylko była prawda. Jej brat walerek spał obok niej, ondyna uklękła na gołych kolanach ze złożonymi rękami i tak zasypiając miała inny sen, że dostała kuzynkę- w swoje ręce i że ją dusiła. A gdy rano weszła do kaplicy w ter-muren, przeżywając na zmianę to nadzieję, że będzie tam skórzany płaszcz, to strach, że padnie trupem, jeśli została oszukana, nie śmiała wręcz podnieść wzroku: jigura stała, ale skórzanego płaszcza nie było. Gdyby jej rozczarowanie nie było zbyt wielkie, to może jeszcze mogłaby się rozplakać, ale teraz nie, uklękła tylko i zażądała, ażeby na miejscu zdarzył się następny cud. Odwracając się, zobaczyła skarbonkę na datki: tam były pieniądze na skórzany płaszcz, tam były pieniądze wspólnoty Świętych, „do której należał walerek”. Ondyna wzięła w rękę swój drewniany chodak i zaczęła walić w żelazną płytę, wmurowaną w ścianę, ale hałas był przy tym okropny i wybiła w ten sposób zaledwie niewielką szczerbę: wtedy poszła po obcęgi swego ojca i rozgięła skarbonkę. Zaniosiła z powrotem obcęgi i w ustępie przeliczyła pieniądze. Sama jedna poszła drogą z kapliczką do miasta, podążając wzdłuż długiego muru tkalni labor. Przy bramie stał pan gourmonprez liberyn, ondyna uznała, że on także wyglądał jak Pan, na jej policzkach wykwitł rumieniec, i skłoniwszy się głęboko ku ziemi i powiedziawszy „dzień dobry panu, Panie gourmonprez, liberynie z laboru”, pośpieszyła w swych drewniaczkach dalej,*



w kierunku miasta. Jeszcze nigdy tam nie była. Ogarnął ją strach, bo wszystko było tam takie wielkie, i ulice, i sklepy, i ludzie.

Pozdrowiwszy uniżenie księdza — dzień

dobry-proszę-księdza~z~miasta — spostrzegła, że on nie wie, jak jej na imię: a więc nie jest wszechwiedzący... a gdy tak kroczył i spod jego sutanny pokazał się obcas: miał dziurę w czarnej skarpetce!

Ślepy strach ondyny przed miastem z powodu jego ogromu stał się tak paniczny, że weszła do jakiegoś sklepu z jarzynami i zapytała w nim o skórzany płaszcz: gapiała się w idiotycznym otepieniu na pory i marchew, i słyszała śmiech. Rozplakała się. A kiedy w końcu zobaczyła sklep, w którym na sztucznym mężczyźnie wisiało coś w rodzaju płaszcza przeciwdeszczowego, bała się wręcz wejść do środka. Pokazała pieniądze, które były ciepłe od tak długiego trzymania ich w dłoni, i usłyszała, jak pani powiedziała, że to ledwie parę marnych centów. Mała Ondyna uciekła i poczuła bezbrzeżny smutek, nie, bezbrzeżną gorycz: kupiła więc na bazarze tylko lalkę. To, że na jej pieniądze patrzono podejrzliwie, zignorowała: gdyby kogoś zamordowała, to byłyby to te paniusie z miejskich sklepów. Obydwoma rękami ułożyła na ladzie piramidkę miedziaków, ale ku jej wielkiemu zdziwieniu... które przerodziło się w strach...

przesunięto jej ich trochę z powrotem: co ona ma teraz począć z tą resztą? Mocniej ścisnęła pod pachą pudełko z lalką i wracając opustoszałą drogą do ter-muren, wyrzuciła tę ostatnią odrobinę pieniędzy do rowu. Tam, za drzewami, była kapliczka i nie strzeżony przejazd kolejowy w ter-muren. W miarę tego, jak była coraz bliżej, zaczęło się jej wydawać, że coś tu jest nie tak: ter-muren jakby zmalowało. Jak głupio wyglądała ta czerwono-biała tablica z ukośnym krzyżem i napisem „uwaga...”, cha! cha!, na pociąg, który się wtedy przetaczał 2 razy dziennie. Przetaczał, a nie przemykał jak

błyskawica, hałasując poci niebiosą. I ta kapliczka i to pole z pochylonym nad grabiami chłopem: uśmieć się można. Popłakać się można, takie to małe.

W milczeniu wręczyła lalkę walerkowi, ten chwycił ją mocno i przycisnął do serca. Lalka miała takie same włosy koloru żyta jak ich kuzynka, walerek pomyślał, że to ona. Ondyna pokazała mu, że ta lalka umie zamykać oczy — patrz, lala — i walerek powtórzył po niej i wsadził palec w zamykające się oko: i wtedy już nie było oka, tylko czarna dziura. I nie zwracając uwagi na swą głupią matkę, która siedziała i gapiała się na nią nieruchomym wzrokiem, mała ondyna znów zaczęła przeklinać, schwyciła lalkę i rozbiła ją o ścianę. Zaklęła jeszcze głośniejsze, gdy zobaczyła leżące na ziemi szczątki, z wściekłości i z żalu, i z czegoś, co przypominało jej sen, w którym razem z walerkiem utonęli. Walerek płakał i krzyczał „lala, lala”. Jej głupia matka śmiała się, jakby miała czkawkę.

#### OGONEK PRZESTĘPSTWA

Nie, mała ondyna musiała myśleć o tym, żeby usunąć ślady włamania, ale zwlekała z tym, omijała kapliczkę i patrzyła na szare niebo nad miastem, na dymiące kominy za 1-szymi brudnymi domami. Chodziła także szukać pieniędzy, które wyrzuciła do rowu, ale nigdzie nie mogła ich już znaleźć. Wtedy zebrała w sobie całą odwagę i weszła do kaplicy w ter-muren... „może przyjdzie złodziej i rzeczywiście rozbije skarbonkę”, myślała... i w końcu weszła tam stara i ciemna kobieta z ter-muren, a mała ondyna, która już ze 100 razy wyobrażała sobie, jak to się odbędzie, zaczęła zanosić się od płaczu. Ale, i to było dziwne, z jej krokodylimi

*Izami mieszały się prawdziwe łzy: łzy z żalu, który nagle w niej wezbrał, że jest taka, jaka jest. Kobieta wybiegła z kaplicy i zaczęła dookoła rozpowiadać, że rozbito skarbonkę: całe szczęście, że nic złego nie zrobili tej małej ondynie vapeura, bo siedziała tam zaplakana obok. Mała ondyna nie rozumiała tego ostatniego, ale jednak wykorzystwała to: rozbili skarbonkę i coś mi zrobili... chociaż nie miała nawet zielonego pojęcia, co by jej można było zrobić... musiała potem udać się tu i tam i nawet do zamku pana derenancourt. Nie przerażało jej wcale to, że sprawa się komplikowała coraz bardziej, wręcz odwrotnie, bardzo była ciekawa, jak to się skończy, miała bzika na punkcie swej ważności, ponieważ na zamku mieli ją pytać o to i owo, a przede wszystkim pragnęła znów zobaczyć tych 2 chłopców z zamku: starszy, achilles, być może znów będzie grozić palcem. Zobaczyła go siedzącego nad stawem i natychmiast tam pobiegła, „to mój ukochany, mój ukochany”, myślała, a poza tym nie wiedziała, co powie albo zrobi. Dostała wypieków i była szczęśliwa, i jak przez mgłę uświadomiła sobie, że ktoś, jakaś młoda kobieta, ją woła. Następnie nadszedł pan derenancourt z zamku, we własnej osobie, i poprosił ją, żeby mu teraz wszystko opowiedziała. Ondyna znów powtórzyła to samo... płacząc, bo słyszała, jak wszyscy tu na zamku mówią w języku, którego ona nie rozumiała... i zdawało się jej teraz, że jest nieomal zadowolona, iż coś jej zrobili. Pan derenancourt popatrzył na nią w milczeniu, ondyna musiała udać się z nim do miasta, którego ulice i sklepy z trudnością rozpoznawała. Na policji pytali ją, jak ten człowiek wyglądał, czy był wysoki, czy niski. A ona odpowiedziała, że nie był ani wysoki, ani niski, ani chudy, ani gruby, ale że, jak jej się wydaje, miał na lewym policzku brodawkę, cha! cha!, tak jak jej matka... i ondyna dostarczyła najpiękniejszego opisu, jakiego można było*

sobie życzyć: wsadził on obcęgi w szparę i przekreślił... ale co z nią się stało... tego nie powiem, oświadczyła. A ponieważ dostrzegła, że jakiś chudy pan uśmiecha się kpiąco, to i ona uśmiechnęła się drwiąco; miała prawie 11 lat i wkrótce pójdzie do pierwszej komunii, natychmiast zaczęła przypuszczać, że musiało chodzić

O coś złego: o to, o czym ksiądz mówił na nauce, że małe dziewczynki nie mogą sobie zaglądać między nogi. Aż ją głowa od tego rozboleła i wracając do domu, zapomniała poszukać pieniędzy w rowie biegnącym wzdłuż drogi z kapliczką. Ale historia ta miała jeszcze swój ogonek: majster, którego przed kilku laty zwolniono z laboru za to, że powiedział, iż wszyscy bogacze to tacy sami dranie... i który, jak to się mówi, popadł w kłopoty materialne... odpowiadał rysopisowi dostarczonemu przez małą ondynę: nie był ani wysoki, ani gruby i miał niezupełnie brodawkę, ale jednak to czy owo na policzku: jakąś szramę... być może ta dziewczynka sądziła, że szrama to brodawka. Czy poznaje tego człowieka jako tego, który był w kaplicy, jeśli tak, to niech przysięgnie... Przysięgam, na boga... i musiała podnieść 2 palce. Rozniosło się wtedy jak błyskawica, że libertyni z tkalni labor rozbili kaplicę w ter-muren, zniszczyli figury, skradli pieniądze na ofiarę i zgwałcili małą dziewczynkę, która się tam modliła. Libertyni odpowiadali, że trzeba by zajrzeć do ustępów encyklikarzy, co się tam wyprawia z dziećmi. Mała ondyna słyszała piąte przez dziesiąte o tej walce, która toczyła się wysoko ponad jej głową; szła błotnistą drogą z kapliczką do domu i idąc wzdłuż rowu, zobaczyła nagle, że coś leży: były to jej pieniądze. Wydało się jej dziwne, że zawsze szukała ich dużo dalej...

I myśl, że można wierzyć, iż coś się wyrzuciło tutaj, podczas gdy w rzeczywistości jest to cały kawał dalej, otóż myśl tę uznała godną tego, by ją zapamiętać na całe życie.

## ZAGUBIONA DRAMATYCZNOŚĆ

Opowiedziałeś nam, mówi johan janssens, o *małej ondynie*, jak otworzyła skarbonkę w kapliczce, wydała pieniądze i resztę wyrzuciła do rowu przy drodze z kapliczką, opowiedziałeś również, że **na** podstawie **jej** oskarżenia zatrzymano za to kogoś innego... „kogoś, kto jej coś zrobił”, jak oświadczyła... i wreszcie po tym wszystkim... czy też po tym wszystkim, wreszcie... że odnalazła pieniądze w rowie, w zupełnie innym miejscu niż przypuszczała: i uznała to za coś takiego, co warto sobie na całe życie zapamiętać. Jakże drzę cały, gdy to w ten sposób rekapituluję: czy zatem człowiek jest zwierzęciem jeszcze bardziej wyrafinowanym i dzikszym niż zwierz w puszczy, że może zepchnąć kogoś kopniakiem do dołu, zmusiwszy go najpierw, żeby sam go wykopał, a później rozmyśla tylko o tym, w którym miejscu odnalazł trochę drobnych? Jakże ty jako pisarz, pozornie obojętny, musiałeś zatem **podwójnie** zadrzeć przy rozwijaniu takiego dramatu! **A** ty przerywasz johanowi janssensowi... choć on już właściwie skończył i to przerwanie jest tylko takim zwrotem pisarskim... mówiąc, fee może jako pisarz rzeczywiście doprowadziłeś ten dramat do punktu kulminacyjnego, ale jako fachman martwisz się i zastanawiasz, czy *zgodnie z prawami ludzkiej emocjonalności ondynka nie za dużo rozmyślała o zagadnieniu „zrobienia jej czegoś”*: w jakim ona właściwie jest wieku i w jakim wieku rozmyślałaby o tym, ale nie o tamtym...? **Ale** z kolei johan janssens przerywa ci pytając, czy **on** nie mówi o zupełnie czymś innym, o doprowadzonym do punktu kulminacyjnego dramacie? Cha! cha! i szerokim gestem sięga do swej wewnętrznej kieszeni i wyczarowuje z niej tygodnik... le jądro sztuki illustre... i gdy drogowskaz jego palca wskazującego prze

suwa się po kolumnach, mówi do ciebie: czy nie byłoby lepiej, żebyś się martwił tym, co tu piszą: choć autor ondynki z ter-muren posiada oryginalny talent, brakuje mu jednak dramatyczności i mówi po belgij-sku, przez co jego patos podobny jest do majaczenia w gorączce. I zwija tygodnik ze słowami: a zatem, podczas gdy każesz swojej bohaterce rozmyślać i podczas gdy ty sam rozmyślasz o tym, czy ona istotnie rozmyśla, stwierdza się nie tylko, że twój patos to majaki w gorączce, ale plus do tego również i to, że nie masz pojęcia o dramatyczności...

Ale -w tym konkretnym momencie otwierają się drzwi i wchodzi mossieu colson z miństerstwa — słyszy ostatnie słowo i zdziwiony pyta: dramatyczność, cóż to znowu za słowo?

*DUBO DUBON DUBONNET \**

Czy znów jest sobota i brzydka pogoda? i wiatr mówi hu-hu, i za piecem siedzą wszyscy twoi przyjaciele, którzy są twoimi bohaterami... czy też jest akurat odwrotnie...? i siorbią gorącą kawę, którą podaje twoja żona o pięknych, odsłoniętych ramionach: i wszyscy mają coś do powiedzenia o małżeństwie i o zaniku przez duże z, który jest oszukanym wyjściem ze zbyt ponadziemsko zorientowanego życia chrześcijańskiego, plus o 2 wojnach, plus o strachu przed nowym: od góry do dołu chłop pije i chodzi na kurwy, gdy baba ma dzieciaka z jakimś anglikiem albo kanadyjczykiem,

\* kwestia dubonneta jest powtórzona jeszcze gdzieś w „o lisie przecherze”; jest nadzieja, że nie będzie to czytelnikowi przeszkadzać... nawiasem mówiąc, jeśli nawet, to jego sprawa.

albo z duchem świętym i w cafe matisse... tam, koło 1-szych brudnych domów... pijana sra w majtki. I natychmiast robi się w twoim domu cicho i w tej ciszy słyszysz, jak przez radio niezmordowanie dalej śpiewają, bardzo głupio: je n'aime que vou-ou-OUS, No i wszyscy twoi bohaterowie wybuchają śmiechem... czyż jednak nie potwierdza to faktu, że każdy wie, iż obrazy świętych już od dawna są toczone przez korniki... ale że jednak każdy, czy to ze strachu, czy to z instynktu samozachowawczego, czy to z zasady niech-wszystko--żyje-jak-najdłużej, zamyka oczy i wciąż zapala przed nimi nowe świece? I mossieu colson z ministerstwa odkłada swoją teczkę i zwraca się... do twojej żony: nalej no mi jeszcze raz do pełna... i do ciebie: a to wyjaśnia, dlaczego nawet kościół uważa za potrzebne wtykać ulotki w okna: idź na mszę; 6 dni pracujesz na encyklicznego bosa, ale 7-my dzień ma być dla en-cyklicznego boga encyklicznego bosa. Lecz ludzie wiedzą, że dla nich nie ma ani 1 dnia, a chcą przecież mieć ten 1 dzień dla siebie, chcą mieć dla siebie cały tydzień, chcą robić jak najmniej i jak najwięcej za to dostawać. I następnego dnia jest już nowa ulotka: już czas!; jeden biegnie do pociągu, a drugi na mszę. A następnego dnia znów nowa: nie, niedzie, niedzielna msza jak dubo dubon dubonnet. A następnego dnia... no więc już nie ma żadnej ulotki i już nie trzeba lecieć na złamanie karku na mszę dubonneta: wybory już się odbyły i encykliczni bosowie siedzą w ministerstwie. I to byłoby wszystko, gdyby johan janssens nie dodał: powiadasz, że chcą jak najmniej robić i jak najwięcej zarobić, ale to też jest potrzebne, bo w przeciwnym razie będą jeść w południe tylko gotowane ziemniaki w łupinach... ale mec. pinak podchodzi do mnie i oświadcza, że trzeba koniecznie przeprowadzić zebranie u intelektualistów ultramarksistów i że on wypisał już 600 zaproszeń... a potem na tym zebraniu obecni byli:

mec. pinak, który miał przemawiać, i ja, johan janssens, który miałem przygotować sprawozdanie.

### *O PODWYŻKĘ PŁAC*

Podczas gdy nad naszym lasem jest wszystkich świętych i nad 1-szymi brudnymi domami miasta z 2 fabrykami jest wszystkich świętych, johan janssens stoi i patrzy, jak ty stoisz w ogródku za domem i wybierasz miejsce, żeby kiedyś później posadzić na nim wiśnię. I pytasz go, gdzie myśli posadzić to drzewko, a on odpowiada:

nie odpowiadam na to, pisarzu, bo myślę, że oddajesz się małym przyjemnościom życiowym, które są ratowaniem pozorów, odchyleniem, a więc, w rezultacie, wykołajaniem realnego sensu życia. I wystawia w powietrze proroczy palec, bo ty niewzruszony zeskrobujesz trochę ziemi ze swojego szpadla: wcześniej czy później powiesz o mnie, że ja, johan janssens, poeta i dziennikarz w gazecie codziennej, jestem defetystą, ale to nie jest prawdą, ja jedynie ignoruję piękne pozory rzeczy i podobnie jak ty zeskrobujesz ziemię ze swojego szpadla, tak ja wyskrobuję wielkie słowa... choć krzyczą gwałtu, gdy się to ostatnie wypowiada... i widzę sprawy trzeźwiej, takimi, jakie one są: mógłbyś powiedzieć, że w gazetach dają sztukę i literaturę, aby, jak to się mówi, wyemancypować prostego człowieka lub zbliżyć sztukę do ludzi... i w swoich najlepszych momentach też dajesz się tym zwieść... choć zdajesz sobie sprawę, że robi się to właściwie tylko dlatego, że inne pisma też tak robią licząc na to, że w ten sposób uda się złowić określony rodzaj ludzki; i obejrzyj teraz wszystkie te strony kulturalne, co czwartek,



redagowane przy współpracy poetów i pisarzy, johana janssensa, johana bramsa i johana darrieux, plus nieuniknionego dr k. k. kakkemana, to w tym coś jest: publikujemy materiały o kulturze, ale nie tak znów bardzo obchodzi nas to, czy prosty człowiek to i tamto... byłoby może lepiej, gdybyśmy trochę lepiej zarabiali i mogli trochę dłużej pomyśleć, i na następny tydzień znaleźlibyśmy zapewne znów coś innego, żeby wypełnić kolumnę. Jednak publiczność... och, ta publiczność, co to za słowo...? publiczność nigdy nie protestuje, ciągle przetyka i zawsze klaszcze w dłonie, tak że piękne pozory są uratowane po obu stronach. Ale spójrzmy teraz na drugą stronę medalu, och, dolo moja, czego np. chce dziennik, z którym jestem związany? wiedzieć, jak długo pracowałem nad artykułem i czy ich nie oszukałem ani na 5 minut: taka jest mentalność robotnika, który przez całe życie odbijał swoją kartę zegarową na bramie laboru, a teraz nieszczęśliwym zrzędzeniem losu został dyrektorem gazety: liczy się nie wartość duchowa, ale dniówka. Fangogh, fannostayen i picazzo na dniówce. I premier, i minister oświaty sztuki odbudowy i zaopatrzenia idą w jednym szeregu z redaktorem naczelnym, ale również z fangoghiem i johanem jans-sensem, wszyscy wspólnie z transparentem żądamy tego, żądamy tamtego, **ŻĄDAMY PODWYŻKI PŁAC...** i na placu pracy premier oświadcza, że nie może być podwyżki płac, i ci wszyscy, co szli za transparentem razem z fangoghiem i johanem janssenssem, klaszczą w dłonie. A tymczasem... tak, tymczasem pisarze nie siedzą przy biurkach pisząc zawzięcie, ale stoją w swoich ogródkach, wybierając miejsce, żeby posadzić wiśnię, to znaczy oddając się pięknym pozorom, to znaczy korzystając z małych przyjemności życiowych małego osobistego życia.

### *MEC. PIN AK PISZE LIST*

Krocząc tak ze spuszczoną głową w kierunku 1-szych brudnych domów miasta z 2 fabrykami, za szpetnymi domami bogaczy na króliczej górze, mossieu colson z miństerstwa zderza się z johanem janssenssem, który też idzie ze wzrokiem wbitym w ziemię. Bum. I z tego zderzenia powstaje może światło i johan janssens powiada: opowiedziałeś mi, mossieu colson z miństerstwa, o wątpiącym i zrozpaczonym... czy też o zgorzkniałym?... mec. pinaku, który odkrył, że tak zwany idealizm jest tylko po to, żeby kogoś szybciej wystrychnąć na dudka... otóż być może dlatego, że sam popadł w zgorzknienie, napisał on do mnie list, w związku z odrobiną nonsensu w jednym z moich felietonów w gazecie... o zgorzkniałości lisa przechery, i tłumaczy mi, co to jest zgorzkniałość: to choroba. I tłumaczy mi również, jak zmontować powieść: powinienesz właśnie przeczytać książkę jakiegoś francuskiego dr. o biologii i nowoczesną resztę... a potem z odrobiną fantazji, powiada... lub lepiej powiedziawszy, pisze... składasz do kupy powieść, pański bratersko oddany mec. pinak. A ja, mossieu colsonie z miństerstwa, nie byłbym żadnym poetą, gdyby moje uczucie nie skłoniło mnie do szukania czegoś zupełnie innego za tymi głupimi i wiele przemilczającymi słowami, i nie byłbym dziennikarzem z gazety codziennej, gdyby moja ciekawość nie kazała mi się śpieszyć, najszybciej jak umiem, żeby go odwiedzić i zapytać: dlaczego pisze pan, panie pinak, o zgorzkniałości, która jest chorobą, i powieści, która jest według pana nonsensem? Ale, och, mój boże, mossieu colsonie z miństerstwa, można słyszeć, jak człowiek daje upust swemu sercu w momencie, kiedy zmienia nastrój, podobnie jak wąż skórę, ale nie możesz już zerwać z niego tej skóry wtedy, kiedy on już **ją**

zmienił i znowu stwardniał jak kamień: daję mu swoją wizytówkę johan janssens poeta i dziennikarz w gazecie codziennej, a on nieomal wyrzuca mnie z domu: bo doszedł on do bóg wie jakiego wniosku, może do takiego, że on i nowe społeczeństwo nie mają ze sobą nic wspólnego, i ponieważ on nie ma z nim nic wspólnego, to od razu nie ma też nic wspólnego ze mną, ze zgorzkniałością i z powieścią też nie... i siedzi tam tymczasem za swoimi strasznie grubymi księgami prawniczymi, a ja pytam go prosto z mostu, dlaczego nie chce mieć nic więcej wspólnego z bractwem i nowym społeczeństwem, a on trzyma linijkę na ustach, jakby to był palec, i odpowiada: jesteś młody, słuchaj, rozglądaj się i wyciągaj wnioski. Jak mogę słuchać, rozglądać się i wyciągać wnioski, jeśli nikt nie chce mi nic powiedzieć, pytam... ale wchodzi jego najmilsza z najmilszych i wyrzuca mnie na ulicę... ale z ręką na kłamce mówię: przykro mi, Panie pinak... a on woła spoza zamkniętych drzwi: tak jest, właśnie Paaanie pinak, i nigdy więcej żaden bratersko oddany pinak, bo z tym już koniec.

I mossieu colson z miństerstwa spogląda na johana janssensa bardzo zasmucony: przychodzą wybawiciele z lewa i wybawiciele z prawa, i każdy taki mały mossieu colson, i mecenas pinak, i johan janssens zostają przez tych wybawicieli zdeptani.

### *UBRANKO DLA BIEDNYCH*

*I oto mała ondyna nagle przestała mieć czas na sprawy, które wypełniały jej dziecięce życie: miała właśnie pójść do uroczystej komunii. A ponieważ ksiądz z ter-muren oświadczył, że zna ona katechizm jak nikt*

*inny, stała się z miejsca świętą i wpatrywała się w niego swymi dużymi, szarymi oczami tak, jakby mogła mu to pokazać... ale on się tym jednak nie przejął, z całą pewnością było mu obojętne, czy była to ondyn-ka, czy ktoś inny: wkrótce nabije swoją fajkę i zapomni o niej... może dziś na obiad znów będzie do ziemniaków mięso i ksiądz myślał właśnie o tym. Ondyna czuła, że go przerostała: on był tylko księdzem, a ona świętą. Czuła w sobie rozedrgane ciepło, ale gdy myślała, że odczuwa je w sercu, to po chwili czuła je w czubku głowy albo jak jej opada po plecach... ale kiedy,, że tak powiem, wsłuchiwała się w swoje plecy, to czuła to w swoim brzuchu: było jej od tego tak jakoś miękko, grzesznie i szczęśliwie. Siedziała tak, jakby miała umrzeć w tym grzesznym szczęściu i nagle zastanowiło ją, czy również jej matka... która przez cały dzień siedziała tam umierając... odczuwała być może to samo: ale natychmiast odrzuciła tę myśl, nie chciała lub nie mogła uwierzyć, że to, co ona przeżywa, mogą przeżywać także inni.*

*Jej szkolne przyjaciółki liza i maria miały przystąpić do pierwszej komunii, a potem pójść do pracy w przedzalni filatura, tam są chłopcy, tam im się podoba... wyglądało to tak, jakby ksiądz chciał ich w zwartym szyku od balasek ołtarza przekazać prosto do przedzalni filatura. Nie było to nic takiego, tyle najwyżej, żeby wywołać u ondyny ironiczny uśmiech, taki scm, jaki pojawiał się na jej twarzy na widok dzieci, które miały zostać ubrane przez Kasę Ubogich... ubrane przez księdza dziekana, mówili ciemni ludzie z ter-muren... i tymczasem spogłodała na najbiedniejsze dzieci, które posadzono osobno w kącie, i które, gdy nadszedł „najpiękniejszy dzień ich życia” — dzień błogosławieństwa, tak cudownie słodki i wzniosły, jak powiedział ksiądz poeta domorośli — miały iść w bezkształtnych jutowych ubrankach, podarowanych im*

*przez duchowieństwo. Ubranie takie cuchnęło... zwisało z ich chudych ramion jak symbol ubóstwa. A najdziwniejszą rzeczą, jaką odkryła ondyna, było to: w libertyńskiej tkalni labor wyrabiano nie tylko mundury wojskowe, ale również pierwsze komunijne ubranka eńcyklicznego księdza dziekana, tak że one na swój sposób również były mundurami: mundurami biedoty. A ponieważ inni opowiadali jej, jakie to piękne nowe rzeczy dostaną z tej okazji, och... moje będą znacznie ładniejsze, bo my należymy do mieszczaństwa, odpowiadała ondyna. I właściwie w jej myślach trwało wcześniejsze złudzenie, że znacznie bardziej należy do ludzi z zamku w ter-muren... ale nie śmiała tego głośno wypowiedzieć, miała wrażenie, jakby to był sen kogoś Innego... i za każdym razem przeżywała wstrząs, gdy w jej myślach pojawiało się słowo „sen”... i całe jej ciało ogarniał niewypowiedziany ból. Czowała się tym zmęczona. No i popatrzcie, ni stąd, ni zowąd przysłała do nich guwernantka z zamku, przestąpiła ich wytarty próg i powiedziała: a teraz weźmiemy miarę na twoje ubranko. O, serce ondyny zaczęło walić jak szalone: a więc to nie był sen, to była prawda. Prawda: należała do ludzi z zamku. Uspokoila się pod wrażeniem tego. Najpierw była zmęczona, a teraz jest spokojna... tak że nikt nie zdołał zauważyć, jaką ona w tamtych dniach przeżywała wewnętrzną szarpaninę. A potem przyszło ubranko: było to... ubranko z Kasy Ubogich księdza dziekana... wzięto z niej jednak miarę i nie zwisało ono na niej jak mundur biedoty, ale niemniej zrobione było z tej samej szorstkiej nici jutowej... cuchnęło... było je czuć, gdy tylko skłoniła głowę bliżej ramion. Och, ta uroczysta komunია małej ondyny, ten najpiękniejszy dzień w jej życiu... dzień błogosławieństwa... i jej smutek, jej ubóstwo, nie zostały złagodzone tym faktem, że była pierwsza w naukach, że pierwsza podeszła do biskupa, który uderzył ją 2 pal*

*cami w policzek: zabolalo ją to: uderzył ją w jej krwawiące serce. Wróciła do swego krzesła, stąpając pustym przejściem przez środek kościoła i każdy, kto tylko chciał, mógł obejrzeć jej ubranko dla biednych.*

### **PRZECHERA CZY ISENGRINUS?**

Oto siedzisz z głową pochyloną nad białym papierem i tak jak zawsze przy pisaniu rozmyślasz o naszym jeszcze nie zatomowanym, ale jednak już rozszczepionym na 2 świecie... i w tym momencie raptownie otwierają się drzwi od ulicy, i znów się zamykają, i razem z tą odrobiną listopadowej wilgoci, przemijania i wszystkich świętych wpada do środka twój sobowtór, poeta i dziennikarz z gazety codziennej, johan janssens: jak ci leci i jak leci z tą twoją robotą? Och, mówi johan jansses, być może gdzieś w tym zafajdanym świecie ten czy inny idiota siedzi sobie i pisze Powieść, i choć wyżej wspomniany świat wybucha tuż za jego plecami, to on dalej pisze nie unosząc nawet głowy... Ten Jak--mu-tam, no, ten taki sławny, też go już na śmierć zapomniano, nie przerwał pisania, kiedy przy wyzwaniu miasta Niemcy odchodzili, obiecując wrócić z nową bronią, a Anglicy wjeżdżali na swoich czołgach pokrytych kwiatami, a na jego ulicy leżał martwy partyzant, a kopała pałacu sprawiedliwości paliła się wśród ruder biedaków jak pochodnia... ale ja tak nie potrafię, zaczynam powieść, ale kiedy słyszę, że nad onz śmigają latające talerze, to też muszę zmienić plan mojej powieści, i kiedy widzę, co dzieje się za plecami matki boskiej z fatimy, to wtedy zmieniam też zakończenie... to znaczy zakończenie mojej powieści. Kręcę się wtedy w kółko jak bąk i czuję, jak mi serce wali ponad miarę

i po raz kolejny postanawiam sobie ograniczyć palenie, jedyna rzecz, do której jestem zdolny, to przeróbka opowieści o lisie przechery... gdyby nie to, że moja przeróbka będzie leżeć na jednej kupie razem z innymi... i gdyby plus w dodatku nie to, że willem, który zrobił madoc i amok ze swoimi czasami, a także nivarthus, jeszcze wiedzieli, jak się sprawy mają i którzy są dobrzy, a którzy źli, kto bohater, a kto tchórz, kto nobel, a kto przechera... Ale dzisiaj już nawet tego nie wiesz: nie wiem nawet o sobie, kim i czym jestem... dzisiaj myśląc, że jestem przechery, który zrobił cały świat na szaro udając, że nie słyszy lub nie widzi tego, co się mówi za jego plecami... takim jednym, co jego praca jest niezrównoważona i poplątana i jakimś innym, który jest zbyt mizerabilistyczny, i jeszcze innym, który... en-fin, i człowiek uśmiecha się sarkastycznie. Ale następnego dnia myśląc, że jestem znacznie bardziej isengri-nusem, który wychodzi z walki okłamany, oszukany i okradziony, z poszarpaną skórą i z pustym brzuchem, jeśli mimo wszystko do tego dopuściłem... nawiasem mówiąc, całe szczęście, że nie jestem kobietą... i to jest moja odpowiedź na twoje pytanie „jak ci leci w pracy?"; skąd mogę wiedzieć, jak leci, jak mnie leci i jak leci z moją pracą?, jeśli nawet nie wiem, czy jestem lisem przechery, czy isengrinusem.

A johan janssens, poeta i dziennikarz z gazety codziennej, wychodzi i pozostawia cię sam na sam z pogodą i wiatrem listopada, smutku i wszystkich świętych... i z twoim zapisanym papierem, bo czy musisz wiedzieć, kim jesteś, oszustem czy oszukiwanym, żeby pisać dalej?

## *POLOWANIE SIĘ ZACZYNA*

Ja, johan janssens, będący być może dalekim odrostem willema willemsa, który zrobił madoc i amok ze swoimi czasami, muszę słuchać mojej żony, która opowiada, jak i w jaki sposób ona napisała powieść, bo trzeba wiedzieć, że najpiękniejsze książki są te, które każdego wieczoru mają inny początek i inny koniec... tak też jest z opowieścią o lisie przecherze i wilku isen-grinusie, którzy włączyli się od jednej dzwonnicy we flandrii do drugiej i po obsadzonych winną latoroślą ogrodach francji i wzdłuż brzegów renu, aby wywołać trochę ostrego słońca wokół splekanych ust i połamanych zębów prostego, oszukiwanego człowieka... I gdy prosty, oszukiwany człowiek... och, co ja wygaduję... podczas gdy jeden, willem willems, zaczyna od pięknego dnia zielonych świątek, to inny, johan janssens, zaczyna od dnia, kiedy to znów po raz któryś tam z kolei został ogłoszony pokój i kiedy przechera i isen-grinus, półślepi z głodu i półżywi ze zmęczenia, spotkali grafa i księcia biskupa, króla i cesarza, i papieża wszystkich tych dzikich zwierząt: kapitana jednookiego, którego cała mądrość zawierała się w jego pazurach. I żeby nie tracić słów nadaremno: jak zabierzemy się do najbliższej sprawy, którą zamierzasz potwierdzić swoją młodą sławę i z której ja zgarnę korzyść? zapytał jednooki, patrząc wciąż na przecherę. Moja młoda sława, pomyślał przechera, który dobrze wiedział, o co chodzi: złap i przynieś mi ją — jak było kiedyś, jest dzisiaj i będzie w przyszłości — i przechera przypomniał sobie

**O** krowie, która pasła się gdzieś na łące, i zaczął się zastanawiać, obgryzając przy tym paznokcie, jak tu wywieść w pole chłopca, który jej pilnuje. Ale dzięki bogu chłopca zasnął pod drzewem na łące przy strumieniu

1 przechera zakradł się na drzewo wystawiwszy tyłek



poprzez listowie — zawsze był z niego świntuch — aby tuż nad gębą chrapiącego chłopca zrobić coś, czego nie należy opisywać, ale co breughel jednak namalował czyniąc przykrość tym, którzy srajają tylko cukrem. Oj, chłop obudził się gwałtownie, starł z twarzy obrzydliwie pachnącą bryję i pochylił się zaraz nad stawem, żeby się myć i myć, aż przechera skoczył mu na kark i zepchnął go do wody, wciąż śpiewając requiem in pace ciemny chłopie amen. Ale dla kapitana jednookiego trwało to jednak za długo, tak że przechera musiał się usprawiedliwiać, iż obiecał swojej żonie wrócić wieczorem żywy do domu, a więc najpierw musiał utopić chłopca. E tam, nie kłóć się o tego chłopca, powiedział isengrinus, on jest martwy i daje nam przez to dobrą lekcję, że każdy dostaje to, co mu się w życiu należy: jemu staw, a nam tłusta krowa, johan janssens.

*RODZAJ, KTÓRYM ŚWIAT WCALE SIĘ NIE PRZEJMUJE*

*Tak jak ondyna sobie wyobrażała: „od balasek ołtarza do ustępów przedzalni filatura”, tak się też stało z innymi dziećmi... ale dla niej dni mijały w oczekiwaniu na to, co się wydarzy: chodziła do lizy i wypytywała ją, jak tam jest, w tej filaturze... ale liza nie miała wiele do powiedzenia: chodziła teraz do pracy, ale nadal była tą samą lizą ze szkoły dla srajdków: taką, która z otwartymi oczami idzie przez życie jak ślepa i coś ją spotyka, o czym ona już w następnej chwili zapomina. Mała ondyna wyczekiwała w napięciu... ale jej matka wciąż gapiała się przez okno — i czym ondyna była starsza, tym mniej matkę rozumiała: czy była ona tak prostoduszna, czy tylko leniwa, albo też beznadziej-*

|

*nie głupia? — a ojciec zrobił wieszak czy zreperował gdzieś drzwi, najspieszniej jak potrafił. Z nią jednak nic się nie działo: czy wiecznie będzie się wałęsać i nic nie robić? tak jakby nie należała do biednych, ale i nie do bogatych, lecz do tych, którymi świat zupełnie się nie przejmuje: do mieszczaństwa. Mieszczaństwa, które jadło ziemniaczaną papkę, było chętlive i cierpiało głód; wywoływało to w niej uczucie beznadziejności, pętała się wśród tych ścian, jakby to było więzienie... i myślała sobie również tak: moja matka jest głupia, i mój ojciec tak samo, a nasz walerek jest... anormalny... -a ja ... JA? Płakała, myślała: to dlatego, że ich dom był jak dom wariatów. Tak, miała takie głupie myśli, że po jakimś czasie już nawet samej siebie nie rozumiała i wszystko jej się plątało: był to cyklon jej myśli, w którym można było zginąć. Słyszała i widziała, i usiłowała coś zrozumieć; mało co rozumiała, spała za to bardzo dużo. I kiedy patrzyła na to, co się wokół niej dzieje, ziewała.*

*I to, że guwernantka z zamku w ter-muren nagle zjawiała się w ich domu, nie poruszyło jej, najprawdopodobniej chodziło o to, żeby jej znowu wyciąć jakiś brzydki figiel... żeby wziąć z niej miarę, a potem wpakować ją w jutowe ubranko... żeby wprowadzić na wysoką górę i zawrócić w głowie, wmówiwszy jej, że jest nie wiadomo kim, a potem strącić ją w dół i wystawić wszystkim na pokaz w regimencie księdza dziekana. Nie mogło to już jej sprawić więcej bólu, była zbyt otepiała po tych ciosach, które na nią do tej pory spadły. Guwernantka oznajmiła matce, że przyszła z zamku z pytaniem, czy mała ondyna będzie dalej chodzić do szkoły? Matka milczała, ojciec wyszedł z warsztatu mamrocząc pod nosem, że bóg wie, co się tam wyprawia... bo to łatwo powiedzieć: będziemy się troszczyć o tę małą ondynę... ale to jednak on będzie musiał sięgnąć do siuojej skarbonki i za wszystko zapłacić. I gdy*

*by mała ondyna nie była tak dziecinnie bezgranicznie przybita na duchu w 11 roku swego życia, rozzłościłaby się na swego ojca, który nie miał żadnego szacunku dla spraw wyższego rządu... który był do tego stopnia bezczelny, że odważył się powiedzieć prawdę: że to on będzie musiał płacić, a cóż on sobie innego myślał? A więc postanowione, powiedziała guwernantka... ondyna skinęła głową... wiedziała, że to tylko guwernantka, posłaniec, dziewczyna, która ma nauczyć 2 chłopców z zamku dobrych manier; jej, ondyny, nie trzeba było uczyć dobrych manier, ona je sama z siebie znała. Panienska powiedziała, że w takim razie jutro rano o godzinie 8 ondyna ma być w szkole madame berthe, wiesz, gdzie to jest? znajde, odpowiedziała ondyna... I poszła tam w swojej jutowej sukieneczynie, myśląc wciąż: „niech no się jeszcze pośmieją”.*

#### **KAŻDEMU SWOJE**

Jeśli każdy ma swoje, to wtedy diabeł nie ma nic, brzmi mądrość, którą bezzębna i zgięta wpół jak embrion staruszka zdobyła i zapamiętała ileś set lat później po lisie przecherze — kto był diabłem, zapomniała, a kto lisem przecherà, nigdy nie wiedziała — ale samo przysłowie odłożyła za swoimi zgasłymi oczami, tak jak tylko potrafi wszystko odkładać stara i wracająca do postaci embriona kobieta, od zardzewiałych agrafek do wiecznej mądrości. Owa myśl dlabeł-nie-ma-nic tłukła się też po chytrej łepetynie przechery i chciwym łbie isengrinusa, i po skamieniałej w swej wszechmocy władczej głowie nobla jednookiego, wszystkich 3 stojących na skraju łąki utopionego chłopca, taksujących zdobycz. Dziel i czyń tak, by zapanowało prawo i rów

ność, rzeki jednooki... na co isengrinus pośpiesznie przebiegł wzrokiem znawcy po byku, krowie i cielęciu\* oświadczając, że robi to z podwójnego powodu: owóż powód najważniejszy jest taki, że pragnie być powolny jednookiemu, a dodatkowy mały powód to to, że on sam nie bardzo jest głodny... i podzielił łup na 3 równe części, z czego byk i krowa przypadły jednookiemu, 2-ga część — cielę, miała być przeznaczona jemu, a 3-cia część, czyli nic, lisowi przecherze... lecz jednooki potrząsnął głową z powodu tak wielce oburzającego nie-rozsądku i dał isengrinusowi po głupim, żarłocznym łbie, z-którego zwisały płaty skóry. Ty podziel, powiedział wszechmocny... i lis położył 3 części jedną na drugiej mówiąc, że byk jest dla jednookiego, ładna i tłusta jałówka dla jednookiej, a delikatne jagniątko dla jednookomłodego... a co do nich, tępych kmiotów, przechery i isengrinusa, to pójdą szukać sobie żeru gdzie indziej. Odkryłem w tym nagle twoje poczucie prawdziwej równości, wolności i braterstwa w Chrystusie i demokracji, najlepszy lisie przechero, powiedział jednooki. Lecz lis natychmiast odrzekł, że on również dopiero co odkrył w sobie to poczucie: muszę tylko patrzeć na purpurową koronę, która wynosi isengrinusa do godności kardynalskiej, i na dekorację na jego oku, która czyni go podobnym do jubilata obchodzącego 25 lat swego poddaństwa fabryce filatura... otrzymującego wtedy blaszany zegarek, aby sobie przypominał, że nie wolno mu się spóźnić do roboty ani na pół minuty i że każde tik-tak jest kawałkiem złota wpadającym do sejfu pana derenancourt... ale może lis przemilczał to ostatnie, bo jednooki raczył się lekko uśmiechnąć — i isengrinus uśmiechnął się z uprzejmości wraz z nim,

\* w poprzednim opowiadaniu o lisie przecherze była mowa, **jak** wiesz, tylko o krowie, jest oczywiście możliwe, że w tym opowiadaniu krowa przepoczwarzyła się w byka, jałówkę lub **cielę**. j.j.

choć jego rany były bolesne — i jednooki powiedział:  
idź w pokoju, a jeśli znajdziesz coś, co może ci się przydać, weź to, ale uważaj, żeby ci nie wytoczono procesu i nie doprowadzono przed moje oblicze. Po czym odszedł, godny i obarczony łupem, odprowadzany spojrzeniami lisa i isengrinusa, którzy nadal byli pół-ślepi z głodu i półżywi ze zmęczenia. Zabijemy go i podpalimy jego dom, podżegał lis isengrinusa... ale zabić go nie zabili, bo pomiędzy marzeniem a czynem stoją ustawy i praktyczne opory, argumenty, a także zniechęcenie, którego nikt nie potrafi wytłumaczyć... a równocześnie jeden drugiemu nie dowierzał, co zwykle prostych ludzi od siebie oddala.

### *JEZUS Z TER-MUREN MÓWI PO FRANCUSKU*

*Nie, uraza ondyny nie była tak loielka... bo znowu miała myśl poboczną: że droga pomiędzy dwiema skrajnościami, pomiędzy ter-muren i miastem... która wcześniej wydawała się nie mieć końca... teraz wynosiła zaledwie 10 minut piechotą. Myśl ta była co prawda słuszna, ale wyglądało na to, że ondyna zawsze i wszędzie gubiła motyw przewodni, aby zawsze być pochłoniętą drobiazgami. A to, że madame berthe prowadziła szkołę w pokoju na piętrze, że było ich tam 12 dziewczynek, wszystkie z mieszczańskich rodzin, to nie miało żadnego znaczenia... najmniejszego wpływu na jej życie nie miało to, że gdy madame berthe wyszorowała schody, dziewczynki musiały wspinać się na górę na kolanach... tak że jedna z nich, pełznąc w górę, puściła bąka: inne się roześmiały, ondyna też... ale nie z powodu bąka, o nie, skądże, z takiego głupstwa nie potrafiła się śmiać. Ale z tego, że znów było tak, jak*

*to zawsze w życiu bywa: kiedy się tak wspinały na górę i robiły im się od tego dziury w pończochach, można było się z tego uśmieć i można było się popłakać, wszystko naraz. Uśmieć się i popłakać dlatego, że właśnie ona została ukarana i musiała siedzieć w szafie na ubranie... a ponieważ była nowa, to o niej zapomniano... i że zasnęła tam i nie poszła do domu... i że jej ojciec vapeur zaczął się niepokoić i może myślał, że złapały ją diabły na drodze z kapliczką... i że zaczął jej szukać w ciemności i przyszedł do miasta z 2 fabrykami spytać o nią madame berthe... i znaleziono ją w szafie, i że madame berthe po stokroć ich przepraszała, a rapeur odpowiedział, że to drobiazg, i zaczął nudzić o swoim wynalazku perpetuum mobile, aż madame berthe prawie zasypiała i wypchnęła go na dwór... a on z nosem przed zamkniętymi drzwiami gadał jeszcze i gadał... i że przyszli do domu, a ten okruszek jej brata, walerek, oparzył sobie tymczasem stopy przy piecu i z płaczem zasnął; wszystko to było tak śmiesznie małe, w jej życiu nie było nic, po co warto by było skłonić się tak nisko, żeby warkoczykami zamieść podłogę. Jedynie to, że uczyła się tam francuskiego, dziwiło ją, jakby odkryła nowy ład, jakby dostała do rąk klucz nie od ubogiej kapliczki, ale od cudownego świata panów: o niczym więcej nie rozmawiała ze swoimi mieszczańskimi przyjaciółkami, monique i marie-therese... ha, w ter-muren nosiło się takie imiona jak liza lub maria albo gerda... choć prawdę mówiąc wszystko pozostawało takie same: madame berthe też powiedziała, że nie wolno zaglądać między nogi, tyle że po francusku, i że bóg nas widzi, ale po francusku, i że pan derenancourt jest doradcą króla... wszystko po francusku. Ondyna powtarzała to głośno na mszy: i choć słyszano, że panowie też tak mówią, to ludzie z ter-muren śmiali się z niej... bo panowie mieli prawo chodzić po fabryce i patrzeć na robotnika,*

*i mówić mu w oczy takie rzeczy, których ten nie rozumiał... rzeczy, które mogły nawet oznaczać śmierć: że jest chorowity i zbyt powolny, i że zostanie zwolniony... ale przecież to nie było dozwolone małej ondy-nie vapeura, żegnającej się znakiem krzyża w tym języku: ha, to całkiem tak, jakby Jezus Chrystus z ter--murn umiał paplać po francusku!*

### *JESTEM LEPSZA NIŻ INNI*

*I to, że ondyna żegnała się po francusku, było początkiem okresu, w którym żyła święciej niż kiedykolwiek... to była nowa religia, w której punktem centralnym był już nie bóg siostrzyczek zakonnych, ale jej bóg: dieu. Nie mogła znieść, że ktoś był świętszy od niej: chuda kobieta z ter-murn, wysuszona od odmawiania litanii i pielgrzymowania za wszystkich i za każdego, o ile wchodziła w grę niewielka opłata — kilka miedziaków... nie ma nawet o czym mówić... mieszkająca w chatynce utrwalonej na płótnie przez jakiegoś malarza, bo taka była ładna z zapadającymi się oknami i słonecznikami przy płocie, można jedynie żałować, że widać było kominy przędzalni filatura... które dlatego też nie zostały namalowane... a więc chudej kobiety, która co drugi dzień miała atak i opowiadała, że sam pan bóg się jej objawił, mała ondyna tak nienawidziła, że mogłaby ją zamordować: o zmierzchu skradała się zawsze wokół tego domku, żeby jej kiedyś dokuczyć, może ściąwszy te słoneczniki albo nasrawszy na jej próg. Albo nie, zrobiwszy jeszcze coś gorszego. A równocześnie nie mogła ścierpieć, że jej ojciec vapeur, gdy uderzył się w palec, mówił, niech to cholera weźmie... lub że jej matka zulma, która już*

*niezbyt dobrze odróżniała, co jest dobre, a co złe, wychodziła do ogródka i zadartszy spódnicę sikała: ondyna rozdymała wtedy te codzienne drobiazgi do niebywałych rozmiarów, aby tylko mieć to przyjemne uczucie, że każdy jest zły, a ona nie.*

*I nie tylko każdy był w jej oczach zły, ale równocześnie wszystko w jej wyobrażeniu zaczęło bardzo maleć: zaczęło się od drogi z kapliczką, a teraz przyszła kolej na zamek pana derenancourt... wyobrażała go sobie poprzednio jak twierdzę, z nie kończącymi się salami, a gdy teraz, przechodząc obok, patrzyła na niego, to ledwie zasługiwał na nazwę zamku: willa, tak, to słowo bardziej tu pasowało. I to, że przistkowie z tu i ówdzie rosnącym pomiędzy wybujalnymi chaszczami drzewem nazywano „lasem"... i że do diabłów dołączyła się nowa, siejąca przerażenie postać wysokiej kobiety, wywoływało u ondyny ironiczny śmiech. Tam gdzie kończył się mur laboru, ciągnął się wzdłuż rowu kawałek łąki, stała fabryczka obuwia, cukierenka, ale... i to już było miasto: cha, tak, oto i ono: o wiele za małe prowincjonalne miasteczko, z niby-radą miejską i niby-ra-dą gminną i zawsze-i-na-wieki-wieków-amen encyklicz-nym burmistrzem. Na zewnątrz nic nie było widać, fabryczne kominy libertyńskiej tkalni labor i encyklicz-nej przedzalni filatura wciąż żygały swym dymem ponad miasto i policja nadal krążyła po ulicach w wypłowiałych i wymiętych mundurach, aby chronić pieniądze i majątek pana derenancourt z filatury i pana gourmonprez z laboru: mała ondyna to i owo z tego dostrzegła... ale oczywiście nie wszystko rozumiała, pozostawała przy swoich myślach: ja jestem najlepsza, a świat nie jest większy, niż jest.*



## *TRUDNO TO KONTROLOWAĆ*

Jest niedzielny wieczór i twoi przyjaciele-twoi-bo-haterowie siedzą za piecem i kantyczny nauczyciel sięga do kieszeni... ale jego ręka wraca stamtąd pusta... i nauczyciel odzywa się: chciałem zapytać, czy nie kupilibyśmy do spółki jakiejś butelki, ale myślę o tym, że jutro muszę kupić jedną książkę i albo jedno, albo drugie, albo butelka, albo książka... do licha, niech już będzie butelka. I kiedy piękna żona lucette i twoja żona idą razem po butelkę do sklepiku, w którym butelki sprzedaje kobieta o twarzy spranej... jak niebieski fartuch, za długo noszony i za często prany, żeby zawsze był czysty... to johan janssens próbuje... nie byłby inaczej dziennikarzem z gazety codziennej... dokonać przeglądu sytuacji: ty, kantyczny nauczycielu, niewiele zarabiasz tym belfrowaniem, akurat tak samo jak nasz pisarz zarabia tyle co kot napłakał swoim pisaniem, akurat tak samo jak ja niewiele zarabiam dostarczaniem do gazety spostrzeżeń johana janssensa: te istoty, które wciąż jeszcze myślą, roztrząsają i rozważają, podejmują niezależne decyzje, łamią ten układ społeczny i próbują zbudować świat na nowo, są pozostawione przez państwo i społeczeństwo swojemu losowi. Ale istoty, które już więcej nie myślą i pogodziły się z tym, są traktowane jak krewni maszyny, noszący etykiety i seryjnie powielający utarte wzory, to znaczy, będący małym kółeczkiem, śrubką, nakrętką albo sprężynką w zdrażającej ku przepaści maszynie, ci są traktowani jako coś pożytecznego, co musi być plus minus przyzwoicie wynagradzane. I teraz są 2 sposoby, żeby temu zaradzić, jeden dobry i jeden zły... oto dobry: dostrzec, że ci, którzy usiłują tę maszynę powstrzymać, też są dla niej pożyteczni, więc też powinni być przyzwoicie wyna

gradzani... zły: współczuć myślicielom, tym, co roztrząsają i rozważają, i powiedzieć, że ich też należy włączyć, tzn. z nich też zrobić nakrętkę albo śrubkę, albo sprężynkę, żeby ich dopiero wtedy plus minus przyzwoicie wynagradzać. Bo popatrz tylko, jak np. redaktor naczelny rani moją duszę kontrolując moje rozmyślenia według ich długości i każąc mi cały dzień siedzieć w redakcji, żebym oprócz tego, co już robię, jeszcze służył innym: chce się mierzyć wartości duchowe z zegarkiem w ręku, to znaczy wiedzieć, jak długo piszesz opowiadanie, równocześnie nie będąc w stanie zrozumieć tego, że swoje najpiękniejsze opowiadanie napisałeś w ciągu 2 minut, a nad innym równie pięknym pracowałeś 2 tygodnie: jako kandydat nauczyciel powinieneś stworzyć swoim uczniom możliwość wymyślenia nowej teorii względności, mógłbyś tak jak johan janssens zaklinać ten na 2 rozszczepiający się świat i mógłbyś jako pisarz napisać w swoim gabinecie w ciągu 10 dni książkę, która byłaby czytana przez 100 lat... ci, którzy razem z tą maszyną podążają ku przepaści i dostają za to plus minus wygórowane wynagrodzenie, wyciągają swoje chronometry i stwierdzają: to, co ty tam robisz, trudno jest skontrolować.

*KAŻDY CI TO POWIE ZE PAN BRYS NIE MA DOBRZE W GŁOWIE*  
*Tak więc dla ondyny świat nie był większy, niż byt... jednak był wystarczająco duży, żeby się po nim po lekcjach wałęsać... nie po to, żeby wszystko zobaczyć i zrozumieć, ale żeby samą siebie pozwolić oglądać, żeby innym pokazać, iż należą do mieszczaństwa, i że rozumieją francuski sklepowych szyldów; najgorsza była*

*monique: namówiła ondynę na to, żeby czekała z nią przed bramą szkoły dla chłopców na jej ukochanego... miał on 14 lat i monique powiedziała mu, że powinien zostać lekarzem, by badać jej ciało. Ondyna była ciekawa go zobaczyć, ale nie spodobał się jej, miał sterujące szczeciniaste włosy, był nieśmiały i potrafił tylko krzyczeć do drugiego, równie wielkiego durnia jak on sam, który też szedł ze swoją ukochaną, i wymachiwać swoim tornistrem, żeby je nastraszyć. O, ondynka należała co prawda do mieszczaństwa, ale nie kochała mieszczańskich uczniów w wieku 14 lat, kochała innego, najstarszego chłopca z zamku w ter-muren... jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż, to tylko za niego... i powiedziała: ja mam innego ukochanego, co wieczór przechodzę obok zamkowego parku, a on tam na mnie czeka. A gdy monique zapytała: och, a co on ci robi...?, to ondyna odpowiedziała: tego nie powiem. Nie, tego nie powie, obnosiła się w sobie z takimi kłamstwami jak z czymś, co się rzeczywiście i naprawdę zdarzyło.*

*Ale porą, w której najczęściej wprawiały w oszołomienie handlowe ulice miasta swoim francuskim i mieszczańskim wychowaniem, była godzina, kiedy urzędnicy wracali z obiadu do swych biur... monique przedstawiła małą ondynę swojemu wujowi, panu brysowi, księgowemu w przędzalni filatura... był to człowieczek niepozorny, noszący pince-nez, ale bardzo dowcipny i mówiący wierszykami: dzień dobry monique, ach, cóż ja widzę za szyk. Powiedział też coś żartobliwego o ondynie, z czego się obydwie uśmieły, ale co do czego żałowały, że nie był to wierszyk francuski. On co prawda też znał ten język, bo był bardzo wykształcony, ale żaden chwalipięta, a ponieważ już od lat był żonaty, lecz nie miał dzieci, to lubił wszystkie dzieci, a także wszystkich upośledzonych... ale w sposób platoniczny, jak pan jesus... błogostawieni ubodzy duchem... ale nie czyniąc wiele, co mogłoby pomóc w po*

*zbyciu się biedy z tego świata. Chociaż... nie, jesteśmy niesprawiedliwi, bo pragnął on założyć szkołę wieczorową dla robotników z przędzalni filatura, którzy nie potrafili nawet się podpisać, tylko zamAast nazwiska stawiali krzyżyki. I patrzcie, ulicą nową, pełną sklepów, przeszedł robotnik z przędzalni w drewniakach, wołając: dzień dobry, panie brys... a pan brys odkrzykuje, bardzo głośno: hej, józef, dzień dobry, nie przyjdiesz do szkoły wieczorowej? O, możecie sobie wyobrazić, jak monique i ondyna wyglądały ze swoim mieszczańskim wychowaniem... monique powiedziała: nigdy więcej nie pójdę na ulicę nową, bo teraz wiem, że mój wuj krzyczy głośno do ludzi z fabryki człapiących w tych drewnianych sobotach... a ondyna odrzekła: twój wuj mówi wierszem, ale ja też i każdy ci to powie: że pan brys nie ma dobrze w głowie.*

#### *MIESZCZAŃSKIE PRZEPISY KUCHENNE*

*W ten sposób historia z panem brysem była dla on-dynki skończona; monique przyszła następnego dnia do szkoły z wiadomością, że rzeczywiście powinny unikać ulicy nowej w tych godzinach, kiedy przechodzi tamtędy pan brys, żeby udawać pana boga dla ubogich, należysz do mieszczaństwa czy nie; a równocześnie przyszła z czymś, co się przypina do bluzki, co błyszczy i jest bardzo szykowne: z klejnotem. Ale następnego dnia maria-teresa miała inną rzecz do przypinania na bluzce, ale jeszcze ładniejszą, jeszcze cenniejszy klejnot. A mała ondyna? No tak, ładnie teraz wyglądała, ona, co również należała do mieszczaństwa, a jednak nie miała klejnotu: wyglądało na to, że mieszczańskie matki mają zamiar nawzajem się zrujnować, a ondyna*

była pozostawiona samej sobie; miała do wyboru albo dać się przelicytować, albo, tak jak to już raz zrobiła, dobrać się obcęgami do skarbonki kaplicy w ter-muren: coś, czego nie robi, bo jest za cwana na to, żeby 2 razy wyciąć ten sam numer. Wdrapała się na krzesło i szukała pieniędzy swego ojca vapeura, leżących na szafie; na sobotnim jarmarku kupiła sobie w kramie ze świecidełkami metalową broszkę... za 25 centymów mogła grzebać w trocinach i coś sobie wygrzebać... monique i maria-teresa o mało nie pękły ze śmiechu: o, to są jarmarczne klejnoty! To nieprawda, wykrzyknęła ondyna, która była wstrząśnięta tym, że tak szybko umiano odkryć prawdę... i zaklęła... sama nawet, psiakrew, nie wiedziała, kiedy jej się wyrwało to przekleństwo. Rozumie oczywiście, że nie było to mieszczańskie i w ten sposób koniec i amen z tym, żeby ramię w ramię z innymi chodzić po handlowych ulicach. I żeby się zemścić na tych zasranych paniusiach, kupiła za całe zwędzone ojcu pieniądze puderniczkę i etui z kieszonkowym lusterkiem i grzebykiem, i torebkę, ale na nią nie starczyło jej już pieniędzy i znów musiała coś świsnąć: miała wrażenie, że trupem padnie z zazdrości i żalu, jeśli nie będzie mogła sobie na to wszystko pozwolić. Ale najtrudniejsze było jednak niezauważalne przeszmugłowanie tego do domu i ukrycie na strychu w pudełku, za skrzynką z zardzewiałymi zamkami i kluczami: gdy chciała się ustroić swoimi skarbami, przeciągała skrzynkę ze starym żelastwem na klapę zamykającą wejście i przechadzała się po strychu jak dama.

Po francuskim gotowanie było jednak najważniejszą i najbardziej mieszczańską umiejętnością, poznawaną u madame berthe. Ondyna miała specjalny zeszyt do przepisów, a w nich była mowa o kalafiorze w sosie jajecznym, o sałacie i poziomkach i daniach z lodem, o rzeczach, których musiała szukać w słowniku, i o któ

*rych... w żadnym sklepie w tym mieście z 2 fabrykami... nigdy nie słyszano. Wracała z tymi przepisami do domu, ale nigdzie w ter-muren nie mogła znaleźć karczochów... albo brakowało znów czegoś innego: icziąc tyżeczkę od herbaty maki kukurydzianej... a oni nie mieli tyżeczki od herbaty albo nikt nie miał pojęcia, co to takiego mąka kukurydziana. Warzyła więc to czy owo, co było do tamtego jakoś podobne, ale nie miała żadnego smaku, albo nie było żadnym jedzeniem dla jej ojca, który w najdalszym zakątku ter-muren pomagał jakiemuś chłopu budować oborę z półokrągłaków.*

I na tym opowiadanie „mieszczkańskie przepisy” kończy się... ale wydaje się, jakby czegoś tutaj brakowało: właściwie trzeba by to było napisać zupełnie inaczej albo większy nacisk położyć na niezrozumiałą skłonność do ratowania pozorów wbrew zdrowemu rozsądkowi... Ale gdyby położono na to większy nacisk, należałoby również zmienić tytuł... np.: proletariat mieszczaństwa... to by jeszcze było warte zachodu.

#### *POJAWIA SIĘ PAPIERTUBA*

*O, jak w ter-muren, dziś trochę słońca, a jutro trochę deszczu i wiatru, tak samo działo się w duszy małej ondyny: choć była tuka młoda, zamykała się w sobie, miewała różne napady i kaprysy, zaczynała się zżymać i płakać z byle powodu: coś w jej ciele zaczęło dojrzewać, ale nie wiedziała co. W środku nocy słyszała nagle, jak dziewczynki-ze-szkoły mówiły takie rzeczy, które były dla niej szokiem... słowa, które coś rozdzierały, coś rozrywały. A mimo to widziała równocześnie inne sceny, wiosenne obłoki, gładkie pnie owocowych drzew i tak ogromne naręcza kwitnącego janowca, że aż ta wielka żółtość napawała ją strachem... a równocześnie*

myślała o deszczach, które siąpiły nieprzerwanie szaro i beznadziejnie... jeden przeplatał się z drugim... i aż dziw, że w tym rozdarciu, w tym ciągłym następowaniu po sobie to słońca, to deszczu, życia i śmierci, kwiatów, które rozwijają się z pąków, i gałęzi, które wszak znów usychają... w tym zawierał się jej bezimienny smutek. A równocześnie pewien rodzaj nieokielznania: śniła o tym, że wisi uczepiona grzywy rozszalałego konia, który kopytami wzbija grudy błota na drodze z kapliczką aż pod niebo... i podkowami tłucze bawia,ca się dzieci na miazgę, i co z tego?; wisiała uczepiona grzywy i podrzucana gwałtownie, z szeroko rozwartymi kolanami i zwisającymi włosami, miotła się w rozkoszy., A kiedy się budziła, nie było już^ więcej snu, lecz coś, co przeżyła już kiedyś dawno, dawno temu, ale co zapomniała; było to odkrycie, do którego sama przed sobą nie śmiała się przyznać... że istnieje jeszcze inne życie, dziksze, bardziej nieposkromione, i że nie można tego wyrazić w 2 słowach... a jeśli można, to ona nie śmiała zacząć i jak dewotka zaczynała się modlić. Poruszał ją coraz bardziej widok ludzi, którzy się wyżywali, którzy robili to, co ona sama chętnie by zrobiła... chociaż w sobie, w środku, krzyczała, że to nieprawda i widok tych, którzy, żeby użyć słów z jej snu, wieszali się na grzywie konia i mówili: niech biegnie, cholera, dokąd chce. Robiło się jej wtedy zimno... robiło jej się piekielnie gorąco... i coś na piersi tak strasznie ją bolało, że 2 dni chorowała; widok papiertuby, który za gospodą przy przejeździe sikał na ulicę, odwrócony plecami do żywopłotu, przyprawiał ją o tak straszne mdłości, że nie potrafiła nawet spojrzeć na jedzenie... nigdy więcej, nigdy więcej nie spojrzy na jedzenie. I rzeczywiście, gdy jej ojciec vaporeur przygotował dla niej trochę papki na piwie, cuchnęła ona papiertubą zwróconym plecami do gospody, ustępami przedzalni filatura, choć ondyna nigdy tam nie była... z oczu kapaty łzy, łyżka opadła.

*jej bezsilnie; już nigdy niczego nie przełkną, pomyślała. Ale następnego dnia była fasola ze słoniną i ondyna zjadła tak, że się potem ruszyć nie mogła.*

### **PUSTKA SZCZERZY SIĘ DO CIEBIE**

*No i popatrz, jak to jest: piszesz powieść ze 100 żywotów, w której ondynka z ter-muren uzyskuje swą postać:, kantyczny nauczyciel szacuje jej duszę, a malarka, która wprowadziła się do ter-muren w zeszłym tygodniu, tippetotje, szacuje jej ciało, a mossieu colson z miństerstwa szacuje stan jej ducha... powtarzając przy tym, że nie powinna zanadto dokazywać, teraz, kiedy wchodzi w Te lata... johan janssens, poeta i dziennikarz w gazecie codziennej, szacuje resztę, która obejmuje wszystko i jeszcze coś: pracujesz budujesz rozmyślasz żyjesz: lecz nagle, jak to możliwe, wszyscy twoi bohaterowie się wycofują... och nie, oni kurczą się i marszczą, znikają w Nicości, a ty, który zostajesz sam, widzisz tylko pustkę szczerzącą się do ciebie. Jeździłeś codziennie pociągami z mossieu colsonem z miństerstwa do brukseli i z powrotem, z johanem janssenssem pracowałeś w gazecie codziennej, z kantycznym nauczycielem przeczytałeś i opacznie zrozumiałeś wiele książek: i w 4 stronach świata dopytywałeś się, kiedy wreszcie będziesz miał 1/2 godzinki wolnego i będziesz sam... i przychodzi te 1/2 godzinki, kiedy twoja robota nie jest taka pilna i jesteś sam, ale widzisz tylko pustkę, która się do ciebie szczerzy. *Bo nie warto więcej pracować nad historią tego małego utrapieńca ondyny, a jest tego za wiele, żeby położyć się na trawie i patrzeć na sunące po niebie obłoki: bo już od tamtej wojny oglądasz ciągnące po niebie obłoki, a tymczasem na**



deszła już nowa wojna, a tymczasem mówi się o nowszej i jeszcze nowszej, a obłoki nadal spokojnie płyną sobie po niebie: i ogarnia cię obawa, że nagle wszystkie przepłyną... i że będziesz leżeć na trawie i będziesz sam, i tylko pustka będzie się do ciebie szczyrzyć. I gdy tak rozmyślasz, przychodzi ci do głowy pomysł, który mógłby stać się pięknym wierszem, opowiadaniem, obrazem: wysoki do nieba mur... nie, mur jeszcze dużo bardziej nieskończenie wyższy niż ten mur do nieba... i te obłoki, które nadpływają i czują, że im odcięto drogę, i czekają cierpliwie ze swoimi tępymi i nic nie mającymi do powiedzenia obłokowymi duszami... ale kiedy ty piszesz tytuł „wszechświat wystrychnięty na dudka”, coś bardzo głęboko w tobie pyta, dlaczego to zńów musi znaleźć się na papierze i czy nie dajesz się zwodzić... złudzeniu, gdy myślisz, że masz określony Obowiązek... wobec nadchodzących pokoleń... nie dać zagać ani jednej myśli: bo widzisz książki i pisarzy przemijających jak obłoki i widzisz nadchodzące wciąż nowe książki i nowych pisarzy, nadchodzących, tak jak zawsze nadchodzą nowe obłoki: i patrzysz na swoją gazetę z tytułem „wszechświat wystrychnięty na dudka”... i jesteś sam i widzisz tylko pustkę, która się do ciebie szczyrzy:

I śpieszysz się pośpiesznie do swego małego ogródka i kopiesz dziurę i wsadzasz do niej 5 suchych badyli, które latem zaczną żyć i kwitnąć i wydadzą fangho-gowską żółtość: i przytupujesz ziemię, i wypełniasz pustkę dziury, i myślisz: a w lecie zobaczymy!

## KONIEC KULTU SŁONECZNIKA

Gdy tak siedzisz w kucki w swoim ogródku, wpada nagle tippetotje, malarka *nie strzeżonego przejazdu kolejowego, betonowych płyt przy tkalni labor i ondynki z ter-muren, która... o czym nikt nie wie, żeby papiertuba nie mógł jej podglądać... chodzi pływać w zamkowym strumieniu... to znaczy stoi tam nieruchomo z koszulą w ręce: o ile można wierzyć obrazom tippetotje. I mówisz tippetotje, że właściwie chciałeś posadzić czereśnię:., tak ładnie wygląda, gdy wiosną cała obsypana jest kwieciami... ale że w życiowych sprawach idzie ci tak samo jak w robocie: rozmyślasz, wybierasz i rozważasz, bo jak coś jest raz zasadzone albo napisane, to już nie można tego zmienić ani powiedzieć: właściwie wolałbym mieć tamtą czereśnię. I żeby się usprawiedliwić ze swego zwątpienia w pracę... bo tippetotje uśmiecha się trochę drwiąco... dodajesz, że nie każdy jest taki jak ona, która ustawia ondynkę z ter-muren tam, nad strumieniem i maluje jej ładne nagie ciało: zastanawiam się nad tym, czy przeciwnie, nie patrzy ona czasem spoza zamkowych zarośli w kierunku strumienia i nie myśli sobie... tak, co też mogłaby sobie myśleć...? I żeby równocześnie też usprawiedliwić się ze swojego zwątpienia odnośnie czereśni dodajesz jeszcze, że wsadziłeś w ziemię 5 martwych badyli, które odżyją i wypuszczą coś w rodzaju słonecznika i że zostały ci one wetknięte do ręki jako żółtość-fangogha... bo fangogh jest modny jako pikantna dekoracyjna ozdoba: odbyło się zasadzenie słoneczników i minister robót publicznych przypomniał kilka epizodów z działalności fan-gogha wśród górników i jej wpływ na rozwój malowania słoneczników, dyrektor generalny tego resortu dla lepszego zrozumienia zmarłych w nędzy artystów po*

dziękował za to w imieniu licznych osobistości: dokonano wpisu do złotej księgi i wydano oficjalny bankiet.., Ale tippetotje nadal drwiąco się uśmiecha i mówi, że gdyby tymczasem była takim czy innym fangoghiem, to spokojnie mogłaby sobie strzelać do wron w sadzie dr. gachet: osobistości będą podpisywać złotą księgę, a pisarze będą czekać w swoim ogródku, aż zakwitnie fangoghowska-żółtość... a w międzyczasie — gdy składałaby na moim progu paczkę ze swoim obciętym uchem, zwiądłby nie tylko kult słoneczników, ale zwiądliby również pisarze, cha, cha... bo nawet antykwariaty się zamyka, likwiduje albo nagle same znikają... ha, kiedy myślałam, że znajdę jeszcze jeden tam, za trulle-bergiem, odkryłam, że został przebudowany na warsztat samochodowy i nawet w pałacu sztuk pięknych księgarnię zamieniono na szatnię... lub: pomimo wpisania się do złotej księgi i wydania oficjalnego bankietu: koniec kultu słoneczników i sztuki druku książek. I tippetotje odchodzi drwiąc ze mnie, ale jeszcze nie zdążyła wyjść, kiedy już sobie pomyślałam, że jej słowa to właściwie moje myśli, którymi natchnęła mnie ta fangoghowa żółtość: wzięłbyś się lepiej do handlu tą fangoghową żółtością zamiast malować albo pisać o słonecznikach i o *ondynce z ter-muren*.

*NIECH SIĘ DZIEJE WOLA NASZEJ PODŚWIADOMOŚCI*

*Ale nie tylko z ondyną tak się działo... również jej brata, walerka, w miarę jak dorastał, coraz trudniej było odpędzić od kuzynki ze szczeciniastymi włosami i brudnymi soplami pod nosem... a co najgorsze, ona*

nigdy nie nosiła majtek: co ty masz za matką?, pytała ondyna, I pewnego razu zobaczyła, że tych Z wdrapało się na strych, żeby bóg wie co tam wyczyniać: być może rzeczy, o których ondyna sama śniła... o nie, w tym momencie krew nie uderzyła jej do głoi, ale natychmiast z niej odpłynęła: ondyna zrobiła się blada i nie mogła ręką ani nogą ruszyć. Chciała za jednym zamachem otworzyć klapę na strych i zaskoczyć tych 2... ale choć walerek był zwykle tak tępy, to jednak tym razem zastosował chwyt swojej siostry: nasunął na klapę skrzynkę ze starym żelastwem. Otwieraj!, krzyczała ondyna: ale nad głową słyszała tylko śmiech... a więc to nie była skrzynka z żelastwem, to oni sami siedzieli na klapie... i to ją jeszcze bardziej rozwścieczyło, odkrycie, że inni potrafią ją prześcignąć w wyrafinowaniu. Walila z coraz większą złością w tę klapę... i ponieważ nie mogła zrobić nic innego, tłukła w nią głową: te dzieciaki tylko się z niej śmiały; głowa ją bolała i od tego bezsilnego siedzenia na schodach zemdlilo ją. Wtedy dojrzała w niej myśl, że musi go zabić, nie może tak być, żeby jej święty brat tak zwyczajnie żył. Dzień jej minął jakby w zaślepieniu i czasem wydawało się jej, że przedmioty, które nigdy nie mogły przenosić się z miejsca na miejsce, same zaczęły się poruszać: np. stół przesunął się nagle pod jej łokciem kawałek dalej... i natychmiast wracał: ondyna musiała dłuższą chwilę postać przy drzwiach na podwórko, opierając głowę o zimne kamienie. Zobaczyła leżący tam nóż. Ktoś zabawiał się dłubaniem w drewnie i zapomniał o nim... było to jak palec boży: ukryła nóż pod spódnicą, przywiązawszy go sznurkiem, którym miała podwiązane majtki. I gdy leżąc w łóżku nadal rozglądała się wokół szklanymi oczami lalki, a tymczasem nóż rozgrzewał się od jej ciała... myślała sobie: już wkrótce, gdy wszystko ucichnie. Słyszała różne odgłosy dochodzące do niej z bardzo daleka, których ni~

*gdy -przedtem nie rejestrowała w swojej świadomości... bardzo długo przejeżdżał pociąg, to pociąg towarowy, pomyślała ondyna. Schwyciła nóż tak mocno, jakby miała nim przebić dębowe drzwi kapliczki z ter-muren. Ale walerek jakby to zwęszył: kiedy się nad nim pochylała, leżał wpatrując się w nią szeroko otwartymi ze strachu oczami... ondyna nie mogła dłużej znieść jego widoku i biorąc zamach, zaczęła głośno się modlić. A walerek, widząc spadający nóż, nie miał nawet siły odskoczyć... może nie pomyślał o tym, że jeszcze może umknąć przeznaczaniu... ale w głupim odruchu samoobrony chwycił ostrze... właśnie, było ono ciepłe... i dlatego uchwycił je jeszcze mocniej: rozplakał się. Ondynka modliła się: przyjdź królestwo twoje... wykrzykiwała te słowa, starając się wykręcić nóż z jego rąk. I w tym samym czasie usłyszała, jak jej głupia matka zulma zaczęła w sąsiednim pokoju modlić się razem z nią: i odpuść nam nasze winy amen.*

#### *DZIEWCZYNY Z FABRYKI MAJĄ CHŁOPAKA*

*Historia z walerkiem skończyła się tym, że miał on obcięty palec: jego ojciec vapeur podał na kawałki pokrwawione prześcieradło... i tak było już do niczego... i obandażował synowi rękę tak, że wyglądała jak wielka biała maczuga; zrobiła się z niej jednak czerwona maczuga: lekarza nie wezwano i nikt o nic nie pytał. Vapeur stał w swoim warsztacie i myślał o tym, że o nic swoich dzieci nie zapytał, poszedł do kuchni, w której siedziały, ale zatrzymał się z ręką na klamce, patrząc nieruchomo przed siebie — na kawałek tynku, który mógł odpaść każdej chwili — i wrócił do swojego warsztatu. A gdy wieczorem kładli się spać, ondyna i walerek obok siebie w tym samym łóżku, ondyna*

*poczuła coś pod sobą... pomacała... przebiegł ją gwałtowny dreszcz obrzydzenia od palców stóp aż do jej kasztanowych warkoczyków: wyrzuciła ten palec z łóżka, jakby to był jakiś dziwny zwierzak, jakiś robak. I wtedy udało się jej histerycznie i piskliwie roześmiać... i śmiała się, dopóki szaleństwo jej nie przeszło i nie pociekły jej gorące łzy. To, co zaczęło w niej dojrzewać, z dnia na dzień coraz mocniej dziwiło ją i wyprowadzało z równowagi; nocami, pogrążona w niespokojnym śnie, nie wisiała już u końskiej grzywy, ale stała przy sikającym papier tubie, zwróconym plecami do żywopłotu... wiedziała o tym, ale nie chciała*

*o tym wiedzieć... zakładała ręce na piersiach, żeby ukryć coś, na co woląta nie patrzeć... brzydziła się swego brata, kiedy myślała o tym, że musi on nocą leżeć obok niej, a jeszcze bardziej, gdy myślała, że prosiła go kiedyś, by się więcej nie bawił z ich kuzynką, tylko żeby na zawsze został z nią, ondyną; nienawidziła go, żałowała, że stracił właśnie tylko palec. A gdy kiedyś zobaczyła, jak ludzie z ter-muren pogonili go dla zabawy jak psa, po to tylko, żeby zobaczyć, jak jego niemożliwie wielka głowa kiwa się na wątlých ramionach, poczuła, że znowu coś ją napadnie z wściekłości... nie przez tych, którzy klepali się po udach ze śmiechu, ale przez niego samego, tego ośła, z balonem na ramionach, który nigdy niczego się nie nauczy. Pobiegła tam, ale w tym miejscu, gdzie zawsze krzyżowała ręce, coś się podczas biegu kołysało lekko w górę i w dół i ktoś zawołał: hej, ondyna, co tam masz? Mało się pod ziemię nie zapadła ze wstydu: świntuch, powiedziała. Ale w domu sama siebie się spytała: co ty tam masz? I śmiała się urągliwie ze świata, z siebie samej, z boga, który ją stworzył taką, jaka jest. Tymczasem jeszcze tego samego wieczoru zobaczyła lizę*

*I inne dziewczyny wychodzące z przędzalni jilatura... we włosach miały kłaczki wełny z przędzalni, szły całą*

*grupą i śmiały się, miały teraz ochryple głosy i nie widziały nic złego w tym, że wieczorem powiedzą na drodze z kapliczką pocałuj mnie w dupę... lolaśnie gadały o swoich chłopakach... ale ponieważ podeszła do nich ondyna, liza powiedziała do jednej z nich: to nieprawda, prosił mnie, ale go odepchnęłam. A ponieważ były same przy kapliczce z ter-muren, ondyna zapytała: o co cię prosił? Och, odpowiedziała liza, śmieją się z ciebie, jeśli nie złapiesz chłopaka, ale jeszcze bardziej się śmieją, jeśli go złapiesz aż zanadto, bo wtedy masz, babo, placek.*

### *PLASTYCZNE ELEMENTY W LITERATURZE*

Popatrz, mówi johan janssens, piszę w gazecie o goyi i breughlu, i boschu, o picassie i renoirze, i magritcie, o louis-paul boonie i o dziecięcych rysunkach, i już od dłuższego czasu myślałem o tym, żeby napisać o plastycznych elementach w literaturze, ale na boga, teraz ktoś mnie uprzedził... i rozkłada gazetę, i czyta: ilu pisarzy chwytą np. istotę i duszę plastycznego elementu w literaturze? są oni skrepowani swoim własnym wyrażaniem sztuki, fabułą i wszędzie szukają tej fabuły: oczekują od obrazu, że będzie kolorową ilustracją, bo element plastyczny jest dla nich martwym słowem... oczywiście ten niedostatek jest widoczny w ich pracy, bo liczą się z brzmieniem słowa i rytmem, ale zupełnie się nie liczą z linią i kolorem, które również powinny stanowić część ich prozy. *Dostrzeżesz to w opowiadaniu o dziewczynach z fabryki, które późnym wieczorem, w deszczu, wracają polną drogą do domu... ponieważ pada deszcz, powiedziałbyś, że droga jest błotnista... a równocześnie określając miejsce zrobiłbyś to tak: dziewczęta z fabryki, które wieczorem i w słońcu wra*

*cają pieszo po błotnistej drodze z kapliczką. Być może droga biegnie wzdłuż długiego, długiego muru za la-borem... i popatrz na to słowo pieszo, które jest powtórzeniem tego samego obrazu e i o w wyrazie wieczorem... zrozum mnie dobrze, mówię „obrazu”, nie „dźwięku”... i w ten sposób uzyskujesz szary obraz z samymi przygaszonymi kolorami: wieczorem, deszcz, błoto, długi mur za laborem, dziewczęta wracające pieszo z fabryki. Pisarzowi coś takiego wystarcza, stworzył atmosferę, określił sytuację i puścił akcję w ruch. Ale gdyby był on świadom wartości plastycznego elementu to dodałby do tych szarych tonów jakiś kolor, który coś rozjaśnia... bo np. ton czerwony spowodowałby, że pozostałe szare tony odcinałyby się jeszcze bardziej ponuro, uciekałyby w tło i przez to wywoływały niespodziewaną głębię. A także dlatego, że będąc malarzem, kocha on bez miary kolor i ten ciepły ton pośród innych wskazuje na zamiłowanie do malowania samego w sobie. Aby teraz uzyskać ten czerwony ton, można jednej z dziewcząt kazać się rozśmiać w ciemności i w deszczu... słowo „śmiać” natychmiast osiągnie pożądany skutek... natomiast z literackiego punktu widzenia wręcz odwrotnie, nie będzie pasować... śmiać się tu nie pasuje, ta fabuła i ciemny początek pierwszego zdania łamie się przez to... wyobraź sobie teraz, że jedna z dziewcząt klunie i mówi pocałuj-mnie-w-dupe... i wtedy te szare tony rozwieją się natychmiast, aby ustąpić miejsca jasnej czerwieni słowa-tabu. Został w ten sposób osiągnięty 2-jaki cel: jest to doskonałe jako obraz i pogłębia szarą atmosferę powracających do domu dziewczyn z fabryki.*

I Johan Janssens składa gazetę z żalem z powodu spóźnienia i mówi, że musiał to jednak napisać ktoś, kto zna drogę z kapliczką i tkalnię labor... a ponieważ widzi, jak się śmiejesz trochę kpiąco, powiada: ot, jak się sprawy mają!



## *TEN POWRÓZ JEST TAKI MASTNY*

I tak oto stali tam: isengrinus, który potrafił myśleć tylko o tym, że rany jego są bolesne i że wciąż jeszcze dręczy go głód, i lis przechera, który przeciwnie, myślał o tym, że znów musi wracać do żony i młodego z pustymi rękami... a przy tym jeszcze zastanawiał się, na co potrzebny jest pan i władca, jeśli każdy może być panem i władcą samego siebie i bardziej sprawiedliwie dokonywać podziału tego tam... no, powiedzmy, łupu. W krainie ślepców jednooki jest kapitanem i władcą, zakończył jego myśl isengrinus, który pamiętał to przysłowie dzięki swemu zaszytemu oku. Zjednoczmy się, zaproponował lis i obydwaj stojąc w miejscu proklamowali taką czy inną republikę... republikę Negacji tego, co istnieje... ale gdy ruszyli dalej, isengrinus znów myślał o swoim głodzie... no właśnie, zjednoczmy się... i złapał lisa chcąc go połknąć. Jednak lis zupełnie inaczej wyobrażał sobie ten sojusz i choćby pięknie rozprawiał o tym, że w taki sposób nie osiągną wspólnego celu... i że powinni kroczyć nie jeden w drugim, ale obok siebie — to jego wzniosłe słowa znaczyły tyle co wiatr w butelce i musiał użyć innych, bardziej jadalnych argumentów. Młodej republice dzięki ujrzał w oddali idącego przez pole chłopca z wielkim pościem świniny na plecach... lecz isengrinus zbyt dobrze pamiętał twarde kije, którymi chłopci młóca twój grzbiet: ty to zrób, a ja to krytycznie ocenię, rzekł wilk. I tylko się przyglądał, jak lis ułożył się w parowie, tak by chłop mógł go dostrzec... hola, pożyczmy lis, wykrzyknął chłop, będzie to piękny kołnierz przy moim nowym surducie... i wyciągając nogi ruszył w kierunku lisa, który pokuśtykał trochę dalej, tak że chłop przyśpieszył kroku, tak że lis jeszcze żwawiej kuśtykał. I mówiąc krótko: chłop odłożył swoją szpyrkę i dał ostatniego susa... ale gene

rał isengrinus, który z daleka obserwował przebieg działań wojennych, złapał pośpiesznie tę szpyrkę i dał z nią drapak, prosto do swej jamy... na co lis też natychmiast zaniechał głupiej zgrywy — tego kuśtykania, tak że chłop rwał sobie włosy z głowy, bo miał do wyboru pomiędzy niczym a zupełnie niczym: pomiędzy swoim kołnierzem, który uciekł, a szpyrką, która zniknęła, Isengrinus dawno już jednak zapomniał o wspólnocie republiki, zarygłował drzwi i powiesił mięso nad kominem, żeby schło... a do lisa, który przybiegł i bębnił w jego drzwi, wrzeszcząc, że musi dostać swoją część, zawołał: jak to, twoją część... czy nie dostałem tej szpyrki w zamian za przychylną krytykę; ja nie jestem jednym z tych poetów, którzy mogą żyć z pozytywnej krytyki, przeciwstawił się lis, mam żonę i mam dziecko i mam serce pełne zgryzot. A gdy usłyszał babę wilka mówiącą, że nie zostało nic więcej prócz sznura, na którym mięso było uwiązane... dajże go lisowi, jest taki mastny... zawołał, że nie potrzebuje żadnego sznura, że jeszcze nie zamierza się wieszać: przeciwnie, myślę

**O** tym, żeby udać się z pielgrzymką przeciw nieuczciwym przyjaciołom. Zrób to, odpowiedziała ta szkaradna wiedźma hersinda, idź do matki boskiej z ter-muren

1 wypowiadaj się z tego, żeś podzegał mojego męża do usunięcia jednookiego, a my w naszych modlitwach będziemy polecać cię bogu. A ja będę was polecać diabłu, pomyślał lis, który poszedł dalej i przybył do swego domu, i opalił sobie przy piecu golenie, a serce trawiła mu zgryzota, johan janssens.

## *SZKODA, ZE TO, SZKODA, ZE TAMTO*

*Och, jak wstętnie było życie dla ondyny... i w domu za piecem, w grobowej ciszy ter-muren, sama jedna z matką, wyrzucała jej, że to grzech wyjść za mąż i leżeć z mężczyzną w łóżku: robiła swej matce wyrzuty z powodu najgłupszych rzeczy, z jej ust padały najbardziej niesłychane słowa... ale miała uczucie, że to nie ona je wypowiada, ale ktoś inny w niej: wystarczyło, żeby tylko otworzyła usta, a zaraz słyszała, jak te wszystkie słowa same wylatują... jak to wszystko, o czym śniła nocą i o czym w dzień nie miała odwagi myśleć, wylewało się z niej jak woda, która przerwała tamę. Była jak czara: nie wiedziała, co w niej siedzi, wsłuchiwała się w samą siebie, blada i z otwartymi ustami. Ale pewnego dnia, kiedy padało i padało, a jej zwariowana matka zulma dała już liczne sygnały świadczące o niepokoju, tostera nagle ze swego krzesła i powoli z rękami uniesionymi jak czarownica mamrocząca zaklęcia, podeszła do ondyny: jesteś diabłem, powiedziała: wszystko, co mi zarzucasz, jest nieprawdą, to że przydarzyło mi się coś w pałacu w ter-muren, to że... to że... Zaplątała się w swoich słowach i wyjąkała, iż nie było prawdą to, że spała z mężczyzną, że ojciec ondyny Karol nie dotknął jej nigdy więcej, od kiedy urodził się walerek... to ty, ty sama jesteś diabłem, wykrzyknęła. Tak że ondyna przez parę dni*

*0 mato nie zwariowała ze strachu, wydawało się jej, jakby to nie jej matka, ale cały świat zawołał na nią Diabeł: zaczęła w to wierzyć: błąkała się po deszczu, poszła wzdłuż torów tam, gdzie kwitł janowiec, ale gdzie teraz sterczały tylko mokre, bezlistne gałęzie...*

*1 na miejscu, gdzie kiedyś modliła się do swego świętego brata walerka, przykucnęła i załatwiła swoją potrzebę. Sram na to, powiedziała, sram na ten świat...*

*podtarła się mokrą trawą i wróciła drogą obok domku? który został kiedyś utrwalony na płótnie przez malarza: popatrzyła na ten domek, i naprawdę, wyglądał on malowniczo, również teraz w nadchodzącej jesieni: nie opodal stał martwy krzak czarnego bzu, a tu i ówdzie zwisał jeszcze na nim zwiędły kwiat... szkoda, że widać było kominy przedzalni jilatura. No dobrze, ale tak było ze wszystkim: wszystko, co ondynka już przeżyła, było piękne, ale szkoda, że to, i szkoda, że tamto... na jej cześć zdarzył się cud, ale szkoda, że była diabłem... szkoda, że nasrała na święte miejsce, gdzie kwitł janowiec: i rosło w niej zwątpienie, tak głębokie, tak bezbrzeżne.*

### **HISTORIA PAPIERTUBY**

Ha, powiada mossieu colson z ministerstwa, ha, oto siedzisz sobie wśród obłoków z waty w tekturowym powieściowym świetle i piszesz o *ondynce z ter-muren...* a ja tymczasem przeszedłem na moich zmęczonych nogach po ziemi i oto, co usłyszałem i zobaczyłem: historię tak zwanego papieruby, który też pracuje w ministerstwie i który przedtem przez parę lat uczył się na księdza, ale przestał golić tonsurę, aż znów mu zarosła gęstym włosiem, i który z zapaloną świecą w ręce idzie w procesji matki boskiej z fatimy, i który opowiada, że można odczuwać grzeszne pożądanie od samego patrzenia na kwiat... pomyśl sobie, jak głęboko musi to w nim siedzieć... ale który sam równocześnie dostaje bzika, jakby jego encykliczna krew zaczynała się gotować... i który podśpiewuje irytująco, gdy jego żona znów jest w ciąży: czy to braknie strawy dla tej jednej dzieciны..., ale który, jak tylko wyjdzie z miń

sterstwa, ciągnie na przedmieście, aby tam wyskakiwać spoza ogrodzenia, gdy przechodzi jakaś dziewczyna, albo żeby stać pod płotem... ja, mossieu colson z miństerstwa, nie ośmielam się kontynuować tego nieprzyzwoitego opisu, ale ty się ośmielisz... a jeśli jest to dziewczyna, która niby go rozpoznaje; ejże, czy to nie ten, no, papiertuba?: to wtedy biegnie on na policję, aby oświadczyć, dając słowo honoru, że ta dziewczyna naruszyła jego cześć. I jeśli ta czy inna matka idzie ze swoją córką, żeby wyłożyć sprawę papiertuby, to nie zdąży nawet dwóch słów powiedzieć, gdy siostrzyczki jej przerywają, mówiąc, że coś takiego to potwarz i że im nic nie trzeba mówić o panu papiertubie... bo on jest taki uprzejmy, tak nisko się kłania swoim kapeluszem i mówi „dzień dobry, zacne siostrzyczki” i nosi zapaloną świecę za fatimą. Ha, ale ja, mossieu colson z miństerstwa, nie mówiłbym ci tego wszystkiego, gdyby nie to, że papiertuba napisał do mojego szefa biura, że ty napisałeś niedobrą książkę i że ja jestem twoim przyjacielem: a teraz powinieneś wiedzieć, że mój szef biura i ja byliśmy w czasie wojny dobrymi przyjaciółmi, kiedy on przychodził do nas słuchać angielskiego radia... na pewno jeszcze pamiętasz, na fali 1500 m, tirlelit, tirlelit... a teraz mój szef biura nie wchodzi już do mnie, ale woli iść do papiertuby; ha, zamiast pisać „przedmieście rośnie”, powinieneś lepiej napisać, jak rośnie to, co się ma z przodu, wtedy dopiero bylibyśmy przyjaciółmi papiertuby!

A ty odkładasz pióro i potrząsasz głową, ale mossieu colson z miństerstwa kładzie groźnie palec na prawie do końca zapisanej kartce papieru i dodaje: a wiesz, co mi przychodzi do głowy? że wszystkie te młode kobiety i dziewczyny *i ondynki z ter-muren* lubią, *jak pętają się papiertuby, bo nie ma wieczoru, żeby on nie wyruszył na łów, i tak już jest od lat... a mimo to nie ma ani jednej, która by się skarżyła, tylko mówią*

*„a jednego wieczoru... to on mi...” i są oburzone albo udają oburzenie. I mossieu colson z miństerstwa patrzy na ciebie z oburzeniem, bo powiedziałaś: no, nie powinieneś przesadzać, bo ja już napisałem o tym, jak. ondynka z ter-muren spotkała papiertubę... i rzeczywiście była oburzona.*

**WALEREK, POKAZ NO SWÓJ PALEC!**

*Mała ondyna krążyła wokół domku tej chudej kobiety z ter-muren, jakby czegoś szukając, z twardym, okrutnym uśmieszkiem wokół ust: myślała, o tym, żeby zabić jej świnię wrzucając do koryta 2 agrajki, którymi miała spięte majtki... Właśnie miała otworzyć drzwi do chlewika, gdy kobieta wyszła z domku: ondynka przestraszyła się tak okropnie, że ledwie mogła ucielcać na nogach miękkich jak z waty... majtki jej opadły, te 2 agrajki wciąż jeszcze trzymała w ręce. Żal jej było siebie samej, chętnie poklepałaby się po ramieniu i spytała: kochana, mała ondynko, kto cię skrzywdził? Oparła się o bieloną wapnem ścianę, tę przy schodach na strych, i wzięła ją złość z powodu łez, które stanęły jej w gardle i nie chciały iść dalej w górę... chciała uszczypnąć się w oko... i wtedy zobaczyła, że wciąż jeszcze trzyma w ręce te 2 agrajki: zaczęła nimi dłubać w ścianie... coraz mocniej, coraz gwałtowniej... po jakimś czasie trzymała je tak, jakby to były sztylety... wbijała, wyobrażając sobie, że to jakiś człowiek, wszyscy ludzie: mordowała ich wszystkich, tych tchórzy, tych drani, którzy... którzy... nie zapewniają mi tego, co mi się należy. Choć właściwie nie wiedziała, co jej się należy: och, czy nie była to bardziej świadomość tego, że świat był za duży a ona*

**20** *mała? że ter-muren i sąsiednie miasto i wszystko to, co jeszcze znajdowało się w jej polu widzenia, nigdy nie będzie urządzone według jej życzenia? Ze ona nigdy nie będzie panować nad ludźmi i ich pragnieniami? że nigdy nie będzie mogła wypędzić swego ojca vapeura do fabryki, walerkowi przydać rozumu, a księdza zmusić do tego, by w swych kazaniach głosił, że każdy, kto śpi w jednym łóżku z mężczyzną, pójdzie do piekła? Potem zamknęła się na strychu ze swoimi skarbami, błyszczącą spinką do bluzki, etui z grzebieniem i małym lusterkiem, i skórzaną torebką... to oczywiście nie wystarczyło, żeby opanować świat, ale jednak, był to jakiś początek: stopniowo zaczynała coraz bardziej pragnąć tego, żeby te skarby pokazać światu... światu, którym tymczasowo był walerek ze swoim obciętym palcem i ich kuzynką... bo tych 2 zawsze było nierozłącznie ze sobą: ondyna musiała się zgodzić na nich obydwój albo na żadne. Ale oni patrząc wcale nie byli poruszeni, myśleli wyłącznie o sobie... etui z małym lusterkiem nic nie znaczyło dla walerka, który był pozbawiony wyobraźni, a spinka do bluzki nie znaczyła nic dla ich kuzynki, która była jeszcze na to za młoda: popatrzyła na nią swoimi matowymi oczami i powiedziała do walerka: pójdziemy sobie? Zeszli po drabinie na dół i wrócili do swego własnego świata. Ondyna nagle to dostrzegła: każdy ma swój własny świat i uważa go Za najważniejszy: miała ochotę kopnąć to etui... poszli sobie... ale było za ładne, zawahała się i tylko pogładziła je delikatnie. Nie warto, powiedziała. Przez okno na strychu zobaczyła, jak ich kuzynka i walerek mijali kapliczkę i jak podeszła do nich jakaś inna dziewczyna i jak ich kuzynka powiedziała: walerek, pokaż no swój palec! Och, ondyna poczuła się nagle pusta i podia: że też musiała przypadkowo zobaczyć, jak ktoś inny szczydzi się czymś, czego ona dokonała! Przypuszczała, że ich kuzynka musiała to w ciągu dnia często powtarzać...*

*że na widok każdego, kogo spotkali, może nawet na widok psa albo drzewa, mówiła: walerek, pokaż no swój palec! A on, głupi jełopa, z pewnością wyciągał w górę swą rękę... cholera, że też go nie zadźgałam na śmierć, pomyślała ondyna.*

## 5 PALCÓW

Wrzuciwszy tam, przy 1-szych brudnych domach, swoje listy do skrzynki i pomyślawszy przy tym 3 różne rzeczy, które za każdym razem na nowo sobie myślisz, ale zawsze znów zapominasz... rzecz 1: że kiedy byłeś jeszcze łatwowiernym dzieckiem, wmawiano ci, że trzeba głośno krzyknąć do szpary, przez którą wrzucą się listy: „list do brukseli”, i że po tylu latach wciąż jeszcze masz ochotę tak krzyknąć... rzecz 2: że powinno się przyznać pisarzowi prawo nieodpowiadania na żadne listy, bo już dosyć pisałeś w ciągu dnia, żeby jeszcze wieczorem załatwić swoją korespondencję... rzecz 3: że mogliby dodać do tej skrzynki tam przy 1-szych brudnych domach nową pocztę, bliżej drogi z kapliczką. I tak sobie myśląc, wracasz drogą za zamkowym strumieniem i widzisz johana janssensa, dziennikarza z gazety codziennej, pogrążonego w ożywionej rozmowie z malarką tippetotje i słyszysz go, jak mówi, że on też się zna na malowaniu, bo pisze o tym do gazety: piszę nie tylko, że tak powiem, o goyi i breughlu, i boschu, ale wykładam też od a do z, co to jest impresjonizm, eks-presjonizm i surrealizm. A nawiasem mówiąc, powiada, gdy mówiłem o ekspresjonizmie, że najpierw trochę się wahano, ponieważ coś, co drzemie głęboko w każdym z nas, natychmiast chce się sprzeciwić i zawrócić nas do zwykłego, bezpiecznego świata, gdzie RĘKA



JEST RĘKĄ O 5 PALCACH i gdzie obydwójce oczu znajduje się po bokach nosa, a nie w nosie, nie za uchem... bo chce się mieć twardy grunt pod nogami, a nie przepaść, którą ty, tippetotje, otwarłbyś nam, gdybyś zaczęła malować ekspresjonistycznie... dlatego zaczynamy powoli sobie uświadamiać, że ta ekspresjo-nistyczna stopa, jakkolwiek to jest dziwne, też jest mistrzowskim detalem rysunku... dopiero potem, jakby po raz 1 w życiu odkrywamy ramię, rękę, penis... a potem, zamiast zadeklarować swoją jedynomyślność z tym szczególnym światem malarza, odkrywamy ze zdziwieniem i oszołomieniem, że jest to właściwie Nasz świat, ale taki, jakim byśmy go nigdy nie chcieli widzieć.

No i popatrz, mówi dalej johan janssens... do tippetotje, która już nie słucha, ale dalej maluje zimowy pejzaż z 1-szymi brudnymi domami... no i widzisz, mówi johan janssens nie tracąc ducha... do ciebie, który ma przecież obowiązek tego słuchać... no i widzisz, zaledwie zdążyłem napisać o tym bezpiecznym świecie, gdzie ręka jest ręką z 5 palcami, kiedy jeszcze tego samego dnia w tym samym wieczornym wydaniu... jak też przypadek potrafi być przypadkowy!... mój inny i niemało znający się na ekspresjonizmie konfrater johan van bubaerde-roccoco pisze w dzienniku nowy--czas artykuł: o tobie, pisarzu, autorze ondyнки z ter--muren, iż jeśli pan boontje chce zostać pisarzem pewnego formatu, to powinien się najpierw nauczyć, jak można zacisnąć PIĘC PALCÓW RĘKI w pięść. Cha, cha... i tippetotje wybucha śmiechem, a johan janssens wybucha podwójnym śmiechem, bo ktoś się śmieje z jego żartu. A ty?

## PŁONĄCE ŚWIECE

*Czy byłoby z ondyną lepiej, gdyby zadźgała swego brata walerka na śmierć? przyczyną jej rozdarcia było nie to, że chodził sobie i był jej cierniem w oku: źródło wszystkiego było w jej własnej naturze, być może w tym grzesznym gnieździe, w czymś, co w jej wnętrzu coraz natarczywiej domagało się zaspokojenia. Z perspektywy własnego niepokoju patrzyła na spokój swego ojca, który siedział pochłonięty lekturą książki*

*0 maszynie parowej i jeszcze nie wiedział, że ona wczoraj wydarła z niej jedną kartkę i poszła z nią do ustępu; mamrotał słowo po słowie i wyciągniętym palcem śledził taniec słów, jakby chciał na zawsze wbić je sobie do głowy. Ondyna śmiała się głośno z tego spokoju vapeura, w tym ter-muren, gdzie większość rodziców w ciągu tygodnia wcale nie oglądała swoich dzieci; bo wychodząc o zmierzchu do przędzalni jilatura*

*I wracając o zmierzchu do domu drogą z kapliczką, wszystko, co widzieli, to tępe maszyny... a ponieważ nie było wśród nich chyba ani jednego, który by **umiał** czytać, kładli się spać, chodzili do kościoła i **upijali** się u tego majstra z brodą, **Chrystusa**: brodzili w wiecznej ciemności. Śmiała się złośliwie i ironicznie z jego spokoju nad otwartymi książkami, przede wszystkim dlatego, że ksiądz mówił z ambony, iż wszelkie zło pochodzi od tak zwanej nauki i postępu. Ale śmiała się też ironicznie i złośliwie z księdza, który na wieczornych nieszporach każdemu coś wytykał prosto w oczy... każdemu, ale **panom** nigdy: tego wieczoru vapeurowi z jego książkami o maszynach parowych, a następnego dziewczynom z **jilatury**: odbłask świec tańczył na kłaczku w ich włosach, bo mogły się nie wiadomo ile czesać, a kłaczek z przędzarek już z ich włosów nie dawał się wycesać. Słuchały ze spuszczonej głowami*

*i czuły się winne... tak, to prawda, były grzeszne i niedobre, ze wstydem myślały o tym, że klęły z byle powodu i mówiły pocatuj mnie w dupę: i gdy tylko ksiądz powiedział, że byłoby lepiej uwiązać takiej młodej latawicy ciężki kamień u szyi i rzucić w głąb denderu, niż by miała powić dziecko grzechu... ledwo zdążył to powiedzieć, kiedy jedna krzyknąwszy przeraźliwie osunęła się na ziemię przewracając przy tym kilka krzesel. Kiedy ondyna została z nią z ciekawości w ciemnym portalu, gdzie migocąca świeca miała właśnie zgasnąć, słyszała, jak inne znikają w ciemności wieczoru: nie były już takie hałaśliwe, ale trochę dalej, gdy już skryły się w ciemności, znów się śmiały, ochryple i grzesznie. To liza osunęła się z krzesła i słysząc te śmiechy powiedziała: co osiągnął przez to kazanie prócz tego, że jutro inne będą mnie przedrzeźniać krzycząc i przewracając krzesło, bo może mają więcej ode mnie szczęścia w tych sprawach... ale ja nie, tylko jeden raz mu pozwoliłam, niech trupem padnę, jeśli to nieprawda.*

**DE BOECKENSPIEGHEL \***

Z tą drogą z kapliczką człowiek ma z biegiem czasu tyle ambarasu i utrapienia... widzi na niej śnieg lub słońce i przez to myśli tylko o jej urodzie, o malarce tippetotje, o johanie janssensie jako poecie... ale dziś ani nie świeci słońce, ani nie pada śnieg, ale jest coś wilgotnego i zimnego, i ciemnego, i o niech to cholera weźmie: tam mi wisi ciemna chmura. I malarka tippetotje śpieszy do domu z całym chłamem zwiniętych sztalug i pudłem z farbami, i płótnem, i z wysoko

•Lustro do odczytywania pisma leworęcznego.

postawionym kołnierzem, i wpada na johana janssensa, i o mało go nie przewraca, a on o mało jej nie przewraca: chmura idzie tutaj, mówi tippetotje.

I johan janssens kiwa głową: oczywiście ciągnie tutaj, wisi już nad moim sercem i moją duszą, i moim penisem... teraz, kiedy idziemy sami w tej psiej pogodzie, tippetotje, mogę dać upust memu sercu, bo w tych gazetach zawsze człowiek musi uważać na swoje słowa... chmura wisi nad moim penisem, który jak małe, zapłakane dziecko zaszył się w kąciaku: bo przez cały dzień pisałem felietony do gazety... nie o lisie przecherze ani o drodze z kapliczką, ale coś pod gust naczelnego, coś, co podpisałem moim pseudonimem boeckenspieghel... żeby nie musiał znowu tego nazywać „znowu jakaś sowa”. I oddałem w nich wielkie idee naszych wielkich czasopism... bez komentarza...

a jednocześnie myślałem o tym, że te wszystkie czasopisma też zwracały się do mnie, żeby w nich wyłożył moje wielkie idee... och, tippetotje, niech to cholera weźmie, pozwól mi raz zakląć od serca, kiedy już tu jesteśmy sami: niechby zajrzeli sobie między nogi, tam jeszcze wisi jakaś Wielka idea. Ja nie mam wielkich idei, piszę tylko tak, jak ty malujesz, i wiem tyle, że ludzie, poza jakimś wyjątkiem tu czy tam, są na ogół tępi i samolubni... że w swoich czasopismach mówią na pierwszej stronie białe, a na następnych czarne..., i że oczekuje się ode mnie przyzwoitego artykułu „oskarżenia proletariatu pod adresem trustów” z niezdarnymi słowami i kilkoma błędami językowymi — to polepsza styl, oto robotnik, który został poetą i dziennikarzem w gazecie codziennej — ale nie wolno mi powiedzieć, że prawda jest taka, iż moje materiały... nie są odrzucane, nie... ale są NIE publikowane. I wiem, że używają w swoich czasopismach wielkich słów, żeby ukryć pustkę swych nadętych łbów... typu elementy mikrokosmicznej percepcji lub koncepcji fizycznej i psy

chicznej rzeczywistości życiowej, która chwyta za serce i porusza... ale że żaden z nich nie pomyśli o tym, żeby kiedyś zrobić coś porządnego, żeby wnieść w chaos trochę jasności: myślą tylko o tym, żeby widzieć wydrukowane swoje własne imionka: pascalius prostitua-an... lub nie, zapomniałem o tytule: dr pascalius prosti-tuaan. A ponieważ również w redakcji walę głową we wszystkie mury, ponieważ do redaktora naczelnego płynie rzeka pełnych oburzenia listów o mojej pracy, ponieważ pewna mała klika ze środowiska ultramarksi-stów coś tam knuje i intryguje... dlatego, tippetotje, ja ustępuję i piszę moje sobie felietoniki: de boeckenspie-ghel. I tippetotje patrzy na niebo, które jest jednym niebem, i odzywa się: może ta chmura jeszcze przejdzie.

### *BIEDNE DZIECIĄTKO JEZUS Z TER-MUREN*

*Ondyna też poszła do spowiedzi i wyliczyła swoje grzechy... ale głównie grzechy swego ojca vapeura, który zamierzał wynaleźć bezbożną maszyną... i grzechy swojej matki zulmy, która była niemoralna i w młodości nie dość skromna, i miała dziecko z panem derenancourt z zamku: ksiądz powiedział, że to niemożliwe, i że nie wolno nikogo szkalować, a równocześnie zapytał, gdzie w takim razie jest to dziecko? O, ondyna pomyślała o majstrze z tkalni labor... gdzie ten się teraz podziewa... to on twierdził, że w zamkowym lesie jest mały grób: lecz w konfesjonale panował tak tajemniczy mrok, że zachęciło ją to do opowiadania takich rzeczy, które ją samą szokowały:, to ja właśnie jestem tym dzieckiem z zamku. Słuchała w oszołomieniu swoich własnych słów, nakazała sobie milczenie i powzięła*

*mocne postanowienie nigdy więcej nie grzeszyć, i przez całe życie nie pisać o tym ani słowa: a ponieważ o tym nie mówiła, miała tym więcej okazji, żeby to przemyśleć, rozglądała się po swoim świecie i wszystkie sprawy zbierały się w niej tworząc całą ich górę... jej oczy, wcześniej duże i otwarte, teraz zwały się i patrzyły na wszystko nieco ironicznie: tak jakby uznała, że Życie nie jest warte tego, by tracić na nie jeszcze choć jedno słowo. Tak się wydawało. W rzeczywistości zaś te niewypowiedziane słowa gromadziły się w niej w sposób nie do wytrzymania... każda przemilczana myśl-wcisnęła się obok innej i rzeczy, z których powinna była się śmiać, ale wobec których zachowywała jednak powagę, wypełniały ją do granic wytrzymałości: nagle jednak wybuchnęła śmiechem: śmiała się i równocześnie płakała... i bała się, że robi się taka, jak jej głupia matka zulma. Ty wariatko, pomyślała sobie, ty wariatko, nie rozumiesz, że kazanie jest trzewikiem, który na każdego pasuje... że mówi się w nim o skąpstwie, ale również o chciwości, że każdemu coś się przydarza, dobrego lub złego, ale najczęściej nieszczęście, i że o jednych się mówi, że spotkała ich kara, ale o innych, że to próba: jak zatem można wiedzieć, czy ktoś żyje dobrze, czy źle? I coś zaczęło ją w środku swędzić, żeby wejść do byle jakiego domu i trajkotać, trajkotać o wszystkim, o swoim szczęściu i swoim smutku i o swoim niepokoju: poszła do lizy, która urodziła dziecko i wyglądała na szczęśliwą, chociaż bolała ją opuchnięta pierś: dziecko ma dziecko. Z tego ondyna też się śmiała, chociaż nie czuła najmniejszej radości... liza bardziej była podobna do najświętszej panienki z ter-muren niż do latawicy... siedzące na jej kolanach maleństwo mogłoby być dzieciątkiem jesus, dzieciątkiem jesus z pomarszczonymi rączkami i główką spuchniętą od kleszczy: ondyna się śmiała, choć musiała poskromić swą nienawiść. I natychmiast, jakby diabeł w*

*nią wstąpił, pomyślała sobie, że najświętsza panienska też nie była zameżna, kiedy urodziła dziecko... i cała jej religijność wydała się w tym momencie pozbawiona jakiegokolwiek sensu, i natychmiast musiała przywołać inną myśl, aby wypełnić ziejącą przepaść: świętym i panom wolno było przekraczać małe granice dobra i zła, ale nam, ludziom z ter-muren, nie.*

### **PRZEKROCZONE GRANICE**

W moim pociągu z brukseli do miasta z 2 fabrykami codziennie teraz czytam moją gazetę, powiada mossieu colson z miństerstwa, i jeślibym kiedyś w niej przeczytał, że niektórym kategoriom ludzi wolno przekraczać nasze granice seksualne, to bardzo bym się tym nie zdziwił... bo popatrz tylko na tych komiwojażerów, wśród których, jak sądzę, nie ma ani jednego takiego, co by nie patrzył na życie przez seksualne okulary... bo posłuchaj tylko, jak sobie opowiadają o kobitkach, jak to oni w pociągu mówią. I spójrz tylko na komiwojażera jaspersa, jak on patrzy na tę dziewczynę z tłustymi pośladkami z wozu mieszkalnego... stojącego już od paru dni za niczym lasem, tam gdzie mieszkańcy 1-szych brudnych domów wyrzucają swoje puszeki po konserwach... która szorowała schodki wagonu w taki sposób, że stojąc pochylona pokazywała początek swojej różowej pupy... i jak jaspers dosłownie zmienił się na ten widok w postać papieruby, który uczył się na księdza, nie siedzi u nas w miństerstwie: chciał się zaczerwienić i roześmiać, ale zbladł i zaklął bardziej tam do niej niż do mnie: cholera, pogryzłbym tę różową pupę. I być może mossieu colson chciał dodać jeszcze to i owo, ale malarka tippetotje jedną ręką chwyciła go za guzik

marynarki, podczas gdy w drugiej ręce trzymała już swój szkicownik: gdzie to jest, ten wóz i dziewczyna z tłustymi pośladkami, co szoruje swoją różową... pardon, schodki?... I gdy mossieu colson doprowadził do porządku swoją marynarkę i potrząsając głową odprowadził wzrokiem znikającą tippetotje, dalej mówi o przekroczonych granicach seksu: że ci komiwojażerowie są konsekwentni na ulicy, na dworcu, w tramwaju i w pociągu i widzą tylko nogi i półdupki, i pół-piersi... i przez to chodzą z rozfantazjowanymi zmysłami... a mimo to, gdziekolwiek się pojawiają, przyjmowani są niechętnie, wysyła się ich do wszystkich diabłów... i żeby potem trochę odzyskać równowagę, usiłują oni skorzystać z okazji i swoją porażkę tu odbić sobie sadystycznym zwycięstwem gdzie indziej. Ale w ten sposób zapadają się stopniowo coraz głębiej, nie zdając sobie sprawy, że na dłuższą metę nie znają żadnego innego życia, jak tylko między pośladkami kobitek, jak to oni mówią.

I kiedy inni sobie poszli, zawracasz mossieu colsona z miństerstwa z drogi i pytasz go, co chciał przez to powiedzieć: chciałem ci przez to powiedzieć tylko tyle, że jest to dozwolone dla każdego pod warunkiem, że umie się to odpowiednio ukryć... i że nie zakłada się samemu sobie pętli na szyję.

*PANOWIE IDĄ!*

*I choć ondyna świadomie się oszukiwała, sama sobie zakładała pętlę na szyję i śmiała się z ludzi... nie zajmowała się ludźmi, żeby nie zajmować się samą sobą... to w głębi serca rozumiała, że należała do stanu półwol-nych; jakkolwiek by sama siebie przekonywała, że jest*



*dzieckiem z zamku, to jej życie i tak upłynie w służbie i postuszeństwie, jeśli nie będzie się wic i szkalować innych, schlebiać tym, którzy stoją ponad nią, i kopać tych, co są niżej od. niej. Każdego ranka czuła na nowo, że ciągnie ją do centralnego punktu ter-muren, do zamku, i szła do lasu, gdzie było cicho i gdzie budziła się 10 niej tęsknota za tym, co było wzbronione... pewnego razu zobaczyła tam 2 młodych panów z zamku płynących kajakiem w dół strumienia pokrytego zieloną rzęsą: wyobraziła sobie, że w kajaku omawiane są sprawy, które dotyczą jądra Życia, czyli tego, nad czym ona rozmyślała, nie mogąc osiągnąć przejrzystości... Och, nie widziała niczego prócz oczu starszego z nich, achillesa, oczu większych od jego twarzy, większych od tego świata, w którym pragnęła zginąć. Słyszała, jak mówił, że wszystko wydaje mu się smutne. Słyszała, jak mówił: weźmy na przykład miłość, o której moim zdaniem powiedziano o wiele za dużo bezsensownych słów, podczas gdy nie ma się odwagi nazwać tej jednej jedynej rzeczy, do której się ona sprowadza... i nazwał ją, ale po francusku... było to słowo, które ondyndyna знаła stąd, że monique-ze-szkoły napisała je kiedyś bardzo prędko na piasku i zaraz starła. To okropne, jak ludzie są ciemni, mali i podli, powiedział achilles... i zapomniał o wiosłowaniu, odpowiedzi jednak nie otrzymał: drugi brat, norbert, miał dopiero 17 lat, ale czuł się zmęczony i stary. Lecz jeśli by ondyndyna nie była w lesie, tylko na polach wzdłuż toru kolejowego, to znów spotkałaby achillesa i innych synów bogatych ludzi: lubili się oni włóczyć po zapuszczonym parku i może myśleli, że pola wokół ter-muren też są częścią parku, i strzelali z karabinka do wszystkiego, co się ruszało... ale najbardziej lubili stawiać karabinki w kacie chłopskiej gospody i uwodzić chłopskie córki: norbert nigdy nie brał w tym udziału, był marzycielem, nie mógł znieść widoku martwych zwierząt ani krwi i twierdził,*

że jest chory, żeby móc pozostać w łóżku i zabawiać się swoim ciałem. Inni panowie ciągnęli od wsi do wsi i odkryli kiedyś gospodę **Chrystusa**, majstra z przędzalni jilatura... ale nie chcieli tego piwa, które pili biedni ludzie, i sprowadzili specjalne beczki... a gdy zapomnieli zabrać jakąś butelkę, to biedni ludzie natychmiast ją opróżniali. O, gdy byli tam panowie, to ondyna widziała, jak wieczorem bardzo wcześnie zamykano okiennice i trzymano młode dziewczyny w ukryciu... bo późną nocą, gdy już czekały powozy, uganił się oni po wsi, wybijali wszystkie **okna** i uwodzili każdą młodą dziewczynę, którą udało **im** się oderwać od matczynej spódnicy: tak, nie mieli trudności z tymi dziewczynami, które nigdy nie widziały niczego innego, prócz ustępów przędzalni jilatura i nigdy nie słyszały niczego innego jak nieszpory i roraty, i że lenistwo jest źródłem wszelkiego zła... a teraz diabły przyszły same i upijały je piwem, którego one tylko raz w swoim życiu miały okazję się **napić**.  
**PRZYGNEBIAJĄCY DZIEŃ**

W tym przygnębiającym dniu maszerujesz do 1-szych brudnych domów miasta, bo dosłownie czujesz taką potrzebę, żeby na 5 minut uciec od ludzi i rzeczy: i chociaż wagon mieszkalny z dziewczyną, co ma tłuste pośladki, który stał za zamkowym strumieniem, już dawno jest daleko, **D A L E K O** i bóg wie gdzie teraz zmusza krew komiwojażera jaspersa do galopu... i chociaż odjechali już: wagon mieszkalny i dziewczyna z tłustymi pośladkami, ty siadasz w swoim przygnębieniu na zdeptanej trawie i walających się wokół blaszanych puszkach po konserwach i 1 tchem zwalasz wszystko,

co ci leży na sercu: siedzę tutaj i nie żyję i nie piszę i nie myślę i tylko jestem przygnębiony... gdzie ty jesteś i gdzie jest mossieu colson z ministerstwa, gdzie johan janssens, dziennikarz z gazety codziennej, i gdzie malarka tippetotje, gdzie profesor kpiydom i gdzie on-dynka z ter-muren? To są widma, dziewczyno z tłustymi pośladkami, to są nie istniejące widma. A ty sama, która nie czytasz tej powieści o drodze z kapliczką, a mimo to jesteś jej bohaterką, sama nie wiesz, że istniejesz... nie istniejesz i dlatego ja jestem przygnębiony: piękni ludzie, o których piszę, nie istnieją, a pisaniem

**0** brzydkich, którzy mnie otaczają, jestem już zmęczony

1 dlatego właśnie jestem przygnębiony. Rzeczy, które mnie otaczają, stają się za twarde i za ostre, i zbyt

<sup>1</sup> tnące, wszystko to jest stal i beton, i szkło, i rozszcze-**t** pione atomy, i moja żona znowu ma nerwicę — to choroba współczesnego człowieka, dziewczyno z tłustymi pośladkami, choroba, której ty nie znasz, bo ty się wypinasz na ten świat i śmiejesz się, i odjeżdżasz — dawniej tu w ter-muren mieli ospę, a teraz mają nerwice, i jedno to jedno, a drugie to drugie, i to dlatego jestem przygnębiony. Dawniej mieli ospę i żyli w nędzy, a teraz mają nerwice i nadal żyją w nędzy: dzisiaj, dziewczyno z tłustymi pośladkami, po raz 3 w życiu nie mam nawet na papierosy i to dlatego jestem przygnębiony. A tymczasem świat, ten wielki atom, rozszczepia się na ideologię, ale równocześnie kontynuuje się literaturę rokokową jak nie kończący się zbiór wszelkich różności: w połączonych fotelach mówi się o niej z Dużej litery i w czwartkowych dziennikach pisze się o niej, bo każdy się na niej zna i mówi o niej to, co ma do powiedzenia... tzn. to, co mają do powiedzenia papugi, które bez końca trzaskają dziobami... podczas gdy rzeczywistą wartość, dziewczyno z tłustymi pośladkami, może zmierzyć jedynie moja żona, która przez to zapadła na współczesną chorobę współczesnych

czasów, na nerwicę, i która poza zwierciadłem swoich oczu czuje żal, że nie potrafię zapewnić sobie takiej czy innej synekury i dlatego ja jestem przygnębiony. Bo nadal chodzę z otwartymi oczami i wszystko zapisuję, ale to, co robię, ma niewiele do rzeczy i tylko sobie robię wrogów: to jest s.o.s. i ostatni krzyk o ratunek, dziewczyno z tłustymi pośladkami, co siedzisz w swoim domu na kółkach. I co szorujesz schodki i pobudzasz do szybszego krążenia krew komiwojażera jaspersa: nigdy nie ucz się czytać, nigdy nie ucz się pisać, nigdy nie ucz się patrzeć na świat moimi oczami, ale nadal podpisuj każdy papier krzyżykiem... i mów przy tym ze śmiechem, jak zwykłaś do tej pory mówić: widzisz, a kiedyś narysuję ładny wiatrak. Narysujesz ładny wiatrak, bohaterko moich bazgrołów, a ja wrócę do moich papierzyk i będę dalej pisać bez papierosów... i być może pokonam swoje przygnębienie.

### *MARZENIE LISA*

Łatwo mi mówić, że lis osmalił sobie na zapiecku golenie, i że żal zżerał jego serce: to był dobry koniec dla opowiadki. Tymczasem jednak życie musi toczyć się dalej, a w nim hermelina musi smażyć mięso i kupować masło, a równocześnie płacić za czynsz, opał, wodę i prąd. O swoich przypadkach z jednookim, który nadał mu prawo polowania, ale sam żądał łupu... i swoich przypadkach z isengrinusem, który wielce go wychwalał, ale społeczeństwu świętych i nihilistów ukręcił kark i zeżarł je... plus ten martwy chłop, w rowie przy drodze z kapliczką, który wciąż leży na swojej wątrobie... o tym wszystkim mógłby zaiste napisać ciekawe opowieści, ale że tymczasem jego zgłodniały pomiot pod

gryzał jego zasrany ogon, to nie warto było nawijać pięknych słów na ten trzeźwy fakt: znów mnie wystawiono do wiatru... oto koniec jego wieczornej modlitwy. I po nocy, w której leżąc to na jednym boku, to znów na drugim, rozmyślał aż do ogłupienia, zasnął nad ranem i śniły mu się różne poplątane bzdury, w których ojcowie z króliczej góry stali się drewnianymi postaciami surrealistów... po tym, jak ogłosili przecherę przewodniczącym republiki Negacji. Potem naciągnęli mu na łeb czerwoną spódnicę całą w dziurach, tak że dusił się w białej kryzie, którą była obszyta; sny to omam, ale jak narobisz do łóżka, to namacalny fakt... i kiedy lis nagle się obudził, ujrzał przy sobie śmiejącą się hermelinę, która szturchała go w bok, mówiąc: wrzeszczałeś, koniec ze mną. Ale lis nie potrafił się z tego śmiać wraz z nią, przez tę melancholię z powodu nowego dnia i bóg wie jakich przygód, przysunął się blisko ciepłego ciała baby, której mógł się wypowiedzieć ze swego snu... i jakkolwiek jego krew szybciej zaczęła krążyć na widok jej pięknych oczu, które patrzyły na niego z przestachem, to jednak jego umysł nie mógł zlekceważyć danego przez nią wyjaśnienia tego snu: czerwona i poszarpana suknia to jego własna skóra, a biała kryza to zęby wszystkich tych, którzy byli gotowi wołać „niech żyje przechera”, aby w międzyczasie go pożreć. Ale to nic, powiedziała hermelina, znam przeciw temu cudowny środek, co pozwoli ci ciągle mówić tak, które równocześnie mogłoby oznaczać nie... aby jednym okiem płakać razem z każdym, a drugim go wyśmiewać... aby swoimi ustami przysięgać na boga i wszystkich świętych, ale nigdy nie dawać potwierdzenia na piśmie. Lis przechera przełknął ten napój i wyruszył w drogę, wsadziwszy przedtem do kieszeni dowód tożsamości, świadectwo moralności i obywatelskiej lojalności, i numer rejestru handlowego... i pierwsze, co ujrzał, to wrona, która siedziała sama samiu

teńka i drapała się. Szybko się położył i rozłożył ręce, zamknął oczy i wywalił język z pyska..., a wrona, która pomyślała, że znowu zabito lisa, przełknęła ślinkę i przysiadła obok. Lecz on, ze swoim cudownym napojem, który pozwalał mu mieć jedno oko zamknięte jak trup, ale drugie mieć otwarte jak szparę w drzwiach do kaplicy w ter-muren, skoczył i złapał ją. I nie mówiąc ani słowa, ani nie czyniąc znaku krzyża, przełknął swój poranny posiłek: nie był to zły sposób, żeby zacząć ten dzień i nowe życie, johan janssens.

### *MOJE ZBOLAŁE WNEŹTRZE*

*Ondyna nie mogła spać, wiedząc, że achilles zabawia się w nocy z innymi panami, ubrała się potajemnie i wymknęła niepostrzeżenie na ulicę. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu na widok tych pijanych dziewczyn, które nie mogły utrzymać się na nogach i rzygały do rowu. Ukryta w ciemności kolo gospody patrzyła na pomazańców bożych, w płaszczach podbitych jutrem, w powozach z luksusowymi końmi: ona sama była niewidoczna, ale gdyby ktoś zajrzał do tego ciemnego kąta, znalazłby tam ondynkę, która już nie skrywa swego serca pod skrzyżowanymi rękami, ale podniecona podtrzymuje swoje małe piersi obiema dłońmi, jakby chcąc je ofiarować tym panom w powozach. Panowie jadą, śpiewała. Była to pieśń radości życia... nie, to sięgało jeszcze głębiej, to była modlitwa; ksiądz odmawiał ją na ambonie, mruzczał podnosząc w górę hostię, wypowiadał, gdy zwracając się ku wiernym czynił znak krzyża nad ludźmi z ter-muren: ite missa est, dziś wieczór przyjeżdżają panowie! I ondyn-ka śpieszyła na dwór, o wiele za wcześnie, aby nasłu*

*chiwać głuchych uderzeń kopyt po błotnistej drodze i dzwonienia dzwonków: pewnego razu achilles ivyszedł z powozu z jakimś innym panem, którego oczy paliły się... tak, dosłownie paliły się do ondynki... i to mimo że jej pragnienie kierowało się właściwie ku achillesowi, z oczami wielkimi jak świat, poruszyły ją rozpalone oczy tego drugiego: po raz 1-szy została zauważona przez mężczyznę, chociaż właściwie była jeszcze dzieckiem z głupimi warkoczykami na plecach. Głęboko to nią wstrząsnęło, właściwie zraniło ją... gotowa byłaby umrzeć od takich ran. A ponieważ inni wcale jej nie dostrzegali — tego dzieciaka — a w dodatku rozmawiali po francusku, święcie przekonani, że mogą wtedy mówić, co im się podoba, usłyszała, że był on synem libertyna pana gourmonpreza; mężczyźni z libertyń-skiej tkalni labor pobili się z mężczyznami z encyklicz-nej przędzalni filatura tak, że leżeli potem jak martwi... dziewczyny z ter-muren były wyklinane i nie mogły dostać rozgrzeszenia dlatego, że późnym wieczorem, leżały to lasku z mężczyznami z laboru: a teraz ondyna słyszała, że synowie z laboru i filatury byli przyjaciółmi i że zwracali się do siebie po imieniu; on miał na imię ludwik.*

### *TO WIOSNA*

*On miał na imię ludwik... ondynka smakowała to imię jak wino i mgliście przypominała sobie ten czas, kiedy żałowała, że nie jest chłopcem i nie może służyć do mszy świętej; teraz służyła do świętej mszy synów bogaczy. I natychmiast zapomniała, jak walczyła ze sobą, żeby nie patrzeć mu w oczy; zauważyła, że coś się o niej mówiło, gdy równocześnie pan achilles taksował ją wzrokiem: zawstydzila się, że taksowano jej*

*młode ciało jak ciało zwierzęcia... a jednak pan achilles kiwnął na nią i ondyna podeszła z wahaniem bliżej, stała pomiędzy nimi zmieszana i z walącym sercem, nie rozumiała ich francuskiego... usiłowała sobie przypomnieć, co oznacza dane słowo, przeszukiwała wytrwale swoją pamięć, ale nie mogła znaleźć, a tymczasem oni wypowiedzieli już wiele innych słów; pan achilles trzymał ją za warkocze, chociaż to nie on pierwszy ją zauważył, ale jakby widział i rozumiał, że jej serce rwie się do niego: och, jak ona go kochała-kochała-ko-chała już od tych dni, kiedy śmiał się z niej spoza zamkowego płotu. A jednak ten drugi, ludwik, wydawał się mieć do niej prawo, ponieważ to on pierwszy ją zauważył: żałowała tego i kierując swe gorączkowo żarzące się oczy na ludwika, chciała do niego zawołać wyschniętymi ustami: to ten, z tymi pięknymi oczami, ma prawo mnie osiąść. I kiedy ją puszczono, natychmiast ruszyła biegiem, aby gdzieś w ustronnym miejscu uspokoić swe łomoczące serce: było to do tego stopnia oszalamiające, że wyobrażała sobie, iż nigdy nie będzie mogła przeżyć innej przygody, ale dni mijały, wrażenia się rozwiewały... i coś w niej domagało się nowszych i mocniejszych wrażeń... suche miejsce, wypalona pustynia domagała się ulewnego deszczu... ondyna chodziła po drodze z kapliczką albo wzdłuż torów biegnących przez pola ze sznurem szklanych paciorków na szyi i skórzaną torebką na ramieniu, którą tak długo skrywała na strychu, i nieomal płakała, że nigdzie nie widać panów. Kiedy między nimi stała, prawie jej widać nie było, taka była młoda i mała, ale jej miłość była ogromna i wznosiła się tak wysoko, że ondyna gotowa była się rozerwać: aby pozwolić mu napić się mojej krwi, pomyślała. Była zmęczona, była przestraszona, kiedy wracała do domu spoza niczyjego lasu wzdłuż 1-szych brudnych domów... i późnym letnim popołudniem, kiedy każdy gdzieś wychodził, by szukać tego, co*



*nie było mu dane, zakradła się na strych, aby zobaczyć, gdzie pan ludwik ją dotykał: był to 1-szy raz, że odważyła się obejrzeć swoje własne ciało: tutaj mnie dotykali, pomyślała... bo myślała o nich obydwu, nie umiała sobie wyobrazić pana ludwika z tkalni labor bez pana achillesa z przędzalni jilatura.*

### *PIĘKNE I WZNIOSŁE*

Zebranie znów odbywa się w pełnym składzie i mos-sieu colson z miństerstwa żartuje, że niech ci, których nie ma, podniosą rękę... ale kantyczny nauczyciel nie potrafi się z tego roześmiać, ma w głowie inne zmartwienia: napisałeś dopiero co, powiada, że *ondynka po raz 1-szy obejrzała swe własne ciało i powiedziała: tu mnie dotykali...* A zatem jeśli pytasz o moje zdanie: mam coś przeciwko takiej prozie, niedługo w niczym nie będziesz ustępować tej malarce tippetotje: gdy widzę obrazy tippetotje i wychodzę na dwór, to mam wrażenie, że pierwsza z brzegu kobieta, którą napotkam, będzie naga... piszże prozę piękniejszą i bardziej wzniosłą. I słowa kantycznego nauczyciela ranią cię jak drut kolczasty wokół zamkowego lasu; bo aby odmalować ondynkę jak żywą, pisałeś mając przy sobie fotografię maryjki — na co twoja żona trochę się zżyła — i zapisałeś wszystko, co przydarzyło się jean-nince... a o tych przypadkach jeanninki umyśliłeś sobie napisać oddzielny kawałek, dopiero wtedy kantyczny nauczyciel wywali gały! I johan janssens kiwa potakująco głową... ale kiwa zarówno do ciebie, jak i do kan-tycznego nauczyciela... i mówi tak: no dobrze, te przygody maryjek i jeanninek, a więc oczywiście i ich powieściowego odbicia — ondynki, istnieją... ale po

patrz tylko, pisarzu, co z ciebie za człowiek, gdy wczoraj szedłeś ze mną przez wielkie miasto i nie mogłeś powstrzymać się od śmiechu, zerkając co chwilę na te kioski, w których sprzedaje się wszelkiego rodzaju tygodniki drukujące na 1-szej stronie bardzo ładne dziewczęce główki; i pośród tych niewiarygodnych piękności pustka kiosku, w której siedzi kobieta sprzedająca te tygodniki: bardzo brzydka baba, która swoimi czarnymi paznokciami zgarnia z białej gazety do swojego brudnego fartucha kilka centymów. A ponieważ ty się śmiałeś, to i ja oczywiście śmiałem się razem z tobą... ale właściwie wydało rai się to smutne: smutne, dlatego że rzeczywistość nigdy nie jest tym, co chcą nam wmówić książki, religie, partie i reklamy... i dlatego dobrze, że w tych swoich zapiskach kładziesz na to nacisk... ale jeśli dobrze pamiętam, to pamiętam, że zapisujesz niewiele więcej prócz tego wszystkiego, co jest brzydkie i podłe, złe, zdeptane i brudne... i nie proszę cię, jak kantyczny nauczyciel, żebyś pisał ładniej i wzniosłej, ale pytam cię, kiedyż wreszcie to, co piękne i wzniosłe, pojawi się w twoim pisaniu; gdzie to się podziewa?

A ty pochylasz głowę i milczysz, i rzeczywiście zastanawiasz się: gdzie to się podziewa? I mocno sobie postanawiasz poprawić się w życiu i zarazem zapisywać wszystko to, co wydaje ci się ładne: lecz tymczasem zastanawiasz się, czy właściwie nie uznasz za ładne tego wszystkiego, co jest brzydkie?

### *KOLEJNA MASKA*

Gdy siedzisz i piszesz „piękne i wzniosłe”, uroczyście dzwonią do drzwi, i gdy twoja żona idzie otworzyć, stoi w nich profesor kpiydom... z kim mamy zaszczyt?...

a on widzi ciebie, jak siedzisz pochylony nad tym swoim, „pięknym i wzniosłym” i woła: do diabła z nimi, tymi pisarzami, już mnie więcej nie obchodzą ich kłamstwa; dzisiejszego dnia o danej godzinie są w danym nastroju... powiedzmy nastroju a.z. 4007... i zaczynają powieść. Ale jutro i pojutrze, i przez cały rok przebijają się przez wszystkie inne możliwe i niemożliwe nastroje, ale ze względu na swego bohatera są zobowiązani za każdym razem na nowo układać się według nastroju a.z. 4007 i wywołują przez to śmieszne pozory, że są niewzruszonym bogiem, który jest wieczny i niezmienny. Ja, jako człowiek nauki, oczekuję od pisarza, aby czarno na białym udowodnił, że jest zwyczajnym człowiekiem: który dzisiaj był świadkiem czegoś bardzo tragicznego, lecz jednak położy się i będzie spał, i nawet trochę chrapał... albo który dzisiaj słyszał dobry kawał i serdecznie się uśmieł, a mimo to może mieć bezsenność, w której krążą zjawy; kimś, kto ciągle pisząc udowadnia, że jest zwykłym człowiekiem z takim czy innym zwyczajnym kompleksem... bo do mnie nie trafia to, że zwykły człowiek w normalnym świecie może pragnąć pograć się w nierzeczywistym świecie z papierowymi zjawami. Oczekuję od pisarza, aby mi w swoim dziele zademonstrował, jakie zboczenia erotyczne gnębią jego serce i umysł ■— bo jeszcze raz powtarzam, normalny człowiek żyje i działa i nie rozgląda się, lecz w fałdach nerwowo chorego mózgu erotyka wyczynia z konieczności swoje fantazyjne harce — ale precz z nim, jeśli on nakłada sobie maskę i zaczyna pisać o „wzniosłym i pięknym”. I profesor kpiydom patrzy na ciebie i pyta: pisarzu, co masz do powiedzenia na swoją obronę? A ty odpowiadasz: profesorze kpiydom, niech pan będzie łaskaw wziąć pod uwagę to, że nie jestem członkiem stowarzyszenia literatów, a więc nie mogę zostać zaklasyfikowany do kategorii, którą raczy pan określać: zwariowani poeci, anormalni literaci... lecz że moje nie

pryzwoite sny mają swój początek w przyzwoitym życiu, tak jak u każdego, z tą różnicą, że u pana i u innych te sny znów pogrążają się w głębokim dole podświadomości, a u mnie jest tam papier do pisania, I jeśli teraz oczekuje pan ode mnie, abym panu zademonstrował, że jestem nienormalnym, który wie, że jest nienormalny — i przez to bardzo niebezpieczny ■— gdyż posiadałem sztukę zakładania sobie 100 masek, by prostodusznego czytelnika wywieść w pole — jeśli tego pan ode mnie oczekuje, to sam muszę zacząć analizować moje sny, moje opowieści. Lecz profesor kpiydom czyta- „piękne i wzniosłe" i odpowiada z gorzkim, sarkastycznym śmiechem: miałeś już 99 masek, za którymi skrywała się twoja anormalna istota, ale ta szczerść w twojej pisaninie jest twoją 100 maską. I zatrzaskuje drzwi i odchodzi.

#### WARKOCZE

*To, że ondyna ciągle teraz milczała, nie było żadnym religijnym obłędem, to było bardziej misterium miłości, które odbierało jej mowę... myślała, że każdy po niej widzi, jak ona kocha pana achillesa... kocha? nie, należałoby lepiej powiedzieć: jak jej ciało domaga się zaspokojenia. Minęła domki stojące wokół kapliczki w ter-muren i usłyszała, jak ktoś otworzył drzwi, i instynkt jej podpowiedział, że chciano do niej zagadać, że chciano być może coś powiedzieć o panach, którzy ją obmacywali, i zobaczyć żar w jej oczach; ondyna, zawołał ktoś... Ale jednak instynkt ją oszukał, bo chodziło o to, czy jej ojciec nie mógłby przyjść naprawić gołębnika. Spojrzała na tego człowieka: był szczupły, trochę przygarbiony i miał wąsy, które opadały równie*

*bezsilnie, jak i wszystko inne w jego ciele; ondyna zaśmiała się w duchu: oto ludzie, nad których nie można się wynosić, jeśli nie użyć rozumu, pomyślała. I uświadomiła sobie ze źle skrywanym zadowoleniem, że zwisa nie tylko jego wąż i ramiona, jego głowa i ręce, ale tam, między nogami, też musi być TAK samo. Zapytała go o to po francusku, ale on jej nie zrozumiał; z całą pewnością zaczął teraz myśleć, że jest taka sama jak jej matka, i wszędzie będzie opowiadać, że ondynka vapeura jest głupia: mówi już do nas po francusku. Masz iść zreperować gołębnik, powiedziała ojcu i znowu pogrążyła się w milczeniu, wzięła podręcznik francuskiego i uczyła się, uczyła... i nagle przypomniała sobie, że już kiedyś miała taki okres milczenia, choć była to pokuta, wy pływało to z jej wiary... ale gdy się głębiej zastanawiała, musiała przyznać, że to znów wy pływało z wiary... tyle że w inne niebo i innego boga... albo nie, był to zawsze ten sam bóg, bóg encyklikierów i libertynów, bogaczy, którzy zmuszali biedaków do pracy przez 10 i 12 godzin nieomal za darmo i powiadali, że lenistwo jest źródłem wszelkiego zła; różnica tkwiła nie w bogu, lecz w ondynie, która stała się praktyczniejsza w stosowaniu tego, czego się kiedyś uczyła... nie modlitwą i poszczeniem osiąga się niebo, ale nauką francuskiego, miłowaniem panów i zezwalaniem na dotykaniu jej młodych piersi. I podczas gdy poprzednio wstydziła się za ich kuzynkę, która chodziła bez majtek i miała brudne sople pod nosem, teraz zaczęła się nią szczyścić: jej kuzynka mieszkała w domu, do którego panowie przychodzili się zabawiać; jej kuzynka była córką chrystusa, byłego majstra w przędzalni filatura. Zaczęła odwiedzać kuzynkę w domu, początkowo wchodząc tylko na chwilkę i zaraz wychodząc, żeby w końcu móc tam przesiadywać całymi godzinami bez rzucania się w oczy. Ponieważ jednak kuzynka była jeszcze dzieckiem, które bawi się gałgan*

*kami, ondyna musiała się dostosować do jej 13 lat i znów wyciągnąć z kąta swoją szmacianą lalkę; bawiła się na podłodze gospody i znów siedziała w kucki. Ale w niedzielę, gdy mieli przyjechać panowie, jej rachuby wzięły w łeb: kuzynka musiała iść spać, a ona została wysłana do domu; stała w swojej nocnej koszuli płacząc ze złości i żalu. Ale gdy tylko jej brat walerek zasnął, wyszła z łóżka nad słuchując oddechu ojca i matki, i zeszła na dół, żeby znów się ubrać: i nagle przyszło jej do głowy, żeby rozczesać swoje warkoczyki z kasztanowych włosów; trudno było wprost uwierzyć, jak dojrzałe i pięknie wyglądała z rozpuszczonymi włosami. Kręciła się wokół gospody słuchając wszystkich rozmów, przekleństw i śmiechów, tak długo, aż nagle znalazła się w strudze światła padającego z otwartych drzwi, gdy panowie wychodzili: pan ludwik zauważył ją i zawołał do pana achillesa: popatrz no, kto tu stoi! Oglądano ją ze wszystkich stron i nie wiedziano, co za zmiana zaszła: to jej warkocze, zaśmiał się pan ludwik i pocałował ją za to, że była tak grzeczna i czekała tutaj na nich... pan achilles jej nie pocałował... na pewno nie miał odwagi, pomyślała.*

#### *W NAWIĄZANIU DO TEGO I OWEGO*

Johan janssens, poeta i dziennikarz z gazety codziennej, oświadcza: w nawiązaniu do tego, co przedostatnim razem mówiliśmy o pięknym i wzniosłym, i gdzie to się podziewa... jak również w nawiązaniu do maryjki i jeanninki, o których przygotowujesz studium... i z kolei również w nawiązaniu do ostatniego opowiadania o on-dynie, w którym rozczesała ona swoje warkoczyki w kasztanowy wachlarz... plus do tego i po raz ostatni

w nawiązaniu do obietnicy, którą złożyłem, że kiedyś przedstawię fragment reportażu, który został w redakcji odrzucony, ponieważ wszyscy byli po uszy pogrążeni w walce wyborczej... i w nawiązaniu do tego wszystkiego przytaczam tu kawałek owego reportażu, a jest on zatytułowany: szpulka:

koło 11 w sali tanecznej van dyck przeciąga się jeszcze ostatni taniec i dziewczęta tańczą trochę sztywniej, już w płaszczykach i szukając w swoich torebkach biletu tramwajowego: jutro będą stać u nestora martin, a w południe będą opowiadać, och, jak się wczoraj wspaniale zabawiły, I kiedy opuszczając salę schodzą na dół, po stromych, drewnianych schodach, to stoi tam murzyn ze swoimi cukierkami od kaszlu i obrzmiałej piersi wołając i wywracając gały i łapiąc za nogi na schodach. One się opędzają i jego cukierki turlają się po ziemi, ale on się tym nie przejmuje, wkłada je swoimi czarnymi rękami z powrotem do papierowych torebek. A potem dziewczyny śpieszą na wysepkę tramwajową, gdzie stoją drżące w chłodzie wieczoru. Wieczoru w brukseli. Ale są tam jeszcze takie, które wstępują do lokalu, gdzie jeszcze tańczą, wciąż jeszcze tańczą i tańczą, podczas gdy na niewielkim podwyższeniu ktoś już przysypiając przygrywa na akordeonie, a ktoś inny, z pomalowaną na biało twarzą, żeby wyglądać trochę zgrywniej, bębni w poustawiane w szeregu butelki — lecz gdy na chwilę przestaje bębnić i patrzy na salę oparłszy rękę na biodrze, zapomina, że twarz ma pomalowaną na biało. I od czasu do czasu trafia się pomiędzy tymi tańczącymi dziewczętami dziecię z oczami anioła i nogami gwiazdy filmowej i ustami, na widok których termosowi na pianinie i murzynowi z jego cukierkami i pomalowanemu na biało mężczyźnie na podwyższeniu zaczyna brakować tchu — o boże, to nieładnie wypuszczać takie dzieci w dżungłę brukseli — i węszący sutener, który nie śmie wyglądać inaczej

niż tak, jak rysował go George Grosz, „niebrzydki, lecz ze zbyt blisko osadzonymi oczami jak u fałszywego walońskiego filmowego kochanka i z przebijającym poprzez ubranie członkiem”, ten sutener trochę z nią tańczy i obiecuje bóg wie co, i trochę ją upija — taxi — a kiedy zaskakuje ją szary poranek, ona przypomina sobie dom swojej matki, do którego nie ma więcej wstępu, ale to nic, on zna inny dom, w którym będzie szczęśliwa i zarobi dużo pieniędzy niewiele robiąc, wystarczy tylko, żeby była trochę miła. Jeśli chodzi o resztę, to wszystko jest nadal bez zmian, każdy musi się troszczyć o to, żeby zarobić na chleb i opłacić podatki. A przy tym dziewczyna, która jest za ładna, żeby pętać się po Brukseli, zapewne spotka jeszcze swoją matkę. W sali Van Dyck, w Bobino i u Spillenmackersów nie zauważa się, że jedna ubyła albo że jedna przybyła.

### *TRZYMAJ ZŁODZIEJA*

Właściwie uroda fortelu mogłaby przynieść nieco więcej niż parę żałosnych wronich piór, ale niech tam, pomyślał lis, może z wielu piór będzie jeden duży kawałek mięsa. I gdyby nie wiedział, że zgorzknienie jest chorobą taką samą jak każda inna, to może by się mścił na swoim wuju Isengrinusie, który nasrał na duszę lisa przez chery... ale teraz tylko się krzywo uśmiechnął... i ujrawszy dom wuja, zrobił takie gały jak ktoś, kto ciągle poszcząc wraca z pielgrzymki do matki boskiej w Ter-muren... i 1-szą osobą, na którą spojrzał, była kobita wilka, doskonale wiedząc, że baby są czułe na oczy smutnego chłopca: ojoj, mój lisku, co ci jest? i wylazła z łóżka, i szybko poprawiła włosy, i już wolniej usmażyła dla umierającego lisa trochę nerek...



niedużo, bo współczucie było tańsze... on jednak nie chciał nerczek, mając na widoku ukradzione mięso, które wyśmiewało się z niego wędząc się w kominie. Czy uwierzyłbyś, wuju, że twoja szpyrka tam niebezpiecznie wisi, wiesz, jacy ludzie są dzisiaj! Phi, odpowiedział isengrinus ze swoją tępą gębą, wiem tyle, że wielu będzie mogło na nią patrzeć, ale niewielu jej spróbować. Jakże tak, zapytał lis, ale on już swoje wiedział... a jeśli pątnik do ter-muren poprosi cię o trochę? Za prośbę nic nie płacisz, a odmowę masz gratis, odpowiedziała natychmiast hersinda... bo to była wiedźma, naprawdę, przez 1 chwilę mogła być wzruszona, a przez 59 innych była taka, jaka była zawsze: pazerna, skąpa kanalia hersinda. Przechera bardzo uprzejmie ujął w dłoń swój ogon, podziękował wylewnie za nie-wylewne nerczki i już w drzwiach powiedział jeszcze: gdybym był na twoim miejscu, to zdjąłbym mięso z pieca i wszystkim opowiadał, że mnie okradziono. I jeszcze noc nie zapadła na dobre, gdy lis wdrapał się na dach i dał nogę przez komin razem z mięsem swego wuja przeistoczonym we wspólne mięso przechery... A kiedy nastał dzień, to co się działo?,, „moja" szpyrka, którą prawowicie ukradłem lisowi, który ją ukradł chłopu, który ją ukradł świni...! I głos wilka wznosił się coraz wyżej po skali muzycznej aż do najwyższego szczebelka i załamał się... moja szpyrka! zabrzmiało to idiotycznie... i wszystkie jego dzieci wybuchnęły śmiechem, ale natychmiast dostały po uszach od hersindy, która na powrót podjęła zerwaną strunę głosu swego męża, wciąż krzycząc: łapać złodzieja! Na to wszedł lis i zapytał swą piękną ciotkę, co się dzieje: och, chłopie, odpowiedział wilk, nasza szpyrka, która tu wisała i suszyła się, żeby później zostać uczciwie podzieloną, no wiesz, skradziono ją. Lis pokiwał głową i powiedział: tak jak mówisz, jest dobrze, tylko powinienes krzyczeć jeszcze głośniejsze. Ale... powiedział

wilk i zamilkł bezradnie... Ale... i znów wziął się w garść... Ale to prawda, skradziono ją nam! skradziono ją! Na to przechera roześmiał się: teraz już lepiej, to jest właściwy ton, ale ja ci mówię, mnie nie musisz przekonywać, ja dobrze wiem, że skarży się wielu, którym zupełnie nic nie dolega... ale gdybym był na twoim miejscu, nie robiłbym takiej dziury w dachu, teraz musisz jeszcze zawołać murarza. Ale wilk rzekł z goryczą — bo to nie jemu me. pinak powiedział, że zgorzknienie jest taką samą chorobą jak każda inna — gdybym wiedział, kto mi to świsnął, to już on by tego pożałował. Być może zrobił to prezydent naszej Republiki, wyraził takie przypuszczenie lis i ze śmiechem poszedł do domu, gdzie zapach pieczonej szpyrki mile łechtął jego nos i podniebienie, johan janssens.

### *LOKI*

*W następną niedzielę ondynka usłyszała, jak Chrystus mówi, żeby zabrały swoje lalki i poszły spać... ale tylko co zdążyła wejść do domu, gdy do drzwi zapukali panowie, którzy przyszli zabrać ją z powrotem: nie widzieli, jak ją odesłano do domu, i jej ojciec va-peur patrzył w milczeniu, jak jego córce rozpuszczono włosy, wyczesano je i zawiązano na nich kokardę, i jak ją poprowadzono do gospody; a on nie miał nic do powiedzenia... był przy tym zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek powiedzieć. W gospodzie musiała usiąść panu ludwikowi na kolanach i pić wino; było tak, jakby naprawdę po raz 1-szy w życiu przystąpiła do komunii. Pomału ich poznawała: byli to nieprzystępni bogowie, których widziała z daleka, przez kraty zamkowego*

ogrodzenia lub przez okna powozów. Teraz czuła ich ręce i piła z kielicha, w którym oni najpierw maczali usta. Słuchała ich rozmów i czy to nie cudowne, że myślano i wypowiedziano to, o czym i ona myślała, ale czego nigdy nie śmiała wypowiedzieć... że przechodziło im przez usta ze śmiechem to, przy czym ona odczuwała skrytą przyjemność, ale musiała hamować swój śmiech ze względu na tych ciemnych biedaków z ter-muren, którzy zaraz poleciliby z tym do księdza. Był wśród nich niejaki pan glemmasson, który miał monstrualny brzuch i 3 podbródki i który ze względu na ten brzuch i te podbródki musiał się odchyłać do tyłu., albo który powiedział swojemu służącemu: przynieś no mi lustro, bo już prawie tydzień nie przyglądałem się mojej zabawie; był to brat panny glemmasson, która **miała** platfusa i była w komisji zdrowia w przędzalni jilatura; miał krótki, suchy śmiech i lubił niszczyć skromnych ludzi; wchodził do sklepu z pasmanterią i kupował tam za setki franków plus zamówienie, które szło w tysiące, i które miało być zrealizowane w następnym tygodniu... tak że drobny sklepikarzyna nie wiedział, co się z nim dzieje, wydawało mu się, że jego interes robi się o wiele za duży i wariował: **a** później przychodził glemmasson i w dr **apT/iuai** się na jego żonkę i wdrapywał się zawsze potem na córkę skromnego człeczyny i rujnował samego skromnego człeczynę, zwabiwszy go do burdelu i zmusiwszy do tego, żeby przepuścił całe zarobione pieniądze... i gdy ten mały nieszczęśnik walił w rozpachy głową w mur, to pan glemmasson śmiał się krótko i sucho. Taką właśnie anegdotę opowiedziano w gospodzie przy przejeździe, gdy ondyńka siedziała mu na kolanach: śmiała się razem z innymi, ale nie wystarczała jej sama anegdota: chciała znać nazwiska. Pan ludwik powiedział jej, że zdarzyło się to w sklepiku przy stacji, **u** boone, którego żoną była taka miła blondyneczka;

*ondyna patrzyła z podziwem na pana glemmassona, który mówił jej, że żałuje, iż nie jest średniowiecznym margrabią; bo jakby to nie było niewiarygodne, miał on swego błazna. I gdy rozkazywał temu błaznowi: rozśmiesz mnie... to ten błazen musiał coś takiego wymyślić, obojętne co, ale szczególnie coś takiego, z czego inni by płakali. Rozśmiesz mnie, polecił glemmasson i jego błazen zaproponował, żeby ondynę rozebrać, zgasić światło i w ciemności wysmarować ją szuwaksem: jednak ondyna czuła, że coś się z nią zaraz stanie, przytuliła się mocno do ludwika i zaczęła go błagać, żeby się z niej nie naigrawali. Jednak ludwik uznał to za przedni żart, ale w ciemności ktoś ją mocno schwycił i pociągnął za sobą... wymknęli się na dwór i w skąpej księżycowej poświacie ondyna zobaczyła, że to pan achilles był tym,, który ją obejmował; śmiała się i płakała, i całowała go, i zapytała, dlaczego TY nie wzięłeś mnie na kolana, nie masz pojęcia, jak cię kocham, kocham. I przez cały ten wieczór siedziała na jego kolanach jak małe, przestraszone dziecko, które nie ma odwagi spojrzeć innym w oczy.*

i

## *WIELKI ŚWIAT*

Kantyczny nauczyciel jeszcze dobrze nie usiadł, kiedy jego piękna żona lucette już gada z twoją żoną o nylonowych pończochach i o znów jakimś nowym gatunku szminki, rouge Atomie... a kantyczny nauczyciel przerywa jej, że mogą zrobić do tego bardzo ładną reklamę: świat, który wybuchą, ale zamiast rąk-i-nóg wylatują w powietrze czerwone usta... ale ona nawet tego nie słyszy i dalej opowiada twojej żonie o, no więc o nowym gatunku szminki do ust, rouge Atomie, i o maryj

ce, którą spotkała dziś rano; maryjka miała zaledwie jakieś 12 lat, kiedy już odważyła się malować sobie usta na czerwono i nie usiadła, żeby przy okazji wszyscy nie widzieli jej majteczek, i nie potrafiła stać inaczej, jak w pozycji gwiazdy filmowej; wniosek: ja Lucette byłam bardzo ciekawa, co z nią będzie dalej. A teraz maryjka ma 16 lat i uczy się krawiectwa u damy, która pochodzi jeszcze z arystokracji, i spytałam ją z uprzejmości: co u ciebie słyhać, maryjko? A ona odpowiada też z uprzejmości utartym zwrotem: och, dziękuję, dobrze, uczę się haute-couture u damy, która pochodzi z arystokracji... i nagle, aż się wystraszyłam, zaczyna szlochać i opowiada mi historię, której zapewne nie potrafi dłużej nosić w sobie — o, znów taka historia — o damie od haute-couture, co kupuje swoje modele w paryżu, 30 000 fr. za model, który po wylansowaniu w brukselskich sferach bogaczy robi się i sprzedaje tylko w 1 egzemplarzu. Co drugi tydzień odbywał się u tej damy... bardzo prywatny... pokaz mody: kombinacji, koszulek i majteczek z czystego jedwabiu, przezroczystych kosztownych koronek i tiulu... całe metry materii wokół nóg i ciągnącej się po podłodze, ale przeświecające przez to prawie nagie ciało, że aż niewyraźnie widać właśnie to. To było w czasie wojny i ten tiul pochodził z ameryki, powiedziała maria... tak, pomyśl teraz, jak i w jaki sposób w czasie wojny mógł przychodzić z ameryki tiul: może przez portugalię, może spadał z nieba, może wcale nie pochodził z ameryki. A później były schadzki starych przeżytych panów z 14-letnimi dziećmi... a czy nie należałoby powiedzieć, z dziećmi 13-letnimi?... z biuścikami dosłownie jak młode śliwki i tym, na czym zaznaczał się dopiero pierwszy młody meszek, i które w obecności tych panów goluteńkie ćmiły papierosa, podczas gdy przymierzano im bluzkę... pomyśl tylko, bluzkę, która miała kosztować 40 000 fr., i która miała być demonstrowana przez

16-letnią maryjkę... o, i unosił się wokół nich zapach nieznanego olejku, którym się smarowały: bo miały po **14** lat, ale już śmierdziały bez tego olejku... a la, maryjka nie wiedziała czym, i lepiej, że nie wiedziała. I kiedyś powiedziała tej madame, że nie lubi być przy tym, nie lubię tego, madame. Och, odpowiedziała madame, to wszystko jeszcze nic, zobaczysz w swoim życiu jeszcze wiele innych rzeczy. A teraz... I piękna żona lucette milknie, gdy widzi, że kancyzny nauczyciel i ty, i każdy spogląda na nią na wespół wyczekująco. I zakończenie jej opowiadania staje się w ten sposób ładnym zakończeniem z pytaniem: a teraz?

### *CHŁOPAK Z DIABELSKIEJ HALI*

*Ale oto o czym ondyna ze zdziwieniem rozmyślała: że nie czuła do pana ludwika nienawiści za ten obrzydliwy kawał, który chciano jej zrobić... odwrotnie, był on dla niej nadal 1-szym, który obudził drzemiącą w niej kobietą i zwrócił innym uwagę na jej urodę. I niech ją smaruje szuwaksem, niech rozrywa na pół jej ciało i duszę, to jednak pozostanie on tym, który ją posiadał i wprowadził w misterium miłości. Jednak pan achilles... och, nie wiedziała dobrze... ale... kochała ich obydwu. A miłość wydawała się jej być Słowem, którego nie wolno używać nadaremnie: jeśli wypowiadała słowo bóg, to nie oznaczało ono nieba i ziemi, bo należało unikać cielesnych przyjemności i desperacko walczyć przeciw wszelkim demonom... ale gdy wypowiadała słowo miłość, to oznaczało ono Wszystko, było czarodziejskim zaklęciem, które wiązało niebo i ziemię w jedną całość. Dowiedziała się, że liza wyszła za mąż i mieszka kątem u swojej matki, pospieszyła więc tam,*

*aby wypróbować swe uczucia na uczuciach lizy; aby zobaczyć, czy ona też chodzi kołysząc biodrami, choć rzucano jej kłody pod nogi... czy ona też odpowiada z uśmiechem, choć zwracano się do niej w sposób poniżający i lekceważący... czy ona również słyszy tylko to jedno słowo, to jedno imię wśród gburowatych i przykrych słów tego świata. Lecz miłość... ondyna wkrótce dostrzegła, że dla lizy oznacza ona niewiele więcej niż obowiązek leżenia z mężem w łóżku; cierpliwa kobieta nie sprzeciwia się oczywiście przyjemnościom męża, ale sama niewiele z tego ma, najczęściej sprawia jej to ból, tam w środku, i do tego... ma ciągle inne zmartwienia na głowie. Ten chłopak, za którego wyszła... pracował najpierw w diabelskiej hali, a teraz przenieśli go na dziedziniec, gdzie pcha wózki albo nosi bale przędzy, marznie tam na deszczu i wietrze, w zeszłym tygodniu nawet padał śnieg — rzeczywiście, ondyna przypomina sobie, że ludwik w zeszłym tygodniu wspominał o tym, żeby kiedyś, jeśli śnieg się utrzyma, przejechać się saniami wzdłuż lasów tralje-ne — no więc on marznie tam na dziedzińcu jilatury, me ma ciepłej bielizny, bo nie mogą sobie na nią jeszcze pozwolić... och, liza nie czuła się z tego powodu najniešťeśliwszą na świecie, jakby czuła się z pewnością ondyna w takich samych okolicznościach; wpatrywała się w lizę i coś w jej twarzy zasmuciło ją: gdy tak się słucha tej lizy, to co ją odróżnia od tych wszystkich innych kobiet z ter-muren? A jednak nie to, że jak inne kobiety z ter-muren mówiła ona tym samym ochryplym głosem, jakim trzeba się posługiwać w przędzalni, żeby być słyszonym w hałasie czynionym przez maszyny, było powodem smutku ondyny: wręcz odwrotnie, to był ten śmiech... słysząc go, zbyt wyraziście przypominała sobie małą lizę, z którą chodziła do szkoły, kiedy ta czuła się po dziecinnemu szczęśliwa, bo „źli zostaną ukarani, a dobrzy nagrodzeni”, ale która*

*nie potrafiła zapamiętać żadnej litery, choćby była wielka jak dom. Wczoraj była jeszcze najzwyczajszym dzieckiem z ter-muren, a teraz jest już najzwyczajszą kobietą z ter-muren... która jednak śmieje się pokazując, że ma na przodzie złamany ząb. I to było właśnie to. To ten złamany ząb wywoływał w ondynie uczucie takiej beznadziejności: jutro dziecko lizy nie będzie umiało zapamiętać ani jednej litery z katechizmu i pozwoli się przewrócić mężczyźnie, który brodzi w śniegu na dziedzińcu filatury, i będzie mu brakowało zęba z przodu. Ondyna nie mówiła o achillesie i odeszła z myślą, że jeśli chce zatrzymać swe szczęście i miłość, nie może więcej przebywać w bliskości maluczkich i pożałowania godnych.*

### *W GRUDNIU*

Teraz, gdy jest grudzień i siąpi deszcz albo wirują płatki śniegu albo wiatr robi hu-hu w twoim ogródku, ty stoisz i patrzysz na 7 czarnych gałęzi twojej czereśni i myślisz o tym Durniu, który w taką pogodę ma odwagę w płaszczu wleźć do łóżka; to dziwne, że nie potrafisz sobie niektórych ludzi wyobrazić bez słońca, a innych bez wilgoci albo grudniowego śniegu; wokół tego durnia wirują śniegowe płatki albo wiatr robi hu-hu: jego życie jest życiem złej pogody. I patrząc na czarne gałęzie swojej czereśni, powiadasz: ty jesteś całkiem jak ten Dureń, ty... A dusza czereśni, która staje się duszą durnia, zaczyna mówić i oświadcza: to, dlaczego zostałem wyrzucony z domu i jak się przez pierwsze dni utrzymywałem przy życiu, nie ma teraz znaczenia... ale nocami spałem na budowach albo w wagonie na stacji rozrządowej albo w meblowozie, który pozostawiono na ulicy na przedmieściu... i wczesnym ran



kiem ten samochód pojechał ze mną do Brukseli i tam mnie wyrzucono... jeszcze nigdy jej nie widziałem, tej Brukseli... padał tam śnieg, bo był grudzień, i szybko znalazłem sobie miejsce w poczekalni 3-ciej klasy na dworcu północnym i mogłem przenieść walizkę jakiegoś chińczyka i dostałem za to 10 fr. i pogwizdując szedłem z powrotem i nadepnałem w brudnym śniegu na portfel z banknotami i wizytówką; poszedłem tam i jakiś pan w negligie, który sam zszedł otworzyć, dał mi 2 fr. i radę, żebym sobie kupił sznurek, bo muszę być niezłym durniem, jeśli to przyniosłem — stąd też ten dureń — i ja, dureń, zostałem pomywaczem w barze przy dworcu północnym... widziałeś kiedyś w Brukseli oświetlone okno baru, gdy na dworze zamieć? i zostałem manewrowym w walcowni... i zostałem bezrobotnym, i nocą chodziłem z jeszcze jednym takim, co go razem ze mną zwolniono z fabryki, podbierać miedziany drut i z tą forszą pojechałem do Charleroi, i żyłem tam sobie grzecznie, ale tęskniłem za Brukselą... Bruksela, lampa... a ja, Dureń, ćma... i znalazłem tam robotę, utrzymanie i dach nad głową jako woźnica, i w górze na kozle mojego landa miałem czas w deszczu i na wietrze czytać gazetę: oszczędzałem trochę grosza i czasem kupiłem sobie jakąś książkę... chodziłem na wykłady i zebrania, i po niedługim czasie rozmawiałem z moimi kumplami w esperanto o przemianach społecznych... i pomogłem zorganizować strajk transportowców i znowu znalazłem się na ulicy z nogami w śniegu i grudniowym błocie... pijana baba z 6 dzieciaków zabrała mnie do domu i wziąłem się za handel i zacząłem zarabiać pieniądze... ale ona znów je przepijała... i kiedyś widzę na dworcu północnym jednego z moich najwcześniejszych znajomych i on stawiał mi tyle, że aż nie mogliśmy więcej ustać na nogach, i żeby znów zdobyć pieniądze, stuknęliśmy jakąś staruszkę w łeb, i z zawartością jej torebki — 12 fr.

i klucz — wpadliśmy podczas ucieczki do więzienia sintgilles: jak weszli Niemcy, zostałem wypuszczony, ale wkrótce włączony do transportu do Jersey, gdzie statek został ostrzelany, tak że cały przemoczony szedłem stamtąd aż do samej Brukseli na piechotę, żeby znów wylądować u pijanej baby, gdzie siedzę do dziś: najstarsze z jej młodych ma jakieś 15 lat, a ja, dureń, który nigdy nie miałem za wiele, jestem zadowolony, jak jej mogę czasem zajrzeć między nogi...

I dusza durnia czereśni w twoim ogródku milczy... ale deszcz siąpi dalej i wiatr dalej robi hu-hu w tym miesiącu grudniu.

### *DIABELSKA HALA PANÓW*

*Świat jest domem... myślała Ondyna... i w paradnym pokoju mieszkają panowie, a w oficynie przy śmietniku mieszka ludek z ter-muren... albo nie, samo ter--muren to śmietnik i nie jest to miejsce dla niej: ona najlepiej gdyby usiadła w salonie obok pana Achillesa — albo z konieczności obok pana Ludwika, bo wyglądało na to, że on nadal ma do niej prawo — aby tam zapomnieć ten smród ze śmietnika. No więc siedziała wciąż na kolanach pana Ludwika, ale nie mogła się powstrzymać... nie, nie mogła... żeby nie spoglądać w kierunku pana Achillesa: tylko po to, żeby się do niego uśmiechnąć, mrugnąć do niego i wiedzieć, że on wciąż tu jest. Przyjemność jej sprawiało, że był on świadkiem tego, jak inni ją lizali, tak jakby był kompanem, który potrafi zrozumieć, że ona musi być hołubiona przez każdego... bratem, który nie jest zazdrosny i może znieść to, że jej żądze muszą być zaspokajane, ale który ceni w niej coś innego, coś, co było w niej głębiej ukryte i o czym inni nie mieli zielonego*

pojęcia: tajemnicę, może duchowe pokrewieństwo. Niekiedy chrystus wychodził z za szynkwasu, żeby przy-siąść obok pana achillesa... inni byli już wtedy pijani i starali się zabawić najdziwniejszymi wyglupami, sprowadzali świnie do gospody i upijali ją, płacili małym dzieciom, żeby demonstrowały różne sprośności albo mówiły najgorsze przekleństwa... pan achilles zachowywał przytomność, od picia robił się tylko blady, wychodził na dwór, wymiotował i wracał, żeby słuchać Chrystusa... ten opowiadał o fabryce, że byli tam różni niezadowoleni, którzy się nie bali tego, że pójdą do piekła, ale mówili o tym, że będą żądać swoich praw. Żądać to ostre słowo, odpowiedział achilles, widziałem ich, to niedołęgi, które skomlą o niewielką podwyżkę. Oni się zjednoczą i staną się silni, powiedział chrystus i broda mu się uniosła, jakby dla potwierdzenia tego proroctwa... ale pan achilles pokręcił niedowierzająco głową: do tego nigdy nie dojdą; są na to za głupi. A ondyna zsunęła się temu czy innemu z kolan, żeby usiąść przy nich; uważała, że to głupie słuchać, jak ten był majster z labom, po tylu latach, wciąż kłapie dziobem... uważała za pyszną rzecz, że ten okpio-ny boone, który mieszka koło stacji, otwiera coś w rodzaju złodziejskiej gospody i że wszyscy ci malkontenci tam się zbierają. Och, to nie jest jeszcze najgorsze, powiedział chrystus, najgorsze jest to, że zło wkradło się aż do biur filatury: weźmy tego księgowego, człowiek po 60, który opowiada, że to prawda, iż ludzie cierpią głód i żyją 10 nędzy, i że powinno się stworzyć na przykład coś w rodzaju kasy chorych, i że to jest niesprawiedliwe, że biedacy nie mają prawa wyborczego. Ten księgowy z filatury? zainteresowała się ondyna... człowiek po 60? O, to jest pan brys, wujek monique... na pewno, powiedziała, bo każdy ci to powie, że pan brys nie ma dobrze w głowie, on mówi do rytmu. I wdzięcznie skorzystała z okazji wypowiedze

*nia swojego poglądu, że świat to dom z salonem, w którym wiszą kobierce i stoją piękne wazy, i z komórką na węgiel, gdzie wrzuca się do kosza brudy i gdzie stoi sedes; a teraz ten pan brys z pewnością nosi się z idiotyczną myślą przeniesienia śmietnika do salonu! I chciała wywołać wrażenie, że wszystko wie na temat tego, co dzieje się w jilaturze i w ter-muren i na świecie. Siedziała zamyślona obgryzając paznokcie i zaproponowała, żeby temu księgowemu dać lepszą pozycję i zwabić go kiedyś do burdelu... tak jak pan glem-masson zrobił z tym boone... i wtedy on zapomni o wciąganiu ludzi do kasy chorych; pan achilles spojrział na nią z podziwem i ucałował ją, jakby była dziewczynką, która powiedziała coś o wiele za mądrego jak na swój wiek. I w tej samej chwili ondyna zrozumiała, co ją tak do niego ciągnęło: to był jej umysł, jej spi-rite, ona miała duszę, czego inni nie rozumieli. Stali wokół niej i starali się ją ośmieszyć, byli zwykłą bandą myślącą tylko o tym, jakby się zabawić, ale nie mającą zielonego pojęcia, jakie problemy i idee spotyka się na tym świecie: byłoby lepiej, żebyście się rozumieli politycznie, powiedziała ondyna.*

#### **BEZ GŁOWY ALBO DUPY**

Powyższy tytuł służyć ma tylko temu, by rzadkiego czytelnika wywieść w pole, bo jest to historia, którą johan janssens chciał opublikować w gazecie pod tytułem „wielki świat raz jeszcze” ... w przypadku, gdyby odważyli się przyjmować tego rodzaju historie... no więc, żeby być wiernym faktom: wchodzi do ciebie johan janssens z zasmuconą twarzą, ale z błyskiem w oku, który przeczy temu smutkowi: chciałbym napisać

opowiadanko, które można by było przedstawić w gazecie jako bajkę, ale muszę to oczywiście zrobić w trochę poważniejszych słowach niż twoje... bo z której byś strony do tego nie podszedł, to zawsze wychodzi na socjalny kawał, jak w chaplinowskiej gorączce złota, gdzie człowieczek-z-odmrożoną-stopą powiada, że przyroda też czasem potrafi być sprawiedliwa... ej, widzę teraz, że powinienem był zacząć to opowiadanko słowami chaplina, bo przyroda też była kiedyś sprawiedliwa tam, w 1-szych brudnych domach za niczym lasem: mieszka tam hortensja pijaczka, która mówi, że pisarze to świntuchy, bo te ich reportaże w gazecie... o tej dziewczynie, co była za ładna, żeby szwen-dać się po bruksełi i nigdy więcej nie oglądać swojej matki... niby do czego to podobne? I która mi przy okazji uświadamia, że całe szczęście, iż ci pisarze nigdy nie dochodzą do 1-szych brudnych domów, bo mieszkała tam kiedyś brudna jeannette, która pożarła się ze swoim chłopem, bo ten stojąc daleko od niej robił jej wyrzuty: to twoja wina, że mam krosty na kutasie, ty wstrętne kurwo. I gdy hortensja pijaczka mi to opowiada, ja przypominam sobie piękną jak obrazek córkę hortensji pijaczki i pytam ją: ale co słyhać u twojej córki, twojej jeanninki? A hortensja zaczyna opowiadać i gada, i gada o swojej jeannince, która wyrosła we wstrętnej dzielnicy biedaków, miała blond włosy, 14 lat i była niewiarygodnie piękna — widzisz, że mogę to opowiadać jako bajkę! — i która co tydzień rzucała gdzieś w kął swój tornister i biegła naprzeciw swemu marzeniu-bruksełi, aby tam zatańczyć swoje trzewiki na śmierć... dorastając stała się jeszcze piękniejszą, i włosy miała jeszcze jaśniejsze, i coraz więcej bywała w bruksełi, aż po jakimś czasie już tylko z rzadka wysyłała do domu list. I hortensja pijaczka pokazuje mi te listy... wszystkie z małą koroną na górze, mówi z dumą hortensja... i rzeczywiście, wszystkie na

papierze listowym z koroną jakiegoś barona albo grafa, używanym przez jeannine do pisania listów do swojej starej i pijanej matki... **I** hortensja pokazuje mi zdjęcia z nicei i monte carlo, z paryża i lucerny, z neapolu i tunisu... olała, powiada, to nie szpyrka dla twojego dziobu, tak jak ją widać na tych fotografiach w kostiumie narciarskim, kostiumie kąpielowym, w futrze, w sukni wieczorowej z gołymi plecami aż do samej dupy, którą ja, cholera, tak często prałam. **I** równocześnie opowiada w uniesieniu, jak jeannina powiadomiła ją, że ona, jej matka, musi kiedyś przyjechać ją odwiedzić, bo przecież ona jest tak blisko, w Ostendzie: i ja, hortensja, pojechałam do niej do Ostendy z wizytą, ona mieszka w zamku z 2 lokajami w długich, białych pończochach, którzy stoją na dole przy schodach i którzy zaprowadzili mnie do naszej jeannine, miała ona na gołej szyi sznur pereł i ja spytałam; czy to prawdziwe?... a ona powiedziała, tak, to prawdziwe. **I** przewiozła mnie takim autem, jakiego ty jeszcze na oczy nie widziałeś, i poszła ze mną do sklepu z futrami, i kupiła mi futro, ale na co mi futro? **I** ja jej to powiedziałam, powiedziałam jej: jeannine, jeśli chcesz coś zrobić dla swojej matki, to kup mi lepiej jakąś dobrą butelkę, tak jej powiedziałam.

### **BOGOWIE**

*Byłoby lepiej, żebyście się politycznie rozumieli, powiedziała ondyna... ale, gdy tak tam siedziała z rozpalonymi oczami i rozwianym włosiem; tamci nie byli w stanie zachować powagi: znów myśleli o tym kawale, żeby ją rozebrać i wysmarować szuwaksem... błazen pana gtemmassona kręcił się wokół niej coś knując i wymyślano najprzeróżniejsze preteksty dla odwróce*

nia jej uwagi: na przykład co począć z panem ludwikiem, który nie na darmo był synem pana gourmon-preza z laboru... a więc wolnomularzem... a więc przywódcą kampanii szkolnej... a więc zdania, że dzieci po to, żeby przyjść do roboty w laborze, nie potrzebują chodzić na lekcje religii: przecież bóg i tak w końcu nie istnieje. Wtedy w oczach ondyny pojawiły się łzy; ■no więc przypuśćmy, że bóg nie istnieje, powiedziała przybita, to jeszcze nie powód, żeby wmawiać coś takiego ludziom z ter-muren; jeśli potem nie będą mieli nieba, to gotowa jestem uwierzyć, że zechcą się jednozczyć, żeby wydostać się ze śmietnika. Pan ludwik spojrział na stojącego za nią błazna, który dawał znak, żeby gadać dalej... wtedy wytłumaczył jej, że libertyni chcą wolności, laisser faire, laisser aller... i ondyna uznała, że to wspaniałe... cudownie było siedzieć na jego kolanach i niech się dzieje, co chce... i byłoby cudownie siedzieć równocześnie obok achillesa, i mieć świadomość, że mimo wszystko istnieje bóg, który stworzył wszystko takim, jakim być powinno. I właśnie gdy chciała powiedzieć: „chcecie obydwaj tego samego”, zgasło światło i ściągnięto jej majtki z wierzgających ud. Nie mogło jednak pozostać nie zauważonym to, że panowie do 3 lub 4 rano zabawiali się z tą dziewczyną vapeura: oni sami, panowie, nie myśleli wcale kryć się z tym... ale nienawiść biednych ludzi z ter-muren nie była skierowana przeciw panom, lecz przeciw córce vapeura, której wolno było przebywać w ich bliskości. Z 1 rzeczy byli tylko zadowoleni: nie może być tak, żeby ondyna bezkarnie pętała się w bezpośrednim otoczeniu panów: dziś lub jutro zdarzy się coś, na co oni już teraz zacierali ręce z zadowolenia. Ondyna jednak aż za dobrze znała ich niestłuchane tchórzostwo, nikt nie odważy się jej uczynić otwarcie jakiegokolwiek zarzutu; ksiądz jej powiedział, że go pytano, czy nie zechciałby kiedyś wygłosić kazania na temat tych  
hu

*lanek, w których ona brała udział... i zapytał ją następnie, dlaczego nie pojedą do innej wsi, gdzie nikt ich nie zna...? czy nie zaproponowałyby im panienka tego, panno ondyno? Ondyna milczała i drażniła całe ter-muren siadając w kościele w pierwszych rzędach i modląc się po francusku. Pokłoniła się księdzu z całą powagą, jakby on jej o nic nie prosił, nie błagał... tak jakby nie wiedziała, że tego wieczoru znów będzie popijawa w gospodzie przy przejeździe. A ksiądz, no tak, on też uklonił się jej, gdy wszyscy to widzieli, uniósł w milczeniu kapelusz... był on księdzem wiary panów... był sługą... a pan achilles, który był encyklikierem, i pan ludwik, który był wolnomularzem, z panną on-dyną pomiędzy sobą, byli bogami.*

### **ODWROTNE ROZPOZNANIE**

Odkładasz pióro i spoglądasz przez okno na dom naprzeciwko, jest to dom nowoBogackiego danckaerta, i myślisz sobie, jak też ten dom zmienił swój wygląd... bo jak wszystko zmienia swój wygląd, rozdziały z twojego życia i rozdziały z twojej książki, tak samo zmieniają się rozdziały z martwego życia domów: najpierw był tam brudny dom biedaków z bramą, w której mieszkała henrietta — tak ją też nazywano, henriettą z bramy — i siedziała tam ze wszystkimi swoimi kochankami, i z ojcem swojego męża, który wcześniej też był jej kochankiem, ale teraz za bardzo się postarzał, a jej mąż wciąż na obczyźnie musiał zarabiać na chleb dla siebie... i na chleb dla henrietty, i dla jej kochanków: żyły sobie wypruwał przy żniwach we francji albo zjeżdżał pod ziemię w kopalniach walonii, albo harował pod gradem bomb w niemczech, tak jak



teraz pracuje przy odbudowie w ardenach, chociaż w ardenach nie ma żadnej odbudowy. A stary ojciec męża henrietty — a więc sam były kochanek henrietty — siedział zawsze w wytartym fotelu przed odrapaną bramą przy pokrytej jakby liszajami ścianie frontowej, podczas gdy dzieciaki biegały tam i z powrotem albo grały w klasy, albo kucwały i robiły kupę, albo sikały pod kawałkiem bocznej ściany... bo dom obok był trochę cofnięty do tyłu tworząc w ten sposób odpowiedni trędowny kącik, gdzie dzieci podciągały swoje niebieskie i żółte i czerwone sukieneczki, żeby odsłonić białą plamę swoich koszulek i majteczek i różową plamę swoich pośladków. No i za tym była brudna i szara ściana domu, a wysoko ponad tym sunęły jeszcze bardziej szare i brudne chmury... i jakże często sobie mówiłem, spoglądając zawsze sponad tego lub innego rozdziału tej czy innej książki: gdy skończę pisać tę książkę, to już NICZEGO więcej nie piszę, tylko będę malował ten trędowny kącik. Ale gdy następuje koniec rozdziałów twoich powieści i gdy ociągając się, jak kot bawiący się z myszą, znów zaczynasz nowy rozdział, to zaczyna się również inny rozdział w historii domu z naprzeciwka: henriette wyniosła się stamtąd i przeprowadziła się do mijlbeek, gdzieś do jakiejś dzielnicy z innym brudnym domem, a na jej miejsce wprowadził się danckaert nowoBogacki: miał dużo pieniędzy i każdemu musiał to pokazać i dlatego kazał pokryć ścianę frontową — ku twemu największemu żalowi — czymś, co nazywają simili... wstawiono nowe i nowocześniejsze okna, które już nie odbijały tak pięknie słońca i ulewy jak tamte, ze źle odlanego szkła... wstawiono nową bramę z prawdziwego dębu, błyszczącą od werniksu... a na frontonie z simili pojawiła się biała, emaliowana tablica: danckaert-verlack. I za każdym razem, gdy teraz odkładasz pióro, żeby sobie popatrzeć przez okno, żal wzbiera w tobie coraz gwałtowniej

niejszymi przyływami... ale pewnego ranka — musiał zapewne wynająć nową służącą — brama się otworzyła i coś wyszło myć chodnik, o cholera, takie piękne dziecko, jakiego jeszcze w życiu nie widziałeś... i za każdym razem, gdy odkładasz pióro, żeby popatrzeć sobie przez okno, to ona szoruje chodnik albo myje okna z tymi swoimi pośladkami i piersiami, i czerwoną kokardą w ciemnych włosach, żeby każdy, kto tamtędy przechodzi, czuł, jak mu oddech w piersi zapiera, i wynajdywał samniewiemco, żeby postać trochę dłużej. A potem myślisz sobie: o, gdy teraz skończę moją książkę, to już NIC więcej nie piszę, tylko będę malował ten par-weniuszowski fronton z tą dziewczyną, która ci teraz pokazuje swój uśmiech, swój biuścik a potem pół swojej ślicznej, różowej pupy.

### *HAMLET 2-GI*

Kantyczny nauczyciel wchodzi do twego małego ogródka akurat wtedy, kiedy zajęty jesteś wtykaniem w ziemię różnych martwych rzeczy... które, jak to możliwe?, dadzą ci wiosną jaśmin, a jesienią astry... i śmieje się, jakby z twojej chęci, by wciąż na nowo zaczynać sadzenie i pisanie, choć nigdy z góry nie wiesz, czy wyjdzie z tego coś, co ci ten trud wynagrodzi: i to ty, który wszak masz odwagę przeprowadzać odwrotne rozpoznanie. I dodaje do tego: a jeśli mowa o tym odwrotnym rozpoznanie, przeczytałem właśnie 1-szą część twojej wiosny w ter-muren i odnośnie tego też przeprowadziłem w pojedynek takie rozpoznanie: czy nie sądzisz, że należałoby tam przeciągnąć piękniejszą i przede wszystkim wyraźniejszą linię? i czy nie sądzisz, że należałoby jej przydać silniejszą i przede wszystkim bardziej wyważoną Konstrukcję? i czy nie

sądzisz też w końcu, że przynajmniej ty sam powinieneś wiedzieć, co powinno stać się twoją ideą podstawową, co ideami pobocznymi, a co dopełniającymi ideami pomocniczymi? Weź na przykład mnie, który już od lat noszę się z zamiarem wydania zbioru wierszy pod tytułem hamlet 2-gi, ale ja przy tych wierszach najpierw rozpracowuję hamleta 1-go i to, co shakespeare moim zdaniem chciał przez niego powiedzieć: że człowiek, który pochyla się nad swym wnętrzem, musi pochylać się coraz niżej i schodzić głębiej, coraz głębiej, do studni bez dna, w której powinno się znajdować ukryte jądro... ale że znalazłszy to jądro, chwyta śmierć... i że być może w śmierci ukryte jest jeszcze jakieś głębsze jądro. Lecz żeby rozwinąć tę myśl, powinienem przedstawić historię hamleta 1-go w sposób poglądowy... a w końcu są tam moje własne wiersze, bo jeszcze by je człowiek z czasem zapomniał, cha! cha! I kiedy kantyczny nauczyciel śmieje się pewny siebie, ty prostujesz się ponad tymi martwymi krzakami i badylami, które mają stać się jaśminem i astrami i pytasz: dobrze, ale jak zatem uzyskasz Linie i Konstrukcję i tę całą resztę? Ha, i oczy kantycznego nauczyciela zaczynają lśnić z radości, bo pytasz go właśnie o to, czego oczekiwał, i chwyta jakiś patyk, i rysuje w twoim maleńkim ogródku swój plan:

\_ : wierzchołki wierszy hamleta 2-go

- : osnowa opowieści, hamlet

1-szy

- : podstawa mego opracowania : poszukiwanie jądra prowadzi ku śmierci  
A ty patrzysz i kiwasz głową, lecz równocześnie marszczysz czoło, bo masz wrażenie, jakbyś już gdzieś wi

dział ten szkic... ale gdzie...? i gorączkowo rozmyślając, zaczynasz szukać gdzieś o wiele za Daleko, bo jest to tuż tuż: ty sam piszesz i piszesz, i twoja książka podobna jest do jakiegoś rozlewiska, podobna do czegoś, co jest do Niczego nie podobne... ale wciąż gorączkowo rozmyślając, dostrzegasz, że jest to właściwie twój plan:

..... wierzchołki: ondynka

..... osnowa: dzisiejszy świat

.....,.....-.....l - v            idea podstawowa: rak zże-

**t t        t' I    1 t ... .**

ra naszą cywilizację

I pukasz kantycznego nauczyciela i sam siebie w czoło i powiadasz: ej, do diabła... możliwe, że to jest plan twojego hamleta, ale czy nie jest to dużo bardziej plan naszej książki o drodze z kapliczką?

### ***ZNÓW ODWROTNE ROZPOZNANIE***

Oto stoi tam johan janssens, poeta i dziennikarz z gazety codziennej, i patrzy na ciebie kiwając głową: słusznie, twój 1-szy rozdział jest gotowy i przeprowadzasz sobie odwrotne rozpoznanie... patrzysz na wszystko, co już zostało napisane, i na wszystko, co jeszcze musi zostać napisane, jeśli dalej będziesz srał chęcią i siłą, i tym i tamtym, żeby to kontynuować. Ale wybac mi, nie wiem, gdzieś ty odkrył to odwrotne rozpoznanie, bo ja widziałem, jak je zastosowano po raz 1-szy, kiedy byłem w wojsku biednym żołnierzem, który musiał ćwiczyć na poligonie... leżeliśmy tam w trawie z głową na naszych tornistrach, wpatrzeni w obłoki lub glisty, które czując ciepło naszych ciał wyłaziły z ziemi, podczas gdy oficerowie poszli rozpoznać teren od tej stro

ny, z której przypuszczalny nieprzyjaciel miał się pojawić — odwrotne rozpoznanie — tak że mogliśmy potem rozpocząć atak... 2 wojny i 2 razy ci biedni, mali belgowie musieli się w największym pośpiechu wycofywać, a jednak nigdy nie uczono żołnierzy regularnego odwrotu, lecz zawsze Ataku... tak że my, którzy potem musieliśmy atakować, umieliśmy wykorzystywać każdy najmniejszy krzaczek, najmniejsze pofałdowanie terenu. A ty przerywasz johanowi janssen-sowi pytając z oburzeniem, czy on sądzi, że ty w ewentualnym czytelniku tej książki o drodze z kapliczką — z którą igrasz jak kot z myszką — też widzisz nieprzyjaciela, dla którego musisz przeprowadzać odwrotne rozpoznanie i wykorzystywać każdą najmniejszą osłonę? Lecz johan janssens nie słyszy, będąc pogrążonym w swoich żołnierskich wspomnieniach i ciągnie dalej: nasz porucznik powiedział na poligonie, że powinniśmy myśleć o tym, iż jeśli kiedyś wybuchnie wojna, to najmniejsze źdźbło trawy może nam uratować życie... powtarzał to ciągle swoim głosem starego zabijaki, tak że po jakimś czasie wryło się nam to w pamięć... gdy biegliśmy i padaliśmy i znów się zrywaliśmy... gdy czołgaliśmy się na łokciach i kolanach: najmniejsze źdźbło trawy może wam uratować życie... wtedy śmialiśmy się z tego, powtarzaliśmy to, gdy w koszarach leżeliśmy wyciągnięci na naszych siennikach albo gdy przesuwaliliśmy się w kolejce po zupe, albo gdy w tańc-budach na ulicy zerozo sięgaliśmy pod spódnicę panien służących... ale pamiętaliśmy o tym z wdzięcznością, kiedy wybuchła prawdziwa wojna i wszyscy oficerowie pozostawili nas na pastwę losu: najmniejsze źdźbło trawy naprawdę ratowało wtedy nasze życie. Ale w tym rozdziale mieliśmy się jeszcze z tego śmiać, no więc leżeliśmy na poligonie, podczas gdy przeprowadzano odwrotne rozpoznanie... nie widzieliśmy w tym najmniejszego pożytku i albo jedliśmy ka

wałek ciasta, albo piliśmy lemoniadę przy wózkach, które jeździły za nami... byli to drobni i skromni handlarze, ci ludzie z wózkami, wzywali na pomoc ojca i syna, i ducha świętego, żeby wypróżnić nasze kieszenie ze skromnych centów, wystawiali ciastka nadziewane kremem i oblane czekoladą, i zabierali ze sobą albo córkę, albo jakąś inną młodą dziewczynę, jeśli sami nie mieli córki; każdy żołnierz stawał gdzieś w pobliżu wózka i sikał zwrócony twarzą i kutasem do tej dziewczyny, a dziewczyna patrzyła na niego z uśmiechem; taksowała to z uśmiechem i sprzedawała- ciastka i lemoniadę: och, ileż musiała co roku sprzedać butelek lemoniady i naoglądać się sikających kutasów... tak że i ona też, na swój sposób, przeprowadzała odwrotne rozpoznanie terenu i była królową poligonu.

### *KRÓLOWA TER-MUREN*

*Ondyna zrobiła się zadufana i zachowywała się tak, jakby była królową ter-muren: potrafiła nawet obejrzeć się za kimś, kto ją minął zapomniawszy powiedzieć: dzień dobry panience, zbyt zdziwiona, żeby się rozzłościć. A teraz, kiedy wzniosła się do samych szczytów — kiedy rzeczywistość stała się piękniejsza niż jej marzenia — mogła dostawać napadów fałszywej szlachetności: kiedyś była biedną, małą dziewczynką, która prosząco spoglądała w górę, która kłamała i oszukiwała, aby się tam dostać... teraz patrzyła z wysokości w dół i pragnęła wejść do tych małych domków, aby czynić tak wiele dobra, żeby ludzie z ter-muren nigdy o niej nie zapominali w swoich modlitwach... i miej również w opiece pannę ondynę, która była dla*

*nas tak dobra, amen. To było romantyczne, ondyna dobrze o tym wiedziała, śmiać się jej NAWET z tego chciało, ale życie było tym, co się z niego czyniło: jedyne, co się naprawdę w życiu Uczyło, to być cwany i nie dać się złapać, ale było ono tak codziennie, tępo najwyklesze, że ondyna życzliwie samą siebie oszukując, dodawała mu trochę romantyczności:*

*tak więc w 3-cim domku za kapliczką mieszkała maria, której ojciec umarł na gruźlicę... och, ta historia marii była akurat czymś odpowiednim: teraz, kiedy ojciec nie żył, maria musiała razem z matką troszczyć się o te wszystkie szkraby, które później od niej przyszły na świat, szyła męskie koszule dla sklepu w mieście, a 30 centymów za 2 tuziny, podczas gdy dzieciaki płakały przez sen... i jak to przedstawia ro-mantyczność nędzy, przymierały z głodu i marzły z chłodu, podczas gdy maria zaharowywała się do utraty wzroku, ślęcząc nad szyciem przy migoczącym płomyczku świecy... prawda jednak była taka, że maria, niosąc paczkę z koszulami, została na drodze z kapliczką zgwałcona przez jednego takiego z laboru... takiego, co później żyć bez niego nie mogła... takiego, co pił i z którym ona też piła... ponieważ była to gorzałka, która ma taką zaletę, że jest tania, bo sfalszouJana spirytusem drzewnym, ale taką wadę, że wypaliła im dziury w żołądku, że pomału ich oślepiła, że wpędzała ich do łóżka, żeby porobili jeszcze więcej młodych, które z PEWNOŚCIĄ nigdy nie nauczą się ani jednego wersu z katechizmu — on umierał na żołądek, a ona coraz bardziej ślepie, nie chcąc uwierzyć, że to może być od picia, lecz gotowa przysiąc, że to od zapalenia oczu — dlaczegóż by ondyna miała tego wszystkiego nie wiedzieć? Och, pragnęła właśnie tej romantyczności, która była ślepa i głucha na rzeczywistość życia, pragnęła być szanowana jako dobrodziejka i królowa ter-muren: weszła do marii, która siedziała i śpiewała*

*cerując po omacku skarpetki... i ty jeszcze śpiewasz!, zdziwiła się ondyna... a maria odpowiedziała, że biedak śpiewa zarówno w ubóstwie, jak i w bogactwie...*

*ondyna naznosiła tam wszystko, co u niej w domu też by się przydało, ale czego ich pozbawiała, żeby tutaj dać upust swojemu zadufaniu; następnego dnia pospacerowała tam, żeby odebrać pierwszą porcję wdzięczności: maria wyniosła właśnie kubel śmieci za kapliczkę... co było niedozwolone, ale kto jej mógł zabronić? policjant, do którego należy ter-muren, musiał rozpiąć kurtkę i odłożyć na bok kepi, żeby pracować w zamkowym ogrodzie. Maria znów śpiewała. Ondyna powiedziała dzień dobry i czekała na błogosławieństwo, ale maria ledwo zadała sobie trud wysilenia swych zniszczonych oczu, żeby zobaczyć, kto to przyszedł, po czym powiedziała najzwyczajniej w świecie: ha, dzień dobry, ondyno vapeura... weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi; i w domu nadal śpiewała, jakby... jakby nie dostała ode mnie ŻADNEGO chleba i ŻADNYCH pończoch, zakląła ondyna.*

#### **MARTWA NATURA Z SABOTAMI**

*Ondyna wróciła wściekła od ślepej marii, żeby gdzie indziej wyładować swoje wzburzenie... lecz gdzie indziej to znaczy gdzie? W domu, gdzie usiadłaby rozgniewana i przybita? W domu, gdzie wydałaby walkę własnej niewłaściwie ulokowanej romantyczności? Stała i namyślała się... och, namyślała się bez końca i ogarniało ją coraz większe wzburzenie, w jednej chwili wzbierała w niej wściekłość, a w innej czuła się, jak powiedziano, przybita. I nagle musiała się roześmiać, bo spostrzegła, że klóci się sama ze sobą: a potem odrzuciła te wszyst*



kie chimery w kąt swojej duszy i lekkomyślnie zaczęła prowokować w sobie nowe chimery. Rzeczywiście nowe, bo niedzielą w ter-muren minęła, a panowie się nie pokazali. Było to dręczące, było nie do wytrzymania, gdy narastał w niej niepokój, a przede wszystkim gdy tak stała w drzwiach ze wstążką we włosach, a po drugiej stronie ulicy siedzieli na progach ludzie z ter-muren. Ondyna starała się zachować obojętność, próbowała jak mężczyzna gwizdać jakąś melodię; oparła się

O futrynę i patrzyła na świat oczami kogoś, kto ma dużo wolnego czasu: zauważyła obok cegłę, na której wydrapane były ich inicjały, ondyńka i walerek bos-mans... najładniejsze było W... i przypomniała sobie, że to ona sama to zrobiła, swoimi niecierpliwymi palcami, które nigdy nie zaznawały spokoju: i nagle dostrzegła również, jak to było nisko przy ziemi, **jaka** mała wtedy była. O, i wtedy... nie potrafi powiedzieć, w jaki sposób wieczór zapadł nad światem ter-muren... tak pomału... już tak bardzo oddalonym od tego czasu, gdy ona była jeszcze małą ondynką; i to, że nagle zrobiło jej się smutno na duszy, nie było prawdą, bo sięgało to znacznie głębiej, niemożliwie głęboko: spróbuję to kiedyś wytłumaczyć achillesowi, pomyślała.

I natychmiast zaczęła się bezradnie zastanawiać, co też mogło się stać, niedługo niedziela się skończy! Ale po tamtej niedzieli minęła jeszcze następna, a ona ciągle musiała opowiadać, jak zapadał wieczór... zawsze jednak coś do tego dochodziło, zawsze coś innego, tak że przy tej nowej myśli zapominała o poprzedniej... miała opowiedzieć to, jaki odczuwała smutek w tym pierwszym tygodniu, i to, jaka była wściekła po jakimś czasie: ja wiem, że przychodzisz z własnej, nieprzymuszonej woli, i że również z własnej, nieprzymuszonej woli się nie pokazujesz, rozumiem, że musisz się zabawić... że przyjeżdżasz do jakiejś wsi... i wybijasz wszystkie okna i uwodzisz wszystkie młode dziewczyny

ny... i że jak już nie ma więcej okien albo młodych dziewczyn, to ciągniesz do innej wsi; ale Mnie chyba nie traktujesz jak okna? I usiłowała zrozumieć tok ich myśli: czy byłoby to możliwe, by ją, ondynę, traktować jak zwyczajny kawałek mięsa z michy, jak okno, które trzeba wybić, jak pochwę, którą trzeba przeczyścić? Nie, nie, ondyna jest czymś WIĘCEJ, ona ma również mózg, ona rozumie właściwe stosunki, ona jest jedną z nas. Ona należała do nich... lecz mimo to nie przyjeżdżali. I przypomniała sobie kazanie księdza, z którego ciemni ludzie z ter-muren się uśmiali, o fałszywym-proroku, który powiedział, że pójdzie do góry, jeśli góra nie przyjdzie do niego... ale to nie było do śmiechu... jeśli panowie do mnie nie przyjdą, to będę musiała pójść do panów, pomyślała... Jednak niestety, po 3-kroć niestety, cholera jasna: nie mogła do nich pójść, bo była w drewnianych sabotach... nosiła to, co się nosiło w ter-muren, gdzie nie trzeba było wywoływać skandalu noszeniem skórzanych trzewików: zostawiła swoje soboty na wiele dni za domem, nie wkładając ich wcale na nogi... albo niekiedy wchodziła do domu i widziała saboty walerka, ojca i matki, i wszystkich biedaków z całego świata; i stały tam również między nimi jej saboty jak wieczysta omyłka: chodziła wtedy tak, że się potykała, aby w szalonej złości kopać na wszystkie strony, aż saboty wlatywały w górę i uderzały o ścianę. Ale w złości? Nie, było to raczej pełne samoudręki zadowolenie.

#### **TIPPETOTJE I JEJ ODWROTNE ROZPOZNANIE**

Och, odzywa się tippetotje, jeśli się dobrze nad tym zastanowisz, to widzisz, że owo odwrotne rozpoznanie ciągle się w życiu przeprowadza... mógłbyś nieomal

stwierdzić, że życie jest bezpośrednio związane z odwrotnym rozpoznaniem... np.: kiedy idziesz do w.c., kto z ręką na sercu odważy się przyznać, że nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby obrzucić spojrzeniem to, co leży za jego plecami? pamiętam taki okres, kiedy ja, tip-petotje, artystka malarka, byłam jeszcze przyjaciółką szklarza, który z kolegą po fachu układał gdzieś w centrum miasta z 2 fabrykami szklany dach: pod nim była płatanina dachów i przesmyków, oficyn, wygódek, komórek na węgiel i małych podwórek... tak, taki mały klin pomiędzy 3 wysokimi ścianami nazywano podwórkiem, 1 panusia z takiego podwórka poszła do wygodki, a nie przyszło jej do głowy, że gdzieś na dachu siedzi 2 szklarzy, a kiedy zrobiła swoje i z uroczystym rytuałem podtarła sobie tyłek, dokonała odwrotnego rozpoznania, i wystawiła w górę swoją kolosalną, gołą dupę, a gębę wsadziła do w.c, I chociaż śmiać ci się chce z tego rozpasania tippetotje, to jednak widzisz, że w gruncie rzeczy tak właśnie jest, i kiwasz głową. A tippetotje pyta dalej, czy ty równocześnie nie czynisz odwrotnego rozpoznania po tym, jak przyszpilisz żonę swoim gwoździem? Stary bóg i młoda demokracja, i ewolucja rzeczy — a równocześnie Negacja rzeczy — a równocześnie twoja praca: tak jakby to wszystko nie miało więcej sensu, bo siedzą w tobie tysiące małych robaków, które ryją coraz zawzięciej, coraz głośniej krzyczą, żeby je wypuścić... a potem dostały, co chciały, zostały wyrzucone i leżą w podwiniętym prześcieradle... i kiedy pot, który się wylał na zewnątrz, zaczyna się lepić i boleśnie wysycha, czujesz, że masz serce, które nadal bije, i że masz mózg, który pracuje jak pułapka na ptaki... i zaczynasz przeprowadzać odwrotne rozpoznanie, po co tu leżysz, dlaczego przed chwilą twoja

praca, młoda demokracja i To, co nadchodzi, nie miały żadnego znaczenia? I jak masz odzyskać równowagę, jak masz odnaleźć to wszystko, zachowując się tak, jakbyś przed chwilą wcale tego nie... hm, wręcz zdradził? I tak samo jest w moich obrazach, twoich książkach, których tak jakbyśmy już nie mieli ochoty kontynuować, bo nadal jesteśmy wierni naszemu pogładowi, że pisarz, malarz to też człowiek, który nie potrafi znaleźć równowagi w takim świecie, jaki go otacza, i dlatego zaczyna żyć w świecie pozornym według własnego upodobania i formatu; ale będąc pisarzem jesteś również człowiekiem, i gdy człowiek jest głodny albo ma pragnienie, albo musi załatwić swoją potrzebę, albo czuje, jak mu nabrzmiwa lanca, gdy dziewczyna no-woBcgackiego danckaerta wychodzi myć okna, to wtedy pisarz musi przerwać pracę... i kiedy człowiek naje się albo napije, albo się załatwi, albo pozbędzie się w kącie swoich spermatozoidów, to wtedy pisarz pisze dalej to, co przed chwilą odłożył... jak gdyby nigdy nic... i gdy ja, tippetotje, przeprowadzam odwrotne rozpoznanie twojego 1-szego rozdziału, to widzę tekturowe parawany i biegnących pomiędzy nimi bohaterów, którzy wyuczyli się swych ról na pamięć, lecz pomiędzy kulisami dostrzegam brudne, gołe ściany, pod którymi ci aktorzy w pośpiechu pozałatwiali swoje potrzeby.

### *PODROŻ OD NIHILIZMU DO REALIZMU*

Jest niedzielne południe i w swoim małym ogródku słyszysz wróbla ćwierkającego o tym, że są to piękne godziny, kiedy to pomaleńku możesz zrobić krok w złoty wiek — nie, po francusku brzmi to ładniej: l'age d'or — który człowiek musi jeszcze zdobyć, i właśnie

masz zamiar zaraz to zapisać... ale dziennikarz z gazety codziennej johan janssens otwiera z rozmachem drzwi i koniec z rozważaniem o różnych sprawach, tak jak to ty Zawsze powinienes je sobie na spokojnie rozważyć; johan janssens sadowi się. obok ciebie i mówi, co następuje: wczoraj zrobiłem jeszcze z jednej wiadomości artykuł do gazety... pewien chiński mąż stanu twierdzi, że ma przygnębiające wrażenie, iż narody kroczą po niewłaściwej drodze... że on, zbliżywszy się do schyłku życia, uświadamia sobie, jak przemija to, co najlepsze w jego energii, i ogarnia go wielkie pragnienie, by ujrzeć, jak świat podąża w końcu ku pokojowi i pomyślności... i że w ciągu swego długiego doświadczenia życiowego często stwierdzał, jak bardzo ludzie są skłonni dawać swej polityce pierwszeństwo przed najbardziej oczywistymi interesami... i że jest to zjawisko ogólnoświatowe... i że w punkcie, do którego doszliśmy, każdy poważny człowiek powinien się na chwilę zatrzymać i zastanowić, dokąd to wszystko zmierza: ujrzy, że przeżywamy okres duchowego upadku. I siedząc obok ciebie, który piszesz coś, co przecież jest twoją książką o drodze z kapliczką, ośmielam się, ja, johan janssens, dodać tutaj, że ten chiński mąż stanu, choć tak rozumnie się wypowiada, to znów jednak poplątał jedno-z-drugim: nie dostrzegł on żadnej różnicy pomiędzy polityką a interesem partyjnym, który niezauważalnie przesuwa się tam i z powrotem od interesu partyjnego do interesu osobistego... bo popatrz tylko na partię socjałów i ultrasocjałów, dla których jedni zapracowują się jak konie, dla których szeregowy aktywista na wietrze i deszczu kolportuje prasę, dla których ja piszę tyle, że aż nieraz moje palce chwyta kurcz... a wszystkie te poświęcenia, ten bohaterski duch i skurcz w palcach są niepotrzebne... bo ich polityka coraz bardziej przechyla się od interesu partyjnego ku interesowi osobistemu. I siedząc obok ciebie,

który to wszystko zapisujesz w swojej książce, ja, johan janssens, muszę dodać jeszcze rzecz ostatnią: że ponad tymi partiami musiałaby powstać partia uczciwych... światowe zrzeszenie Uczciwych... to znaczy, że jeśli **O** mnie chodzi, to socjaliści lub komuniści lub anarcho--syndykaliści lub trockiści niech sobie będą, jacy są... ale że ci bardzo uczciwi z tych wszystkich partii — którzy teraz są odsunięci w kąt przez tych, którzy umieją rozpychać się łokciami i bardzo głośno wykrzykiwać swoje kłamstwa i niebezpieczne idee — a więc że ci bardzo uczciwi muszą ukreślić kark swojemu głupiemu idealizmowi i stać się bardziej praktyczni i zadać sobie nawzajem pytanie, po co dali się przez tych wszystkich karierowiczów zepchnąć w kąt, albo pozwalają się wykorzystywać jako czysta flaga, która ma przykryć śmierdzący ładunek? I postawiwszy to pytanie, powinni wrócić do swojej własnej kliki, partii, religii, światopoglądu... nie po to, żeby znowu stworzyć coś Nowego albo coś Innego... bo od tych wszystkich nowości i tych wszystkich inności aż się roi i czynią one chaos jeszcze bardziej chaotycznym... ale żeby tych arywistów, tych niebezpiecznych karierowiczów we własnych szeregach chwycić za gardło i w końcu samemu przejąć kierownictwo.

*JAK TACZKI, HA!*

*Jednego dnia ondyna powiada, że woli umrzeć, niż żyć dalej tak niedoceniana i zapomniana, a innego dnia myśli o tym, żeby odwiedzić panów, w niedzielę... wszystko jedno, w jakiej będą wsi... żeby wpaść tam do gospody, żeby zepchnąć z ich kolan tę czy inną głupią kożę i wydrapać jej oczy. A znów innego dnia*

*sądzi, że mogłaby się zemścić — nie wychodząc więcej z domu i już nigdy więcej się nie odzywając — to nigdy-więcej-się-nie-odzywając stało się w jej życiu czymś periodycznym, nikogo więcej nie oglądając i tylko wieczorem wychodząc się przewietrzyć do ogródka, gdzie jej ojciec w największym pośpiechu na-wtykał w ziemię trochę kartowatej brukselki; jednak zapomnieć panów nie umiała. Przychodziła gdzieś, gdzie nigdy nie widziano na oczy pana achillesa ani*

*0 nim nie słyszano, i choć trudno w to uwierzyć, zaczynano o nim rozmawiać. Wtedy, kiedy nie tęskniła jeszcze za nim tak jak... jak... no, w końcu to obojętne, ale kiedy jeszcze nie męczył jej tak straszliwy głód jego osoby, nikt go wtedy nie znał, nikt wtedy nie słyszał jego imienia. A teraz, kiedy chciała o nim zapomnieć, nawet najmniejsze dziecko wszystko o nim wiedziało... wiedziano o takich rzeczach, których ona sama nigdy nawet nie podejrzewała, których się nawet nie domyślała: ona, ta, która siedziała na jego kolanach i syciła się nim! Udawała jednak obojętność... mówiła: ach, tak, pan achilles, znam go... i natychmiast zaczynała rozmawiać o jego przyjacielu, panu ludwiku, bo rozmowa o nim nie sprawiała jej takiego bólu. Ale i o panu ludwiku miano najnowsze wiadomości: prawie zawsze bywał w niejkercken, sad.ybie bardzo daleko od ter-muren, niemal na drugim końcu miasta z 2 fabrykami, gourmonprezowie mieli tam wille, zamek... ludwik mieszkał tam z właścicielką gospody, bardzo piękną babą, było ze 3 miesiące... zdaje się, że widziano ich, jak biegali na gołasa po parku... a teraz, kiedy była w TAKIM stanie, zwrócił ją mężowi, jak łopatę, jak taczki, które się pożyczyło, i które się zwraca, jeśli się w nich coś zepsuło, ha. Och, ondyna musiała się oderwać od tych opowieści, serce jej krwawiło i budziła się nagle wśród nocnej ciszy czując, że kawałki tych opowieści siedzą w niej wczepione jak zadziory:*

*ostra baba... zdaje się, że widziano ich obydwójce biegających na golasa po parku i że on... o, miły boże, wyrwij te. sceny z mojej głowy, wyrwij, wyrwij... że wdrapywał się tam na nią jak pies... o boże, rwij m,oc-niej, rwij mocniej, bo sceny te wczepiły się zadziornymi... taczki, które zwrócił, bo coś się w nich popsulo... ha... ha... I obudziła wszystkich krzyknąwszy nagle: przestań! Jak to przestań...? przecież nic nie robię, odezwał się walerek.*

*MORDERCY IDĄ!*

*Aby miara się dopełniła, ondyna znów poszła do lizy... wyglądało jednak na to, że to ona sama chciała dopełnić tej miary: czy to nie ona sama powiedziała, że nigdy nie należy zbyt blisko przyglądać się maluczkim? Wydaje się, że o tym zapomniała, zobaczyła, że liza ma znów o jeden ząb mniej i o jedno dziecko więcej, ale nie wzbudzało to w niej już takiego obrzydzenia, wyglądało na to, że z nędzą było podobnie jak ze wszystkim innym: gdy się tego dosyć widziało, człowiek się przyzwyczajał, jeśli się najpierw siebie przekonało, że wszystko jest tak, jak być powinno, to wtedy można było patrzeć największej biedzie prosto w oczy. Ten chłopak, za którego liza wyszła, mógł właśnie niedawno zejść z dziedzińca filatury i zacząć czyścić maszyny, ale wtedy zachorował... a teraz nie można było żądać, żeby w filaturze na niego czekano, ktoś inny miał przyjść na jego miejsce, a on znów będzie musiał zaczynać od samego początku; za każdym razem, gdy pojawiała się jakaś nadzieja, natychmiast była deptana; wciąż jednak nadziei nie brakowało, był u nich pan brys i rozpytywał, jak mieszkają i śpią, co jedzą i ile*



*mają odłożonych pieniędzy: liza wstydziła się mówić*

*O tym wszystkim, ale chciało jej się też śmiać, bo co do odłożonych pieniędzy, to wcale ich nie mieli, Ondynę ogarnęła niecierpliwość, chciała wiedzieć, o co pan brys wypytywał, co powiedział i zapisał, dokładnie: jak jednak liza miała to wszystko zapamiętać?... miała inne zmartwienia na głowie, powiedziała znowu. Szkoda, że nie odpowiedziałaś w ten sposób wcześniej, kiedy jeszcze chodziłyśmy na nauki przed pierwszą komunią, odrzekła ondyna. Wtedy obydwie się roześmiały. Usiłowała sobie przypomnieć: pan brys pytał, co mają zamiar robić, jeśli jej mąż NADAL będzie chorować... no więc co ona miała na to odpowiedzieć? A on gadał coś o kasie, o kasie chorych... w anglii robotnicy składają się, żeby płacić lekarza temu, kto choruje... w anglii są szkoły wieczorowe... i w anglii jest też związek zawodowy: liza powiedziała, że on nie może przecież oczekiwać, iż z tego powodu całe ter-muren wyjedzie do anglii... nie, odpowiedział pan brys, ale założymy tutaj związek i przyjmiemy również twojego męża.*

*I co jeszcze? Nic więcej... chociaż dla ondyny było i tego aż nadto: nie pozwól swojemu mężowi iść do nich, powiedziała, bo pan brys jest głupi, dziś albo jutro pozbędą się go i wtedy stracisz swoje grosze, które włożyłaś w jego związek... a do tego idą tam tylko źli ludzie, złodzieje, nicponie i malkontenci... a poza tym jest to zabronione przez prawo i łatwo może się zdarzyć, że twojego męża wsadzą do pudła. I poszła do domu, pozostawiając lizę w niepokoju. Dobrze wiedziała, że nie było żadnego praiua, które mogłoby tego zabronić... powiedział jej to kiedyś pan ludwik, ostatnim razem, kiedy gadając nieskończenie długo o wszystkim i o niczym, odważyła się pójść tylko z nim do wynajętego pokoju... aż do samego łóżka gadała o bogu, o świecie i o ludziach. Ale... ten wynajęty pokój, tam przy stacji, jak to już było dawno? Zastanawiała się*

*prawie z płaczem, dlaczego już więcej nie przychodzą do ter-muren... niedługo na wszystko będzie za późno... niedługo wszyscy robotnicy będą zjednoczeni i podpalą labor i filaturę i wszystkich ich wymordują, pana [ach.il](#)-lesa i pana ludwika, bez różnicy.*

*CO MAM MU TERAZ POWIEDZIEĆ?*

*Kiedy ondyna nie mogła już dłużej wytrzymać, wzięła pieniądze z sukienego woreczka na szafie... nie była to kradzież, pieniądze leżały tam i były tak samo jej prawowitą własnością, jak własnością jej ojca vapeura: w innym wypadku posłużyłyby dla nie wiadomo jakiego zbytku, żeby kupić materiał na jego perpetuum mobile.*

*Poszła z tymi pieniędzmi do miasta, żeby wywalczyć sobie miejsce w życiu, tym wiecznym i nigdy nie zatrzymującym się perpetuum mobile. Poszła z nimi do miasta i kupiła sobie parę butów, ciężkich, solidnych, a że już była w mieście, to poszła zobaczyć ten dom, jaki derenancourtowie tam mieli: był jeszcze większy i robił jeszcze większe wrażenie niż zamek w ter-muren... aż ją strach obleciał. Tam łatwo jej było myśleć: pójdę do ich domu w mieście i zapytam o pana achillesa... ale teraz, kiedy zobaczyła tę bramę z dwoma kamiennymi pilarami, nie było łatwo to zrobić. Ale nie można jej było zbić z tropu; pomyślała sobie: może on wyjdzie, gdy tu będę stała. Ale zrobiło się popołudnie, zrobił się wieczór... nie czuła głodu ani zmęczenia, ale na odwrót, rozboleła ją głowa od tego niezmiernie długiego wyczekiwania. Wreszcie brama się otworzyła, ale to nie był on, był to jego ojciec, stary, który wcześniej nie miał nigdy wystarczająco długiego cygara. Nie, nie było łatwo wytknąć światu jego błęd: czuła, jak twardo będzie musiała*

walczyć... o wiele za twardo jak na taką małą dziewczynką,  
pomyślała sobie... tak jakby bóg zapomniał, że uczynił dla mnie cud.  
I w zapadającej ciemności usiadła, bo bolały ją nogi, na jednym z  
kamiennych bloków przy bramie i tak siedząc zasnęła... musiało jej  
się zapewne od razu przyśnić, że do ter-muren przyjechały powozy  
i... rozejrzała się zdziwiona po ciemnej ulicy i rzeczywiście usłyszała  
powóz: wysiadł z niego pan achilles i zdziwił się zastawszy ją tutaj;  
pozwoliła się wyściskać i prawie tego nie czuła, tak zdrewniała od  
spania na tym kamieniu. V/siedli z powrotem do powozu,  
opowiedziała wszystko, co czuła, co myślała i co przeżyła iv  
ostatnich dniach, na leb, na szyję, jedno przez drugie. Rozplakała  
się. Wiedziała, że o czymś zapomniała, o czymś bardzo ważnym, co  
miała mu opowiedzieć i czego za nic na świecie nie mogła sobie  
przypomnieć. Czy możesz więc odejść od ludwika, choć on właśnie  
był pierwszym, który cię posiadał, zapytał achilles. A zapytał o to  
faktycznie innymi i znacznie bardziej przyziemnymi słowami, które  
ona starała się puścić mimo uszu: przyszłam oddać się tobie, powie-  
działa, ale nie jest prawdą to, co mówisz... rzeczywiście mnie  
dotykał, sam to widziałeś... ale nic więcej. On nie chciał w to  
wierzyć; jestem nadal dziewicą, powiedziała ondyna. Przypomniał  
jej wtedy sceny, kiedy byli pijani do nieprzytomności, to nie ma  
znaczenia, odpowiedziała ondyna. Byłaś z nim sama jedna w wynaję-  
tym pokoju, powiedział achilles. Ale ona uśmiechnęła się i  
powtórzyła po francusku, że wciąż jeszcze jest nietknięta. Wtedy on o  
mało nie zgłupiał. Opowiadała

**O** swoim pragnieniu, żeby należeć do stanu panów  
I jak ogromnie była szczęśliwa, że mogła sobie wybrać I spośród  
nich... po dłuższym czasie zaczęła się plątać, bo wszystko było tak  
skomplikowane: i jest jeszcze coś, co muszę ci opowiedzieć,  
powiedziała... ale nie mogła sobie przypomnieć co. Achilles wysadził  
ją nad

*rowem niedaleko od tego miejsca, gdzie kiedyś wyrzuciła pieniądze... nie widziała tego, musiała całą swoją uwagę skoncentrować na tym, żeby się ubrać. A kiedy była w łóżku i przykrywała się, przyszło jej nagle do głowy to, co chciała mu powiedzieć: że widziała Wieczór zapadający nad ter-muren.*

### *OFLĄDRACH*

W książce i w ludzkim życiu opowiada się tylko

**O** tym, co trochę wystaje ponad resztę, ale właściwie jest to niesłuszne, ho to raczej tysiąc i 1 zwyczajnych przypadków charakteryzuje tysiąc i 1 zwyczajnych żywotów. Bo popatrz no tylko na lisa przechere, mógłbyś po jakimś czasie pomyśleć, że on codziennie na nowo... nie, nie, większość dni klepał biedę i godził się z okolicznościami; czasem on kogoś oszukał, ale następnego dnia jego oszukano, czasem on komuś łeb ukrecił, ale następnego dnia była jego kolej udać się do urzędu podatkowego... a ponieważ nie należał do 27 rodzinnych trustów, musiał milczeć i płacić. A równocześnie bywały dni, kiedy jego kobita hermelina nie czuła się najlepiej, ale z kobitą zawsze coś jest, jak nie dzieci, to nerwy; i lis musiał wtedy sam szorować garnek i ścielić łóżka, a równocześnie nie przybywało żadnych pieniędzy, bo kupno i sprzedaż to nie było zajęcie dla niego; handlem mogli zajmować się jeszcze tylko czarni \*, którzy utworzyli nową, ale teraz bezprawną gildię czarnych sklepikarzy. Lecz już czas, byśmy rozpoczęli kolejną symfonię ludwika von prechery, w momencie

\* tak w Belgii nazywano w czasie okupacji kolaborantów (przyp. tłum.)

gdy miotając przekleństwa zatrzasnął za sobą drzwi i pomaszerował drogą z kapliczką: wsłuchiwał się w świat... swój świat... i usłyszał dochodzący z dala turkot wozu. I żeby uniknąć zbędnych opisów: byli to handlarze rybą z pełnymi koszami węgorza i flądry... a także, jak to się wciąż jeszcze często zdarza, ze śledziem do suszenia albo do peklowania, bo był już trochę nieświeży i zaczynał śmierdzieć... przechera nie był takim znów wielkim amatorem ryby, lecz, a niech tam, zbliżała się zima i człowiek nie może za bardzo wybrzydzać... nawiasem mówiąc, dobra flądra usmażona w maśle nie jest zła... nie szukał już dłużej nowego wybiegu, ale położył się jak zwykle na bruku z ramionami rozłożonymi w X, wywalonym na pół metra językiem i przymkniętymi oczami. I jeden handlarz zaczął krzyczeć: czy to lis, czy borsuk, to, co tam leży? a drugi handlarz odpowiedział: lis czy borsuk, położymy go na wozie, a ile będzie warte jego futro? Obmacując go jeden powiedział: z 1000 franków. Lecz drugi odpowiedział: dobre sobie, prawdziwy lis kosztuje w sklepie 3000 franków. Przechera dał im się wygadać wiedząc, że od słów do czynów droga jest często długa: dał się wrzucić z rozmachem na wóz, hop, i ostrożnie macał wokoło, żeby zaspokoić pierwszy głód... potem złapał powróż, na który nadziewano ryby, nadział nań szereg węgorzy i zsunął się na ziemię: he, przyjaciele, spadłem z wozu, zawołał... ale pomagać mi nie musicie, sam wskoczę do sklepu futrzarskiego. Nasz lis, nasz lis! zakrzyknęli handlarze. No pewnie, wasz lis, odpowiedział przechera, który pobiegł do domu i wkrótce zabrał się do smażenia i pieczenia węgorza, wołając przy tym: zamykaj drzwi, żeby nikt nie przylazł i nam nie przeszkodził, johan janssens.

## SWIAT KOBIETA

*Teraz w każdą niedzielę było tak: pan achilles przychodził po ondynę, czekającą na niego przy dzikich krzewach, w których mieszkają błędne ogniki... taka była podniecona, kipiąca radością i pełnią życia, że achilles zapominał, iż ma przy sobie dziewczynę, i godzinami słuchał jej paplaniny. Chciał poznać całą jej młodość. Jej młodość...? tamta uboga kapliczka i tych parę krzaków janowca...? właściwie nawet nie było warto o tym zaczynać... ale ze swą wybujałą fantazją ondyna potrafiła wszakże zrobić z tego coś, z czego tamci zaśmiewali się do rozpuku. Nie zawsze jednak jej opowieści były wesole, przede wszystkim ta historia z walerkiem, kiedy ondyna zaślepiona lościekłością pobiegła do krzewów janowca i była gotowa zrobić nie wiadomo co... świat potłuc w kawałki. No i co w końcu zrobiłaś, zapytał achilles... daj rękę, poprosiła ondyna... i trzymając jego dłoń przed oczami, jakby to była maska, odpowiedziała: nasrałam na to... wymówiła to jednak tak cicho, że on jej nie zrozumiał i musiał jeszcze raz zapytać. I tych 2-je zaczęło się tak dobrze rozumieć, że ona ciągle chciała mu się z czegoś spowiadać, nawet z tej historii ze skarbonką w kaplicy. Często miała to na końcu języka, jednak za każdym razem, kiedy chciała o tym zacząć, oddech jej zamierał... a do tego za każdym razem zdarzało się coś innego, tak banalnego, że aż śmiech człowieka ogarniał i nastrój pryskał. Ondyna nigdy nie wiedziała, jak to z nim było, wczoraj był taki, a znowu dziś całkiem inny: ludzi w ter-muren można było szybko poszeregować, ten to pijak, tamten to babiarz, inny znów to próżniak, a jeszcze inny to poczciwa dusza... ale on był zbyt skomplikowany. Teraz siedzi i zakreśla zdania w pamiętnikach bismarcka, i powiada, że świat leży i czeka na tego, kto*

*zechce go wziąć w swoje ręce... i to było jedyne zdanie, które tego wieczoru wypowiedział; oczywiście, pomyślała ondyna znudzona, oczy ma piękne... ale czy nie są to właściwie oczy kobiety? Kiedy przedtem pozwalala się innym obcałowywać i nagle on stawał jej przed oczami... a ona zastanawiała się, co by teraz o niej pomyślał... dziwne, ale na jego twarzy widziała uśmiech, tak jakby wyczuwał, co ona w głębi duszy, na samym jej dnie, myślała: a czy takie wyczuwanie nie jest czymś typowym, swoistym tylko kobiecej naturze? Lecz wtedy odrzuciła tę myśl: przekonywała samą siebie, że tylko kobieta potrafi wyczuć te sprawy. Teraz on czytał bismarcka i w myślach podbijał świat... zapomniał o niej, ondynie, a ona odkryła, że jest zbyt samolubny, żeby naprawdę być piękny. I wtedy w niezwykle sposób wpadła na to, że świat, który on w swoich najskrytszych myślach pragnął podbić, był kobietą, którą pragnął posiadać fizycznie. Ondyna nienawidziła tego świata, który był kobietą... nie potrafiła sobie wyobrazić niczego haniebniejszego, niczego potwor nie jszego. O, widziała go na wylot, kiedy tak siedział... zaczynała go zgłębiać... a równocześnie widziała, że nigdy nie będzie mogła mu nic powiedzieć o swych odkryciach, bo wtedy nie zniósłby jej obecności. Tak, to były momenty, w których się od siebie oddalali: w następną niedzielę ona też przyniosła ze sobą książkę, jedyną, jaką miała, francuską gramatykę... a tego dnia on właśnie nie miał żadnej książki i nudził się śmiertelnie, a ten świat — kobieta, którą trzeba podbić — nie był nic wart: wszystko to jest nonsens, powiedział achilles.*

## OKRĘTY W SZTORMIE

*Napisałem wiersz, powiedział achilles derenancourt z drwiącym uśmiechem, jakby pisanie wierszy było jeszcze większym nonsensem niż wszystkie inne nonsensy razem wzięte... ondyna przeczytała go i nie całkiem zrozumiała; była w nim mowa o kobiecie: dlaczego miałbym cię kochać, jeśli jesteś tylko zabawką, która błaga, żeby ją połamać? I ondyna przypuszczała, że to była aluzja do niej... czy to o mnie?, spytała... gdyby tu chodziło o kobietę, to mogłoby być także o tobie, odpowiedział achilles, bo jesteś kobietą, ale tu nie chodzi o kobietę, tylko o świat. I kiedy tak siedzieli i spoglądali jedno na drugie, byli jak okręty w sztormie na wzburzonym morzu, jak drewniane szczątki, które przypadkowo to dryfują ku sobie, to znów się od siebie oddalają: oto on znów jest pochłonięty tą swoją potworną myślą., że świat jest kobietą, która krzyczy, żeby ją zapłodnić, myśli ondyna. A ona znów siedzi zazdrosna jak suczka o to, że mężczyzna chce również świat zapłodnić, myśli achilles. On siedzi w jednym kącie powozu, a ona w drugim i chciałaby to wyobcowanie pomiędzy nimi zapęłnić słowami... chciałaby paplać w nieskończoność, ale cokolwiek chciała powiedzieć, na każdych 10 wypowiedzianych słów było jedno, które słyszała wcześniej od ludwika: ten twój wiersz, w którym świat jest kobietą, sądzę, że jesteś w błędzie, mówiąc, że jest on tylko zabawką, która błaga, żeby ją połamać: świat oddaje się tylko temu, kto jest na tyle mądry, by go więcej nie pożądać. I ledwo zdążyła to powiedzieć, kiedy sobie przypomniała, że to ludwik coś takiego jej powiedział... i również dopiero wtedy pomyślała: o, ludwik to powiedział, ostatnim razem, kiedy poszliśmy do pokoju koło stacji... i w tej samej chwili achilles z wykrzywioną gniewem twarzą wy*



*krzyknął, że to słowa ludwika: słowa, które ten musiał wcześniej słyszeć od mojego brata... naszego norberta, tego wariata, mistyka... i które przy tym za ledwie w połowie zrozumiał, ł uczynił ręką taki gest, jakby zmiatał te słowa. To nieprawda, odpowiedziała ondyna, to ja sama z siebie... na co on roześmiał się szyderczo, że na co ją też stać samą z siebie, oprócz świadomości, że musi schlebiać tym, którzy stoją wyżej od niej, i deptać tych, którzy są niżej: na to jesteś za bardzo dziewczyną z ter-muren. Ondyna gotowa była go zabić za tak otwarcie wypowiedzianą zniewagę, gdyby nie to, że... no tak, że to, co mówił, było całkowicie prawdziwe. Rozplakała się zatem. I płacząc była wewnętrznie tak mocno uradowana z tego, że nie zdradziła swojej tajemnicy kradzieży, iż odkryła sama w sobie tę wielką prawdę: nie bądź nigdy taka głupia, by powierzyć innym coś, co nawet przed sobą musisz ukrywać... bo jakbyś blisko dzisiaj obok kogoś nie stała, to jutro burza odegna cię od niego na wiele mil.*

#### **KRAMIEK DZWONI DO DRZWI**

Oto ktoś dzwoni, twoja żona podnosi wzrok i odzywa się: to na pewno znów jakiś literacki maniak, jakiś wariat, jakiś pomyleniec, który nigdy nie czyta książek, ale zna nazwiska wszystkich pisarzy i wie, czy piszą w ekstraklasie, czy też powinni przejść do ligi okręgowej, jak piłkarze... ktoś taki jak seeverman, który oświadczył, że nie kupi twojej książki, zanim nie przeczyta w gazetach recenzji... nie, nie tak to powiedział... zanim nie przeczytaMY recenzji w gazetach, oto jak powiedział. Tak jakby Osobowość była ostatnią resztką zużytej ścierki; my, zjednoczeni pomyleńcy, nie posia

dający własnego zdania o twoich książkach, poczekamy, aż krytyka da ci co najmniej 6 punktów na 10. I to powiedziawszy twoja żona zwraca swą głowę lwicy z wyrazem pogardy na twarzy w stronę drzwi, gdzie po raz drugi zadzwonił dzwonek: spławić go, czy może chcesz go widzieć i słyszeć, żeby go wykorzystać jako taniego bohatera w swojej książce o drodze z kapliczką? I otwiera drzwi, i wchodzi kramiek, z obliczem strind-berga, ale z wyciągniętą ręką wyglądającą jak ryba. która od 3 dni jest martwa, i oznajmia, że literatura jest flagą, pod którą padamy oddając życie, i że pisze długie na 6 stron listy do swojej ukochanej, ale nie żadne tam głupstwa, tylko rozbiór książki: w ostatnim liście wykazałem jej, że pańska ostatnia książka syki-logicznie jest znacznie głębsza. I w tym momencie dajesz znak swojej żonie, że może otworzyć drzwi i wyrzucić go z domu... bo jako bohater twojej książki

o drodze z kapliczką odegrał on swoją rolę już ponad potrzebę... ale on widzi ten milczący gest i wstaje, wyciąga tę swoją zdechłą rybę i powiada, że nie ma czasu dłużej zostać: zajdę jutro, gdy się uporam z najbardziej palącą robotą.

I zaledwie zdążył wyjść, kiedy twoja żona sadowi się tuż przed tobą i twoimi papierami: porozmawiajmy w 4 oczy, zagaja, dlaczego chcesz dalej pisać, jeśli nikt, kto jest kimś, nie czyta twoich książek? widzisz przecież aż za dobrze, że ciągle mylą twoje książki z literaturą... i widzisz przecież aż za dobrze, że tylko pomyleńcy czytają książki i nie rozumieją ich... i wi dzisz równie dobrze, że czytają te twoje książki, bo szukają w nich literatury, którą najchętniej sami by napisali! A ty nie odkładając nawet pióra odpowiadasz jej, że stanąłeś z pisaniem mającym zaopatrzyć pomy-leńców w literaturę... i że stanąłeś również z pisaniem mającym poprowadzić świat ku temu, co piękne

1 wniosłe... ale że pisanie jest dla ciebie potrzebą, tak

samo jak np. wyjście do w.c. jest potrzebą: zniecka odczuwasz parcie i musisz się śpieszyć, bo inaczej masz pełne spodnie. Ale później już więcej na to nie patrzysz, ani też nie obchodzi cię, co się z tym dzieje... tak że jesteś nawet zdziwiony, jeśli to czy inne czasopismo zwraca się do ciebie z propozycją napisania czegoś dla nich: zupełnie tak, jakby prosili o twój już zużyty papier toaletowy. A to, że potem i tak tego nie publikują... jednakże żałujemy, łącząc wyrazy szacunku... to cię nie dziwi ani odrobinę: ty w podobnym przypadku też byś tego nie zamieścił.

### *PODZIELE SIĘ MIĘDZY WAS*

*O, pan achilles widział w ondynie tylko zabawkę, a może tylko pieska, suczkę, która ocierała się o jego nogi i spoglądała w górę i była wierna... i być może trudno mu było pogodzić się z tym, że znała wcześniej innego pana, może obawiał się, że pan ludwik wróci i zawoła: ondyna...! i że wtedy ona, merdając ogonem, pójdzie za nim. Ondyna była w jego życiu czymś nowym: przez te wszystkie małe tajemnice, które mu, walcząc trochę ze swą wstydlivością, wypaplała, stał się jeszcze bardziej pochłonięty samym sobą, zaczął się we własnych oczach uważać za kogoś, kto zna się na ludziach; tylko ja znam te wszystkie małe kobiece tajemnice. A teraz miałyby się od niego uniezależnić i być może ot tak, zwyczajnie, wrócić do ludwika i tam wypaplać te wszystkie małe tajemnice?... a ponieważ mdlilo go od czegoś, co już inni przed nim ruszali, to z kolei ją mdlilo od tych różnych rzeczy, które on wygadywał o ludwiku gourmonprez... rzeczy, o których nawet nie wiedziała, że istnieją, i które budziły w niej strach: i nagle, w toku dyskusji o życiu i miłości, jesz*

*cze nawet z ironicznym uśmieszkiem na ustach, ondyna wybuchła szloch. Oczywiście coś takiego zdarzyło się 1 lub 2 razy, w inne dni bawili się wspaniale. Ale bywały również, jak to zwykle, godziny, kiedy... nie to, żeby się nudzili, ale kiedy jak para szaleńców chcieli dogonić beztroskę i szczęście... i kiedy na nowo odgrzebywali żarty, z których kiedyś śmiali się do łez, ale z których teraz, czy to nie dziwne, nie potrafili się nawet ironicznie skrzywić: nie mówiąc o tym, obydwójce o tym samym myśleli, żeby pojechać do innych, gdziekolwiek by oni teraz byli, i tam jak wariaci po-rozwalać wszystko, co im w ręce wpadnie. Ludwik jednak był powodem, dla którego nie śmieli wyrazić swojej tęsknoty za innymi: ona myślała, że achilles obawiałby się kontaktu pomiędzy nią a ludwikiem, i myślała też, że... och, czegoż tylko nie myślała? A jemu chodziło po głowie akurat to samo: za dużo myślą, jakby byli starcami, którym krew w żyłach zakrzepła... bali się, że robi się dziura w czasie, w wieczności i we wszystkim, bali się rzeczy, które zupełnie nie miały sensu i które najprostszą w świecie sprawę tak komplikowały, że ich obydwójce, każde w swoim kącie powozu, głowy zaczynały od tego boleć. Ale przypadkowo zatrzymali się pewnego wieczoru przed jakąś gospodą zagubioną wśród pól i, o boże, siedziała tam cała ich banda: z tego, nad czym każde z nich samotnie rozmyślało, nie zostało ani śladu... śmiali się i dowodzili... i nagle, jak się to stało, sami nie wiedzieli, ondynka spojrzała zdziwiona na achillesa, kiedy ujrzała samą siebie siedzącą im obu na kolanach... achillesowi i ludwikowi równocześnie... i kiedy usłyszała samą siebie mówiącą: podzielę się między was, ty łap za ten pośladek, a ty za drugi: nawet **pol** trafiła się z tego roześmiać. Ale tylko dlatego, że była pijana.*

## *HISTORIA JEANNINY TYMCZASOWEJ*

*Przeczytałam właśnie, jak ondyna podzieliła swoje uda pomiędzy panów... powiada tippetotje, której głos brzmi jeszcze trochę ochryple w te karnawałowe dni... ale jeśli twoim zamiarem było pokazanie, że najwyższe warstwy społeczeństwa ileś-tam-lat-temu były całkiem spleśniałe, to byłoby z twojej strony niesprawiedliwe niepokazanie, że najniższe warstwy również są nadpłeśniałe...*

I tippetotje siada, a w jej oczach i w jej słowach widoczne jest jakby zmieszanie, bo całkiem innym, rozbitym tonem dodaje: popatrz, wczoraj powiedziałabym ci, że najwyższe i najniższe warstwy społeczeństwa powinny śmierdzieć, jeśli środek sera ma być smaczny i pożywny... ale dzisiaj muszę zmieszana dodać, że również środek gnije i zaczyna śmierdzieć: świętowałam wczoraj razem z innymi ostatni wieczór karnawału, żeby jeszcze raz zobaczyć jamesa ensora, i poszłam popatrzeć na przebierańców, którzy mieszkają tam, w 1-szych brudnych domach za laborem, i to, co widziałam, ciągle jeszcze gniecie mnie w dołku: wszyscy byli poprzebierani i doskonale się bawili śpiewając sprośne piosenki, prześcigali się przy tym, kto zaśpiewa naj-sprośniejszą, i wszystkie baby musiały pościągać majtki, bo ze śmiechu się posikały, a potem urządzili konkurs, który z mężczyzn ma największego. I sprawiało im to taką przyjemność, że zabawiali się dalej przez całą noc; wszystkie kobiety w tej kafejce na rogu latały z zadartymi spódnicami, a mężczyźni z interesem na wierzchu, A jeannine... jak też mam ją nazwać, bo już kiedyś opowiadałeś o jeanninie od pijanej hortensji, która była za ładna, żeby się wałęsać po brukselskiej dżungli... ale ta tutaj nie była... wspominałeś, że w przyszłości masz zamiar dać pewnej jeanninie dużą rolę do

odegrania w swojej książce, i to oczywiście też nie ta... a więc nazwę ją jeanniną tymczasową. A zatem ta moja jeannina miała jakieś 16 lat i też tam latała z zadartą spódnicą, a gdy już zbliżał się ranek, wbiegła nagle do kafejki goła i pokazując każdemu swoją za-papraną sukienkę, bez przerwy śpiewała i bełkotała: popatrzcie tylko, jak te chłopcy popaprały mi sukienkę tym, co wychodzi z ich interesu! A ja, tippetotje, poszłam do domu z tą piłą zgrzytającą w moim żołądku, w głowie, we krwi... i rzygałam, żeby się uwolnić od tego bólu w tyle głowy, żeby zapomnieć, że widziałam, jak środek, miąższ chleba, ta najciemniejsza i naj-uczciwsza, i najlepsza cześć społeczeństwa też jest toczona przez raka.

### *POETA DROGOWSKAZEM I PROROKIEM?*

Johan janssens siada, trzymając w ręce pomietą kartkę papieru, z której jakby chciał coś odczytać... ale kładzie na niej utrudzone ręce i mówi: czy wiesz, że tippetotje powiedziała coś przygnębiającego?... coś, czego ja również dotykałem własnymi palcami, co widziałem na własne oczy, co słyszałem na własne uszy, ale z czym jeszcze nie chciałem się pogodzić własnym rozumem?... ona, tippetotje, poszła zobaczyć jamesa ensora, ale to, co widziała, to był w rzeczywistości kawałek upadku naszej cywilizacji, choroba, rak... a ja, johan janssens, udałem się w charakterze Poety na plac flagy w brukseli, aby wyłożyć przez radio stosunek społeczny pomiędzy poetą a masami... a gdy skończyłem mówić i wychodząc z budynku radia zobaczyłem zapadający nad placem wieczór, wciąż jeszcze będąc trochę przepelniony moimi pięknymi i wzniosłymi słowami, dostrzegłem pomiędzy tymi słowami

upadek naszej cywilizacji: poszukiwanie wciąż nowych sztuczek, żeby zdobyć pieniądze, i żeby te pieniądze znów rozrzutnie przepuścić: przyczepiła się do mnie jakaś kobieta, żeby, jak to się mówi, dać jej na tramwaj... i dałem, dałem jej 3 franki, bo jak powiedziała, musiała się przesiadać... ale ona pośpieszyła na drugi koniec placu do innego przechodnia. A ponieważ robi mi się od tych rzeczy niedobrze, wstąpiłem w kafejce na rogu do w.c. dla Panów — pozwól mi się gorzko roześmiać — które było obok w.c. dla Pań — pozwól mi się raz jeszcze gorzko roześmiać — a pomiędzy tymi obydwoma w.c. było drewniane przepierzenie, w którym przewiercono dziurę, tak że Panowie, z okiem przy dziurze, z bliska mogli podziwiać Panie. A następnego ranka ja, johan janssens, siedziałem przy piecu z moją pomiętą przemową radiową — powołanie poety wobec mas — z rozczochranym włosom, trzymając w drżącej ręce papierosa i filiżankę kawy, żeby splukać brudny smak w ustach... i widzę samego siebie siedzącego jak bezwolny wrak w nurcie rzeki kongo... jako do niczego nieprzydatny poeta pięknego i wzniosłego w szpetnej i podążającej ku przepaści cywilizacji. I wtedy usiadła koło mnie moja żona i w jej oczach dostrzegłem zmieszanie; co to za świat, zapytała, wczoraj, gdy byłeś w radio, stanęłam w drzwiach, żeby trochę popatrzeć na drogę z kapliczką i zobaczyłam murarza, który замуrowywał dziurę w murze laboru... on też mnie zobaczył i wyciągnął ze spodni to, co tam ma, żeby, jak to się mówi, wysikać się, ale było to tak ogromne, że musiałam jednak na to patrzeć, to brzydko, że o tym mówię... ale on stał tam tak i prawie nie mógł tego z powrotem schować do spodni. I johan janssens siedzi podobnie jak tippetotje zmieszany i zapomina odczytać to, co ma na papierze, a co odczytał przez radio: Poeta drogowskazem i prorokiem dla swych współczesnych.

## *TYSIĄC RZECZY UCHODZI BEZKARNIE*

*Jednak ondyna nie była taka ładna; gdy była dzieckiem, wyglądało na to, że wyrośnie na niebywałą piękność... ale teraz już było widać, że w jej szyi nie ma wgłębienia, ale że przechodzi ona w swej krągłości od razu w pierś, czy to nie był początek wola?... a jej nos był trochę za ostry i haczykowaty... I z tymi oczami też coś nie tak... chociaż nie można było powiedzieć, czy to mankament, czy też coś na swój sposób pikantnego... ale były za chytre. Ondyna była zadowolona, że odkryto, kim jest. I że w chłodny poniedziałkowy poranek odwożono ją do ter-muren... a to, że znów przez tydzień, gotowa w każdej chwili wskoczyć w swoje drewniaki, wyczekiwana przy zulmie, vaporeurze i wa-lerku, i samotnej, zapomnianej matce boskiej w kaplicy, gdzie każdego lata mieszkała jaskółka, która obsry-wała cały ołtarz — to się nie liczyło. Wiedziała, że ci biedni i ciemni ludzie mówią o niej „suka od vaporeura”, ale jeśli się szczęście kupuje, to trzeba też coś za nie płacić, jacy ci ludzie durni, że tego nie pojmują. Biedny i ciemny ludek powiadał, że to nie będzie długo trwało, tylko poczekajcie...! jakby ondyna sama tego nie wiedziała: bo cóż trwa długo? Gdzie jest taka dziewczyna, która się nie zestarzała? Ale z tego „to jej nie ujdzie bezkarnie”, śmiać jej się chciało... tysiące rzeczy uchodzi bezkarnie... i myślała o skarbonce, o swoich przekleństwach w kaplicy, o gównie tam, przy krzakach świętego janowca, tak, o odciętym palcu walerka; bóg wie, kto może dopuszczać się przestępstw, a kto nie: jej było wszystko wolno, bo zostanie kimś wielkim, bo będzie coś znaczyć w życiu. Przychodziły również złe dni, no więc przyjmie je również, tak samo jak dobre: da sobie z nimi radę. Stało się to jedną z jej ulubionych myśli, którą się w rzadkich chwilach*



*zadumy pocieszała: mogła siedzieć godzinami z rękami na kolanach i nagle wstać i powiedzieć: pchi, pchi, błazen pana glemmassona jest tam przecież po to, żeby przegnać nudę i obrzydliwy smak wyczynianych zbytków... przegnać — innymi, nowszymi i jeszcze vjspa-nialszymi zbytkami.*

### **PRYWATNY CHARAKTER**

Wczoraj była już wiosna, z wypuszczanymi na słońcu przez krzaki róż pąkami i z krokusami, a dzisiaj znów nagle zaczęło mrozić i śnieżyć, i niżować; pąki róż czernieją, a nos mossieu colsona z miństerstwa sinieje; i nie ma się też co dziwić, że śmiech mu zamarzył i że ponuro wyciąga on z kieszeni gazetę — lepiej, gdyby to był węgiel ■ — i zaczyna czytać: w środę o godzinie 11.30 przybył z kongo na lotnisko w melsbroeck pan maczuga, ultramarksistowski minister... podróż ministra miała prywatny charakter... po przylocie pana maczugę powitał pan ciosacz, minister kolonii, oraz członkowie jego gabinetu. I ponurość mossieu colsona z miństerstwa uderza cię w oczy jak lodowaty wiatr na dworze: och ty, pisarzu, który głupio i wciąż trochę dziecinnie sądzisz, że świat można podzielić na prawych i lewych, na kapitalistów i proletariuszy, na reakcjonistów i rewolucjonistów... który sądzisz, że świat ewoluuje w taki sposób, iż wczoraj stał tutaj, a jutro będzie stać już TAM... który nie rozumie, że każdy może być wrogiem każdego, dzikim zwierzęciem, skrytym zwierzęciem, zwierzęciem skradającym się w nocnej ciszy tu i tam, czającym się w zasadzce i chodzącym w przebraniu jak wilk w owczej skórze... który nie uświadamia sobie tego, że każdy nawet w samym

sobie nosi wroga samego siebie... który nie podejrzewa, że każdy jest szacownym obywatelem płodzącym dzieci, ale równocześnie wilkołakiem, który pożera dzieci... a przede wszystkim, który nie rozumie, że ktoś może być skrajnie lewym ultramarksistą i proletariuszem, ale że ten sam ktoś może być trochę ministrem i polecieć do kongo... a przede wszystkim, o gorzka ironio, może mieć prywatny charakter. I raossieu colson, wy-ryczawszy to wszystko tak jak ten niż, który przesuwają się nad naszym obszarem i powoduje, że przybity i milczący siedzisz nad swoim papierem, urąga jeszcze: jak to, myślisz, że nie możesz brać w tym udziału, bo jakiemuś ultramarksistcie nie wolno zobaczyć konga i union miniere du haute katanga? Nie, nie, to nie dlatego. To tylko dlatego, że istnieje różnica pomiędzy ultramarksistą, który jest ministrem i zachowuje przy tym prywatny charakter,, a pisarzem, który może sobie być albo nie być marksistą, ale który nigdy przy tym prywatnego charakteru zachowywać nie chce, nie może lub nie będzie, to znaczy, który ani przez chwilę nie myśli o tym, żeby przymknąć oczy, ale który wszystko przetworzy na książkę: moje małe kong°.

#### *NAJPIERWSI SOCJAŁOWIE*

*Błazen pana glemmassona zaproponował, żeby kiedyś pójść do tego boone, który otworzył koło stacji małą złodziejską gospodę i nazwał ją prawo i wolność... bo przychodziła tam ta cała szumowina: zwolniony z laboru majster, zwolniony ze służby stróż nocny, taki jeden zwany „marynarzem”, który zawsze służył na wielkich, liniach hamburg-nowy jork i antwerpia-ryga,*

*a teraz nie wie, jak się nazywa, taki jest zawsze pijany, facet z 1 ręką, który chodził na kolej kraść i stracił rękę zakleszczoną w przesuwanych drzwiach, wypędzony z domu student, marzący o świecie, „w którym wszystko będzie piękne i wzniósłe”. „Socjalowie”? nie, tak jeszcze nie śmieli o sobie mówić, nawet się trochę bali tego słowa, bo oznaczało ono czerwoną i świeżą, parującą krew, zatłuczonych naszych miłościwych panów i ścięte głowy zakonnic: student mówił o organizacji, związku zawodowym i kasie chorych, i że każdy powinien mieć prawo wyborcze... sterczał to przy bramie laboru... to znowu przy bramie filatury... ale przy laborze wyśmiano go i pokazano, żeby tam nie stał, popychano go i szturchano, aż go, złowrogo pomrukując, wykopano na zewnątrz... a w filaturze było jeszcze gorzej. Ale księgowy, ten siwy człowieczek po 60-ce, ze swoim pince-nez, stanął obok niego, żeby go bronić i żeby powiedzieć, że coś z tego rzeczywiście było prawdą: zaczął gadać o swoich kursach wieczorowych, bo teraz muszą stawiać f, gdy mają coś podpisać. Student zapytał go, czyby nie przyszedł kiedyś i nie wystąpił w ich lokalu prawo-i-wolność... początkowo księgowy nie śmiał... mówił, że stworzył związek zawodowy, choć to nie było prawdą, była to zaledwie kasa chorych — nie był z niego żaden mąciciel, starał się tylko w miłości i przyjaźni dojść do porozumienia z panami, aby uzyskać lepsze warunki życiowe dla robotnika: i wstąpi lepiej do mojego związku, odpowiedział studentowi. Powiedz nam kiedyś o nim, zaproponował student. I VJ końcu pan brys zaszedł kiedyś w okolice stacji, i z głową wtuloną w ramiona wygłosił i dla marynarza, i tego z 1 ręką, i boone, i studenta — i jeszcze dla jednego nowego, co się dołączył, szlifierza, który dostał 5 lat za to, że pokazał swoje przyrodzenie małoletniej, wykład o tym, co nazywał „pracą z radością”. A ponieważ pan brys nie potrafił 2 słów wypowiedzieć,*

*żeby nie było przy nich „więc”, mówił więc, że ci z tkalni i z przędzalni powinni się więc zjednoczyć w związku, w którym byłby również ktoś z jabrykantów. A ponieważ nie było wśród nich nikogo ani z tkalni, ani z przędzalni, ani spośród jabrykantów, to odpowiedział za nich marynarz: powiedział, że zwiedził cały świat, anglię też, i że miał kiedyś w manchesterze kochankę, która codziennie była pijana, i że nie było tam wcale lepiej niż gdzie indziej, po co więc nam tutaj nudzisz o trade-unionach i pracy w radości? Pan brys zmył się jak niepyszny, a student znów stanął przy bramie i wołał: jednoczcie się, przyjdźcie do lokalu prawo-i-wolność. A pan brys ze swej strony chodził po domach i zapisywał na członków swojej kasy chorych: prości ludzie nie za wiele z tego rozumieli i pytali, czy są teraz socjalami; brys potrzebował całej swojej siły przekonywania, żeby im wytłumaczyć, że to, czego chcą ci ludzie z prawa-i-wolności, i to, czego on chce, to dwie zupełnie różne rzeczy: jeśli się zapiszecie do tych ludzi, to będziecie członkami 1-go stowarzyszenia socjalów, a gdy się zapiszecie u mnie, to będziecie najzwyczajniej w świecie członkami kasy chorych. Pozwalali mu więc robić jak uważa, i wierzyli, jak zwykle do tej pory, w boskie miłosierdzie.*

**POCAŁUJ MNIE GDZIEŚ!**

*Tak więc błazen pana glemmassona wystąpił z propozycją, żeby kiedyś zrobić kawał tym durniom z prawa-i-wolności: upić całą gromadę robotników z tkalni i z przędzalni, i kazać im się zapisać do... socjalów; pociągnęli tam całą bandą... byli nawet wśród nich*

*policjanci przebrani w niebieskie, granatowe fartuchy i sukienne czapki... przewodził im majster z przędzalni, chłop, który musiał się schylać, gdy gdzieś wchodził. Mała, gospoda pękała w szwach, a boone, który sam jeden stał za szynkwasem, stracił głowę... walili pięść-ciam.i w blat i chcieli, żeby ich zapisać do związku zawodowego: zapisz nas wszystkich jako socjałów! A ponieważ 1-si socjałowie nie mieli jeszcze listy członków, boone musiał ich zapisywać na papierowej torebce... i wtedy ktoś wytrącił mu z ręki ołówek, ktoś inny rozbił beczkę z piwem, które rozlało się po podłodze, i jeden po drugim zaczęli tłuc kufle... a przebrany policjant oparł się plecami o okno i nacisnął tak, że aż wyleciało: ej, boone, gdzie twoja papierowa torebka, żebyś się zapisał na nową szybę... wyrwali mu z rąk listę członków i dali policjantowi, który umiał pisać, żeby nabazgrał na niej najgorsze głupstwa. Gdy zabawa dobiegała końca, zjawili się panowie, którzy przypadkowo tamtędy przejeżdżali, była z nimi ondyna i ujrzeli, jak jakiś tkacz wdrapał się na szynkwas i załatwiał się na nim.*

*Była taka 1 sprawa, że ondyna zaczęła się zapierać rękami, gdy pan ludwik chciał ją pocałować tak jak dawniej. Wiedziała, że on chciałby ją używać jak łopatę albo patelnię i dlatego w geście odmowy trzymała pomiędzy sobą a nim wyciągnięte ręce: to nie taczki, oświadczyła. I nagle uwaga wszystkich skupiła się na niej, bo pan ludwik zaperzył się, że ona do jasnej cholery to nie taczki, co to, to nie, ale jednak worek. Śmiać jej się chciało z tego słowa, z jego wykrzywionej złością twarzy: twarzy małodusznego, który nie ma więcej prawa np. pójść z nią do wynajętego pokoju. Chciała jednak wyjaśnić, że „nie pozwoliła się pocałować, bo chce coś więcej dla niego znaczyć”, ale po to tylko, żeby innym zademonstrować swoją prze*

wagę nad nim. Wtedy śmiech go ogarnął: nie pozwalasz się pocałować komuś, za kim na swój durny sposób tak przepadasz... wmawiaj to głupiemu. Ondyna spróbowała. Aby uporządkować swe uczucia, zaczęła dobierać słów, których prawie nigdy nie używała... ale w toku swego zawilego wywodu zobaczyła, że ten i ów przygląda się im z drwiącym uśmiechem... i urwawszy w połowie jeszcze nie skończone zdanie, powiedziała: pocałuj mnie gdzieś! Stała obok pana achillesa, patrząc na wszystkich z pogardą. Pocałuj mnie gdzieś, pocałuj mnie gdzieś... wykrzyknął pan ludwik... całowałem już takie, które mniej śmierdziały, słyszysz?

### WIECZÓR NA ZAMKU

Tylko my się nawzajem rozumiemy, powiedziała ondyna do pana achillesa. On pogłaskał ją po szyi, na której nie było wgłębienia, i po nosie, który był trochę za ostry i haczykowaty, i powiedział, że jest jego jedyną, małą, głupią ondyną, i odwiózł ją do domu... nie wiedziała, że zaraz po tym wrócił do tamtych, żeby kpić z jej „pocałuj mnie gdzieś“!: klepał się po udach i ryczał ze śmiechu. Gdy ona uważała się za sprytną i wyrafinowaną, on był sprytniejszy i podwójnie wyrafinowany: zamieszkał na zamku — a ponieważ zima była za pasem, derenancourtowie przeprowadzili się do domu w mieście i zamek, park oraz staw były opuszczone i pogrążone w smutnym deszczowym nastroju — wieczorami kazał ją przywoływać i wtedy razem spacerowali po dziczejącym parku; och, ondyna uwielbiała ten wieczorny nastrój, kiedy psy biegły obok, a krople deszczu spadały z płaczących wierzb lub z pluskiem kapały do strumienia. Powiedziała: chciała

*bym nigdy więcej nie wychodzić z tego parku, nikogo nie oglądać, tylko zawsze tutaj spacerować. Achilles zapytał, dlaczego zatem każdego wieczoru chce wracać do domu, na co ona odpowiedziała, że nigdy jej nie poprosił, żeby została: więc zostań, powiedział achilles. I ondyna została; to było nieistotne zabawianie się słowami, w tym nierzeczywistym nastroju jesieni i martwych liści... trochę też pod wpływem książki, którą miał ze sobą, wierszy, gdzie była mowa o kochance, która leży rozpostarta na futrze przy ogniu kominka rzucającym kapryśne cienie na jej skórę. On też chciał coś takiego mieć, chociaż nie mógł powstrzymać ironicznego uśmiechu z powodu tych „kapryśnych cieni”; gdy ondyna też leżała przy kominku, patrzył ze zdziwieniem, na jej trochę za okrągłą szyję, ale z kolei on nie mógł się powstrzymać przed napisaniem wiersza, myśląc w nim ondynę ze światem, który był kobietą, i gdzie z kolei świat plątał mu się z bogiem. Tak, patrzył ze zdziwieniem na jej szyję, ale rano był jeszcze bardziej zdziwiony, gdy znalazł ją obok siebie w wielkim łóżu, małą i zagubioną, zwiniętą w kłębek pod kołdrą. Jeden jedyny raz poszła jeszcze do domu, po to tylko, żeby zabrać swoją francuską gramatykę; on miał jej dawać lekcje: nie do wiary, jak potrafiła zapamiętywać najbardziej wyszukane słowa, a równocześnie nie mogła nauczyć się gramatyki. Pewnego razu achilles starał się już najlepiej, jak potrafił, wbić jej do głowy, jak się tworzy we francuskim liczbę mnogą, kiedy ona nagle zeskoczyła z jego kolan, żeby pobiec za psem; otworzyła szklane drzwi zimowego ogrodu i zniknęła w szarym mroku tego o wiele za dużego parku... po dłuższym czasie wróciła z powrotem z włosami mokrymi od rosy: zobaczyła, że był jakby rozdrażniony; ty się nigdy dobrze nie nauczysz francuskiego, powiedział. Chociaż jej francuski interesował go tyle co zeszłoroczny śnieg; chodziło właściwie o to,*

*że odkrył, iż ona bardziej kocha park, psy i jesień niż jego... że to nie on, achilles, był tym, którego ona kocha, lecz pan derenancourt, który mieszka na zamku. Był trochę oziębły, ale w łóżku ondyna uniosła się na łokciu i powiedziała: on jorme le pluriel en ajoutant une s. Och, czy można się było na nią złościć?*

### *NAONCZAS KAZAŁEM MU OGOLIĆ TONSURĘ*

Oto właśnie zaczęto u lisa przechery pałaszować węgorka w zielonym sosie, kiedy za oknem dały się dostrzec jakieś podejrzanе ruchy: był to wielmożny isen-grinus, który utracił swą szpyrkę i nic nie miał w gębie, i szwendał się tutaj, wypatrując ciągle swego bratanka przechery, aby ten wyciągał za niego gorące kasztany z ognia: przez dłuższą chwilę, przysłoniwszy oczy dłońmi, zezował przez okno i wciągał w nozdrza nieznanego sobie zapach: czy to nie wieprzowymi żeberkami opycha się jego bratanek i towarzyszy broni? Poczłł tak gwałtowny głód, że łykając ślinę podbiegł do szpary na listy, przez którą jednak, niestety, nie mógł się przedostać: hej, drogi bratanku, zawołał, otwórz, mam bardzo ważną wiadomość od króla republiki... to znaczy... w końcu to wszystko jedno, ale otwórz: przechera wyciągnął wreszcie nogi spod stołu i stanąwszy po drugiej stronie zamkniętych drzwi, zapytał, kto tam. Ja. No tak, ale kto to jest ten ja...? może to być równie dobrze złodziej wieprzowiny, jak i kawał jakiegoś oszusta i nicponia. Cóż to za omyłka, odkrzyknął wilk, to twój wuj isengrinus, który prosi, abyś go wpuścił do środka. Przechera odrzekł, że chętnie by to uczynił, ale problem w tym, że u niego za stołem siedzą Bracia... to znaczy, są to właściwie prawdziwi ka



nonicy z nowego klasztoru szkarłatnoczerwonych, synowie świętego jednookiego, którzy dali mi odpuszczenie grzechów i przyjmą mnie do swego zakonu. A kiedy wilk wypowiedział swe nazbyt pośpieszne pragnienie, aby zostać im przedstawiony, przechera odkrzyknął, że to niemożliwe: nie jesteś w stanie. Jakże to, nie w stanie... jestem w stanie wielkiego apetytu, czy to nie wystarczy? Jednak przechera naprawdę się zdenerwował i oświadczył, że wuj znieważa Braci, albowiem musi być w takim duchowym stanie, by nigdy więcej nie jeść mięsa. A co zatem jedzą twoi mnichowie, czy to zapach śmierdzącego sera, który czuję przez twoją szparę na listy? Przechera wyjaśnił, że to zapach pieczonych węgorzy, które opat szkarłatnoczerwonych radził wybrać jako najlepsze... ale wpuścić go nie może, musiałby być wyświęconym mnichem. Ha, po tym ich poznaję, skostatował wilk... pieczony węgorz, powiadasz, czy to smaczne? Na to przechera pośpiesznie podał mu kawałek, przez szparę na listy, oświadczając, że Bracia mu to ofiarowują, w oczekiwaniu, że wstąpi do ich zakonu... o, z pewnością, odpowiedział wilk, i również w oczekiwaniu: podaj no mi jeszcze kawałek, bo czuję się bliski nawrócenia. Jak będziesz tak pałaszować, to na zielone świętki zostaniesz już przeorem klasztoru, powiedział przechera. Przeorem? zapytał wilk, czy to możliwe?... To przeważyło szalę, ostrzyż mnie więc. Nie wystarczy ostrzyć, trzeba też ogolić, nastawał przechera. Naprzód, golić więc!, wykrzyknął wilk w pośpiechu. Wtedy przechera poszedł po wrzątek przeznaczony do zmywania statków: wsuń głowę przez szparę w drzwiach, wuju... i wylał gorącą wodę na głowę isengrinusa, który podskakiwał z bólu na jednej nodze: do diabła z tonsurą, zrobiłeś ją o wiele za dużą. Nie, jest właśnie pożądanej szerokości, odpowiedział przechera... a teraz zgodnie z regułą masz tu przesiedzieć całą noc w nabożnym.

czuwaniu i modlitwie. Gdybym o tym wiedział, to możesz być spokojny, ale nie zrobiłbyś ze mnie żadnego klechy, johan janssens.

### *ŚRUBA BEZ KOŃCA*

I wałęsasz się po ter-muren... koło niczyjego lasu, gdzie być może dziewczyna z tłustymi pośladkami nigdy już nie wróci... koło 1-szych brudnych domów, gdzie ostatni wieczór karnawału już dawno minął i niechlujna postać robi pranie w cynkowej miednicy, a ślepa zięba gwizdże w klatce... *za zamkowym strumieniem, gdzie jeszcze błąka sie papiertuba, choć on-dynka jest o wiele za duża, żeby się w nim jeszcze kapać...* w mieście z 2 fabrykami, gdzie zawsze pada, nawet kiedy świeci słońce. I wszędzie jesteś tak samo niespokojny, przez taką tippetotje z jej degeneracją naszej cywilizacji, wypowiedaną w o wiele za plastycznych słowach... jakby przez kogoś, kto za długo o czymś milczał i w końcu wszystko to nagle z siebie wyrzucił, w zbyt ostrych słowach, które nawet jego samEgo boleśnie ranią. I takiego mossieu colsona z miństerstwa z jego wycinkami z gazet, które zawierają o wiele za ciężkie fakty i które o wiele za szybko przynoszą nowe fakty następujące na piętę poprzednim... Jakby przez kogoś, kto siedzi na najbardziej na zewnątrz wysuniętej krawędzi koła i ciągle uderza o każdy kamień bruku, tak że ty, który powinieneś siedzieć na osi koła, ani przez chwilę nie możesz spokojnie porozmyślać. I w końcu przez to gadanie johana janssensa, które cię onieśmiela, gdy mówi on, że powinieneś być i tu, i tam, że powinieneś być obywatelem świata, który ma jakieś pojęcie o tym, jak się sprawy mają. Tak że jesteś przez

mossieu colsona z miństerstwa za bardzo spychany na krawędź koła i nie możesz odpowiednio długo i głęboko przemyśleć tych spraw... i że do tego z winy johana jansensa wiesz, iż za dużo siedzisz w swoim małym światku i nie dość stajesz się obywatelem świata, A kiedy potem, po swym niespokojnym wałęsaniu się w tym małym świecie ter-muren, przychodzisz w końcu do domu i wkradasz się do swojego gabinetu, to czujesz, że pachnie w nim tak, jak właściwie nie powinno pachnieć w gabinecie pisarza, lecz odwrotnie, pachnie tam tak, jak w poczekalni 3 klasy na dworcu o 4 nad ranem przed odjazdem pierwszego porannego pociągu... *i wtedy papiery z historią ondyny wyglądają na pożółkłe i zakurzone: czy tO jest czymś żywym, czy tO jest czymś, co ma ogarnąć świat, czy jest to książka*

*O drodze z kapliczką, która podobnie jak perpetuum mobile vapeura miałaby dokonać przewrotu w maszynach parowych i religiach, i wojnach? I nie ma się też co dziwić, że zaczynasz mówić: jednak ondyna nie była tak ładna, jak się wydawało, kiedy była mała... widać, że nie ma dołeczka na szyi, a nos ma trochę za ostry I haczykowaty, A równocześnie nie ma się co dziwić, że ty sam poszukując czegoś, co mogłoby uratować naszą cywilizację przed upadkiem, każesz się spowiadać vapeurowi z tego, że poszukuje on czegoś, czego i tak nie znajdzie.*

### **SPOWIEDŹ YAPEURA**

*Niezapomniane były te wieczory, kiedy ondyna stała przy kuchennym piecu w pałacu i smażyła i piekła to wszystko, czego się nauczyła u madame berthe... stała tam z rozpalonymi policzkami i błyszczącymi oczami, układając na cieście plasterki pokrojonego jabłka...*

*i równocześnie opowiadała o całej swojej walce przeciw panu brynowi i jego kasie chorych, o dniach, kiedy przez wszystkich zapomniana wałęsała się samotnie po ter-muren... na to sobie nie zasłużyłam, mówiła, ja, która tak wiele sobie o życiu wyobrażałam... tak, to też prawda, wiesz, jaka byłam młoda, kiedy już na ciebie patrzyłam jak na swojego ukochanego? A ponieważ on nie odpowiadał, patrzyła na niego z uśmiechem. Zasnął przy ciepłym kuchennym piecu. Ale przy tym ondynda nie była uciążliwa, była dość rozsądna, żeby rozumieć, że każdy ma swoje własne życie: jestem panią na zamku, myślała sobie. Ale cóż znaczyło być panią na zamku, jeśli tego nikt nie widzi? Stojąc przy ogrodzeniu i spoglądając na drogę z kapliczką, przyszła jej nagle na myśl jej matka... ona też stała tutaj przez ■wiele lat... otworzyła furtkę i poszła do rodzinnego domu, gdzie już dawno jej noga nie postąpiła: weszła do warsztatu i z wyzywającym uśmiechem patrzyła ■na vapeura, który natychmiast zupełnie stracił głowę: był akurat pochłonięty tym czy innym głupstwem, wrzucał miedzianą monetę i kawałek cynku do wyszczerbionego kubka z kwasem i prawdopodobnie sam nie wiedział, czego się spodziewał. Teraz niezgrabnie potrącił kubek, kwas wylał się na ziemię, a miedziany cent potoczył pod jego warsztat stolarski... zaczął szukać... kucnął i wsunąwszy rękę pod warsztat wyglądał tak, jakby szukał słów, które zamyślił sobie powiedzieć ondyndzie: był tutaj ksiądz, powiedział. Ondynda nadal patrzyła na niego z tym wyzywającym uśmiechem. Był tutaj ksiądz, powtórzył, i muszę ci powiedzieć,, powiedzieć... I wciąż jeszcze grzebiąc pod warsztatem wyciągnął zgubionego centa, spojrzął na niego i zastanowił się, cO właściwie powinien powiedzieć. No tak, był tutaj ksiądz i powiedział vapeurowi, iż powinien ostro się wziąć za swoją córkę... to wy powinniście się za nią wziąć, od tego jesteście księdzem, odpowiedział vapeur...*

■nie, nie, od tego ty jesteś ojcem, odpowiedział ksiądz. W ten sposób starali się przerwucić jeden na drugiego to niemiłe zadanie... i oczywiście wszczęli spór na temat religii, o kaina, który znalazł żonę w ziemi nod, a skąd ta kobieta?... cała księga genesis pełna jest dziecinnych opowiastek o czymś, co jest znacznie większe niż twój bóg, powiedział vapeur... byłoby lepiej, jeśliby coś takiego zaczęto wyjaśniać w sposób naukowy... teraz ludzie są jeszcze biedni i ciemni, ale zawsze tak nie będzie, kiedyś nauka wyjaśni wszystko znacznie piękniej. Lecz ksiądz musiał oczywiście mieć ostatnie słowo, a potem odszedł, już nie wspominając więcej o ondynie. Teraz ondyna stoi tutaj... i cóż to, śmieje się z niego...? vapeur patrzy na trzymanego w dłoni nadżartego kwasem miedziaka: łatwo ci się śmiać, mówi... i zaczyna coś opowiadać o tym, co się działo w popękany kubku: to jest bateria... wyjaśnia... to elektryczność... dodaje szeptem. I opowiada też o swoich kłopotach życiowych, o tej dziurze ter-muren... i o swojej żonie... i o niej, jego córce. I w zasadzie to, co mówi, nie jest oskarżeniem, nie, raczej usprawiedliwieniem, spowiedzią. Ondyna była trochę zaskoczona, przyszła, żeby stoczyć walkę, ale loalczyła na litość boską tylko z ludźmi, którzy nadaremnie czekali, aż na tę sukę vapeura spadnie kara boska... och, podczas gdy nadal zwracano się do niej Panienko i zabiegano o jej względy. Ale ona patrzyła na nich przenikliwie i pytała, dlaczego ciągle chorują i chodzą w podartych łachach: macie coś na sumieniu, czy też za dużo bumelujecie w jilaturze, że pan musi was karać...? coś mi się wydaje, że nocą łapiecie w sidła zające w zamkowym lesie... uważajcie, żebym was nie przyłapała!

## ZAPRAWA WYŻSZYCH SFER

To ciekawe, mówi johan janssens, że jakieś opowiadanie działa na każdego czytelnika Inaczej... pisarz powiedział nam, że chodziło o *spowiedź vapeun, a jednak mossieu colson z miństerstwa był najbardziej poruszony wypowiedzią ondyny...* „*uważajcie, żeby w lesie nie przyłapała!...*”, ja natomiast byłem bardziej poruszony określoną atmosferą w kuchni na zamku. Ale to może z powodu historii, zasłyszanej od dekarzy z 1-<sup>^</sup>zych brudnych domów, którzy w ubiegłym tygodniu przyszedli mi naprawić komin: zaczęli otwierać wszystkie moje drzwi i mówić, że jest zimno i tłukli drabinami, sznurami i wiadrami z góry i z dołu o każdy stopień moich schodów... ale około południa przyszedli po swoją bańkę z kawą, która przez całe przedpołudnie stała na moim piecu, i rozsiedli się wokół mojego biurka, żeby skosztować swoje kanapki. Ale w zamian za to przekazali mi swoją wyżej wspomnianą historię: pamiętają, jak pracowali przy kominie w jakimś wielkim hotelu w brukseli, a ten komin był w pokoju... na poddaszu, chodziło po prostu o to, żeby wynajmować jak najwięcej pokoi... dachówki były pomalowane na jasnoczerwony kolor z takimi grubymi belkami od spodu... zdobionymi różnymi wyrzeźbionymi rzeczami... ech, rzeźby... i meble były trochę .w tym samym stylu i komin też był trochę w tym samym stylu... ech, coś cudownie eleganckiego! A oni, dekarze, mieli pociągnąć komin na dach i uszczelnić go: zaprawę przygotowali na dziedzińcu, tam gdzie stoją kubły, do których wyrzuca się resztki jedzenia... ale to, co on, ten starszy dekarz, widział, jak tam wyrzucano, to były takie rzeczy, których on nigdy nie jadł ani nie widział, żeby jedzono: a ja, dekarz, też czasem umiem się pośmiać... to znaczy, poszaleć, jak człowiek trochę wy

pije w ostatni wieczór karnawału... ale pewnego razu wyszła na dziedziniec jakaś dama, zaraz po tym, jak zrobiliśmy tam świeżą zaprawę, i jakiś pan, co wyleciał za nią, złapał ją i wrzucił do tej zaprawy, która sięgała jej aż po brzuch... jej suknia i bielizna i pończochy i buty, wszystko było do wyrzucenia... och, jakie to musiały być wspaniałe i drogie Rzeczy, widziałem, jak to wszystko rzucali na kupę, podczas gdy ktoś musiał zaraz lecieć i przynieść pudła z nowymi pończochami i butami, i bielizną, i suknią... a dama, trochę podpita, stała w tej zaprawie i chichotała: a on, stary dekarz, powiedział do siebie, że to nie jest dobrze, żeby robotnik z 1-szych brudnych domów oglądał coś takiego... i wyliczył później na tym dachu, że na tę damę wydano w ciągu 1/2 godziny więcej pieniędzy — na jedzenie, picie i ubranie — niż on przez 1/2 roku mógł tam na dachu zarobić. A młodszy dekarz, który przez cały czas słuchał i milczał, odstawił swoją bańkę z kawą, podczas gdy ta wrzucona do zaprawy dama wciąż stała mu przed oczami... a gdy starszy dekarz skończył swoje opowiadanie, postawił jeszcze dwukropek: nie, nie, to nie jest dobrze, jak się widzi coś takiego, bo nie ma się wtedy ochoty, żeby wracać do 1-szych brudnych domów na przykład. I kiedy johan janssens zapalił papierosa, dodał jeszcze do tego: a teraz będziesz może poruszony w moim opowiadaniu przede wszystkim tym słowem Na przykład, które jako ostatnie padło z ust dekarza... ale mnie najbardziej porusza to, że te wyższe sfery mieszkające w hotelach nie są w stanie same wznosić i uszczelniać swoich kominów; zakładasz, że można odczuwać anormalne pragnienie, żeby być wrzuconym do zaprawy, ale nie zakładasz chyba, że robotnik powinien później używać tej samej zaprawy tam wysoko, nad dachami.

## NIESZCZĘŚLIWY DRAPIEŻNIK

*To „uważajcie, żebym was nie przyłapała!” było tymczasem największym atutem, którym ondyna beztrosko szermowała... pozornie beztrosko, bo za nim skrywała się jej rezygnacja, może nawet jej ból; wiedziała, że kiedyś jednak mtisi przegrać tę grę, choćby teraz miała nie wiadomo jaką przewagę: nadchodził moment, kiedy achilles się ożeni, musi się ożenić, i to, o boże, nie z nią. Nie ze mną, te słowa waliły jej w głowie jak młot, waliły z jej krwią, a wraz z nią po całym ciele. Chodziła po parku z końca w koniec, choć była to tak niewiarygodnie długa droga... rzuciła się gdzieś na wilgotną trawę i płakała tak, że aż ją głowa rozboleła... a później wróciła do niego, trochę blada, ale na tyle spokojna, żeby móc na trzeźwo przemyśleć sytuację: miał się więc żenić z panną ze swego stanu, z siostrą grubego glemmassona. I nieświadomie myśli ondyny krążyły ciągle wokół tych długich spódnic panny glem-masson, jakby przy pomocy myśli próbowała je unieść; będzie tam platfus czy nie? I nie zdając sobie z tego sprawy, powiedziała głośno: i mówią, że twarz ma niebrzydka, z tymi wielkimi, niebieskimi oczami i jasnymi włosami wygląda jak lalka, jak anioł. Achilles rozumiał ondynę; zaledwie kilka razy spotkał swoją przyszłą żonę, chociaż ich rodziny postanowiły, że ona zostanie kiedyś jego żoną... zdecydowano o tym, kiedy byli jeszcze dziećmi... i też pomyślał o tych długich spódnicach, które ciągnęły się po ziemi; wziął książkę, w której ostatnio wiele podkreślał, i zaczął jej głośno czytać, było to po niemiecku i chociaż ondyna nigdy nie uczyła się niemieckiego, rozumiała wszystko nadzwyczaj dobrze: człowiek jest drapieżnikiem z powy-łamywanymi zębami. I spojrział na nią. A ona na niego. I w tym momencie poczuła, że nienawidzi jego pięknych*



*oczu, mogłaby wydrapać te oczy drapieżnika swoimi paznokciami; nienawidzą cię, pomyślała, nienawidzę, bo nie jesteś wart mojej miłości. I jej myśli malowały się na jej twarzy tak jasno i wyraźnie, że on zaczął z lekceważeniem mówić o ludzkiej małości: był to jeden z jego ulubionych tematów, że człowiek potrafi myśleć tylko o sobie i że tAk właśnie jest dobrze... ale on, achilles, chciałby kogoś, kto potrafi wznieść się ponad tę małość, a równocześnie umie zaakceptować nagą prawdą. Kochałem cię, powiedział, bo potrafiłaś myśleć o sprawach wyższego rzędu... co prawda twój pomysł, aby encyklikierów i libertynów zjednoczyć w 1 związku rządzących, był trochę śmieszny, ale to dowodzi, że jest w tobie coś więcej niż we wszystkich innych dziewczynach. Przestań, wykrzyknęła ondyna... cała blada i roztrzęsiona... nigdy więcej nie wspomnę o tym małżeństwie, pomyślała... Och, jak powoli, jak beznadziejnie przemijał wieczór w o wiele za wielkich salonach, jak irytująco głupie były zasady gramatyki, jeminin et masculin... i ciągle się jej myliły... myślała, że masculin to rodzaj żeński, bo w żargonie ter-muren na dziewczynę mówiono masken. I kiedy wreszcie wydawało się, że minęło dużo, dużo godzin, w których dzięki bogu nie wspomniała o tym małżeństwie, spojrzała na zegar i okazało się, że minęła dopiero jedna .godzina tego rozpaczliwego wieczoru: szukała zwady, była najnieszcześniejszą istotą pod słońcem, która nie potrafi zapamiętać swojej lekcji francuskiego, i każdy, na kogo tylko spojrzała, nienawidził jej i każdy mężczyzna, którego kochała, szukał z nią zwady.*

## *JOHAN JANSSENS CZŁOWIEK LEW*

Z tymi dziewczynami, które teraz chodzą po brukseli i wyglądają dosłownie jak kwiaty, powiada johan janssens, to człowiek wprost nie może nie mieć erotycznych snów.... ale ja miałem sen tak erotyczny, że nawet moja podświadomość była zawstydzona i rano nie miałem nawet odwagi przypomnieć go sobie; odczuwałem wyrzuty sumienia, gryzło mnie ono, ponieważ w tym śnie okazałem się niewierny społeczeństwu, ludziom i mojemu domowi... i oglądałem wystawy sklepowe żeby kupić żonie i dziecku jakiś podarek, chcąc i to wynagrodzić... czułem w sobie jednak nadal to przygniatające uczucie, że przeszedłem przez dziwny świat, skąd wywodzi się pierwotna erotyka, i który murzyni muszą sobie jeszcze bardzo mgliście przypominać, kiedy w dziczy skaczą nadzy przy biciu tamtamu wokół płonącego ogniska...

ha, i nagle przypomniałem sobie strzęp mojego snu: czytałem właśnie jakąś książkę i w tej książce murzyn tańczyli na święcie 1-szej menstruacji swoich córek najstarsze murzyńskie kobiety zapraszały młode dziewczęta po raz pierwszy do tańca, w którym były przedstawiane pozycja i gesty spółkowania, i one musiały te gesty naśladować, wyciągając równocześnie z ogni rozpalony dzban pełen wrzątku... i tańcząc ten tanie spółkowania nie wolno im było upuścić tego dzbana ani uронić z niego wody... a potem do kręgu taneczni wchodziłi najsilniejsi mężczyźni i przechodzili do spółkowania... do pozornego spółkowania... bo musieli oni pozostawać w tych dziewczynach przez cały ten czas, kiedy starsze murzynki nadal tańczyły, i nie wolno im było w tych dziewczętach poruszać się ani wypuścić swego nasienia... a w tym czasie pośrodku kręgu tańczących stał murzyn z anormalnie wielkim Interesem,

wyglądającym pomiędzy jego nogami jak 3-cia noga, na której tańczył... a kiedy po przyjsciu do redakcji znalazłem tam czekającą na opracowanie wiadomość reutera, znów przypomniał mi się inny strzęp snu, którego nie opowiem, bo możecie go przeczytać w gazecie: taniec ludzi-lwów, okropne okaleczenie ich ofiar... dar-es-salaam... ludzie--lwy, którzy są takim samym postrachem jak ludzie--leopardy z afryki zachodniej, dokonali w rejonie singida w tanganice licznych okropnych zbrodni... i oddając tę wiadomość do składania, ja, johan janssens, spuściłem zawstydzony głowę, jakbym był jednym z podejrzanych, który w swoim śnie tańczył na swojej 3-ciej nodze i był obecny na święcie 1-szej menstruacji: i w ten sposób podlega prawu, które każe powstawać życiu... ale który równocześnie krąży w koło jak zranione zwierzę: i w ten sposób podlega prawu, które znowu życie unicestwia.

#### *KIM BĘDĘ ZA DZIESIĘĆ LAT*

*Każdy mnie nienawidzi, kto tylko na mnie spojrzy... stwierdziła ondyna. I ciągnęła dalej, że jest samotna, i że nikt jej nie rozumie, i kierując wzrok ku niebu, zapytała, czy rzeczywiście zasłużyła sobie na coś takiego. A ty rozmyślasz tylko o tym małżeństwie, wykrzyknęła... i uciekła, i gdzieś się zamknęła... bezowocnie walił pięściami w drzwi; nie chciała go widzieć i czegokolwiek tłumaczyć, bo wszystko było w niej zbyt zagmatwane, zbyt trudne, by to wypowiedzieć. A do tego czy on mógłby ją zrozumieć?... to było dla niego tak odległe, to małżeństwo... każdy się żeni, lecz nikt nie żeni się z tym, kogo kocha; tak było niezmiennie*

*nie od wieków, jak z każdym innym prawem natury. Nawiasem mówiąc, co począć z małżonką, którą by się kochało?; czcić ją i nie mieć odwagi jej dotknąć, umieścić ją na krzyżu, o wiele za wysoko... tak, żeby się to dla niej stało komedią, vi której za dnia wisiaby przed nim na pokaz z rozłożonymi rękami, a nocą potajemnie schodziaby z tego krzyża, żeby komuś, kto ją trochę mniej kochał, pozwalać się traktować jak suka... tym razem z rozłożonymi nogami. Tak on myślał. A przy tym kochać, kochać, to zawsze jeszcze było zbyt oddalone, by on kogoś kochał: kochał samego siebie; widział w tym coś chorobliwego, w tych wszystkich, którzy cierpią na przerost uczuć altruistycznych. A to, że otaczał ondyne ramionami i zagłębiał swe dłonie w jej brązowych włosach — to właściwie było ładne, ta gruba jak zwierzęca sierść wełna — to bardziej pa to, żeby trochę uciszyć w sobie tę beznadziejność: naprawdę wierzył, że człowiek jest drapieżnikiem z wylamanymi zębami... wierzył, że życie było czymś, co powstało w wyniku nieszczęśliwego wypadku... wierzył, że ta ludzka rasa była ogniwnem, które wypadnie, gdy tylko dojrzeje czas, aby wyprodukować nowy, inteligentniejszy rodzaj istot: przez te wszystkie bezduszne teorie odczuwał chłód i starał się trochę ogrzać jej miłością. Żebyś o mnie nigdy nie zapomniała, powtarzał, żądał od niej w swym egoizmie rzeczy niemożliwych. Śmiać jej się z tego chciało i zapominała o swej wściekłości dla innego uczucia, tak, właśnie dla lekceważenia, które obok nienawiści zaczęło pokazywać rogi; och, daj spokój, odpowiadała mu, teraz ty się robisz romantyczny, kto potrafi przez całe życie myśleć o kimś innym? Ja kochałam ciebie, a jednak musiałam się zadowalać ludwikiem... on mnie wziął... a teraz co się z niego zrobiło? gdzie on się obraca, gdzie ja się obracam, gdzie będę się obracać za 10 lat?... a do tego, w tym swoim egoizmie wcale o mnie nie myślisz: jak*

*będą się ze mnie w ter-muren śmiali w dniu twojego-ślubu? Uważała co prawda, że jest wysoko ponad to... niemniej jednak nappełniało ją to goryczą, czyniło ją apatyczną, nie pozostawało jej nic innego jak bez kalkulowania zacząć wyrzucać swoje najsilniejsze atuty.*

## **2-GA PODRÓŻ OD NIHILIZMU DO REALIZMU**

Zupełnie jakby na zebranie 1-go światowego parlamentu — o którym, nawiasem mówiąc, jeszcze ani mowy nie ma, żeby mógł się zrodzić w ciągu najbliższych 50 lat — przybyli już wszyscy twoi bohaterowie i w pierwszym rzędzie siedzą kantyczny nauczyciel i jego piękna żona lucette plus twoja własna żona ze swoją, nerwicą i swoją krwią, która jest za rzadka, a wokół nich siedzą lub stoją, lub zwisają: malarka tippetotje, johan janssens, poeta i dziennikarz w gazecie codziennej, mossieu colson z miństerstwa i profesor kpiydom, który prosił, żeby go usprawiedliwić, więc go nie ma. I ty otwierasz to zebranie i 2-ga podróż się zaczyna: johan janssens poinformował nas, że w naszej książce za mało się mówi o ludziach Pięknych... i długo się zastanawiałem, czy w ogóle ludzi nienawidzę, czy też przeciwnie, kocham ich, czy piszę książkę, żeby im pomóc, czy też przeciwnie, żeby ich wyszydzić: i jak na razie to ciągle jeszcze nie znam odpowiedzi; odkryłem jednakowoż, że chociaż złoścę się na tych, którzy nie widzą żadnego pożytku z jednoczenia się, to mam już po dziurki w nosie tych, którzy są zjednoczeni. Bo popatrz tylko, mam tu wycięty fragment prozy z czasopisma holenderskich ultraszkarłatnych pisarzy i poetów i malarzjr w ogóle i oni twierdzą, że po pierwsze: jeśli ludzka ekspresja chce być ceniona jako praca w sensie

kulturowym i społecznym potrzebna, to musi w każdej epoce spełniać panujące wówczas wymogi co do tematu, formy i treści — albo inaczej: czy możemy pisać naszą książkę o drodze z kapliczką Tak jak ją piszemy, czy też powinniśmy najpierw zapytać, czy spełnia ona obecnie panujące wymogi — a po drugie twierdzą, że sztuka ma charakter społeczny, który odzwierciedla się w stosunkach społecznych opartych na rozwoju sił wytwórczych, które w społeczeństwie klasowym charakteryzują się sprzecznością antagonistyczną i tak dalej. I teraz życzyłbym sobie, żeby podpisani pod tym ultra-szkarlatni artyści mogli wziąć udział w naszej 2-giej podróży od nihilizmu do realizmu, aby zapytać ich zupełnie uczciwie, czy w takim razie nadal piszą prozą i wierszem, żeby badać, czy stosunki społeczne są oparte na rozwoju sił takich i owakich... czy też oni również, podobnie jak ja, pracują może tylko i wyłącznie dlatego, że kochają samą pracę. Bo jakże byłoby inaczej możliwe to, że wracasz do domu wieczorem głodny i zmęczony, i ledwo powiedziawszy dobry wieczór znów siedzisz pochylony nad białym papierem?... może później będzie się mówić, że kochałem ludzi i wykonywałem mój społeczny obowiązek wobec nich... ale wyłącz no teraz to pragnienie, aby wciąż na nowo słyszeć ciche skrzypienie pióra i odczuwać w sercu rozkosz tworzenia... wyłącz to i z całą uczciwością zapytaj samego siebie, czy twoje pragnienie, by widzieć świat pięknie-jszym, byłoby wystarczająco wielkie, abyś tak jak ja, noc w noc, ciągle pracował nad czymś, za co czekają cię tylko góry nawozu. I równocześnie chciałbym ich zapytać, czy już kiedykolwiek myśleli o tym, że poza ich problemami społecznymi mogą się pojawić również Inne problemy społeczne?... np. ten fakt, że społeczeństwo jest ciałem, a jednostka komórką, i że ja, będąc komórką, mogę być przyciągnięty, ale również i odepchnięty przez te inne komórki... że ja jako johan

janssens mogą być za dnia godnym szacunku poetą i dziennikarzem w gazecie codziennej, ale nocą wyruszającym na żer człowiekiem-lwem? I milczysz, i spoglądasz po zebranych, jakbyś oczekiwał, że ultraszkarłatni artyści odpowiedzą ci na to... lecz widzisz tylko znane ci na wylot twarze swoich bohaterów... i 1 spośród nich powiada: możliwe, że oni z tą ich teorią myśleli tylko o tym, żeby obstawić jakiegoś konia, obojętnie jakiego... konia społecznego i socjalnego np... i że poza tym absolutnie nic ich nie wzrusza, choćby własnymi palcami mieli wydlubać sobie oczy.

### *WAŻ WŚRÓD KWIATÓW*

*Ondyna została przy achillesie do ostatniej chwili; przez to, że była rozsądna... że zachowywała się rozsądnie, myślał achilles... trudniej mu przyszło rozstać się z nią. Ondyna zaproponowała, żeby razem poszli wybrać prezenty ślubne dla panny młodej i do kwiaciarni omówić sprawę bukietu ślubnego; nie to, że miała całkiem zły smak, ale jednak on musiał ją nieco hamować: ondyna była za krzykliwa w wielu tych sprawach; była trochę za mieszczańska. Och, wyrwało mu się to w chwili nieuwagi i ondyna spojrzała na niego ze zdziwieniem: czy mieszczaństwo mogła być czymś niewłaściwym? Należę do mieszczaństwa, powtarzał z dumą jej głupi ojciec... a jeśli o nią chodzi, to czy nie było to zawsze jej ostatnią linią obrony, gdy nic już więcej nie pomagało i wszystko jej się wymykało z rąk? A teraz okazało się to czymś niemożliwym i połowicznym; stanem, który wywoływał nienawiść maluczkich i pogardę klasy panującej... nie było jednak*

■ możliwe zmienić jej własnego smaku, uczynić go trzeź-wtejszym: miała to już we krwi: weszli do sklepu jubilerskiego i poprosili o bransolety; a nie ma pan ładniejszych, droższych?, spytała ondyna. Nic nie można było na to poradzić, nie mogła nagle stać się kimś innym. Pokazano im bransoletę w formie łańcuszka ze złotych płytek, ale jej wydawało się to za proste, żeby mogło być ładne... wyszukała inną, z wygrawerowanymi na niej kwiatami, pomiędzy którymi pełznął wąż

○ błyszczących oczach; popatrzyła na swą własną rękę i jak by to na niej wyglądało, i odruchowo pomyślała o tej pannie glemmasson, która nosiła najpiękniejsze stroje, jakie kiedykolwiek można było ujrzeć w tym małym mieście z 2 fabrykami; jej ojciec był głównym udziałowcem banku *comptoir et credit*, przewodniczącym sądu handlowego, podczas gdy jeszcze jej dziadek sprzedawał z wózka ślimaki i małże... była zgrabną blondynką, zupełnie jak anioł... nie, ondyna nigdy nie uczyniła najmniejszej aluzji na temat jej platfusa, choć było to dla niej tak trudne, niewiarygodnie trudne, by Nic o tym nie wspominać; i oto stała ze złotym węzem na ręce i patrzyła, jaki jest piękny. To był symbol: szczupła i zgrabna bestia w złocie; obraz tamtej, która przez całe życie będzie chodzić, nosząc na przegubie coś, co kupiła ondyna zamiast niej. A ona ma platfusa! wyrwało się jej jednak znienacka, z rozpaczą.

Tak, tak ładnie pasował on do jej ciała nad przegubem, że nieomal nie miała odwagi na niego patrzeć

I odwróciła głowę... achilles wybrał inną, tę ze złotych łusek... a tymczasem ona stała z tym, co przestało być zimne i obce tak jak z początku, ale już przejęło jej ciepło, jakby się stało częścią jej ciała, jej duszy, jej najgłębszego ja; wiedziała, że zaraz zacznie płakać, gdy ujrzy, jak się to na powrót wkłada do gabloty, jak coś, co nigdy do niej nie należało. Pan achilles zapłacił. Zapłacił za 2 bransolety, jedną z płytek, a drugą z węzem,



*skradającym się poprzez wygrawerowane kwiaty... i teraz ondyna jednak się rozplakala... wyszła na ulicę, z bransoletą wokół przegubu i mimo to z firanką łez przed oczami; nie widziała, że drzwi już były otwarte i uderzyła w nie głową. A w powozie usłyszała od niego, że och, przecież też jest dziewczyną; i wtedy zapomniała o tej stoojej... tak, właśnie, jakby pogardzie...*

#### *NA SZATANA WSZECHMOGĄCEGO*

*Pan achilles derenancourt, syn starego derenan-courta, senatora i właściciela przedzalni filatura oraz udziałowca banku comptoir et credit, ożenił się z córką glemmassona, przewodniczącego sądu handlowego, a równocześnie prezesa wyżej wspomnianego banku comptoir et credit; do kościoła wchodziło się pod baldachimem z czerwonego aksamitu, a na spotkanie wyszło po dywanach, aż do wejścia 3 księży z kadzidłami i wodą święconą, jakby to syn boży jeszcze raz zstąpił na ziemię... jakiś oficer obcej armii przyjechał, aby być świadkiem, i tyle dzieci z bukietami kwiatów poprzedzało młodych, że kroczyli jakby pośrodku jednego ogromnego bukietu, tak iż nikt nie zwracał uwagi na stopy panny młodej; dla wszystkich mieszkańców ter--muren było cienkie piwo, 1 butelka na 3, i wyglądało to ładnie, ale i żałośnie, gdy się ich widziało, jak się kłóca o swoją 1/3 butelki... ondyna stała przy wejściu do kościoła i patrzyła: pan achilles jej nie widział i nie wiedział też, że ten dzień był najgorszym dniem w jej życiu; był on teraz mężem siostry grubego glemmassona, o sam gflemmasson w przyływie czułości zajął się jego kochanką... ale zdaniem ondyny był strasznie zgorzkniały: w nic nie wierzył, w żadnego boga ani w jego przy-*

*kazania, choć był encyklikiem... nie boisz się mnie? zapytał ją... boję się, naprawdę, odpowiedziała ondyna i przestała się z nim spotykać. Och, głównie jednak z tego powodu, że był dla niej za gruby, coś niemożliwego, z tym potrójnym podbródkiem i sapaniem, jakby to pociąg przetaczał się po nie strzeżonym przejeździe. Stękał, kiedy musiał usiąść, podczas gdy jego błazen wsuwał mu krzesło pod siedzenie. Temu błaznowi nigdy nie było wolno się oddalać. A ponieważ pan glemmas-son czuł się pępkiem świata, tak samo jak pan achilles i tak samo jak ona, patrzyła na tego błazna i wydawało się jej beznadziejne to, że być może i ta pokraka też się czuła tym samym. Znów spotkała ludwika i padła mu w ramiona, chciała, żeby natychmiast poszli do tamtego pokoju, wyżywała się; jakby naprawdę śpieszyła naprzeciw swemu upadkowi. A później została na jakiś czas kochanką brata pana achillesa, norberta, który miał ciągle napady, w czasie których udawał chorego i całe dni spędzał w łóżku... tak że nic nie mógł począć z ondyną, ani z nią, ani z jakąkolwiek inną. Pewnego razu spostrzegła, że ten norbert derenancourt pośpiesznie chowa jakiś pakunek: nie posiadała nic takiego, co by z daleka lub z bliska przypominało uczucie wstydu, złapała ten pakunek i sprawdziła w jego obecności, co też on zawiera: była to para szczudeł i nienormalnie długa szata... ondyna uśmiechnęła się z goryczą i zapytała, czy mu czasami nocą nie było za zimno na drodze z kapliczką, kiedy udawał Długą Panią; norbert zbladł i nakazał jej milczenie: nikomu, ale to nikomu, słyszysz, nie powiesz, że wiesz, kto jest upiorem, bo inaczej cię zamorduję. Ondyna spytała czym. A ponieważ uczynił on już jedno głupstwo, to teraz zaczął drugie; pokazał jej: było to stalowe szydło. Stał z tym szydłem przed nią i żądał, aby przysięgła „na szatana wszechmogącego"... ondyna przysięgła i odeszła, było jej niedobrze, chociaż rozumiała, że ta przysięga je\*

**M**

»

*warta niewiele więcej niż zwykły żart... trochę dekoracji, żeby ją nastraszyć: tak jakby ona wierzyła, że ktoś może zaprzedać duszę diabłu, ha!*

### *POŁÓW OGONEM*

Był trzaskający mróz, a wilk wciąż jeszcze siedział na progu u lisa przechery w pobożnym czuwaniu i modlitwie, obmacując rany od oparzeń na swoim biednym łbie i ważąc zalety tego 1 kawałka węgorza wobec wad tonsury, w której wiercił sam diabeł: plus do tego dupa mi kamienieje na tym progu. W tym momencie nadszedł lis i poklepał wilka po ramieniu, tak jak to zazwyczaj czynią milczący mnichowie, i przedstawił obraz wuja, który był może najpobożniejszy ze wszystkich... a mimo to nadal siedział na dworze w niemiłosiernym chłdzie, podczas gdy w środku festyn odbył się swoim tokiem: ale pociesz się, bo jakiś święty człowiek powiedział, że droga do uznania uperlona jest łzami... a do tego błogosławieni ci, którzy cierpią głód i pragnienie: zaprowadzę cię do strumienia, w którym najsmaczniejsze węgorze cisną się jeden prze? drugiego, żeby je jako 1-sze wyciągnięto z wody. Wilka wzruszyły wszystkie te słowa i wymamrotał: nie jesteś wprawdzie poetą, ale też potrafisz powiedzieć coś takiego, czego naprawdę warto posłuchać... i ruszyli przed siebie w kierunku skutego lodem zamkowego strumienia, w którym wyrębana była przerębla, aby mieszkańcy ter-muren mogli ciągnąć z niej wodę: spójrz, ich wiadro jeszcze tam stoi. I ledwo lis powiedział: musisz tylko potrzymać to wiadro w wodzie, aż będzie pełne węgorzy... jak isengrinus, który chciał pokazać, że on też nie jest taki głupi, dodał: myślę, że najlepiej będzie,

gdy je powieszę na ogonie i w zamiarze osiągnięcia mego celu sięnę nad dziurą. Tak, lis przechera kiwnął głową zdziwiony taką przenikliwością swego wuja... a wiesz co, powiedział ze śmiechem, teraz przypomniałem sobie jeszcze zagadkę, „jak dziura na dziurę siędzie, to ta druga pełna będzie”, wiesz, co to jest? nie, teraz mnie nie złapiesz, odpowiedział wilk, to oczywiście jestem ja sam, na cudownym połowie przy pomocy mego ogona. I aż trzęśli się ci 2 paskudni mnichowie ze śmiechu, choć lis co chwilę przypominał: nie trzęś się tak, wuju, bo ryby wypadną z powrotem. Wówczas wilk siedział nieruchomo, a wokół wiadra i ogona lodowata woda zaczęła tężeć i stopniowo zamarzać... wilk mrugnął do lisa i szepnął: gryzą, ale poczekam jeszcze trochę, aż wiadro będzie całkiem pełne. Lecz wkrótce lis dostrzegł, jak jego wuj zaczął czynić daremne wysiłki, aby wyciągnąć wiadro z wody: przechero, pomóż mi, zdaje mi się, że jestem zbyt zmęczony po całonocnych modłach, a równocześnie zdaje mi się, że te węgorze odgryzają mi ogon. Ale lis odpowiedział: już to słyszę, znów jesteś zbyt pazerny, musiałeś mieć pełne wiadro, a teraz nie możesz go wyciągnąć! W tym momencie ze swego zameczku w ter-muren wyszedł constant baron derenancourt udający się na polowanie, lecz cóż on widzi?... wilka, który siedzi w kucki nad zamarzniętą przerębłą w zamkowym strumieniu. Zeskoczył z konia i dobył miecza, aby przerąbać wilka na 2. ale pośliznął się na lodzie i pojechał dalej... a miecz odciął w swym pędzie kawałek wilczego ogona: a wilk nie myśląc o tym, że wyczynia najdziwaczniejsze wy-gibasy, był już poza lodem, ominąwszy wielkim łukiem psy... i z jedną ręką na swej krwawiącej dziurze, a z drugą na swym łbie pokrytym pęcherzami po oparzeniach, przybył do swej wiedźmy hersindy... która natychmiast zaczęła czynić mu wyrzuty, że jest włóczęgą i łajdakiem: gdzieżeś przepadał? Psst, wyświe

cono mnie na zakonnika, odrzekł wilk. A kiedy hersift-da spytała, gdzie zatem podział się jego ogon, odpowiedział: czy widziałaś zakonnika Z ogonem...? i przewiązał gałgankami ranę, i położył się do łóżka, i pomyślał; zaczynam wierzyć, że jest w tym właściwie trochę winy lisa przechery, iż spotykają mnie te wszystkie nieszczęścia, johan janssens.

### *UPIÓR POD MUREM*

*Ale następnego wieczoru norbert derenancourt prze\*-czytał ondy nie historię sióstr fox z hydesville w stania nowy fork: ogarnął ją strach i nie miała odwagi siedzieć dalej tam, w swoim kąciku... spytała, czy może się blisko do niego przysunąć, bo choćby nawet był samym diabłem, to był czymś, czego mogła dotknąć, a nie czymś tajemnym i nieuchwytnym, co krążyło za nim w ciemności: otoczyła się jego rękami i spytała, czy to diabeł, ten, który odpowiedział siostrze fox; zadrżała, gdy zobaczyła, że potrząsnął głową. Nie mogę ci tego wytłumaczyć, odpowiedział, bo wtedy jeszcze bardziej byś się bała. Więc co to było? Zrozumiała z tego tyle, że w człowieku siedzi jeszcze drugi człowiek, jego sobowtór, diabeł, zwierzęcy upiór, który żyje jeszcze przez jakiś czas po śmierci samego człowieka... norbert był bardzo poważny i wpatrywał się w ciemność poza nią, jakby tam... Ale ona wykrzyknęła, że to nie może być prawdą: ty jesteś... ty jesteś... i nie wiedziała, có właściwie miała zamiar mu powiedzieć, że czym był: za dużo zabawiałeś się z samym sobą, zawołała. I wybiegła stamtąd, żeby i tchem przebiec drogę z kapliczką... usłyszała jednak, że on podąża za nią, prawdopodobnie miał ze sobą swoje szydło i teraz ją za*

morduje... dyszała i potykała się, w piersiach czuła klucie... dłużej nie mogła i oparła się o mur laboru: to dziwne, że musiało jej przyjść do głowy, iż jutro, będą tędy przechodzić dziewczyny z jilatury i zobaczą leżącą ondynkę vapeura z rozprutym przez upióra brzuchem. On stał przy niej i ondyna nawet nie myślała o obronie... ale jakże boleśnie się myliła, norbert położył na jej ramieniu swą drżącą dłoń i zapytał, co chciała wyrazić tymi ostatnimi słowami. Tamtymi ostatnimi słowami? O, i zastanowiła się przez chwilę... tak, odpowiedziała, popuściłeś wodze swoim zmysłom, lecz zabrakło ci czułości kobiety, to się mści, musisz uważać, żebyś nie zwariował. A on, mały i przestraszony, stał i słuchał, przez całe swoje życie w coś wątpił, raz w to, innym razem w tamto, a teraz wątpił w... tę... tę... ona, ondyna, ma zapewne rację!... to, co widział, nie było z pewnością niczym innym jak tylko wytworem chorego mózgu! Oczywiście bronił się jeszcze: wszystko, co widziałem, widzieli też inni, powiedział... a to, co ty mówisz o mojej samotnej rozkoszy, to nieprawda. Och, przestań mi wmawiać takie głupstwa, odpowiedziała ondyna, chodzę już z tobą wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak się z tobą sprawy mają. I w ten sposób role zostały odwrócone: zamiast on być dla niej nauczycielem, który ją wprowadza w mroczną wiedzę, stał się jej uczniem w kwestii najprymitywniejszej z prymitywnych, w czymś, co wie sam z siebie każdy, najżałośniejszy nawet niezdara z ter-muren: udzieliła mu pierwszej lekcji oparta o zimny mur laboru... i, och, śmiać się jej chciało, a raczej płakać jej się chciało: ledwo zaczął, a już było po wszystkim. A ponieważ stał i płakał w tym samym miejscu, gdzie w poprzednie wieczory straszył jako upiór, ondyna śmiała się głośno i bezlitośnie.

## *LA FEMME NVE DE TER-MUREN*

*Od naszego specjalnego wysłannika: ter-muren to małe miasteczko z 2 fabrykami labor i filatura... toczy tam swe wody dender... to właśnie na brzegu tej rzeki robotnik z fabryki labor odkrył w poniedziałek trupa zupełnie nagiej kobiety, strasznie okaleczonego i znajdującego się w stanie rozkładu... na ciele nie było żadnej garderoby ani biżuterii, która mogłaby dopomóc w identyfikacji zwłok... jedynie czarna podwiązka na każdej nodze przytrzymywała pończochę... wszystkie stawy były ponadcinane tak, jakby zabójca usiłował poćwiartować zwłoki... czy nie zdążył?*

## *A CO DO RESZTY: WSZYSTKO JEST OT TAKIE SOBIE*

*Ondyna myślała o tym, że jeden brat leżał w łóżku z kobietą, która miała platfusa i sakiewkę z milionami, podczas gdy drugi straszył na drodze z kapliczką i udawał Długą Panią; bolesne było dla niej wiedzieć o takich sprawach i musieć o nich milczeć: mogliby ją wziąć za nienormalną i wsadzić do domu wariatów, gdyby to wypaplała. Starła się przyjmować te rzeczy takimi, jakie są, spróbowałszy początkowo o nich zapomnieć przy winie i tupaniu nogami i okropnym hur-kocie przesuwanych po podłodze krzesel — coś takiego było muzyką dla średniowiecznego słuchu pana glem-massona. Gdy wypila, stawiała się zbyt pewna siebie i sama sobie wmawiała, że już zawsze tak będzie: że zawsze będzie się obracać w otoczeniu panujących, nigdy naprawdę nie należąc do ich stanu, oddając swe*

*ciało jak fant, ale -pozostawiając na boku swój umysł. Lecz nocą lub w samotności swych długich wędrówek wzdłuż torów, daleko poza to miejsce, gdzie kwitł janowiec, odrzucała tę poznaną prawdę. Nawet się jej obawiała. Z bezgranicznym smutkiem, jaki tylko może odczuwać 16-letnia dziewczyna, powtarzała: to mężczyźni głupio robią, wierząc, że kobieta to tylko pochwa. O, to było smutne. Ale... i rozglądała się wokół wypowiadając to „ale”.,, kiedyś zawsze było coś takiego, czym mogłam się pocieszyć, cóż to było? To było to, że należała do mieszczaństwa, i to, że przytrafił się jej cud i że знаła francuski; ale już nie potrafiła na nowo odnaleźć tych myśli: tak jakby jej podświadomość chciała o tym zapomnieć. I całe szczęście... bo w tym samym momencie odkryłaby, jak to przynależność do mieszczaństwa i ta cała reszta była tylko czymś ot takim sobie... czymś takim jak wtedy, gdy ojciec przez okrągłe dwa tygodnie powtarzał, że w tym miesiącu będzie kiedyś na obiad pierwszorzędną ryba — ryba, ryba, ryba, wołała wtedy ondyna radośnie — a potem, w południe, był zaledwie zwykły śledź.*

#### *HAMLECI PRZY TAŚMIE MONTAŻOWEJ*

Profesor kpiydom pojawia się akurat w takim momencie, kiedy znów nie masz najmniejszej ochoty pracować i pracować... bo po raz kolejny siedzisz i zastanawiasz się, jaki jest pożytek z twojego pisania... żaden: nikt nie czyta w twojej książce tego, co piszesz, lecz za to każdy czyta w niej to, co chętnie czyta, a przy tym jest jeszcze coś innego, coś więcej: powszechne przygnębienie ludzi naszych czasów, których ty, pisarz, jesteś sejsmografem, a twoje pióro igłą, która kołysze



się tam i z powrotem; charakterem, który był zbyt słaby i załamał się, i umysłem, który już nie ma siły roz-plątać tysiąca i 1 przenikających się wzajemnie problemów i rozwiązać je jeden po drugim. I w tym momencie pojawia się profesor kpiydom, ze swoimi ramionami i rękami, i oczami, i umysłem, a wszystko to się porusza, jest naelektryzowane i miota iskry, i odzywa się: teraz, kiedy w fabryce uniwersalnego rozsądku są akurat ferie wiosenne, chciałbym szybko zrobić studium o hamlecie; hamlet nie jest, jak to twierdzi twój kantyczny nauczyciel, wewnętrzną wizją prowadzącą do obłędu... hamlet to roztrząsanie i rozważanie z tyłu stron, że to, co prowadzi do zera, i to, co prowadzi do nieskończoności, zbiega się w jednym punkcie: Martwym punkcie. A teraz, kontynuuje swą myśl profesor kpiydom, chciałbym wykazać, że hamlet nie jest ot, takim sobie przypadkiem, lecz znacznie bardziej problemem, który ciąży nad naszymi czasami: ci, którzy słyszą skrzypienie wykolejonej maszyny, wiedzą, że należy coś uczynić ... i ci spośród nich, którzy są rozsądni, siadają podparłszy głowę rękami i zaczynają się zastanawiać... i tak wciąż się zastanawiając, odkrywają coraz to więcej zbawczych możliwości, ale widzą, że każda możliwość wywołuje z kolei nowy problem... a tymczasem wykolejona maszyna zgrzyta coraz gwałtowniej, coraz wścieklej i okoliczności wołają o Czyn; i wtedy przychodzą ci nierozsądni i dokonują Czynu: oświadczają: nie wiemy, czy to jest dobrze, czy źle, my działamy, a potem będziemy się zastanawiać... tzn. potem niech rozsądni się zastanawiają. I przerywasz profesorowi kpiydomowi, bo strach i zwątpienie przeszywające twoje serce rozwiązują ci usta; ale w takim razie w historii naszej cywilizacji wszystkie Czyny dokonane zostały przez nierozsądnych, a rozsądni nie robili nic innego, jak tylko zastanawiali się nad tym, co właściwie należałoby zrobić? I profesor kpiydom porusza

rękami i ustami, i oczami, które są naelektryzowane, i oświadcza z ironią: tego nie wiem, napiszę najpierw swoje studium, a potem będę się nad nim zastanawiał; aktualnie zajmuję się wyłącznie zgłębianiem historii hamletów: polityków, ekonomistów, mężów stanu, profesorów... wszyscy oni głowią się i rozmyślają, aż osiągną martwy punkt, gdy tymczasem okoliczności błagają, krzyczą, płaczą o czyn; wszędzie widzisz wybitnych ludzi, którzy w momencie, kiedy powinni podjąć decyzję, wycofują się... widzisz, żeby ci dać jakiś przykład... I z ciężkim sercem i sumieniem nie słyszysz, kogo profesor kpiydom wymienia jako przykład; myślisz o sobie samym, tym, który chodził od człowieka do człowieka, od partii do partii, od filozofii do filozofii i nigdzie nie był u siebie... i który wie i widzi, że z pisania nie ma żadnego pożytku, bo wciąż pisząc i pisząc nie jesteś w stanie znaleźć Rozwiązania.

#### *PRZYRODA, ALE Z NIEWIELKĄ ILOŚCIĄ DRZEW*

Pomiędzy 2 kwietniowymi ulewami przychodzi kan-tyczny nauczyciel trochę zaprotestować: nieprawda, że powiedziałem, iż hamlet jest autorefleksją, która prowadzi tylko do obłędu... powiedziałem, że jest to autorefleksja, która prowadzi do obłędu I do śmierci... a zamiast śmierć mógłbym równie dobrze powiedzieć Martwy punkt. A zarazem skorzystam z okazji, żeby wskazać ci najnierozsądniejszą myśl, jaką kiedykolwiek wyraziłeś w obecności profesora kpiydoma... bo jeśli rozsądni więcej roztrząsają i rozważają niż nierozsądni, to nie znaczy, że rozsądny czyn Nigdy nie zostaje dokonany... ale o wiele bardziej znaczy to, że z jednej strony zwątpienie, a z drugiej liczniejsze nie

rozsądne działania tylko powiększają ten chaos. A jeśli mowa o chaosie, to ty, pisarz, wyrażasz nie tylko przygnębienie naszych czasów, ale nieświadomie wyrażasz również sam chaos; gdy otwieram teczkę, w której są zebrane kartki twojej książki o drodze z kapliczką, to chaos wysypuje się z niej tak jak z pudełka, do którego chowa się przedzę, nici i agrafki; ten chłam mnie przeraża, i ten bałagan zaskakuje mnie i przez to kłębowisko staję się nerwowy: w momencie, kiedy mam nadzieję *dowiedzieć się czegoś o ondynie, o jEj zwątpieniu i jEj przygnębieniu, bo wszystko w jej życiu jest zaledwie takie sobie...* w tym momencie pojawia się ty, z Twoim zwątpieniem i Twoim przygnębieniem, i pozwalasz profesorowi kpiydomowi mówić, że jest to przypadek ogólny i powszechny problem naszych czasów. Jeśli chcesz, żeby twoja książka o drodze z kapliczką przeciwstawiała się tym czasom, to trzeba zrobić w niej porządek... i nie myl sobie porządku z formą... możesz stosować formę, którą przy całym swoim obrzydzeniu do wszystkiego, co jest przyjęte i ustalone, wy-trzepujesz ot tak sobie z rękawa, lecz wielowiekowe zasady porządku i przejrzystości muszą być w niej zachowane: dlaczegoż by np. tekstów różnych poprzeplatanych ze sobą wątków nie wyróżniać za każdym razem innym kolorem? ... i kiedy mowa o panu brysie i 1-szych socjałach, i johanie janssensie, i jego gazecie, to mógłbyś używać czerwieni... *a kiedy mowa o tej małej ondynie i o jeanninach, i o wysokich, i niskich sferach, i zdążającej ku przepaści cywilizacji, to mógłbyś używać brązu...* a kiedy mowa o hamlecie i zwątpieniu, i przygnębieniu, i rozpaczy, to mógłbyś używać ochry... i tak dalej, bo zawsze jest więcej kolorów niż wątków. Zaprotestujesz teraz przeciw temu, mówiąc, że nie widzisz w tym żadnego pożytku, bo piszesz dziś tę książkę tylko dla siebie i dla nielicznych sobie od

danych... ale pojutrze albo za 700 lat, jeśli twoja książka przez ten czas nie wybuchnie wraz z całym tym światem, to zostanie mimo wszystko opublikowana i trzeba się będzie z ewentualnym czytelnikiem rozliczyć: a czytelnik jest jak spacerowicz, który kocha przyrodę... tzn, uporządkowaną przyrodę, ze ścieżkami, które wiją się wśród pól, i z drogowskazami na skrzyżowaniu: -> do pokojowego dobra. Tak żeby spacerowicz, który kocha przyrodę, wiedział, że nie spóźni się na obiad... ale nie tęskni on za prawdziwą przyrodą, za dżunglą, w której mógłby zabłądzić i w której krążą drapieżne zwierzęta, a rośliny pożerające spacerowiczów trzymają w pogotowiu swoje chwytliwe ramiona, aby tenże spacerowicz nigdy więcej nie ujrzał swojej mamusi. — A kiedy skończyła się kwietniowa ulewa i znów zaświeciło słońce, kantyczny nauczyciel śpieszy do wyjścia... do przyrody wokół ter-muren, gdzie nie rośnie za dużo drzew, które przesłaniałyby mu widok albo przeszkadzały w odnalezieniu jego pięknej żony lucette.

#### TO OKRESOWE ZMĘCZENIE

*Było jednak w ondynce coś, co nie dało się wyraźnie określić, rodzaj zmęczenia wszystkim, okresowo nawracającego, jakby było częścią tych comiesięcznych rzeczy, o których nigdy nie mówiła — u niej było to zawsze bardzo obfite — ale co dziwne, teraz, od czasu, kiedy ostatnio nie miała z nimi więcej kłopotu, jej niepokój objawiał się tu sposób coraz gwałtowniejszy; urósł on do rozmiarów zniechęcenia do życia: och, cholera, co mi do tego, powtarzała za każdym razem, gdy jej o czymkolwiek mówiono. Nic jej do tego, że*

*stary pan derenancourt zawołał do siebie pana brysa i ten musiał wybierać pomiędzy pozostaniem księgowym w fabryce, a swym głupim zrządzeniem o czymś, co nazywał kasą chorych, lub tym, że zostanie zwolniony i dalej będzie występować z przemówieniami, i czekać, aż spotka go jeszcze coś gorszego... ależ nie, nie było mowy o zagłodzeniu go, załamaniu, uśmierceniu... a teraz rozniosło się po ter-muren, że dostał on swoje 14 dni wypowiedzenia, i że wszyscy ci, którzy się zapisali u niego jako członkowie, zostali zwolnieni; w tamtych dniach było się podnieconym, żyło się bardziej gorączkowo, śmiano się, przeklinano i płakano bez powodu, a równocześnie obawiano się dziwnych rzeczy wiszących w powietrzu... zmian być może na lepsze... które jednak nie pozostawią świata takim, jakim go zawsze do tej pory znano: co to za głupia zabawa, pytali jeden drugiego, gdy późnym wieczorem wracali z filatury do domu. Liza przyszła zapukać do ondyny i stanęła w drzwiach... zwracała się nawet do niej z szacunkiem, panienko ondyno, jakby nigdy razem nie chodziły do szkoły... wyglądała na przybitą i pytała, czy panienka ondyna nie wstawiłaby się dobrym słowem za jej mężem, bo też go zwolnili... chociaż pan brys im powiedział, że to nie żaden związek socjałów: ondyna wzruszyła tylko ramionami... mogła odpowiedzieć, że dobre słowo na nic by się nie zdało, bo dziś by go przyjęli, a jutro znów byłby w związku, może nawet w związku socjałów... jednak zniechęcenie do życia, obrzydzenie do wszystkiego, do życia i do tej tchórzliwej, głupiej lizy w drzwiach jej domu, i do tego pana brysa z jego wierszykami... teraz może układać wierszyki o samym sobie, na przykład: to ja brys się nazywam, od zmartwień włosy sobie wyrywam... obrzydzenie podeszło jej aż do gardła. Wypchnęła lizę na ulicę, zamknęła drzwi i podjęła wątek swych myśli:*

*a więc że załamie się od tego obrzydzenia, bo nikt, absolutnie nikt nie był taki jak ona... może z wyjątkiem norberta... tak, z pewnością, ale jego obrzydzeni do życia popchnęło go do obrania nienormalnego kie runku... to znaczy z jEj absolutnego punktu widzenia, wyglądał on na nienormalnego... jednak w jego wstręcie, jego nienawiści, która kazała mu się wspinać na szczudła, aby czynić ludzi jeszcze głupszymi niż już byli, ondyna musiała przy bliższym porównaniu rozpoznać swoją własną nienawiść, swój własny wstręt.*

**ZA SKOMPLIKOWANY...**

Czy tobie też nałożyć kawałek ciasta? pyta w ty gwarze twoja żona mossieu colsona z miństerstwa.. Nie, daj mi lepiej aspirynę, odpowiada mossieu colso bo głowa mi opadnie albo pęknie. I zwracając się do ciebie oświadczam, że dzisiejszy świat staje się zbyt skomplikowany... nie tylko w czasopiśmie wydawanych i tu, i gdzie indziej, gdzie w tysiącu i 1 pomyśle każdego artykułu z każdego czasopisma świat się ciągle zmienia, przekształca, wywraca na drugą stronę, zwija i nadmuchuje... ale również poza czasopismami, w samym rzeczywistym świecie, tym, w którym żyjemy i już prawie więcej sobie nie uświadamiamy, dlaczego żyjemy, i w którym już wcale i w ogóle nie rozumiemy innych — na co też wcale nie mamy ochoty, choć nie możemy znieść, że inni nas nie rozumieją. Jeden chce dziś na lewo, a jutro na prawo, rano szalejąc na całego, a wieczorem tęskniąc za głębią i spokojem... ale imr chce akurat tego samego, tyle że w odwrotnej kolejności, tak iż jeden nad drugim potrzęsa głową i zasta nawia się, dokąd zmierza ten świat z takimi ludźmi

Tymczasem masy pozostają masami, których każdy element ma się na swej indywidualnej baczności... i po raz kolejny tymczasem świat zapada się coraz niżej pod śnieżną lawiną papierów, która nas przydusza, i jak to się mówi w szkole dla srajdków, pod miękkim, białym całunem; wciąż pojawia się coraz więcej i więcej ministerstw i biur, i wydziałów... a pomiędzy nimi z rzadka stoi prywatny dom, na którym obok dzwonka wisi groźna wywieszka: tutaj nie ma żadnych biur... gdzie cię zarzucają taką ilością papierów, że ten, który ma ci je wręczyć i ostemplować i przypiąć do nich fotografie, sam już się w tym wszystkim gubi... a równocześnie na wszystkim, czego dotykasz i co oglądasz, widnieje numer: jak w stołówce ministerstwa, gdzie najpierw wręczają ci kartkę z numerem, którą musisz wymienić na bon konsumpcyjny z numerem, z którym następnie musisz usiąść za oznaczonym numerem stołem; i zaledwie pogadaliśmy o tym trochę kpiąco z moim szefem, kiedy on zaczyna szukać po kieszeniach swojego bonu, ale to, co wyciąga, to wyrwana z kalendarza kartka z zapisanymi na niej pośpiesznie numerami telefonów... i wściekły kończy to, co ja zacząłem: że świat ginie pod lawiną komplikacji i papieru.

I kiedy mossieu colson z ministerstwa zażył już swoją aspirynę, wyciąga dwa wycinki prasowe o włoszech; wycinek 1: projekt ustawy o zakazie powieści sartr'a jako „zamachu na publiczną moralność"... wycinek 2: projekt ustawy o tym, aby kobiet lekkich obyczajów nie pozbawiać praw wyborczych, żeby nie ograniczać ich praw obywatelskich.

## *..I ZA TWARDY*

I jeszcze coś, dodaje mossieu colson z miństerstwa, tego samego wieczoru, kiedy zażywa aspirynę... świat staje się nie tylko zbyt skomplikowany, ale plus do tego staje się zbyt twardy: żelazo i szkło, i beton, i stal, rzeczy, wśród których jesteśmy zmuszeni nasze małe i ubogie człowieczeństwo pozwalać łamać, przewiercać i przedłubywać, tłamsić i miażdżyć: popatrz, tam przy muntschouwburg\*, na tym bardzo szerokim trotuarze stoi mężczyzna z aparatem fotograficznym — fotografie od ręki — i wybiera sobie odpowiednie ofiary jak prawdziwy znawca ludzi, i w momencie, kiedy na niego patrzysz, jego ofiarami mają zostać: kobieta z synem, który niesie na plecach tornister... i kiedy podchodzą, on dotyka dźwigni migawki, ale w tym samym momencie dostrzega, że kobieta ma zdeformowaną stopę i nie naciska dźwigni, kobieta i tak nie weźmie tego zdjęcia. Po chwili widzi młodego mężczyznę, który z pewnością od niedawna jest niewidomy, bo idzie z białą laską i z nowymi szklanymi oczami prosto z zakładu... a 2 przyjaciele, którzy idą obok niego, mówią za jego plecami: „widać, że jeszcze za bardzo się waha”, a on to słyszy i milczy i mężnie kroczy dalej ze swoją laską i swymi nowymi, szklanymi oczami, aby udowodnić, że pokona to wahanie. I co to ja jeszcze widziałem wczoraj i dziś, i co będę widział jutro i pojutrze?... to i tamto, za dużo, żeby odważyć się to wszystko zapisać, odważyć się zapamiętać, odważyć się na to patrzeć: dzisiejszy świat jest za skomplikowany i za twardy dla mnie, mającego serce, które ogarniają wzruszenia na widok tego, co oglądają moje oczy... i tylko ci, którzy się przystosują do życia wśród maszyn i formula

\* Teatr Monety w Brukseli (przyp. tłum.)



rzy, wytrzymają to: np. istoty, które sobie mgliście uświadamiają, że powinny zapukać, zanim otworzą drzwi, i które potem pukają przed wyjściem z pomieszczenia... a ta reszta, która ma serca i oczy, i trochę mózgu, zginie pod lawiną papieru i stali-i-szkła, jeśli się nie zacznie badać, w jaki sposób w ten świat znowu można wnieść trochę człowieczeństwa.

### *WIECZNE PERPETUUM MOBILE*

*W ondy nie obrzydzenie wzbierało jednak z dnia na dzień: tak jakby w jej gardle... i głębiej, jeszcze o wiele głębiej... zbierały się grudy flegmy, które trzeba było splukać czymś żrącym: nie jadła prawie nic prócz odrobiny rolmopsa i chociaż jej oddech zaczął pachnieć śledziem, to jednak nie potrafiła przełknąć nic innego. Czowała bezsensowną tęsknotę za latami dziecięcymi, za tymi dniami, kiedy modląc się klęczała przy janowcu... dlaczego?... och, może dlatego, żeby wszystko zacząć na nowo, żeby być inną, ani lepszą, ani gorszą, ale... no właśnie, żeby tylko być Inną. I czasem, gdy niechętnie jadła zupę, ogarniała ją złość na walerka, który w dziwny sposób trzymał łyżkę okaleczoną ręką i tępyimi oczami gapił się w milczeniu przed siebie, nie dostrzegając, że całą kurtkę paćka sobie tą zupą. Ogarniała ją złość na matkę, która dziecinnieła z dnia na dzień: tylko patrzeć, kiedy ją trzeba będzie pochować. Tak, być może, było z nią właśnie to, że widziała za szeroko, za daleko... nic nie mogła na to poradzić, ale widziała, jak starzeje się ktoś, kto jeszcze nosił krótkie spodiiiie... A mimo wszystko to nie było to, to tylko skutki czegoś zupełnie innego: czuła, że jej piersi twardnieją, jakby w nich wzbierało mleko... w jakiś czas*

*później poczuła, jak coś się przewraca w jej brzuchu, trwożliwie, za wszelką cenę unikała wychodzenia w tych miesiącach na ulicę, żeby nie dać sąsiadom powodu do żadnych przypuszczeń. Ojca nie musiała się obawiać, ten i tak nie zauważał niczego prócz swego perpetuum mobile: uśmiechała się na myśl, że wiecznie trwający ruch był tu w domu, w jej brzuchu... życie i nowe życie, które nigdy się nie zatrzymuje... to, co było stare i zużyte, samo odpadało, umierało i stawało się nawozem dla tego, co wschodziło; tak daleko ten jej głupi ojciec nigdy nie dojdzie, żeby z tej kupy żelastwa powstało nowe żelastwo. Jej matka też nic nie widziała: ondyna nie myślała nawet o tym, żeby to przed nią ukrywać, mówiła, że jest chora, i do południa chodziła w nocnej koszuli, a po południu sypiała w komórcie pod schodami, gdzie w jednym kącie gniło trochę cebuli, a w drugim trochę ziemniaków... przyniosła tam sobie wodę, koc i siennik, i przeglądając się w kawałku lusterka miała gryzącą świadomość, że tak będzie wyglądać, gdy zacznie się starzeć i nie osiągnie tego, czego od życia oczekiwała; przy takiej myśli jej żal i wściekłość wybuchały nowym płomieniem i wszystkim domownikom zalewała sadła za skórę... przede wszystkim nie mogła znieść widoku walerka, zadawała mu pytania z katechizmu, o zakazie nieczystych dotknięć i myśli, że aż ten oblewał się rumieńcem: robiła mu wyrzuty, że siedzi szermując tą swoją ręką, a byłoby lepiej, gdyby sobie poszukał jakiejś roboty, zapomniałby wtedy o swoim upośledzeniu. A ten gamoń nie miał odwagi powiedzieć, że to przecież ona była przyczyną jego kalectwa — bóg wie, czy nawet o tym pomyślał — ich kuzynka za bardzo mu zawróciła w głowie i o mało nie zwariował ze strachu, że ondyna zacznie o tym właśnie mówić.*

## *GAZETA NA SPRZEDAŻ*

Z twarzą, na której nie widać ani radości, ani smutku, ani żalu, ani zadowolenia, Johan Janssens, dziennikarz w gazecie codziennej, zdaje ci obojętną relację ze swojej ostatniej podróży do Brukseli, do redakcji: przyszedłem tam do redakcji i widzę, że znowu tekst wlewa się do gazety jak wiadro wody, które się jednym ruchem opróżnia, jak wóz zwałanych kamieni: byle wypełnić formę... a tymczasem poprosili malarkę Tippetotje, żeby w teorii robiła makietę numeru, ale nie wolno jej nawet palcem kiwnąć, bo od tego jest redaktor naczelny, żeby narobić bałaganu przy łamaniu i wprowadzić na to miejsce swój układ: trach; bo Tippetotje, jak wynika z jej miesięcznych poborów, jest zaledwie zwyczajnym redaktorem, a on, jak wynika z jego miesięcznych poborów, jest redaktorem Naczelnym, więc może wiedzieć lepiej. Tymczasem gazeta opuszcza się pod względem jakości, wartości i nakładu... a każdy, kto mnie spotka, mówi tak, jakby to akurat była Moja wina, co się dzieje z tą gazetą?: kupuję ją dlatego, że... no tak, dlaczego?... ale jesteśmy zmuszeni kupować inną gazetę, żeby czasem móc przeczytać gazetę: niczego tam u was nie ma prócz najsuchszej polityki w stylu p r z e dwojennym, i jak się ją otwiera, to człowieka nerwy ponoszą, gdy wszystko jest tam wymieszane, a wiadomości są zawsze

**O** 2 dni spóźnione. A ponieważ gazeta się opuszcza, to wsadza się w nią coraz mniej pieniędzy i za każdym razem, kiedy przeznaczają się mniej pieniędzy, gazeta opuszcza się coraz niżej; i w końcu wczoraj przychodzę i widzę, że na 1 stronie, tuż obok winiety tytułowej, jest wielkie puste miejsce z ogłoszeniem

*do wynajęcia na reklamy* jak u prostego robotnika, który znalazł się w biedzie i wkłada za szybę żółtą kartkę ze słowami: piec do sprzedania.

## *PLEITE*

Ta opowieść o twojej gazecie bardziej mnie poruszyła, mówi mossieu colson z miństerstwa, niż wiele stron o ondynce i tej reszcie: właśnie dlatego, że johan janssens przekazał ją tak obojętnie: takie przypadki chwytają mnie, mossieu colsona z miństerstwa, za serce, ponieważ widzę w nich coś więcej niż mały, indywidualny przypadek... Akurat czytałem książkę o życiu i pracy niemieckiego rysownika george grosza, który powiedział, że interesuje go tylko praca rąk wykonana sumiennie i dobrze, lecz że wielka sztuka, będąca odbiciem piękności świata, nie mówi mu nic a nic. Tylko hogarth, goya, daumier. Chciał zostać ilustratorem, dziennikarzem, fachowcem, robotnikiem pracującym dla innych robotników. Ale kiedy plastyk zostaje robotnikiem, to wstępuje w szeregi klasy i nabywa sumienie tej klasy, wyrzeka się wszelkiego indywidualizmu i służy jednej doktrynie społecznej przeciw innej doktrynie... grosz też nie umknął przed tą logiką... w pierwszych latach po zawieszeniu broni 1914—18 ten niszczyciel ideologii przyjął ideologię marksistowską, rzucił się w objęcia doktryny skrajnej lewicy, podobnie jak rzucił się w objęcia futurystycznej i dadaistycznej etyki: jego Negacja niemiec była totalna; próbował jeszcze czynić rozróżnienie pomiędzy wilkami i owcami, pomiędzy partią dobra i partią zła; rysował dla rewolucyjnych czasopism; ale rewolucyjne czasopisma skrajnej lewicy nie chciały tych rysunków... i grosz publikował je w małych czasopismach walczących, jak „pleite”, które założył w 1919 i którego wydawania musiał zaprzestać już po 3 numerach.

## *GROMNICA*

I johan janssens kontynuuje: a tymczasem każdego popołudnia odbywa się zebranie na temat gazety i któregoś razu ja też tam idę, i widzę ich, jak siedzą, każdy z wczorajszą gazetą w ręce: tytuł powinien być trochę większy, a tam należało postawić kreskę... a ta informacja ukazała się tylko z 1-dniowym opóźnieniem, nareszcie okazaliśmy się szybcy. Artykuł wstępny był bArdzo dobry, zwraca się kapitan jednooki do naczelnego... ale o życiu duchowym nie mówią nic, bo ja jestem obecny... a kiedy mnie nie ma, to owszem, mówią o życiu duchowym: to jest niedobre, to znów jest za bardzo międzynarodowe, o niemieckim rysowniku georgu groszu, podczas gdy nikt nie zna george grosza... i podczas gdy na jego rysunkach są różne brzydkie rzeczy o Robotniku... dosłownie, jakby się z nich wyśmiewał... o, popatrzcie tylko na rysunek kąpielisko w berlinie, na którym robotnik w niesamowitym kostiumie kąpielowym czyta naszą gazetę, podczas gdy jego żona pozwala zabawiać się swoją tłustą dupą fagasowi z wąsikami... i podczas gdy w kąciuku mała dziewczynka ściągnęła majteczki, żeby zrobić kupkę... to zupełnie takie samo jak proza tego niecnego boontje, który pisze swoją książkę o drodze z kapliczką, co też sobie o nas pomyślą!..., zamiast tego i owego flamandzkie czasopismo ultramarksistowskich intelektualistów, z którym współpracują wyłącznie doktorzy: dr pascalius prostituaan, o nietzschem — „prekursorze faszyzmu”, „d.h. lawrence faszystą”, „sartre neofaszystą”, „partia we francji wystąpiła przeciw... hm... temu, co ten george grosz rysuje, a ten wulgarny boontje pisze”. Ale obradujmy dalej, co jeszcze mamy takiego, co się nie nadaje?; no, strona filmowa, bo to jest o filmie awangardowym, pomysł masereela, zamiast pisać

**O** filmie, który chętnie oglądamy; ale artykuł wstępny był bardzo ładny, politycznie bardzo suchy, w świetnym stylu jeszcze sprzed tamtej wojny... i rówież układ strony był świetny, zupełnie jakby z ruszowania spadł kubeł z zaprawą murarską... gratulacje! A redaktor naczelny jednooki mówi: dziękuję. I przychodzę do tippetotje i mówię, że tam w dużej sali jest zebranie, a tippetotje pyta, czy to nie na temat wczorajszej gazety... bo nigdy nie mówi się o gazecie, któr ma być: bo jest już prawie 6-ta — i tippetotje spogląda na stary budzik, stojący obok zepsutego radia — i ciągle jeszcze nie wiedzą, co ma wejść do dzisiejszego numeru.

I tippetotje stwierdza w swoim malowniczym stylu: siedzą tam na tym zebraniu, jak o lepkiej, wilgotnej rannej godzinie sąsiedzi siedzą i czuwają przy konają cym... psst, to może w każdej chwili nastąpić... i siedzą z migoczącą i śmierzącą świecą w ręce, wciąż się modlą i modlą.

### *CIEMNOŚĆ*

*Ondyna zamknęła drzwi, tak że nikt już nie mógł zoejść do ich domu, a gdy pewnego razu zapukał do nich ksiądz, zawołała spoza nich,; proszę nie wchodzić, mam ospę, Ospę? Ludzie z ter-muren żegnali się znakiem krzyża, gdy słyszeli o tej Chorobie. Kiedy nadszedł jej dzień, zamknęła się na klucz w komórce po schodami i zalepiła papierem wążiuteńkie okienko, tak że o każdej porze dnia panował tam mrok. Poszło to trudniej niż myślała, cierpiała nieludzko i sama siebie musiała strofować, żeby nie zemdleć albo nie zacząć krzyczeć; a potem w jej rękach znalazło się coś wilgot-' nego i śliskiego, nie miała odwagi na to spojrzeć...*

*O mało ducha przy tym nie wyzionęła, próbowała wstać  
I chwiała się, wypływała z niej krew; ale cokolwiek by się miało stać,  
najpierw trzeba było się tego pozbyć. Było już po popołudniu, gdy  
znów się położyła, a teraz otworzyła drzwi i zobaczyła, że jest już  
środek nocy... trochę ją to zdziwiło... na dworze było przejmująco  
zimno, czepiając się ścian doszła do ubikacji, gdzie wrzuciła to coś,  
czego nawet nie widziała. Teraz mogła wrócić i umrzeć. Och,  
umrzeć, łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić, nie mogła umrzeć...  
majączyla, w swoich gorączkowych snach widziała nie kończące się  
sale pełne krwawych śladów, które trzeba było zmyć... tyrała jak koń,  
ale była to robota bez końca, bo gdy tak ścierała, wypływało z niej  
coraz więcej krwi... płakała z bezsilności, konała z bólu. I kiedy  
wreszcie w tych gorączkowych snach udało jej się umrzeć, ujrzała  
wokół swego łoża śmierci migoczące płomyki świec ustawianych  
przez norberta derenancourt i przez grubego glemmassona — jakiś  
cud, że te 2 skrajności, które nigdy się ze sobą nie stykały, znalazły  
się tu razem! — i ujrzała też, jak jej matka, wbrew wszelkiemu  
zdrowemu rozsądkowi, wycierała podłogę przy pomocy czegoś,  
czego wymiarów nie można było w żaden sposób określić: ścierką,  
która najpierw była tak mała jak znaczek pocztowy, ale robiła się  
coraz cięższa i obszerniejsza.*

#### **DEFINICJA KRAMIEKA**

Obecni są wszyscy z wyjątkiem johana janssensa, który znów gdzieś  
wyjechał na reportaż, tym razem na belgijskie, kwietniowe wybrzeże...  
gdzie nie ma turystów, a więc musi ono wyglądać zimno, martwo

i pusto... i gdzie kelnerzy i właściciele wózków plażowych odrabiają swój zimowy sen w charakterze murarzy i hydraulików, a prostytutki w charakterze dewotek, które co rano udają się na poranną mszę; i nie słyszysz, o czym ci zebrani w twoim domu ludzie rozprawiają, bo ty też uczestniczysz w robieniu tego reportażu ze swojego krzesła i zastanawiasz się, czy johan janssens napisze coś takiego, co będzie cokolwiek warte... bo w gazecie zaczynają mu robić trudności i boisz się, że on już długo tam nie pociągnie. A tymczasem musisz przecież słuchać tego, co się ma w twoim domu' do powiedzenia, bo chodzi o książkę o drodze z kapliczką, o *ondyną, która wrzuciła swoje dziecko do ustępu. To jest podszyte nazbyt przejrzystą fantastyką, powiada kantyczny nauczyciel, zupełnie tak jakby pisarz z jednej strony miał na myśli coś innego... dziecko też może być symbolem jakiegoś ideału, a więc można również ideał wrzucić do ustępu... a co się tyczy samego opowiadania, to ma się wrażenie, jakby pisarz niezbyt dobrze panował nad sprawą i hokus-pokus przyflancował tu sen... zupełnie tak, jakby te gorączkowe sny ondyny miały służyć temu, żeby przestłonić omyłki, jakie mogą się ewentualnie zdarzyć. I z tych samych powodów porozwieszał wszędzie za dużo. tych upiorności, podchwytuje jego myśl mossieu colson z miństerstwa, jak np. tych 2 niespełna rozumu... norberta, który interesuje się zjawami i spirytyzmem, i grubego glemmassona, który jest encyklikiem tylko i wyłącznie po to, żeby móc grzeszyć w sposób bardziej wyrafinowany... i tych 2 sady świece wokół mar, podczas gdy głupia matka ścierką ze snu ściera ślady krwi. A pięknej żonie lucette wyrywa się: przecież ona tego nie mogła zrobić, ta ondyna, ot tak sobie wrzucić dziecko do ustępu! I tylko twoja żona stoi znów przypadkowo i wręcz jakby symbolicznie u twego boku, mówiąc, że w młodości słyszała taką samą historię: ale*



*tamto było z lizą, z którą chodziłyśmy do szkoły prowadzonej przez zakonnice, i która była przez te zakonnice stawiana za przykład jako święta dziewczeczka, gdy tak zawsze chodziła z cnotliwie spuszczonej oczami... lecz nagle okazała się TAKA — gdy miała zaledwie 14 lat — i jej całe, podwójne życie znalazło się w jaskrawym oświeceniu: wyjeżdżała nocami z synami grubego glemmassona —■ wszystko to byli bardzo bogaci ludzie — ha, i ten jak mu tam, też tam był, syn derenancourtów... a później znaleziono 7najtki lizki w aucie syna tego grubego glemmassona, którym wybrała się na przejażdżkę razem z tymi 3 mężczyznami: i to też się odbyło w taki sam sposób: wrzuciła małe do xtstępu, teraz już jest dawno za szoferem syna tego grubego glemmassona.*

I jest w twoim domu ktoś, kto też się zalicza do towarzystwa i wszędzie, gdzie się pojawia, opowiada, że i on jest z książki o drodze z kapliczką... ale siedzi tu i nie ma nic wspólnego ze sprawą... nazywa się kra-miek... ale to zafajdaniec, który każdemu przyznaje rację i nigdy nie śmie powiedzieć czegokolwiek takiego, przez co mógłby się znaleźć w opozycji. Lecz nagle mówi coś nieoczekiwanie dobrego: potrząsa głową, gdy słyszy, że dziewczyny wrzucają swoje dzieci do ustępu, i mówi z wielkim smutkiem, och, gdy człowiek tego wszystkiego słucha, to widzi, że życie jest jak koszulka dziecka... za krótkie i zasrane.

*ŁAZIENKA*

Otwierasz list, który ci przed chwilą doreczono, i jest to list od tippetotje, tej malarki: już dawno myślałam do ciebie napisać, ale dałam spokój, ponieważ

mój temat można by uznać za coś, co z politycznego punktu widzenia nie jest słuszne... ale ponieważ Johan Janssens opowiada ci też takie rzeczy, które z politycznego punktu widzenia nie są słuszne, przewyciężyłam moje opory... i muszę ci zatem napisać, jak chodziłam na prawo i na lewo, i jak, co jest samo przez się zrozumiałe, znajdowałam prawicowe i lewicowe poglądy, ale jak ludzie z lewicy i z prawicy byli z tej samej gliny... prości ludzie wciąż jeszcze żyją w biedzie i w utrapieniach, ale pogodzili się z tym życiem w biedzie i w utrapieniach... co prawda zapalają jeszcze, jak dawniej, świece przed gipsowymi świętymi na swoich kominkach, ale nie chodzą już więcej do kościoła i mówią o księdzu, że to czarny złodziej, który wyciąga nam pieniądze z kieszeni, obiecując ciągle niebo...

A gdy kościół się pali, stoją i śmieją się, że cholera jasna, teraz święci też się spalą, cha, cha. Niedługo znów będziemy się łapać za kieszeń, gdy zapuka ksiądz: cha! cha! To nie będzie tylko sAm ksiądz, ale również ten czy ów nieborak, który zarabia na chleb w kasie chorych albo w syndykacie encyklikierów: cha, cha. Nie, to będą córki albo madame encyklicznych panów z encyklicznych fabryk i będziemy się łapać za nasze kieszenie: cholera jasna.

A tymczasem, pomimo gipsowych świętych i zapalonych przeciw chorobom świeczek, prosty człowiek jest socjałem albo ultramarksistą, ale nigdy nie idzie na zebranie albo wiec, bo ten polityk jest czerwonym złodziejem, który wyciąga nam pieniądze z kieszeni, obiecując niebo socjalnej sprawiedliwości... oni nie stoją tam już brudni i usmarowani, i nie ogoleni, i nie spluwają już więcej przez swoje wstrętne zęby sokiem z tytoniu... ale mieszkają w bloku dla robotników zbudowanym przez państwo, z mieszkaniami, przy pomocy których jeszcze raz ich oszukano, i w których, aby uratować pozory, przeznaczono jeden pokój na łazien

kę; ale oni muszą z niej zrobić składzik i w cynkowej wannie trzymają węgiel albo ziemniaki, albo stare gazety i kwity podatkowe. Coś, o czym ja, tippetotje, nie mogę więc wcale powiedzieć, iż nie jest to polityką... realnie biorąc jest to prawda, lecz prawda realistyczna nie zawsze jest prawdą słuszną politycznie. Bo ludzie bogaci jak pan derenancourt powiedzieliby: widzisz, robotnik nie potrzebuje żadnej łazienki z wanną, bo i tak trzyma w niej ziemniaki... cała ta gadanina o udogodnieniach socjalnych jest czymś, czego robotnik sAm wcale nie pragnie, ale czymś, co zostało wynalezione przez ludzi, którzy w partii socjałów albo ultra-marksistów zarabiają na życie: wywoływać u prostego człowieka pragnienie nieba albo łazienki to taki sam handel jak każdy inny handel, twoja tippetotje, która 1-ego z najbliższych dni przeprowadza się do ter-muren.

### *CHOROBOWE ONDYNY*

*Ondyna znów stanęła na nogi, blada i wychudzona, a jej kasztanowe włosy utraciły swój dawny blask... twarz jej stała się podobna do ptasiej głowy, co już prawdopodobnie nigdy nie ustąpi... jej 1-szy spacer był do ubikacji, ale po drodze nie widziała nic podejrzanego, żadnego śladu, który pozwoliłby cokolwiek odkryć. Nie rozumiała tego. O cudzie już więcej nie myślała, ale nazywała to szczęściem... a właściwie nazywała to, niemal bez ogródek, „kurewskim szczęściem"... gdy pochyliła się nad dziurą w desce, tam też niczego nie dostrzegła. To niemożliwe, musiało to być coś więcej niż zwykłe szczęście. Wtedy zaczęła obserwować ojca, ale cała jego uwaga kierowała się ku 6 topornym krzesłom i stołowi, robionym dla jakiegoś wiejskiego*

gamonia, który gdzieś za brukselą pracował przy robotach publicznych i dał sobie wepchnąć kochanką, którą spił kiedyś ludwik gourmonprez... był u tego gamonia ksiądz, który powiedział, że pan ludwik to co prawda libertyn, ale nie tAki znów zły człowiek, wyposaży go w meble, jeśli on się z nią ożeni — ondyna przebąkiwała o tym, że pójdzie z rachunkiem po należność, gdy tylko wyzdrowieje..., i podczas gdy akcentowała słowo „wyzdrowieje”, nie spuszczała oka ze swego ojca; ten nic nie dawał po sobie poznać, zachowywał się jak zwykle bezmyślnie, a rozsądek przejawiał tylko wtedy, gdy chodziło o sprawy, które nie miały najmniejszego praktycznego znaczenia. Na matkę też spoglądała badawczo, jak również na walerka: które z nich zerwało się tak wcześnie, że zdążyło błyskawicznie usunąć wszystkie ślady i nie puściło nawet pary z ust? Albo może ona sama to zrobiła, pogrążona w tym zagmatwanym, gorączkowym śnie? Matka była trochę poruszona, ale nie za bardzo, mamrotała do siebie nieco głośniej, nasłuchiwała i spoglądała za siebie, czy stoi tam ktoś, kto jej odpowiada... ale to nie było nic poważnego i tylko ondyna, która od lat ją obserwowała, mogła cokolwiek zauważyć. A walerek? Oprócz kuzynki nic na świecie go nie interesowało: ze swoją wielką, zakutą pałą szedł razem z tą dziewczynką o żółtych włosach na przechadzkę wzdłuż torów, gdzie znowu miał zakwitnąć janowiec; ondyna nie mogła powstrzymać się na ich widok od śmiechu, żalostnego, drańskiego uśmiešku. Odsunęła się od życia... nazywała to ironicznie swoim urlopem chorobowym, nie miała zamiaru z byle powodu ze wszystkiego rezygnować, wręcz odwrotnie, jakby chciała zaczerpnąć nowego oddechu, aby potem z tym większą zawziętością rzucić się w wir życia. Zaczęła od tego rachunku, który poszła przedstawić, ale bardziej chodziło jej o to, żeby zobaczyć dziecko; tak, te

*same ciemne włosy, niezbyt duże, ale bystre oczy tego gourmonpreza, którego więcej nie widziała, od kiedy dali się ponieść żądom w tym wynajętym pokoju... ale nawiasem mówiąc wszystkie rysy przesądzały o tym, że będzie to twarz biednego człowieka. To po matce. I ondyna zastanawiała się, co też on w niej widział... och, może nic, prócz tego, że musiała być miła, świeża i może trochę zuchwała po pierwszych lekcjach życia pobranych w ustępach filatury... a może nie widział dobrze jej twarzy i nie była niczym innym jak tylko pochwą, którą należało przeczyścić. Ondyna położyła rachunek i odeszła. Nie, coś takiego w ustępie... no tak, nawet w myślach nie wolno mi tego więcej wypowiedzieć, pomyślała... ale jednak ono wyglądałoby zupełnie inaczej: jakże była głupia próbując sobie wyobrazić, że wszystkie dzieci mogą być do siebie podobne. W drodze powrotnej miała takie uczucie, jakby poszła gdzieś bardzo daleko, ale znalazła tam drzwi zamknięte: jestem zmęczona, jestem chora, powtarzała sobie w myślach. Położyła się do łóżka i przeleżała cały dzień z nic nie widzącymi oczami wbitymi w pobielony wapnem sufit... w brzuchu czuła ból nie do opisania.*

#### *OD TERAZ DO DNIA SĄDU OSTATECZNEGO*

Wprawdzie pomału zbliżały się wybory, ale manifesty za lub przeciw królowi noblowi, za lub przeciw uranowi, za lub przeciw jednookiemu, za lub przeciw, lub bez demokratów piętrzyły się w isengrinusowej skrzynce na listy... bo nie miał on czasu lub ochoty na ich czytanie, żył z dnia na dzień i myślał jedynie o swoim obciętych ogonie, który musiał smarować maścią albo obwiązywać gałgankami. Uważał za oczy

wiste, że wielcy tego świata w niesłychany sposób robią go na szaro, ale był zły na lisa przechere, który z kolei nie chciał się dać jemu zrobić na szaro i który przede wszystkim żywił idiotyczne złudzenia o proklamowaniu republiki Wolnych i uczciwym podziale każdego łupu... na boga, „wielcy kradną i mali kradną, ale wielcy najbardziej”. Miało to pozostać szyldem sklepu z fajkami, nobelgii i całego świata. Ten przechera staje się dla mnie zbyt niebezpiecznym towarzyszem, pomyślał wilk i uprzedził swoją wiedźmę hersindę, że powinna powiedzieć „twojego wuja nie ma w domu”, jeśli by, lis jeszcze kiedykolwiek zapukał do ich drzwi. I usłyszawszy, jak ktoś dzwoni, otworzył z rozmachem drzwi i ujrzał przed sobą lisa przechere... już chciał powiedzieć: „twojego wuja nie ma w domu”, ale zrobił głupią minę i słuchał niechętnie przybysza, który zaczął się usprawiedliwiać z tych niewybaczalnych kawałów, które robił swemu rodzonemu wujowi... Lecz począł słuchać uważniej, gdy lis wspomniał o odszkodowaniu: czy byłoby to możliwe? Z pewnością, odrzekł przechera i wskazał na manifesty, które wysypywały się ze skrzynki na korytarz: wiesz, że świat podzielony jest na dwa obozy, chodzi o dywidendy, o trusty i oligarchie, o uran i światowe rynki, dla których wszystkie kozły chcą zwabić do siebie niewydarzonych... ale pomimo wszystkich twierdzeń, że tylko oni są prawdziwymi demokratami i że znów uratują to lub tamto — duszyczkę dziecka i szczęście świata, ojczyznę, wolność i wieczne życie — istnieje jeszcze różnica zdań co do tego, kto spośród nich może uciec z wielkimi kęsami, a kto, na odwrót, będzie musiał bulić. I myślisz, że ja?... zapytał wilk z błyskami pożądania w oczach. Nie, powiedział lis, ale gdzie jest niezgoda, tam musi być i rozjemca, i może, gdybyś ty, w zamian za nową szubę... Jasne, odrzekł wilk... i wraz z lisem ruszył na łąkę, na której kozły żyły w niezgodzie z powodu Swej

demokracji i Swych dywidend. Szast-prast i już lis uzgodnił, że jego wuj wystąpi jako arbiter w zamian za wełnę z ich sierści, którą hersinda będzie mogła połatać dziury w jego surducie, isengrinus zasiadł na środku łąki i zawołał: biegnijcie wszyscy do mnie i ten, który dobiegnie 1-szy, będzie mógł wszystkim narzucić swą wolę... bo przepelniony ciekawością, kto też nadbiegnie 1-szy, nie myślał o tym, aby nieco staranniej dobrać słowa; popatrzył z uśmiechem zainteresowania na lisa, jak ten daje sygnał i jak każdy kozioł rusza na niego, aby jako 1-szy ofiarować mu duszę dziecka i zbawienie świata: ale wszystkie biegly jednakowo szybko, wszystkie jednakowo mocno pragnęły największego kawałka... i nie mogąc się u celu zatrzymać, rąbnęły wszystkie równocześnie w isengrinusa, z lewa i z prawa, z tyłu i z przodu. Jeszcze przez 1 chwilę wilk trzymał się prosto, ale deptany ze wszystkich stron i krwawiący ze wszystkich członków, zgiął się wkrótce podwójnie w pół, przymknął oczy i pomyślał: to dzień sądu ostatecznego, a jeśli nie, to gównu z tego rozumiem, johan jan^sens.

#### *WIADOMOŚCI OD STAREGO GARBUSA*

*Powoli ondyna wracała do sił i zaczęła tęsknić za wiadomościami ze świata... a stary garbus — który ciągle jeszcze chodzi po ter-muren, tak jakby miał prawo do nieśmiertelności — opowiedział jej, co opowiadano sobie w ter-muren:*

*mogę pani powiedzieć, że pan brys z biura fabryki przyjął wymówienie, co za głupiec, cholera, i odstawił mowę, a potem ludzie, których nie będę wymieniał, poszli powybijać mu okna i chcieli rozwalić jego budę...*

co by było, gdyby 1-si socjałowie tam nie stali, żeby go bronić.,, i mogę też pani powiedzieć, że mówią, że jeden student zaproponował mu, by z całym tym swoim bajzlem kasy chory zapisał się do socjałów... ale on ani nie chciał, ani nie miał odwagi... i mogę pani jeszcze powiedzieć, co sam widziałem, bo tamto wiem tylko ze słyszenia, że pan brys wciąż medytując i z głową spuszczoną prawie do ziemi pętał się przed bramą jabryki, a potem stanął, żeby wychodzących ludzi jakby o coś zapytać... ale ci go zwymyślali i wyzwali od durniów, tak że nie mógł nic powiedzieć... dostali też w fabryce pół popołudnia wolnego i po flaszcze piwa, żeby pójść do piwiarni prawo-i-wolność i wszystko tam porozbijać. Ale musieli się stamtąd wycofać, pani się pewno spyta, co takiego? tak się dać wykiwać jednemu moczymordzie i jednemu niedojdzie z 1 ręką, i jakiemuś studentowi, który cierpi na suchoty? Ale pani na pewno nie wie, że oni się w tej piwiarni zabarykadowali w 30 luda? widzi pani, jeszcze wczoraj było ich 3, a dzisiaj już 30, a ilu ich będzie jutro, tych socjałów? Ja sam nie poszedłem, żeby rozwalać, kwestia tego nieszczęścia, które noszę na swoich plecach, ale wiem i inni też wiedzą, że niektórzy z fabryki... co też poszli, żeby rozwalać... poszli jeszcze kawałek dalej i już byli obok socjałów.

Och, ondyna była zła, że się przestraszono tych 30 ludzi... szkoda jej było, że to się zdarzyło w takim momencie, kiedy ona nie miała kontaktu z panami... jakby bóg sam chciał, żeby to się zdarzyło w taki sposób... i dlatego solidnie opieprzyła starego garbusa i powiedziała: tak gadasz, jakbyś był zadowolony z tego, że jest już 30 socjałów... uważaj tylko!... powiem to kiedyś panu derenancourt. I stary garbus pochylił pokornie swój garb i zamilkł.



## *IN MEMORIAM YEENMANNEKE (1)*

*Na poboczu toru kolejowego wkrótce znów zakwitnie janowiec, veenmanneke, i gdy w wieczornym pociągu czytam gazetę, i podkreślam to, co powinienem sobie później wyciąć... bo ten, kto tego nie robi, veen-manneke, nie może dłużej śledzić losów świata... i gdy potem notują w moim notesie to, co kończący się wkrótce dzień wniósł do wiedzy o ludziach, odczuwam głębokie wyrzuty sumienia. Bo myśl o kwitnącym janowcu zapładnia inną kombinację myślową, w której bohaterka tej nie zakończonej powieści, ondyna, krąży jak zjawą i pyta mnie, kiedy znów będę dalej pracować nad powieścią o jej życiu i jej czasach? Już w zeszłym roku, veenmanneke... czy to już 2 albo 3 lata temu? kwitł janowiec, a ja pisałem, że w życiu zawsze czegoś szkoda... szkoda, że to, i szkoda, że tamto... małej on-dynie zdarzył się cud, ale szkoda, że nasrała na tym świętym miejscu, w którym kwitł janowiec... a teraz ondyna sama zaczęła kwitnąć... ale że też musiała wrzucić swoje dziecko do ustępu... a teraz, veenma-nneke, kiedy pociąg całe wieki stoi gdzieś pod sygnalem, myślę sobie, że jutro i pojutrze są wolne dni i że wreszcie będę mógł z całą zawziętością rzucić się na tę ondynę... oczywiście mówiąc w przenośni, bardzo w przenośni... na tę kurwę ondynę, która wrzuciła swoje małe do ustępu i ani trochę tego nie żałowała. I następnego dnia wstaję bardzo wcześnie, gdzieś koło 4 rano, ale ledwo co chwyciłem pióro, jak już muszę lecieć tam, gdzie ona wyrzuciła swoje małe, śpiesz się, śpiesz i gdy odrywam kawałek papieru, veenmanneke, i z godnego pożałowania zawodowego zboczenia czytam pośpiesznie to, co jest na nim wydrukowane... cholera jasna... nie mam już więcej ochoty na to, żeby jeszcze Cokolwiek zrobić i całe te 2 wolne dni mam zmarnowane:*

*nie byłoby słusznie na podstawie tych kilku linijek sądzić, że w produkowaniu powieści panuje kompletny zastój, wręcz odwrotnie, bardzo wiele nowości wchodzi na rynek, jeszcze nigdy nie pojawiło się tyle literackich nagród jak po wyzwoleniu, ale kto spośród debutantów może się poszczycić tym, że jego imię mocno się utrwaliło w ludzkich umysłach? wydaje się, że powstał pewnego rodzaju point de rupture pomiędzy rzeczywistością a twórczym umysłem, który musi ją ubarwiać, reportaże i suche dokumenty na temat obozów grozy są tak pełne i skończone, jakby rzeczywiście odcięły powieści drogę... ale tego jeszcze było mało, w ostatni wieczór tych 2 wolnych dni znów w moim życiu pojawiaasz się ty, veenmanneke: wchodzisz z napisaną przeze mnie książką, kładziesz ją na rogu stołu i mówisz: Ten i ten jest jak dotąd naszym największym pisarzem. I ja kiwam głową, bo ktoś musiał jak dotąd być naszym największym pisarzem, i przyznaję to Temu i temu... ale mówisz to tak, veenmanneke, jakbyś chciał rzucić mi wyzwanie: ty nie jesteś naszym największym pisarzem. I muszę się lekko roześmiać, bo jak mam ci wytłumaczyć, że coś takiego nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia? Ja nie piszę po to, żeby być największym, ale dlatego, że lubię pisać i ponieważ pisaniem coś mogę zarobić... kiedy żona i dziecko są już w łóżkach i jest tak cicho, że słyszysz, jak szemrze lampa pod abażurem... albo kiedy jest koło 4 rano i słyszę, jak w oddali gwizdże 1-szy pociąg, i myślę sobie, że pędzi teraz wzdłuż pagórków, które niedługo pokryją się kwiatami... och, bądź cicho, bo zaraz ondyna znów wystawi głowę... a przede mną leży cała góra papierów, o boże, jak mi się wtedy robi ciepło na sercu i jaką to daje rozkosz tworzenia, kiedy widzę pióro potykające się w pośpiechu, by dogonić słowa; i to, co jest napisane, daję poczytać komuś, kto Wbi to czytać... ale tobie już nie, veenmanneke, bo ty tego*

*nie rozumiesz, ty myślisz, że ja... jak w tym kawałku gazety, którą się rano podtarłem... że chcę się szczyścić tym, iż moje imię wryło się w twój umysł.*

*i zaczynam ci tłumaczyć, veenmanneke, że pisanie rodzi w sercu ciepło i rozkosz tworzenia... ale z czasem sam sobie zadaję pytanie, czy zatem piszę i piszę, aby codziennie na nowo gonić tę rozkosz?... a ty, veenman-neke, odpowiadasz — bardzo słusznie — że pisanie twoim zdaniem musi mieć gdzieś coś, co nazywa się Celem, bo jeśli nie ma ono najmniejszego celu, to wtedy człowiek, jak za młodych lat... ech, jak to on ,ma wyrazić, w obecności twojej żony?... może całkowicie oddać się czemuś, co dostarcza tyle samo rozkoszy, lecz jest równie bezcelowe.*

*och, veenmanneke, zamilcz — bo kiedy czytasz w gazetach o zastoju w wydawaniu powieści i o point de rupture pomiędzy suchymi dokumentami a twórczym umysłem, który musi je ubarwiać... i gdy człowiek słyszy, jak gadasz o jakimś Celu, bardzo górnolotnie, a tymczasem zostaje on zepchnięty nisko ku przyziemnej myśli, bo celem może też być goła dupa — och, veenmanneke, zamilcz lepiej tak, veenmanneke, nagle znów pojawiaasz się w moim życiu; wchodzisz i mówisz do mojej żony: cześć, mario... a przecież nigdy jeszcze jej nie widziałeś i nie wiedziałeś nawet, jak ma na imię; zupełnie jakby to był veenmanneke, mówi do mnie żona, skąd go wytrzasnąłeś?*

*veenmaneeke, tyś rozdziałem z mojej młodości, kiedy byliśmy jeszcze młodzi i robiliśmy głupstwa, i myśleliśmy, że zmienimy oblicze świata; pamiętasz jeszcze nasz hame, którym była wtedy obrzydliwa zaszczurzo-na pusta rudera?... czy nie nazywał się on Płomień, veenmanneke?... a pamiętasz, jak pewnego razu postanowiliśmy, że każdy z nas wyruszy inną drogą i że wszyscy spotkamy się nad pewnym jeziorem, de donk,*

**ani**

*daleko za małym, śmierdzącym miasteczkiem z 2 fabrykami? a potem przyszedliśmy tam wszyscy z naszymi plecakami i naszymi kocami, oprócz ciebie, veenman-neke, który przybyłeś 3 miesiące później: ty pomaszrowałeś dalej i zdeptałeś południowe wybrzeże francji a raz, gdy wróciliśmy z rajdu, znaleźliśmy ciebie, veenmanneke, w tej obrzydliwej ruderze Płomień, jak stałeś w pokoju na czymś w rodzaju piedestału, nieruchomy jak pomnik... pamiętasz to jeszcze... nie, myśleliśmy, że może masz ochotę się powyglupiać i daliśmy ci się wyglupiać ■ — każdy robi to, na co ma ochotę, rzekł chłop i kazał rozporek zrobić sobie z tyłu — i nikt nie patrzył na ciebie stojącego wysoko na piedestale, przez całe tamto długie popołudnie; ale ty, ze swoimi buddyjskimi teoriami, trwałeś tam nadal nieruchomo jak pomnik... i późno wieczorem ktoś powiedział: veenmanneke, sam zejdziesz, czy mam wyciągnąć spod ciebie ten piedestał? i wyciągnięto spod ciebie ten piedestał, a ty rąbnąłeś o ziemię i leżałeś, podczas gdy na twoim czole zaczął puchnąć guz wielki jak gęsie jajo.*

*a potem, veenmanneke, to była tippetotje... tippetotje, ta malarka, która później zniknęła w brukselskiej dżungli i która, tak samo jak ty, znów się objawiła po latach... ale na motorze i z kochankiem, a jadąc z powrotem zapomniała kochanka... i którą za każdym razem, kiedy się z rzadka pojawiała, witano okrzykiem: zawinął statek pełen kłamstw!... było tak, że tippetotje spędzała wówczas dni i noce w Płomieniu, starając się na swój własny, dziwny sposób być westal-ką tippetotje i czuwać nad Płomieniem... jej serce było pozłacane Płomieniem, lecz jej żołądek był tak pusty, jak głowa dróbnomieszczanina w meloniku... i również do twojej buddyjskiej obojętności, veenmanneke, musiało dotrzeć to, że tippetotje dzień i noc zmagala się z pustką swego żołądka, bo pewnego letniego wieczoru stała ona, tippetotje, w drzwiach Płomienia i dostrze*

*gła hen w oddali kogoś nadchodzącego szosą... i czy to nie byłeś ty, veenmanneke, jakby coś trzymający w ręce?... a czym byłeś bliżej, tym wyraźniej tippetotje widziała, że coś trzymasz pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, na metr od siebie... ech, na metr, to za wiele powiedziane, bo nikomu prócz tippetotje nie przyszloby do głowy, aby tobie, małemu i dostojnemu veenmanneke, przypisywać ręce metrowej długości... i gdy zbliżyłeś się jeszcze bardziej, tippetotje zobaczyła, że to suszony śledź, którego trzymasz za ogon tak, jakbyś niósł zdechłą mysz... i stanąłeś tuż przed tippetotje i powiedziałeś: tippetotje, to dla ciebie. Po czym odwróciłeś się i swoimi małymi, dostojnymi kroczkami przeszedłeś z powrotem całą tę długą szosę.*

*a potem zniknąłeś mi z oczu, ueenmanneke, ożeniłem się i miałem dziecko, i wojnę, i chory żołądek, i nagle ty znów się zjawiasz z napisaną przeze mnie książką w ręce, i kładziesz ją na stole... jak tego martwego śledzia tippetotje... i powiadasz, że Ten i ten jest naszym największym pisarzem: a dalej dowiaduję się, że nadal trzymasz się swoich buddyjskich teorii i zachowujesz się tak samo dziwnie, jak przed laty... kiedy byliśmy jeszcze młodzi i dziwaczenie uznawaliśmy za coś interesującego... ale teraz już chodzisz do barów i znasz pewną marię, żydówkę, która jest kelnerką w tym barze na rogu, tam przy 1-szych brudnych domach... i szukasz materiału do gruntownego studium o alchemikach; każdą książkę o alchemikach z wdzięcznością zgłębię, oświadczasz w twoich zwykłych, dostojnych słowach... i szukam dla ciebie „la bas” jorisa-karla huysmansa ... a tymczasem w moim domu siedzi teozof andrć i słyszy tę rozmowę o alchemikach i chce cię nawrócić na teozofię... i znajduję „la bas”, ale ty, veen-manneke, nie przychodzisz więcej po nią, a potem, och, neenmanneke, jakże tak można, moja żona ma niespo*

*kojne sny i budzi się nagle, i myśli, że ściana jest cała zbryzgana krwią, i mówi: och, widziałam veenmanneke z twarzą nie do rozpoznania. I w 3 tygodnie po tym śnie, veenmanneke, dowiadujemy się, że utonąłeś i że przez te całe 3 tygodnie musiałeś przeleżeć w dende-rze, bo twoja twarz była nie do rozpoznania, jakby ją wygryzły szczury.*

*a w 3 miesiące później, o veenmanneke, cholera jasna... andre z tą swoją teozofią, który już nie pamięta, że poznał cię u mnie w domu i który plus do tego jeszcze nie wie, że utonąłeś, zostałeś wyłowiony i dawno temu pochowany... andre mówi mi: teraz dopiero spotkałem interesującego człowieka, który dojrzał do teo-zofii: to veenmanneke!*

### **POD LASEM**

*Ondyna poszła do gospody swojego wuja, bo wiedziała, że tam są ludzie... wcześniej czy później zaczną mówić o tej zimie, kiedy ona mieszkała na zamku, chciała ich więc uprzedzić, chciała sama złapać byka za rogi: pan achilles jest teraz żonaty, powiedziała, ale tylko bóg i ja wiemy, że chciał z sobą skończyć i że z płaczem wołał, że nigdy nie będzie mógł żyć beze mnie, ondyny. Ale wydawało się, że w ter-muren czas taniej dramatyczności już przeminął: przelicytowano ją czymś innym, nowiną, że derenancourtowie mają zamiar zbudować pod lasem 4 domy. Pod lasem! Ondyna dyszała lekko, kiedy mówiono o tym miejscu, gdzie krążyły duszyczki martwo urodzonych dzieci... ale jednak udało jej się roześmiać i powiedzieć, że w takim razie teraz będzie koniec z tymi błędnymi ognikami. A równocześnie była przejęta, całkiem nieświadomie,*

wiadomością o tej budowie... bo nie mówiono o niczym innym jak tylko o tych 4 domach, między ter-muren a lasem, jakby nie było na świecie nic ważniejszego: aż się zdziwiła, gdy w domu znalazła kawałek gazety w innym języku i dostrzegła, że jest jeszcze tysiąc i 1 rzecz: walerek znalazł tę gazetę koło torów i dumny, ponieważ nie rozumiał jej treści, powiedział z błyszczącymi oczami: to po Francusku — ondyna zaczęła czytać i dowiedziała się, że są podejmowane kroki przeciwko związkom zawodowym, że sprzeciwiano się kolejnemu nowemu żądaniu,, czemuś, co nazywano powszechnym prawem wyborczym... tak że na naszych żołnierzach spoczął smutny obowiązek strzelania w szeregi mącicieli porządku. Była to gazeta encyklikierów. Ale encyklikierzy czy libertyni, ondyna jakby naprawdę przeczuwała, że świat taki, jakim był do tej pory, zmierzał ku przepaści... jakby przeczuwała, że biedny człowiek powstaje przeciwko wyższej klasie,, a ponieważ nadal żywiła w sercu fałszywe przekonanie, że ona także należy do wyższej klasy, wydawało się jej, że ludzie powstają przeciw niej samej, przeciw ondyn-ce vapeura. A jednak w ter-muren sprawą najważniejszą była budowa tych 4 domów, 4 willi... ondyna też poszła kiedyś drogą aż do zdziczałych chaszczy, ale zobaczyła jedynie jakiegoś samotnego mężczyznę z dorastającym chłopcem, chodzącego pomiędzy krzakami jeżyn i wykonującego pomiary. Czy to tutaj będzie się budować 4 wille, spytała... i miała szczęście, bo stał przed nią człowiek, który czuł się niezmiernie pokrzywdzony przez życie, bo zawsze wszystko lepiej wiedział, a mimo to nigdy nie znajdował zrozumienia: powiedział, iż oświadczył derenancourtowi, że tu nie będzie się zdrowo mieszkać, w tej zgniliźnie, i że zimą będzie tu 1 błoto... no, ale widzi pani! Ondyna poczuła\*się zmęczona i przysiadła wyżej na skarpie drogi... nad czymś się głowiła, można to było dostrzec, gdy tak

*piąte przez dziesiąte słuchała stojącego niżej mężczyzny, który przestał robić pomiary, lecz nie mógł przestać gadać. Tymczasem dorastający chłopiec też stał rozglądając się i dłubiąc w nosie do chwili, aż nagle zauważył nogi ondyny, tam, nad swoją głową i przez to świat dla niego stanął w miejscu.*

*IN MEMORIAM VEENMANNEKE (Z)*

*A tymczasem, veenmanneke... gdy ty się utopiłeś, a jeszcze chce się ciebie, utopionego, nawrócić na teo-zofię... tymczasem pociągi nadal jeżdżą wzdłuż janowca, który znów zakwitnie, a ta cholerna ondyna tłucze się jak zjawą po mojej głowie... i piszę ci ja o tym samotnym mężczyźnie, który wykonywał pomiary i czuł się pokrzywdzony, bo wszystko wiedział lepiej, a jednak był niezrozumiany... i dodaję ci ja do tego wyrostka, który znienacka mógł zajrzeć ondynie pod spódnicę i przez to świat dla niego nagle stanął w miejscu... i tylko co opisałem tych 2 mężczyzn, veenmanneke, gdy uświadomiłem sobie, że 2 razy opisałem ciebie. Och, veenmanneke, o mała, prosta wielokrotności mojej młodości, nosicielu Płomienia, dziwaczny, niemożliwy, wyprawiający takie rzeczy, których należałoby zabronić: przypominać człowiekowi, który stał się przyzwoity, jego nieprzyzwoitą młodość. i przez swoje usta, które były kreską, ostrym wcięciem na kawałku drewna... a które teraz są wygrzyzione przez szczury... wyciskałeś rzeczy, które ja tylko w połowie rozumiałem, ale które jednak, w ich połowicznej zrozumiałości, warte byłyby tego, żeby dokonać ich wyboru i wydać je jako. opowieści veenman-neke, który wypowiadał swój wstręt do całego życia.*



*Wyłożyłeś mi swój wstręt, veenmanneke, do sposobu, w jaki twoi rodzice cię splodzili, do twojego ojca robiącego dzieciaka swoim interesem i twojej matki na tego dzieciaka się godzącej... i twój wstręt do tego, jak ciebie, młodego chłopca, pozostawiono zupełnie sam,ego wśród tego, co... enjin... no i siedziałeś w szkolnej ławce czując, jak twój mały veenmannekowy interes robi się niemożliwie wielki, i dotknąłeś go, a oburzony nauczyciel tak cię sprął, że byłeś półżywy, gdy tymczasem z obrzydzeniem gapileś się na swoją popapraną rękę... a potem, ogłupiały ze strachu, opowiedziałeś to swojej trochę starszej siostrze, która domagała się wciąż dalszych, niemożliwych wyjaśnień, aż w końcu i ona gapiła się z obrzydzeniem na swoją popapraną rękę. I tak to z tobo, było, każdego ranka i w każde południe, i każdego wieczoru, i każdej nocy, poczułeś też wstręt do kobiet, które nie były takie jak ziemia, cierpliwie czekająca... ale które stały i zamiatały chodnik albo myły. okna, albo przejeżdżały na rowerze... i nie wiedziały, że ty, veenmanneke, przechodziłeś obok nich prawie płacząc z biednym veenmannekowym interesem, przywiązany mocno kawałkiem sznurka do uda. A z wiekiem odkryłeś dzieła o literaturze i polityce... odkryłeś, że ludzie przytwierdzają do papieru swoje idee i dziwne pomysły, i nieodparte pokusy... bo nasienie należy do ziemi, a spermatozoidy do kobiety, a idee do papieru... i ty, veenmanneke, popełniasz tak odważne głupstwo, że zachciewa ci się odwrócić świat i chwytasz za papier za każdym razem, kiedy twój interes błagalnie się unosi, i piszesz, pi- szesz wszystko, co ci przychodzi do głowy, że aż twoją głowę chwytą skurcz, i twój interes jest w końcu wyczerpany, a ty sam, zlany potem, siedzisz otępiały i milczący. A potem poszedłeś jednak kiedyś z tradycyjną jeanniną z 1-szych brudnych domów za laborem nad dender... dender, o veenmanneke, tam gdzie szczury*

cię ■poobgryzały... i potrafiłeś ją tura przewrócić na plecy, a ona się wściekła, że usiłujesz jej to wstrzyknąć tak, jak lekarz strzykawką, już, od razu, żeby się tego pozbyć, i żeby żadne z was nie miało w tym przyjemności... i to ona, ta dziewczyna, ta jeannina z 1-szych brudnych domów, uczyła cię, że najpierw powinieneś ją podniecić i tak to się dalej toczyło, veenmanneke, z twoimi opowieściami, w których wszystko było błędem i w których istniał tylko 1 środek, 1 lekarstwo, 1 remedium, żeby cały ten błąd naprawić: zastosować wszystko to, co powiedział na ten temat lenin... i wszystko to, co ty, veenmanneke, na podstawie własnego doświadczenia sobie wyobrażałeś na temat zastosowania tego wszystkiego, co powiedział lenin

a później, veenmanneke, zaczęłeś się uczyć na architekta, bo również domy, w których ludzie żyli i mieszkali, były całkowitym błędem... ty miałeś już wiele pomysłów na temat przyszłych sposobów mieszkania i życia ludzi... Ale zaniedbałeś swoje studia po to, żeby dalej ślęczeć nad leninem i pomagać rozprawiać gazetkę na wietrze i deszczu... bo gazeta była wtedy tylko gazetką, małą kartką papieru zadrukowaną tylko z jednej strony... i do tego jeszcze bardzo źle... i już wtedy wszedłeś w konflikt z partią, i wylano cię z niej, i znów się wycofałeś do swoich buddyjskich teorii... ale byłeś ćmą, a partia lampą i nadal krążyłeś wokół niej, i znowu zostałeś przyjęty. I ostatnio nie było na świecie Niczego, co by jeszcze było cokolwiek warte... lecz gdy wcześniej mówiłeś to świadomie, znając przecież lekarstwo, którego wartość rosła odpowiednio do tego, jak świat był coraz mniej wart... to czy nie powiedziałaś ostatnio — świat, och, cholera, świat — czy nie powiedziałaś tego pełen rozpacz, bo lekarstwo już przecież dla ciebie nie istniało: twierdziłeś, że lenin umarł i wszystko, co po nim zostało, to trochę gipso

wych popiersi... stojących u robotników w kuchniach jak  
przenajświętsze serca... plus parę książek, których sens został  
wypaczony  
i nagle spotykam małego prosa, o veenmanneke, jeszcze jeden mały,  
zwyczajny towarzysz naszej młodości, jeszcze jeden nosiciel  
Płomienia, jeszcze jeden dziwak, który stojąc trzyma mnie za guzik  
płaszczka i mówi: & propos, wiesz już... veenmanneke nie żyje  
o veenmanneke, ty a. propos nie żyjesz... i mały pros tłumaczy mi, że  
nie powinienem sądzić, iż wpadłeś tam ze swoim interesem w  
veenmannekowych portkach albo że się upiłeś, bo byłeś buddystą...  
nie, nie, mogę mu wierzyć, że zostałeś tam wrzucony przez tę podłą  
resztkę podłej Czarnej bandy jeszcze z wojny... bo mówili, że w czasie  
wojny ułożyłeś listę wszystkich tych, którzy bywali w budynku  
czarnych... choć to nieprawda, mówi mały pros, bo veenmanneke  
miał w dupie tych, którzy wchodzili do domu czarnych albo z niego  
wychodzili i veenmanneke nigdy nie układał żadnych list, chyba że  
alchemików... i, o cholera, veen-manneke, nagle szczyrzy się do mnie  
pustka, gdy znów myślę o naszej młodości... o tej młodości, z której  
teraz wszyscy muszą mieć pomiędzy 20 a 40... Powinni mieć... ale  
spośród których zostało wszystkiego z 5: wśród nich i ty, który nie  
żyjesz... który się utopiłeś albo zostałeś wrzucony do wody. Ha,  
veenmanneke, niech no policzę wszystkich na palcach: 2 padło w  
hiszpanii, 2 skonało w breendonck\*, 1 skazano na śmierć... ech,  
veenmanneke, lepiej wezwę tych, którzy jeszcze żyją —■ jak to  
możliwe? — ja i tippetotje, i mały pros. I kto jeszcze? halo, halo,  
veenmanneke, to apel naszej młodości... halo, halo, apel ludzi z  
Płomienia... kto jeszcze jest? cholera, veenmanneke, kto jeszcze  
jest?... Aha, liske... nie, liske też nie żyje. Nikt więcej?... halo,  
\* w czasie okupacji obóz koncentracyjny (przyp. tłum.)

*halo, licytacja naszej młodości... nikt więcej? sprzedana  
a jakże jest inna ta dzisiejsza młodzież, veenmanneke, nie ryzykuje  
już własną skórą... a przynajmniej nie dobrowolnie... chce wystąpić  
przeciw biedzie i poniżeniu, i niewoli, i padającym bombom, i  
rozszczerpieniu atomu, bez wahania, bez mrugnięcia okiem... ale nie  
chce nic robić, veenmanneke, „dla swojej samodzielności”, jak to  
myśmy trochę górnolotnie mówili: gotowa jest wyjść naprzeciw  
śmierci i poniżeniu pod warunkiem, że będzie to mogła uczynić nie  
przestając tańczyć i żuć gumę. -A pamiętasz, veenmanneke... ale  
prawda, ty już nie żyjesz, utopiłeś się i twoja twarz została wygry-  
ziona przez szczury, więc nie możesz niczego więcej pamiętać... ale  
to nie ma nic do rzeczy, ja będę pamiętać za ciebie... pamiętasz,  
veenmanneke, jak mówiliśmy, wtedy, gdy siedzieliśmy w Płomieniu:  
popatrzcie, jaka młodzież jest buntownicza! i wyliczaliśmy, jaka  
będzie ta następna młodzież i jeszcze następna... ha, po 3 lub 4.  
pokoleniach będzie już nowy świat,  
a teraz, lepiej nic nie mów o tej dzisiejszej młodzieży, veenmanneke,  
bo wszystko się tu zmieniło... wszystko tu trzeba zaczynać od nowa...  
albo nie ma czego od nowa zaczynać: wszystko jest bezpowrotnie  
stracone. Gdy tak trzeźwo oglądam się za siebie i robię apel, to  
widzę, że niepotrzebnie umarłeś, niepotrzebnie zostałeś  
zamordowany, niepotrzebnie rozwaląłeś sobie głowę o ściany,  
niepotrzebnie dałeś szczurom wygryźć swoją twarz, bo teraz popatrz  
na kramiaka, który należy do współczesnej młodzieży i, jak sam  
twierdzi, też jest nosicielem Płomienia... ale on jest okropny,  
veenmanneke, on jest okropny... to gagatek i filut, chodzący z  
czułkami na głowie, żeby wiedzieć, z której strony wieje wiatr, i  
nigdy się nie potknie w rozmowie, i nigdy mu się nie wyrwie nic o  
sobie, umie o wszystkim rozprawiać długimi zdaniem, w których  
kręci*

*i lawiruje... i w których mówi wszystko i nic, i w których 2 razy potrafi twierdzić coś zupełnie odwrotnego, nie twierdząc właściwie Niczego o veenmanneke, in memoriam, chłopie, in memoriam, cholera*

### *QUINQUET \**

Robisz apel naszej młodości, powiada tippetotje, a zapomniałeś o quinquecie... który być może zawdzięcza to przezwisko swojej postaci z mocno odstającymi uszami... a może bardziej swemu bolesnemu niedorozwojowi, który wywoływał skojarzenie z kopącymi lampami naftowymi z minionych, ciemnych, zimowych wieczorów we flandrii, kiedy odmawiano trajkotliwe różańce nrzeciw ciemnocie i biedzie, cholery i zarazie, i głodowi... ale mnie, tippetotje, nie interesuje początek rzeczy, mnie interesują jedynie same rzeczy: więc nazywano go quinquet i było to przezwisko na jego miarę: akurat dość zabawne dla niego, a równocześnie ilustrujące jego wymowę: wypowiadał wszystko niezdanymi słowami, które się rozpadały na wszystkie strony. Mógł być synem jeannette proust, która mieszka tam, w 1-szych brudnych domach za laborem, i której to dziecko przytrafiło się w najniezwyklejszy sposób; kiedy sama była jeszcze dzieckiem, złapało ją 4 czy 5 niemieckich żołnierzy z 1914—1918, i co z tego wynikło: quinquet. I gdyby ta lampka olejna świeciła tylko na swojej ulicy, to byłaby tam źródłem niemałej głupiej radości: np. w barze na rogu straszono by go do utraty tchu, grożąc, że mu uszy przybiją do tarczy,

\* siara **lampa olejna nazwana od nazwiska francuskiego Wynalazcy Quingueta (przyp. tłum.)**

w którą rzuca się lotkami, albo upijając go i chcąc rozpiąć mu spodnie, pod zachęcający chichot kelnerki, która przecież też powinna wiedzieć, co się stało z niesprawną lampą. Ale quinquet nie pozostał na swojej małej ulicy: gdzieś w mansardzie zamieszkał emigrant--marksista, nosiciel Płomienia, i quinquet stał się jego cieniem i jego psem... był z nami w te burzliwe wieczory, kiedy biliśmy w pogrzebowy dzwon staremu społeczeństwu, był z nami wtedy, kiedy zdjęliśmy stare szaty i lataliśmy na golasa, srając na przyzwoitość i dobre obyczaje... był z nami wtedy, gdy ciągnęliśmy ulicami nie z biciem w bęben lub wzniesionymi w górę sztandarami, ale niosąc Płomień: bóg i duch święty, lenin, trocki i walt whitman... oczywiście wśród huraganowego śmiechu pokazywano sobie tylko jEgo: o popatrz, tam, nowe czasy, cha! cha!, mały, pokurczony, anormalny, lampka olejna z turkoczającymi uszami. A potem, wybacz mi, ale sama nie wiem, jak do tego doszło, staliśmy się starsi i poważniejsi, dorobiliśmy się domów i posad, i chorych żołądków, i być może odznaczeń, ale w zamian za to musieliśmy zgasić Płomień w naszych dłoniach: jeden umarł z głodu, a drugi jest prawie ministrem. I w niedzielę wieczór idę sobie, tippetotje, na stację w mieście z 2 fabrykami, i niech to cholera jasna, na stacji stoi quinquet, mały i pokurczony, i postarzały pod ciężarem małego utrapienia swego małego życia; przeczytał w gazecie ogłoszenie — och, może było to coś takiego: porządna dziewczyna, córka bardzo wierzących rodziców, pragnie wyjść za mąż za inwalidę — i odpisał, i ożenił się, chociaż jego matka jeannette proust wypłakiwała sobie włosy z głowy... i po weselu quinquet poszedł ze swoją quinqueto-wą żoną na górę, a skoro świt ona w samej kombinacji spakowała tekturową walizkę i poszła ulicą w kierunku stacji: już więcej nie wróciła. Och, jeannette proust zapewne dobrze wiedziała, dlaczego z płaczem rwała

sobie włosy ze swej matczynej głowy: teraz on wystaje na stacji, już od zeszłego miesiąca... wczoraj, dziś i jutro... czeka, aż ona wróci w swojej kombinacji i ze swoją tekturową walizeczką. Bo, powiada swoimi rozbitymi słowami, których nie chcę naśladować: nie wolno jej wyjść spod małżeńskiego dachu na dłużej niż na 24 godziny, wiem o tym. Tak więc on wie o tym. A ja, tippetotje, nie wiem nic prócz tego, że sama siebie powinnam kopnąć za to opowiadanie.

#### 4 WILLE

*Ondyna codziennie wracała do tych zdziczałych chaszczy i patrzyła, jak robotnicy wycinali krzaki i zaczynali kłaść fundamenty... ale gdy tylko zapadał wieczór, odchodziła stamtąd pośpiesznie, bo choć nie bała się błędnych ogników, to nie chciała, by odżyło wspomnienie jej własnej piekielnej nocy... ten samotny mężczyzna, który wszystko wymierzył, opowiedział jej, że jest majstrem murarskim, ale nie wie, kto będzie robił stolarkę; ondyna popatrzyła na niego z głęboką zadumą... pozostając równocześnie wystarczająco blisko rzeczywistości, aby zauważyć, że podrostek znów gapi się z dołu... ale oczy miał zbyt pazerne, więc ondyna zebrała sukienkę wokół nóg; a więc jeszcze pan nie wie, kto będzie robił stolarkę, odpowiedziała. Aż pewnego dnia przyszedł tam pan achilles, tak jak to przewidziała,, uśmiechnęła się dość oszczędnie... i cofnęła swoją rękę, którą on przytrzymał trochę za długo... bo ona nie jest już więcej, tak jak inne, zwierzęciem, które się obmacuje, ocenia i kupuje... przypomniała mu, że człowiek jest drapieżnikiem z wylamanymi zębami, który stara się zostać dyrektorem przedzalni fila-tura i głównym udziałowcem banku comptoir et credit,*

*a nocą podkreśla w książkach zdania, żeby zostać senatorem, a kto wie, może nawet ministrem... i nie zwracała uwagi na to, że on tymczasem patrzył na nią z lekko ironicznym uśmieszkiem i przerwał jej, mówiąc, że to przecież nie On pragnie zostać tym albo owym, ale że okoliczności same go do tego zmuszają. Ona natomiast uparcie utrzymywała, że on NAPRAWDĘ jest żądny władzy i stara się urządzić w życiu... a, dodała, dlaczego ja też nie miałbym tego spróbować? Wyglądało na to, że on nie chce jej zrozumieć... och, powiedziała, nie myślisz chyba, że czekam tu na ciebie, żebyś znowu spędził ze mną zimę na zamku? Nie, tak nie myślę, odpowiedział achilles, myślę raczej, że przyszłaś spytać, czy mogłabyś w ten czy inny sposób zarobić coś przy tych 4 willach... i roześmiał się drwiąco, widząc jej zmieszanie... czego pragniesz, spytał. Och, to było twarde starcie, żelazo o żelazo i ondyna starała się ubrać swoją prośbę w miły uśmiech — bo, cholera jasna, nie ma się żadnego wpływu na tych chłopów, o ile się im bez przerwy nie daje do zrozumienia, że się jest czymś, co nosi spódnicę — i pomyślała z gorzką autoironią, że on oczywiście pożąda już innych, młodszych, a przede wszystkim łatwiejszych... i że ona nadaje się już tylko do tego, żeby pozwolić dzieciakom, takim jak ten chłopak w wykopie, zaglądać sobie pod spódnicę. I oto o co w końcu poprosiła: żeby mogła wykonać stolarkę do tych 4 willi... ale wróciwszy do domu powątpiewała w to, czy on będzie jeszcze o niej pamiętał... o niej samej może tak, o jej młodości, której najlepsze kąski jemu się dostały... ale nie o ondynie vapeura, „specjalisty od układania schodów”.*

*Zdjęła bransoletkę, którą założyła na tę okazję... aby położyć ją obok tego wszystkiego, co wycygała od panów, ale co nie zdało jej się na nic innego prócz tego, by wspominać dni, które... no widzisz... niedostatecznie wykorzystano.*



## KONWALIE

Teraz, kiedy jest prawie 1 maja, malarka tippetotje maszeruje do lasu za zamkiem, aby nazbierać konwalii i spotyka mossieu colsona z miństerstwa, który jest na zwolnieniu lekarskim — jego krew też jest za rzadka, stan II — i razem maszerują dalej, i z kolei spotykają ciebie: idziesz z nami szukać muguette? woła malarka tippetotje... która, jak słyszysz, pochodzi z lasu pod brukselą, a więc nazywa to po francusku. I już szukając muguette, opowiadasz im, że veenmanneke trochę zbił cię z tropu, choć co prawda dobrowolnie: właściwie na początku opowiadania miałeś zamiar zająć się „Celem pisania”... bo jedno wydawnictwo pytało, czy nie masz czegoś dla nich, ale później okazało się, że mieli coś przeciw przesłanemu rękopisowi... pełen był tych, hm... enfin... ale bardzo zdecydowanie odmówiłeś wykreślenia czegokolwiek lub zmienienia — bo co za pożytek z pisania czegoś, co wyważa drzwi, jeśli przy wydawaniu musisz to wykreślić, to znaczy wyważane drzwi z powrotem ostrożnie zamknąć? — i odpisujesz im: och, dajcie spokój, odeślijcie ten rękopis. I nagle nie mają żadnych zastrzeżeń, to i tamto, i... i szermują wielkimi słowami, i niezrozumiałymi terminami, i chcieliby natychmiast przystąpić do druku... ale gdy sobie zażyczyłeś, żeby najpierw określili w umowie kwestie finansowe, to zobaczyłeś, że chcą cię wystrychnąć na dudka\*: wydrukować zaledwie w tyłu i tyłu egzemplarzach i z tantemami, o których nie ma nawet co wspominać. A następnie opowiadasz tippetotje

\* być może nieistniejący czytelnik przypomina sobie jeszcze wyrażenie „coś gardłem wychodzi”... więc tu jest jeszcze jedno takie wyrażenie: „wystrychnąć na dudka” ... wyrażenia, które zostaną zastąpione innymi, gdy tylko wyżej wspomniany nieistniejący czytelnik osiągnie lata dyskrecji i rozumu.

i mossieu colsonowi z miństerstwa, ciągle szukając mu-guette, że poszedłeś z tym rękopisem do swojej tradycyjnej wydawczynie i że wszystko jej uczciwie powiedziałeś, czego współczesnemu człowiekowi już dzisiaj czynić nie przystoi... i twoja wydawczynie odpowiedziała... też z nieprzystojną uczciwością; och, ty możesz pisać to, co jest innym wzbronione, wszyscy wiedzą, że ty paplesz byle co. Ale potem odsunęła twój rękopis na bok i opowiedziała o swoich kłopotach, że ani jedna twoja książka nie poszła... encykliczna prasa twierdzi, że to są złe książki, i encykliczni czytelnicy boją się wtedy twoich książek jak zarazy —■ jak dawniej ospy w ter-muren — a ponieważ ty z niedowierzaniem pytasz, czy to wciąż jeszcze istnieje, ta... no, inkwizycja?... przytacza ona niepodważalny fakt: encykliczna prasa przez pomyłkę oceniła jedną twoją książkę pozytywnie, i ona już chciała przystąpić do 2-giego wydania... ale nagle jakiś biskup czy kardynał — człowiek nigdy nie rozróżnia tych frantów w uniformach — wysłał okólnik, że ta książka nie jest odpowiednia dla encyklicznych czytelników... i ten encykliczny krytyk, który się za 1-szym razem pomylił, ocenił ją za 2-gim razem niekorzystnie i twoja wydawczynie nie sprzedała już więcej ani jednego egzemplarza.

#### ZLECENIA

*W kilka dni później zastukał jednak do ondyny jakiś pan, miał przy sobie plany 4 willi i zapytał o ca-rolusa bosmansa... ondyna odpowiedziała: niech pan pokaże te plany. Szkic wykonał już dawno jakiś inny cieśla, oświadczył ten pan, ale w ostatniej chwili [ach.il-les](#) wniósł jeszcze zmiany... tak, wiem o tym, odpowie*

*działa ondyna... a on zapytał, czy mogą to zrobić za tę cenę..., ondyna rzuciła pobieżnie okiem na wyliczenia i choć nigdy czegoś takiego nie widziała, kiwnęła potakująco głową: ale wtedy ten pan ujawnił coś innego: domy są co prawda budowane na ziemi derenancourtów i oni też są teoretycznie zleceńodawcami, ale płacić się będzie w sposób następujący, proszę posłuchać... ondyna słuchała i rozumiała z tego tyle, że comptoir et credit udzielił przyszłym właścicielom czegoś w rodzaju długoterminowej zaliczki i oni mają sobie z tym sami poradzić, to znaczy, że sami splaną z tego wykonawcom ziemię, murarkę i tak dalej — i tak dalej, to jest również stolarkę, rozumie pani. Zrozumiała też, że i przyszli właściciele, i wykonawcy, i nawiasem mówiąc wszyscy ci, którzy w przyszłości mają przyłożyć do tego rękę, zostaną oszukani... z wyjątkiem I, banku comptoir et credit, młodej pani derenancourt ze swoim płaskostopiem, która, choć miała tak niewinną, anielską twarz, to przecież nie pójdzie z torbami, wyrażając się dość prostacko... i przecież zamieniła zdziczałe zarośla w grunty budowlane, 4 wille przy drodze z kapliczką, gdzie nie zamieszka nikt inny, jak tylko wyżsi urzędnicy z banku... zechcą tam zamieszkać jeszcze inni spośród tych, „którzy należą do mieszczaństwa”. Ona, ondyna, po takim pociągnięciu rozpoznała mistrzów... ona będzie się mieć na baczności, ona jeszcze kiedyś pokaże, że inne kobiety też potrafią być cwane... podpisała dokumenty i poszła zawołać z warsztatu ojca: vapeur wziął zdziwiony te wszystkie plany i papiery do ręki: to są plany 4 willi, powiedział w końcu, tak jakby inni tego nie wiedzieli... zajrzał do książki zleceń i stwierdził, że jest to jedno z największych oszustw, jakie kiedykolwiek widział: ten, kto tam będzie robił stolarkę, będzie się miał z pyszna! Ale aż podskoczył, gdy zobaczył zeszyt podpisany swoim własnym nazwiskiem... tylko przy carolusie było spartaczone...*

*ale nie, to nie było c, to było o... i wtedy zrozumiał. Musisz tak przeklinać, przy obcych? spytała ondyna... ale to go nie uspokoiło, wręcz odwrotnie, najpierw zapytał ironicznie, jak zrobią to i jak zrobią tamto, ale zaraz zapomniał o samej sprawie i zaczął wyciągać takie rzeczy, które nic z tym nie miały wspólnego: jeśli się nie uda, to ona może wtedy go zostawić na pastwę losu i znowu pójść mieszkać na zamku. Ale ondyna nie ugięła się przed nim, zaczęła przedrzeźniać jego światowy język ziozio-zito: a ten pan stał i patrzył na nich, jakby to był dom wariatów. Ondyna widziała to... odpowiedziała ojcu, że pan achilles wystąpił dla nich o kredyt w składzie drewna... mówisz o pomocnikach, dodała, pomocników możesz sobie wynająć., a w dodatku, czy ty sam nie masz rąk?... a nasz walerek, czy on nigdy nie zacznie pracować?*

#### *PIELGRZYMKA DO SANKTWOLFGANG\**

Wyniesiony poprzez swą nietykalność ponad każdą walkę, siedział nobel, król nobelgii, wysoko i bezpiecznie, ale daleko od swego szczęścia, kulał z pisaniem białej księgi i przeklinał, i śmiertelnie się rozchorował... i każdego, kto tylko był ciekaw, małżonka jego

\* ponieważ ten lis przechera, wbrew utartemu zwyczajowi, nie posiada żadnych zbyt wyraźnych punktów stycznych z, jak byśmy to nazwali... hm, jak byśmy to nazwali?... lecz czerpie inspirację z miejscowej atmosfery — jak na przykład: król czarnych ze swą białą twarzą — czytelnik musi zostać uprzedzony, że suma opowiedzianego może zostać pomnożona przez cyfrę wahającą się pomiędzy zerem i nieskończonością, także przez to opowiedziane znajduje jednak punkty styczne z tym, co nazwalibyśmy... właśnie, jak byśmy to właściwie nazwali?

informowała, że tylko co drugi dzień było wino do obiadu, w pozostałe dni pili wodę, tak jak najzwyczajniejsi ludzie w ter-muren. To przeważało i koza sapina — która nastrojona była encyklicznie i proflamandzko — wyciągnęła z płaczem różaniec i postanowiła z powodu choroby nobla udać się z pielgrzymką do sanktwolf-gang. Ledwo jednak zdążyła nałożyć kapelusz, gdy kozioł becard — również encykliczny, lecz bardziej faszystowski — wyciągnął swój surdut z szafy mówiąc, że on też pójdzie... bo co z oczu, to i z serca, powiedział do swego kuzyna barana, który z kolei też postanowił iść z nimi... nigdy nie wiesz, jak możesz odwrócić swój barani los... lecz ze względów bezpieczeństwa zabieram ze sobą czarną owcę schwarz-schafa, która właśnie porzuciła obóz chwiejnych. Towarzystwo było gotowe do drogi, gdy dołączył do nich osioł car-cofas, bo przepadał za atmosferą pielgrzymek, jak oświadczył... nikt jednak nie zwracał uwagi na tego mało znaczącego wikarego, z wyjątkiem koguta sprotinusa, który pociągnął z nimi jak 5-te koło u wozu; lecz kto się wcale nie pokazał, to lis przechera, który co prawda otrzymał zaproszenie, ale pomyślał sobie: idźcie w cholere... zawsze jeszcze mogę powiedzieć, że wielka szkoda, ale ten ich okólnik dostałem za późno. Gnany jednak ciekawością ukrył się przy drodze, po której mieli przejść pątnicy. Wtem usłyszał w zaroślach szmer i'ku swemu zdziwieniu ujrzał swego wuja z bandażem na głowie i kosturem pod pachą... i wkrótce byli zgodni co do tego, że kogut sprotinus będzie dla lisa, gdyby gęś gerarda mogła wykonać swój ostatni taniec między zębami isengrinusa; wilk gapił się w zamyśleniu na swój kostur i powiedział: czy nie byłoby najlepszym wyjściem, gdybym mój kostur rzucił jej między nogi i skoczył na nią? Lis uznał jednak, że lepiej będzie postępować z dala za przeciągającymi pątnikami i owinać koniec wilczego kostura słomą, aby nie było słyhać stu

kania... jak umyślili, tak zrobili, a towarzystwo zatrzymało się gdzieś w przydrożnej gospodzie na nocleg... ale ledwo usiedli, gdy baran dostrzegł za oknem cień znów zbyt nieostrożnego wilka... on, baran, zawołał bardzo głośno na całą izbę: wiesz, że pielgrzymując do sankt-wolfgang, musimy jeść wilcze głowy, jeśli chcemy dostać odpuszczenie grzechów, i podzwaniając garnkami zapytał, komu jeszcze wilczy łeb. Wilk, który przednimi łapami opierał się o szybę, wypuścił wzburzony kostur spod ramienia i tłukąc okno runął do środka... kogut sprotinus wzleciał przerażony na przewracającą się lampę i w tej samej chwili koza sapina padła zemdlona... i chociaż schwarzschaft dobył zardzewiałego rewolweru, który nosił z dumą podczas wojny — i na którym widoczne jeszcze były inicjały „S.S.” — to jednak nie było to już potrzebne: osioł, który tak bardzo lubił pielgrzymki, ale nie tę, i który w swym przerażeniu wbiegł na schody, spadł poprzez podłogę z desek z powrotem do izby prosto na wilka. A wilk, który czuł, jak własny kostur wbija mu się w ciało, zaczął się drzeć: jestem martwy, wciskają mi karabin między żebra, johan janssens.

### *I-GO MAJA*

W tym oficjalnie wolnym od pracy dniu spacerujesz sobie po drodze z kapliczką razem z kantycznym nauczycielem i z johanem janssenssem, poetą i dziennikarzem z gazety codziennej... i johan janssens zatrzymuje się na chwilę, żeby popatrzeć na długi mur laboru... i ty idąc wzrokiem za jego spojrzeniem, spostrzegasz wiszący tam manifest socjałów: „świętuj 1-szy maja dla pokoju i dobrobytu”... i wiszący obok manifest ul

tramarksistów „świętuj 1-szy maja dla dobrobytu i pokoju”... i z gorzką ironią, która ma zamaskować zwątpienie, mówi on: we wszystkich naszych gazetach zobaczysz teraz ogłoszone wielkimi literami Święto pracy i wszyscy felietoniści przypną teraz w kąciku swojego felietonu czerwoną wstążkę... ale gdybym ja, johan janssens, mógł pisać o 1-szym maja, to zrobiłbym to tak: jest 1 maja, ale z wyjątkiem gazet socjałów lub ultramarksistów nie widzisz ani nie słyszysz, że to jest 1 maja... bo 1 maja i związki zawodowe są oficjalne, lecz robotnik, który kiedyś chodził z czerwonym kwiatem w butonierce i był lekko podпиты, nie ma dziś nic wspólnego z tym 1 maja i związkami... 1 maja jest świętem oficjalnym i związki zawodowe są oficjalnymi organizacjami socjałów, którzy zrobili karierę, % panem premierem na czele... a robotnik z 1-szych brudnych domów za laborem wie, że nie ma prawa się zżymać ani strajkować, bo te oficjalne związki zawodowe wykluczą go i pozbawią środków do życia; koestler: kto będzie w państwie robotniczym bronić robotnika? A tymczasem: socjalny minister oświaty wprowadził najzwyczajniej w świecie ustawę, która mówi, że uczeń może sobie wybrać pomiędzy takimi przedmiotami, jak religia lub moralność... gdy tymczasem opozycja encykli-kierów staje dęba i idzie na skargę do socjalnego premiera... który się wkurza z powodu trudności, jakie mu stwarzają: i wciąż jeszcze z 1-majowym kwiatkiem w butonierce podaje się do dymisji... nie, składa dymisję w imieniu całego rządu.

I w tym momencie k antyczny nauczyciel, który do tej pory słuchał, jakby to było coś, z czym on nie ma nic wspólnego, mówi: jeśli chodzi o tego 1-go maja, to ja się wyłączam... ale jestem oburzony tym, że w końcu 20-go wieku w dniu 1-go maja widzę, jak pada rząd socjałów dlatego, że chcieli oni wprowadzić swobodę wyznania... że w tej końcówce 20-go wieku, w oficjal

ne święto 1-go maja encyklikerzy wciąż jeszcze są tak potężni, że mogą zabronić wprowadzenia już przegłosowanej ustawy o wolności wyznania... i tracę głowę, bo ja, który jestem ateistą, będę musiał z moimi uczniami, którzy też są ateistami, zaczynać każdego ranka dzień w imię ojca i syna i ducha świętego amen.

## *2-GI DZIEŃ MAJA*

*Był to dla ondyny przyjemny okres, przebywała więcej w mieście z 2 fabrykami niż w samym ter-muren... bywała w składach drewna, chodziła do sklepów żelaznych po gwoździe, wkręty i zawiasy... Przychodzę z pozdrowieniami od pana achillesa, mówiła wszędzie, trzeba czy nie trzeba: było to czarodziejskie zaklęcie: i tak go nadużywała, że niekiedy wątpiła, czy to ktoś inny tego nie wypowiedział... czy ten mężczyzna, co ma jedno ramię trochę wyższe, nie powiedział właśnie tego samego? Ale nigdy nie wracała prosto do domu: kręciła się po rynku zastawionym kramami, w których sprzedawano spinki, ciastka i samodziały... stała przy bramie ratusza, gdzie codziennie można było zobaczyć co innego... gdzie przedwczoraj widziała wjeżdżający na dziedziniec powóz, a wczoraj wyjeżdżających stamtąd strażaków... Pali się w starym kościele... a dzisiaj poborowych z losowania, z kwiatami na czapkach, śpiwających ciągle „wiwat leopold, może nas pocałować w dupę”: była oburzona, ci spod stacji, socjałowie, musieli mieć już tak duży wpływ, że znikł wszelki szacunek dla króla... i przyszło jej do głowy, żeby przespacerować się koło gospody owego boone, koło lokalu pra-wo-i-wolność, gdzie na pewno wisi jeszcze l-o majowa flaga... ale zobaczyła wóz ze składu drzewnego i za*



wolała na furmana, który przewoził akurat ICH drewno. Zapomniała wtedy o boone i o socjałach, wdrapała się na wóz i pojechała. O, kiedy wóz rozładowano, zrobił się tam cały skład drewna, leżało ono nawet pod drzewami kaplicy i ondyna ciągle musiała odpędzać stamtąd dzieciaki... wdrapywały się one w swoich brudnych sabotach na samą górę i odpychały nogami inne, które chciały wejść za nimi, albo wlażyły pomiędzy deski i budowały sobie zamek — zamek z ter-muren, w którym udawały pana derenancourt albo robiły różne świństwa.

Ondyna myślała, że w końcu poszły bawić się gdzie indziej, ale oto dostrzeża dym wydobywający się spomiędzy belek: weszła na przymę i zobaczyła, jak dzieciaki palą w zamku ognisko: dość duże, żeby puścić z dymem całe drewno razem z kapliczką. Skłęła je i dzieliła razy na prawo i lewo, że aż 1 walnęło buzią

0 kant przymy... zaraz wargę zrobiła mu się tAka gruba, matka przyleciała złażać ondynę, patati i patata, a ondyna zawołała: jeśli mu spuchła wargę, to znaczy, że powinien lepiej uważać, nie kopać nogami

1 nie przewracać się..

A wille rosty 10 górę pomiędzy krzakami janowca cegła po cegle... vapeur był zatroskany, ani na chwilę nie wypuszczał z rąk zleceń i postanowił nie wynajmować robotników, tylko wszystko zrobić samemu, z walerkiem jako jedynym pomocnikiem. Aż coś chwyciło za serce na widok tych 2 noszących belki, spod kapliczki koło domu aż het tam, na budowę... potykali się, stąpali nierównym krokiem i niedaleko od budowy walerek zaczął się zataczać jak pijany... było to tak wołające o litość, że nawet ondyna musiała odwrócić głowę... ale jeszcze bardziej wzruszający był widok walerka chodzącego po ścianach, gdy trzeba było układać wiązania dachowe: jak on umiał się tam utrzymać ciągle się zataczając, tego nikt nie wie... wyglądał

*tak, jakby palcami nóg poprzez swoje saboty chwycił się ściany;  
ludzie przyglądali się też, jak swoją okaleczoną ręką trzymał młotek i  
na próżno usiłował wbić w belkę gwoździ.*

#### *UWAGA PRZY KRESCE NA KOŃCU TEGO ROZDZIAŁU*

I ledwo minął 1 maja, gdy odbywa się ersatz 1 maja encyklikierów — w dniu wniebowstąpienia — i wszyscy ci, którzy właściwie mogliby iść w pochodzie socjałów i ultramarksistów, idą w tym pochodzie, ciągnącym się bez końca po ulicach tego małego miasteczka z 2 fabrykami... i wszyscy są w uniformach, i **wszyscy** śpiewają tak, jak śpiewali niemieccy żołnierze, i niosą wielki, mylący transparent, na którym widnieje taki sam slogan, jaki lansowali socjałowie i ultramar-księci: o pokój i dobrobyt. A ty, który znów siedzisz i piszesz, wciąż piszesz i piszesz, ty odkładasz pióro i stajesz w drzwiach, i patrzysz na ten nie kończący, się pochód... i robisz krechę pod tym rozdziałem i nie wiesz, czy jeszcze warto zaczynać następny rozdział... chociaż masz już dla niego ładny tytuł: dziś trochę słońca, a jutro trochę deszczu i wiatru.

#### *UWAGA POD KRESKĄ NA KOŃCU*

To malarka tippetotje narzuca ci już poza końcową kreską jeszcze jedną, ostatnią uwagę: kwestia tego ersatzu 1 maja encyklikierów, mówi trochę cynicznie,

ja też na to patrzyłam i widziałam te wszystkie młode... młode... taak, jak by je nazwać?... ale jeannine z 1-szych brudnych domów też tam była — w lekkiej bluzce, pod którą ich cycki prężyły się, rytmicznie tańczyły w dół i w górę... i tylko było mi żal, że to wszystko było strawą dla podniebienia pana derenancourt... a nie dla mojego. I właśnie dlatego jesteś w błędzie myśląc, że nie warto zaznaczać następnego rozdziału: pozwól cyckom młodych encyklicznych dziewczyn tańczyć pod kreską i napisz spokojnie ten tytuł... jak to tam było?... dziś trochę deszczu i wiatru, a jutro może ładna pogoda.



**TU ZACZYNA SIĘ 2-GI ROZDZIAŁ: *DZISIAJ TROCHĘ  
SŁOŃCA, A JUTRO TROCHĘ DESZCZU I WIATRU***



## *GDYBYM WIEDZIAŁ*

Oparłszy kantyczne czoło na kantycznej ręce nauczyciel siedzi i gapi się na ostatnie stronicie poprzedniego rozdziału; i jego milczące oblicze wyraża, co następuje: to już jest napisane i teraz za późno, żeby jeszcze coś zmienić... moim kręcącym głową zdaniem..! I nagle z jego ust wyrrywają się takie oto słowa: te ostatnie stronicie są napisane zbyt pośpiesznie i bez przemyślenia... co prawda masz całkowitą rację mówiąc, że ludzie z ter-muren wolą być oszukiwani, ale czy to nie w tym znajdujesz powód, który tak chętnie znalazłeś, aby móc zakończyć tamten rozdział? Szkoda, A ponieważ akurat wczoraj rozmawiałem z kimś o twojej książce, muszę powiedzieć: podwójnie szkoda. Bo już po rozmowie ten ktoś ujawnił się jako utalentowany muzyk i powiedział: na ile mogłem z twojego opisu poznać tę książkę, jest to, mam wrażenie, symfonia. Ha, a jeśli jest to rzeczywiście symfonia, w której koziółkują obok siebie, po sobie i ze sobą rozmaite motywy, to według mnie główny motyw powinien być na ostatniej stronie jeszcze raz, podkreślony wszystkimi dostępnymi środkami orkiestrowymi... a tak nie jest, bo mowa tam o najzwyczajniejszym 1 maja, z którym ja nie mam nic wspólnego, i wywołuje to takie wrażenie, jakby książka ta była podlana socjalnym sosem...

I podnosisz rękę, żeby coś wtrącić, lecz kantycz-ny nauczyciel daje znak, że on jeszcze nie skończył, ale jemu z kolei daje znak johan janssens, dziennikarz

z gazety codziennej, który nagle wychodzi z cienia i powiada: jeśli chodzi o ten 1 maja, to nie tylko jest on oglądany ze zbyt bliska, ale co gorsza chodzi o to, że ze zbyt bliska oglądany jest krzywo i powierzchownie... ja wiem o tym, ja sam pisałem tę książczykę, ale nie wiedziałem, że miało to posłużyć jako staccato ostatnich stron tamtego rozdziału: gdybym o tym wiedział, zrobiłbym coś zupełnie innego.

### *GRA TAKA SAMA JAK INNE*

Teraz jest tak, że wszystko to, co jest tworzone — czyli według biblii: to, co zostaje wytworzone z niczego — przerasta samego stwórcę: tak jak człowiek przerósł owego boga, tak technika i ekonomia przerosły owego człowieka... i tak również twoi bohaterowie, kan-tyczny nauczyciel i dziennikarz z gazety codziennej johan janssens, przerastają ciebie. Czegóż to oni przed chwilą nie wygadywali! Ni mniej, ni więcej tylko to, że nasza książka jest symfonią. A ty im odpowiadasz z protestującym uśmiechem, że to tylko zwyczajna gra, taka sama jak każda inna. Tak jak w zeszłym tygodniu ten człowiek w pociągu, którego portret rysowałeś w swoim notatniku... ale we wspomnianym tu notatniku zapisałeś tylko: „dziwaczny kapelusz” i teraz już nie umiesz opisać tego kapelusza, bo zapomniałeś, na czym polegała owa dziwaczność... a potem siedziałeś i dręczyłeś się tym, czym też on się może trudnić, do momentu, kiedy wyciągnął on z kieszeni katalog... le palais du levrier... i zaczął ci, w taki sam sposób jak mały pros, z zaciśniętymi ustami, opowiadać o wyścigach psów: że to uczciwa gra, taka sama jak każda inna... a ty spojrzaleś na jego rękę,



której on przez lata nauczył się używać tak, żeby się nie rzucała w oczy: skórzana torebka z 2 palcami i kciukiem. O, *to ci tak nagle przypomniało tego nieszczęsnego brata ondyny, walerka, że znów go wyczarowałeś i posłałeś do pomocy przy budowie 4 willi, i że napisałeś: przejmujące było patrzeć, jak okaleczoną ręką na próżno usiłował wbić w belkę gwóźdź.* A równocześnie ta rana przypomniała ci usta małego prosa, które były kreską, karbem zrobionym ostrym nożem, kawałkiem drewna... i przypomniała ci, jak mały pros z tego karbu wypychał takie rzeczy, które rozumiałeś za ledwie połowicznie, ale które w swojej połowicznej zrozumiałości warte byłyby tego, żeby je zebrać i wydać jako OPOWIEŚCI MAŁEGO PROSA.

Ale gdy próbujesz to wszystko wytłumaczyć twoim obecnym tu bohaterom, mossieu colson z miństerstwa wyskakuje w górę jak nóż sprężynowy: mylisz się... na końcu poprzedniego rozdziału w kawałku o veenman-neke powiedziałaś, że to veenmanneke miał takie usta i że to jego opowieści były warte tego, by je zebrać pod tytułem: opowieści veenmanneke!

I ty z zawstydzonym uśmiechem wbijasz wzrok w ziemię: oczywiście, tak napisałeś... w kawałku „in memoriam veenmanneke” na moment pozbawiłeś małego prosa jego ust, aby nimi obdarzyć veenmanneke... ale r i cóż, to do cholery nie jest takie ważne... a w dodatki, w tamtym momencie tak było lepiej i ładniej... teraz z powrotem oddajemy małemu prosowi jego usta: proszę i bardzo dziękuję! Bo jeśli dla niektórych nasza książka jest symfonią, to dla ciebie jest ona grą, taką samą jak każda inna.

## *ANTOLOGIA (1)*

Jest sobotni wieczór w maju, droga z kapliczką pogrążona jest w ciszy, przerywanej jedynie przez ćwierkanie ptaków tam, pod niczym lasem, i przez zamyślonego mężczyznę, który stoi koło 4 willi i małym palcem wierci sobie w uchu... i przez mossieu colsona z miństerstwa, który nagle odzywa się: symfonia... ależ to jest Antologia!

A ponieważ milczy potem jak ten głuchy pień, johan janssens, Poeta, zaczyna wykładać, co mossieu colson z miństerstwa ma właściwie na myśli: pewnego wieczoru, powiada johan janssens, po raz nie wiadomo który wywróciliśmy świat spodem na wierzch i mossieu colson wyciągnął potem z tego taki wniosek, jaki zawsze wyciąga: ale gdy ja starałem się dobrać jeszcze inne i jeszcze lepsze argumenty, dotarło do mnie nagle, że jego wniosek był tak prawdziwy, tak głęboki i tak słuszny, że mogłem go właściwie traktować jak Nową naukę o życiu... i popatrzyłem na jego słowa, które unosiły się jeszcze nad wieczorną drogą z kapliczką i powiedziałem: mossieu colson! to jest coś, co musimy zapisać do książki o drodze z kapliczką! ale kiedy potem naprAwdę chciałem to zapisać, zapomniałem już, co to było... i sam mossieu colson też zapomniał, bo jak powiedział, palnął to ot tak zwyczajnie, po to tylko, żeby usłyszeć swój własny ludzki głos na wieczornej drodze z kapliczką. Ale od tamtej chwili mossieu colson nosił już w kieszeni notesik i zapisywał w nim wszystko, co mogło się przydać do książki o drodze z kapliczką: wszystko to, co w jego najzwyczajniej szym miństerialnym świecie było do oglądania i słuchania, odczuwania i myślenia, powiedzenia i przemilczenia... np. o pięknej żonie lucette, która mieszkała dawniej niedaleko od stacji małego miasta z 2 fabry

kami i opowiadała, że miała z okna widok na burdele, gdzie przez pomyłkę zabłądziła jakaś wiejska dziewczyna — prawdopodobnie usłyszawszy, że w mieście można łatwo dostać dobrze płatną pracę — i która tam była tylko 2 dni, gdy rzuciła się z najwyższego okna na bruk... i np. o swojej codziennej wędrówce z dworca północnego do ministerstwa, w czasie której spotkał listonosza, i ten listonosz, wrzucając list do skrzynki, zauważył, że znaczek się odkleił i trzepotał nad trotuarem — jak motyl — i on go złapał, i też wrzucił do skrzynki... i w czasie której spotkał człowieka bez nóg, żyjącego w swojej skrzynce na drewnianych kołach tuż przy trotuarze, omijanej przez kobiety szerokim łukiem, ze względu na ich krótkie spódnice... i w czasie której spotkał żebraka, co na deszczu wystawiał swój cynowy kubeczek, i ten kubeczek był do połowy napełniony wodą: i spadając z koniuszka jego pióra do jego notesika ustawiały się tam wiersze, o czym mossieu colson z ministerstwa sam nawet nie wiedział.

Stojąc jednak w majowy wieczór u drzwi swego domu, słyszysz za sobą wołanie twojej żony: czas na kolację... i ze względu na jej nerwicę i jej krew, która jest za rzadka, nie każecie jej czekać i wchodźcie wszyscy do środka... i johan janssens dzieli swoją wypowiedź o antologii na 2.

### *ANTOLOGIA (2)*

Ale w twoim domu... gdzie stoi pełno wielkich bukietów żółtego janowca... johan janssens kontynuuje swoje rozplątane na 2 opowiadanie o antologii: i tak oto mossieu colson pisał wiersze, nawet o tym nie wiedząc... och, oczywiście nie były to wiersze takie jak

te, które wychodzą z fabryki poezji przycięte do rymu i do miary... ale dużo bardziej podobne do tego, jaki 1 ułożył klut, gdy o 2 w nocy bębnił w zamknięte rolety piwiarni koło 1-szych brudnych domów, który stojąc tam i łajac jej właściciela matise — o, najpierw krzyczał, że matisse jest zbabiałym chłoptasiem, który przypomina hermafrodytę, gdy się słyszy jego dziewczęcy głos, i że ma córkę, która z całą pewnością nie jest jego, z tym swoim chudym ciałem i płaczącymi się nogami, ale z cyckami, na które wszystkie moczy-mordy wokoło godzinami wytrzeszczają oczy, ktoś mógłby zapytać, jak to możliwe, że taki chudy korpusik jest w stanie taszczyć takie 2 cudowne cyce — tymczasem klut wykrzykiwał do spuszczonej rolet swój wiersz:

Ha, wyrwało mi się o jedno słóweczko za dużo, Kochany matisse?  
jestem nicponiem i nędznym handlarzem, matisse?

to ty nim jesteś,

ty jesteś taki i owaki, gdzie jest moja kurtka? ha, tutaj,  
coś podobnego, mieć śmiałość powiedzieć, że wyrwało  
mi się

o jedno słóweczko za dużo, a gdzie jest moja czapka? ha, też tutaj  
widzisz, tak oto mossieu colson pisał jeden po drugim swoje wiersze... i w  
tamtym momencie, kiedy ja, Poeta johan janssens, razem z nim czekałem  
na opustoszałej nocnej stacji i kiedy patrzyliśmy na niewielką gromadkę  
ludzi, którzy też czekali pod ciemnym dachem po drugiej stronie bariery  
— o, ta pusta, puściuteńka ogromna hala i tych 7 osób za barierką — i  
kiedy ja powiedziałem: popatrz, mossieu colson, znów wiersz do twojego  
zbioru... on odpowiedział z pewnym waha

niern: właściwie powinienem zadedykować moje wiersze autorowi książki o drodze z kapliczką, bo bez tej książki nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby to wszystko zapisywać...

A potem johan janssens milczy, ale jego milczenie jest jeszcze bardziej triumfalne, niż były dotąd jego słowa. A tymczasem mossieu colson siedzi obok i mruży drwiąco oko, i mówi: a więc piszę wiersze, które nimi nie są, i dołączam je do naszej powieści, która nie jest żadną powieścią... tylko antologią.

### *POŻYTEK ZE SZTUKI*

Ha, i teraz widzisz, że pisanie ma cel... wybuchają nagle kramieki: i każdy patrzy ze zdziwieniem na nieokreśloną postać, która znowu wmieszała się do kompanii i zaciera ręce tak, jakby na wysokim niebie można była dojrzeć obłoczek łatwo dostępnego rozwiązania: on, i teraz sam widzisz, że pisanie ma jakiś cel! I objaśnia używając do tego rąk i nóg, że wątpiełś w pożytek z pisania i w cel powieści, że w związku ze śmiercią veenmanneke lekceważąco się na temat tego celu wypowiedziałeś, ale że teraz widzisz, iż jednak są ludzie, dla których ta powieść coś oznacza: m.in. dla tego muzyka, który twoje dzieło porównał z symfonią, chociaż znał to dzieło bardzo mgliście, zaledwie ze słyszenia... a co dopiero powie, gdy to dzieło naprawdę przeczyta... i m.in. dla mossieu colsona z miństerstwa, chcącego swoje wiersze, które nie są żadnymi wierszami, zadedykować tobie i nazywającego je za przykładem twojej powieści antologią... i m.in. dla mnie, kramieka, który w tej literaturze pragnie żyć i umrzeć: ja, kramiek, potrafię wszak zacierając ręce wyobrazić sobie, że wie

czorem przychodzisz do domu i zrzucasz buty, i ciskasz na bok krawat, i dopadasz ondyny... oczywiście mówiąc w przenośni, jak sam to pięknie powiedziałeś... mówiąc bardzo w przenośni...

A mossieu colson z miństerstwa otwiera swoją antologię, jakby miał kramiekowi dogryźć i dać mu kopa w dupę, i czyta na głos wiersz: o Pożytku sztuki; w stołówce miństerstwa siedzą przy stoliku 2 panowie i milczą, i w milczeniu szuflują łyżkami swoją zupę, ale przy tym samym stole, na wprost nich, siada bardzo ładna dama — z punktu widzenia jedzących w stołówce miństerstwa panów — a ci zaczynają gadać i gadać o czymś, co bArdzo trudno jest zrozumieć: o sztuce współczesnej. I wypowiadają terminy, których ani z grubsza, ani z cieńsza nie rozumieją i którymi właściwie, mówiąc szczerze, rzucają jak groch o ścianę. Potem dama odchodzi i 2 panowie milkną, i dalej wyjadają w milczeniu talerz do czysta, bo i jaki z tego pożytek? Ta bardzo ładna dama — z punktu widzenia jedzących w stołówce miństerialnych panów — już przecież odeszła.

I gdy to odczytał, kramiek zaczyna gadać, używając terminów, których gdzieś się naczytał i które dobrze zapamiętał, ale których nie zrozumiał, o Pożytku sztuki.

*BEZ SOCJALNEGO SOSU... ALBO: TAJEMNICA*

Kwitnie janowiec wzdłuż torów: a do twojego pokoju wpada z plackiem chromowo-żółtej farby koło nosa oburzona malarka tippetotje: jestem przygnębiona, jestem rozgoryczona, bo nikomu się nie podoba koniec tamtego rozdziału... jak on zrzędzi, ten kantyczny nau

czytel, twierdząc, że motywem końcowym powinno być coś zupełnie innego niż 1 maja... czy on widząc ogłuchł i słysząc oślepl, że nie dostrzega tego, iż głównym motywem nie jest bynajmniej 1 maja?

*Głównym motywem jest 2 dzień maja, kiedy ondyna pomyślała sobie, żeby pójść popatrzeć na czerwoną flagę, toywieszoną z całą pewnością w małej gospodzie naj-pierwszych socjalów... ale nie zrobiła tego i zajmowała się swoimi własnymi sprawami, drewnem, które nadeszło i od którego odganiała dzieciaki...* bo tak ja rozumiem twoją książkę: dookoła 1 maja jest 364 innych dni, w których robotnik gryzie własne pięści, klepie biedę i boryka się z kłopotami, i sam musi hodować swoje dzieci... podczas gdy może nawet nie mógł ich sam zrobić... albo że jezusek może się wznieść do nieba tylko w dzień wniebowstąpienia, podczas gdy przez resztę roku musi jak ten głupi chrabąszcz siedzieć w pudełeczku księdza... i rozumiem też z twojej książki, że za zmieniającymi się dekoracjami ludzkiej komedii są wciąż te same brudne, gołe ściany, ale że za tym, co przy pomocy różnych hokus-pokus wyczarowano z Niczego, nie ma nawet brudnej, gołej ściany: za tym jest pustka, bezsilność, niewiedza, czarna noc, bóg encyklikierów, wielka tajemnica?, wieczny znak zapytania. A plus do tego, mówię to wszystko tak po prostu, bo wiem, że ty, pisarz, to masz na myśli... ale dla mnie główny motyw sprowadza się rzeczywiście do cycków encyklicznych dziewczyn, którym pozwoliłam tańczyć wokół końcowej kreski w dół i w górę... bo mnie chodzi tylko o to, co namacalne, o to, co można plastycznie przedstawić, jak janowiec, który znowu kwitnie i który daje ci radość tynkowania plackami żółtej farby... i że możesz koło kwitnącego janowca namalować ondynę, która kładzie się na ziemi w swej białej koszulce w kloszu swej niebieskiej spódnicy... i swoimi różowymi udami w tej białej koszulce... i wie

czną tajemnicą pomiędzy jej różowymi udami, która jest nie do namalowania... a kramiek staje pod tym z wytrzeszczonymi oczami i pustką w głowie, i mówi: jakie to piękne... lecz oblizuje tylko przy tym swój brudny kciuk i pozostałe palce.

### *KAMIENNA FAJKA*

*Czy-to na tego 1-szego pójdziemy do przyszłych właścicieli po pieniądze? zapytał pewnego wieczoru va-peur... i zrobił taką minę, jakby nigdy nie myślał o tym, że ci przyszli właściciele klEdyś będą musieli zacząć spłacać... właściwie trochę się tego obawiał... tak przywykł do przesiadywania całymi godzinami w swoim warsztacie i majstrowania, bez dostawania za to jakichkolwiek pieniędzy, że w końcu nie śmiał więcej czegoś zażądać, gdy czasem naprawił krzesło albo wieszak: och, daj, co tam uważasz, mówił wtedy. I potem jeszcze zawsze coś do tego dokładał. Albo wypijał trochę dla dodania sobie odwagi, ale zamiast sobie ułatwić sprawę, komplikował ją przez to jeszcze bardziej, bo ludzie, którzy zamówili jakąś głupią listewkę, myśleli, że to za Ich pieniądze on pije; martwił się ciągle tym, że dzień pierwszego inkasa spłat był nieodwracalnie coraz bliżej; tylko pamiętaj, żebyś poszła, powiedział nagle w któreś południe... do tego momentu nie padło jeszcze za stołem ani jedno słowo i nikt nie wiedział, o co mu chodzi... przynajmniej walerek nie wiedział... ondyna go zrozumiała, bo ona też o tym myślała: uznała za coś niezwykłego to, że 2 ludzi mogło myśleć o tym samym i że, czy to nie dziwne, obydwójce w tym samym momencie zaczęli o tym mówić, bo ona właśnie*



zamierzała oznajmić: co do tych spląt, to ja się tym zajmą.  
Miały nadejść najszcześniejsze chwile jej życia, ale nie była skłonna do pokazania tej swojej radości komukolwiek... pomyślała sobie, że rozkosz i radość najlepiej jest smakować tak jak grzech, który nie jest widziany... i pomyślała sobie także, iż radość jest w życiu zbyt oszczędnie wydzielana, aby się nią tak hojnie dzielić z innymi. Ale jednak był to piękny dzień: wszyscy w sposób wręcz wzruszający zgadzali się nawzajem co do najblahszych drobiazgów, o które w innym wypadku by się kłócili; vapeur opowiadał wzruszającą, ale nawiasem mówiąc mało ważną historię ze swojej młodości... której nikt nie słuchał, bo każdy też to przeżył... a walerek mógł sobie w sklepie swojej kuzynki kupić kamienną fajkę i zaczął palić.

#### STARA ZNAJOMA

I oto nadszedł ów dzień, 1-szy tego miesiąca... i choć ondyna nieraz wcześniej ten dzień sobie wyobrażała... jak to ona przejdzie obok wznoszonych willi i krzyknie do swoich: dzień dobry... to wyszło jednak inaczej, bo vapeur zrobił z tego dnia niedzielę: nie potrafiłbym dzisiaj pracować, oświadczył. Złożyła wizyty przyszłym właścicielom, 1-szy mieszkał przy pontstraat, w pobliżu jej dawnej szkoły... zobaczyła akurat wchodzące do niej dziewczęta i miała wrażenie, że to wciąż te same, z jej czasów... popatrzyła nawet uważnie, czy nie ujrzy wśród nich samej siebie... madame berthe stała w drzwiach i patrzyła na nią, ale ondyna przeszła obok nie odezwawszy się... pomyślała, och, niczego nie po

myślała, co ją w końcu obchodzi madame berthe, co ją obchodzi cały świat? Właścicielem z pontstraat, mającym zamieszkać w ostatniej willi, był pan, który zajmował się literaturą i pisał bajki, i razem z żoną mieszkał u swojej matki... a mieszkał tam już tyle lat, i już tyle lat jego żona klóciła się z jego matką... można by powiedzieć, że o to czy o tamto, ale nie, właśnie o wszystko... o figurkę, którą jego żona postawiła tutaj, a jego matka z powrotem tam, bo ona zawsze tam stała, prawda, ulrich? I ulrich był zadowolony, że był 1-szy tego miesiąca i że może zapłacić; zdawało mu się, że ten dom, w którym w końcu spokojnie zamieszka, znowu o ileś tam franków więcej stał się jego własnością. A przyszli właściciele 2-giej willi to para mieszkająca w wynajętym mieszkaniu i paniusia twierdziła, że ludzie z ich pozycją Powinni mieszkać w willi... a tam, na drodze z kapliczką, było tak ładnie, całkiem za miastem: A 3-ci właściciel mieszkał w domu przy rynku, ondyna musiała poczekać w poczekalni, tak jak u jakichś bogaczy... ale zdziwiła się niepomierne ujrawszy monique, swoją szkolną przyjaciółkę!... nie zmieniła się ona pod żadnym względem, wręcz przeciwnie, weszła do poczekalni w kwiecistym peniuarze, przewiązanym w talii sznurem i rozchylającym się na szyi tak, że można by się było zastanawiać, czy ma ona pod spodem koszulę, jak jej nie wstyd... ondyna powiedziała, że o mało z krzesła nie spadła ze zdziwienia spotkawszy tutaj swoją starą przyjaciółkę... a ten pe-niuar taki piękny, powiedziała, też chciałabym sobie taki sprawić. I nagle jak piorun poraziła ją myśl, że naprawdę będzie mogła go sobie kupić za pobrane pieniądze. I zaślepiona manią wielkości wyobrażała sobie z całym przekonaniem, że \$ą wielkimi przedsiębiorcami budowlanymi, aż 4 wille, i że ta monique pomimo swoich manier bogaczki będzie im musiała spłacić jeden z tych domów. Znowu pochwaliła kwiecisty pe

niuar i zauważyła głośno, że jest on trochę za krzykliwy, trochę za „mieszkański”, jak wyraziłby się pan achilles... a także, on ci się tak rozchyła na szyi, powiedziała, to jest... trochę... trochę... jak to powiedzieć? Ale monique wcale jej pod tym względem nie ustępowała, twierdząco kiwnęła głową, ale odpowiedziała, że ondyna ma takie zdanie, ponieważ pochodzi z warstwy robotniczej... biedacy zaraz widzą coś niestosownego w tym, co dla nich, ludzi zamożnych, jest czymś zupełnie zwyczajnym... wyszła za męża za głównego księgowego z jilatury, pana van wesenborgha, i podjęła bohaterką decyzję, że zamieszkają tam, przy drodze z kapliczką, aby innym urzędnikom przetrzeć drogę do dzikiej głuszy... ale zgodziła się na to tylko pod tym warunkiem, że jej mąż nigdy nie będzie miał z nią dzieci, bo dzieci w domu to coś obrzydliwego... chociaż знаła drogę z kapliczką wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że błakają się tam duszyczki martwo urodzonych dzieci. I roześmiała się. Ondynie stanęło coś w gardle, w tym gardle, na którym nie było dołeczka, tak jak u innych kobiet, i serce zaczęło jej mocno walić... a i ten główny księgowy był jej solą w oku... przypomniała sobie nagle pana brysa, który był krewnym tej zasranej paniusi: główny księgowy? zapytała, czy jej mąż był zatem socjalistą? Monique, która już otworzyła drzwi, żeby wypuścić ondynę, ponownie je zamknęła i wyjaśniła, że ondynie się pomyliło — mylenie się było czymś, czego nie wypadało robić w lepszych sferach — z jej wujem, którego nawiasem mówiąc rodzina się wyparła... niemniej jednak ten wuj nie, był socjalistą; pan brys codziennie chodził do spowiedzi i do komunii, a jego celem... czy jak to tam nazywał... było tylko ulżyć trochę niedoli biedaków... znów podjął organizowanie swojej kasy chorych, która liczyła już ponad 100 członków... jej mąż, pan van weseriborgh, dowiedział się od panów, iż jej wuj może wrócić do

*jilatury pod warunkiem, że on i jego kasą chorych podejmą otwartą walkę ze związkiem zawodowym so-cjałów... jego rodzina też się wtedy do niego przyzna. I dokładnie to wszystko wyjaśniewszy, monique znów otworzyła drzwi, żeby wypuścić ondynę. Ondyna jednak nadal siedziała i uśmiechała się. Madame van we-senborgh patrzyła na nią zdziwiona: a moje pieniądze? zapytała ondyna... o, prawda... i monique zapłaciła, ale drażniąco powoli.*

### **NIEDŹWIEDZIA SKÓRA**

Kantyczny nauczyciel otwiera usta równocześnie z johanem janssenssem, dziennikarzem z gazety codziennej... i obydwaj mówią to samo: ja... i po krótkiej wymianie zdań, polegającej na wzajemnym uprzejmym ustępowaniu sobie pierwszeństwa, kantyczny nauczyciel oświadcza: niczego nie *rozumiejąc przeczytałem ten*

*0 wiele za długi fragment o ondynie... czy nie można by okroić tego, co nie jest warte zapisania? np. o dzieciach w szkole madame berthe albo np. o 1-szych*

*1 2-gich, i 3-cich przyszłych właścicielach? bóg wie, czy ich jeszcze kiedykolwiek ujrzymy w trakcie twojej książki o drodze z kapliczką. To, czy ich jeszcze kiedykolwiek ujrzymy, jest najmniej ważne, powiada johan janssens, ale chodzi o to, że nic ciekawego nie można o nich powiedzieć... z tego długiego fragmentu pamiętam tylko to, z jakim lekceważeniem mówi się tam*

*0 literaturze... mówiąc o właścicielu ostatniej willi, że był to pan, który zajmował się literaturą i pisał bajki,*

*1 razem z żoną mieszkał u swojej matki... i jak o tych bajkach nie mówi się absolutnie nic, a o kłótni jego*

*żony z jego matką owszem, mówi się... a tak, pamiętam również, że monique nosiła peniuar — koszulę nocną, jak powiedziała ondyna — ze zbyt krzykliwymi kwiatami, które rozchylały się na jej szyi... ale jest to napisane tak jakoś bez miąższu; chodząc wczoraj po brukseli przyglądałem się również kobietom i sukienkom, jakie noszą, i sam na mój własny użytek uczyniłem na ten temat uwagę, w której jest jakiś miąższ, i sam ją wypowiem: że niektóre kobiety mogą się ubrać w niedźwiedzią skórę i mimo to będą jeszcze nagie... podczas gdy inne mogą chodzić gołe, a mimo to będą wyglądać tak, jakby nosiły nieprzeniknioną, żelazną kolczugę.*

### *CÓRKA MASZYN*

Ze skromnym i przez to sympatycznym uśmiechem mossieu colson z miństerstwa, niosąc swoją antologię, siada obok ciebie w miłym chłodzie twego ogródka... i najpierw oczywiście mówi, że jest gorąco i czy ty też słyszałeś w radium, jak mówi stary garbus, że nadchodzi fala upałów... i przy okazji tej fali upałów zaczyna mówić o *tym kawałku o ondynie, w którym ona z powodu upału rozebrała się i leży rozleniwiona i ospała... i jest to również okazja, żeby twą najzwyczajszą pod słońcem prozę porównać ze znacznie piękniejszym obrazowym językiem johana janssensa... ty piszesz, że jej suknia rozchylała się pod szyją, a johan janssens powiedział, że to były zbyt krzykliwe kwiaty jej peniuaru, które rozchylały się na jej szyi... ale — i mossieu colson otwiera skromnie, lecz sympatycznie swą antologię — ale to, co mówisz o kobietach, jest*

bardzo słuszne, choć bardzo niekompletne, i dlatego w mojej antologii też zarezerwowałem niewielkie miejsce dla kobiety innego pokroju: dla córki maszyn.

jak to możliwe, że nie pisałem jeszcze w mojej antologii o człowieku, który w naszym domu przegląda i naprawia maszyny do szycia, prania i różr.e inne?

**O** kimś, kto rzeczywiście jest modelem współczesnego człowieka z charakterem, który jest zadziwiająco zharmonizowany z charakterem maszyn, sam to wyczuwa

I dlatego powiada, że człowiek powinien właściwie móc stać na łące tak jak koń, bo to, co się teraz z niego zrobiło, jest z żelaza, gumy i proszków chemicznych. I muszę też napisać o jego obrzydzeniu do książek, które są powieściami i antologiami: co to za gładzenie, powiada ten człowiek... ale i o jego nieposkromionym dążeniu, aby Wszystko wiedzieć i o Wszystko pytać: jakiemu prawu to podlega? A teraz o jego córeczce, która ma takie same duże pytające oczy i wielkie, wypukłe czoło, ale chodzi niechlujnie ubrana — o tak,

**O** niemożliwości, by przy całej jego wiedzy... jego rozumieniu Wszystkiego, jego ogarnianiu wszystkiego, co dotyczy techniki i chemii, i fizyki, i biologii, i całej reszty... o niemożliwości, by przy całej jego genialnej wiedzy móc przyzwoicie egzystować i przegnać precz widmo ubóstwa, bo gdy chodziło o coś, czego nie rozumiał, to tylko przebudowywał maszyny i ślęczał nad nimi całymi dniami, i studiował, tak że nikt nie mógł mu zapłacić za jego pracę... i o tym, jak nagle znalazł się na dnie i wtedy powiedział: cholera jasna, to się musi skończyć... i jak skierował swój umysł na tO, na co był skierowany umysł innych; jak zaczął kłamać i oszukiwać, i skupował różne maszyny — stare graty — i trochę je poprawiał... bo przecież umiał to wszystko jak nikt... i sprzedawał je jako nowe

I zarabiał Złote góry. Ale natura sama nie da się oszukać... bo teraz, gdy przychodzi do nas przerobić ku

chnię gazową na propan-butan, jego córeczka, która jest dokładnie taka sama, trzyma palnik i gwintownicę: jest chuda, nieładna i z włosami jak siano, tyle tylko, że mądra, tyle tylko, że genialna, jeśli chodzi o maszyny... córka człowieka maszyn, córka sAmej maszyny... i wraca do nas, tym razem sama, widzę ją stojącą w drzwiach, gdy jej otwieram, z tym swoistym uśmieszkiem... chodzi o obejrzenie warsztatu tkackiego mojej żony, żeby wiedzieć, jak to działa, jak to się kupy trzyma, według jakich reguł to zbudowano.

#### *4-TY WŁAŚCICIEL*

*Ostatni, do którego ondyna miała się udać... bo były 4 wille, a więc i 4 przyszłych właścicieli... i ostatni, do którego miała pójść, mieszkał na jakiejś ulicy, tAk daleko, że ondyna nigdy wcześniej o niej nie słyszała... szła i szła, i wszędzie pytała, gdzie jest scherreveld-straat... było to w pobliżu cmentarza, prawie za miastem, tam gdzie już zaczynała się wieś, w dzielnicy, która była jeszcze bardziej przygnębiająca niż ter-mu-ren: szereg świeżo wybudowanych ubogich domów, od których jeszcze pachniało nie spłaconymi ratami: ondyna zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie ci się przeprowadzają, może po to, żeby przenieść się z deszczu pod rynnę. Ale chociaż pukała i dzwoniła, ile się dało i zaglądała przez szparę na listy do pustego, zimnego korytarza, to nikt nie przychodził otworzyć... spojrzała na swoją listę i zobaczyła, że nazywają się skarbek: było to wiele obiecujące nazwisko. Poszła do domu i na drodze z kapliczką pomyślała sobie, że znów zapomniiała o tym, żeby kiedyś zajrzeć do lokalu prawo--i-wolność. I choć również w obydwu następnych mie*

*siącach nie widziała skarbków — dom na scherreveld-straat był jak wymarły — to jednak regularnie wracała do domu z jurą pieniędzy. A ponieważ nie zaczęli jeszcze spłacać rachunków w składzie drzewnym ani w sklepie żelaznym, to wydawało się, że nigdy tego nie ubędzie... góra pieniędzy rosła, było nawet trochę śmieszne, że tak tam leżały na szafie upchane w sakiewce biedaków. I jeśli kiedyś pieniądze były dla niej tylko symbolem, zewnętrzną Oznaką przynależności do stanu władców, to teraz te same pieniądze rzeczywiście zaczęły nabierać dla niej monetarnej wartości, za którą mogła sobie pozwolić na różne rzeczy, budzące w niej pożądanie... najpierw peniuar z dziwnymi, wielkimi kwiatami, które bardzo głęboko obnażały szyję, a potem... tak, całymi latami musieli obchodzić się bez mięsa na stole, dlaczegóż by nie mieli raz czy 2 w tygodniu otworzyć drzwi swego domu, żeby zapach pieczonego mięsa wychodził na ulicę? Było już jednak dość późne popołudnie i u rzeźnika nie zostało nic prócz mielonego... ale mielone też jest dobre... trzeba je doprawić pieprzem i solą, i odrobiną cebuli, i dodać jajko, i bułkę tartą, i zapiec w piekarniku: tak miała zapisane w starym zeszycie z przepisami madame berthe; poszła z powrotem do domu, ale po drodze spróbowała trochę i surowe było jeszcze lepsze, niżby kiedykolwiek mogło być z bułką tartą i tym, i owym... wzięła sobie jeszcze trochę i jeszcze, i po jakimś czasie uzgodniła sama ze sobą: jedna połowa dla mnie, a druga dla reszty rodziny... ale i z drugiej połowy zjadła tyle, że już nie było zmartwienia, wylizala papier do czysta i zmiąwszy go w kulę wyrzuciła do rowu, na początku drogi z kapliczką... już nie była głodna i z obrzydzeniem patrzyła, jak inni wcinają swoje duszone ziemniaki z odrobiną słoniny.*



## *NIEWŁAŚCIWIE UMIEJSCOWIONA PRZEMOWA*

Lis przechera stał przed gospodą i słyszał, jak wilk wrzeszczał gwałtu, gdy mu tam w środku młócono żebra... ale gdyby choć jEden raz mógł być stróżem i obrońcą swego brata, to wcale by nie miał zamiaru używać swych łap komuś, kto by mu nimi dał kopa w jego własną dupę... wkroczył w to zamieszanie i serdecznie potrząsał dłonią każdego: kozła bekarda i kozy sapiny, carcofasa, osła tej pielgrzymki, a także **swego** wuja z kulą pomiędzy żebami: dzień dobry, moi najlepsi przyjaciele, dyszę jeszcze z pośpiechu, bo za późno otrzymałem zaszczytne zaproszenie na korowód w intencji nobla... lecz nikt nie miał zamiaru czegokolwiek mu tłumaczyć, jego słowa zostały chłodno przyjęte, a osioł wypowiedział z głupia frant to, co inni myśleli: posiadasz niezwykły talent, ale to, czego ci brakuje, to dramatyczność, a równocześnie mówisz po belgijsku, tak że twój patos podobny jest do majaczenia w gorączce\*. Merci za zainteresowanie, pomyślał przechera, który nie dał się wyprowadzić z równowagi... bo słowa są jak wiatr, którego nie można upiec i zjeść; skierował całą swoją k-u-r-wagę na sprotinusa i kiedy ciżba opuściła gospodę, obydwaj zostali nieco z tyłu, co budziło pewien niepokój kura, który wolałby iść w pierwszym szeregu. Ale lis trzymał go za skrzydła i dyskutował o istocie powieści i swobodzie wiersza... ty, który jesteś teraz poetą egzystencjalistycznym, zwrócił się do **koguta**... i po raz kolejny się zatrzymał... i chociaż spro-tinus widział, że odległość między nimi a innymi piel\* ewentualny rzadki czytelnik, któremu starczyło męstwa, by czytając dojść do tej strony — skąd on bierze tyle męstwa? — lepiej zrozumie słowa osła, gdy sobie przypomni, że eneykliczny tygodnik wydał identyczny sąd o samym johannie j ans sen sie.

grzymami powiększa się, zaczął, zamknawszy 1 oko, recytować swój ostatni wiersz: o jakże często w marzeniach mych pragnąłem choć przez moment na wschodnim froncie stać, gdyby nie to, że na kupie gnoju od kokoszki do kokoszki musiałem gnać. Nieźle, orzekł lis z głową nieco przechyloną na bok, ale czego ci brakuje, to dramatyczności zamkniętych oczu, która mówi po belgijsku i twój patos czyni jeszcze większym majaczeniem. Sprotinus na to zamknął oczy... ale lis już go trzymał za skrzydła i chciał z nim dać nogę tak, żeby pielgrzymi tego nie spostrzegli; niestety w tym akurat momencie jego wuj się obejrzał i zaczął wrzeszczeć: podzielić, podzielić! Tak że wszyscy inni też się zainteresowali, wykopali isengrinusowi kulę spod pachy i puścili się za przechera... sprotinus w czasie biegu kiwał się na wszystkie strony i z walącym sercem, które podeszło mu do gardła, odezwał się: powiedz im, że nie muszą się trudzić, zgadzam się z twą krytyką i składam ducha mego w twoje ręce. Na to przechera zatrzymał się i przemówił do nadciągających nieprzyjaciół najpiękniejszą, lecz najniewłaściwiej umiejscowioną przemową, bo ledwo zdążył otworzyć usta, gdy kogut uderzył skrzydłami i już siedział na drzewie. Niech będą przekłete usta, które chciały mówić wtedy, kiedy miały milczeć, wymamrotał zrezygnowany lis... a kogut odpowiedział z drzewa: i niech diabeł wydłubie oczy temu, kto je zamyka wtedy, kiedy po dwakroć i na przestrzał powinien je trzymać otwarte. I chciał jeszcze do tego dodać wiele, ale nie ma takiego mądrego, który by kiedyś nie zrobił jakiegoś głupstwa, co jednak nie znaczy, że przechera był jak osioł carcofas, który po raz 2-gi potykając się o ten sam kamień upuścił okulary i własnymi oślimi kopytami je rozdeptał; przechera nie potrzebował nic więcej wiedzieć i umknął z tego miejsca, w którym tak się wygłupił, johan janssens.

## *STRACH*

Jeszcze jest czerwiec, ale fala upałów, o której była mowa, nie nadeszła, zagrzmiało, a potem zaczęło padać i jeszcze ciągle pada... i tippetotje słucha tego dalekiego dudnienia grzmotu i opowiada, że już od dziecka boi się, kiedy grzmi, chociaż nigdy się nie bała, że uderzy w nią piorun; boi się tego grzmotu samego w sobie, tak samo jak się boi, gdy zwałają z wozu ładunek kamienia i gdy w małym mieście z 2 fabrykami wychodzi na ulicę pochód, i słysząc bicie w bębny: myślałam, to znaczy nie myślałam, powiada... ale miałam wtedy wizje koszmarów i śmierci... nie widziałam mojej własnej śmierci, ale śmierć innych... widziałam ruiny, na których rosły chwasty, widziałam rozkładające się trupy, w każdym kącie widziałam kościotrupa, widziałam koniec świata: wizja, którą często później nadaremnie starałam się namalować — później, kiedy zostałam malarką tippetotje — ale wtedy byłam jeszcze małą tippetotje, która nie wiedziała, że mA zostać malarką... ale gdybym tę wizję mogła malować, to zatytułowałabym ją: pO koszmarze. Bo nie bałam się tego, co właśnie miało nadejść, ale tego, co pozostanie po tym, co nadejdzie: marzeniem nietschego jest nadczłowiek, który nadejdzie po tym, jak człowiek zniknie z powierzchni ziemi... ja, tippetotje, boję się tego okresu, między 1 a 2-gim... tysiąca lat albo i więcej, gdy na ziemi panować będzie absolutna cisza, gdy rosnać będą tylko chwasty, wysoko, i gdy tylko owady będą się utrzymywać przy życiu, rojami. Ale dorastając wyperswadowałam sobie ten strach, to było coś pod sercem i nazywałam to bólem żołądka, chodziłam do wszystkich lekarzy i dostawałam wszelkie proszki przeciw mojemu bólowi żołądka, który nie był bólem żołądka, tylko strachem... strachem przed tysiącletnią

absolutną ciszą i absolutną śmiercią, która zapanuje na świecie; a teraz usiłuje pozbyć się tego strachu przelewając go na płótno... tak jak ty starasz się go pozbyć, przelewając na papier... i wszędzie, dokąd pójde, stanę i gdzie otworzę książkę, widzę to samo: strach przed czymś nienazwanym, co wisi w powietrzu jak fatum... a my, którzy jesteśmy wewnątrznie zmuszeni do pisania o tym albo do malowania, czynimy z tego mimo Wszystko jeszcze pewne piękno... i w ten sposób dochodzi do tego, że w encyklicznym spektakrze albo w faszystowskiej linii albo w ultraszkarłatnej debacie uznaje się to Fiękno strachu za coś okropnego, **8** tę Realność strachu potępia jako realność, której oni nie życzą sobie oglądać... i mógłbyś powiedzieć: więcej dla nich nie piszę ani nie maluję, lecz jeśli my, nieliczne jednostki, jako jedyni odczuwamy ten strach, to czy zatem nie jest naszym obowiązkiem wciąż i na nowo ostrzegać innych?

Ale gdy odległe dudnienie grzmotu słabnie, wszyscy śpieszą udzielić tippetotje odpowiedzi... mossieu colson z miństerstwa i kantyczny nauczyciel, Poeta i dziennikarz z gazety codziennej johan janssens, profesor kpiydom i mec. pinak we własnej osobie, i nawet kra-miek: ale co jest naszym obowiązkiem?... wypowiedzieć nasz strach jako ostrzeżenie... czy też samemu nosić w sobie ten strach i unikać wywoływania paniki... albo czy się z tym pogodzić i pozwolić na to, żeby pO koszmarze rosły sobie chwasty, dopóki nie nadejdzie nad-człowiek i nie natrafi na leżące gdzieniegdzie czaszki? I w ciszy, jaka po tym zapada, odzywa się kramiek: i wyobraźcie sobie, że znajdą właśnie Moją.

## *KUZYNCE WALERKA ROSNĄ PIERSI*

*Ondyna za każdym razem przynosiła do domu coś innego, papierowe kwiaty, żeby je wstawić do wazonu, innym razem sukienkę, potem znów fartuszek... brakowało kiedyś reszty w sklepie w małym mieście z 2 fabrykami, to powiedziała nagle, żeby jej zapakować 2 sukieneczki, w ten sposób będzie równa suma... przyniosła kakao, coś, na co w ter-muren nikogo nie było stać — bo i na co ich było stać, poza parą drewnianych chodaków? — i przygotowała czekoladę do picia i kazała walerkowi zawołać ich kuzynkę; tego zapewne nie macie w waszym sklepie? powiedziała. Skądże mieliby to mieć, nigdy jeszcze tego nie piła i poprosiła o jeszcze jedną filiżankę... zapytała również, czy może ondyna codziennie to piła, w tych czasach, kiedy mieszkała na zamku... nie miała przez to broń boże nic złego na myśli, wręcz przeciwnie, była jeszcze tak naiwna, że sądziła, iż zrobi tym. ondynie dużą przyjemność, przypominając jej o tamtych czasach... czasach, które może ona sama chętnie by chciała przeżyć. Miała teraz 15 lat, i w krótkim czasie nabrała wyglądu 20-latki, przede wszystkim jej biust był czymś niewiarygodnym, ale jeszcze nie rozumiała, dlaczego chłopcy z ter-muren bili się o nią z chłopakami ze wsi: ondyna powiedziała kiedyś do matki ich kuzynki, że całe szczęście, iż panowie zapomnieli o ter-muren, bo musiałyby zamknąć swoją córkę na strychu: ja, ondyna, byłam wystarczająco rozsądna, a przy tym za bardzo encykliczna, żeby ich dopuścić zbyt blisko, ale wasza córka!... nie wiem, co by się z nią stało. Nie mogę jej przecież wsadzić do worka, odpowiedziała matka kuzynki. Ondyna na to, że byłoby ją trudno wsadzić do worka, ale można ją przecież trzymać poza gospodą... bo ciągle przychodzi się do nas wyplakiwać, że ktoś coś powiedział na temat jej piersi.*

*Nie było prawdą, że przychodziła się do nich wyplakiwać, ale pewnego razu ondyna podstuchiła ich oboje, walerka i ich kuzynkę, i słyszała, jak mówili: moja matka chce, żebym się śmiała, gdy w gospodzie mówią coś o moich piersiach. A najbardziej dziwiło ich kuzynkę to, że zabroniono jej swobodnie spacerować z walerkiem, chociaż był on jedynym, od którego zniósłaby jeszcze, gdyby coś powiedział o jej piersiach. Zapytała w domu, dlaczego nie może chodzić do ondyny i walerka... oni piją czekoladę!... i do tego stopnia była jeszcze zupełnym dzieckiem, że przybiegła do ondyny do domu i oznajmiła: teraz my też mamy w domu kakao, komiwojażer nam przyioióżł całe pudełko.*

### *BIAŁY I CZARNY ŚNIEG*

Jeszcze jest czerwiec i jeszcze ciągle pada, a johan janssens, dziennikarz w gazecie codziennej, który wraz z mossieu colsonem wraca z brukselskiego pociągu, oznajmia, że według kalendarza jutro zaczyna się lato, i że według niego w tych kalendarzowych obliczeniach też zaszła pomyłka: tych kilka godzin, których im każdego roku brakuje, wyrównują w roku przestępnym, ale kto mi powie, czy nie mylą się? Jeszcze odrobinę; kto mi powie, czy świat, jest nie okrągłą kulą, lecz być może jajkiem z dużym zgrubieniem z tyłu i długim czubkiem z przodu? bo jeśli po bogu nie wierzysz już także w naukę, to wtedy... to wtedy... I z uśmiechem, który zmiękcza jego rozpacz, tak jak odrobina dżemu twardą kromkę chleba, oświadcza: może jutro śnieg będzie padać w czerwcu. A mossieu colson dodaje: już teraz pada śnieg, ale to jest czarny śnieg, który pada ha twój w nic więcej nie wierzący umysł... a jeśli

O śniegu mowa, to w mojej antologii znalazłem o nim jeszcze coś, co było zapisane w całkiem zapomnianym kąciku: śnieg w wielkim mieście i 2 policjanci, którzy brnęli przez czarną bryję, stoją teraz koło ulicznego piecyka z żarzącym się koksem... a o jakich to wstrząsających światem sprawach rozmawiają?... jeden policjant mówi: mais je l'ai dit a jefke et dolfL. a drugi z opuszczonymi kącikami ust kiwa przeciągle głową, wpatrując się w rozżarzony koks... właśnie, powiedzieli to jefke i dolfowi i teraz suszą swoje buty... a później te buty znów przemokną, gdy oni zaraz pójdą dalej,

1 johan janssens przeciągle kiwa głową, z opuszczonymi kącikami ust, właśnie tak jak jeden z tych policjantów... i zwraca się do drugiego policjanta, nie, do mossieu colsona: ta historia przypomina mi to, o czym właśnie przed chwilą mówiłeś, ten czarny śnieg... czarny śnieg w wielkim mieście: gdy w zeszłym roku miałem odczyt o Poecie i jego czasach, obecnych było 12 słuchaczy i jeden śpioch, który chrapał w rytm moich słów... a potem, gdy ta zabawa dobiegła końca, podeszła do mnie trochę zaniedbana i prostoduszna kobieta... w wysoko zachlapanych błotem butach i w brązowej, wypłowiałej i workowatej sukience... i wyłożyła mi swój przypadek, jak to prosiła, żeby zostać redaktorem w gazecie, ale jej odpowiedziano, że aby pracować w gazecie, powinna najpierw napisać książkę —• musiał to z pewnością powiedzieć ten cynikarz sianostrych ■—■ a potem opowiedziała mi, jak to ona teraz pisze tę książkę i czy ja bym nie zechciał jej „ocenić"... i czując, że ogarniają mnie wszystkie rodzaje litości na raz, odpowiedziałem: owszem. Choć wiedziałem, że nigdy tej książki nie dostanę.

## *POWINNAM MIEC NARZECZONEGO*

*Zdaniem ondyny ten komiwojażer sprzedający kakao dosyć często przestępował próg domu ich kuzynki,,, właściwie miał on być w mieście z 2 fabrykami, ale zaraz zbaczał na drogę z **kapliczką**, prowadzącą do ter--muren... w sklepie Chrystusa prawie nigdy nie dostawał żadnego zamówienia i ondyna, znowu widząc, jak przechodzi przez nie strzeżony przejazd, zapytała go prosto z mostu, czego tu szuka... trochę się zawstydził... dość często się zawstydział, gdy ondyna chciała go zapytać o to i owo; można go było przejrzeć tak łatwo] jak szkło, ondyna jeszcze nigdy nie widziała tak cnotliwego mężczyzny, i to w dodatku komiwojażera! Musiał zapewne **iść** przez życie jak ślepiec z otwartymi oczami, bo inaczej nie byłoby to możliwe... zakochał się w tych piersiach ich kuzynki, widać to było z daleka... i ledwo zdążył wejść do sklepu, gdy ondyna już wetknęła tam swój nos...*

*zapytała go, ile jego zdaniem ich kuzynka ma lat... 20, odpowiedział... i został wyśmiany... czy nie widzisz po jej twarzy, że to jeszcze prawie dziecko?... a on, gamoń, znów się zawstydził, znów się zrobił ognisto czerwony i w tym zmieszaniu wyrwało mu się, że w takim razie będzie czekać... czekać, na co?... Milczał i tak strasznie nienawidził ondyny, że pomyślał sobie... och, pomyślał, to znów za dużo powiedziane, on też był jednym z tych, co się zajmują literaturą i piszą wiersze o drzewach, które stoją pogrążone w marzeniach i o swym samotnym sercu, a ci czują zamiast myśleć... czuł, że on jest ze szkła, a ondyna ze stali, więc jej nie nienawidził: bał się, że ona go złamie. Ale na nic się nie zdało to jej kręcenie nosem u **Chrystusa**, komiwojażer zdobył ich tam sobie swymi naiwnymi słowami: on jest taki porządny, odpowiedziano jej. Porządny,*



*ondyna twardo się na to roześmiała: co ci z tego, że jesteś "porządny, jeśli za to jesteś przez całe życie poszturchiwany przez każdego, kto nie jest porządny... porządny? powtarzała ondyna, czy nie bardziej dlatego, że wyrwało mu się, iż mają w brukseli duży sklep?*

*Odpowiadano, że przemawia przez nią tylko zazdrość, bo sama nie ma żadnego narzeczonego; z tego ondyna śmiała się aż zanadto hałaśliwie... wyliczyła wszystkich, którzy chcieli się z nią żenić... i żeby ich przelicytować, kupiła sobie w mieście parasolkę przeciwśłoneczną, choć słoneczko było wątłe, zimowe, na zmianę z częstymi, zimowymi ulewami. Czy jednak nie było szczerą, najszczerzą prawdą to, co mówiono o jej narzeczonym? Nie, odpowiedziała sobie, czuję się tak fatalnie o wiele bardziej przez to, że lato nie nadchodzi, i nie mogę znieść tego, że tak pada dzień po dniu... za dużo wtedy myślę o bólu i śmierci... i myślę wtedy, że ja też długo nie pożyję, bo czuję się taka smutna i zmęczona... i także o tym, że umrzeć to jeszcze nic, ale umrzeć tak jak ja, która żyłam nie wiedząc, dlaczego żyję: powinnam mieć narzeczonego, mieć chłopca i gdyby w tym momencie nie uświadomiła sobie, że odczuwa ból w brzuchu, to uśmiełaby się ze swego więcej niż dziwnego toku myślenia.*

### **PORZĄDNY I TROCHĘ STARZEJĄCY SIĘ SOCJAŁ**

Johan janssens opowiada jako człowiek: opowiem wam o jednym porządnym i trochę starzejącym się socjale, który, będąc jeszcze dzieckiem, mieszkał w innym mieście z 2 fabrykami... gdzie ich pozbawiano środków do życia za to, że byli socjalami i wstąpili do stowarzyszenia... i jak z tego powodu przyjechał on do

tego miasta z 2 fabrykami i poszedł do pracy w laborze, i dołączył do najpierwszych socjałów, i wieczorami pomagał rozprowadzać gazetkę prawo-i-wolność... najpierw codziennie przez długie lata po pracy w laborze, a później, kiedy mieli już trochę członków płacących składki, oficjalnie i za głodową pensję... i jak potem ta partia stała się partią o monstrualnych rozmiarach, z kinem i piekarnią, i kliniką, i biblioteką, i drukarnią, i spółdzielnią, a jej funkcjonariusze jeździli samochodami... i jak on, wciąż porządny i ślepy, choć widzący na oczy, nadal rozprowadzał gazetkę prawo-i-wolność za wciąż tę samą głodową pensję... i jak potem w końcu wybuchła ta ostatnia wojna światowa, a on uciekł do francji z pieniędzmi, które właśnie zebrał za gazetki... ale będąc we francji myślał o tym, że zebrane pieniądze nie były jego, a gazetka prawo-i-wolność nie była rozprowadzana... i przyjechał z powrotem. Z tymi pieniędzmi, i na nowo zaczął roznosić gazetkę. Ale popatrz, tymczasem świat stanął na głowie: faszyści zlikwidowali demokrację i rozwiązali partię socjalistyczną, a prawo-i-wolność wypełnili swOją prozą — ale dobry socjał nie rozumiał, że po jego powrocie zaczął się nowy rozdział: on trochę bezmyślnie kontynuował tamten stary rozdział i rozprowadzał faszystowską gazetkę prawo-i-wolność — eńkę. A kiedy wojna się skończyła i faszystowski rozdział został zamknięty, świat stał się znowu dawnym światem, w którym ten dobry socjał, ku swemu rozpaczliwemu zdziwieniu, nazwany został zdrajcą socjałów... i johan janssens przez chwilę jako człowiek milczy, po czym znów kontynuuje swą opowieść: widzicie, to był mój wstęp, a teraz przechodzę do właściwego opowiadania o porządnym i już starzejącym się socjale; siedzi on wieczorami w swoim pokoju, radio gra, a gazeta socjałów leży na jego kolanach i stary socjał rozmawia z żoną — która jest porządną i już starzejącą

się żoną socjała — i mówi do niej: nasz socjalistyczny premier to jest dopiero wielki człowiek... ale dlaczego nie nosi już teraz wielkiego kapelusza?\*

### *INTERPELACJA*

Nadchodzi johan janssens, który zszedł już z drogi z kapliczką, choć to dopiero wczesne popołudnie... musiał wsiąść w brukseli do pociągu o 12.05, to przecież niemożliwe... i tippetotje, która ciągle jeszcze maluje nie strzeżony przejazd kolejowy, odkłada paletę i pyta: wracasz tak wcześnie i wyglądasz jak zbity pies... coś nie w porządku z twoją pracą, w której zarabiasz na swój chleb i na chleb małego jo janssensa? I johan janssens stoi tam, gdzie stoi, ale nie wie, gdzie stoi... i patrzy na szkic tippetotje, chociaż nie wie, na co patrzy; jego serce jest 1 cholerną raną i z jego ust padają przekleństwa; byłem interpelowany w gazecie przez naczelnego redaktora, który mnie zapytał, dlaczego Ciągle piszę o malarzach picassie i magritcie, a ja popatrzyłem na niego zdziwiony i powiedziałem: pisałem również o breughlu i boschu, i kurcie peiserze, i per-mekemL. ale redaktor naczelny pokręcił głową i odrzekł, że jemu powiedziaNo, iż ja za dużo piszę o picassa i magritte'a, ponieważ jeden jest kubistą, a drugi znanymi ultramarksistowskimi malarzami, to my powinniśmy w pierwszej kolejności myśleć o naszej własnej małej klice twoim zdaniem mało ważnych malarzy, poetów i rzeźbiarzy... a ci krytycznie oceniają dzieła picassa i magritte'a, ponieważ jeden jest kubistą, a drugi surrealistą i oni nie rozumieją tego kubizmu i surrea-

\* kapelusz z dużym rondem był charakterystycznym elementem ubioru Paula-Henri Spaaka (przyp. tłum.)

lizmu, oni malują martwe natury i pejzażyki tak jak' zawsze... a ponieważ jesteśmy przyzwyczajeni do tego jak zawsze, to powinniśmy pisać właśnie o nich i mówić, że oni są Największymi artystami... Ale... wyrwało mi się w odpowiedzi... Lecz redaktor naczelny podniósł rękę i powiedział: milcz. I ja, johan janssens, milczałem. A redaktor naczelny mówił dalej: przywykliśmy do tego, żeby do wszystkiego powoływać radę i dla kolumny życie umysłowe też powołamy radę złożoną z intelektualistów, którzy przynajmniej będą kompetentni, żeby wypowiadać się na temat sztuki... i ci intelektualiści będą się co tydzień zbierać i decydować o tym, co ja, johan janssens, mam pisać albo czego nie pisać. A ja, johan janssens, zażądałem, żeby mi pokazano listę tych intelektualistów: na 1-szym miejscu znajdował się dr pascalius prostituanus. W porządku. I odebrałem, ciągle milcząc, moją miesięczną pensję i ciągle milcząc opuściłem redakcję; i choć moje serce było 1 cholerną raną, to jednak ze złośliwą radością myślałem o tym-, jak moje materiały przeznaczone na kolumnę życie umysłowe... a żeby one powstały, to ja muszę pisać tak, że aż palców nie czuję... i które teraz będę mógł publikować albo i nie... jak te materiały będą przechodzić z rąk dr do rąk pr. i kiedy jeden będzie mówić tak, to drugi nie — podczas gdy duża część nie odważy się Niczego powiedzieć •—• i że kolumna będzie gotowa raz na rok, zamiast raz na tydzień.

### *MARTWE DUSZE*

*Ale bóle, których od tamtej nocy ondy na już właściwie nigdy się nie pozbyła, dręczyły ją bardziej niż wszystkie inne... jej pierwszą potrzebą było siać wokół*

siebie kłótnie i spory, wściekać się i nosić stroje,  
O jakich inne nie śmiały marzyć: była to jej jedyna opora w życiu. A  
równocześnie walerek chodził jak obdartus w swojej połatanej i  
poszarpanej roboczej kurtce... na chodzenie do ich kuzynki nie miał  
czasu, trzeba było stawiać w willach wiązania dachowe, bo bez  
końca padało... ale jeśli nawet późnym wieczorem miał trochę czasu,  
to i tak nie szedł... przesiadywał u zulmy za piecem oblizując  
pozrywane paznokcie

I poszarpaną skórę na rękach; wszystko go bolało i był zbyt  
zmęczony nawet na to, żeby czuć głód. A ich kuzynka... musiał się w  
taki czy inny sposób czegoś dowiedzieć, bo inaczej nie siedziałby tak  
tępo zatopiony w myślach... tylko czy to, co robił, to było myślenie?  
„x opierał udreńczoną głowę o poręcz pieca i natychmiast zasypiał,  
wyczerpany całodziennym wdrapywaniem się i gramoleniem, i  
przewyciężaniem tam, na tych rusztowaniach, swego śmiertelnego  
strachu. Po drugiej stronie pieca siedział vapeur rozmyślający o  
swoim wynalazku, ostatnio nie śmiał nawet spojrzeć na niego,  
pokrytego warstwą kurzu... wcześniej, gdy pracował nad nim dzień w  
dzień... miał ciągle dobry nastrój... jutro będzie gotoiuy, myślał  
codziennie... ale teraz, gdy harował tam, przy tych 4 willach,  
wydawało mu się, że potrafi spojrzeć z dystansu na ten swój  
wynalazek w jego prawdziwej postaci i wątpił, czy on, caroluś  
bosmans, rzeczywiście potrafi rozwiązać problemy, nad którymi  
głowiono się już od wieków... kim albo czym ty właściwie jesteś, pytał  
sam siebie... głupim partaczem, półgłówkiem, za którego cię mają, i  
który nosi w głowie jakąś idee fixe, czy też jesteś rzeczywiście kimś...  
kimś genialnym... kto intuicyjnie może natrafić na to, co wszyscy  
uczeni przegapili? Sam nie wiedział, choć jednak w tO wierzył... i  
potem trochę się z tego usprawiedliwiał, tak jakby ktoś mógł  
wyczytać jego. myśli i wyśmiać je. Studia, oto czego mi brakuje, po

*wtarzał. Musiałbym przejrzeć moją Mechanikę, musiałbym postudiować wytrzymałość Materiałów budowlanych i tę, jak ona się nazywa, geometrię Przestrzenną... ale powtarzał to już od czasu, gdy miał 16 lat, a teraz powtarzał to 3, 4 razy na rok, nigdy się do tego nie biorąc. Wieczór mijał w grobowej ciszy i spokoju. Ale gdy wchodziła ondyna, budziła te martwe dusze i wypytywała o robotę... ile do tej pory zużyto drewna i czy już można zwrócić kołowrotek, za wypożyczenie którego trzeba było płacić od każdego dnia; teraz, kiedy są już ułożone schody, może dalibyście radę to wszystko wnosić na górę, oświadczyła. Walerek, który gapił się na nią bezmyślnie, spojrzął na ojca: ojciec też tego nie wiedział; ta praca była ponad jego siły, można powiedzieć, że wszystko musiał robić sam... bo walerek, czy jego właściwie można liczyć? — dzisiaj miał przybijać listwy, to najłatwiejsza robota, jaka była w domach do zrobienia... i gdy on, vaporeur, który tymczasem wstawiał drzwi, przyszedł sprawdzić, to co ujrzał?... walerka, który wszystkie listwy poprzybijał odwrotnie — był przekonany, że ondyna nie potrafi czegoś takiego zrozumieć, ona mówiła tylko o liczeniu i rachowaniu, podczas gdy on myślał wyłącznie o 1: o łóżku, do którego w końcu będzie się mógł położyć. Jednak ona rozumiała to aż za dobrze, ale co by było warte jej życie, gdyby nie miała się z kogo naigrawać? Nic, mogłaby wtedy równie dobrze wbić w ścianę hak i powiesić się na nim.*

#### **NAWET ONDYNA ROBI GŁUPSTWA**

*Myśli vaporeura krążyły wokół tej sprawy po nie kończącej się spirali... w zleceniu znajdowała się strona*

*O pracach szklarskich i w pierwszych dniach vapeur oświadczył: tak, to robota dla szklarza, ale teraz, kiedy okna i drzwi były wstawione, a szklarza ani słyhu, ani widu, jego niepokój narastał; i bał się szkła: tłukło się ono, pękało i rozpadało na kawałki, przecinało człowiekowi przeguby. A więc wszystko, co mu pozostało, to swój zysk — cha! cha! mój zysk, powiedz lepiej: moją stratę — oddać komuś, kto miał odwagę wstawiać szkło. Ale nie, tak nie mogło być, stolarz nie przyjmuje żadnej roboty szklarskiej... a może tak... i nie potrafił się wyrwać ze spirali swych myśli ze strachu, że dowie się prawdy: tej prawdy, że tyrał i męczył się,*

*I haroiuał do upadłego za nic... i jakby jeszcze tego było mało, stracił najpiękniejsze lata swego życia, w tej harówce w świątek, piątek i w niedzielę... bo jego największy niepokój polegał na tym, że będzie musiał jeszcze do tego dołożyć bajońską sumę. To wina tej smarkidi ondyny, bronił się... ale czy w sądzie mógłby cokolwiek zyskać chowając się za plecami córki? cholera, cholera. Czy jeszcze nie musimy zacząć splancać drewna? zapytał ją. Tak, to prawda, przyszło upomnienie... ale ondyna nie potrafiła się tak od razu rozstać z pieniędzmi... uskładał się tych banknotów cały gruby plik... znalazła dla nich inne miejsce, bo leżąc tam wyglądały tak ubogo, jakby udało się trochę zaoszczędzić przez lata ciężkiej harówki i wyrzeczeń... przyniosła z miasta żelazny kuferek i teraz byłoby grzechem opróżnić go, żeby jego zawartością spłacić ten idiotyczny skład drewna... może jak kiedyś znów przyjdzie 1-szy kolejnego miesiąca, to ona o tym pomyśli... na razie nadal kupowała sobie różne głupstwa, o nic się nie martwiąc. A gdy był 1-szy kolejnego miesiąca... lipca, kiedy, szlag by to trafił, ciagle jeszcze padało... wzięła do ręki 1 000 franków, obracała je na wszystkie strony, wciąż się wahając, spoglądając wokół na te wszystkie bezduszne przedmioty; i ujrzała samą siebie*

zamykającą kuferek i z 1 000 franków w ręce wdrapującą się na strych, żeby je tam, schować w blaszanej puszcze. Kiedy się odwróciła, przestraszyła się nie na żarty zobaczywszy w otwartym otworze wejściowym głowę walerka... dopiero wtedy zdała sobie sprawę ze swego przestępstwa, które popełnił ktoś inny będący w niej, i dopiero wtedy jej serce zaczęło mocno walić: jak długo on tam stał? Poszedł prosto w kierunku puszek, o mało jej nie kopnął... ale nie, przeszedł nad nią i wziął kilka suszących się tam liści tytoniu. I nagle zobaczył ondynę... z kolei on się przestraszył i zapytał, czy niczego nikomu nie powie. Czego? Ze wziąłem sobie liść tytoniu, wyjął walek... był tak pokorny i uniżony, zaczął się tłumaczyć, że pozwolono mu kupić sobie kamienną fajkę, ale prawie wcale nie dostał tytoniu. I tak właśnie wkładasz go do swojej fajki? zapytała ondyna. Był to żart, powiedziany po to, by go rozśmieszyć i pokazać, że gotowa jest zostać jego kom-panem-współwinowającą; ale z niego był taki tępak, że wcale nie znał się na żartach i zaczął się tłumaczyć; ondyna znów poczuła jeden z tych rzadkich przyptywów współczucia... za każdym razem, kiedy udało jej się cało wyjść z jakiejś opresji, pozwalała sobie na to, by współczuć innym, którzy nie byli tak sprytni... którzy nie mieli takiego szalonego szczęścia. Zapytała go, dlaczego nie chodzi więcej do ich kuzynki, i miała zamiar dać mu radę... ale on zamknął się w swej tępocie: bo tak! odpowiadał wymijająco na wszystkie jej pytania. Ondyna wzruszyła ramionami i podśmiewając się z niego zeszła na dół. Zrobiła głupio, bo powinna była najpierw jego wypędzić na dół i zejść dopiero po nim... ale... nawet ondyna popełnia głupstwa.



## *DEEP RIVER*

Oto nadchodzi mossieu colson z miństerstwa, prawie bez tchu, gdy inni zdążyli już nasłuchać się o głupocie ondyny... i oświadcza poirytowany, że powinni byli wysłuchać najpierw jego opowieści o bessie smith... oo, bessie smith, powiada... i nie wie, co ma dalej powiedzieć, aż nagle wydobywa z siebie surowe, dzikie dźwięki mające przypominać murzyński śpiew: och, cóż za dziwne owoce wiszą na drzewach ameryki południowej! I kramiek wybucha śmiechem. A mossieu colson spogląda na niego takim wzrokiem, którym mógłby głowę mu rozwalić: bessie smith była murzynką, której duszę przerzucano jak ścierkę pomiędzy plantacjami bawełny i gazowymi piecykami amerykańskich przedmieść... podczas gdy ta dusza powinna była się rozwinąć jak dzika roślina w jej własnym kraju: afryce; oto dlaczego śpiewała deep river... bo dla niej jordanem, tą głęboką rzeką, która oddzielała żydów od ziemi obiecanej, był właściwie ocean atlantycki, który oddzielał murzynów z ameryki południowej od afryki... i dlatego właśnie śpiewała; och, jakie dziwne owoce wiszą" na drzewach ameryki południowej, mając na myśli swoich braci i siostry, których tam linczowano... i dlatego śpiewała o niebie, które było im obiecane, ale które będzie takie jak tramwaj w nowym jorku, z jednym przedziałem dla Białych i jednym dla murzynów. A potem... kontynuuje mossieu colson z miństerstwa uroczyście i ze wzruszeniem... bessie smith znów miała wieczorem wystąpić, ale po drodze wiozące ją auto wpadło w poślizg i wyciągnięto ją spod niego z przebitą tętnicą, z której krew... krew tego czarnego śpiewającego ptaka wypływała jak cenny płyn z przewróconej butelki... śpieszcie się, śpieszcie... i zawieziono ją do najbliższego szpitala, ale to był szpital tylko dla

białych i przy bramie oznajmiono, że bardzo im przykro, ale nie zezwala się im na przyjmowanie murzynek... plum, plum, mówiła tymczasem wypływająca krew bessie smith... i zawieziono ją do następnego i jeszcze następnego szpitala, aż w końcu znaleziono mały i prymitywnie urządzone szpital dla murzynów; ale kiedy ją tam dowieziono, okazało się, że butelka była pusta; och, jakie cudowne butelki wylewa się w ameryce

i mosieu colson z miństerstwa milczy i razem z nim milczą wszyscy inni. I tylko twoja żona mówi z prawdziwym, przejmującym wisielczym humorem murzynów amerykańskich: mam takie wrażenie, jakbym w tej ciszy tego deszczowego lipcowego dnia słyszała krew bessie smith mówiącą plum-plum... ale to z pewnością rynna naszej komórki.

### *PROPAN BUTAN*

Jest to 1 z tych bezgranicznie smutnych niedzielnych popołudni, kiedy pisarz boontje siedzi samotnie... a gdy siedzi samotnie, to siedzi samotnie: zmęczony walką z wciąż wzbierającym potokiem Głupoty, z lianami, które błyskawicznie wyrastają w dżungli po przejściu tego, który przebija drogę... znów natychmiast zamykają ścieżkę, którą on sobie wyrąbał w ciągłej walce o życie... zmęczony walką ze swymi wrogami i swymi przyjaciółmi, którzy są jego najgorszymi wrogami... zmęczony walką z tymi, którzy rozgłaszają idee podobne do jego idei w swym podobieństwie przenikających wszędzie jak propan butan: bardzo lekki, ale śmierdzący i niebezpieczny. Bo chociaż boontje głosi nihilizm, to jego nihilizm nie jest beznadziejny; on wie, bardzo słabo przeczuwa, że ze zderzę

nia istniejących obecnie światowych ideologii wyniknie znów coś nowego, znów coś Innego... a jeśli to też nie będzie dużo lepsze, to pojawią się też nowi, tacy jak boontje. I jego nihilizm nie jest też sadystyczny, tak jak u innych, których nihilizm wykazuje fałszywe podobieństwo z jego; tańczą oni karmaniołę na ruinach i latają z kutasem na wierzchu wciąż bełkocząc i przeklinając, i wszystko dalej rozwalając: tymczasem boontje głosi nihilizm przyszłości, w której marzenie Poety będzie bliżej ziemi

jednak to nie dlatego jest to 1 z tych bezgranicznie smutnych niedzielnych popołudni, w które pisarz siedzi samotny... jest to dlatego bezgranicznie smutne niedzielne popołudnie, że nawiasem mówiąc, nie potrafi on tego wyrazić dość jasno i wyraźnie, dość żywo i misternie,, bo siedząc wśród książek, które sam napisał, nie zadaje sobie nawet tyle trudu, żeby zdmuchnąć z nich pył, widzi stojącą tam „zapomnianą ulicę”... i jest ona rzeczywiście zapomniana... a gdy widzi to nazwisko louis-paul boon i gdy czyta to, co ten louis-paul boon napisał, to myśli sobie: o cholera, co to za idiota. A potem zastanawia się, czego też ten louis-paul boon nie wymyśli, żeby napisać to, czego wcale nie ma na myśli! I ta „zapomniana ulica”, no popatrz tylko: każdy wybiera tytuł, w którym jest coś zapomnianego... zapomniana ulica, zapomniana wieś, zapomniane mieszkanie, zapomniany człowiek... i każdemu pisarzowi chodzi po głowie, żeby żyć w zapomnieniu i nie zajmować się innymi, bo życie uSPOłecznione staje się coraz bardziej palącą koniecznością, lecz jednostka ginie od tego uSPOłecznionego życia... i każdy pisarz bierze coś, w czym występuje ulica... zapomniana ulica kota-rybołówcy bez radości bez końca. I z tego miejsca widzisz, jak mały jest człowiek jako pisarz: wydaje mu się, że wszystko pochodzi z jego własnej łepetyny, a to nieprawda, są to idee unoszące się w powietrzu, tak

jak propan butan, i przenikające do jego mózgu, i dlatego jest to niedzielne popołudnie bezgranicznego smutku: dlatego że tylko to zostaje na papierze... a to, nad czym się tyle namozolił, nigdy nie zostaje zrodzone.

### *DESZCZ I STARA KORONKA*

Jest już połowa czerwca i wciąż jeszcze pada, całymi dniami i całymi nocami pada i pada... i twoja żona, której krew jest za rzadka, i której nerwy znów odmawiają posłuszeństwa, stoi przy oknie i patrzy na ten deszcz, powtarzając przy tym, że w poprzednich latach siedzieliśmy o tej porze w ardenach z naszym namiotem... pamiętasz, jak siedzieliśmy tam nad tym źródłem w lesie albo nad tym potokiem, który hasał po kamieniach, wyobraź sobie, że jesteśmy tam teraz i pada deszcz, i to szkodzi mi na nerwy, i przerywasz jej: tak, tak, ale to działa i na moje nerwy. Ale twoja żona nie przejmując się twoimi nerwami i dalej czyta swą deszczową litanię i powiada, że piękna żona Lucette też nie będzie tym zachwycona, bo jeśli w poprzednich latach jeździła z nami w ardeny i mieszkała w namiocie obok nas, razem ze swoim kantycznym nauczycielem, to teraz nie może jechać w ardeny... po pierwsze z powodu deszczu, który mi działa na nerwy, a po 2-gie z powodu małego odłamka szrapnela, który obiera w jej udzie, bo w trakcie ucieczki, podczas wojny w 40 roku była w bombardowaniu... ona teraz leży, a ten kawałek szrapnela wyjęto... nie przyjdzie dzisiaj wieczorem i znów będziemy siedzieć sami mając za jedyną rozrywkę wsłuchiwanie się w szum padającego, lipcowego deszczu, a to nie jest dobre na moje nerwy. I twoja żona ciągle jeszcze stoi przy oknie, także po tym, jak

usłyszałeś pukanie i wpuściłeś do środka mossieu colso-na z  
ministerstwa... i on widzi ją, jak tak stoi — ona po tej stronie szyby, a  
deszcz po tamtej stronie szyby... i niespodziewanie oświadcza, że nagle  
teraz znalazł tytuł dla swojego opowiadania: deszcz i stare koronki. Bo  
najpierw ten tytuł brzmiał: arszenik i stare koronki, tak jak w filmie, który  
nam kiedyś wyświetlano i w którym 2 staruszki ubrane w stare koronki  
mordowały w swojej piwnicy różnych ludzi arszenikiem... ale ten film  
może prędko zostać zapomniany i z tego powodu taki tytuł nie będzie już  
nic więcej znaczyć... no więc akcja mojego opowiadania będzie się toczyć  
w deszczu i dlatego zatytułuję je deszcz i stare koronki, słuchasz mnie?  
sióstr lammens było kiedyś 3... i 1-sza z nich jest teraz wdową po lekarzu  
i mieszka w czystym, ale doszczętnie zaszorowanym domu razem ze  
swoją 2-gą siostrą, prawie rówieśnicą, która za młodu trochę się kochała,  
ale nigdy nie wyszła za mąż... obie się zestarzały i posiwiały, żeby teraz  
spoza firanek szpiegować trochę mokrą od deszczu ulicę... ale teraz w  
wieczornym deszczu trzymając w górze parasole idą z wizytą do wdowca,  
który ożenił się z 3-cią siostrą, po tym, jak trochę chodził z tą niezamężną  
siostrą. I tu zaczyna się dramat. Podczas gdy ten siwy i podstarzały pan  
odprowadza do drzwi te 2 siwe i podstarzałe panie, całuje w korytarzu,  
przez moment, tę niezamężną siostrę.., i w tym momencie starsza siostra,  
ta, która jest wdową po lekarzu, i która właśnie wyjęła 2 mokre parasole  
ze stojaka, odwraca się i widzi, co się dzieje. I tu kończy się dramat. Ale  
gdy teraz siedzą obydwie za firanką i patrzą na ulicę, żeby zobaczyć, co  
też mogłoby się w tym deszczu wydarzyć, to ta starsza siostra powtarza  
wciąż: a ty... ty mu się pozwoliłaś pocałować w ko-: rytarzu.

## ONDYNA PRAGNIE POTOPU

*Ten komiwojażer z brukseli powiedział w przystępie aż nazbyt delikatnej miłości, że będzie czekać, ale jego coraz częstsze wizyty wskazywały na to, że zrobił się niecierpliwy... zaczął przyjeżdżać w każdą niedzielę, zaczął zostawać na cały dzień i z początku miał ze sobą zapakowane kanapki, żeby w obiad nie robić kłopotu... ale już po niedługim czasie pojawiał się w sobotę wieczór, żeby zostać do poniedziałku rano. Jadł tam i spał. Siedział przy piecu łypiąc oczami na chłopów, którzy grali w rzutki, hałasowali i pożądali kuzynki marii wyłącznie dla siebie... wtedy siedząc spokojnie w kąciku i grając w karty starał się czynić wrażenie, że wcale mu na niej nie zależy i mało go obchodzi, że tam sobie strzepiono języki; był jednak słabym aktorem, bo nie potrafił zapamiętać żadnej karty i ciągle przegrywał, choćby wpatrywał się w nie ze wszystkich sił. Ziewał i zaczynała go boleć głowa, był zmęczony od tego siedzenia w napięciu i czekania na zamknięcie gospody, żeby być z nią przez chwilę na podwórzu sam na sam; tam stawał się natychmiast kimś innym, niż próbował udawać przez cały wieczór; zniecierpliwiony tymi śmiertelnie nudnymi godzinami powtarzał wciąż tę samą śpiewkę: że nie powinna odnosić się tak poufale do tych chłopów. To nie są żadni chłopci, ale chłopcy z ter--muren, odpowiadała na to kuzynka maria. Och, tyle to on też wiedział, ale to było takie przyzwyczajenie, kiedyś, kiedy i ona zostanie panią i zamieszka w brukseli, też będzie każdego nazywać chłopem. Widziałem nawet, jak któryś cię łapał za biust. Chociaż to nie było prawdą, wcale niczego nie widział, mówił tylko to, co sobie przy nudnej grze w karty wyobrażał: kuzynka maria była jeszcze za młoda, by rozumieć, że powodem tego wszystkiego była jego niecierpliwość i jego utrzy*

*mywane w cuglach pożądanie; była też zbyt prostoduszna, jej matka powiedziała, że ten komiwojażer mógłby być dla nie dobrym mężem i że powinna być dla niego miła, I ona była miła. Niekiedy uśmiechała się do niego, pozwalała mu na to, czego wszystkim innym, może z wyjątkiem walerka — ale ten się więcej nie pokazywał — chyba by odmówiła. Och, ondyna miała prawdziwą uciechę, widząc, jak tych 2 niezdarnie ze sobą chodzi... zapytała kiedyś ze śmiechem, gdzie komiwojażera kładą spać, może nawet do łóżka ich kuzynki; i odpowiedziano jej, również ze śmiechem, że tak właśnie jest. I ledwo ondyna zdążyła wyjść na ulicę, zaczęła roznosić wszędzie tę nowinę jako najprawdziwszą praiodę, a gdy zachodziła tam, gdzie lubili robić z igły widły, to zaraz słyszała z cudzych ust kłamstwa, które sama rozsiewała. Jednakże nudziło ją to szeptane złorzeczenie bez otwartej kłótni; coś takiego okazało się w końcu za mało ważne, żeby ona zawracała sobie tym głowę; och, co z tego, że jakaś dziewczyna od czasu do czasu śpi z chłopakiem! nie myślisz chyba, że z tego powodu nastąpi na ziemi nowy potop? Potop, tak, to było chyba to, czego pragnęła... wojen i katastrof, zarazy i głodu, cholery i normanów... bo ona ginęła w tym ter-muren, kiedy nie miała tam nic więcej do roboty prócz roznoszenia tych kilku żalonych kłamstw.*

**JEANNINE TYMCZASOWA ZNÓW SIĘ POJAWIA**

Tippetotje stoi przy sztalugach i maluje... a równocześnie tłumaczy johanowi janssensowi, poecie i dziennikarzowi z gazety codziennej, że ostatnio w naszej książce za wiele się mówi o Tym, co wiesz... enfin... tak jakby to był najważniejszy temat i najistotniejsze

zjawisko naszych czasów... ba, podczas gdy to... enfin... jest tak stare jak ulica. Jaka ulica? pyta johan jans-sens... via appia, odpowiada tippetotje. I szukając czystego pędzla, powiada: ech, serwują nam teraz te opowieści boone z jego wielkim wąsem, które mają ponoć być odbiciem wielkiego świata, a równocześnie serwują nam te opowieści babci ernestyny, które mają być odbiciem encyklicznego świata... ale cóż mam powiedzieć o jeannie, wiesz której, tej mojej, jeannie tymczasowej, co mieszka tam w 1-szych brudnych domach za laborem? no więc ta jeannine tymczasowa ma teraz jakieś 17 lat i wpada z jednego kryzysu w drugi, drze się wtedy przeraźliwie i tupie, i kopie... to nerwy, powtarza jej matka... ale to są bardziej te nerwy tam pomiędzy jej udami... no i do 1-szych brudnych domów puka ktoś z policji, kto przyszedł się dowiedzieć, co to za ludzie, ci jej rodzice... o, to są porządni ludzie, mówią sąsiedzi... no, bo inaczej! mówi ten ktoś z policji z groźnie nastroszonym wąsem... bo inaczej! ich córka zwana jeanniną tymczasową została przez nas przyłapana na publicznej obrazie moralności, szła tam pod ter-muren zupełnie naga... i powinniśmy ją umieścić w merxplas. I przestawszy naśladować groźny głos policjanta, tippetotje mówi dalej: nawiasem mówiąc, ona jest niebrzydka, ta jeannine tymczasowa, nie, co to, to nie... chociaż ma w ustach trochę za dużo zębów, które rosną jeden przez drugi... ale wyobraź sobie, że podczas spaceru tam, za ter-muren, widzisz nagle jeannine, która wyskakuje przed tobą zupełnie naga... boże, chroń wtedy moją przerażoną duszę mieszczańskiej dziewczyny.

I johan janssens poeta i dziennikarz w gazecie codziennej kiwa bardzo poważnie głową: to najprawdziwsza prawda, że tym sprawom... enfin... poświęca się za wiele uwagi... bo gdyby akcja tej książki rozgrywała się w wielkim mieście, to co by się wtedy z niej



porobiło?... tak jak dziś rano na rue rue, tam w kwiaciarni, gdzie jakaś młoda kobieta opróżniła wystawę i sama na niej ot tak kucnęła... nie, tego nie powinna była robić, bo przecież sama dobrze wiedziała, czy rano założyła majtki, czy nie... nie, tego po raz kolejny nie powinna była robić, bo tuż przede mną szedł jakiś mężczyzna i on też to zobaczył, i zatrzymał się... a ona siedziała i bóg wie, co ten mężczyzna będzie dziś wieczorem wyczyniać, bo nawet ja szedłem dalej czując, że serce bije mi dwa razy szybciej albo bije wolniej... bo ciągle nie wiem, czy uderzyło mi o 1 raz za dużo, czy o 1 raz za mało.

### *PROMIENNE NIEDZIELNE POPOŁUDNIE*

*Było to promienne niedzielne popołudnie i ondyna ujrzała lizę stojącą w drzwiach i kołyszącą do snu swoje 3-cie dziecko: opowiedziała ondynie, że był u niej pan brys. Jak wyglądał? zapytała ondyna bez entuzjazmu. Och, musiał sprzedać swój mały dom i chodzi w dziurawych butach, do których wkłada gazety, żeby za szybko nie przemakały, powiedziała liza... ona, liza, poczęstowała go filiżanką kawy, najpierw odmówił, ale potem jednak wypił... uścisnął jej przeciągle rękę... trochę płakał i przyznał się, że od 2 dni nic nie jadł: jednak nadal nosi swoje pince-nez i swój melonik, na pierwszy rzut oka nie było po nim widać, jak mu ciężko; opowiadał, jak otrzymał od jilatury obrzydliwą propozycję, propozycję, której nie chciał przyjąć... nie mogli przeszkodzić rozwojowi jego związku, ale dranie — tak, ten porządny mieszczuch wypowiedział po raz 1-szy w swoim życiu takie słowo i przeprosił za to — dranie wynaleźli coś innego; gdy jak co rano po*

szedł do kościoła, ksiądz odmówił mu komunii; podszedł z hostią wzniesioną do góry, cofnął się i przeszedł obok... tak jakby chrystus, który urodził się w stajni, a umarł na kawałku drewna, nie miał nic wspólnego z kimś, kto organizuje dla robotnika kasę chorych. Pan brys natychmiast zwołał swych członków, ale już było za późno, wiadomość obiegła to małe miasto z 2 fabrykami z szybkością błyskawicy: panu brysowi odmówiono komunii!... i członkowie jego związku byli przestraszeni... ci nieliczni, którzy przyszli do jego domu na zebranie, byli przekupieni i przyszli tylko po to, żeby z niego szydzić... przemówił do nich ze łzami w oczach... ale oni poszli złamawszy 2 krzesła i coś wsunąwszy do swoich kieszeni: pamiątkę, którą jego zmarła żona tak bardzo lubiła... poszli kradnąc i niszczone, zarzucając mu, że jest złodziejem i oszustem. Zostało tylko 2 członków. I ci zaproponowali, żeby się natychmiast przyłączyć do socjałów, ale on nie chciał; wy możecie iść, powiedział, ale ja jestem za stary na to, żeby wstępować do zupełnie nowego ruchu. I powiedział też lizie tak: jeśli twój mąż ma rozum, to niech siedzi cicho i nie wstępować do socjałów, bo przez całe życie będzie prześladowany, a i tak nic z tego nie będzie. On sam wyjedzie stąd, do anglii... o co pan tam będzie robić?... och, szukać pracy i dobrze się prowadzić, odpowiedział. No, to dopiero była wiadomość dla ondyny, jeszcze nigdy nie widziała tak promiennego niedzielnego popołudnia, pełnego nadziei, pełnego słońca, i pogwizdując jak mężczyzna, wkroczyła do gospody przy przejeździe, gdzie chłopcy z ter-muren rzucali lotkami do tarczy.

## *NIECH ŻYJE KRÓL... OBOJĘTNIE JAKI*

To jest bajka o całowaniu, z lisa przechery... w przeciwieństwie do bajki o pokoju-bożym, która przyjdzie znacznie później i będzie bardzo do niej podobna. Ale w bajce o całowaniu pielgrzymi wracając trzymają w bezsilnie zwieszonych rękach jeszcze bardziej zwieszone chorągiewki z miejsca, które było celem ich pielgrzymki, bo ani różaniec kozy sapiny, ani zardzewiały rewolwer schwarz-schapa, ani okulary osła carcofasa nie mogły pomóc przeciw chorobie króla nobla... co to była za choroba, na którą miał umrzeć nobel? ta choroba nobla, odpowiedział poważnie carcofas i wykonał gest, który miał ilustrować, jak starzy królowie mają robić miejsce nowym królom stali, ropy i uranu... obojętnie jakiemu, odpowiedział machinalnie kozioł bekard, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co mówi, i zaczynając rozumieć dopiero wtedy, gdy sapina spojrzała na niego z wściekłością. A na drodze z kapliczką siedziała stara i głucha jak pień wróblca, żywiąca się gównem wszystkich tych, na których spoglądała z wielkim szacunkiem —■ zrodziwszy na świat wiele młodych, tak jak jej kazano, miała teraz nadzieję na to czy tamto, sama nie wiedziała na co, może na to, że zostanie przyjęta do domu starych wróbli — i świer-gotliwie zawołała za nimi: niech żyje król... obojętnie jaki. Ale stojąc pośród swego rozdeptanego gówna, musiała przyglądać się temu, jak nikt nie zwraca na nią uwagi, i w przygnębieniu kręcąc głową powtarzała: niech żyje król uranu, obojętnie jaki, który umieści mnie w przytułku, Ale z oddali nadchodził ostatni z pielgrzymów, wróblca zamachała swoimi starymi skrzydłami i krzyknęła również do tego: niech żyje... Przechera podniósł jednak łapę, żeby nakazać jej milczenie: nie ma takiej pielgrzymki, która mogłaby coś pomóc

na chorobę nobla, oświadczył... i żeby lepiej zilustrować swą myśl, zacytował wiersz w. ieprza e. śnego:

ten podły drań z brodą stał i patrzył na nas jak na żołdaków, do dziś zrozumieć mi się nie udało, jak dziewięć tysięcy karków tak cierpliwie się zginało, ach, gdybyż mu raz spodnie zdjąć się udało, by jego tyłek porządnie sprać, ale stanie się kiedyś, co ma się stać, jesteśmy gotowi tak się zemścić, żeby mu jednak karku nie skrócić.

i dalej odmalował przyszłe społeczeństwo i powszechny pokój na świecie... i wymachując rękami jeszcze raz proklamował republikę.

Jednak wróblica świergotała niez mordowanie o swej nadziei na przytułek i zarzucając przecherze, iż jest anarchistą i nihilistą, zapytała, czego się w takim razie będzie jeszcze słuchać, jeśli nie będzie więcej nikogo, komu można by być posłusznym? Na to lisa ogarnęło jeszcze większe przygnębienie niż kiedykolwiek przedtem: zejdz z tego drzewa i daj mi pocałunek wolnych braci, to bardzo szybko umieszczę cię w przytułku, zaproponował... i zamknął pełne goryczy oczy, aby jej nie odstraszać... ale kiedy spadła z drzewa odrobina mchu i on z kłapnięciem rozwarł paszczę, wróblica nabrała podejrzliwości: chodź, chodź, to było tylko po to, żeby ci wykazać, w jaki sposób papież jest nieomylny w sprawach wiary i moralności, i aby ci równocześnie wykazać, jak nobel w swej nietykalności jest ponad wszelką zdradę. Ale podczas gdy starał się wywołać na swej fizjonomii miłszy grymas, ujrzał w oddali zbliżającego się swego starego wroga, constanta barona derenancourta, z ujadającymi, encyklicznymi psami. I wzięwszy ogon między nogi ruszył pośpiesznie dalej, goniony świergotem wróblicy: dlaczego odchodzisz, jeśli republika została proklamowana? Proklamowana, ale jeszcze nie podpisana przez te psy, odkrzyknął, zanim zniknął w lesie za zamkiem, johan janssens.

## *KLAPKI NA OCZY*

W to lipcowe sobotnie popołudnie, kiedy nareszcie przyszło lato i piękna pogoda, ludzie z 4 willi 'stoją w cieniu przy drzwiach swoich domów: 4 panusie, które omawiają życie na drodze z kapliczką na swój sposób, podobnie jak ty opisujesz je na Twój sposób. A jeśli mowa o pisaniu: tippetotje mówi ci, kręcąc głową: mossieu colson odczuwa wzruszające, ale trochę sym-plicystyczne pragnienie powstrzymania ludzi na tej drodze, po której zdążają... to coś takiego, jakbyśmy stanęli pod wodospadem niagara i w zaklinającym geście wznieśli do góry ręce... jest też wzruszający, choć nieco symplicystyczny pogląd, że królestwo człowieka kończy się wraz z bombą atomową — bo całkiem możliwe, że mój własny strach, o którym mówiłam wcześniej, jest jednak bólem żołądka — tak jak myślano, że z wynalezieniem maszyny parowej królestwo człowieka czeka nieuchronny koniec... ha, podczas gdy historia człowieka jest właściwie historią niebezpiecznych odkryć... m.in. druku i prochu... bo człowiek się doszczętnie zaczytał, ale poszedł dalej i nosi okulary wszelkich rodzajów i modeli, i czyta gazety, i potrafi napisać swoje imię sikając na śnieg... i człowiek się doszczętnie zafajerwerkował, tak że ręce i nogi, kawałki penisa leżą w rowie biegnącym wzdłuż drogi, po której przeszedł, ale on wciąż idzie dalej i zawsze będzie szedł dalej, nawet po tym, jak się rozerwie na atomy i później znów się sztucznie poskłada do kupy. Bo człowiek się przystosowuje... przystosowuje się i przez to został królem wszelkiego stworzenia... przystosowuje się do chłodu antarktydy i upałów sahary, do transzei z 14—18 i do schronów z 39—44, w szkole u zakonnic i pod reżimami faszystowskimi, marksistów

skimi i encyklicznymi. Przystosowuje się i dlatego ma tę przewagę, że jest panem wszelkiego stworzenia...

I w tym właśnie momencie przez drogę z kapliczką przejeżdża nowe auto, które trąbi na znak pozdrowienia i tippetotje powiada: widzisz, akurat przejeżdża jaspers komiwojażer i on jest żywym świadectwem, plastycznym odbiciem mojego wywodu; dawniej był on zawsze jaspersem komiwojażerem, który ze swymi 2 ciężkimi walizami szedł do pociągu i zawsze w nim rozmawiał używając terminów komiwojażerskich... ale teraz, odkąd został posiadaczem samochodu, mówi już tylko używając terminów automobilowych — mówi o swoim „koniku” i z pogardą spogląda na lotną policję nazywając jej przedstawicieli „muchami tse-tse naszych dróg”... lecz będąc panem stworzenia jest znacznie bardziej niewolnikiem stworzenia; przez tę wiarę w siebie może ogarnąć tylko 1 określone pole widzenia i według słów Chrystusa jest ubogim duchem, który wkracza do królestw<sup>T</sup>a niebieskiego.

*LIZAK*

*Tak więc chłopcy rzucali tam lotkami do tarczy... a komiwojażer z brukseli siedział i gapił się przez okno na zawsze i wiecznie ten sam szlaban: ondyna zaproponowała mu: w tym czasie, kiedy nasza kuzynka i tak musi być w gospodzie, może byśmy poszli na spacer. Od tego momentu ondyna wydawała się być tą, która z nim chodzi... nastąpiło lato i ondyna z komiwojażerem wybierali się na dalekie spacerunki wzdłuż toru kolejowego, przechodzili przez lasy tralfenne, daleko za ter--muren, i wychodzili nad denderem. Ondyna poprosiła go, żeby wynajęli łódkę i trochę powiosłowali, na wo*

izie był taki miły chłód, ale on nigdy jeszcze nie siedział w łódce i bał się, że utonie. Śmiać jej się z niego chciało... i na końcu języka miała pytanie, czy przed chwilą, w lasach, też się bał... ale uznała, że byłby to daremny trud: im dłużej się z nim przebywało, tym większym ofermą się wydawał. Ondyna nie chciała wrzacać wzdłuż denderu i podchodząc do tego małego miasta z 2 fabrykami, z obawy, że mogłaby spotkać panią monique van wesenborgh albo jakąś inną ze szkoły madame berthe i że taka jedna z drugą mogłaby pomyśleć, że on jest jej kochankiem, obeszli ter-muren wielkim łukiem i o zmroku wrócili na drogę z kapliczką; ondyna pokazała mu wille, które były prawie na ukończeniu, wyjęła też ze swojej siatki klucz i otworzyła drzwi 4-tej willi. Obejrzeni dół i górę i przez jakiś czas siedzieli na mansardzie, wpatrując się w zmierzch, który rozścielał się wokół niestrzeżonego szlabanu i otoczonej drzewami kapliczki. Tam nareszcie zaczęli rozmawiać o jej kuzynce, bo do tej pory unikali tego tematu... właściwie powinienes mieć taką żonę jak ja, powiedziała ondyna, żonę, która ma pojęcie o provm-dzeniu interesów, ale, jak sam widzisz, ja nie mogę się stąd ruszyć. I wykonała szeroki gest, tak jakby chciała wskazać nie pomalowane jeszcze okna i drzwi, i listwy, jak gdyby ona sama wszystko to zrobiła i wstawiła. On też być może nie zrozumiał dobrze tego jej gestu, bo zapadająca ciemność nie pozwalała wiele rozróżnić; mógł pomyśleć, że w tym geście miała na myśli całe ter-muren. I ondyna wykorzystala tę ciemność pomiędzy nimi, aby powiedzieć, że nie będzie miał wiele pożytku z ich kuzynki, bo ona jest za głupia. Ale on jej bronił... czy może siebie... mówiąc, że ondyna jest jednak za surowa. Och, surowa, co to takiego surowość, rozejrzyj się, to sam zobaczysz, że te dziewczyny, które szybko dojrzały, mające w wieku 15 lat taki biust, że każdy tylko oczy wytrzeszcza, wyglądają w wieku, kie

*dy inne kobiety zaczynają dopiero na dobre kwitnąć, na zniszczone baby. Naprawdę? zapytał. W wieku 19 lat będzie już miała obwisłe piersi, tego możesz być pewien, odpowiedziała ondyna... i zapytała go, jak to może być, że przyjeżdża z brukseli i jeszcze nie ma pojęcia o kobietach... i ten dureń chciał pokazać, że mA pojęcie o kobietach, ale ondyna dała mu po łapach. To był jej triumf, dAc mu po łapach: tak, oparzyć sobie palce, o tym masz pojęcie, ale nie o tym, czego naprawdę kobieta pragnie. Wyszli z tej pustej willi i w milczeniu poszli drogą... koło kapliczki ondyna poioiedzia-ła jeszcze: i kobieta to coś więcej niż tylko ciało, pamiętaj o tym... i wtedy zostawiła go nagle, tak jak stał, żeby wejść do swego rodzinnego domu: ech, to był taki sam prostak jak wszyscy inni... popatrz tylko, jak się teraz śpieszy, jak pędzi, żeby nadrobić stracony czas, choć jeszcze przed chwilą pcfiai ręce pod moją spódnicę... to buhaj, buhaj, który rozwozi cukierki i lizaki. I odegnęła od siebie tę głupią myśl, że może między nogami też mu wisi lizak: powinnam to kiedyś sprawdzić.*

#### **ARTYSTA W MUNDURZE**

Drogą z kapliczką idzie dziennikarz z gazety codziennej johan janssens i o mało co mu się nie pomyliły wille, tak jest zajęty przeprowadzanym samemu ze sobą przeglądem sytuacji: tak, a więc mają powołać radę, która będzie decydować o tym, co mogę albo czego nie mogę pisać, i która równocześnie będzie decydować o tym, co będzie albo nie będzie publikowane... i jeśli chodzi o mnie, to właściwie jestem z tego zado



wolony, złośliwie zadowolony, bo teraz dopiero zobaczą, jaki właściwie jest ich pogląd na sztukę  
jest też między nimi jeden artysta, pianista, który nie ma żadnego kontaktu ze światem, tylko na wszystko patrzy przez pępek swego fortepianu... zanim da recital, kładzie się nago w ciemnym pokoju obłożony wilgotnymi, gorącymi ręcznikami... i leży tam nieruchomo, zanim wystąpi z recitalem... tzn. odegra kawałek muzyczny, napisany przez tego czy tamtego... jak deklamator, który mamrocze wiersz napisany przez tego czy innego. A potem wraca i musi spożyć wyszukany posiłek... ale nigdy coś zwierzęcego, żadnej ryby ani mięsa, ani jaj... i wtedy jego matka robi mu naleśniki na jajkach, a on, nie wiedząc o tym, wcina je i mówi: moja matka umie robić najlepsze naleśniki w świecie, i to Bez jajek, wyobrażasz sobie?  
i byłem ciekaw, co ten bałwan będzie mieć do powiedzenia o naleśnikach... nie, o sztuce...  
bo rezygnować z mojej pracy nie mam zamiaru, znów się przeciw temu buntować, nie zgadzam się, CIĄGLE walić głową we wszystkie mury, odmawiam; moja żona też ma czasem prawo do nowej sukienki, a mój syn jo do nowej zabawki... ja zaś pragnę tego, żeby Ich czasem widzieć szczęśliwymi... ale nie pragnę więcej tego, żebym musiał przyjść do domu i oznajmić: zbuntowałem się i zrezygnowałem z pracy. I powiedziawszy sobie to wszystko, johan janssens, dziennikarz z gazety codziennej, odkrywa, że stoi na niewłaściwym progu niewłaściwej willi... i kiedy wreszcie otwiera swoje własne drzwi, to już w korytarzu spotyka wychodzącą mu naprzeciw żonę, która pyta go, z trochę przeczuwającą obawą: i?... I johan janssens odpowiada jej: och, nie było ich tam, nie mieli czasu, znowu zupełnie sam zapełniłem kolumnę życie duchowe... musiałem się jednak ponuro roześmiać, gdy na

mój własny, drwiący sposób wypowiadałem moje własne myśli: tak, co też teraz napiszę takiego, co będzie niedobre, nieodpowiednie i politycznie niesłuszne? I musiałem się też ponuro roześmiać, gdy sam sobie na mój własny, drwiący sposób odpowiedziałem: jestem artystą w mundurze... a co najdziwniejsze takim, który nie otrzymuje żadnych rozkazów, bo wręcz nie potrafią wydać mu tych rozkazów... ale który po bitwie mimo to usłyszy, że mają zamiar go zdegradować.

### *KUZYNKA MARIA JEST W CIĄŻY*

*Po wejściu do domu ondyna stanęła i rozejrzała się wokół... nie miała ochoty siedzieć razem z innymi w kręgu światła rzucanego przez naftową lampę i wyczekiwać beczynn timer, aż przyjdzie pora pójścia do łóżka: jedząc kanapkę popatrzyła na walerka, który wiazał gałganki wokół swych poharatanych palców. Ondyna wywabiła go na podwórko, gdzie stanął w tym metrze kwadratowym jasności padającej z małego okna, podczas gdy ona zadbała o to, by stanąć w ciemności: zapytała go, dlaczego był taki niezręczny z ich kuzynką marią, że dał ją sobie sprzątnąć sprzed nosa przez jakiegoś lizaka? W trudnych słowach, które sprawiały mu ból, wyjaśnił jej, jak do tego doszło: nigdy ze sobą*

*0 Tym nie rozmawiali, twierdził walerek. O czym? zapytała ondyna... no, o Tym, powtórzył raz jeszcze. I w ten sposób ondyna musiała wyciskać z niego słowo za słowem... obwiniać swojej siostry nie miał odwagi, ondyna mogła jednak z jego słów wywnioskować, że to w niej widział przyczynę swej nieszczęśliwej miłości; czy nie mówiła mu, że ma być porządnym chłopcem*

*I żyć po chrześcijańsku? Ondyna roześmiała się drwią*

co: ale nie wtedy, gdy nikt cię nie widzi. A ponieważ walek wpatrywał się ze zdziwieniem **IO** ciemność, tam gdzie stała ondyna, pośpieszyła z wyjaśnieniem: to, że powinieneś być porządnym chłopcem, znaczy, że musisz być uprzejmy dla księdza i w każdą niedzielę chodzić do kościoła, a na ulicy być świętszy od innych... ale to wcale nie znaczy, że nie możesz w ciemności wsadzić dziewczynie ręki pod spódnicę, żeby zobaczyć, jak tam jest zrobiona. Radziła mu, poruszyła nawet takie rzeczy, z powodu których musiał ze wstydem odwrócić głowę: jestem zbyt zmęczony, gdy wieczorem wracamy do domu, usprawiedliwiał się. A w dodatku czy ona jest jeszcze mnie warta? I opowiedział, że ich kuzynka śpi z tym komiwojażerem z brukseli. Och, ty stary durniu, zaśmiała się ondyna, to są kłamstwa, które ja sama rozniosłam. Nie, nie, to nie są żadne kłamstwa... i przyznał się, jękliwie i zawile, do tego, że przez dłuższy czas godzinami toystawał po nocy przy nie strzeżonym przejeździe i w pokoju ich kuzynki marii widział cień mężczyzny; i nie powinnaś mnie pytać, czy się nie mylę, bo może nie wiem, gdzie śpi kuzynka maria, ale ja wiem, ponieważ wystarczająco-często bawiłem się z nią w jej łóżku. Ondyna zrozumiała z tego, że był on tak głupio, tak nieszczęśliwie zakochany, że poświęcał nawet noce, by wpatrywać się w jej okno... tęskniąc za jej cieniem i odkrywając w sobie masochistyczną przyjemność w tym, że ona to łóżko, w którym bawili się razem jako dzieci, dzieli teraz z jakimś innym, bogatym panem z brukseli. I równocześnie przypomniała sobie, jak ona sama cierpiała niegdyś z powodu tej... enfin... tej z platfusem. I gdyby podniecenie znów jej nie poniosło, jak zwykle, to dalej by rozmyślała o tym nocnym pałętaniu się walerka, spytała go, czy to jego normalne zajęcie potajemnie podglądać, co robią inni... ale nieokielznana żądza, by wykopać przepaść pomiędzy jej kuzynką marią a liza

kiem i wpędzić im między nogi walerka, uniemożliwiła jakiegokolwiek rozmyślenia; on słuchał jej rozkazów z rozdziawionymi ustami,, a ona czasem, wśród swego trajkotania o tym, jak powinien zrobić to, jak powinien zrobić tamto, karciała go: zamknijże ten dziób!... albo gdy zrobił coś niewłaściwego, gromiła go z wściekłością, że co prawda gębę ma rozdziawioną, ale uszy zapewne pełne wapna i cementu z 4 willi. Odchodząc walerek czuł się jak lew, napompowany odwagą, ale gdy doszedł tam, do przejazdu, był już tylko strachliwą owcą; jak z dziurawego wiadra wyciekała z niego po drodze dopiero co nalana siła woli. Klócić się to też nie dla niego: wszedł do gospody i rozglądał się za jakimś cichym kątem... ale wszystkie kąty były pozajmowane, tak że zbyt mocno zwracał na siebie uwagę, zaczął wtedy na wszystkie strony kręcić swą wielką głową i potykając się w otumaniającej nieśmiałości o wszystko, co było na drodze, poszedł z powrotem do domu. No i? zapytała ondyna. Było za dużo ludzi, gapili się na mnie, odpowiedział walerek. Aż kiedyś, po tym, jak przesiedział tam ciurkiem kilka godzin, wrócił do domu z chusteczką do nosa... ondyna znalazła ją po jakimś czasie; to nie nasza chusteczka, powiedziała, rozglądając się z pytaniem w oczach... i walerek spuścił zawstydzony głowę, bo to była chusteczka ich kuzynki, którą nosił jak relikwię. Ty cholerny durniu, zawołała ondyna... miała ochotę natychmiast udusić tę świętą postać, którą on miał w sobie, ukreślić jej kark i pokazać mu ją jak odartą z piór kurę: a czy ty wiesz, że kuzynka maria, choć taka duża i tęga, ma białe upławy, gdy przychodzi jej okres? I wypowiedziała to z nienawiścią, z szyderczym śmiechem, z kurczowo wyciągniętymi przed siebie rękami, tak jakby tę o wiele za piękną postać tam w jego głupiej łepetynie trzymała już pomiędzy swymi zaciskającymi się palcami. Białe upławy, wymamrotał walerek z otwartymi ustami... z ustami, na których

*zawisł niewyraźny, błogi uśmiech, bo on pragnął takich właśnie rzeczy o niej słuchać. Ondyna złapała go za rękę i pociągnęła do gospody, mając zamiar urządzić tam taką awanturę, że kurz wzbije się nad ter-muren aż pod niebo.,, ale spóźniła się, przyszła akurat po to, żeby być świadkiem najpiękniejszej awantury, o jakiej tylko mogła marzyć: okazało się, że ich kuzynka maria jest w ciąży. Lizak, który początkowo z podniesionymi 2 palcami przysięgał, że się z nią ożeni, wrócił teraz ze zwieszoną głową; wyjaśnił, że jeszcze nie można załatwić formalności, bo kuzynka maria jest za młoda. Tyle to myśmy sami wiedzieli, ośle jeden, odpowiedziano mu w gospodzie... możesz powiedzieć, że masz szczęście, że cię tam w gminie natychmiast nie wsadzili do paki,*

*Ondyna przysłuchiwała się temu z uśmiechem wzniosłego szczęścia na ustach... tańczyła od domu do domu lekko jak motyl.*

*DOBRZY ODCHODZĄ, A ZIA ZOSTAJĄ*

*Kiedyś ondyna powiedziała w pokoiku na zapleczu gospody, przy pełnej sali, że jeszcze się zobaczy, jak to było naprawdę: gdy dziecko się urodzi i będzie miało tylko 4 palce. Nie od razu to zrozumiano, chociaż ich kuzynka mocno się zaczerwieniła i rozplakała... lizak rozejrzał się wokół pytajaco, aż jego wzrok padł na walerka, który gapił się idiotycznie na swą okaleczoną rękę. Wtedy chrystus podniósł się z krzesła; jeszcze nigdy nie powiedział w tej sprawie ani jednego słowa i teraz też nic nie powiedział, tylko podszedł do drzwi, otworzył je na oścież i niemo na nie wskazując, popatrzył na ondynę. Ondyna wstała i poszła, z podnie*

sioną głową, powiedziawszy coś, co sobie przypomniała z religii o tym, że suche drewno zostanie spalone, ale zielone zakwitnie... i nie zapominajcie, że to zawsze tAk jest, dodała, że dobrzy odchodzą, źli zostają... chodź, walerek.

I tak minął czas, kiedy się chodziło z narzeczoną to tu, to tam, wzięło ślub i w końcu z żonką tujjechało do brukseli; maria chodziła z trudnością, bo były to jej ostatnie dni. Ponaglano lizaka, żeby się śpieszył, tak jakby to akurat on miał prowadzić ten pociąg... chcieli przejść pieszo drogą z kapliczką, żeby wsiąść na pociąg na stacji w mieście z 2 fabrykami, ale jakże byli zdziwieni, ujrawszy koło 4 willi walerka, stojącego z wielką walizką między nogami i w dziwacznym kapeluszu na wielkiej głowie, i wciąż jeszcze z gałgankami na palcach... pójdzie razem z nimi, żeby ponieść walizy, oświadczył... ale miał już dość kłopotu z własną. Lizak odważył się go spytać, po co więc sam ma walizkę, i walerek wyjąkał, że jedzie z nimi, żeby im pomóc, tutaj przy willach robota jest już prawie skończona, zostało jeszcze trochę do wykończenia, ale z tym ojciec sam sobie poradzi. Komiwojażer stanął jak wryty, wy--dawało mu się, że to niemożliwe, że to jakiś koszmar, zły sen, zesłany mu przez tę, której nienawidził, której się bał jak zarazy: przez ondynę. Natomiast kuzynka maria przeciwnie, ona, która w ostatnich tygodniach była ciągana ze swym bębniem to tu, to tam i była przerażona tym, że musi się przeprowadzić do zupełnie obcego sobie miasta, gdzie nie zna nikogo i gdzie w dodatku mówi się w języku, którego ona nie rozumie, wyraźnie pojaśniała. Szła trochę ponuro i twierdziła, że to z powodu jej stanu, ale teraz rozpromieniła się i zaczęła świergotać; mrugnęła do męża i powiedziała: och, daj spokój, nie ma o czym mówić, toż to taki nieborak... a przy tym będę wtedy mogła tam, wśród ob" cych, pogadać z kimś z moich stron. I tak oto ruszyli

*wszyscy 3, a kuzynka maria, która jeszcze raz się obejrzała, dostrzegła, że ktoś ich śledzi spoza okna jednej z willi: była to ondyna. Pouczyła ona walerka z zapalem, jak może kompletnie zrujnować miodowy miesiąc tych 2. Jednakże... walerek kroczył obok swej kuzynki, obok swego marzenia... i też się odwrócił w kierunku ondyny i teraz on zawołał ze śmiechem: dobrzy odchodzą, a źli zostają. Śmiał się, naprawdę, ale nagle skurczył się w sobie, bo poczuł, że powiedział coś niewłaściwego.*

### *TO INNI O CZYMŚ OPOWIADAJĄ*

Zamiast pójść do domu, johan janssens, dziennikarz z gazety codziennej... tak, jak to właściwie teraz jest, czy dziennikarz zwolniony z gazety codziennej jest nadal dziennikarzem z gazety codziennej?... johan janssens skręca na drogę za zamkiem, przekonany o tym, że wreszcie będzie mógł być sam na sam ze swoimi myślami. Ale popatrz, zderza się tam z mossieu col-sonem z miństerstwa i odzywa się do niego: muszę ci opowiedzieć, że... Lecz mossieu colson, który jest przepełniony swoimi zdarzeniami i swoim życiem, mówi: pozwól mi lepiej opowiedzieć ci coś takiego, o czym możesz pisać w gazetach... historię pana lyona milczka, który spędzał swe życie z jednej strony za kratkami banku comptoir et credit, a z drugiej strony w łóżku swojej młodej żony, którą za każdym razem męczył i dre czył, a kiedy lekarz powiedział mu, że powinien tego zaprzestać, odpowiedział, że nie chce przestać, bo się ożenił i ma prawo do swojej żony... a w domu prawie wcale się nie odzywał, tylko nalewał sobie szklanekę wina, zapalał cygaro i zagłębiał się w klubowym

fotelu... a gdy w końcu lekarz oświadczył, że jego żona musi być natychmiast operowana, to nic na to nie odpowiedział ani nie spytał, na co albo po co musi być operowana... ale już od wczesnego rana bez końca opowiadał swojej kucharce diabeł wie o czym... i który, gdy musiał jechać do centrali banku eomptoir et credit w brukseli, to laził tam przez cały dzień po ulicach, po wielkich domach towarowych, po parkach i widział tylko nogi, nogi i jeszcze raz nogi, i sam się tym podniecał, i gdy przyjeżdżał do domu, natychmiast zaciągał żonę do łóżka... i wlaził tam na swoją dopiero co zoperowaną bladą i przezroczystą żonę, i korzystał ze swego Prawa do niej, realizował swoje Prawo, zachłystywał się swoim Prawem, i śmiał się ironicznie z maleńkiej kropelki krwi, wypływającej z jej bladego i przezroczystego ciała, i któremu potem, na samym końcu, wyrwało się wreszcie, że ścigał się z konnym żandarmem, on pieszo, a ten żandarm na koniu... i jak stwierdził z triumfem, że ten żandarm nie mógł go prześcignąć... i jak w końcu umarł... ale bardzo zwyczajnie i nie w domu wariatów, jak sobie może myślisz.

no dobrze, odzywa się johan janssens, i mówisz, żeby tę historię opisać w gazetach... ha, to Ja ci teraz opowiem, że...

ale krocząc tak przed siebie, dochodzą do 1-szych brudnych domów za laborem, gdzie pod ostatnimi spadającymi z nieba kroplami deszczu stoi pełno ludzi i kilku żandarmów... i mossieu colson z miństerstwa pyta: co się tu stało? I ktoś się odwraca w jego kierunku i mówi: ha, pozwól, że Ja ci to opowiem: wiesz, że tutaj mieszka Marynarz, który zawsze pływał na wielkiej linii hamburg — ryga... no więc ten Marynarz oszczędzał przez całe życie, żeby mieć jakiś grosz na stare lata, ale teraz, kiedy wojna się skończyła i zrobiono wymianę pieniędzy, on też musiał zdać tę odrobinę swoich oszczędności i na stare lata musi znów zacząć



pływać... ale teraz przyszli żandarmi, żeby sprawdzić, czy on w czasie wojny nie był czarnym... ha, i widzisz, i słyszysz ten rejwach?... no więc, to są ludzie z 1-szych brudnych domów, którzy otoczyli żandarmów i pytają, czy Oni nie byli czarnymi... dość nam w czasie wojny zalali sadła za skórę, mówiąc przy tym: to Niemcy nam każą i mossieu Colson z Ministerstwa kręci głową i powiada: widzisz, Johanie Janssensie, myślałem, że „gdy spotkam Johana Janssensę, to natychmiast mu opowiem historię pana Lyona, milczka”... ale ledwo zdążyłem opowiedzieć, a tu już dzieje się coś nowego: każdy ma coś do opowiedzenia.

*SEN*

A nocą niespokojnemu, przestraszonemu i walczącemu o swe życie Johanowi Janssensowi coś się śni... i jego żona budzi go i pyta, czy śniło mu się, że walczył... I informuje go przy tym, że popiskiwał jak mysz. Walczę jak mysz, myśli Johan Janssens.

*CZYJA TO WINA?*

*Ledwo co kuzynka Maria zdążyła wyjechać do Brukseli, gdy przed ondyną pojawiły się nowe trudności... ale to było właśnie to, czego ona pragnęła duszą i sercem: usychała, jeśli nie było kłótni albo nieszczęść. A teraz zobaczyła starego księdza Voncke szlochającego 'na swej ambonie; powiedział, że diabły się rozpleni*

ły — dzięki bogu ludzie w ter-muren żyją jeszcze spokojnie — ale w mieście z 2 fabrykami chodzą już z nożem w zębach i jedzą ludzkie mięso; a teraz mają tam-jeszcze swój związek zaujodowy i przychodzi też powszechne prawo wyborcze i ciekaw jestem, czy teraz pójdziecie ze mną, czy też przeciw mnie. Zaczął szlochać i zapytał, czy nie był zawsze dla nich dobry... tak jakby sobie wyobrażał, że wchodzi na ambonę po raz ostatni i że musi ustąpić miejsca wcielonemu diabłu. Ludzie wyszli z kościoła i rozmawiali o tym kręcąc głowami, i nie było takiego domu, gdzie by się nie modlono: od bezbożnych socjałów uwolnij nas, panie. I tylko u on-dyny nie modlono się o to: vaporeur, który wyglądał na starszego o 10 lat, od kiedy zaczął pracować przy 4 willach, był zdania, że każdy musi przecież troszczyć się o własne sprawy... i czy to diabeł będzie stać na ambonie, czy też ksiądz — orzekł ■— to i tak my, mieszczaństwo, będziemy musieli płacić za śioieczki. Ondynie śmiać się chciało z tej przenośni, ale później dotarła do niej jednak głęboka prawda zawarta w tych słowach... po raz kolejny ojciec ją zadziwił: jak on potrafił tak prędko dotrzeć do sedna sprawy... w 1 krótkim, zdaniu wypowiedzieć Wszystko... a jednak nie umiał z tej mądrości korzystać, lecz szedł przez życie jak ostatni oferma, którego nawet dziecko może wystrychnąć na dudka. Odkryła, że z nią było akurat odwrotnie... albo powinno stać się odwrotnie... że ona chce korzystać ze swego rozumu, jak tylko zdoła uporządkować chaos swoich myśli. Jednak dotąd było to nie- i możliwe, nie potrafiła wnieść do tych setek myśli żadnej jasności, nie potrafiła wszystkich tych szturmują- I cych ją myśli sprowadzić do Jednej, która by jej wska- i zała, jaką d.rogę powinna obrać. Np. ci socjałowie... ] musiała przyznać księdzu rację i musiała też przyznać \ rację swemu ojcu, a równocześnie miała w głowie coś 3 innego, swoje własne rozmyślenia: najpierw i przede

*wszystkim te 4 wille, których budowa była już zakończona, tak że wprowadzili się do nich mieszkańcy... m.in. ten skarbek... i to że jeszcze ani razu go nie widziała, nie mówiąc już o tym, by coś zainkasowała... a równocześnie, gdy tak rozmyślała o socjałach, zastanawiała się, czy sam ksiądz nie był temu winien; kościół ma papieża: jak 1 człowiek może rządzić całym kościołem tak, żeby się gdzieś... gdzieś... jak on na przykład może wiedzieć, że w ter-muren żyje jakaś dziewczyna, której zdarzył się cud?... dziewczyna, która potrafiłaby całemu temu socjalnemu zagadnieniu ukręcić kark, gdyby mogła wyjść za mąż za derę-nancourta. Ale czyja to była wina?... nie jej, nie ona rządziła niebem i ziemią, nie ona wiedziała, co w nich było zapisane, lecz ktoś Inny, kto się nie przejmował losem świata, bo dobrze mu było siedzieć w ciepłym niebie... tłusta świnka nie wie, że chuda cierpi głód... a to, że każdy będzie miał prawo wyborcze? z tego była złośliwie zadowolona... pragnęła, żeby wszyscy jak 1 mąż głosowali za socjałami... ha, wtedy by się dopiero panowie nauczyli smarować ją szuwaksem — ale potem, gdy śmiech jej minął, powtarzała sobie jednak: to ich dopiero nauczy smarować mnie szuwaksem zamiast słuchać mojej rady.*

### **KOSZTY POGRZEBU**

Nie piszesz już więcej do gazety? zapytał kantyczny nauczyciel johana janssensa... i johan janssens odpowiada: nie, jednak nadal pisuję w tygodnikach, o ile te tygodniki jeszcze się ukazują i w tym tygodniu napisałem krótkie opowiadanie, zatytułowane „koszty pogrzebu”:

podobnie jak jest dzień wszystkich świętych, powinien też zostać ustanowiony dzień wszystkich wojen... i w tym dniu może dałoby się odprawić krótką mszę za René Vannekensa, który zginął za ojczyznę, zamienił się w popiół, ale nie został pochowany; ty chyba też znałeś René Vannekensa; należał do tej rozbrykanej klasy w Atheneum, do której chodził też Zillens, ten, co pomyliwszy butelki napił się amoniaku, i Jaspers, ten, co zawsze chciał ciągać ze sobą przenośny adapter ze swingowymi płytami... ale René Vannekens był spokojniejszy, był dumą swojej matki i przez to miał mniejsze lub większe poczucie obowiązku... i w czasie wojny chyba ty też straciłeś go z oczu?... ha, ja też... tyle przecież wspólnie przeżyliśmy, bomby i głód, i tak dalej... no więc René Vannekens siedział w Gandawie, przyszła po niego Sicherheit i wkrótce w tej samej celi dołączył do niego Mały Pros. Mały Pros został kopniakiem wepchnięty do celi, a z kąta wyszedł mu naprzeciw René Vannekens, nazywam się Vannekens, jestem z małego miasta z 2 fabrykami, za co cię wsadzili? Oczywiście Mały Pros nie chciał puścić pary z ust i odpowiedział: nie wiem. Ale René Vannekens spuścił spodnie i pokazał mu swoje pośladki: 1 świeża, sina rana: wkrótce będziesz wiedział, dodał. Tak, a potem — bo muszę to skrócić — René Vannekens, zwykły syn boży ruchu oporu, został przekazany przez Sicherheit do Gestapo, upokorzony, opluty i skatowany, żeby w końcu pojechać do Niemiec umrzeć na krzyżu krematorium. A jego matka, której był dumą, wysyłała za nim paczki. Ale weź pod uwagę, że jego matka była skromną wdową po zwykłym mieszczeniu, która np. swojej dumie synowi kazała wstąpić do związku starszych uczniów, żeby taniej kupować podręczniki... i tak dalej... i która teraz nie dostawała już na niego kartek i musiała robić te niezliczone paczki z przemyconej żywności, i która musiała zastawić swój dom — na hipotekę, enfin —

ale niech tam, byle go tylko znów zobaczyć żywym, no nie? A potem... nie zobaczyła go już żywym... czekała i żyła nadzieją, chodziło o pomoc w spłaceniu tej hipoteki... ale ciągle żywiąc nadzieję i wyczekując, i drepcząc to tu, to tam, wraca do domu, a w skrzynce leży list od belgijskiego czerwonego krzyża: wiadomość, że go tam solidnie zamęczono na śmierć. Każdy oczywiście starał się ją pocieszyć, mówiąc, że jest matką, bohatera... ale zaraz potem w skrzynce leży inny list, ha, że musi za swego zmarłego syna spłacić belgijskiemu Państwu koszty pogrzebu. I w zaślepieniu wali ona głową w ślepy mur, bo — zamiast spłacić hipotekę — będzie musiała sprzedać swój domek i może nająć się jako służąca u jakiegoś nowo wzbogaconego kolaboranta; będzie miała nauczkę za ofiarowanie belgijskiemu Państwu bohatera.

### *PIĘKNE OPOWIADANIE*

I kantyczny nauczyciel, który słuchał opowieści o długu za koszty pogrzebu, kiwa głową i powiada, że to bardzo piękna opowieść. Jednak johan janssens krzywi się i powiada ze zgorzknieniem: możliwe, że to jest piękna opowieść: ale najpiękniejsze było dopiero potem: matka rené vennekensa rzeczywiście została służącą u bogatego kolaboranta i jak możesz się domyślić, leżą tam u niego nie czasopisma, w których piszę o matce rené vennekensa, ale tygodniki, w których się matkę rené vennekensów opluskwia... i będąc tam służącą znajduje ona taki tygodnik i czyta w nim parszywy artykuł, że ja, johan janssens, jestem Szmata i pisząc to w czasopismach socjałów, to w czasopismach ultra-marksistów... i że nie powinienem nic mówić o czar

nych, bo sam jestem czarny... albo może mógłbym być... enfin, znasz tę prozę tych zgniłych pismaków. I matka rené vennekensa składa ten tygodnik i wsuwa go do kieszeni fartucha służącej, i śpieszy z nim do willi, która stoi obok naszej; i tam się cieszą, że mi raz porządnie dosolili... i zacierając ręce matka renó vennekensa mówi: mój pan też mówi to samo, nareszcie temu nieznośnemu johanowi janssensowi dobrali się porządnie do skóry.

### *PANOWIE*

*I znowu siadasz, żeby pisać o ondynie, jak kręcąc głową przyglądała się nowemu błazeństwu panów... ale zaledwie dotykasz piórem białego papieru, gdy wchodzi tippetotje i 1-sza rzecz, która ci się w niej rzuca w oczy, to packa farby na lewym policzku: nie zwracaj uwagi na farbę na moim prawym bucie, powiada tippetotje, bo wracam z brukseli, gdzie pracowałam u bogatych ludzi, malowałam na ich sufitach i ścianach anielskie główki, a na ich drzwiach złote ramki... śpieszę do ciebie, aby cię poinformować, że musisz zmienić swoje wyobrażenie o panach, jeśli jeszcze kiedykolwiek będziesz o nich pisać:*

opowiedziałeś nam o achillesie derenancourt i o grubym glemmassonie, opisałeś ich wybryki, o których opowiedział ci boone z wielkim wąsem, jeszcze z tych czasów, kiedy był stangretem... ale teraz ja ci opowiem, że pracowałam na avenue de tervueren u pewnego vicomte... a ten vicomte to encyklikier najczystszej wody, to znaczy nie żaden tam polityk, lecz znacznie bardziej człowiek pobożny, taki, jakim emil zola opisał go w nanie... wysoki chudy pan, który w swym życiu prze

żywał porażkę za porażką i pogodzony z tym powtarza, że każdy nosi swój własny krzyż, że chrześcijanie poddawani są próbom, a niechrześcijanie są karani: no i właśnie się rozchorował i leży samotnie w tym wielkim łożu w tej pustej, zimnej, wielkiej sypialni, a potem rozchorowała się jego żona, i leży samotnie w tym wielkim łożu w tej zimnej, wielkiej sypialni, a jego syn miał wypadek, a 2 innych dzieci choruje, gdy rodzice są czasem z 5 dni zdrowi — och, i te świece, które się tam palą, i woda święcona, którą się kropi, i ta poświęcana palma, którą się obnosi, i te modlitwy różańcowe, odmawiane ponurymi głosami — ale to nic nie pomaga, bo teraz najstarsze z ich dzieci, córka, właśnie zmarło — o, musiałbyś ich zobaczyć, jak teraz siedzą w tej niesamowitej, wielkiej, pustej jadalni, jak vicomte składa ręce i modli się, i jak inni za jego przykładem też składają ręce i modlą się, i żegnają, i jak potem w milczeniu, ponuro siadają do stołu... ale gdy rozmawia ze mną o polityce, to wygaduje największe głupstwa, największe pomieszanie sprzeczności: najpierw, że robotnicy jednak zawsze są niezadowoleni, a potem, że wszystko byłoby dobrze, gdyby robotnik zarabiał jak należy. Ale to nie oni urządzają orgie, tylko ich służąca: przygotowywała kąpiel nago i zostawiła otwarte drzwi, żeby ją dobrze było widać, i powiedziała mi w kąpeli, że najbliższej nocy też mogę przyjść ją odwiedzić, kuchennymi schodami... i przez tę całą noc opowiadała mi

**0** tym smutnym i ponurym życiu w tym smutnym

1 ponurym domu państwa vicomte,

A później malowałam u wielkiego przedsiębiorcy... z polecenia vicomte... zadzwoniłam i zobaczyłam kogoś, kto moim zdaniem powinien być kominiarzem, ale było akurat odwrotnie, stał przede mną właśnie sam wielki przedsiębiorca... chłop z takimi rękami, wyciągnął taką łapę i wysoko nad moją głową zawołał bonjour — hydraulik opowiedział mi, że z tego, co wielki przedsię

biorca sam opowiadał, był on za młodu kolarzem — i usłyszał, że jestem artystką malarką, i kiedyś obszedł ze mną swoją kolekcję, gdzie wisiały miliony franków... breughel i bosch, i rembrandt, van eyck i van dyck, metsijs i van der weyden, i van der lubbe... nie, to nie był malarz, pomyliło mi się... za miliony franków, co ja mówię, za miliardy franków... wisiały tam takie rzeczy, których pożądamy wszystkie zagraniczne muzea, i on mi podliczył, ile mu już proponowano... i stanął przed jakimś obrazem i wskazał mi kropelkę krwi Chrystusa, i powiedział: popatrz, jak to naturalnie namalowane, zupełnie jak prawdziwe, teraz już tak nie potrafią. Tak, oto jego smak artystyczny — smak artystyczny kominiarza, który jeszcze do tego był kolarzem; smak artystyczny wielkiego przedsiębiorcy, który został ukarany na 120 milionów franków za kolaborację z wrogiem, i który też natychmiast to zapłacił. I doszedłszy do końca galerii, spojrzął raz jeszcze na swoją kolekcję obrazów, na swoje szklane szafy wypełnione klejnotami i rzadkimi przedmiotami, i skarbami sztuki, i powiedział: tak, człowiek musi coś mieć, żeby wypełnić swoje dni na stare lata. A jego żona: chude zasuszone stworzenie, które idzie do sklepu po ćwierć kilo margaryny, bo prawdziwe masło jest za drogie... i które chodzi w ubożuchnej, czarnej sukience: głowę daję, że gdybyś ją spotkał na avenue de tervueren, to pomyślałbyś, że to żona jakiegoś biednego urzędniczyny.

### *BUNTOWNICY Z FILATURY*

*Podchodząc do drzwi ondyna zobaczyła nowy, głupi wybryk panów: z filatury wracało ze 3 mężczyzn w swoich niebieskich kitlach i z zawiniętym śniadaniem...*



zbliżało się południe i dzieci ze szkoły zakonnice z wrzaskiem poprzedzały tę niezwykłą powracającą do domu 3, jakaś ciężarna kobieta wyszła im naprzeciw, jakiś chałupnik stanął w swoich drzwiach i zatrzymał ich. Co się stało? No tak, stali tam i wprost nie wiedzieli, co mają odpowiedzieć, spoglądali przy tym na swoje zawiniątka z kanapkami: wszystkich łapserdaków z poronionej kasy chorych pana brysa zwolniono z filatury, niektórych ukarano na 6 miesięcy, a ich na 14 dni... sam pan brys uciekł do Anglii, łatwo jest uciec do innego kraju, gdy się jest uczonym i ma talent, ale oni? i byli ciekawi, czy socjałowie coś teraz dla nich zrobią. Ondyna słuchała, ale nie ivtrącała się... kręciła tylko głową nad głupotą panów; teraz, kiedy pan brys uciekł, lepiej by uraczyli tych ciemnych ludzi paroma flaszками piwa, zamiast ich wyrzucać za bramę i prowokować bunt. Zapukała do lizy, żeby się dowiedzieć, co się stało z jej mężem; dla niego skończyło się to niewiele lepiej, odstawili go od maszyn i wysłali znów na wiatr i deszcz na dziedzińcu, za poprzednią płacę... i liza razem z mężem leżeli i do późnej nocy o tym rozmawiali: zastanawiali się, czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby poszukał pracy w laborze, gdzie nie liczonego się z żadną religią... i podliczyli korzyści związane z taką bezbożną fabryką: że po 1-sze nie musiał się tam więcej przejmować, bo niczego od księży nie potrzebował, i że nie musiał już wbrew własnej chęci chodzić na mszę... że po 2-gie pracując w laborze, szybciej będzie w domu, bo to tylko 2 minuty drogi i mógłby jeszcze trochę porobić w ogródku... i być może uprawiać jarzyny i sprzedawać je wczesnym niedzielnym rankiem w mieście... i czym dłużej się temu przyglądali, tym korzystniej zaczynało to wyglądać. Ale dostawszy pracę w laborze musiał tam też zacząć od dziedzińca, na deszczu, wietrze i śniegu, i nawet za jeszcze niższą płacę niż w filaturze... podczas gdy maj

*strowie spoglądali na niego koso: czy to ten mąciciel z filatury?... i też musiał pracować w nadgodzinach, co, jak to się mówiło, miały być zapłacone, ale z powodów, w których zupełnie nie potrafili się rozeznać, nie wyplacano im jednak niczego. Ale będzie lepiej, powiedziała liza z nadzieją w głosie... och, czym głębsza była jej niedola, tym więcej było nadziei w jej głosie... bo był tam majster, który lubił jej męża i który przeniesie go do hali maszyn... gdzie było ciepło i gdzie zarabiano się jak na ter-muren niestychanie dużo. Ale ondyna natychmiast rozbiła tę nadzieję w drobny mak: jeśli tam płacono tak dużo, to na pewno coś się za tym kryło, może trzeba było w każdej sekundzie ryzykować życiem? I do tego, polepszy się? nie może się polepszyć, jeśli żyjecie bezbożnie. Liza pokręciła głową i powiedziała, że ondyna tego nie rozumie: my nie jesteśmy bezbożni, ale nie chcemy mieć nic wspólnego z księdzem... dzieci co wieczór klęczą i modlą się, musiałybyś kiedyś posłuchać naszej najstarszej, jak odmawia ojciec nasz i zdrowaś mario, i usłyszeć, jak mówi: od bezbożnych socjałów zachowaj nas, panie... ale mąż poszedł do pracy w laborze tylko dlatego, że nie mógł patrzeć na krzywdę pana brysa. Ondyna i na to miała coś do powiedzenia, ale to nie było nic nowego, nic, czego byśmy jeszcze od niej nie słyszeli: np., że boga mało obchodzi to, czy się klepie głupie pacierze, ale że znacznie bardziej wolałby, żeby żyć przyzwoicie i ro postuszeństwie.*

\

## *YAPEUR MÓWI O PIENIĄDZACH*

*Następnego dnia przyszedł jednak list polecony, że carolus bosmans powinien zdecydować, co ma zamiar począć ze spłacaniem dostarczonego drewna; vapeur zaczął natychmiast chodzić w koło i wymachiwać rękami: widzisz, a mówiłem ci, jutro przyjdzie policja i wszystko obłoży rejestrem, u nas w domu TEŻ tak było, ale nikt tu nie słucha człowieka z doświadczeniem. Ondyna popatrzyła na niego z pogardą i powiedziała, że gdy kupował drzewo, wiedział przecież, że będzie je musiał spłacić: albo też jesteś takim gamoniem, iż myślałeś, że je dostaniesz za darmo? Dobrze, to płać, wykrzyknął vapeur. A czym, odkrzyknęła ondyna. Potem popatrzyli na siebie i w ciszy usłyszeli głupi śmiech zulmy... vapeur starym zwyczajem poszedł zajrzeć do sukiennej sakiewki na szafie, co ondyna chętnie wykorzystwała, by zakpić z jego głupoty: nie wiesz nawet, że jest już żelazny kuferek, oznajmiła. Ale w żelaznym kufierku też nie było niczego, o czym by warto było wspominać: ondyna sama się tym przestraszyła, że było tam tak mało... spojrzała ojcu głęboko w oczy, tak że zrobił się niespokojny i odwrócił głowę... tak, w końcu przyznał się, że wziął stamtąd trochę, drobnostkę, przecież nie będzie się trudził i harował za darmo?... słyszał, jak mówiono o lampach elektrycznych, które zaczęto sprzedawać w mieście, i pomyślał, że takie lampy były właśnie tym, czego potrzebował do swojego perpetuum mobile; i podniósł palec i powiedział: jeśli lampy próżniowe będą się kręcić na kole<sup>1</sup> pogrążyć się w naczyniu wypełnionym wodą, to wypłyną z powrotem na powierzchnię. Ondyna lekko się zaśmiała i zapytała, ile zatem wziął... vapeur wymamrotał jakąś sumę, małą śmieszoną sumkę, niemniej ondyna zauważyła, że mówi prawdę. Gdzie więc po*

*działy się te pieniądze? Zaczęła gorączkowo obliczać, ile sama odłożyła na bok, oprócz swojej rezerwy, którą wsadziła na strychu do blaszanej puszk... ale rachunek się nie zgadzał, musiało być jEszcze... tymczasem jej matka zaśmiewała się idiotycznie, spoglądając na kuferek... w ondynie zakiełkowało pewne przypuszczenie i zaczęła brać swoją matkę na ząb, i zulma opowiedziała cienkim, piskliwym głosem, że dobrze słuchała słów księdza — że w mieście pojawili się dzicy, którzy zjadają swoje dzieci — i że dlatego złożyła datek na odnowienie kaplicy... ondyna miotając przekleństwa zaczęła ją wypytywać, jak odnowiona kaplica ma teraz powstrzymać socjałów? ale widząc tę głupią, bezmyślną twarz powstrzymała swe słowa: były one teraz tak samo niepotrzebne, jak wszystko inne; jednak dla ostudzenia swej wściekłości musiała przecież coś zrobić; podniosła rękę i uderzyła tę tępą twarz. Carolus patrzył przybity na blady policzek, na którym zaczynało się odznaczać 5 czerwonych palców. No to koniec, powiedziała ondyna do ojca... dalej możesz sam chodzić odbierać pieniądze, możesz zająć do skarbków i zapytać, kiedy w końcu raczą zapłacić. Vapeur poszedł. Umył się i ogołił, nałożył swoją mysia marynarkę... och, miał tylko 1 marynarkę i bał się jej nosić, żeby się nie wytarła, i dlatego powiesił ją w szafie, aż zagnieździły się w niej myszy i zaczęły zjadać szew. Poszedł, powtarza-, jąc słowa, które miał wypowiedzieć: a że był nieodrodnym ojcem ondyny, to wymyślał nawet to, co **mu**j odpowiedzą... i wynajdywał nowe argumenty przeciwko tym wymyślonym odpowiedziom. Nie było go 3 godziny i kiedy ondyna spytała go: no i?... wybąkał tylko coś...k, tak, przez 3 godziny pytał o perpetuum mobile i nie miał odwagi otworzyć ust na temat pieniędzy; rozmawiał tam o mieszczaństwie i o ludziach z nożami" o panu brysie i o socjałach, i że to głupie, chcieć zmiA*

*nić świat przy pomocy związku zawodowego, jeśli sAmi ludzie dalej pozostają tacy ciemni: w nauce i rozumie, zgłębieniu wszystkiego, co dla ludzi jest jeszcze okryte mrokiem, oto gdzie leży punkt wyjścia dla szczęśliwszej ludzkości. A on ze swoim wynalazkiem przyniesie więcej szczęścia i dobrobytu niż wszystkie związki zawodowe razem wzięte: ci inni dziś wywołują awanturę, a jutro powstanie, a pojutrze rewolucję... ale obojętnie, z jakiej strony na to spojrzeć, drobna burżuazja będzie musiała zapłacić za potłuczone skorupy... drobna burżuazja to mleczna krowa, teraz na przykład muszę zapłacić za drewno... I przestraszony zająknął się, bo przecież teraz, co prawda nieświadomie, ale jednak zaczął mówić o pieniądzach: wkrótce ci ludzie jeszcze sobie pomyślą, że właśnie dlaEgo przyszedłem.*

#### *TO NIEŁADNIE ZE STRONY JOHANA JANSSENSA*

Dziś jest czwartek... i jest to dzień, w którym chłopaki z ter-muren odwiedzają wieczorem swoje lube i idą na spacer za zamkowy las, aby tam sobie mówić, że wszystko będą robić inaczej niż ich rodzice... ale jest to również dzień, w którym gazety wychodzą ze stroną o życiu duchowym... życie miłosne i życie kulturalne znajdują więc w tym dniu punkt przecięcia, w którym się wzajemnie stykają: tAk właśnie myśli johan jan-ssens, idąc dzisiaj drogą z kapliczką, z gazetą otwartą na 3 stronie: sztuka i literatura. I johan janssens myśli, że to dziwne uczucie, gdy zawsze samemu się wypełniało stronę kulturalną... i przywykło się do tego, żeby co rano znów odnajdywać w gazecie swoją prozę, tak jak się odnajduje swoją twarz, gdy spojrzeć w lustro...

i gdy teraz, patrząc w lustro tej gazety, widzi się twarz kogoś obcego. kronika z tytułem: książka tygodnia!... a ta książka tygodnia jest właściwie pomysłem, który został jeszcze po samym johanie janssensie, ale okaleczonym, a zatem ugrzecznionym: pomysłem, którym on podzielił się z jakimś młodym poetą, mówiąc, że należałoby co tydzień omawiać pod kątem społecznym jakąś książkę z literatury światowej, żeby w ten sposób stworzyć coś w rodzaju historii literatury ze społecznym fundamentem, od flandrii poczynając: isengrinus nivardusa, o lisie przecherze willemsa, van maerlant — ojciec wszystkich niderlandzkich poetów, j.f. van kerckhove i eugeen zettermom..., ale który teraz, jak już mówiłem, znów został zredukowany do ugrzecznionych recenzji. A dalej są artykuły, w których występuje się przeciwko, wszystkiemu się urąga i każdemu się wygarnia... Wszystkiemu ' i każdemu, czyli niczemu i nikomu... ale używając przy tym wielkich, pustych słów, wyświechtanych do granic możliwości frazesów o proletariacie i nowym społeczeństwie. Mówi się w niej nieudolnie zakamuflowanymi słowami także i o tym, że utwór johana janssensa za mało... za dużo... enfin, niewystarczająco traktuje **O** robotniku, który w sposób rozdzierający serce pada u fabrycznej bramy... a równocześnie, że nie było nic **I** dobrego w tym wszystkim, o czym pisał johan janssens: bosch i breughel, i goya, i magritte, louis-paul boon *i*

**1** plastyczne elementy w literaturze; same takie rzeczy, **W** których nie był przedstawiony proletariat w latach- **1** manach, spod których wystaje żywy szkielet.

I johan janssens zwija gazetę z odrobiną smutnego **J** żalu, bo wszyscy ci młodzi, którzy teraz przygotowują **i** kolumnę życie duchowe to chłopcy, którzy zabiegali **1**

**o** Jego przyjaźń, wcześniej, kiedy jeszcze pisywał w ga-**1** zecie, i którzy wysyłali do niego entuzjastyczne listy, **I**

**1** którzy przesyłali mu wiersze i nowele, i prosili go

o radę... ale którzy teraz, wdrapawszy się na konia, usiłują przejechać po nim... nie, którzy zmuszają tego konia, żeby wszystkimi 4 kopytami miotał w johana janssensa błotem. A tymczasem, w każdym małym mieście z 2 albo 3 fabrykami, albo co najwyżej 5 albo 6 fabrykami robotnicy otwierają swoją gazetę i szukają artykułu johana janssensa, i nie znajdują go, i mówią: przedtem mogliśmy jeszcze albo pokłąć, albo się pośmiać z tej naszej niedoli, co tam była opisana... ale teraz!... to nieładnie ze strony johana janssensa, że już więcej nie CHCE pisać w naszej gazecie.

*W ELMAREN \**

Byłem mnichem w elmaren... napisane jest w starych księgach o lisie przecherze, ale zanim głupi wilk uderzy w dzwon i spędzi nam ojców na kark, chcę wam też opowiedzieć, jak to on odprawiał mszę: przechera nie mógł ani w lesie za zamkiem, ani na polach, a więc ani przy drodze z kapliczką rozpiąć swych sieci na zająca, żeby zaraz nie spotkał tam ojca z aktówką pod pachą. I choć już wcześniej wiedział, że każda droga prowadzi do rzymu, to teraz zaczął sobie uświadamiać, że droga, na której najczęściej zajączków zostaje złapanych — ale nie przez niego — powinna prowadzić do klasztoru świętego jednookiego, daleko za ter-muren. Swój szuka swego, pomyślał wchodząc na tę drogę i na kolejnym zakręcie znalazł pudełko z waflami, zwanymi

\* ja, johan janssens, znów z czystego, głupiego przyzwyczajenia piszę moją książczynę o lisie przecherze i dopiero potem sobie uświadamiam, że już więcej nie potrzebuję jej pisać... ale no cóż, jest już napisana i co mam z nią teraz począć?

oblie, i zaczął pałaszować jego zawartość... ale któż to tam nadchodzi, z parą zapadłych oczu nad zaklejonym plastrem policzkiem... czy to nie jego wuj isengrinus? Ha, ty też znalazłeś drogę, po której zajaczki idą i więcej nie wracają, spytał przechera... ale isengrinus smutny na nim zatrzymał wzrok, przyznawszy, że do klasztoru kieruje swój krok i wymachując rękami i przewracając oczami począł rozprawiać o świecie, który się pograża coraz niżej — o chorobie nobla, że to i tamto, a także o kozłach, które obiecały mu coś, co jest nie do zjedzenia, duszę dziecka, jak to dusić albo jak to podać na .stół? A czym głośniejsze przechera się śmiał, z tym większym przygnębieniem wilk podliczał dni, w których zrobiono z niego durnia: ale kiedy sam będę ojcem, to kto jeszcze będzie mógł ze mnie cokolwiek zrobić? Wtedy lis wyjął ostatnie wafelki, dał 1 isengrinusowi i pakując sobie resztę do ust wskazał wiele mówiącym gestem na klasztor; isengrinus zrozumiał tę pantomimę i puściwszy się biegiem podążył 2 kroki przed przecherą, i tak dopadł tylnej furtki klasztornej dziedzińca; tam zaczął niezdarnie mnichom pokazywać, że chce swoje idiotyczne życiowe marzenie przekazać słowami: na brodę pana naszego, z wyjątkiem dni wyborów od-j dalasz się od świata — w którym najpierw pończochę, ci na łeb naciągają, taką, jak papieże mają, a potem starają się wmówić, że to wszystko, co widzisz, mogłoby, być twoje — i wchodzisz pomiędzy te mury, wśród których, może to i prawda, nie masz nawet kamienia,; by złożyć na nim swą głowę... dlatego że, i to też praw-] da, znacznie chętniej leżysz na kolanach tej czy innej młodej łobuzicy. I chcąc dalej śpiewać swe nieszpory,] odciągnął go przechera stamtąd w chłód zakrystii, gdzie -było mięsiwo, chleb i wino. Ale wilczy żołądek zamienił wino w diabelską krew: chciał koniecznie odprawić mszę i stał wymachując rękami, i mamrocząc swój zwariowaną łacinę — vobiscum zabrzmiało w jego



pysku, co miało znaczyć: dajcie mi tyle i tyle za mszę żałobną za dusze 3 panów i dwa razy tyle za mszę ślubną po 10-ej — i rozwarłszy ramiona, zwrócił się do pustych krzeseł i zawołał: symulant symulorum... a przechera, który mało co do portek nie narobił, odpowiedział: amen.  
johan janssens.

### *OSKAREK PO RAZ I-SZY*

*Pójdę sama do tego skarbkka, oświadczyła ondyna... i udała się tam ze złotą bransoletką na przegubie i parasolką przeciwsloneczną nad głową, chociaż wyglądało na to, że raczej zacznie padać... ale z całą pewnością widziano ją, jak szła, bo kiedy zadzwoniła, w domu było cicho jak makiem zasiał... o wiele za cicho... musiano tam. w środku strasznie się jej obawiać. Słyszała po głuchym dźwięku dzwonka, że musi to być pusty dom, i że nie było tam jeszcze mebli nawet za 5 centymów: na pewno nie mieli jeszcze nawet stołu i jedli na podłodze na drewnianej skrzynce! I zaczęła z samej siebie drwiąco się podśmiewać, że dała się zwieść pozorom: jeśli będą jeszcze w przyszłości budować domy, może to być nauczka. Jeszcze raz gwałtownie szarpnęła za dzwonek, nie po co innego, tylko żeby go urwać i przez to dopiec tym, którzy siedzieli w środku i nad-słuchiwali. I wtedy chciała ruszyć z powrotem do ter--muren... ale jej przypuszczenie musiało się okazać nie całkiem prawdziwe, bo oto drzwi się otworzyły i stanął w nich nerwowy chłopak ze zmierzwioną czupryną: jakie to nierozsądne zostawiać drzwi za sobą otwarte, ondyna wykorzystwała szansę, przeszła obok niego, Weszła do korytarza i nawet zamknęła za sobą drzwi. Wycelowwała w niego swój parasol jak szpadę i oświad-*

czyła, że teraz powinien przyprowadzić tu swoją mamę: chłopiec był bardzo zmieszany i pocierał kępką włosów na podbródku...  
zawstydzony, jakby nie śmiał powiedzieć, że naprawdę nikogo nie ma w domu. Ondyna uśmiechnęła się do niego, powiedziała, że jest dobrym, słodkim chłopcem, i rezerwacyjnie poszła do kuchni, jednak tam rzeczywiście nikogo nie było; było tam za to zimno i pusto; była tu zupełnie sama z tym chłopaczkiem, który w najbliższych dniach będzie musiał po raz 1-szy zdrapać sobie włosy z brody. To ja poczekam, oznajmiła, a tymczasem wszystko z niego pomaleńku wyściągnęła; widziała, że jeśli nie liczyć jego matki, jeszcze nigdy nie był sam na sam z dziewczyną i że teraz mówiąc... albo lepiej, jękając się, nie mógł oczu oderwać od jej spódnicy. Był tak miękki i podatny jak stearyna: ondyna mogła sobie wyobrazić, co za samotny żywot musiał prowadzić taki chłopczyna w tej nowej, pustej willi; i najpierw, żeby go ośmielić, a potem ze złośliwą radością... a w końcu dlatego, że zaczęło się jej to podobać... opowiedziała wszystko to, co prawdopodobnie przepełniało jEgo serce, lecz w taki sposób, jakby się to z nią działo: że czuła się samotna, że marzyła o tym, żeby coś w życiu osiągnąć, ale że był w nim, tym życiu, niepokój, zwątpienie. Aż on zapomniał o kraju jej spódnicy, jakby wzruszył się tym, że spotkał kogoś, kto przeżywa jego **własnie** niepokoję; swoimi szczerymi chłopięcymi oczami szukał jej oczu..., które były dosłownie szare... i opowiadał o własnym niepokoju, opowiadał, że chciałby zostać rzeźbiarzem i godzinami wpatrywać się w kamienną bryłę, nie będąc nawet w stanie dotknąć jej ręką... o, i że nieraz płakał, sam nie wiedząc czemu. Na imię miał oskar. Zapytał, czy nie poszłaby z nim na górę do jego pracowni... ondyna wiedziała, że nie skrywała się za tym żadna inna myśl, że nie było w nim niczego prócz dziecięcej niewinności... tak że poszła z nim na górę, zastanawia'

*jąc się, co by sobie pomyślała jego matka, gdyby niespodziewanie wpadła do domu. Rozejrzała się po pustej mansardzie i zobaczyła, że to taki sam pokój, w jakim stała z lizakiem przy oknie; mogli równie dobrze zostać ■w kuchni, bo było tu tak samo zimno i martwo; stało tu tylko wiadro z gliną, a na oparciu rozchwianego krzesła wisiały mokre ścierki. Popatrzyła przez okno na długi, długi mur laboru, wzdłuż którego kuśtykał wychudzony pies... zrozumiała, że chłopiec nie ma nic więcej do powiedzenia... może myślał, że ondyna potrafi dostrzec w tej nieforemnej bryle gliny rzeźbę, którą on pragnie wykonać... smutek, nazwie ją smutek... och, czy w jej młodości nie było właśnie tak samo? gdy ona chciała komuś pokazać swoje marzenie, to po co miała wtedy sięgnąć? Po ten zardzewiały klucz od kaplicy, czy też po tę obtłuczoną gipsową figurkę świętego, którą trzymała na strychu? Ogarnęło ją współczucie dla samej siebie i dla tego chłopca, bo wszystkie dziecięce marzenia są tak samo małe i pełne bezbrzeżnego żalu... uśmiechnęła się smutno... tak jak rzeźba, którą on zamierzał wykonać... pocałowała chłopca lekko w policzek, pozostawiając go w największym zmieszaniu.*

#### *CZY STAJĘ SIĘ ZWYKŁĄ MIESZCZKĄ?*

*Gdy ondyna wyszła od skarbków, pomyślała z autoironią, że i ona nie zagadnęła o pieniądze... ale jeśli to nawet zrobiła, to co by jej z tego przyszło? tam nie było żadnych pieniędzy, ci ludzie byli biedni jak myszy kościelne. I jak gdyby dotyczyło to kogoś innego, stwierdziła, że dała się nabrać. Z autoironią... tak, ale wróciwszy do domu, napisała zdecydowany list, adre*

sowany do skarbków, i miała zamiar wysłać go jako polecony. Zapomniała jednak o tym liście, po kilku dniach znalazła go w kieszeni, idąc drogą z kapliczką do miasta... o, przypomniała sobie właśnie te dni, kiedy myślała, że świat czeka na małą ondynę i nie śmie dalej się obracać... teraz już nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego wtedy miano by na nią czekać: wszystko wskazywało na to, że była warta czegoś więcej, niż by tutaj, w okolicy ter-muren, przeminąć i zwiędnąć... ale czy to był powód, żeby nosić w sobie najśmielsze marzenia? I sama wypowiedziała pod swoim adresem uwagę, że powinna się uspokoić — i jak mogło dojść do tEgo, czego ona nawet nie dostrzegła? — że już nie była więcej tą, co szturmuje niebo, lecz żywiła jedynie bardzo mieszczańskie pragnienie, żeby na przykład wyjść za jakiegoś pana i dobrze się urządzić. Bezowocnie zastanawiała się nad tym, z czego składały się jej marzenia... próbowała także podsumować swoją młodość: zdarzył mi się cud. Jednak roześmiała się gorzko i zastanowiła, po cóż on się zdarzył: żeby uczynić z niej zwykłą mieszczkę?... z całą pewnością w ter-muren mieszcza była czymś w rodzaju cudu, ale czym było ter-muren?... weźmy na przykład kuzynkę marię, w brukseli, tam się musi roić od mieszczek. I zbliżając się do 4 willi, pomyślała o oskarżę i zdecydowała: no tak, powiedziałam mu, że jest we mnie niepokój... ale nie wszystko skłamałam. Jednakże drzwi u skarbków się otworzyły i z domu wyszła jakaś kobieta... gdyby ondyna była jeszcze małym dzieckiem, też uznałaby to za cud... ujrzała, że to kobiecina, która posiwała od codziennych kłopotów i nieprzerwanych zmartwień... to by mógł być mieszczański Typ, pomyślała. I natychmiast pomyślała o swoim liście po- i leconym. A równocześnie, nie wiedząc czemu, poczuła z miejsca tak wielką niechęć i nienawiść, że nawet przy najlepszych chęciach nie mogła znieść widoku tej

kobiety. Ale madame skarbek kiwnęła na nią... ondyna podeszła... spostrzegła, że to kobiecina, która nie pożyła, która uschła przy swoim mężu, zapewne spędzającym czas w burdelach... właśnie, tak to się zapewne układało i dlatego ta kobiecina nie miała żadnych pieniędzy; jej ciało przekwitło wśród gołych ścian pustych domów, a jej drobnomieszczańska dusza uschła w codziennej daremnej szamotaniu o miesięczną mężowską pensję. Ha, najprawdopodobniej szedł prosto z biura wydawać tę pensję na kurwy... albo może na jakąś paskudną świnię, która z gołą dupą latała po wynajętym przez niego, umeblowanym pokoju. Kobiecina powiedziała coś do ondyny, ale do niej to nie doszło, wciąż jeszcze podążała za tokiem własnych myśli, fikających najdziwsze koziołki: od tej świni w wynajętym pokoju, do swoich własnych nocy spędzonych na zamku, do tych szalonych godzin w pokoju koło stacji... i, tak, ta nagła, cierpka myśl o zaroślach, które się niegdyś tutaj, na miejscu tych 4 willi, bujnie krzewiły... i chciała zapytać, czy już tu zauważono błędne ogniki... ale jednak nie spytała, wyciągnęła nagle z kieszeni zapomniany list i oświadczyła, że madame skarbek powinna w końcu pomyśleć o tym, żeby zapłacić to, co się należy: nie to, żeby oni byli bez pieniędzy, ale w tym tygodniu przepadał weksel. Weksel to było słowo, które ondyna słyszała wcześniej w sklepie żelaznym. Madame skarbek pomyśli... porozmawia ze swoim mężem o tym, żeby spłacić wszystko od razu, wtedy sprawa będzie załatwiona na czysto. Ondyna poczuła, że staje się szara, tak jej się zrobiło niedobrze, musiała się odwrócić i odejść, bo inaczej rzygnęłaby tej madame skarbek prosto w twarz.

## SZARY DZIEN

I

Ze też ku twojemu wiecznemu utrapieniu znów musisz widzieć samego siebie siedzącego tu jak ktoś obcy... z głową pomiędzy kolanami i bezsilnymi rękami splecionymi na brzuchu z tym nieznośnym uczuciem, które przelewa się z jednej strony w drugą jak przyływ i odpływ, dzień i noc, zima i lato; to odpycha cię ten świat, który, jak mówią, ewoluuje, choć ty widzisz tej ewolucji tyle, co aniołków w niebie; i jeśli masz odwagę pomyśleć, że już zaczynasz znać świat, to nie jest to nic innego jak zarozumiałość, bo akurat tego szarego dnia świat jest nieznaną planetą, zamkniętym domem, pękniętym lustrem... i odpychają cię ludzie, bo gdzie się obrócisz, wszędzie widzisz niezrozumienie i złą wolę, i egoizm, a najczęściej najzwyczajniejsze w świecie nieporozumienie, że można trupem paść... że aż gotów jesteś pomyśleć; ten, kto się styka z ludźmi, nosi ciężar stykania się z ludźmi... a równocześnie odpycha cię, jakże to możliwe, twoja praca, w której nie ma ani odrobiny ambicji... i całe to pisanie wydaje ci się tak niepotrzebne, bo twoja żona i twoje dziecko pozostawili cię samego nad twoimi papierzyskami i poszli spać, i śpiąc tak samo jednak współpracują z tą... enfin... ewolucją... jak ty, pisząc o swoim przygnębieniu albo rozmyślając z głową spuszczoną niemal do ziemi. A następnego dnia znowu wszystko cię pociąga, bo w gruncie rzeczy jeszcze nie masz dość samego siebie i swoich, może rzeczywiście mądrych, ale oderwanych od życia myśli... a równocześnie tęsknisz za swoją pracą bez ambicji, gdy lampa syczy cicho nad twoim potykającym się piórem. Lecz dzisiejszy wieczór to wieczór dnia przygnębienia... szarego dnia... w którym siedzisz, bo siedzisz, i w którym na próżno mówisz, że siedzenie człowiekowi nie służy, bo zaczynając od

gwiazd, aż po atomy wszystko się rusza i ty też powinieneś się ruszać, jeśli chcesz pojąć istotę rzeczy. Z twojego małego ogródka dochodzi odgłos padającego deszczu, więc jesteś zadowolony, gdy ktoś puka do zamkniętych już drzwi, żeby się schować. To malarka tippetotje, która ma jeszcze przed sobą z pół godziny drogi do eenighem, daleko za ter-muren... i przykręcasz lampę, i mówisz: wiesz, pójdę z tobą... i gdy zacinający deszcz spływa małą stróżką po twoim nosie, a ty zdmuchujesz go swymi ustami, krzyczysz pod wiatr w tym swoim przygnębieniu: nie wiem, co mi jest, ale na nic nie mam ochoty, jakbym się stawał buddystą, tak mi jest wszystko obojętne. A tippetotje też krzyczy pod wiatr — tam, na tej błotnistej i pustej drodze do eenighem, daleko za ter-muren — że coś takiego jest w twoim wieku całkiem normalne: masz teraz, powiedzmy, koło 30 i prawdopodobnie mniej więcej osiągnąłeś to, co sobie w młodości wyobrażałeś, i plus do tego odczuwasz zapewne pewien niepokój, dlatego że twoja krew już trochę mniej kipi w twoich żyłach: to czas, w którym ty prawdopodobnie swoją krew rozsądnie poganasz, żeby doszła do wcześniejszego, bardziej nieokiełznanego poziomu. Ale ty zadajesz sobie pytanie, czy nie jest to o wiele bardziej czas, kiedy powinieneś mieć czas — czas i pieniądze — żeby trochę postudiować: bo co ty wiesz

**O** tym wszystkim, co należałoby wiedzieć, z wyjątkiem kilku najbanalniejszych prawd? Jak powiedział goethe... cha! cha! goethe i boontje... jak powiedział goethe: mieć talent to jeszcze nie wszystko, trzeba mieć pieniądze, żeby mógł się on przejawiać. Tak że wniosek <sup>z</sup> tego szarego dnia jest taki: ciągnie cię do świata

<sup>1</sup> ludzi, i twojej pracy... i odpycha cię od świata i ludzi, <sup>1</sup> twojej pracy, bo brakuje ci czasu i pieniędzy na to, żeby nauczyć się lepiej Rzeczy rozumieć.

## SKARBKOWIEC BEZ SKARBOW /

*Wracając do domu ondyna spostrzegła, że ani przez chwilę nie myślała o pieniądzach, a co więcej spostrzegła nawet to, że chciała iść do iniaasta tylko po to, żeby się przespacerować po drodze z kapliczką i... tak, to najprawdziwsza prawda, żeby spotkać tego smarkacza skarbków. Nie były to żadne kłamstwa, to, co tam wygadywała w jego mansardzie, bóg jej świadkiem, że nie, w końcu on też był dla niej 1-szym mężczyzną, z którym mogła porozmawiać o duchu spraw: on był 1-szym, który słuchał i którego to poruszyło, i nie lazył jej pod spódnicę. Żałowała, że tak szybko uciekła z tej mansardy nie podsyciwszy wszystkich swych zwariowanych marzeń i nie wypowiedziawszy wszystkich myśli, których do tej pory nie słyszał jeszcze żaden mężczyzna... czuła się zawsze rozgoryczona tym, że mężczyzna nie rozumie, iż kobieta też ma mózg. I leżąc w łóżku myślała o tym małym, nieważnym chłopcu ze sterczącymi włosami; to skarb, pomyślała... i roześmiała się z tej gry słów: skarbowiec bez skarbu, pomyślała dalej: Przemysliwała nad jakimś pretekstem, żeby go znowu spotkać. Jednak rano obudziła się z obrzydzeniem, że wstrętem do tego całego życia... to ter-muren z przylegającym do niego fabrycznym miastem było pętlą, w której wyższe moce więziły jej głowę... gdzie były marzenia z jej młodości, gdzie podzielała się jej woła walki, że teraz była nieomal gotowa wyjść za chłopca, który miał się dopiero po raz 1-szy ogolić? Chwyliła parasolkę i złotą bransoletkę, oświadczyła ojcu, vapeurowi, że w południe może przygotować trochę mniej duszonych kartofli, bo ona jedzie do brukseli... i z adresem swojej kuzynki marii w kieszeni wsiadła do pociągu. Jeszcze nigdy nie widziała brukseli i była nią trochę oszołomiona... gdy chodziła i rozpytywała w wielkich*



*domach towarowych, patrzono na nią ze współczuciem; jej kuzynka mieszkała w jorest i tramwaj wiozł ją wciąż dalej innymi ulicami; ondyna nagle zobaczyła, że bruksela jest dla niej za wielka, musiałaby tu prowadzić gigantyczne zmagania, żeby się wybić... postarzałaby się i posiwiata w nadludzkiej walce... a stara, siwa ondyna, co by to było? Nie, ona musiała być młoda, ze złotymi bransoletkami na przegubach i z kokardami we włosach.*

### **ZAWÓD**

I mały pros wpada do twego domu, a jego usta znów są ostre i tnące jak rysa zrobiona nożem na kawałku drewna i wali prosto z mostu: ty, pisarzu, wybrałeś zawód, który wciąż jeszcze nie jest zawodem... który wciąż jeszcze nie jest nauką... ale polityka jEst zawodem i nauką, którą wykłada się na uniwersytecie... nauki polityczne... a co to znaczy?... ha, to znaczy, że synowie bogaczy mogą iść na uniwersytet i wybrać sobie pomiędzy doktorem, adwokatem albo socjalnym ministrem... zawodami, w których człowiek się bogaci. I to powiedziawszy mały pros znika... bo on mówi to, co wie, ale nie musi wiedzieć tego, co mówi.

### **CZEGOŚ MI BRAKUJE**

*Ondyna ze 3 razy pytała motorniczego, czy to jeszcze **ftie** jorest... aż w końcu tramwaj zatrzymał się, stał na końcowym przystanku i motorniczy wyciągniętą ręką*

wskazał jej błotniste przedmieście: droga z kapliczką i nie strzeżony przejazd kolejowy, i długi, bardzo długi mur laboru... nie, to nie był labor, idiotyczna sprawa, to było f.f.f.: filature et filterie forestoise. Ondyna człapała po błocie i już ze 2 razy przeszła obok sklepiku z cukierkami, szukając wielkiego domu towarowego... i nagle ogarnęła ją wielka radość, która podeszła jej aż do gardła: przecież to tylko sklepiak z cukierkami, zawołało w niej coś entuzjastycznie... maria jest zaledwie drobną mieszczką, musi siedzieć w sklepie i być uprzejma dla dzieciaków, które trzymając w ręce 10 centymów proszą o lizaka za pół franka. Weszła do środka z gorączkowo błyszczącymi oczami. Wywołała zdziwienie, nikt się jej nie spodziewał, nie było do jedzenia nic takiego, czym by ją można było ugościć, nie miała też gdzie spać, chyba że z walerkiem w łóżku stojącym na klatce schodowej, gdzie było zimno i hulały przeciągi. Ondyna była ze wszystkiego zadowolona... wiwatowała w głębi ducha... w ciągu dnia zabolowało ją jedynie to, że musiała patrzeć, jak się wręcz cieszą, że dziecko rośnie i gaworzy, i że ma wszystkich 5 palców, tak jak trzeba. Walerek prawie nic nie odpowiadał, gdy ondyna wypytywała go o tysiąc i 1 rzecz, w tym wąskim łóżku... był zmęczony, przez cały dzień musiał rozpuszczać cukier i natychmiast zasnął... dobrze było patrzeć, że on i tu jest popychadłem, jego wytarta kurtka i postrzępione spodnie wisiały obok na gwoździu... a na jego palcu, jakżeby mogło być inaczej, znowu był gałganek: chrapał. Było w nim coś, czego ondyna nie mogła ścierpieć; wydawał się być szczęśliwy w tym swoim zmęczeniu i nędzy. A rano, gdy ondyna zapytała, co jest z cukrem, kuzynka maria odpowiedziała, że mogli rozszerzyć interes dzięki 1000 franków, które im spadły jak z nieba: kupili za nie cukier, bo akurat były na niego niskie ceny. Ondyna odrzekła, że w domu leży jeszcze wiele identycznych tysięcy, że

*przyjęli zlecenie na cały ciąg robotniczych domów, i że ma wyjść za  
mąż za skarbka.,, jego nazwisko jest własne, a nie kradzione... i jeśli  
ich kuzynka potrzebuje jeszcze z 10 000, to niech tylko powie, ale  
ona, ondyna, sama widzi, że im tutaj żadna pomoc nie jest potrzebna.  
I gdy się tak wciąż przymilala, ogarnęła ją nienawiść; w pociągu był  
jeden mężczyzna, który miał na nią ochotę, ale z nią nie będzie tak,  
żeby poszła bez cnoty do ołtarza; gdy ona, ondyna, będzie wychodzić  
za mąż, to jeszcze będzie dziewicą... i zaczęła się idiotycznie śmiać,  
kiedy sobie przypomniała, jak w domu towarowym uniprix zapytała o  
swoją kuzynkę: myślałam, że mieszkasz na nieuwstraat. Ale kuzynka  
maria słuchała, z rękami złożonymi na kolanach, i śmiała się razem z  
nią; taka była tępa. Ondynę ogarnęła wściekłość, wszystkie jej  
najpiękniejsze wymysły padały w ten sposób na niewłaściwy grunt...  
i to, co sobie umyśliła rzucić lizakowi pod nogi, też się nie zdarzyło:  
wcale na nią nie patrzył, tylko siedział przy swoim cukrze i liczył bez  
ustanku. Ondyna wzięła swój parasol i ruszyła w powrotną drogę:  
łało jak z cebra, cała była w błocie, zanim na dobre doszła do  
brukseli... a jeszcze musiała dojechać do stacji; gotowa była się  
rozplakać; czegoś mi brakuje, stwierdziła. Wszyscy ludzie mają coś,  
czego mogą się przytrzymać, a ja nie, popatrz choćby na tego  
księdza, co biegnie do pociągu trzymając w ręce swoją sutannę... no  
i co z tego, że pociąg już odszedł, to pojedę późniejszym. I wszyscy  
ludzie wydali się jej mali i głupi, kontroler biletów na stacji i  
zawiaadowca, gotowa była rzucić się pod pociąg.*

## *GORZKO, OCH, JAK GORZKO*

*Wróciwszy do domu ondyna zaraz poszła do oskara... chodziła przed ostatnią willą tam i z powrotem, ale ponieważ nikt nie wychodził, zadzwoniła, żeby zapytać*

*O pieniądze... otworzył jej oskar i w korytarzu ondyna poprosiła go, żeby przyszedł wieczorem do ter-muren, za nie strzeżonym przejazdem. Siedziała w domu przy oknie i czekała... w końcu przyszedł, pociągając nosem*

*I trochę się garbiąc... nie spojrział nawet na ich dom, nie patrzył na prawo ani na lewo, ale rozglądał się ukradkiem, jakby się ukrywał... i gdy tak za nim patrzyła, spostrzegła, że jego buty były świeżo podzelo-wane. To śmieszne. Nagle ogarnął ją strach, to było nienormalne, nie mogła spojrzeć na nikogo, ale to dosłownie na nikogo, żeby nie uznać go śmiesznie małym i pożałowania godnym. Udała się za nim i razem poszli wzdłuż torów do janowca... janowiec nie kwitł, w październiku były to czarne bezduszne krzaki... i ondyna słyszała samą siebie opowiadającą takie rzeczy, których słuchała i nie mogła w nie uwierzyć: że jechała pociągiem, zupełnie sama, i że usiłował się do niej dobrać jakiś ksiądz... ale że ona myślała tylko o nim, oskarżę... o jego pięknej duszy, o życiu, które razem z nim może stać się czymś zupełnie innym, niż było do tej pory. Tęskniła za czymś niematerialnym. Oskar patrzył na nią bezradnie... pocił się, choć było zimno... bo to, czego tutaj słuchał, było czymś tak abstrakcyjnym; nie znał niczego innego prócz tej pustej mansardy, gdzie siedział i marzył przy bryle kamienia, ale o życiu nie miał zielonego pojęcia. Zaraz po tym, jak się wprowadzili, matka wysiała go po naftę do lampy, prawie płakał ściskając butelkę pod pachą, szukając sklepu. Szukając? to było właśnie to, czego on nie ro*

zumiał, że są w życiu takie rzeczy, których trzeba szukać. Ondyna nie mogła powstrzymać się od śmiechu słysząc, że on ma już 20 lat, a nie 16, jak myślała. I jeszcze nigdy sam nie wychodziłeś z domu? I diabeł wystawił w niej rogi, zaczęło ją aż swędzić, aby kiedyś zakpić z niego tAk, żeby aż musiał z płaczem uciekać. Ale z tego czy innego powodu oskar znów zaczął mówić

O swoim kamieniu, z wahaniem i jakby się spodziewał, że ona i z tego będzie się śmiać. To ją wzruszyło. Zrobił szkic jej portretu, gdy tak tam siedzieli przy martwym janowcu... narysował miłą dziewczęcą główkę, bez zmarszczek wokół ust, bez ptasiego nosa i za pełnej i gładkiej szyi... może on tego nie widział albo może już kiedyś wcześniej to narysował, ale za bardzo była wtedy podobna do starej baby. Ondyna nie mogła się rozstać z tym rysunkiem, wsadziła go do kieszeni

I oświadczyła, że dla kamienia oskar może sobie zrobić drugi rysunek; bała się pomicć tę kartkę; oskar nie spotkał jeszcze nikogo, kto byłby mu tak wdzięczny za to, co zrobił, i zbliżył swoją twarz do jej twarzy, żeby znów go pocałowała. Ondyna roześmiała się, po-caioujakt go przelotnie i dalej leżała na niezbyt suchej trawie z twarzą zwróconą ku szaremu niebu. Płakała. Rozmyślała o najróżniejszych niemożliwych rzeczach,

O swojej walce przeciw socjałom, o panu brysie, który teraz siedział w anglii i cierpiał bóg wie jaką nędzę... myślała o pierwszych wątpiących socjałach, którzy opuścili związek ze strachu, że pan brys nie mógł więcej przystąpić do komunii, i o tym, jak znów stopniowo zaczynali przychodzić do lokalu koło stacji, pojedynczo

I z głową wtuloną w ramiona ze strachu przed piekłem, które było przeciwwagą ich nadziei na lepsze życie... niyślała o składzie drzewnym, którego nigdy zuięcej się nie spleci, i o tym, czy ich teraz posadzą. Ale wszystko to były myśli poboczne od motywu wiodącego, mające

*na celu zwieść na manowce całe jej myślenie i odczuwanie... bo och, bo właściwie myślała o tym dziecku, wrzuconym do ustępu, które teraz miałyby już ze 3 latka i już by gadało. Czuli się tak podle i wciąż na nowo spoglądała na kartkę papieru, na której narysowana była niepodobna do niej dziewczyna... i nagle rzuciła się oskarowi na szyję i poprosiła, żeby zechciał się z nią ożenić.*

**KONIEC?**

To jest koniec 2-giego rozdziału: dziś trochę słońca, a pojutrze znów deszcze i wiatr... czy jak to tam było?... nie mamy, prawdę mówiąc, ochoty na to, żeby to jeszcze sprawdzać, bo bóg wie, czy będzie jeszcze jakiś ciąg dalszy. Mówisz My... bo mossieu colson z mińster-stwa od dawna nic już więcej nie zapisuje w swoim notesie, musi się uczyć, żeby zostać kierownikiem biura, i w oczach ma zmęczenie, tak że już nic więcej nie może czytać prócz tego, co najkonieczniejsze: nauk ekonomicznych. A malarka tippetotje siedzi jeszcze ciągle u bogaczy na avenue de tervueren... a to jest daleko od chęci otwierania nowych perspektyw w malarstwie... zimnym i niewzruszonym. A johan janssens... och, nie wspominaj o johanie janssensie!... ten siedzi teraz w domu i nie ma żadnego zawodu, żadnej pracy, żadnego chleba: znowu zapukał do starego właściciela firmy malarskiej, tam za 1-szymi brudnymi domami, na rogu ulic oszczędnościowej i perspektywicznej, i zapytał, czy nie znalazłaby się dla niego jakaś robota... i chodzi teraz po drodze z kapliczką w białym kombinezonie, z drabinami i wiadrami, i pędzlami, i maluje

fasady... on, ten, który kiedyś pisał o życiu duchowym, maluje teraz fasady. A ty? Ty boontje?

I wchodzi twoja żona i przyłapuje cię na tym, jak siedzisz z głową opartą na rękach na twoim biurku... i pyta: śpisz?... a ty odpowiadasz: nie, do jasnej cholery, nie śpię, tylko płaczę.





**A JEDNAK ROZDZIAŁ 3-CI I OSTATNI: *WCZORAJ TROCHE SŁOŃCA, A DZISIAJ ZNOWU WIATR I DESZCZ, I BŁOTO***



## *MADAME PROUST*

Dlaczegoż miałyby to być koniec naszej książki o drodze z kapliczką? pyta johan janssens, poeta i Malarz fasad... który obwiązał gałgankiem swój doszczętnie zamalowany palec... i który uśmiecha się sarkastycznie, gdy piękna żona lucette pyta go: czy pomalowałeś się w palec, johanie janssensie?... a on wyciąga z kieszeni notatnik, w którym zapisuje swoje godziny pracy, i czyta głośno:

dzisiaj malowałem fasadę u wdowy proust i zapisałem wszystko, co było do usłyszenia i zobaczenia... ale zwyczajnie, bez literackich ozdobników, bo i po co? nie idzie to przecież do żadnej gazety... no więc dzisiaj wymalowałem facjatę i zapisałem to, co było do usłyszenia i zobaczenia: ślepiec, który mieszka po drugiej stronie ulicy i który przechodzi na tę stronę, żeby mnie spytać, czy to, co maluję, to dąb i czy są jeszcze przedwojenne pędzle, i czy... no więc, prędzej bym zapisał to, czym ten ślepy się nie interesował.,, i kiedy przestałem dalej odpowiadać na jego pytania, zawołał z twarzą tuż przy mojej twarzy: czy malarze jeszcze tu są? Potem nadszedł inny ślepy, ślepy jean, a ja powiedziałem: uważaj, stary, tam stoi drabina... merci, odpowiedział i obszedł ją... i 1-szy ślepy słyszy, że to jego towarzysz niedoli, i woła: halo, jean, co u ciebie? A przechodzący drugi ślepy odkrzykuje: ha, tak jak... tak jak... i nagle uświadamia sobie, kto do niego mówi, <sup>1</sup> kończy: tak jak słyszysz, stary. I w chwilę potem zza

węgla wychodzi sama wdowa proust i patrzy na swoją fasadę i opowiada całe swoje życie: że chodzi sprzątać i czyścić parkiety u ludzi bogatych, żeby trochę zarobić i żeby za te zarobione pieniądze pomalować swój dom — więc nigdy jej nie ma w domu, żeby o niego zadbać — i opowiada mi, że ludzie są strasznie fałszywi, bo widziała dzisiaj kogoś, jak wchodził do jednej znanej czarnej, inną szowinistycznie nastrojoną damę, i ona, madame proust, zawołała: hej, madame, żeby pokazać, że widziała, jak ta madame wchodziła do tej czarnej. I opowiada mi, że jej matka nigdy nie jechała autem i na łożu śmierci poprosiła, żeby zawieźć ją na cmentarz autem: przynajmniej jeden raz sobie pojedę. I opowiada mi, że ona sama sporządziła już swój testament i zaznaczyła w nim, że życzy sobie być spaloną w krematorium... wszystkie niezbędne formalności zostały już załatwione, + wypełniony i podpisany telegram, który ma być wysłany, gdy tylko ona umrze. I gdy wszystkie formalności zostały załatwione, powiada, to taka byłam szczęśliwa, że pomyślałam sobie: chciałabym teraz szybko umrzeć. Bo nie podoba jej się, powiada, być pochowaną przez księdza, który kropi-wodą święconą trupa, który już zaczyna śmierdzieć i gdy wokoło stoją ludzie, którzy 1 okiem płaczą, a drugim się śmieją, i którzy mówią: wiesz, ten też umarł i to, i tamto!... o mnie nie muszą wiedzieć, powiada, jestem martwa i przyjeżdża po mnie auto z krematorium: dopiero się będą ludziska dziwować, jak mnie więcej nie zobaczą na ulicy... będą się zastanawiać: gdzie ona się podziała?... cha! cha!

Cha! cha!... i johan janssens zamyka swój notatnik i gapi się na gałganek na swoim doszczętnie zamalowanym palcu.

## *PODZIAŁ GODZIN MALARZA FASAD*

Właściwie okłamałem cię... powiada johan janssens, poeta i malarz fasad... gdy oświadczyłem, że będę czytał z mojego notatnika nie dodając literackich ozdobników... ładne pisanie siedzi jeszcze byłemu dziennikarzowi z gazety codziennej we krwi, wstydzę się tego... pozwól mi więc jeszcze raz to powtórzyć, ale tak, jak to jest zapisane w moim notatniku, a nie inaczej:

poniedziałek: 28-my albo 29-ty, pomalowana fasadka u ślepego...

ojczulek wygląda na 7-godzinnego wyrobnika i już 3 razy miał operowane oczy... na błony, które na nie zachodzą... a syn ma 30 lat i jest ślepy, pamiętam go jeszcze, jak razem chodziliśmy do szkoły:

widywałem cię, jeśli dobrze pamiętam, jeszcze w szkole? pytam go. Tak, to możliwe, odpowiada, chodziłem trochę do szkoły, ale tylko po to, żeby nie siedzieć cały czas na ulicy. I interesuje go wszystko, i farba, i werniks, i mastyka, i ile zużyłem pędzli, i jaki włos jest najlepszy na pędzle, wszystkie takie rzeczy, których ja sam nie wiem — a tymczasem na ulicę wychodzi Inny ślepy i staje **1** metr od naszej wysokiej drabiny, tak jakby wyniuchał, że coś mu stoi na drodze, i wołam do niego: hej, stary, uważaj, tam stoi drabina. A ślepy pyta: czy to może jean przechodzi tamtędy?... hej, jean! A jean woła: ha, frans... jak ci leci? A frans, który chce udawać jowialnego, odkrzykuje: ha, tak jak w... tak jak w... tak jak słyszysz, hej, dodaje ciszej. Przed południem pracowałem 4 godziny i zużyłem **2Vi** kg farby — właściwie niecałe 2 kg, ale no cóż, nie ma to w końcu większego znaczenia — i 2 arkusze papieru ściernego, **1V2** mastyki i **1** litr nafty — trzeba jeszcze raz przejrzeć tę lampę, bo tak syczy — po południu pracowałem **2** godziny, tam zaraz naprzeciwno, u wdowy proust, rozmawiałem z przechodzącym policjantem,

jest żonaty i ma dziecko, i zarabia zaledwie 2 tysiące fr na miesiąc... też się na tym nie utuczy... a później dopiero zaskoczenie i oburzenie, że wśród policjantów zdarzają się wypadki korupcji. Potem malowałem u kantycznego nauczyciela, z synem właściciela firmy, który mało nie pękł ze śmiechu... jednak zapomniałem z czego — IVz godz., werniks był już doliczony. Potem poszedłem popatrzeć na drzwi luizki i trochę się przeliczyłem co do koloru — a luizka to tak patrzy na ręce! — jakoś sobie poradzę: **Vh** godz. Wtorek: **IV2** godz. szpachlowałem u ślepego... tak-tak, tak-tak, powtarza on z przekonaniem — widziałem dziewczynę fransa, od tyłu, bo już zdążyła przejść, i mówię: te nogi jakoś mi się niespecjalnie podobają... a frans na to: mnie też nie. Potem pracowałem w sypialniach jednej starszej kobiety, która podupada na zdrowiu i która ma chorowitego męża. I patrzy tylko na jedno: czy jej linoleum jest czyste. Czerwona farba — powiedzmy 2 kilo, bo zapomniałem zważyć, i 4 arkusze papieru ściernego, jedna głowa mastyki. Skończone o 5-tej, bo frans miał już dość. Ja też, ale cóż... czego człowiek nie ma dość? Na drzwi luizki nie chodziłem patrzeć.

### **BÓG NAUKI?**

*Ondyna widziała, jak ojciec siwieje z dnia na dzień... ciągle sam sobie opowiadał, jak ta historia z budową ruszyła z miejsca... zaskakiwała go niekiedy spacerującego tam i z powrotem po swoim warsztacie, ciągle gadającego tak, jakby ktoś chodził za nim w kółko i słuchał. Tragicznym punktem kulminacyjnym w jego rozmyślaniach musiało być odkrycie sfalszowanego podpisu: przerywał wtedy swą wędrówką i wzruszał ra*

mionami, jakby chciał pokazać, że nie mógł na to zareagować, że świat jest za wielki, a on za mały. Patrzył wtedy usprawiedliwiająco w górę, jakby w jego warsztacie siedział schowany pomiędzy belkami sufitu bóg, supersędzia. Jednakże w boga nie za dobrze umiał wierzyć... dla niego bogiem była nauka, albo też bóg stanie się nauką... nie potrafił tego najlepiej wyjaśnić, ale sprowadzało się to do tego: że nauka w swoich poszukiwaniach dojdzie do czegoś, do jakiegoś pozytywnego obrazu, do ogarnięcia wszystkiego... i że to Coś, to odkryte, okaże się bogiem. I tłumaczył temu obrazowi z przyszłości, temu bogu-nauce, że historia z budową była ponad jego siły... i wzruszające było patrzeć, jak w swoim cichym warsztacie zakasuje rękawy i swoje pokiereszowane i wychudzone ręce pokazuje temu Czemuś, co jeszcze nie istnieje. Potrafił jednak również przyjąć inne stanowisko, stanowisko, że tak powiem, praktycznego spojrzenia... np. zdawał sobie jasno sprawę z tego, że przyjdzie dzień, kiedy ondyna wyfrunie z domu i wyjdzie za mąż, a jego zostawi samego z całym tym kramem. Ale co dziwne, chociaż zdawał sobie z tego sprawę, to sceny te były jakby za mgłą... lub jeszcze lepiej, wydawały się czymś, co miało się stać z kimś innym, z jakąś inną ondyną i innym carolusem — noszącym przydomek uapeur, cholera — gdzieś bardzo daleko w jakimś innym ter-muren; tego innego vapeura miano wsadzić do paki, a on, prawdziwy va-peur... ten wewnętrzny, carolus... jemu przeszkodzi to w dalszej pracy nad wynalazkiem. Będzie musiał porzucić swego boga... i perpetuum mobile, na które świat czeka i które ma ten świat przemienić, znów po raz kolejny nie zostanie wynalezione. Z tych wszystkich powodów już się niemal nie odzywał do ondyny, była <sup>or</sup>ia dla niego prawdziwym szatanem, szatanem, który nosi chrześcijańskie szaty i stoi za księdzem na <sup>a</sup>mbonie, aby udaremnić wzlot prawdy i nauki. Gdy

zbliżało się południe i ondyna ugotowała to czy tamto... wychodził tylnym wyjściem przez ubożuchny ogródek... czekał, aż ondyna sobie pójdzie, żeby sam jeden, nikomu z niczego się nie tłumacząc, tak jak dawniej skle-pać coś, co nie miało nazwy... chciał się śpieszyć, żeby jak najszybciej wyjść z tego domu, mruknąwszy to czy owo do zulmy, że go głowa boli i że idzie się trochę przejść po polu... jakby ktoś przyszedł w sprawie roboty, to powiedz, żeby zaszedł wieczorem — chociaż nie było powodu, żeby się usprawiedliwiać przed zul-mą — ona i tak nie potrafi tego zrozumieć... właściwie usprawiedliwiał się sam przed sobą, bo miał robotę, powinien był naprawić rynnę w bocznym skrzydle pałacu... nie miał jednak odwagi zabrać się do niej, dla niego jednego było to za wysoko i za ciężko, i potrzebne mu było do tego drewno, a nie miał odwagi pójść do składu drzewnego. Całymi godzinami spacerował gdzieś daleko, siedział w lasach tralfenne żując żdźbło trawy albo wycinając fujarkę, albo karbując sobie kijek przysłowiami i alchemicznymi symbolami... a równocześnie dalej rozbudowując swoją boską ideę, która była jeszcze bardzo mglista. Spierał się sam ze sobą i miał całkowitą rację. To dziw, jak wszystko było dla niego jasne i oczywiste, w przeciwieństwie do tych wieczorów, kiedy czasem rozmawiał o tym z ondyną... ondyna pokonywała go wtedy... przedstawiała takie argumenty, które całą jego wiarę ośmieszały... i nie wiedział, że ona sama w te argumenty wciąż wątpiła i zastanawiała się, czy w gruncie rzeczy on nie ma racji. Ale pozbyła się tego pomysłuwszy sobie: och, starczy tego, jeśli on ma rację, to jest to zaledwie jakaś przypadkowa, mała prawda... jak taki głupiec mógłby od-, kryć wielką Powszechną prawdę? przecież tę odrobinę, którą dzisiaj wie, zapomina już nazajutrz. Lecz to właśnie ona sama nazajutrz lub nawet jeszcze tej samej nocy musiała samą siebie na nowo przeko



*nywać, że musiało istnieć jeszcze coś innego, coś WIĘcej niż tylko nauka i same z siebie istniejące prawa... bo co zrobić w takim razie z szatanem jej namiętności i strachów?; nie na darmo norbert kazał jej się modlić: o ty, synu jutrzejki, lucyferze, znów staniesz się aniołem światła.*

### *WĄTEK I OSNOWA*

Otwierasz list od malarki tippetotje i czytasz: ja, malarka tippetotje, dowiaduję się, że w twoim mieszkaniu stoją jakoby same puste krzesła... a wiem skądinąd, że i moje krzesło jest puste... i że johan janssens gada tylko o malowaniu fasad: przykro mi, ale i ja muszę ci napisać o malowaniu, z tą różnicą, że johan janssens pracuje u prostych ludzi, a ja u bogatych... pracuję nadal u wielkiego przedsiębiorcy, wiesz, którego, gdzie pokojowa nago przygotowuje kąpiel, a czy nie zapomniałam powiedzieć, że to hiszpanka?... no więc przyjechała tu do belgii, gdzie może zarobić miesięcznie 2000 franków, niesłychanie duża pensja, jakiej nie dostałaby nigdzie na świecie... i mówi mi tak: jak zaoszczędzę dość pieniędzy, to wrócę do hiszpanii i otworzę sklepik... a ja ją pytam: jak tam jest w tej hiszpanii franco?... a ona mi odpowiada z nieprzeniknionym uśmiechem: o, franco jest dla nas dobry, daje nam jedzenie i ubranie, i pracę, szkoda tylko, że nie jest jednym z nas. Ale wczoraj pokłóciła się z inną pokojową i rzuciła się na nią z nożem do krojenia chleba, i teraz obie leżą w szpitalu. No i została już tylko jeara pokojowa, stara, staruteńka, która musi teraz szystko robić sama, ma 72 lata i musi gotować, i po-<sup>w</sup>sć, a potem zbierać ze stołu i zmywać, i wszystko

ustawiać na swoje miejsce... a w tym czasie kominiarz, pardon, wielki przedsiębiorca, siedzi razem z żoną w olbrzymiej sali, gdzie kolosalny stół zastawiony jest całą porcelaną i srebrem, tak jakby miała przyjść z wizytą szkoła morską... i ja, tippetotje, natykam się na tę starą służącą na schodach: siada na nich zdyszana i zupełnie bez tchu z tacą w ręce, podczas gdy przy ogromnym stole siedzi i czeka wielki przedsiębiorca. Ha, i jeszcze coś, czego o mało nie zapomniałam, jeśli mowa o hiszpanii, on załatwi, co trzeba, z hiszpańskim rządem, żeby mi pozwolili bez przeszkód podróżować po-hiszpanii, bo jest przyjacielem franco. Ha, i po raz kolejny jeszcze coś — tak więc są już 2 cosie, których o mało nie zapomniałam — nie mogę dostać telefonu... nie masz telefonu? mruczy wielki przedsiębiorca... i już w 3 dni później instalują mi telefon. Pozdrowienia dla twojej żony, dla pięknej żony lu-cette, dla dziewczyny z tłustymi pośladkami i dla mojej jeannine, tymczasowej... ha, a także jeszcze dla córeczki mechanika... twoja tippetotje.

ps.: nie pisz jednak lepiej tych rzeczy o wielkim przedsiębiorcy, bo będzie wściekły.

I czytasz ten list na głos tym, którzy jeszcze od czasu do czasu przychodzą odwiedzić puste krzesła... ale\* kantyczny nauczyciel powiada, tak jakby z niepewnym lekceważeniem: wydaje mi się, że z tej tippetotje robi się mała cwaniara... telefon, obrazy sprzedawane wielkiemu przedsiębiorcy, obrazy sprzedawane baronowi, podróż do hiszpanii... pozdrowienia dla wszystkich żon z ter-muren... czy dawniej, kiedy była młodsza, lecz tak samo naiwna, nie nazywano jej „statkiem pełnym kłamstw”?

## *LICZĄ SIĘ TYLKO POZORY*

Czy kantyczny nauczyciel nie odczuwa jakby odrobiny lekceważenia dla postawy tippetotje? wykrzykuje johan janssens... jeśli tak, to ja, johan janssens, nie odczuwam jakby odrobiny lekceważenia wobec niej, lecz jestem 1 słowem oburzony... przede wszystkim z powodu tego na końcu, tego p.s.: nie pisz jednak

**O** tym wielkim przedsiębiorcy, bo będzie wściekły. Biedna tippetotje, która siedzi u bogaczy za stołem

1 zakładają jej telefon, i sprzedaje obrazy, biedna tippetotje, dla której liczą się jeszcze tylko pozory. A równocześnie jestem oburzony, że mówisz, iż ja, johan janssens, piszę tylko o malowaniu fasad... to kłamstwo... pisząc o malowaniu fasad i o prostych ludziach, dla których pracuję, pisałem również o czymś innym i o wiele więcej... pisząc o malowaniu fasad i o prostych ludziach, z którymi pracuję, powiem np., co następuje:

że każdy chce być tym, kim nie jest; wszyscy robotnicy, których widzisz na ulicy, malarze i szklarze, i hydraulicy, i elektrycy, i ci wszyscy kierowcy, co jeżdżą ciężarówkami, i wszyscy ci, co pchają stragany na kółkach: wszyscy oni noszą czapki khaki, takie same jak amerykańscy żołnierze, i wszyscy zaginają daszek tych czapek do góry, tak samo jak to robili amerykańscy żołnierze. Oczywiście syn starego właściciela firmy malarskiej też nosi taką czapkę... tak jak wcześniej nosił czapkę studencką. A jeśli o studentach mowa, zapytałem go wtedy, czy znów chodzi do szkoły... a on odpowiedział: nie, ale wszyscy moi kumple noszą takie czapki, willy pracuje w fabryce obuwia, a przecież też nosi czapkę studencką. A teraz, dziś rano, ma on w klapie marynarki znaczek „królewska szkoła plastycz<sup>na</sup> w brukseli", a ponieważ widzi, jak spoglądam

z uśmiechem na ten znaczek, mówi mi jakby z mieszaniną obrony, usprawiedliwienia i oburzenia: w szkole plastycznej małego miasta z 2 fabrykami nie mają żadnych znaczków i dlatego nosimy wszyscy znaczki szkoły plastycznej z brukseli.

no i popatrz, gdy o tym piszę, mógłbyś rzec: johan janssens znów nawija o swoim malowaniu fasad... ale to nieprawda, piszę jedynie o pozorach, które tylko jeszcze się liczą w dzisiejszym świecie.., i uśmiecham się, gdy syn starego właściciela zakładu w te pozory wierzy, żyje i jest błogosławiony... ale ogarnia mnie oburzenie, gdy tippetotje ucieka spod naszego sztandaru, aby uganiać się za pozorami ludzi z alei tervueren.

### *PRZY NIE STRZEŻONYM PRZEJEŹDZIE*

*I teraz, w tych lasach, vateur postanowił, że nie chce więcej mieć z ondyną nic wspólnego... nie mógł być jej właściwym ojcem, możliwe, że był tym, który dał jej życie, że miał swój udział w przyjściu na świat jej grzesznego ciała, lecz jej duch był niczym innym jak przedłużeniem zulmy... niejako przedłużeniem ducha zamku. Wracał od tyłu wąską dróżką pomiędzy do-i mami, którą tej jesieni znał już na pamięć... i kiedyś postanowił pójść znacznie dalej, żeby wrócić do domu dopiero o późnym zmierzchu... ale tam hen, w polu, i nie znał tak dobrze drogi i ucieszył się jak dziecko, gdy natrafił na linię kolejową: postanowił iść wzdłuż niej, a gdy tak kroczył po podkładach, jego uwaga, bo by przecież człowiekiem, skierowała się natychmiast k' tym nie strzeżonym przejazdem... czy nie można by było dokonać takiego wynalazku, żeby nadjeżdżający pociąg z daleka otwierał szlaban... nie, właściwie zamykał*

■  
och, gdzie błędziły jego myśli? — a potem, znikając ft,n w oddali, znów by ten szlaban otwierał? Rozmyślał i Uczyl, i nagle... bo doszedł już do janowca na nasypie... zobaczył tę, przed którą uciekał jak przed ospą, której nigdy się zanadto nie obawiano. Siedziała z tym chłopcem skarbków marnując swoje smutne życie. Tak Się przestraszył, że w pierwszym oszołomieniu powiedział dzień dobry i równocześnie przypomniał sobie, iż poprzysiągł nigdy więcej z nią nie rozmawiać... ' tak że popatrzył na nich jak ślepy, odwrócił się i prawie z płaczem poszedł dalej; potykał się o wszystko, o co tylko można było się potknąć, stanął przy nie strzeżonym przejeździe i usłyszał z oddali nadjeżdżający pociąg. I pomiędzy swymi poplątanymi myślami, pomiędzy wstydem z powodu ondyny tam, z tym dzieciakiem, przyszło mu do głowy, że coś jednak trzeba by zrobić, żeby te kamieniste drożyny krzyżujące się z torami uczynić bezpieczniejszymi... i machinalnie wyjął z kieszeni kawałek kredy i zaczął rysować, ale startł to wszystko, bo już się zmierzchało... pognął do swojego warsztatu, gdzie przy świetle stajennej latarni mógł sobie poużywać... zaczął rysować na ziemi linie... bo miał taki dziwny zwyczaj dokonywania wynalazków, liczył, rachował, i rysował w nieskończoność, nie wiedząc, co z tego wyjdzie... tymczasem przemknęło mu coś przez głowę, wszystko startł i zaczął na nowo zapamiętane kreślić, żeby złapać tę przelotną myśl, utrwalić ją przy pomocy cyfr. Lecz teraz nie było to już możliwe: za każdym razem, gdy zaczynał widzieć wyraźnie, dochodziło coś innego, jakaś myśl poboczna, która była przeszkodą dla jego genialnego pomysłu

<sup>1</sup> r ozwiewała go... rozglądał się wtedy wokół siebie <sup>1</sup> Pocierał czoło, zastanawiając się, co też mu tak przeszkadza: był to głęboko w nim drzemiący strach z powodu długu, którego nie mógł spłacić, było też wspomnienie o ondynie, która leżała tam pomiędzy krzaka

*mi z dzieciakiem, który jeszcze nawet 14 lat nie mia i którego zapewne tak deprawowała, że nigdy nic dobrego z tego nie wyjdzie; on ją znał. Takie myśli po boczne wprowadzały go w zmieszanie, nie mógł przez nie narysować nic, co by do czegoś było podobne... po winien się kiedyś wygadać, mimo wszystko, żeby po zbyć się tych kłębowisk myśli... ale przypuśćmy, że\ ktoś nawet chciałby wysłuchać go do końca, to od cze go miałby zacząć? A ondyna, która tymczasem też wró ciła do domu, widziała jego wewnętrzną walkę, wi działa, że chce on powiedzieć coś, co przewyższało mo żłjwości jego rozumu... i widziała, przede wszystki i nade wszystko, jego strach przed tym, by zacząć; ba się awantury i tego, że ona zacznie mu wytykać jeg< niemoc, bał się tych dni, kiedy w domu przestanie się rozmawiać: będą wtedy jak zjawy, ledwo się o siebie ocierające pomiędzy tymi ciasnymi ścianami, ale nie otwierające do siebie ust... za to ondyna odwrotnie, w swych myślach widziała go już chorym... widziała jego pragnienie, by przyszła śmierć, i widziała, jak starał się to ukryć, ale także i to, jak... o, jak dobrze... było , to dla niej widoczne, dla niej, która go rozumiała. Ona też znała te nastroje, gdy człowiek kładzie się do łóżka ze skrytym pragnieniem, aby więcej się nie obudzić..\*, lecz wiedziała też i to, że był zbyt tchórzliwy, że wolał uchodzić za złodzieja, za kogoś, kto nie zapłacił ludziom i siedział w pace.*

### *NA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH*

Znów jest wszystkich świętych i kwitną białe chryzantemy w twoim skrawku ogródka... znów pali się piecu, a twoja żona siedzi i robi na drutach, chocia:

.ry- |

robienie na drutach nie jest dobre dla jej nerwów... aIe co ma innego robić?, robi coś, co nie ma ani nazwy, ani formy i co w głębi ducha nazywa być może swoją nielegalną robótką na drutach, tak jak ty piszesz i piszesz coś, co nie ma nazwy ani formy i co nazywasz swoją nielegalną książką. I pisząc spoglądasz od czasu do czasu przez okna na niczyj las, gdzie drzewa stoją w swoim późnojesiennym przebraniu i z których dzwony wszystkich świętych spędzają swoim bim-bam ostatnie liście. Bo znów jest wszystkich świętych i znów kwitną białe chryzantemy, i znów wróciła dziewczyna z tłustymi pośladkami, w swoim domu na kółkach, i stoi tam przy drodze, przy jesiennych drzewach, nad zamkowym strumieniem, koło tego miejsca, gdzie ludzie z 1-szych brudnych domów wyrzucają puste puszki po konserwach. Stoi tam ze swoim wozem mieszkalnym, żeby przetrzymać zimę w ter-muren jak nietoperze uczone swojej belki w najciemniejszym kącie szopy... ter-muren jest najciemniejszym kątem szopy dla tej dziewczyny z tłustymi pośladkami... ale gdy tak siedzisz z uniesionym w ręce piórem, spoglądając na schodki wozu, pragnąc znów ją ujrzeć, gdy z niego wychodzi, drzwi się otwierają, ale to nie ona... to dziki niedźwiedź pod postacią wysokiego, chudego mężczyzny... zapewne nazywa się woelus... zapewne nazywa się woelus dziki niedźwiedź... i to jest mąż dziewczyny z tłustymi pośladkami. O, dziewczyno z tłustymi pośladkami, na widok której tężeje krew w żyłach komiwojażera jaspersa, na widok której malarka tippetotje chwyta za szkicownik, na widok której boontje pisze felietony przepelnione łzawą nostalgią... wyszłaś za mąż gdzieś tam w kraju słońca i jarmarków, i bud strzelni<sup>cz</sup>ych... a teraz, gdy ma nadejść zima i niepogoda, teraz, kiedy jest wszystkich świętych i dzwonią dzwony, P<sup>rz</sup>yjeżdżasz do najciemniejszej belki ciemnej szopy — ter-muren — żeby spędzić swój zimowy sen u boku

woelusa dzikiego niedźwiedzia... będziesz leżeć ze swymi tłustymi pośladkami przy jego chudym brzuchu, gdy będzie deszczowo i śnieżnie, i mroźno, i będzie noc i ciemność... i powiesz: zobacz no, jak tam na dworze, woelusie dziki niedźwiedziu, gdy mnie tu tak dobrze leżeć przy twoim twardym brzuchu. Ale gdy ty to piszesz, ktoś dzwoni do drzwi i twoja żona odkłada swoją nielegalną robótkę na drutach i idzie zobaczyć, i jes to sam woelus dziki niedźwiedź we własnej osobie.., ale nie jest dziki, jest tylko przybity i bezradnie obraca czapkę w stwardniałych palcach; bo chodzi o to, że dziewczyna z tłustymi pośladkami leży tam i coś jest z jej brzuchem, poci się i ma gorączkę... i twoja żona mówi, że to będzie grypa, grypa kiszek, daje woelusowi dzikiemu niedźwiedziowi aspirynę 'i dobrą radę, żeby dobrze swoją żonę opatulił. I woelus wraca uspokojony do swojego wozu, ale ty, który znów bierzesz w rękę pióro, wiesz lepiej: to wszystkich świętych i dzwonią pogrzebowe dzwony, i nawet dziewczyna z tłustymi pośladkami wychodzi za mąż, i starzeje się, i coś jest z jej brzuchem, i umiera. Bim. Barn.

#### *PROLETARIAT URZĘDNIKÓW BIUROWYCH*

No i widzisz... powiada mossieu colson z miństerstwaJ że wczoraj we wszystkich świętych nie powinienem był do ciebie przychodzić, pomyślałem najpierw: na pewno I będą piec zaduszkowe placki... a potem pomyślałem: J będzie pisać o wszystkich świętych... i widzisz, że miałem rację! A ty odpowiadasz: miałeś rację, mossiefl colson, twierdząc, że będę pisać o wszystkich świętych, ale nie miałeś racji sądząc, że nie powinienes do mnie i przychodzić. I gdy on z uśmiechem sadowi się w krę#



światła lampy stojącej na twoim stole... którą zrobiłeś w zeszłym tygodniu ze starej miedzianej lampy naftowej, nazywanej właściwie quinquetem... i gdy siada w kręgu światła rzucanym przez twoją lampę, widzisz przebiegający po jego zmęczonej twarzy nerwowy tik. Cieszę się, powiada, że mam za sobą egzamin na naczelnika biura, bo już więcej nie czytałem, nie pisałem i nie żyłem... uczyłem się na naczelnika biura... teraz egzamin mam za sobą i powiodło mi się... ale stanowiska przez to jeszcze nie mam, a pensji za to też jeszcze nie dostaję... jednak robotę wykonuję już od wielu miesięcy...- i gdy zdałem ten egzamin, zlatują się do mnie wszyscy pracownicy miństerstwa, wszyscy zastępcy naczelników biur i referenci, prości urzędnicy i woźni, i windziarze, którzy zdają albo będą zdawać egzamin. Zlatują się i pytają, co mają robić, żeby go zdać... i ten chłopak z tralfenne, piszący opowiadanka o pociągu, którym późnym wieczorem wraca do swojej odległej wsi, piszący o mostku w ustach, co nie jest dobrze dopasowany i przez co on nie może się w pracy śmiać... i ten chłopak, który interesuje się teatrem, teatrem pod katolickim patronatem, i ma ze swoją żoną 3 dzieci, podczas gdy oczekuje 4-go, i który nie zarabia nawet 3000 fr, a z tego 1500 fr musi płacić za mieszkanie... mieszkanie, nie śmieję się, w którym jest tylko 1 pokój... mieszkanie 1-pokojowe, w którym trzyma się węgiel i drewno na rozpałkę, w którym gotują i śpią, i spodziewają się dziecka, 4-go, jak powiedziałem... i wszyscy przychodzą pytać, czy na egzaminie dużo pytają z matematyki albo dużo z ekonomii, albo dużo... dużo... A mossieu colson powiada: 2 tygodnie temu, kiedy P<sup>tz</sup>gotowywałem się do tego egzaminu i nie czyta-tem, nie żyłem, znalazłem jednak czas, żeby zanotować rzecz następującą: że nie chodzi się do szkoły, żeby zdobyć dla siebie trochę wiedzy, ale żeby zbudować P<sup>o</sup>dstawy do zarabiania pieniędzy. I napisałem to tro

chę ironicznie, trochę lekceważąco... ale jednak dzisiaj zastanawiam się, co można począć w 1-pokojowy mieszkaniu z nauką, przy pomocy której nie można zarabiać pieniędzy? I również 2 tygodnie temu zano towałem w moim notatniku, że każdy, kto chodził do szkoły i uczył się trochę matematyki, trochę ekonomii" trochę nauk handlowych, wstydzi się być chłopem albo robotnikiem... on chce zostać urzędnikiem w biurze, ale dzisiaj, kiedy znam ich biedę, patrzę tylko przerażonymi oczami na ich problemy nie do rozwiązania: proletaariat urzędników biurowych.

### *DZWONIŁ TAK PRZEZMIERNIE*

Maluję co prawda fasady, powiada Johan Jansse jednak dalej piszę o moim lisie przecherze... nawias mówiąc, nie chcę jeszcze niczego wypaplać, zanim nie będę tego pewny, ale zbliża się zmiana w mojej sytuacji, tak że historyjki o lisie przecherze będą mi potrzebne... no więc opowiem teraz, jak wilk odprawia mszę:

gdy wilk w mniszym habicie czytał pasję, mali l'kowie, strzeżcie swego grosza... oto ostatnie słowa, jakie Isengrinus odśpiewał przy ołtarzu, a później zwrócił się ku pustym krzesłom i wygłosił swe sławne kazanie, które w kościelnych annałach znane jest jako kazanie Dubonneta:

umiłowani wątpiący, każdego dnia w każdym oknie widzieliście wiszącą obok portretu króla nobla kościelną reklamę, przedstawiającą najpierw mężczyznę, który śpieszy na pociąg z walizką w ręce, a obok niego mężczyznę, który śpieszy do kościoła z książeczką \$ nabożeństwa w ręce, później reklamę nie niedzie ru dzielnej mszy na pięknym przykładzie dubo dubon

bonneta, a później znów jakąś inną reklamę... ale teraz 5coni<sup>ec</sup> z reklamami, umiłowani niewierzący, bo już nie trzeba, żebyście wyciągali kulasy, aby pić mszę du-bonneta: już po wyborach i pan derenancourt z zamku siedzi w miństerstwie. Brawo, chciał zawołać przechera, ale w porę zreflektował się, że w kościele nie wszczyna się hałasu, ale na odwrót, dzwoni się w dzwony, i pośpieszył do miejsca, gdzie wisiał sznur, aby obwieścić światu, że kazanie dubonneta weszło pomiędzy nas. Jednak to dzwonienie zaniepokoiło isengrinusa, który pośpiesznie opuścił ołtarz i przybiegł tutaj: co jest? mam takie wrażenie, jakbyś uruchamiał syreny i na nowo wszczynał wojnę. Ale lis zapytał go, co też z niego za zakonnik: przychodzisz wygłosić najprawdziwsze kazanie tych zielonych świątek i nagle zawstydzasz się jak dziewczyna albo geniusz, który uświadamia sobie, że biją w dzwony po to, żeby na niego przyjść popatrzeć! No tak, isengrinus na to... i skręcał się, i wyginał swoje długie ciało jak serpentynę... ty jednak przecież wiesz, że prostym ludziom wolno myśleć to, co im się podoba, ale nie wypowiadać tych myśli, jakby im się podobało... a poza tym ty wygłoś to kazanie, wiesz, co powiedziałem, i tylko to powtórz, a ja będę bić w dzwony. Och, no dobrze, odpowiedział lis, który po raz kolejny musiał patrzeć na tchórzostwo swego wuja. i pokazał wilkowi, jak powinien możliwie najwyżej złapać za sznur i ciągnąć, jakby to było dzwonienie dla nieboszczyka o 11-tej, co ma kosztować strasznie drogo. I gdy wilk wyciągnął długie łapy, przechera obwiązał koniec sznura wokół <sup>n</sup>og swego wuja: musisz dzwonić dużo mocniej, pouczył go. Ale isengrinus, który zbyt późno spostrzegł ten żalony kawał, zaczął wierzgać, żeby się uwolnić, zaczął szarpać i ciągnąć, zaczął kłać na dzwony, które przez <sup>n</sup>czas wciąż dzwoniły, zaczął błagać przecherę, który <sup>stał</sup> w oddali i wołał:

o, tak jest dobrze, myślę, że dużo ludzi przyjdzie naszą mszę, bo widzę, jak ojcowie wyskakują już węglą:

To dzwonienie tak słodkim wilkowi się zdało, iż zawsze je czynić mu się chciało, jakoż dzwonił tak przezmiernie, iż wszyscy, co przechodzili, i wszyscy, co w murach byli, za czarta go dzierżyli, i zanim isengrinus zdążył pokrótce odpowiedzieć, nie był żadnym czarnym, ale z pewnością też prawo odsunąć się od świata i zamknąć się w kii torze... nie będę jeść na wieczerzę więcej niż 1 gęś", i zanim zdążył zakończyć; „poddam się łącno..." o maluczko o śmierć go nie przyprawili, bo czym głośni wołał, z tym większym impetem łamano kije na je grzbiecie, johan janssens.

### *TYGODNIK*

Minęły zaduszki... i gdy w lecie bez końca padało, to teraz jest piękna i ciepła pogoda; i mossieu colson stoi razem z johanem janssenssem i patrzy na drogą z kapliczką, na której jakiemuś człowiekowi polecono nowym popiołem i żuzłem zasypać ślady setek pokoleń... stoi on tam oparty o swoją łopatę i mówi każdemu, kto tamtędy przechodzi, że jak na tę porę roku to pogoda jest bardzo piękna, trochę wilgotna, ale jednak ciepła... i mossieu colson z miństerstwa powia< że teraz będzie mógł przynajmniej z suchymi nogami przyjść do domu, *ale że w tym celu będzie się mu obejść bez tych wszystkich dołów i kałuż, i kolein, i dów stóp ondynki z ter-muren...* tego, co tak do<sup>1</sup>

zna od najmłodszych, lat... i pamięta, jak jego matka mówiła: uważaj, mały colsonku, i nie włącz do tej kałuży... i pamięta, jak to się później zmieniło w: och, ty urwisie, znowu wlałeś do kałuży, buty masz mokre, a skarpetki jeszcze bardziej mokre, co za utrapienie z tobą, myślisz może, że buty nic nie kosztują?

I johan janssens głęboko zamyślony kiwa głową, tak jak kiwają wszyscy głęboko zamyśleni ludzie, którzy nie rozumieją, co się do nich mówi... owszem, buty kosztują... kupiłem właśnie parę butów dla mojego syna, który ma 9 lat i biega tam i z powrotem po tych wszystkich jeszcze nie rozrzuconych zwalach popiołu i żużlu, ciągle w górę i w dół, i tylko zdziera buty... a buty, owszem, kosztują... a parę dni temu wspominałem ci o czymś, czego jeszcze nie byłem pewien,

**O** poprawie w moim źródle dochodów... i gdzie będę mógł kontynuować moje felietoniki o lisie przecherze... no więc chodziło o Tygodnik... zwrócono się do mnie, żebym w Tygodniku miał swoją rubryczkę i wypełniał ją tak, jak to zawsze do tej pory robiłem w gazecie... niewiele płacą, ale to zawsze coś... obliczam, jaka to będzie poprawa w moich źródłach dochodów, jeśli jeszcze dodam do tego to, co mogę dorobić, dalej pisując dla literackiego miesięcznika nowy czas i dla belgijskiego radio. Stop, stop, woła m. Colson z ministerstwa —

1 człowiek, który ma rozsypać popiół i żużel na drodze z kapliczką myśli, że to do niego i odpowiada: jak to stop, przecież już od 2 godzin nawet nie ruszyłem łopatą — ale to do Johana Janssens, poety i dziennikarza z Tygodnika, m. Colson zawołał: stop, na dłuższą metę będziesz miał za dużo źródeł dochodów! ale Johan Janssens uśmiecha się gorzko i powiada: nic się nie bój, m. Colsonie z ministerstwa, bo minęło już od tamtego czasu wiele tygodni... i wszystko, co dostałem, oprócz odesłanych mi z powrotem materiałów, to to żałosne honorarium z Tygodnika; popatrz, leży tutaj

w pudełku. Twoje wynagrodzenie leży w pudełku? pyta mossieu colson z  
miństerstwa. Nie, ono nie, ale buty dla mojego syna jo, który ma 9 lat,  
kupione za to żałosne honorarium.

### *ONDYNIE ŚMIAĆ SIĘ CHCIAŁO*

*Ondynie śmiać się chciało z tego pragnienia śmierci, które odczuwał  
jej ojciec, a które rozmywało się w pragnieniu, by zasnąć i nie  
obudzić się... wylała zamknięte usta pytaniem, kiedy on się w  
końcu zabierze do tej rynnny... i od pierwszego słowa odpowiedzi głos  
mu się załamał, tak że nawet zulma się roześmiała i zaczęła go  
przedrzeźniać. Ze wszystkiego, co w końcu udało mu się wyszarpać  
ze swych ust, przedrzeźniała głupio tylko to pierwsze słowo... on  
patrzył na nie ze smutkiem i już nie wiedział, co w końcu powiedział;  
ondyna się z niego śmiała; to był taki śmiech, od którego strach  
człowieka ogarniał, taki był sztuczny. Lecz ona sama się bała,  
wiedziała, że coś się musi zdarzyć z tymi zaległymi rachunkami... ale  
co?... i zawołała, że sam sobie musi radzić; podsumowała wszystko,  
co uczyniła ze swej strony: oszczędzała, chodziła zbierać pieniądze,  
nalatała się jak głupia, wycierpiała wszelkie upokorzenia... ale ty  
jesteś gagatek, kupujesz lampy do wynalazku, z którego nigdy nic nie  
będzie, i dajesz pieniądze na odbudowę spalonych kościołów i ka-  
plic, jakbyś był krewnym biskupa. I w tym potoku słów ondyny vaporeur  
nie widział już więcej własnych strzępków słów, szukał ciągle jakiegoś  
punktu zacz pienia, żeby samemu móc coś powiedzieć; przed chwilą  
kiedy był sam, wydawało się, że wszyscy są winni, tylko nie on... a  
teraz... teraz... zaraz tylko on jeden bę*

*dsie winien. Uczepił się tego, co ondyna powiedziała na końcu — choć zdawał sobie sprawę, że było to zupełnie coś innego niż to, co powinien był powiedzieć — że „on” wcale nie wydał pieniędzy na kaplicę. Ale ondyna zaraz go powstrzymała mówiąc, że ktoś, kto chce udawać przedsiębiorcę, musi pilnować, żeby jego szmyr-gnięta żona nie dorwała w swoje ręce jego pieniądze. I zulmie chciało się z tego strasznie śmiać, jeszcze raz zachichotała i znów zaczęła przedrzeźniać pierwsze słowo vapeura. Och, on się wycofywał i gotów był się usprawiedliwiać... w oczach miał już łzy... chciał powiedzieć, nie, chciał zapYtać, czy nie byłoby lepiej, gdyby wspólnie użyli swego rozumu, zamiast klócić się między sobą. Ale z tego ondyna zaczęła się śmiać jesscze głośniej i bardziej nienaturalnie: ja zarabiam, a ty przepuszczasz, a potem mamy wspólnie się zastanawiać, żeby wspólnie pójść siedzieć... sam jEden staniesz przed trybunałem i tam będziesz się usprawiedliwiać, że masz głupią żonę, a nie przede mną. A va-peur jej nie zaprzeczył, wręcz przeciwnie, siedział ci-cfio na krześle gapiąc się na swe nieruchome ręce i myśląc o tym, że wszystko, co ondyna przed chwilą powiedziała, było prawdą; to prawda, że nie powinien był się żenić z wariatką, i prawdą jest również to, że nie powinien był pozwolić ondynie rządzić czymś, czym tylko on powinien był rządzić... nie ona powinna była podpisać zlecenie, tylko on. I żeby z tym skończyć, wyszedł tylnymi drzwiami i zamknął się w ustępie... i tam, w ciszy zapadającej nocy, rozplynęło się wszystko, co ondyna wykrzyczała, a on znów dostrzegł początek swych postrzępionych myśli i znowu zaczął mieć rację; przecież nie tylko on był winien, byli też inni, którzy niewłaściwie postąpili! jak ta dziewczyna wy-rza się o swojej matce, mówiąc tak po prostu, że on <sup>171(1)</sup> głupią żonę, czy to nie woła o pomstę do nieba?... 9<sup>d</sup>yby bóg był taki, jakim oni wszyscy go sobie wy*

*obrażają, kimś, kto się im przygląda i karze ich lub nagradza, to dlaczego nie ukarze jej od razu, dlaczego nie zejdzie na dół i nie natrzaska jej po twarzy? A jak tam leżała przy torach... to też prawda, zapomniał powiedzieć, co tam widział... i chciał się zerwać i lecieć ją zwymyślać, ale co to teraz da? Ona znowu zacznie to wykręcać na wszystkie strony, aż się okaże, że to jego wina, tak będzie wydziwiał, aż się okaże, że to on tam leżał i robił różne świństwa. I z powrotem usiadł... zamyślił się, że to już zawsze tak jest w jego życiu... pragnął tylko zaszyć się gdzieś w kącie i pomajstrować, wynaleźć nie tłukące się szkło, zrobić stop, jakiego jeszcze nie było. A wszyscy inni, cały świat, chcieli robić to, co przekraczało ich możliwości, co było karalne. A najbardziej niewiarygodne ze wszystkiego było, że to na niego chciano zrzucić odpowiedzialność. Och, nie potrzebował pytać dlaczego, bo widzieli w nim durnia, którego mogli wykorzystywać. I pomyślał jeszcze z wielką goryczą, że było całkiem możliwe, iż gdzieś tam rzeczywiście był bóg, tak jak to sobie wyobrażali, i że był on tak samo niesprawiedliwy jak ta cała reszta... że jego syn chrystus, plus vapeur, mieli zostać ukarani za to, co nabroili inni, że bóg powie mu: idź precz ode mnie w wieczny ogień... a ondyna, która nie robiła nic innego, jak tylko uczyła dzieci różnych świństw i szydziła ze swoich rodziców, będzie wpuszczona do nieba.*

### *NIE ŻYŁEM NADAREMNIE*

Wśród twojej korespondencji znów leży list od tŁ' petotje, w którym pisze ona o temacie obrazu... bo widziałam dzieła surrealistów, pisze, i myślę sobie, że ja



też potrafiłabym coś takiego namalować: wyobrażam sobie kąć nieskończenie wysokiego pokoju i w tym zimnym, pustym kącie tego nieskończenie wysokiego pokoju stoi przy telefonie kramiek... to znaczy on stoi przy telefonie, ale tam nie ma żadnego telefonu... jest tylko zimny i pusty kąt z kramikiem, który tylko myśli, że telefonuje... a więc podnosi do ucha słuchawkę telefoniczną, ale jego ręka jest pusta, a przy jego uchu jest Nicość... i nosi bardzo duże okulary i przez jedno szkło okularów widzisz jego oko, które się uśmiecha do wiadomości, której nie otrzymuje przez telefon... a przez drugie szkło nie widzisz żadnego oka, ale na tym szkle naklejony jest tekst, jakieś utarte wyrażenie, uskrzydłone słowo, dogmat. Widzisz, co ja bym namalowała, gdybym była surrealistką... pisze tippettotje... ale ja nie jestem surrealistką, jestem tippettotje i muszę podjąć taki temat, który mi bardziej odpowiada: sen: szereg robotniczych domów, oddanych na płótnie bardzo realistycznie, chociaż stoją tam jakby w atmosferze snu, pod niebem, ciemnym, zamkniętym i odrobinę czerwonym, ale rozświetlonym jasnością, która jakby emanuje z samego obrazu, która jakby promieniuje z tego, nawiasem mówiąc, widzianego bardzo realistycznie szeregu robotniczych domów; w drzwiach pierwszego domu stoi cholernie przepiękne marzenie — naga dziewczyna... całkiem naga, ale ma na sobie czerwony sweter... jest naga od połowy w dół, tak że widzisz jej nogi i biodra jak marzenie, i ciemny meszek na jej podbrzuszu, ale wyżej ma czerwony, robiony na drutach sweter. To jest właśnie list od tippettotje. No tak, to jest list od tippettotje, powiada kantyczny nauczyciel bardzo przytomnie... i zagląda ci przez ramę, i widzi jeszcze postscriptum, którego nie przeczytałeś i w którym tippettotje tłumaczy się z tego

przypadku z wielkim przedsiębiorcą: miałam na myśli jedynie to, pisze w tym postscriptum, że powinieneś trochę bardziej kamuflować nazwiska, bo kręci się tu ktoś taki, kto mnie może kopnąć w dupę.

No tak, to jest list od tippetotje, mówi słodko mossieu colson z miństerstwa... i według mnie ta tippetotje to dobra dziewczyna, która lubi poplotkować o tobie, a o twojej pracy piała hymny pochwalne przed sAmym wielkim przedsiębiorcą i przed sAmyra baronem... a teraz znajduje się w nieco kłopotliwej sytuacji, że sama im naopowiadała o twojej książce, a ty w tej\_ samej książce nieźle im dopiekasz.

No tak, to jest list od tippetotje, powiada johan janssens, Poeta i dziennikarz z tygodników, i to, co ona tam wypisuje o swoich obrazach, jest Dobre... i przywołuje mi to na myśl scenariusz filmowy, który chciałbym napisać... scenariusz filmowy, w którym chciałbym zrobić balona ze wszystkich tych, którzy mówią

**O** malarstwie nie będąc malarzami; parodię filmu o rem-brancie, w którym Nocną Straż uznaje się za jego najpiękniejszy obraz dlatego, że jest on największy... i w tym filmie o rembrandcie — tym, który bym sparodiował — na wpół dziecięciniały staruszek wdrapuje się na strych, ściera trochę kurzu z Nocnej Straży i powiada: nie żyłem nadaremnie... a potem symbolicznie zdmuchuje swoją świeczkę... a w mojej parodii tego filmu kazałbym później oczyścić Nocną Straż, żeby wyszła spod tego kurzu całkiem inna Nocna Straż, i kazałbym tym wszystkim znawcom sztuki powiedzieć, że ta jest jeszcze ładniejsza... tak że ten staruszek znów musiałby zapalić swoją świeczkę, znów wdrapać się na strych

1 patrzeć na oczyszczoną Nocną Straż, mamrocząc prz tym: 2 razy nie żyłem nadaremnie.

## VAPEUR IDZIE SIĘ TŁUMACZYĆ

Vapeur nie mógł spać tej nocy i w myślach ze 100 razy udawał się do składu drewna i tłumaczył się, chociaż tam nie trzeba było nic tłumaczyć, tylko płacić. Nie miał tam zanosić słów, tylko pieniądze. Ale jednak. I leżał w łóżku czekając ranka, żeby natychmiast tam pójść, zanim nadejdą inne myśli, które znów mu przeszkodzą, które odbiorą mu siły, żeby się wypowiedzieć i załatwić sprawę... trzeba to zrobić teraz, natychmiast, bo inaczej będzie z nim tak jak z zulmą. Wstał z łóżka, żeby zrobić kawy i zjeść kanapkę, i przeszedł przez sypialnię ondyny... która właściwie nie była sypialnią, ale bardziej korytarzykiem, na który wychodziły schody.... ona też całą noc wierciła się niespokojnie, jej kołdra była skręcona jak sznur, co świadczyło, że też nie miała spokojnego sumienia — ale to umknęło uwadze vapeura — obudził ją i oznajmił, że idzie do składu drewna zobaczyć, po czyjej stronie będzie racja. Ona patrzyła na niego półprzytomnym, rozespanym wzrokiem. I można by pomyśleć, że przynajmniej teraz się przykryje<sup>1</sup>, powiedział vapeur sam do siebie... nie, skądże, dalej leżała ze swoją gołą, brudną dupą, z tym, co jest porośnięte diablami włosami — **diabeł**, Diabeł, pomyślał vapeur — **a** ona dalej tak leżała, bezwstydna, i jeszcze na dodatek śmiała się z niego pogardliwie, zerwała mu opaskę z oczu, na którą on poświęcił całą noc, żeby ją samemu sobie zawiązać: zapytała **90**, czy nie zechciałby pójść jeszcze ze 2 ulice dalej **1** zameldować się na policji, byłby wtedy od razu lam, gdzie powinien być. Było jeszcze coś innego, co miała <sup>m</sup>u powiedzieć... coś, myśl poboczna, która jej nagle Przyszła do głowy, gdy mówiła o tym., żeby poszedł do miasta... ale co to właściwie było?... jeszcze na wpół <sup>s</sup>Pk, pomyślała. I. przeciągnęła ręką po czole: to idio

tyczne; był to ten sam gest, jaki on wykonywał, gdy nie mógł sobie czegoś przypomnieć... ale on nie rozumiał, że chciałyby mu coś zakomunikować, pomyślał, że chce tylko zetrzeć z oczu sen, i dodał do tej myśli jeszcze i to: łatwo ci tak leżeć z gołą dupą i wyśmiewać się, i sen z oczu ścierać, i wcierać: ja poświęcam mój nocny wypoczynek i godzinami leżę zastanawiając się, jak mam się wymknąć z sideł, które ty przez swoją głupotę zastawiłaś... i w których właściwie ty powinnaś siedzieć... tobie to łatwo, ty wstrętna więdźmo, leżysz tutaj przy swoim ojcu goła, a tarn, przy torach, leżysz bezwstydnie i deprawujesz dzieci. A ty, wykrzyknęła nagle ondyna, cóżeś ty nawyczyniał, że musiałeś spieprzać z brukseli tutaj, do tej dziury ter-muren... wydaje mi się, że siedzisz tu tylko dlatego, że się tu ukrywasz... a to, że mnie widziałeś tam, przy janowcu, to i co z tego?... moja miłość do tego chłopca jest czymś najczystszy, co istnieje na świecie: on mnie ani tYle nie ruszył, co tO, to jeszcze nie — i złączyła paznokcie, żeby pokazać, jak mało ją dotykał — i coś jeszcze, czy ja może nie mam prawa, żeby chodzić z chłopakiem i wyjść za mąż jak każda inna? Wyjść za mąż, widzicie ją! zawołał vateur... i był pod takim wrażeniem, że nie przychodziło mu do głowy żadne inne słowo, żadna inna myśl... wyjść za mąż i pozostawić jego samEgo odpowiedzialnym za to wszystko. W milczeniu zszedł po schodkach, a ondyna, która widziała, jak mu, że tak powiem, głowa zwisała między nogami, przypomniała sobie nagle, co chciała mu powiedzieć: orkiestra socja-lów wyszła po raz 1-szy na ulicę i teraz przejdą również przez ter-muren, i po drodze z kapliczką.

## *FABRYCZKA TYTONIU*

To kramiek zadzwonił do drzwi i cały twój wieczór zburzył, popsuł i zaprawił beznadziejną goryczą: siedział i gadał o tytoniowej fabryczce, która została wzniesiona tam za cukiernią, za porzuconym kawałkiem pola z blaszanymi puszkami po konserwach i tuż przed 1-szymi brudnymi domami, on tam jest urzędnikiem: swoją kramiekową postacią powiększył proletariat urzędników... i będąc socjałem albo ultramarksi-stą, walcząc o równość, wolność i braterstwo, wyraża się z lekceważeniem o zwykłym robotniku, który musi brać do rąk narzędzia i wysmarować się, i upaprać: ja, kramiek, urzędnik. **I** on, kramiek, urzędnik, powiada: pan alfons, syn, ukończył studia na uniwersytecie i jest adwokatem, ale nie myśli o praktyce, tylko siedzi tam w tej tytoniowej fabryczce i jest torpedą, która wszystkie inne fabryczki w sposób zgodny z prawem zatapia. Gdy jest lato, pan alfons mieszka na wybrzeżu, w willi na wydmach, a gdy przychodzi listopad i dżdżysta pogoda, tak jak teraz, to wtedy mieszka w brukseli, gdzie są różne imprezy i bary z uległymi, gołymi kobietami. **I** kramiek opowiada smakowicie, jak pan alfons jeździł z dziewczynami ze swojej fabryki do brukseli... jak je nagle brudne i wysmarowane, tak jak stały, brał od maszyn, wsadzał do zakrytej i ciemnej ciężarówki i jechał z nimi do brukseli, żeby mu wysprzątały dom, i jak je w tych brudnych fartuchach wprowadzał do eleganckiego hotelu i tam karmił, i poił... i jak się tam upijały i pijane znów musiały wracać do domu, do miasta z 2 wielkimi fabrykami i 100 małymi fabryczkami obuwia, tytoniu i tekstyliów. Kramiek opowiada to bez komentarza i jedynie z odrobiną ledwo wyczuwalnego szacunku dla swego pana alfonsa z tytoniowej fabryczki, i z wyraźnym żalem,

że jego samego nie było wśród tych pijanych fabrycznych dziewczyn. A potem opowiada o tych z bieda-domów po 2-giej stronie miasta z 2 fabrykami... smarkulach przeważnie po 14 i 15 lat, ledwo po szkole, które leżą do ustępów razem z robotnikami, z zadartymi do góry spódnicami i trzymając majtki w rękach, należąc do chrześcijańskiej młodzieży robotniczej, i które nie umieją niczego więcej, jak tylko partolić robotę, robiąc przy tym taneczne kroczyki, i każdego wieczoru, i w każde południe napełniają swe torby kradzionym towarem... i jak pan alfons kiedyś niespodziewanie kazał zamknąć o 12 bramę i wszystkie je obszukać; ha, stały tam w długim szeregu i wszystkie opróżniały niepostrzeżenie swoje torby, i upuszczały to, co ukradły, wzdłuż siebie na ziemię. I kramiek śmieje się. Ale nagle marszczy czoło i powiada: ale jednej rzeczy nie rozumiem; wtedy, gdy wszyscy musieliśmy zdać wojenne pieniądze, ale nie dostaliśmy jeszcze nowych, przyszedł wagon z tytoniem i mój pan zapłacił za ten wagon nowymi pieniędzmi, których nikt jeszcze na oczy nie widział... jak to możliwe? Och, a jak to możliwe, że ten kramiek podwójnie i okropnie działa ci nerwy?

### *GDZIE JEST TWÓJ DYPLOM*

Johan janssens, poeta i dziennikarz z gazety codziennej, i malarz fasad... oznajmia mossieu colsonowi z ministerstwa... chodzi to tu, to tam, żeby gdzieś uzyskać jakąś państwową posadę, na przykład bibliotekarza albo inspektora bibliotek, albo urzędnika w muzeum, albo obojętnie co... nie to, żeby tak bardzo pragnął zostać urzędnikiem, ale w istocie bardzo pragnie

dostawać regularną, comiesięczną pensję, żeby żonie i synowi zapewnić mniej lub bardziej przyzwoite życie. Ale socjalnie nastrojony poeta i dziennikarz z gazety codziennej johan janssens... powiada mossieu colson z miństerstwa... nie może dostać takiej posady w państwie z socjalnie rozumującym miństerstwem, bo on, johan janssens, nie ma żadnego dyplomu... a socjało-wie już dawno ogłosili wszem i wobec, że w państwie socjalnym żadni encykliczni koleśie ani synalkowie encyklicznych koleśiów nie będą wprowadzani chyłkiem tylnymi drzwiami do środka i bez najmniejszych kompetencji — tO powtarzała również luizka, która już w międzyczasie zmarła i która za swego życia była dziewczyną socjalnie nastrojoną, nawet trochę skrajnie lewicowo i plus do tego jeszcze trochę z ultraszkarłat-nymi sympatiami... no więc luizka też uważała za sprawiedliwe, że nawet jej przyjaciel johan janssens nie mógł dostać bez dyplomu żadnej posady. Ale przyjrzyjmy się faktom, takim, jakie one są... powiada mossieu colson z miństerstwa... i wyobraźcie sobie, że ktoś o pokroju kramieka, kto skończył uniwersytet, ale o niczym nie ma pojęcia, dostaje posadę, mającą związek z książkami i sztuką... i wyobraź sobie, że ktoś taki jak johan janssens, który nie skończył żadnych studiów, ale który żyje i umrze wśród książek i sztuki, że taki nie może uzyskać żadnej posady, mającej związek z książkami i sztuką! Ale luizka, która gdy jeszcze żyła, była przyjaciółką johana janssensa... powiada mossieu colson z miństerstwa... luizka nie mogła tego zrozumieć: socjalnie rozumujące miństerstwo wymaga dyplomu i gruntownej wiedzy zawodowej, jeśli chodzi

0 bardzo prostych portierów i urzędników, i referentów, i zastępców naczelników biur... ale nie wymaga żadnych dyplomów, gdy chodzi o socjalnych koleśiów

1 synalków socjalnych koleśiów — tak jak w przypadku ważnego przedstawiciela partii socjałów, co ma

syna, który studiuje na uniwersytecie, ale nigdy się tam nie pokazuje... i dla którego tymczasem spod ziemi wydostano posadę państwową, eleganckie biuro z obrazami na ścianach i dywanami na podłodze... posadę państwową, na której tak samo nigdy go nie ma jak na uniwersytecie — No więc sprawa, o którą chodzi... powiada mossieu colson z ministerstwa... to nie to, że nasz przyjaciel poeta i dziennikarz z gazety codziennej, i malarz fasad johan janssens nie ma żadnego dyplomu... ale to, że podczas gdy mamy socjalne mińster-stwo, jest poeta, który pisze o wiele za twarde społeczne prawdy.

### *MASZERUJE ORKIESTRA SOCJAŁÓW*

*Orkiestra socjałów wyszła zatem po raz 1-szy i przejdzie też po drodze z kapliczką, i przez ter-muren... prości ludzie gadali o tym między sobą wczoraj i przed-v:czoraj... wszyscy byli w strachu, nie wiedzieli, co za szkody ta banda spowoduje, i nie rozumieli, że mąż lizy kpił sobie z nich mówiąc: tylko dobrze zabijcie swoje drzwi gwoździami. Oczywiście zrobili tak, pozamykali drzwi i okiennice, i postanowili możliwie jak najmniej pokazywać się na ulicy. Ondyna dalej leżała w łóżku, tak jak przedtem, czując niezwykłą pustkę w duszy; słyszała, jak ludzie o tym rozprawiali i jak burza, jak orkan spadła na nią świadomość, że niewypowiedzianie daleko oddaliła się od swych młodzieńczych marzeń: zamiast szturmować niebo, ziemię hamować w jej pędzie, marnowała tutaj dni swego życia klócąc się o głupstwa, o skład drzewny. A jej cierpienie, jej ból spowodowany tą świadomością był tak wielki, że nie miała odwagi o nim myśleć, że nie miała*



więcej odwagi spojrzeć w ziejącą przepaść, tylko przymykała oczy i powtarzała sama do siebie: muszę o tym zapomnieć. A równocześnie dręczyło ją również to, czy nie marnuje swej siły woli zwracając ją w niewłaściwym kierunku... bo popatrz, powtarzała sama sobie, muszę o tym zapomnieć... i rzeczywiście, zapomniała

O tym. Ale czy nie było akurat odwrotnie, czy nie powinna całej swej siły woli użyć do tego, by odwiedzić pana Ludwika i skłonić go, żeby skończył z tym... z tą orkiestrą... z tym składem drzewnym... I w duchu kroczyła za swym ojcem po tej samej drodze, jego drodze krzyżowej... i w ten sposób doszła do zadziwiającej myśli, że może był on nowym **Chrystusem**; jakby się zachował, gdyby na swej drodze napotkał tę orkiestrę?

I wyobraziła sobie, że sama jest swoim ojcem, że sama jest uapeurem... i będąc vapeurem widziała wszystkie te twarze socjałów zbliżające się do niej — i z czasem mocniej niż kiedykolwiek ogarnęło ją tO, o czym chciała zapomnieć — i starała się zapamiętać wszystkie te przechodzone, o, przechodzące tylko w jej myślach gęby tych bufonów... aby ich kiedyś, później, ciemnym wieczorem jednego po drugim dopaść... aby ich kiedyś zaatakować całą ich niegdysiejszą bandą i z nimi... że tak powiem... się zabawić. Leżała ciągle na swoim małym wyrku, tam na korytarzu, na który wychodziły schody, i jej ręce sunęły wzdłuż jej bioder ku włosom na podbrzuszu... wierciła tam niespokojnie palcami w koło... oczy miała szeroko otwarte, a jej źrenice były nienormalnie duże.

## *PROFESOR KPIYDOM O SOCJAŁACH*

Podczas gdy i tak musisz być w mieście z 2 fabrykami, zachodzisz na trochę do profesora kpiydoma... jego dzwonek był zepsuty i drzwi od ulicy były uchylone, i w ten sposób wkroczyłeś tam rzeczywiście nie tyle prosto z mostu, co prosto z ulicy... a on przyjął cię ze swoimi rekami i swoimi oczami, i swoimi ustami, które poruszają się tak, jakby się z nich sypały elektryczne iskry... i prowadzi cię do swojego pokoju przyjęć, który jest gabinetem do pracy, i do swojej kuchni, która też jest gabinetem do pracy, i do swojej sypialni, która też jest gabinetem do pracy... i prowadzi cię w końcu do swojego gabinetu do pracy, który nie jest żadnym gabinetem do pracy, ale pokojem, w którym bawią się dzieci i gdzie leży na krześle jego świąteczna marynarka, i gdzie stoi rower jego żony. Siadaj, powiada... i jego wyciągnięta ręka żuje ci krzesło, na którym leży sterta książek z pełną popielniczką na tych książkach i pustą filiżanką po kawie. A profesor kpiydom jest w fabryce powszechnego rozumu po to, żeby wyklądać literaturę, i chociaż zna każde nazwisko, i datę urodzenia, i numer kołnierzyka każdego pisarza, to jednak mimo wszystko minął się ze swym powołaniem i powinien właściwie wyklądać nauki polityczne: bo nie ma odwagi wydać sądu o pisarzach i książkach nie przeczytawszy 100 książek i nie napisawszy Q nich samemu 10 grubych książek... a potem mówi jeszcze, że to niezupełnie odzwierciedla jego pogląd, ponieważ tymczasem jego pogląd uległ zmianie. Ale musiałbyś słyszeć, jak profesor kpiydom rozprawia o polityce:

**O** małej wiejskiej polityce, w której wciąż jeszcze na miętynie uczestniczy w odległej wsi, z której pochodzi,

1 w mieście z 2 fabrykami, w którym mieszka... i o polityce naszego kraju, która właściwie nie jest polityką,

ale sprawą indywidualnych interesów... i o polityce światowej, która też nie jest żadną polityką, ale zderzeniem kapitałów i Mocarstw. A polityczne przekonania profesora kpiydoma są libertyńskie... *takie same jak pana ludwika gourmonpreza, syna z tkalni labor z czasów, gdy ondyna była jeszcze młodą i rozparzoną dziewczyną.* Ale chociaż libertyńskie przekonania profesora kpiydoma są takie same, jak libertyńskie przekonania ludwika guormonprez, to są one jednak całkiem inne... tak jak chrześcijaństwo papieża rzymskiego i chrześcijaństwo starej, zezowatej sprzątaczkii jest takie samo, ale jednak zupełnie inne... tak samo jak ultramarksizm dr. pascaliusa prostituana i ultramarksizm prostego hoedje jest taki sam, ale jednak zupełnie inny. A profesor kpiydom, który najczęściej nosi wokół ust drwiący uśmieszek... i sądzi, że w ten sposób ukryje swój kompleks niższości, co jest nieprawdą, bo przez to właśnie się zdradza... profesor kpiydom odkłada swój drwiący uśmiech na krzesło z książkami i przepelnioną popielniczką, i wyciąga rękę jak karabin maszynowy: spójrz na te domy po drugiej stronie, wszystkie one są statecznymi domami mieszczańskimi, a nawet domami bogaczy, no więc mieszkają tam w nich działacze partii ultrasocjałów i mieszkają tam w nich urzędnicy miństerstw socjalnego rządu, i kurwią się, i łajdaczą, i grają o wielkie pieniądze, i nie wiedzą, co to jest książka... ja ślęcę zgarbiony nad grubymi księgami, żeby je napisać, a oni nie wiedzą, co to jest książka... i ja, profesor kpiydom, widzę, że partia socjałów zgarnęła zaoszczędzony grosz socjalnych robotników i teraz nie wie, co ma z tym kapitałem zrobić... bo oni nie myślą wcale o tym, żeby utworzyć prAwdzIwe socjalne państwo, oni się Boją prawdziwego socjalnego państwa i troszczą się ciągle nie tylko o to, żeby siedzieć w rządzie, ale i o to, żeby czuć wokół siebie starych encyklikierów i starych

libertynów: wywołali socjalnego upiora i chcą tego socjalnego upiora znowu wcisnąć do pudełka, żeby posługiwać się nim tylko wtedy, gdy on się może przydać; nauczyli ludzi, że moralność i uległość są tylko cuglami, przy pomocy których trzyma się ich w posłuszeństwie... ale teraz, gdy ludzie odrzucili te cugle i kradną, i kłamią, i oszukują, i kurwią się, i łajdaczą tak, jak to dawniej robili tylko możni tego świata... i kiedy teraz świat z góry i z dołu jest do dupy... teraz socjałowie siedzą w swoim ministerialnym siodle i są za głupi, żeby zrozumieć, na czym polega ich błąd.

### *BLANDINUSBERG*

Zapewne będziesz kręcić głową nad tą opowieścią, w której wilk bił w dzwony w klasztorze w ter elmaren i ledwo uszedł z życiem z rąk ojców, ale wylatując przez bramę... znalazł się na blandinusbergu — bo ter elmaren to klasztor, który w tamtych czasach był położony przy odległym Czymś tam... stał, ech... a klasztor na blandinusbergu musiał się znajdować gdzieś na peryferiach gandawy, ha, lecz bardzo uczony pan dr pr. fossejaegher uczyni coś więcej ponad pokręcenie głową, powie, że jest to nieudana kombinacja willema z nivardusem. Ale to nie tO: właściwie ma to na swój głupi sposób udowodnić, że jeden klasztor może być równie dobry jak każdy inny: wchodzisz do klasztoru w appelghem i wychodzisz przez klasztor świętego arjaana, gdzie pod łóżkiem widzisz dwie pary kapci. A równocześnie jest to surrealistyczny pogląd na temat drzwi najzwyczajniejszego pokoju, które otwierają się na krainę ciemności i śmierci... które mogą się otwierać na ten fantastyczny świat, jaki stworzy" willem z madoca. Nikt nie czytał madoca, a jednak

musi to być opis niesamowitej krainy, dokąd wszyscy się udają, ale skąd nikt nie wraca. I teraz rozumiesz, że możliwe staje się wejść przez tylną furtkę do klasztoru v/ ter elmaren i pociągnąć za sznury dzwonów... tak mocno, że ojcowie uważają za swój obowiązek stłuc cię na kwaśne jabłko relikwią świętego aberdana... ale ty, porządnie wymłócony, uciekając stamtąd wypadasz na blandinusberg. Tam w rowie leżał przechera czekający na isengrinusa i zanim ten zdążył gębę otworzyć, lis powiedział: jak to, niby dlaczego ma to być moja wina! czy mogę poradzić coś na to, że dzwoniłeś tak niezgrabnie, iż sznur oplątał ci nogi, i że zapomniałeś wygłosić odpowiednie kazanie, które by pasowało do rachowania twoich żeber? Wilk ani myślał zaprzeczać,, był zbyt przygnębiony, obmacał swoje członki i rzekł: sądzę, że wściekli się tak bardzo tylko o to, że im zaproponowałem, iż schowam się w ich klasztorze w zamian za tych wszystkich ojców, którzy jadą do ameryki odprawiać mszę, ale nigdy stamtąd nie wracają. I przechera wciąż uśmiechnięty, a isengrinus wciąż skrzywiony zeszli ze wzgórza i pociągnęli poprzez lo-kervełd, który wciąż jeszcze należał do dóbr klasztornych... i tam na łeb, na szyję wpadli do zamaskowanej jamy... nikt nie wie, po co ją zrobiono, o ile w naturze ojców, stworzonych na podobieństwo boże, nie leżało kopanie dołów przeznaczonych dla kogoś innego; i jak teraz przechera i isengrinus mają się stamtąd wydostać bez hańby i szkody? TY, który pragniesz oddalić się z tego świata, zwrócił się przechera do wilka, powinieneś się raczej pomodlić, bo gdy tak stoisz rzucając przekleństwa, lepiej się nie spodziewaj żadnego cudu. I isengrinus, który chciał się kształcić na mnicha, upadł na kolana i zaczął się nabożnie modlić: panie, uczyni, <sup>D</sup>y twemu słudze isengrinusowi zdarzył się cud i by <sup>w</sup>ydestał się on z tej jamy i z tego nieszczęścia. I w tym samym momencie uświadomił sobie, jak przechera

wdrapał się na jego pochylony kark i wysapał się z jamy... ejże, panie boże, zawołał isengrinus, to nie przechere, ale mnie masz stąd wyciągnąć. Lecz przechera zrobił już kawał drogi i wołał z daleka: módl się dalej. Widocznie jesteś w stanie mniejszej Saski niż ja. johan janssens w Tygodniku.

### *CZY ZARAZA MNIE MINEŁA?*

*Vapeur nie miał pojęcia o orkiestrze socjałów, która wyszła po raz 1-szy... wbił się w swoją mysią marynarkę i poszedł nie wypiwszy kawy ani nie ukroiwszy sobie kawałka chleba... pociągnął tylko trochę prosto z dzióbka dzbanka, ale poczuł w ustach jedynie zimną resztkę pełną jusów... w składzie drewna nieomal płakał i do każdego zwracał się per pan, nawet do dziewczyny w okularach, która tam przypadkowo siedziała, ale nie miała ze składem nic wspólnego, tak ślepo był wpatrzony we własne słowa padające z jego ust. Powiedział, że musieliby zobaczyć jego żonę i że jego syn zostawił ich i wyjechał do brukseli, i że jego córka to i owo... ale że on przez całe życie będzie oszczędzać, żeby ich^płacić, tak jak należy... a teraz ma w głowie pomysł pewnego wynalazku, plany są już gotowe... co było kłamstwem, a równocześnie nim nIE było, .te plany były gotowe, tyle że w jego głowie... ale na jedno wychodzi... i również oni tego i tak nie rozumieją — i gdyby ten wynalazek był gotowy, to on mógłby... Ale po co ten cały jego trud? Rozejrzał się wokoło, czy jeszcze nie ma tu policji, i zdziwił się, że po raz 1-szy w życiu słuchano go nie przerywając. Słyszał siebie, jak mówi, a ci inni słuchali... poczęstowali go nawet szklanką piwa... o, oni wcale nie przyjmowali tego tak*

tragicznie, poczęstowali go również cygarem i vapeur postanowił, że całym sercem i duszą poświęci się pracy nad tym wynalazkiem, żeby tych ludzi spłacić; musiał podpisać papier, że co 6 miesięcy będzie płacić odsetki tak długo, dopóki zaległa suma nie zostanie spłacona; podpisał wszystko, czego żądano, w ciemno, był ogromnie wdzięczny, że potraktowano go jak człowieka, a nie jak złodzieja. Podniesiony na duchu poszedł do domu powtarzając sobie, że był głupi przez tyle dni i nocy żyjąc w strachu z powodu takiego głupstwa... i postanowił sobie, że od tej pory zawsze tak właśnie będzie postępować, jeśli powstaną jakiegóż trudności: pójdzie prosto do ludzi i wszystko wytłumaczy; wystarczy wypić szklankę piwa i podpisać papier, i ma się to z głowy. I wracając do domu spotkał na drodze z kapliczką orkiestrę, grali jakąś pieśń bojową i choć wielkim wysiłkiem powstrzymywał się przed pójściem razem z nimi, to ten wysiłek był daremny; czuł się tak, jakby ter-muren sAmo przyjmowało go świątecznie. Powitał muzykantów radosnym okrzykiem i zaczął śpiewać po francusku... tańczył i kroczył przed nimi, przed tam-burmajorem, wymachując rękami... śpiewał razem z innymi: to jest nasz cel, za który my ginimy, to naszym świę-świętym ideałem. A za kilkoma nielicznymi muzykantami szło z 7 osób, marynarz, ten z 1 ręką, i student, i boone... Student zagadnął go, ale on w idio-

Itycznym oszołomieniu swym szczęściem niezupełnie go zrozumiał; poszedł do domu zadowolony ze wszystkiego. Jednak maszerując zaczął się dziwić, że nie spotkał żywego ducha... jak tu pusto w tym ter-muren, pomyślał... zobaczył pozamykane okiennice, zaryglowane drzwi, jakby to był nawrót zarazy. Ale skąd by tam... zaraza... o tej, o której myślał, już od lat nikt nie słyszał. Pośpiesznie ruszył do domu i zastał w nim zulmę <sup>z</sup>upelnie samą, zaszytą w kąt z fartuchem na głowie. Co tu się stało? Wybiegł na ulicę i przestraszył się po

*rządnie, gdy usłyszał, że właśnie przeszli 1-si socja-łowie. I teraz przypomniał sobie, że wszyscy oni byli w drewnianych chodakach, cała ta orkiestra i wszyscy ci, którzy szli za nią, muzyka w drewniakach, muzyka socjałów. I vaporeur wymamrotał cicho, cicho i ze wstydem to, co właśnie przed chwilą wyśpiewywał razem z nimi: to jest nasz cel, za który my ginimy, to naszym świę-świę-świętym ideałem.*

#### *DALSZY CIĄG HISTORII PANA MEC. PINAKA*



Spotkałem w brukseli tippetotje... powiada mossieu colson z miństerstwa... miała wokół ust delikatną fałdkę, która tylko czekała, żeby się roześmiać; mówiła mi o książce o drodze z kapliczką, z której została jakoby usunięta za to, że zarabia na chleb liżąc dupę baronowi... chociaż uważa, że są żałośniejsze sposoby zarabiania na chleb z szynką... ten baron chce ją umieścić w sklepie z wyrobami artystycznymi na avenue des arts... i mówiąc o tej książce o drodze z kapliczką wypowiedziała na jej temat moim zdaniem uzasadnioną krytykę, że zaniedbaliśmy stanowczo zbyt wielu bohaterów... m.in. poetę johana bramsa, który był kon-fratrern johana jansensa... i po raz kolejny m.in. naszego narodowego mec. pinaka, który mawiał, że zgorz knienie jest chorobą. Co prawda od czasu do czasu powtarzasz jeszcze **ter** uskrzydłony zwrot, ale gdzie jest sam mec. pinak? jac analfabeci przyjmują rady z jego grubych ksiąg pr wniczych i jakie powietrze świata wydalany przez nic go dwutlenek węgla, i jakie nowe kochanki jego sper matozoidy? Ty jesteś zasranym pisarzem, powiedział malarka tippetotje, romantykiem w najgorszym gatunku



ku, bałwanem, idealistą takim samym jak mec. pinak, gdy nosił jeszcze romantyczny honorowy tytuł adwokata Biednych... był on adwokatem Biednych, ten mec. pinak, i wszyscy biedni przychodzili do niego po radę, z dobrze widoczną, wystającą im z kieszeni gazetą, żeby uzyskać bezpłatną poradę... a adwokat biednych umieścił w swojej poczekalni wszystko, co potrzebne jest do palenia — wielkie pudełko z papierosami, zapalki i popielniczkę, żeby do niej strząsnąć popiół — a oni brali te papierosy całymi garściami i wsadzali sobie do kieszeni, chwyтали całe pudełko zapalek i wsadzali sobie do kieszeni, a kiedyś, pewnego pięknego poranka, zniknęła również popielniczka, do której strząsano popiół... siedzieli w jego poczekalni i w korytarzu, spacerowali po podwórzu i cała jego chałupa była ich pełna, siedzieli w jego kuchni i smażyli frytki z befsztykami — to przypomina powieść kafki, ale to nie fantazja: naprawdę kupowali za pieniądze mec. pi-naka befsztyki i masło, i smażyli je na patelni na jego piecu — a mec. pinak, który był adwokatem biednych, był najbiedniejszym z adwokatów — a adwokaci z miasta z 2 fabrykami unikali go jak zarazy, bo figurował na listach wyborczych, a równocześnie był człowiekiem swobodnych obyczajów, który co tydzień gościł w swym łóżku inną kochankę — gdy rano schodzili ze schodów, obydwój w piżamach, a w poczekalni i w hallu siedzieli ludzie, i ludzie siedzieli na schodach

1 pod drzwiami jego sypialni, to jeden z siedzących powiedział, gdy schodzili razem z kochanką na dół: no, towarzyszu pinak, aleście sobie teraz fajną poderwali! — i adwokaci z małego miasta unikali mec.

pi-naka jak zarazy... a zarząd miejski małego miasta

<sup>2</sup> 2 fabrykami, który był encykliczny i socjalny, i liber-fyński, wykopał mec. pinaka z miasta: może ultra-niarksiści kopaliby razem z nimi, gdyby też siedzieli <sup>w</sup> zarządzie miejskim — a teraz ja, tippetotje, spot

kalam mec. pinaka w brukseli; porzucił miasto z 2 fabrykami jak również swój tytuł adwokata Biednych i zamieszkał w brukseli na avenue de tervueren wśród bogaczy; przyjmuje u siebie wielkiego przedsiębiorcę i barona, i udziela im porad; ja, tippetotje, liżę im dupy, a on udziela im porad. I mossieu colson z mińster-stwa, który spotkał w brukseli malarkę tippetotje... która z kolei spotkała w brukseli mec. pinaka... mossieu colson z miństerstwa milczy, a delikatna fałdka wokół jego ust zmienia się jednak w śmiech.

### 7-GŁOWY SMOK

*Gdy tylko przeszła orkiestra socjałów, ludzie zaczęli z wahaniem wysuwać głowy spoza uchylonych drzwi.. vapeur zaklinał się na wszystkie świętości, że ich widział, że z nimi rozmawiał, ale nikt nie chciał mu wierzyć... zastanawiali się, czy ta orkiestra przeszła obok kapliczki nie przeżegnawszy się znakiem krzyża?.,, zulma wybiegła na ulicę i zawołała, że wcale nie przeszli, tylko że wszyscy przelecieli tamtędy z przeraźliwym krzykiem. Ludzie się żegnali i zastanawiali, co ich jeszcze czeka, a pewna młoda matka, z dzieckiem na ręce, wybuchnęła szlochem, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę... przybiegł nawet jakiś chłop, hen z daleka, i patrzył na swój kawałek pola, tak jakby się zastanawiał, czy będzie jeszcze pracować na tej ziemi, teraz, kiedy świat i tak ma zginąć. Vapeur patrzył na nich i nie miał odwagi wypowiedzieć swej niewiary: i znów musiało zdarzyć się tak, że on i tylko on ich widział i z nimi rozmawiał... tak więc on właśnie **mU'** siał skonstatować, że byli oni tacy sami jak wszyscy inni i że... wszystko to, co ci ciemni ludzie sobie wy*

obrażali, to tylko bajki. A bóg?... bogiem była nauka i postęp, i walka, i miłość, i coś, czego on tym prostym i ciemnym ludziom nie potrafił wyjaśnić. I gdy tak stał i myślał o tym z prawdziwym wstydem i poczuciem winy, poczuł, że ktoś patrzy na niego i jakby przenika go na wskroś: podniósł głowę i zobaczył, że to ondyna... znowu ona, ten diabeł. Uśmiechała się tak, jakby go rozumiała, jakby zdołała zajrzeć w głąb jego duszy. I tego samego wieczoru, gdy już od paru godzin siedzieli po ciemku i ondyna zapytała, kiedy wreszcie zapalą lampę, vapeur odpowiedział nagle, żeby zobaczyć, jak ona na to zareaguje: nadchodzą czasy, kiedy trzeba będzie się modlić do boga dokonywaniem wynalazków. Ondyna rzeczywiście niezupełnie go rozumiała... zaczęła się zastanawiać, pośpiesznie, żeby za nim nadążyć... skojarzyła to sobie z orkiestrą w drewniakach i z tym, że to i w nim musiało wzbudzić buntowniczego ducha... patrzyła w ciemności w jego kierunku i zastanawiała się, co też na litość boską ma mu odpowiedzieć. I właśnie dlatego, że nic nie odpowiedziała, vapeur przyjął jej milczenie za potwierdzenie, za przyznanie czegoś, czego, jeśli chodzi o niego, nie można już więcej było lekceważyć. Roześmiał się. Ale nagle śmiech uwiązał mu w gardle, bo równie szybko jak radość z tego, że odkrył prawdę, ogarnął go strach, że w takim razie ondyna i diabeł to jedno i to samo... i nie potrafił tego pogodzić z tym, że nie wierzy już więcej w boga jako najwyższą, wszechwiedzącą i panującą istotę, a że mimo to trzyma się nadal tej dziecinnej wiary w diabły. To, że widzę w niej diabła, przyznał się sam przed sobą, znaczy, że widzę w niej dziecko Ciemności. A kiedy mówił „ciemność”, miał na myśli to, co wiązało się z złąmą. Jednakże powodem tego, że ondyna nie odpowiedziała i nawet nie poprosiła po raz 2-gi o zapalenie  $^{Um}Py$ , ale dalej siedziała w ciemności... było to, że

miała za wiele kłopotów na głowie: wiedziała, że przyjdzie ta orkiestra, i co zrobiła, żeby temu przeszkodzić?... ubrała się i poszła posiedzieć na słoneczku w ogródku za domem,., a dalej?... pokręciła się po ogródku, poczekała na oskara i poszła z nim wzdłuż nasypu... a dalej?... dalej Nic. Nic z tego, co sobie wcześniej wyobrażała, że zrobi z tymi socjałami. Bóg ją porzucił, bóg spustoszył jej serce i zmącił jej zmysły, i odebrał jej siłę tooli... dlaczego, dlaczego?... ona też chciałaby to wiedzieć i kiedy siedzieli tam obydwójko koło janowca, i ondyna patrzyła na oskarka, na jego sterczące włosy i na jego wilgotny nos, który wycierał rękawem kurtki, słyszała w oddali nadchodzącą orkiestrę w drewniakach: bęben walił w jej serce, a trąbka przeszywała jej mózg, sprawiało jej to straszny ból... za to oskar, wręcz przeciwnie, słysząc muzykę podniecił się, śmiał się, zaczął szperać w kieszeni, żeby pokazać jej rysunek, ornament, który chciałby wyrzeźbić w piaskowcu, aby później wmurować go w fasadę Ic domu: były to dwa splecione ze sobą „o”: oskar i on dyna, i cały się rozpromienił ucieszony tym pomysłem Jednak ona odepchnęła go szorstko, nienawidziła go za to, że na nim ta głupia muzyka biedaków też zrobiła takie wrażenie... nie, rozmawiali o małżeństwie ale to nie było możliwe, ona sama dobrze zdawała sobie sprawę... jEj miejsce było tam, gdzie trzeba walczyć, gdzie należało zniszczyć 1-głowego smoka socjałów. Leżała na plecach marząc i rozmyślając o tych wszystkich, którzy niegdyś byli jej przyjaciółmi, a teraz ją opuścili... zachnęła się, bo oskar zbliżył się do niej po cichu i przyciskając ją z góry pocałował tak, jak go uczyła. O, to nie znaczy, że czuł jakiegokolwiek pożądanie... ale widział ją tak nieobecną, gdy tak leżała przygnębiona, i był jak wierny pies, który chce pokazać, że jeszcze jest obok... ale teraz obrzydzenie ondy-ny nie mogłoby być większe, gdyby glista wpełzła jej

*na usta... ogarnął ją wstręt i mdłości, odepchnęła go tak gwałtownie, że stoczył się z nasypu... ondyna pobiegła do domu, a on smutny szedł za nią, wciąż wołając i pokazując jej rysunek z dwoma o, jak dziecko.*  
**NIEPOROZUMIENIE 1...**

*I gdy kończysz opisywać, jak oskarek szedł smutny za ondyną, mossieu colson z miństerstwa współczuje oskarkowi... chodzić za tą wiedźmą ondyną, która go i tak nigdy nie zrozumie, podczas gdy on też jEj nigdy nie zrozumie!* mówi z żalem. I dodaje, że wszystkie kłótnie i kłopoty wynikają najczęściej z tego, że ludzie pomimo tylu wypowiedzianych i napisanych słów są zbyt ubodzy w słowa i że tymi ubogimi słowami muszą wypowiadać o wiele za skomplikowane rzeczy. I johan janssens przyznaje mu w tym rację i dodaje, że z okazji śmierci multatuli zamieścił w Tygodniku fragment z maxa havelaara — przemowa do wodzów lebaku — i że czytelnik napisał do niego tak: przeczytałem pański artykuł o multatulim, ale moim zdaniem zbyt mało się w nim mówi o maxie havelaarze. I kantyczny nauczyciel podnosi palec i powiada: i nie tylko chodzi o fakt, że jesteśmy zbyt ubodzy w słowa, ale i o to, co z tego wynika: że jedno i to samo słowo musi oddawać zupełnie różne pojęcia... tak więc mówi się: Człowiek... ale co znaczy słowo człowiek, dopóki nie jesteśmy w stanie ogarnąć Pojęcia człowiek?... czasem jako kantyczny nauczyciel gotów jestem myśleć, że między jednym a drugim człowiekiem jest tak wielka różnica, jak pomiędzy moimi paciorkowcami, moimi spermato-zoidami a gwiazdami mlecznej drogi; zupełnie inne istoty z zupełnie innymi stosunkami, które nie mogą

nawiązać pomiędzy sobą kontaktu — czy widzisz moje spermatozoidy utrzymujące kontakt płciowy z moimi paciorkowcami? a czy widzisz może moje paciorkowce dyskutujące z gwiazdami mlecznej drogi o tajemnicy trójcy świętej? Być może jakiś mój paciorkowiec był się dziś rano wypowiadać i poszedł do komunii, gdzieś w jakimś zapadłym kącie mojej krtani, w którym urządziły świątynię... ale jego poczucie sprawiedliwości, jego strach przed karą i jego nadzieja na nagrodę są nieskończenie daleko ode mnie, który jestem ich bogiem, tak że je najzwyczajniej w świecie wypluwam razem z setkami i tysiącami im podobnych. A ty, który ich wszystkich wysłuchałeś, i mossieu colsona, i johana janssensa, i kantycznego nauczyciela, ty wiesz, że oni opisują tylko to, co ty przed chwilą odmalowałeś w on-dynce i oskarku... ale dlaczego miałbyś im to wytykać?

### *...I NIEPOROZUMIENIE 2*

I kiedy chrcisz swoje pióro w kałamarzu... aby *odpowiedzieć, jak daleko stoją teraz właściwie od siebie oskarek i ondyna...* ktoś dzwoni i wchodzi mossieu colson z miństerstwa dopowiedzieć ci jeszcze coś, o czym wczoraj zapomniał: że pojechał wczoraj obejrzeć wystawę picassa, i że obok niego posuwał się drobnym kroczeniem jakiś mały mieszczuch z pince-nez na nosie — ha, mógł to być wręcz pan brys, ale ten już chyba dawno umarł? — i wziął on swój bilet ukłoniwszy się bardzo grzecznie i uprzejmie, i podreptał do sali... pooglądać obrazki, patrzcie go!... ale nagle zatrzymał się przestraszony, a ja w szklach jego pince-nez dostrzegłem jego strachliwe myśli: co to za dzikie

zwierzę z tego picassa, czy nie złapie mnie i nie pożre? A kantyczny nauczyciel, który wszedł razem z mossieu colsonem z miństerstwa, zaczyna opowiadać, jak jego 2 koty usiłowały chwycić kawałek mięsa, który był daleko poza ich zasięgiem, i jak zaprzestały swych daremnych wysiłków i w zwierzęcej rezygnacji patrzyły gdzie indziej... ale nieomal ludzkim gestem zaczęły się drapać za uchem i właśnie dlatego, że ten gest był nieomal ludzki, jego efekt był przekomiczny i jego piękna żona lucette wybuchnęła serdecznym śmiechem... na to jeden kot przestał na chwilę drapać się za uchem i popatrzył zdziwionymi oczami na tę istotę, która wydawała tak niezwykle głośne dźwięki... tak że piękna żona lucette zaczęła się śmiać jeszcze głośniej... ale na to z kolei ja, kantyczny nauczyciel, popatrzyłem na nią zdziwiony... czy nie wydaje ci się to komiczne, zapytała mnie ze śmiechem... a ja popatrzyłem w zamyśleniu najpierw na zdziwionego kota, potem na roześmianą żonę, tam i z powrotem, i musiałem w końcu powiedzieć: nie, właściwie wydaje mi się smutne to, że zwierzęta naśladują nasz gest, jakim my wyrażamy żal, a nasz śmiech uważają za obcy i hałaśliwy dźwięk. A johan janssens, poeta i dziennikarz z Tygodnika, który wszedł razem z kantycznym nauczycielem i z mossieu colsonem z miństerstwa, zaczyna opowiadać, jak przyszedł kiedyś do niego do domu komiwojażer sprzedający książki... okazało się po chwili, że to nie tylko komiwojażer, ale i Poeta... i jak ten poeta zaproponował mu swój zbiór wierszy, aby on je przeczytał i ewentualnie opublikował z nich recenzję w tej lub innej gazecie... oczywiście był to przyzwoity człowiek tak jak każdy inny przyzwoity człowiek, członek ruchu oporu i Demokrata, który siedział w różnych obozach koncentracyjnych i umiał o tym opowiadać bardzo bulwersujące rzeczy... ale jego oryginalną cechą było to, że ze względu na skrzywienie zawodowe zaczął

mówić tytułami... nie potrafił wymyślić żadnego opowiadania, żeby go nie zilustrować tytułem jakiejś książki... a mnie, johanowi janssensowi, wydało się to tak typowe, że poświęciłem temu felietonik w Tygodniku... pech jednak chciał, że on też przeczytał ten felietonik i natychmiast przesłał mi pełen wściekłości list: że on Nie tytułami, dodając przy okazji, że ja nie recenzowałem jeszcze zbioru jego wierszy; widzisz, stał ode mnie tak daleko, jak ten kot pięknej żony lucette z jednej strony i kantyczny nauczyciel od pięknego kota... pardon, pięknej żony lucette, z drugiej.

### *SEN OOSKARKU*

*Ondyna wymknęła się z kuchni i poszła położyć si na swoim wyrku, aby przemyśleć to, jaki właściwi dystans dzieli ją od oskarka... przykryła się po sam uszy i najpierw miała przez to zły sen, w którym nor bert wepchnął ją do pustego pokoju, żeby powtórzył swą modlitwę do szatana... i dopiero wewnątrz zauwa żyła, że nie ma tu ani drzwi, ani okna, ale że coś sto za nią i wpatruje się w jej plecy... starła z górnej warg pot, który wystąpił ze strachu, i wiedziała, że umrze, jeśli spojrzy w oczy tEmu, co znajduje się poza nią, bo to jest zbyt wielkie i zbyt ciemne, aby można był tak zwyczajnie na to spojrzeć, a potem żyć dalej jakb nigdy nic... ale umierając ze strachu będzie wiEdzie' to było zbyt przewrotne, albo lepiej powiedziawsz bardziej nieskończone i bardziej niematerialne niż on sama; gdy się zniecka odwracała, to to znów był za nią: krzyknęła przenikliwie i obudziła się. Cała był zlaną potem. Byłam za mocno przykryta, pomyślał Niemniej bardzo długo rozmyślała o tym śnie, wyd*



wało się jej, że miał on oznaczać coś, co było ważne dla jej dalszego życia... miała takie wrażenie, jakby coś głęboko w niej zmuszało ją, żeby o tym myśleć; bałam się, coś na mnie patrzyło, zmówiłam właśnie ■ modlitwę do szatana: ty, aniele ciemności, znów będziesz aniołem światła... a więc to był szatan... ale jak to było możliwe, przecież sami jesteśmy szatanem, aniołem ciemności, który stanie się aniołem światła... który dzięki nauce zostanie bogiem, jak mówi mój ojciec... czy bałam się zatem, że ujrzę w tym pustym pokoju SAMĄ SIEBIE?

Nie potrafiła rozwiązać tej zagadki, zrzuciła z siebie wszystkie koce i leżała naga... tylko noc i ciemność były jej okryciem... i kiedy pot obsychał na niej, czuła chłód i zimno, i zaczęła się nielud.zko trząść w tej grudniowej nocy; pomyślała o zoalerku i o tym, i o tamtym, i o wszystkim, co się w jej życiu zdarzyło; wszystko wypełzało jej przed oczy, jedno wolniej, a inne szybciej; wstanę i trochę pochodzę po podwórku, pomyślała i w tym samym momencie zasnęła; myślała O oskarku i miłosnym śnie, którego się wstydziła aż po sAm ten sen... i co dziwne, o którym wiedziała, że był to tylko sen, bo powiedziała do oskara: ja muszę śnić

I nieludzko marznąć w tym śnie, bo inaczej nie mógłbyś robić tego wszystkiego, co tu teraz ze mną wyprawiasz... i roześmiała się, i zachęcała go szepcząc mu spieczona słowa: dalej, dobrze mnie rozgrzej, bo jest nii strasznie zimno. I oskar też się roześmiał, był duży i silny, był piękny... nie, to nie było tak... był taki, jaki **jest**, ale teraz wszystko w nim było dobre i piękne, jakby ona patrzyła na niego przez kolorowe okulary... nawet jego sterczące włosy były piękne, gdy się na nie patrzyło: był taki sam, a jednak był Inny. Przycisnęła 9o do siebie i tak się obudziła: z poduszką przyciśniętą do swych piersi; przez cały ten dzień nie mogła się doczekać wieczoru, żeby go zobaczyć, żeby mu powie

*dzieć, że śniła o tym, czego on więcej nie powinien robić, łobuz jeden. Stała przy drzwiach jak na warcie, chociaż wiedziała, że on tędy nigdy nie przechodzi... była akurat sobota i trzeba było wyszorować podłogę, ale ona marnowała swój czas przy drzwiach, a dom był w środku dalej brudny... wychodziła wciąż z nowymi wiadrami przed drzwi, a ponieważ nie było tam jeszcze bruku, to wkrótce brodziła po kolana w błotnistym bajorze... wzięła kolejne wiadro i umyła sobie przed drzwiami stopy i nogi... to, że ludzie kiwali nad nią głowami, mało ją obchodziło, umyła też swoje lewe udo, na które prysnęło błoto; rzucała ludziom wyzwanie, nie miała z nimi nic wspólnego, z nikim nie miała nic wspólnego, chciała dziś wieczorem być piękna, każdy mógł zobaczyć, że była klaczą, która pragnie ogiera. I ledwo oskar do niej dołączył, zaczęła mówić o ślubie... mówiła o tym tak, jakby to się miało odbyć następnego ranka... zaczęła roztaczać przed nim widoki, jakie to ich życie będzie, on będzie tylko rzeźbił, JA rzeźbił, i wystawiał, i sprzedawał. Słuchał jej w uniesieniu z otwartymi ustami; nie, on nie był tym oskarem z jej snu, był do niego podobny, był oskarem, ale bez tego kawałka różowego szkiełka, które wszystko czyniło tak pięknym. Nie miała odwagi opowiedzieć mu swego snu, bo i to też nie byłoby takie, jak sobie wyobrażała. Nie potrafiła zbliżyć się do tej wyśniewionej istoty, tego lepszego i jakby naprawdę piękniejszego, wymarzonego oskara... wyobrażała sobie tylko, że z biegiem czasu to przyjdzie samo... ignorowała tego człowieczka obok niej i kiedy mówiła, to mówiła do istoty, która się w nim skrywała, do istoty, o której śniła i którą on właściwie Nie był.*

## CHOINKA

i

Jest już prawie wigilia, czy ty też dostałeś kartkę świąteczną od tippetotje? pyta kantyczny nauczyciel... i gdy spoglądają wzajemnie po sobie ze zdziwieniem, mossieu colson z miństerstwa odpowiada: właśnie dopiero co przyjąłem w moich drzwiach dzieci, które przyszły zaśpiewać, dlatego że chrystus się narodził... i najwidoczniej mało je obchodzi to, że chrystus dopiero ma się narodzić, bo gdy im powiedziałem, że do świąt jeszcze daleko, i że śpiewa się tylko w dniu bożego narodzenia, to one mi odrzekły tak: to nas nic nie obchodzi, bo przecież Myśmy się już narodziły i przecież możesz nam coś dać, bo teraz jest zima i ciężkie czasy.

Dla nich jest zima i ciężkie czasy, i nadchodzi wigilia, i ja dostaję kartkę świąteczną od malarki tippetotje... powtarza kantyczny nauczyciel... i jestem tym zdziwiony: dlaczego ona właśnie do mnie wysyła kartkę z bardzo, moim zdaniem wyświechtanym tematem: biedne dzieci, które stoją przy oknie i patrzą na choinkę?; no patrzcie, i każdy patrzy, i johan janssens puka się w czoło, i mówi: to jasne, dałem kiedyś tippetotje do przeczytania świąteczne opowiadanko, które poprzednio odrzucano w redakcji gazety, bo było to ich zdaniem coś, co robiło durnia z prostego robotnika... chociaż to nieprawda, chodziło o to, żeby inni nie śmiali się do rozpuku z tej tępej robotniczej małpy, chodziło znacznie bardziej o to, żeby tę tępą robotniczą małpę nauczyć żyć tak, jak żyć należy... bo prosty robotnik postawił na święta w swym pokoju od ulicy choinkę, bardzo dużą, z podwójnym szeregiem lampek czerwonych żółtych zielonych i niebieskich, i sztucznym śniegiem; <sup>a</sup> Potem otworzył okiennice swego domku w szeregu komunalnych domów — tyle i tyle co miesiąc i będzie

on jego własnością — żeby każdy wigilijny przechodzień był zdruzgotany... ale gdy w określonym momencie określony przechodzień rzeczywiście jest zdruzgotany, dzieci prostego robotnika wbiegają do tego pokoju od ulicy i gapią się na tę choinkę, ale z kuchni wypada matka, klnąc na czym świat stoi, czego one tu w tym pokoju przy tej choince szukają, bawcie się gdzie indziej, bo was spioreę, co jest z wami? I pod tym opowiadaniem, które zostało w gazecie odrzucone, było jeszcze postscriptum: że obok tej choinki w pokoju od ulicy stał klubowy fotel... w którym człowiek nie mógł sobie usiąść, gdy wrócił z fabryki filatura albo labor, bo co on sobie, cholera, myśli, że fotel klubowy jest po to, żeby w nim siedzieć?... nie, on stoi tam tylko po to, aby stwarzać pozór, że my, robotnicy, nie jesteśmy właściwie robotnikami, ale ludźmi z choinkami i fotelami klubowymi... i opowiadanie to kończyło się takim morałem: że robotnik lubi, gdy jego dyrektor myśli, że on zarabia więcej niż dobrze; no bo popatr tylko, on może sobie pozwolić na taką dużą choinkę I kantyczny nauczyciel znów gapi się na kartkę świąteczną, którą mu przysłała tippetotje... chociaż wciąż jeszcze nie rozumie, dlaczego wysłała ją właśnie do niego... i powiada: teraz rzeczywiście widzę, że to nie jest temat wyświechtany, jak dzieci, stojąc u cudzych drzwi, tęsknią za choinką, ale, to, jak dzieci stoją w swoim własnym domu i tęsknie, ukradkiem spoglądają na choinkę... i spójrz tylko na tę dziewczynkę, która przeciera ręką szybę, jak to zwykle dzieci! I monsieur Colson z ministerstwa bierze do ręki kartkę i widzi to rzeczywiście, ale machinalnie odwraca tę kartkę i czyta adres: do poety i dziennikarza z tygodnika Johana Janssens! I każdy wybuchą śmiechem, bo to listonosz musiał pomylić drzwi i kartkę dla Johana Janssens doręczył kantycznemu nauczycielowi.

## *UCZCIWOŚĆ*

Jest to dzień nowego roku, w którym twoi przyjaciele twoi bohaterowie przychodzą ci życzyć wszystkiego, co będzie ci potrzebne w twoim życiu i twojej pracy... a ty życzysz im tego samego... nawiasem mówiąc, nic cię to nie kosztuje... ale poeta i dziennikarz z tygodnika johan janssens oświadcza ci nagle: życzę ci przede wszystkim uczciwości w twojej pracy. No i popatrz, masz wrażenie, jakby powstała dziura w ziemi, pęknięcie, przepaść i johan janssens, i wszyscy twoi pozostali bohaterowie stoją po jednej stronie tej przepaści, a ty po drugiej stronie: i stojąc po drugiej stronie tej przepaści mamroczesz, że usta wciąż miałeś pełne uczciwości, ale że nagle teraz, przez to życzenie johana janssensa, musisz ich zapytać prosto z mostu... że jakiś czas temu poszedłeś wrzucić do skrzynki pocztowej tam przy 1-szych brudnych domach za laborem swój zwykły materiał dla świata-dzisiaj, i że z jednego domu-w-budowie wyszedł robotnik z białym papierosem w swojej czarnej dłoni, rozglądając się na prawo i lewo za ewentualnym przechodniem, który by mu dał ognia. I milcz teraz, bo ty też pracowałeś w domach-w-budowie, stałeś na rusztowaniach i musiałeś przechodzić po belkach z wielkimi taflami szkła, które miały być wstawione w te ziejące otwory okiennych ram. I w momencie, gdy miałeś wstawić największe szkło... jeszcze raz myśląc o tym, jak to będzie trudno złapać, jak tej dziury tak wysoko cholernie trudno jest dosięgnąć, i co też niektórym architektom przychodzi do głowy, że siedzą i rysują, nie myśląc wcale o robotniku, który musi realizować ich rysunki... i w tym bardzo ciężkim momencie chcesz jeszcze najpierw zapalić papierosa, ale nie możesz znaleźć zapalek: jak to możliwe, gdzie je znów mogłem

posiać? I zeskakujesz spiesznie na dół w poszukiwaniu ewentualnego przechodnia i zaczepiasz go: nie masz zapalek, kolego? Niestety. Bo odwróć teraz rolę... w chwili gdy wychodzisz na ulicę i prosisz o zapaliki, nagle nie jesteś więcej szklarzem boontje, lecz stajesz się tym boontje, który odnosi swój materiał. I macasz po kieszeniach i odpowiadasz: nie, kolego, nie mam zapalek. A równocześnie wiesz, że je masz. I teraz pytasz: dlaczego powiedziałem szklarzowi boontje, że nie mam zapalek, a równocześnie mam usta pełne uczciwości i ludzkiej życzliwości?

A tam po drugiej stronie ziejącej przepaści stoją twoi przyjaciele, twoi bohaterowie, a wśród nich właśnie kantyczny nauczyciel staje po twojej stronie; mówi, że może nie miałeś czasu... a mając na myśli czas, nie ma na myśli, że np. musiałeś jeszcze zdążyć na pociąg, a on by ci uciekł, gdybyś tak każdemu po drodze dawał ognia... nie, przez czas miał na myśli to, że może zastanawiałeś się nad jakimś trudnym problemem, nad artykułem, powieścią, swoim światopoglądem w danym momencie.

Ale ty, który stoisz po drugiej stronie przepaści, wiesz, że to nieprawda: miałeś czasu aż nadto, nie tylko ze względu na ten czy inny pociąg, ale również ze względu na ten czy inny problem; właściwie zrobiłeś tak dlatego, że trudno ci znosić ludzi, którzy ciągle czegoś zapominają, to zapalek, to znów papierosów, potem znów swoich pieniędzy albo swojego światopoglądu, albo swoich spodni — och, wkrótce może nawet tego, co w nich noszą — i plus jeszcze do tego dlatego że zaczynasz nienawidzić ludzi, którzy myślą, że są ro dziną maszyn: zostają urodzeni i dają się każdemu powodować, nawet tym głupim maszynom, przyjmują rzeczy i zapominają rzeczy, trochę pożyją, a pote trochę umierają. Ale po drugiej stronie przepaści stoi także tołfpoet

który ze swym odbiegającym od normy umysłem został krewniakiem maszyn, i powiada: nie mogę się z tobą zgodzić... bo gdy z ubolewaniem rozmyślasz o tym, że większość ludzi została krewnymi maszyn, to lepiej byś od razu pogrzebał w kieszeni i podał szklarzowi boontje zapalki... a wtedy może on by sobie uświadomił, że istnieje jeszcze inny rodzaj ludzi, podczas gdy teraz będzie na ciebie patrzył tylko z pogardą i może będzie myśleć to samo, co ja sobie myślę i co myśli sobie johan janssens: byłoby znacznie lepiej, gdyby pisarz boontje od czasu do czasu wstawił szybę.

### *PRZESTĘPCY, KTÓRZY CHODZĄ NA WOLNOŚCI*

No więc był nowy rok, powiada mossieu colson z miństerstwa... i gdy biorę do ręki moją teczkę z wycinkami prasowymi, żeby przejrzeć, co też się w tym roku wydarzyło, to mam takie samo uczucie, jakie miał mistrz nivardus już w roku 1100 którymś tam, gdy w swoim rozgoryczeniu pisał isengrinusa i myślał, że koniec świata jest bliski: ghandi zamordowany w new delhi, zamach na włoskiego ultramarksistowskiego przywódcę togliattiego w rzymie, oenzetowski mediator bernadotte zamordowany w jerozolimie. A potem są tam też Czarne dni... wśród nich np. dzień, w którym francja opublikowała liczbę swych ofiar wojennych... zabitych 267 469 wojskowych i 378 457 obywateli cywilnych... a gdzie niemcy, rosja, polska, anglia i wszyscy inni z najdalszych zakątków naszej wsi, tego świata? I dalej przewracam stronicę z mojej teczki wycinków prasowych i znajduję w nich tylko katastrofy mordy gwałty zamachy wojny, nie wróżące nic dobrego manewry wojenne skandale finansowe i polityczne. I tak

samo jak mistrz nivardus pisał swego ponurego isen-grinusa, my piszemy naszą książkę i myślimy w naszym rozgoryczeniu, że koniec świata jest blisko, bo ja, mossieu colson z miństerstwa, mogę mierzyć ten świat tylko moją własną małą miarą; te katastrofy i wojny, i zamachy, i skandale rozgrywają się wysoko ponad moją małą osobą. Ale posłuchaj teraz, co ci powiem: stoję na dworcu północnym czekając na mój pociąg

**0** 18.25 i po peronie chodzą tam i z powrotem 2 panowie, którzy przy takiej mroźnej pogodzie nie mają odwagi korzystać ze swoich aut i jeżdżą pociągiem...

I spacerując za nimi słyszę, jak jeden z tych panów opowiada, że jEmu dobrze się powodzi, bo robi kapturki, którymi zakrywa się lufy dział... i musi te kapturki wysyłać okreśną drogą przez Szwajcarię do hiszpanii, powiada. A drugi pan, który chodzi po peronie tam i z powrotem z tym jednym panem, odpowiada, że ta nowa, zbliżająca się wojna, o której się mówi, jest właściwie potrzebna... handel wtedy na nowo rozkwitnie. I chociaż ten jeden pan, czyli pan, który robi kapturki na działa, zgadza się z tym... to nagle zatrzymuje się na środku peronu i stwierdza: ale z tą bombą atomową, czy nie doleci to tutaj do nas i **W** Nas nie trafi? A ja, mossieu colson z miństerstwa, stoję zbity z tropu, bo pociąg o 18.25 wjeżdża całkiem zwyczajnie, naiwnie buchając parą i gwizdząc, i rzygając dymem, żeby pokazać, że to nie byle co: to pociąg... lecz nie zdając sobie sprawy z tego, że już wkrótce nie będzie potrzebny, jeśli świat pozostanie taki, jakim jest: pełnym' zbrodniarzy, których nie wolno zatrzymać, ale którzy chodzą sobie po stacji tam i z powrotem, gdy jest zbyt ślisko dla ich aut, i których nazywa się Panami.



## ONDYNA MÓWI O ŚLUBIE

*Ondyna rozmawiała z oskarkiem o ich ślubie jak*

*O czymś, co ma się odbyć już jutro rano... ale I rzeczy nie wzięła pod uwagę: strachu samego oskarka; nie miał on najmniejszej ochoty na małżeństwo i usiłował to z siebie strząsnąć. Słuchał co prawda chętnie, gdy ona o tym mówiła, jak o czymś bardzo dalekim, bardzo, bardzo mglistym... jak o marzeniu, w którym on ją wyrzeźbił i zdobył za to nagrodę rzymu, i miał atelier jak sala teatralna... ale gdyby ślub stał się czymś realnym, czymś, co musi się odbyć jutro, to wiedział, że nie potrafi wykonać niczego, co przyniosłoby mu jakąkolwiek, choćby najmarniejszą nawet nagrodę. A do-tego nigdy się nie odważy pokazać z nią publicznie... przypomniał sobie nagle, z bólem, jak kiedyś wrócił z kuzynką ze szkoły i jak się z niego śmiano... już więcej się nie odważył, zaszył się w jakimś kąciuku.*

*I siedział tam jeszcze długo po tym, jak kuzynka poszła do domu z innym kolegą. I teraz ciągle jeszcze odczuwa. ten sam wstyd, żeby go nie zobaczono z dziewczyną... ale nie śmiał tego ondynie powiedzieć; wymyślił inny powód, żeby odłożyć molżeństwo, powód, który nie był powodem, tak to było dziecinne i naiwne, że ondyna w każdych innych okolicznościach wściekłaby się., nawet rzuciłaby go... ale teraz chodziło jej po głowie to marzenie, marzenie, które wszystko czyniło dobrym;, śmiała się i całowała go, i nazywała go swoim kochanym chłopcem: niech się niczego nie boi, ona sama wszystko załatwi. Zaczęła załatwianie od tego, że w domu wszystko postawiła na głowie klnąc i wrzeszcząc? i doprowadzając do szatańską swoją matkę... ojciec sprzątnął wszystko ze stołu i siedział przed zrobionym przez siebie drewnianym pociągiem... zrobił sobie również szyny i teraz zajęty był dopasowywaniem pociągu do*

*tych szyn... ale łuk był trochę za ostry, tak że wagoniki stawały dęba i przewracały się. I kiedy to poprawił i jego miniaturowe dzieło pędziło jak najprawdziwszy pociąg, zapomniał na chwilę o swoim wynalazku, zapomniał, do czego ma posłużyć to studium, i gdy lokomotywa pojawiła się na zakręcie, zagwizdał naśladowując parowóz; siedział i śmiał się ze swojej własnej głupoty. Dla ondyny był to odpowiedni moment. Zapytała, ile ta zabawka będzie kosztować i czy nie powinna czasem kupić lalki dla swojej matki po to, żeby się razem mogli bawić. On zaczął się usprawiedliwiać, zaczął tłumaczyć, że był już na tyle zaawansowany, iż jego wynalazek codziennie mógł pojawić się w jego wyobraźni jasno i wyraziście, że wchodzimy w nowe czasy i tak dalej... aż sam się tym wzruszył i chciał powiedzieć do niej „moja ondyńko”... ondyna widziała, co się dzieje, jego wynalazek nie obchodził jej ani trochę, jego radość wywoływała w niej wściekłość... udając łzy zaczęła opowiadać, że nareszcie poznała prawdziwą miłość i chce wyjść za mąż... ale pieniędzy na ślub tutaj w domu nie ma co szukać. I rozejrzała się w koło, jakby się wstydziła, że ma takich rodziców... powtórzyła raz jeszcze, że to dzięki niej było w tym domu trochę grosza... ale teraz, kiedy ona go potrzebowała, wszystko się rozeszło. A ponieważ vapeur nadal siedział w milczeniu i chciał przeczekać burzę, ondyna I ruchem zrzuciła wszystko ze stołu i kopnęła jego pociąg w kąt: wyjść za mąż, oto czego chcę... i odejść stąd, tego też chcę. Lecz zulma w zadziwiającym przypiływie przy tomności odpowiedziała: jeśli mówi o małżeństwie i potrzebuje pieniędzy, to niech idzie do skarbków, ci jeszcze nie płacili. I roześmiała się krzykliwie. Vapeu patrzył na swoją córkę i ondyna patrzyła na niego, i co dziwne: znowu obydwójgu przyszła do głowy ta sama, niezwykła myśl.*

## *O CHOROBIIE I CZARACH*

Jak długo już gapię się na ten tytuł, a kartka wciąż leży pod moją ręką pusta i zimna, i milcząca, i ciągle nie wiem, jak zacząć?... mówię, pod moją ręką... bo ten Jeden rzadki raz nie umiem wymyślić żadnej maski i muszę pisać z głębi mojego zbolełego i umęczonego serca... moje zbolełe i umęczone, i krwawiące serce pisze o chorobie i śmierci, i rozpacz, o przemijaniu i kruchości, i bezużyteczności tego życia; kiedyś moja siostra jeanneke siedziała na nocniczku i słuchała pobrzękiwania małego, miedzianego łańcuszka, który wisiał wokół jej pulchnego przegubu... kiedyś tak siedziała i była chlubą naszej ulicy: popatrz no, tam siedzi jeanneke, jak się masz jeanneke?... moja siostra wyrosła i nie chciała się z nikim przyjaźnić, nie chciała chodzić z żadnym chłopcem, z nikim iść potańczyć... stała się czymś suchym, co było złe i zgryźliwe, i zażywało proszki z białym krzyżykiem, o tak, że zgorzkniała twarzą... moja siostra jeanneke była uprzykrzonym stworzeniem i ja, niech to szlag, dość często powtarzałem, że będzie pietruszkować... potem krzywiąc\* się i jęcząc chodziła od jednego lekarza do drugiego, do lekarzy, którzy zapisywali jej środki otumaniające i przeciwbólowe, lekarzy, którzy jej dawali zastrzyki przeciw żółci i wątrobie, i za rzadkiej krwi, lekarzy, którzy przepisywali jej tabletki i proszki, i całkowity spokój, albo przejedzenie, albo najascetyczniejsze diety. A potem podwójnie się zgięła wpół i trzeba ją było zaciągnąć do szpitala na stół operacyjny... tak, zaciągnąć, nie chciała za nic na świecie wsiąść do karetki, bo ludzie sobie pomyślą, że jestem chora, powiedziała... a to był tylko wrzód, wrzód żołądka, który trzeba było wyciąć, jakieś nic, czyli jednak coś dość poważnego, <sup>a</sup>le co tam, ilu ludzi już operowano na żołądek?...

na żołądek, na żołądek... i widzą mojego ojca stojącego przy oknie, za którym piszę, i widzę jego oczy, i muszę słuchać, i ciągle widzę tylko jego oczy... jego wyschnięte, suche oczy, które nie ważą się płakać... rak, mówi ojciec, o cholera, i jednak wybucha szlochem,, rak, powiada... i operacja się udała, ale to rak, który dalej wszystko zżera... przerażające słowo, mordercze słowo, słowo zżerające na śmierć... wróci do domu i znów każdy będzie ją pytać, jak się czujesz, jeanneke?... a moja siostra jeanneke, która była chlubą naszej ulicy, która pobrzękiwała miedzianym łańcuszkiem wokół swojego zbyt pulchnego przegubu, moja siostra jeanneke powie: o, czuję się bardzo dobrze. To rak... och, te oczy mojego ojca, który będzie stać za nią i nie będzie mógł płakać... a moja matka woła nagle: o cholera,

o mój boże, teraz już w nic nie wierzę, nie wierzę już w mnichów i w klechów, Wszystko obiecałam i widzisz...

Widzę... to rak... och, te oczy mojego ojca... och, te przekleństwa mojej matki, która Wszystko obiecała,

I która teraz w nic więcej nie wierzy... która wszystko obiecała bogu i jego świętym, i która teraz... sam widzisz. I ten strach mojej siostry jeanneke, przed tym, co powiedział stary wróżbita... on rzucił na mnie urok, mówi moja siostra jeanneke, on rzucił na mnie urok, ja to czuję, ja to czuję, ja to czuję: tak krzyczy moja siostra jeanneke.

Ale rzucić urok?... ja w nic więcej nie wierzę, powiedziała moja matka. I ja też w nic więcej nie wierzę,, ani w boga, ani w jego czarnoksiężników, klechów... ani w naukę i jej czarnoksiężników, lekarzy.

## *O CHOROBIĘ I O ŚMIERCI*

Jeszcze z błotem drogi z kapliczką na butach stoi twój ojciec w twoim domu, a już mossieu colson z miń-sterstwa opowiada, że trochę kuleje ze zdrowiem, bo jego krew jest za rzadka i ten nerwowy tik pod jego okiem robi się coraz poważniejszy, tak że poszedł do kliniki i kilka godzin przesiedział czekając w poczekalni dla nerwowo chorych. A twój ojciec stoi jeszcze prosto z błotem z drogi z kapliczką na butach i z wyschniętymi oczami słucha mossieu colsona... a mossieu colson opowiada o ludziach, którzy są nerwowo chorzy, i którzy siedzieli w poczekalni; najpierw wysoki chudy mężczyzna w o wiele za krótkich spodniach, ich nogawki nie zakrywały nawet jego kostek, i który cały czas kiwał i kręcił głową, o tak, 1 kłębek nerwów... i chciał oczywiście koniecznie ominąć kolejkę, żeby go załatwiono pierwszego, bo on przyjechał Pociągiem, jak oświadczył... i oświadczył to tak, jakby w belgii był tylko 1 pociąg, który jeździł tylko Tego dnia. A obok niego siedziała chuda kobieta w ogromnym kapeluszu, która każdemu opowiadała, że jest tutaj z powodu swoich nerwów, i że już przepuściła pieniądze na dom, i że służąca ją okradła... okradła na jeszcze raz taką sumę jak tamta na dom... tak więc były już 2 domy... i w ten sposób od razu wiedziałeś, że marzenie tej damy w wielkim kapeluszu było następujące: posiadać Własny dom. I jeśli ktoś się odwracał od jej bezgranicznego rozżalenia, to ona natychmiast rzucała się na inną ofiarę. A obok niej siedziała jakaś bardzo stara i bardzo mała istota, którą raczej uznałbyś za istotę zwierzęcą, w okularach i z czołem bladym jak ściana... i powiedziała ona tak: jeśli doktora jeszcze długo nie będzie, to się powieszę. A lekarz powinien przyjmować od godziny 2, a już była godzina 3 i wszyscy nerwowo cho

rzy siedzieli tam i nadaremnie czekali i czekali: może doktor wjechał na drzewo, mówili, może to, a może tamto... każdemu może się coś przytrafić. I jeśli to byli nerwowo chorzy, to ja jestem potrójnie nerwowo chory, skonkludował mossieu colson z miństerstwa.

A ponieważ twój ojciec wciąż jeszcze stoi i z uprzejmości słucha mossieu colsona z miństerstwa, ty się odzywasz, żeby wypełnić ciszę: a gdy wejdiesz do jakiejś kliniki, to widzisz tam tylko i wyłącznie ludzi ze wsi... tak że się zastanawiasz, do jakiej właściwie kliniki albo szpitala chodzą ludzie z miasta... i zaczynasz wtedy wierzyć, że ludzie z miasta chodzą tak długo, aż padną od swoich chorób, bo nauka idzie naprzód, ale ludzie nie wierzą więcej w lekarzy. I wtedy mossieu colson z miństerstwa żegna się i zostawia cię samego z twoim ojcem, i twój ojciec odzywa się: w tej klinice twoja matka o mało nie rozwalila sobie głowy i zawołała w zaślepieniu do korytarzy i sal, i stołu operacyjnego, do pielęgniarek i sióstr, i chromowanych aparatów: mordercy! Mordercy, zawołała i upadła, i musiałem ją podnosić.

### *PO RAZ KOLEJNY O CHOROBIĘ I ŚMIERCI*

A następnego dnia: znów siedzisz przy swoim biurku, jak jakiś patriarcha, który znajduje się wysoko ponad czasem i chorobą, i śmiercią, i wszelkim przemijaniem... ale twoja krew płynie wolniej i spokojniej jak poto w ardenach, który najpierw skacze ze skały na skałę, aż w końcu otępiały i wybity ze swego nurtu odpływa... I twoja ręka pisze dalej, ale twój umysł przygnieciony jest jakimś jakby tłumikiem i twoje oczy wpatrują się

w biały papier z jakąś pogardą: piszę, ale wiem, że są to słowa, które przechodzą ponad sprawami, piszę, ale wiem, że to nie przynosi żadnego pożytku ani nie ma żadnego celu, ani żadnego sensu. A mossieu colson z miństerstwa siada obok ciebie i mówi, trochę podniecony, trochę z błyskiem w oczach: a wiesz, popatrz... ten doktor, który miał przyjść o godzinie 2 i o 3 jeszcze go nie było... no więc rzeczywiście mu się coś przytrafiło, wjechał autem do kanału i 2 kobiety, które były w tym aucie, przypadkowo zabrane po drodze, też wjechały z nim do kanału... zabili się i utonęli, auto, doktor i te 2 kobiety. A ponieważ mówimy o lekarzach i klinikach, johan janssens opowiada, że słyszał o procesie przeciw lekarzowi, który przeprowadził transfuzję krwi, przez co pacjent dostał syfilisu... i na tym procesie adwokat lekarza oświadczył: że należy to traktować jako transakcję kupna, w której towar posiadał wady nie zauważone ani przez sprzedawcę, ani przez nabywcę. A ponieważ mówimy o transfuzjach i operacjach, twoja żona wtrąca się i opowiada, że słyszała, jak ktoś opowiadał o żonie lekarza... i ta pani doktorowa powiedziała innej pani: dlaczego pozwoliłaś się zoperować, hie wiesz, że w szpitalach idzie się za modą, teraz taka choroba, a potem inna? I słysząc to wszystko tolfpoets dodaje do tego coś, co pochodzi z jego zwichniętego umysłu: opowieść o człowieku, który spadł z wozu uderzając głową o bruk i który leżąc na bruku jeszcze raz dostał po głowie, tym razem tylnym kopytem konia... i który teraz leży w łóżku i majaczy, że trzeba mu dać nową głowę, bo jego stara głowa jest już całkiem zużyta. A ponieważ ty siedzisz spokojnie i milczysz, tak jakbyś słuchał tylko z uprzejmości, dodajesz do tego jeszcze coś — och, przecież życie toczy się dalej — o maleńkiej dziewczynce, którą chciano nastraszyć pitje śmiercią... ale ta bardzo mała

dziewczynka musiała najpierw wiedzieć, co to takiego, no i narysowano jej pitje śmierć... i potem bardzo długo-pooglądawszy dokładnie pitje śmierć, co zajęło jej dużo czasu, powiedziała: a teraz narysuj mi mitje śmierć.

### *WIERSZ O BOMBIE ATOMOWEJ*

Cibazol, termopiryna i aspiryna plus 7 wilgotnych chusteczek do nosa: oto portret johana jansseny, Poety i dziennikarza z tygodników, gdy wchodzi i ma grypę. Przynajmniej od tej grypy, powiada johan janssens, człowiek może się uwolnić... ale kto mnie uwolni od naczelnych redaktorów tygodników, którzy chodzą źli i zgryźliwi, a mimo to są ciągle tak naiwni, że nie widzą, na kim powinni wyładowywać swoją złość, albo tak wyrafinowani, że ją wyładowują na innych. Znajdź no miejsce dla swojego reportażu o Życiu, powiadają, gdzie my go ulokujemy?... na pierwszej stronie nie, tam będzie się za bardzo rzucać w oczy, że jesteśmy tym, czym jesteśmy... na 2-giej stronie nie, tam nigdy nie było reportażu ... na ostatniej nie, to strona śmietnik, tam idzie cały chłam. A następnego dnia już więcej nie mówią o twoim reportażu o Życiu, są tak jak co dzień pełni złości i złośliwości. A potem zamieszczają reportaż jakiegoś walona, po francusku, i najpierw trzeba go przetłumaczyć... i rysuję makietę pisma, z reportażem na rozkładówce, a oni ten reportaż wyrzucają stamtąd i wrzucają na stronę 7-mą, gdzie nigdy nie idzie nic godnego uwagi... i rysuję nową makietę, a oni przerzucają reportaż ze strony 7-mej na stronę 3-cią i znów po raz kolejny rysuję nową makietę... a teraz nie chcą więcej dyskutować o miejscu, na którym będzie reportaż, ale wyładowują złość na jakimś



detalu; na tytule: Życie. I stwierdzają, że życie powinno być przez ż. I zaczynają czerwonym ołówkiem obrabiać to Ż, jakby naprawdę siedzieli z nożem w ręce:

**O** życiu, postanawiają. I trzymając wciąż w ręce ten czerwony ołówek jak nóż, obrabiają także inne strony, obrabiają także życie umysłowe, aż ich wzrok zatrzymuje się na wierszu: hiroszima. I pytają, co to za wiersz: co to jest za wiersz, wołają z wściekłością, obrabiając tytuł czerwonym, zaostrzonym nożem. I tłumaczę im, że mój przyjaciel kantyczny nauczyciel przeczytał książkę, w której jakiś amerykański reporter zebrał i przedstawił dramat hiroszimy, i że mojego przyjaciela kantycznego nauczyciela zatrzęsło z wściekłości na tę cywilizację i napisał wiersz, w którym mówi, że wypluwa swoją ślinę...

wypluwam moją ślinę,

ale na kogo powinienem pluć?

1 obrabiają wściekle tę ostatnią linijkę, wypluwam moją ślinę, lecz na kogo powinienem pluć... i spluwają na te linijki czerwonym ołówkiem... odsuwają od siebie makietę, daleko od swoich oczu, i oświadczają: właściwie to ty nie masz prawa publikować wierszy ot tak sobie, bez naszej wiedzy... możesz go zamieścić na swoją własną odpowiedzialność i dodać notę redakcyjną, że uznaliśmy ten wiersz za ciekawy, ale że nie zgadzamy się z jego płaszczyzną polityczną... nie, nie polityczną... z płaszczyzną ideologiczną. Nawiasem mówiąc, nie powinieneś więcej robić makiet, bo i tak nie ma z tego żadnego pożytku: zobaczymy w drukarni, gdzie jest najlepsze miejsce dla różnych rzeczy. I nieomal powiedzieli: zobaczymy, gdy pismo będzie już wydrukowane, gdzie było dla nich najlepsze miejsce.

## *PUSZKA PANDORY*

*Jednak ondyne wcale nie chodziło tak bardzo o te pieniądze... jej przekleństwa i wrzaski były tylko czymś w rodzaju introdukcji, świadomym robieniem hałasu, żeby wbrew całemu swojemu zdrowemu rozsądkowi przyznać w duchu samej sobie rację: że nie było żadnych pieniędzy, o tym ondyna wiedziała tak samo dobrze jak inni; ze skrywaną radością myślała o tym 1000 franków na strychu, który już dawno sobie przywłaszczyła i schowała do blaszanej puszki, te przywłaszczone pieniądze były jej zabezpieczeniem, do którego wciąż walcząc mogła się wycofać. A że szukała kłótni, nie, to nie tylko dlatego, żeby przekrzyczeć swoje własne błędy: było to w 1-szej kolejności coś, co miała we krwi, co nierozzerwalnie było związane z jej istotą. To było jej życie. Była bujnie rosnącą w dżungli rośliną i musiała inne otaczające ją rośliny uśmiercać, aby samej żyć... walczyła... naprawdę dusiła innych dookoła, żeby mieć światło i powietrze, żeby osiągnąć cel, który wytknęła sobie w młodości i którego właściwie już dobrze nie pamiętała. Trudno jej było zasnąć, gdy dzień przeszedł bez wałki... kładła się do łóżka, żeby marzyć o różnych rzeczach, ale nieświadomie przyszły jej na pamięć te wieczory, kiedy piekła torty w kuchni zamkowej... i wreszcie zasnęła, i wtedy znów marzyła o nim, panu achillesie, o którym w ciągu dnia, można powiedzieć, nie śmiała więcej myśleć... miał on mocne, białe zęby i gryzł ją... wtedy znów była dzie\*ciem, które pozwalało dotykać swoich o wiele za mło dych piersi... było to właściwie świętokradztwo, bo on była bardzo młodą matką-boską, a on lubieżnym diabłem, lecz ona wolała go do siebie do łóżka matki-boskiej i przebaczała sama sobie ich wciąż ponawiane grzeszne spółkowanie... była to niemożliwa chwila tak głęboko*

*grzesznego szczęścia, że po przebudzeniu się nie miała odwagi się poruszyć... jej sen żył w niej nadal, ale był już tak mglisty i kruchy, że bała się, iż przy najłżejszym ruchu ujrzy, jak się spala i ginie. O, achillesie, westchnęła. Nadal miała oczy zamknięte, żeby powstrzymać obrazy z nadciągającego życia: nie chciała wiedzieć o tym, że jej ojciec zszedł na dół, że po drodze z kapliczką przejechał jakiś wóz... nie chciała nawet wiedzieć o tym, że miała zamiar wyjść za mąż za oskarka; nie mogła jednak ciągle bronić tego snu przed nadciągającym, prawdziwym życiem, bezradnie poszukiwała czegoś, co w ostatnich dniach było jej siłą, jej opoką, aby tam się wycofać... co to było?... co to było?... było to tych 1000 franków leżących w blaszanej puszcze. Czy jednak było to dość, czy to coś znaczyło wobec takiego snu? Mogła tylko powtarzać och, achillesie. Nie chciała sobie przypomnieć twarzy oskarka, nie miała nawet odwagi, nie mogła porównywać tego, co działo się w życiu codziennym, ze scenami ze swojej wyobraźni. Wciąż starała się samą siebie okłamywać, jakby to chodziło o jakąś inną kobietę: ponieważ śniłam teraz o czymś, co bezpowrotnie minęło, to czy dlatego muszę zostać w staropanieńskim czepku? I potem powiedziała prawie machinalnie: życie musi iść naprzód. I rozejrzała się wokół siebie, jakby szukając czegoś, co mogłoby odwrócić jej uwagę... zeszła na dół i bębniła tam rozdrażniona w drzwi szafy, którą otworzyła, jakby tam było coś, czego potrzebowała... ale nie wiedziała, czego szuka... zamknęła szafę, no i tak, wiedziała: właściwie szukała kubka, żeby sobie nalać kawy i zabrać się do śniadania. Jakby w duchowym otepieniu weszła po schodkach na strych i spod grubej na palec warstwy kurzu wyciągnęła blaszaną puszkę... szukała czegoś do wytarcia tego kurzu, czyściła i czyściła, jakby to była Podobizna jakiegoś świętego, jednak nie z szacunku dla Pieniędzy, ale ze zniechęcenia, z tego, że znów zapom*

*niała, dlaczego tam stała i co ma począć z tą puszką. Otworzyła ją i zajrzała do środka... i bardzo, bardzo powoli dotarło do niej, że z tą puszką coś jest nie u>porządku. Była..., pusta.*

### **JAK SOBIE POMOŻESZ, TAK CI BÓG DOPOMOŻE**

Dzisiaj jest dzień, który nie ma nazwy, ani sensu, ani celu... w którym padający deszcz jest jak stopniały śnieg na drodze z kapliczką i w twoim skrawku ogródka za domem... i w którym twoja żona siedzi w pokoju przy piecu ze swoją nielegalną robótką na kolanach, ale zostawia druty w spokoju... i dostrzegając, że siedzisz i gapisz się przed siebie, odzywa się: teraz Ja ci opowiem coś pod tytułem: jak sobie sam pomożesz, tak ci bóg dopomoże... masz to już?... a zatem jakiś czas temu przespacerowała tędy obok 4 willi jakaś kobieta, która pytała mnie i inne kobiety, czy nikt nie chciałby kupić jej psa: nie kupiłaby pani mojego psa, bo niech pani sobie wyobrazi, że teraz, gdy kupiłam sobie psa, nikt w domu nie może go znieść. No dobrze, ale co ja mam robić w domu z psem? pyta żona johana janssensa... pies to pies, powiada piękna żona lucette filozoficznie... pies zasra ci i zasika cały dom, powiada poobwiązywane kokardami dziecko natury maria... i zza rogu, stamtąd, gdzie jest nie strzeżony przejazd kolejowy, nadbiega jakiś pędrak wołając: czyj to pies leży tam przejechany? I ta kobieta, która chciała sprzedać swojego psa, patrzy i woła: o, cholera, to jest Mój pies, który tam leży przejechany. Zapisaleś to? pyta twoja żona... dobrze, opowiem ci jeszcze coś, co możesz napisać pod tym samym tytti łem: jak sobie pomożesz, tak ci bóg dopomoże; i w czy

znów ktoś zostanie przejechany. No więc była kiedyś pewna kobieta, i ta kobieta miała męża, który był na państwowym etacie palaczem na parowozie, i tego palacza przejechał jego własny pociąg... i po latach ta kobieta w przypływie wielkiej złości powiada do swojego syna, który był maszynistą, też' na państwowym etacie, żeby ciebie też przejechali. I rzeczywiście, też go przejeżdżają na śmierć.

I chcąc ponownie zabrać się do swojej robótki twoja żona wybucha nagle śmiechem: ha, a mówiąc o Państwie — L'Etat, przypominam sobie jeszcze coś, co również możesz zapisać pod tytułem: jak sobie pomożesz, tak ci bóg dopomoże... ale to jest parodia, taki kawał... zdarzyło się to w czasie wojny, kiedy przed biurem zaopatrzenia stała długa, powoli się przesuująca kolejka, i policjant stojący z przodu zawołał, że kobiety będące w Tym stanie, dans cet Etat, mogą podejść bez kolejki... a żona jednego maszynisty kolejowego, która stała z tyłu na końcu kolejki, natychmiast przeszła do przodu i policjant zapytał ją: czy pani też jest dans cet etat?... i kobieta popatrzyła na niego zdziwiona i odpowiedziała: ha, a ja myślałam, że pan zawołał: te, które są na państwowym etacie. I ponieważ znów słyszysz ciche poszcękiwanie drutów, pytasz: no dobrze, ale co miałaś na myśli, dając ten tytuł: jak sobie sam pomożesz, tak ci bóg dopomoże? I nie patrząc na ciebie, twoja żona odpowiada: a co, nie rozumiesz? życzenie jest matką... albo ojcem... tego tam... co ty myślisz, mogę ci opowiedzieć to i owo, ale czy tobie się wydaje, że ja jestem prorokiem?

## *LEWICA TO LEWICA*

O święty-boże-prozaiku, pomyślał isengrinus... który był w jamie i w biedzie... czy to możliwe, żebym był w stanie mniejszej łaski?... innym wystarczy tylko podnieść palec i pieczone gołąbki już się kłócą między sobą, który z nich jako pierwszy wleci do gąbki... a po co ja nie sięgnę, zaraz wisi na tym, ech, jak oni na to mówią po łacinie? I tak oto siedział tam i wyśpiewywał swoje dziwne credo w zapadni na blandinusbergu, 1 ojcowie, którzy aż do tamtego miejsca siedzieli tym 2 szelmom na karku, zatrzymali się i słuchali z niezwykłym zainteresowaniem chryplego tembru nieco wulgarnego wilczego głosu. W kościelnym chórze stanowiący on obok głosów serafinów dźwięk ziemski, napomknął przeor, a ojciec pascalius prostituaan, który namalował drogę krzyżową, powiedział, że może być to cień, który uczynił światło jeszcze jaśniejszym... a ojciec redaktor naczelny, który był poetą, zdobył się na stwierdzenie, że dźwięk ten brzmiał nieco cynicznie jak głos dobrego mordercy albo marii magdaleny. I wyciągnęli wilka z jamy pod warunkiem, że będzie razem z nimi śpiewał wieczorną mszę; czy będzie to możliwe, zapytał wilk, pomimo że moje zabite na głucho jedno oko gapi się na was z na wieki zapomnianego habitu? Ustawimy cię z tyłu i trochę cię przy-czemimy, odrzekli na to ojcowie... czy to możliwe, zapytał wilk, w swoim czasie nosiłem miano świntuszy-sty, i to nie całkiem ortodoksyjnego? umieścimy cię trochę z tyłu i całkiem na lewicy, i trochę podfarbu-jemy na czerwono, odrzekli na to z przekonaniem ojcowie. I w ten sposób doszło do tego, że wierni w wielogłosowym chórze męskim mszy nocnej skrajnie z lewa słyszeli głos jakiegoś nie-ortodoksyjnego kochanka marii magdaleny, który swoim trochę surowym tern

brem wydawał szalony ziemski dźwięk. A przy tym w porze nieszpórów zaproponował on opatowi, żeby jeść owce na surowo, i z tego powodu patrzono na niego bardzo krzywo; został mnichem, który musiał wygłaszać najwięcej kazań i najrzadziej pilnować piwnicy z winem. Do tego stopnia, że nawet nowy biskup chmielu, waldricus jednooki — bo w tamtych dniach biskupi zmieniali się w szalonym tempie — który przybył na inspekcję winnych piwnic na blandinusbergu, zapytał go, czy to dla niego dość i czy m.in. oprócz swoich kazań nie odprawiałby rorat, godzinek i nieszpórów i czy ponadto nie mógłby posługiwać innym. Och, isengrinusowi przyszło do głowy, żeby dodać do tego, iż on sam gotów jest nawet co miesiąc przygotowywać biskupowi list pasterski — kiedy ty pijesz wino, ja na pewno popróbuję osadu — ale już w pierwszych wypowiedzianych słowach przejęzyczył się: zamiast wielce uczony lub wielce szanowny panie powiedział wielce niemądry baranie... i biskup z wrażeń wpadł do beczki. Cóż mógł isengrinus uczynić innego, niż szybko wyciągnąć zatyczkę, żeby jego pan nie utonął?... i coż mógł równocześnie lepszego uczynić, niż podstawić pysk pod strumień wina, żeby cenny płyn nie lał się nadaremnie? Stąd też było zrozumiałe, że ojcowie z blandinusbergu, gdy w końcu nadbiegli, znaleźli isengrinusa wygłaszającego kazanie: lewica to lewica, hik... stoję trochę z tyłu w czarnym... hik, i stoję trochę z tyłu w czerwonym... i że znaleźli przy tym jeszcze jakiegoś biskupa, który spoglądał na nich mętnymi oczami i właśnie kończył kazanie swoim amen. Wytaszczyli isengrinusa z piwnicy i oświadczyli: zrobimy z ciebie biskupa. I z wielką ceremonią zakładając mu na łeb żelazny garnek, walili w niego, aż spadł mu mżej uszu i wilk nie wiedział więcej, gdzie się znajduje, i dali mu kopniaka w dupę, aż nie wiedział więcej, dokąd się toczy, johan janssens w tygodniku.

## POTRZEBA NAM MŚCICIELA

*'Czy ta puszka... była pusta? Ondyna tarła czoło usiłując wziąć się w garść. Popatrzyła wokół po tych nie otynkowanych ścianach i dachówkach strychu, jakby się spodziewała, że być może ktoś z 1000 jr, w ręce siedzi tam spoglądając na nią drwiąco. Ale nikogo tam nie było. I jeśli dobrze pamięta, to czy nie zebrała najpierw z puszki grubej warstwy kurzu? i czy to nie było niezmiernie dawno, kiedy ktokolwiek dotykał tej puszki i... wyjął z niej pieniądze? Niech to szlag trafi, zakłęta. I wraz z tym ustąpiła z jej głowy mgła i ondyna zaczęła sobie stopniowo przypominać ten dzień, w którym walerek przyszedł tu wziąć sobie liść tytoniu i gapił się na nią... musiał dłuższy czas stać w otworze wejściowym, bo inaczej nie mógłby zauważyć, jak ona chowa swój skarb... i musiał potem wrócić i wyjąć z puszki te pieniądze... co za wstrętna szuja... no tak, teraz sobie przypomniwała, jak ich kuzynka powie-\* działa: dostaliśmy 1000 franków, za które mogliśmy kupić cukier. Tak więc przy pomocy jej pieniędzy można robić dobre rzeczy... tak więc to JA okradziono i oszukano, żeby się jej kosztem wzbogacić. I stała kiwając głową, a jej wściekłość i jej smutek były tak ogromne, że mogła tylko patrzeć przed siebie zbolalym wzrokiem, a potem rozglądać się wokół jak ślepiec i kiwać głową. Poczowała jednak drżenie w koniuszkach palców, poczuła drżenie wznoszące się od jej stóp ku sercu, ku jej mózgowi... tak że coś musiała zrobić, że by na miejscu nie zwariować... obojętnie co,, i złapała t pustą blaszaną puszkę, i rzuciła nią w okno strychu... żeby rozbić szkło, żeby usłyszeć hałas, żeby usłyszeć, jak trzeszcząc i pękając załamuje się świat. Trafiła je\* nak obok okna, puszka upadła i Nic się nie rozbiło, tylko jej palec trochę krwawił, przecięty ostrą kra*



wędzią puszki. Och, jaki świat jest zły, zapłakała on-dyna. I upadła na podłogę strychu, i leżała tam z głową wtuloną w ramiona, kopiąc w deski podłogi. Och, jaki świat jest zły, powtarzała ciągle. I kiedy jej bezbrzeżny smutek się wypalił... ale nie zniknął... wyrzucała sama sobie, że była taka głupia i komuś zaufała, że chciała kogoś w życiu oszczędzić; to ja powinnam była kraść i oszukiwać, i mordować, i palić bez litości; ale to jest nauczka; rozwalę ten świat, rozwalę, rozwalę. Chodziła po ter-muren tam i z powrotem i nienawidziła wszystkich i każdego... wszyscy byli jej zażartymi wrogami... poszła do kościoła i modliła się, że nie ma nikogo oprócz Niego, boga... ty jesteś moją siłą i opoką, na tobie zbudowałam moją nadzieję. I nie widziała Chrystusa, który wisiał tam przybity do krzyża z rozłożonymi rękami... nie widziała boga swojej młodości, le bon dieu, który mówił po francusku i rozdawał jałmużnę pod warunkiem, że biedni ludzie grzecznie zdejmowali czapkę z głowy, nie, zwróciła się na powrót do boga z czasów możesza i abrahama, mściciela, gromowładnego, który rozbił kamienne tablice, który siał śmierć i zniszczenie, zsyłającego na świat choroby i potop, i ogień, który wszystko pochłonie. Tylko w tym mogła znaleźć pociechę... odczuwała rozkosz, gdy sobie wyobrażała zniszczenie świata i to, jak zulma będzie się drzeć na cale gardło i wygadywać głupstwa, jak bezbożne pociągi jej ojca spowodują może pomieszanie języków i jak wałerek zostania rzucony na ziemię razem z tą ich grzeszną kuzynką uczepioną do niego — to złodzieje, to dranie — i siedziała w pustym kościele śmiejąc się w otepieniu.

*m*

## *WIERZĘ SZCZEGÓLNI*

Ludzie, którzy z biegiem lat osiedlili się przy drodze z kapliczką, widzą, że jesteś kimś w rodzaju pisarza, i wszyscy przychodzą ci opowiadać o swoim życiu w nadziei, że kiedyś opiszesz to w książce. Ich życie: to znaczy To z ich życia, w czym oni byli bohaterami, najsprytniejszymi, najlepszymi, pierwszymi... ale nigdy to, w czym byli żalonymi ludzkimi postaciami, w czym byli tchórzami, najgłupszymi, najgorszymi, ostatnimi. I nie pisz czasem o tym w swoich opowiadaniach, bo ci zaraz zagrożą wytoczeniem procesu. Księdzu mówią, że bardzo lubią Jezuska... a świntuchowi, który mieszka tam nad piwiarnią w 1-szych brudnych domach, jemu opowiadają, że wczoraj wzięli od tyłu jeszcze jedną dziewczynę... a teozofowi andre mówią, że słyszeli mówiących umarłych. Tak że ksiądz myśli, iż wszyscy ludzie kochają Jezuska, a świntuch, że każdy bierze dziewczynę od tyłu, a teozof andrś, że każdy zaczął studiować teozofię. A jeśli mowa o teozofie andre, to opowiadano mu historię pewnego mężczyzny, który jakże lubił życie, ale leżał umierający, i który niesłuchanie twardo walczył-ze śmiercią i powiedział: ja jeszcze wrócę. No i około 10 umarł i w tej samej chwili stanął zegar... a następnego dnia znów o godzinie 10 słysząc w jego pokoju głucho uderzenie i biegnie się na górę, i okazuje się, że spadło lustro... i schodzi się z powrotem na dół i widzi się, że zegar znowu tyka. I gdy to opowiadasz, andrś spogląda na ciebie swoimi teozoficznymi oczami i uśmiecha się, kiwając przy tym głową.

I ledwo drzwi się zamknęły za teozofem andre,, bo on musi wstawać, jadać i kłaść się spać o ściśle określonych teozoficznych godzinach... jak już ci opowiadają następną historię, jedną z tych niewiarygodnych:

0 domu, w którym leży nieboszczyk, jakiś mason, i do drzwi którego puka ubrany na czarno mężczyzna, żeby zapytać, czy tu umarł ten człowiek. I wpuszcza się go do środka, a on w milczeniu opiera się o ścianę... i gdy w końcu odchodzi, na ścianie widać wielką, czarną plamę i nigdy nie można się tej plamy pozbyć, choć się ją ściera albo bieli, albo maluje. A ty... ty, boontje, który jeszcze razem z johanem janssem chodziłeś malować fasady... pytasz zaciekawiony, czy próbowano to najpierw zawerniksować. Ale ma się to tobie za złe i opowiada się bez końca... zaraz ci jeszcze opowiedzą, że siusiaczek mannekenpisa zaczął fruwać i że wydał głośny okrzyk, gdy wleciał pod sutannę papieżowi. I odchodzisz stamtąd, i zastanawiasz się, czy ktoś ci kiedyś opowie coś takiego, co by nie należało do mroków zacofanej flandrii, ale do mroków ich własnego, małego, przestraszonego serca.

### *CZY MOŻNA ZWALCZYĆ CHAOS?*

Wziąłeś nowe pióro, jakbyś miał zamiar zrobić coś nowego i pięknego, bo pragnąłeś poszukać odpowiedzi na jakby coraz bardziej natrętne pytanie: czy można zwalczyć chaos? Ale w tej samej chwili puka do drzwi kantyczny nauczyciel i oznajmia, że strajk tramwajarzy został zakończony: dostali po kilka centymów wIĘcej... ale że z drugiej strony opłaty tramwajowe zostały podniesione o 25%. A johan janssens, dziennikarz z tygodników... który razem z kantycznym nauczycielem zapukał do drzwi... natychmiast na to odpowiada, że kantyczny nauczyciel wykazuje oburzające niezrozumienie tego, co odnosi się do socjalnej strony zagadnienia, bo dopiero co sam twierdził, że to

przedsiębiorstwo tramwajowe chciało strajku. Ale z tym wszystkim twoja kartka papieru pozostaje nadal pusta, a twoje pytanie bez odpowiedzi, tak że po jakimś czasie znów je musisz postawić: czy można chaos... Ale w tym momencie puka do drzwi mossieu colson z ministerstwa i opowiada ci, że jakiś deputowany interpelował w parlamencie w sprawie pewnych ciężarówek armii amerykańskiej, 10-tonowych, które zostały zakupione przez państwo... i kompetentne ministerstwo odpowiedziało, że te 10-tonówki rzeczywiście zostały zakupione, ale że się już właściwie do niczego nie nadawały i trzeba je było odsprzedać... z taką to a taką stratą. I chociaż mossieu colson jest zdania, że taka pomyłka może się zdarzyć nawet w najlepszej rodzinie... żona tolfpoetsa maria też kupi czasem jakąś rzecz, która się do niczego nie nadaje... to dodał jeszcze coś, co jakby znacznie ciężiej leżało mu na żołądku: kompetentne ministerstwo doszło później do wniosku, że właściwie udzielono zbyt dobrych informacji... zbyt dokładnych... i odszukano w ministerstwie tego, kto udzielił tych za dokładnych informacji: chociaż to sam minister podpisał odpowiedź. Ale i po tym twoja kartka papieru pozostaje pusta, a twoje pytanie bez odpowiedzi. I teraz, tego dnia o tej i o tej godzinie, bierzesz się definitywnie do pisania: czy chaos da się może... Ale jakby wisiało nad tym jakieś fatum, twoja żona zaczyna opowiadać, jak ona ciągle robi wieczne obliczenia: gdy mój mąż sprzeda temu czasopismu kawałek swojej książki, a inny fragment tamtej gazecie... i gdy... i jak to zawsze jest z tego tylko wiatr w butelce... i jak zawsze jest nowa nadziei' i jak tej nadziei wciąż się łeb ukręca. A teraz, powiada, siedzę przy elektrycznej maszynie do szycia akurat w chwili, gdy do drzwi puka inkasent z elektrowni... i patrzy on na naszą maszynę do szycia, i pyta, czy pracuję dla siebie, czy też dla jakiegoś pracodawcy... a ja

patrzę na niego pytająco i w milczeniu, bo człowiek nigdy nie wie, jak go mogą zrobić na szaro... i ten inkasent tłumaczy, że prąd kosztuje drożej, gdy szyć dla siebie, a mniej, gdy szyć dla fabryki. I śmiejąc się twoja żona dodaje: tak więc zostałeś uprzedzony, prąd jest tańszy, jeśli tniesz swoją pracę na kawałki i sprzedajesz, drożeje, jeśli chcesz dalej pracować nad swoją powieścią.

I twoje pytanie... czy można zwalczyć chaos, czy też nie?... nadal pozostaje bez odpowiedzi, bo wszystko to, co ci opowiadają, to plotki i przypuszczenia, które pośród istniejącego chaosu tworzą nowy chaos tego, o czym zaledwie w połowie wiadomo i co nigdy nie może zostać sprowadzone do definitywnych Faktów.

### *MÓJ CZAS JESZCZE NIE NADSZEDŁ*

*Ale czy ondyna mogła pozostać tylko sama jedna, z bogiem... nie, w jej życiu był również oskarek. I myślała o nim w taki sposób, w jaki ktoś myśli po burzy o doniczkach z kwiatami, które stały na zewnątrz na parapecie... postanowiła sobie dla niego trzymać się mocno i ponownie podjąć walkę... chociaż bez niego też by to zrobiła, ale już zawsze z nią tak było, do najblahszej na świecie rzeczy musiała wymyślić jakiś pozorne uzasadnienie; zaczęła od czegoś, co robiła najchętniej: od napisania zięjącego nienawiścią listu. Przy pisaniu listu nie można jej było wpaść w słowo ani się bronić, ale miała wolne ręce, żeby wymyślać naj-niesamowitsze podejrzenia, i to z zawziętym uśmiechem na ustach. A to, co napisała w liście do ich kuzynki, było niestychane. Przeklęła ich tam wszystkich, nie zawahała się napisać o swojej matce, która wyglą*

dała żałośnie, o swoim starym ojcu, który nie mógł spłacić swoich długów i prawdopodobnie będzie musiał spędzić resztę życia w więzieniu; ale tych skradzionych pieniędzy nie muszą zwracać, już było za późno, to były pieniądze splamione krwią; zobaczą, że nie zaznają w życiu szczęścia i że nawet ich dzieci będą umierać w okropnych męczarniach. I idąc wysłać list miała usta twardo zaciśnięte i rozglądała się, kogo ma połknąć. W jej głowie dojrzała myśl-majstersztyk... plan, żeby najpierw sprytnym zwodem skłonić tych skarbków do płacenia i wszystkie pieniądze wsadzić do swojej własnej kieszeni... aby potem, kiedy się wy-przedadzą do ostatniej koszuli, zapędzić oskarka do ślubu i zażądać jego udziału. Boże, może się zdarzyć, że ten stary siwy kot padnie od tego. Stała się wy-lewna, przyciągnęła oskarka do siebie i śmiała się, i paplała, i rozwijała swoje plany: oskar **obiecował** wszystko, czego chciała, i rzeczywiście czuł, że jest pod wpływem jej hardości, jej całkowitego braku skrupułów. Ale po powrocie do domu wyglądało to zupełnie inaczej, wtedy znów patrzył na wszystko z innego punktu widzenia. Było to coś, co ondyńa powinna przewidzieć... ale w swojej ślepej radości z powodu planu wyobrażała sobie mniej lub bardziej, że oskar był taki sam jak ona: przebiegły i wyrafinowany. Był to kolejny błąd, dowodziło to, że jeszcze nie dość się nauczyła... że czas, w którym nie zaufa żadnemu więcej człowiekowi, ale będzie się przebijać przez wszystko zupełnie sama, jeszcze nie nadszedł.

### *SMIERC MOJEJ SIOSTRY JEANNEKE*

Położyłem rękę na jej brzuchu, gdy ambulans przewoził ją ze szpitala do domu, mówi mój ojciec, bo opony były z pewnością za twarde i w jej brzuchu tak coś drżało... tylko nie autem z czerwonym krzyżem, krzyczała moja umierająca siostra jeanneke, bo wtedy ludzie zobAczą, że jestem chora. I zostawiłem wszystko, tak jak było, i usiadłem przy tym łóżku... przy tym łóżku, które przez długi czas było moim łóżkiem, gdy sam jeszcze byłem młody, tak jak moja siostra jeanneke... kiedy byłem jeszcze młody i wierzyłem w moją nieśmiertelność... kiedy byłem młody i silny, i odkryłem moją budzącą się we mnie płęć, i myślałem jeszcze, że świat i ja to coś nieśmiertelnego. Teraz zostawiłem nieśmiertelność świata, niech sobie będzie, jaka chce, siedziałem przy tym łóżku dzień i noc, dzień i noc, gdy w najbardziej głuchych godzinach nocy pod abazurem świeciła się lampa i gdy w dzień przenikały do pokoju odgłosy walącego się świata. Siedziałem przy tym łóżku i z tego łóżka moja siostra jeanneke wołała, że mam ją zostawić w spokoju... że mam odejść... bo inaczej dowiem się, że ona jest chora, i może to rozpowiem. A potem chciała koniecznie siedzieć w fotelu, a potem na krześle, a potem znowu w łóżku, a jej rozbiegane oczy szukały ucieczki, wciąż szukały ucieczki. O, moja zapłakana matko, zwrócona do jeanneke swoją uśmiechniętą twarzą: jak się czujesz, rybko, już cię nie boli? O, mój zapłakany ojciec, załamujący z rozpaczony ręce i uśmiechający się do jeanneke: mogę ci w czymś pomóc, córuchno? O, moje własne uwięzienie w gardle lży za maską mojej uśmiechniętej twarzy: uspokój się trochę, jeanneke! Pić, krzyczała moja siostra jeanneke. Ale to był tylko początek, później jęczała, później jeszcze tylko skomlała, a jeszcze potem był tylko szept,

łagodny, cichy szept, tak że mój ojciec z maską swej uśmiechniętej twarzy nisko się nad nią pochylał i słuchał: mówi, że chce jej się pić. A potem: dni mijały w otępiałym milczeniu i oślepieniu, rosła sterta gazet z nieprzeczytanymi wiadomościami ze świata, które zostawiłem nietknięte, ciosałem i wybijałem dziury w moim domu, zamuroywałem otwory tam, gdzie kiedyś były drzwi, i wybijałem nowe otwory tam, gdzie były ślepe ściany, zrywałem podłogi i kładłem nowe; tylko po to, żeby słyszeć wokół siebie hałas; tylko po to, 'żeby widzieć życie; ale równocześnie śmierć mojej siostry gryzła dalej moje umierające wnętrzności. Gdy łom wchodził w ścianę i cegły padały w obłoku kurzu i wapna: oczy mojej siostry Jeanneke... te zapadające się oczy i to, co nazywa się ostatnimi słowami: nie mogę dłużej wytrzymać. Jej ostatnie, zdradliwe słowa, które nagle nam wszystkim zerwały maski, bo przecież i ona zerwała swoją maskę... wiedziała, że śmierć jest już blisko i że nie ma sensu dalej ukrywać przed światem jej choroby: nie mogę dłużej wytrzymać. I mój ojciec zerwał swoją uśmiechniętą maskę, i ja zerwałem moją uśmiechniętą maskę, i zapłakaliśmy, głęboko i ciężko, i serdecznie... moja matka zachowała swoją do ostatniej chwili i po jej roześmianej masce toczyły się łzy jej doszczętnie stratowanego matczynego serca. Tak oto siedzieliśmy tam, a pomiędzy nami leżała przewrócona butelka, którą była moja siostra Jeanneke... przewracająca się butelka, opróżniająca się butelka.

A teraz siedzę tutaj i piszę... piszę, jak wybijałem w moim domu ściany... lecz wśród tumanów kurzu i wapna, i wśród słów, które piszę, słyszę i widzę tylko twoje słowa: nie mogę dłużej wytrzymać. A ja, mój martwa siostrze Jeanneke... jak długo ja, jak długo te świat, któremu śmierć pisana, będzie jeszcze może wytrzymać?



## MUSZTARDA PO OBIEDZIE

I oto siedzisz jak rzadko kiedy za oknem, przy którym stoi twoje biurko... bo przeszedł luty i marzec, i jest teraz kwiecień, i słońeczko świeci, ale ty w tym czasie kruszyłeś i wybijałeś w twoim domu ściany, i wszystko przewróciłeś do góry nogami... a teraz siedzisz tam sobie i dalej piszesz coś, co ma się stać twoim majstersztykiem, coś, co *podobnie jak wynalazek va-peura miało świat przewrócić do góry nogami... ale świat jest skazany na śmierć i wynalazek vapeura przychodzi za późno*, i twoja książka przychodzi za późno — o, cholera, kto może powiedzieć, czy te wszystkie wynalazki i książki nie gnają świata jeszcze trochę szybciej ku przepaści? — no więc siedzisz przy swoim biurku i wypełniasz słowami tę książkę, zamiast robić coś pożyteczniejszego. Zamiast robić np. to, co papiertuba, który tam, za niczym lasem, za zamkowym strumieniem, krąży z rozpiętym rozporkiem, gotów wyciągnąć kutasa, gdy tylko nadejdzie jakaś młoda dziewczyna. Papiertubę zżera pragnienie, by pokazywać swojego kutasa wszystkim młodym dziewczynom, a ciebie zżera pragnienie, by powstrzymać świat w jego upadku. I siedzisz sobie, i piszesz... a gdy tak piszesz, nadchodzi poeta i dziennikarz z tygodników, johan janssens z torbą pełną dzienników i tygodników, które dopiero ma przeczytać, i widzi ciebie siedzącego za oknem: znowu siedzisz i piszesz, i to sprawia mi w pewnym sensie przyjemność, nie dlatego, iżbym był zdania, że świat pragnie i pożąda twojej książki, ale dlatego, że dostrzegam, iż ty, mały boontje, malutki człowieczek, znów wróciłeś do równowagi; siedzisz tu<sup>1</sup> Piszesz, a ja tymczasem jeżdżę do brukseli i z powro-<sup>er</sup>o, i rozbijam sobie głowę, waląc nią we wszystkie<sup>m</sup>ury wszystkich lewicowych tygodników; i obydwai

mamy w głowach coś, co można nazwać musztardą po obiedzie. Ty z tą swoją książką, a ja z moim utyskiwaniem na lewicowe tygodniki... lewicowo i bardzo lewicowo, i ultramarksistowsko... marzący pan brys był alfą i omegą w sprawach wielkich finansów... nie mając pod koniec miesiąca złamanego grosza przy duszy i nosząc dziurawe skarpetki, i jedząc tylko śmierdzące jajka w proszku i padlinę z konserw, doskonale się orientował w sprawach wielkich finansów i pisał o tym wspaniałe artykuły. Zwolniono go. Ale dopiero gdy go zwolniono, dostrzeżono puste miejsce i zawołano go z powrotem: znowu może zatkać tę dziurę, a później się go zwolni, gdy łatwiej będzie się bez niego obejść. Ale... jak powiedziałem, to jest musztarda po obiedzie... zaopatruję lewicowe tygodniki w felietoniki tak długo, jak długo się da, bo choć w ten sposób włożę każdemu w drogę, to mam jednak lepsze spojrzenie na świat. A jeśli mowa o świecie: wiem, że mu śmierć pisana, możesz to spokojnie napisać w swojej książce.

#### *CZY HUMOR TEZ JEST SMUTNY?*

I dopiero co chciałeś pisać o kwietniu — że czereśnia rosnąca w twoim ogrodzie zaczyna teraz dostawać kwietniowych kaprysów, że już wypuszcza wszystkie swoje pąki, ale że równocześnie mrówki wylazą ze wszystkich swoich zimowych kryjówek i że już krążą wokół jej gładkiego pnia: znowu jej się dadzą we znaki — no więc ledwo co chciałeś napisać o kwietniu, gdy pojawia się poeta i dziennikarz z tygodników i mówi: ku mojemu zdziwieniu widzę, że również w tobie, wraz z tą wiosną, jest tylko bezgraniczny smutek albo bezgranicznie smutne współczucie. Bezgranicznie smut

ne współczucie dla twojej czereśni, która stara się, jak potrafi, a mimo to wkrótce będzie w połowie nadjedzo-na przez mrówki... a potem na wpół wydziobana przez wróble. Ale czy wiesz, że i we mnie też jest takie bezbrzeżnie smutne współczucie, że aż moja żona powiada: nasz johan janssens ma za krótkie szczęki, nie może ich więcej otworzyć do śmiechu, I to, co mówi, nie Całkiem jest kłamstwem... piszę dla wszelkiego rodzaju dzienników, tygodników i miesięczników, i noszę to na pocztę tam za 1-szymi brudnymi domami, i wręcz nie śmiem wracać do domu, do mojej żony, która ma za rzadką krew i która ma zawroty głowy, i która ma nerwicę, i jeszcze do tego to czy owo ze swoim brzuchem, tak jak każda kobieta ma chory brzuch: a wszystko to bierze swój początek w wojnie... w 2 następujących jedna po drugiej wojnach, które musieliśmy przetrzymać... i po przyjsciu do domu siedzę i siedzę. I rozmyślam o tym wszystkim, co napisałem, i zdanie po zdaniu przeglądam tę prozę w moich myślach... i potem kręcę głową, bo znowu nie było w tym niczego, co by wyrażało moje bezgraniczne współczucie: moja pisanina też ma za krótkie szczęki. I sprawdzam również to, co inni napisali w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach; i tam również nie znajduję niczego, absolutnie niczego... ci inni nie mają wstydu, żeby pisać o egzystencjalizmie i o personalizmie. A ja' tymczasem myślę o tych wszystkich młodych mężczyznach i tych wszystkich młodych kobietach, którzy przeżyli wojnę i cierpieli biedę, i którzy żyją teraz tak jak młode paki twojej czereśni: gotowi na to, żeby ich na wpół nadjadły mrówki i na wpół wydziobały wróble. Widzę ich i jestem bezgranicznie smutny, bo wiem, jak oni wszyscy walczyli o piękniejszy świat, jak znosili wszystkie cierpienia w nadziei, że potem nadejdzie P^kniejszy świat... i jak teraz są pozbawieni środków do życia, i wykluczani ze związków zawodowych, jeśli

chcą zastrajkować. I dlatego, że są teraz tacy jak te młode paki twojej czeresni. A tymczasem pisze się dalej o egzystencjalizmie i personalizmie... ale czy ja mogę pisać o personalizmie w tygodnikach?... siedzę sobie i czytam, co socjałowie piszą w swoich partyjnych czasopismach o personalizmie... piszą o tym wcale o tym nie pisząc... jakby teraz już stało się Faktem to, że ponieśli Porażkę i nie widzą żadnego więcej pożytku nawet w ratowaniu pozorów. I nastraja mnie to tak bezgranicznie smutno, widzę całe masy tych wszystkich skromnych socjałów, których ojcowie walczyli i strajkowali, i którzy byli pozbawiani środków do życia, i którzy są teraz wreszcie na zawsze uznanymi socjałami z przywódcami na czele, którzy już więcej nie wierzą w socjalne społeczeństwo. O, jakże to fantastycznie tragiczne, ta martwa rzecz zbudowana z tysięcy małych, nieświadomych socjałów, z dumą czytających swoją gazetę, w której pisze się o personalizmie wcale o nim nie pisząc.

A kantyczny nauczyciel, który tak samo jak ty z bezgranicznym smutkiem słuchał johana janssensa, wpada mu nagle w słowo: a wiesz co, nawet ci, których szczęki nie są za krótkie i którzy jeszcze mogą się śmiać, nawet ci nastrajają mnie bezgranicznie smutno. I zwracając się do ciebie, kantyczny nauczyciel mówi jeszcze to: weź np. takiego tolfpoetsa, o którym piszesz od czasu do czasu, no więc ten człowiek też nastraja mnie tak bezgranicznie smutno tymi swoimi dziwnymi surrealistycznymi anegdotami, tymi kalamburami i odchyleniami umysłowymi... bo jestem przekonany, że to właśnie te humorystyczne odchylenia umysłu — pozornie pomagające nam żyć z tym naszym smutkiem — pogrążają nas coraz bardziej. Tak samo jak proszki z krzyżykiem pozornie leczą nam ból głowy, a tymczasem powodują, że mamy jeszcze bardziej chorą głowę i bardziej chory żołądek. I obecnie są 2 ro

dzaje ludzi: ci, którzy piszą o personalizmie, i ci, którzy mają poczucie humoru... ale jedni i drudzy to ludzie z chorymi łepetynami, którzy zażywają proszki z białym krzyżykiem.

### *KTO JEST TERAZ KLIKA*

Łatwo ci przychodzi to pisanie, powiadają, kładąc nacisk na CI... ale nie wiedzą, jak trudno jest, gdy pisanie łatwo przychodzi, musieć o wiele za dużo powiedzieć. Weź no tylko to opowiadanko, w którym ma być przedstawione, jak poeta i dziennikarz z tygodników johan janssens spotkał w brukseli na gare du luxembourg tak zwaną klikę... to znaczy wszystkich tych, którzy zostali wyrzuceni z gazety, bo byli podejrzani o to, że tworzą klikę: sam johan janssens i marzący brys, i malarka tippetotje, która przez jakiś czas zajmowała się łamaniem numeru. I widzisz taką oto scenę: ta bezrobotna klika na gare du luxembourg w kwietniowym słoneczku. I chcąc o tym napisać, potykasz się najpierw o to kwietniowe słoneczko... bo zarzucano ci, że w tej twojej książce ciągle tylko pada i pada, i że nigdy nie świeci w niej słońce... a teraz, w tej scenie, jednak świeci... to znaczy świeci nad gare du luxembourg i nad placem, po którym jeżdżą żółte tramwaje... ale czy świeci ono w sercach tych, którzy należą do wyrzuconej-na-ulicę-kliki?... tam nie, tam ono nie świeci. A potem nachodzi cię inna myśl: malarka tippetotje powiedziała ci kiedyś, że musisz zobaczyć brukselę w deszczu, bo to właśnie jest prawdziwa bruksela... ale ty widzisz brukselę w słońcu, gdy dziewczyny są kwiatami z gołymi nogami i świeżymi biu-ścikami... i może byłoby jeszcze ładniej, gdyby chodziły<sup>z</sup> gołymi biuścikami i świeżymi nogami. A potem przy

chodzi jeszcze 3-cia myśl: cała nasza książka rozgrywa się na drodze z kapliczką, w małym mieście z 2 fabrykami, i nagle przenosimy akcję ot tak sobie do brukseli... czy przez to nie zatracamy wartości, którą do tej pory potrafiliśmy tak świetnie zachować?

I popatrz, tak więc kwietniowe słońeczko świeci, tramwaje są żółte, dziewczyny mają świeże, gołe nogi i roztańczone biuściki... a johan janssens, poeta i dziennikarz z tygodników, zjadł obiad w stołówce mińster-stwa razem z mossieu colsonem, który zapłacił za bony — była zupa jarzynowa i potem puree ziemniaczane z tym czy owym — i johan janssens ściska rękę mossieu colsonowi, i mówi: do zobaczenia wieczorem na drodze z kapliczką... i skręca potem za róg, i chce wstąpić do redakcji tygodnika, i zderza się z Kliką: marzącym brysem, któremu trzeba by buty obciążyć ołowiem, bo inaczej poszybuje idealistycznie nad gare du luxembourg, jak postaci marca chagalla... a obok niego idzie malarka tippetotje — która jeszcze przez jakiś czas łamała gazetę, a potem musiała walczyć

**O** każdy kawałek chleba... teraz już ten czas dawno minął, ale scena, którą opisujemy, jest przecież również z dawno-przeszłego-czasu, a tippetotje została tymczasem malarką u barona — no więc tippetotje, w swoich zniszczonych pończochach, zniszczonych butach i zniszczonym płaszczu przeciwdeszczowym... jak również ze zniszczonym uśmiechem.

No i popatrz, w tym konkretnym momencie tra chce, że nadchodzi stary, posiwiwały ultramarksista, z garbem od ciężkiej pracy i z twarzą porytą zmarszczkami od chodzenia dla partii po deszczu i wietrz"

l z czymś takim w oczach od bardzo częstego siedzenia dla partii w pace... i widzi tę klikę, i myśli, że oni wszyscy są jeszcze redaktorami w gazecie, i mówi do nich z wyższością i lekceważeniem: wszyscy jesteście młodzi, tańczycie, jak wam zagrają, i nic nie wiecie

**/ton**

O kulisach partii... ale ja, który w partii się zestarzałem

I posiwiałem, i który wciąż jeszcze chcę zawsze tańczyć tak, jak mi zagrają... zostałem wyrzucony właśnie dlatego, że coś wiem o tych kulisach: stara gwardia musi odejść. I cała klika spogląda w ślad za starym i posiwiałym ultramarksistą, podczas gdy on pośpiesznie przechodzi, aby nie musieć pokazywać swego wstydu i rozgoryczenia — bo gdyby to nie była jego partia, naubliżałby i opluł, i przeklął... ale o to właśnie chodzi, to bYła jEgo partia. — I marzący brys mamrocze: stara gwardia musi odejść, a młodą gwardię wyrzuca się na ulicę... zastanawiam się, kto w końcu zostaje, oprócz tej kliki, która podejrzewa wszystkich innych o to, że należą do kliki.

### *ŚWIAT ROZPADA SIĘ NA 3 KAWAŁKI*

*Oskarek patrzył na nią, tę, którą ondyna nazywała starym, siwym kotem... rzeczywiście, miała ona coś z tego... gdyby jednak nie była jego matką, to raczej nazwałby ją starą, siwą myszą; ale o to właśnie chodziło; jakkolwiek by na to patrzeć, ona bYła jego matką... była 1 kobietą w jego życiu. Każdego wieczoru siedzieli razem o głodzie i chłodzie, starając się ukryć przed światem swą biedę... wieczór w wieczór opowiadała okropne rzeczy o jego ojcu, rzeczy, które mogły w nim zabić ducha, gdy tak przed nim odkrywała świat i ludzi, ukazując ich najżałośniejszą, najobrzydliwszą stronę; gdy on i jego matka siedzieli przy zimnym piecu, jego ojciec zgrywał się na bogate panisko, wydawał kolacyjki z kurczakami i butelkami wina, siedzieli tam z nim przy stole dziewczyny i działy się takie rzeczy, których ona jeszcze mu nie mogła opo*

wiedzieć. Działo to na jego umysł, wytworzył się w nim niesamowity wstręt do tych Rzeczy i nabrał przeświadczenia, że urodził się, żeby swojej matce zapewnić to, czego jego ojciec jej pozbawiał: w te noce, kiedy jego stopy były zimne jak lód, marzył, że jest bogaty i sławny... albo nie, nie sławny... że przede wszystkim jest bogaty i jeszcze coś nieskończenie więcej, i że uszczęśliwia swoją matkę. Jego dzieciństwo... i chociaż jego matka nigdy nie myślała o jego szczęściu, chociaż nie mogła znieść tego jego siedzenia i dłubania w glinie, tego, że... no cóż, że myślał o sobie. Miała męża, który myślał o samym sobie, i nie chciała, żeby jej syn wyrósł na takiego, który myśli o samym sobie... mężnie i uparcie walczyła o to, by był w tym życiu ktoś, kto myślałby o niej, tylko o niej, jak niewolnik, jak kochanek. I za każdym razem, gdy oskar chciał pójść na strych, żeby stać się sobą — i to, czego ona nie rozumiała, tylko z korzyścią dla niej — ona go zatrzymywała swoimi opowiadaniem o tym, co robił jego ojciec, o ich biedzie i o tym, czego jej nie dostawało w życiu. A teraz nagle świat stanął na głowie, nagle pojawiła się inna kobieta, która tak samo jak jego matka chciała, żeby on żył tylko dla niej... która, nalegała na to i wmawiała mu, że zamiast się troszczyć o tę starą, siwą mysz, powinien troszczyć się o nią. A on pełen wątpliwości zastanawiał się, czy troszczenie się o siebie samego nie było tym, co powinien był w życiu robić. Świat rozpadł się na 3: jego matka, jego ukochana i on pomiędzy nimi. Nie wiedział, co ma z tym począć... nie potrafił sam za siebie rozwiązać tej sprawy. Gdy chciał się troszczyć o swoją matkę, to widział, że będzie się troszczyć przez całe życie... obliczył, jak długo mogłaby jeszcze żyć, miała teraz 40, założmy, że dojdzie do 70... albo założmy, że dojdzie tylko do 60... to i tak będzie jeszcze 20 lat. I nie wierzył w to, że ondyńa będzie mieć tyle cierpliwości, aby tak długo



*czekać na ślub. A on też tak długo będzie musiał czekać z wyciosaniem wszystkich swoich marzeń w kamieniu... jeśli zaś natychmiast się ożeni, to będzie mógł zacząć modelować w glinie jej głowę. Siedział i nie miał odwagi chwycić życia za rogi, aby z niego wycisnąć swoje szczęście... głównie dlatego, że nie wiedział, po czyjej stronie jest racja: jego matki, która była nieszczęśliwa, ale która nie przyzwalała mu na żadną, najmniejszą nawet przyjemność, czy ondyń, która być może nie miała innego celu prócz tego, by jego matkę wpędzić do grobu. Udręczony szarpaniną między skrajnościami, wychudł jak szczapa, a że pomimo swych 21 lat wyglądał na chłopaka 16-letniego i twarz miał teraz wyciągniętą i pooraną bruzdami, podobny był do dziecka z głową starca. Gdy on nie rozumiał innych, inni wydawali się tym lepiej rozumieć jego; nie mógł ani na chwilę usiąść w pokoju, bo jego matka natychmiast zaczynała o córce tego stolarza, co za podejrzone życie musi ona mieć już za sobą... i że słyszała, jak mówiono, iż mieszkała przez rok na zamku z panem ludwikiem, i że słyszała również, jak opowiadano, iż leżała ze wszystkimi małymi dziećmi tam za torami podżegając je przeciw ich matce... a to przecież taka porządna kobieta. I gadała również o ślubie, że dla niego też nadejdzie kiedyś na to czas i że ona mu znajdzie jakąś bardzo, bardzo porządną dziewczynę, z którą on przez całe życie będzie szczęśliwy.*

### **POZORY I SEDNO**

s

*Kto, na diabła wszechmogącego... jak musiała przy-**ST**-ęgać ondyń, gdy przez jakiś czas była kochanką <sup>s</sup>Pirytysty norberta derenancourt... kto, na diabła*

wszechmogącego, rozumie jeszcze coś z tej książki? Nikt więcej, oprócz mnie, boontje, który może tylko jeszcze samemu sobie stara się wmówić, że cokolwiek z tego rozumie. *No bo masz całą tę opowieść o ondy-nie... opowieść, która podejmuje wszystkie tematy, podsumowane na ostatniej stronie... ale w której tymczasem pojaunia się cała kupa nowych tematów.* I masz tam tę powieść johana janssensa, która jest zaakcentowaniem socjalnego elementu w powieści o ondynie... *ale to, o co w czasach ondyny zaczęto walczyć, jakieś dobre 50 lat temu,* to w czasach johana janssensa zostało już zdobyte: ale do czego posłużyła ta zdobycz? Masz tam mossieu colsona z miństerstwa, który wszystko wspiera faktami i Dowodami, i któremu pomimo tych wszystkich suchych faktów i dowodów udaje się jEszcze nadal pozostawać poetą. Potem masz kantycz-nego nauczyciela, który... tak, jaką on teraz rolę odgrywa, czy nie jest to rola właściwie trochę uroczysta, ale śmieszna? A potem masz tolfpoetsa, odbicie naszych czasów, który wynalazł humor jako lekarstwo przeciw tflericynie. I w końcu masz malarkę tippetotje... biedną tippetotje, o której coraz częściej zapominamy, gdy ona sama coraz bardziej się oddala, pozwalając temu staremu i pławiącemu się w pieniądzech baronowi zaglądać pod swe spódnice... i która w naszej książce była symbolem sztuki — sztuki przez bardzo małe s, bo my, w nic nie wierzący i głęboko pogardzani artyści, widzimy siebie samych wygnanych nawet z naszych własnych terenów łowieckich przez drów k.k. kakke-mansów, którzy Wiedzą o Sztuce Wszystko — wszystko literami wielkimi jak krowy — a przez co my pełni głębokiego rozzalenia i dalekiej nostalgii możemy używać tylko małego s. Są oni tam więc jako symbol... no i popatrz, tutaj się wygadałem: jako symbol, a więc jako zwierciadlane odbicie mojego własnego ja, jako' obnażenie mojej własnej, na strzępy porwanej istoty.

Występują tu jako symbole, cienie, które nie mają własnego życia i służą tylko do podkreślenia tego czy owego. A jednak... a jednak mają swoje własne życie... bo to jest zbyt proste, aby się samemu obnażać jako johan janssens i reszta, oni muszą istnieć, a jednak nie istnieć, muszą w tej powieści odgrywać niejasno zarysowaną rolę, a mimo to muszą umieć pozostawać Ludźmi. A jeśli są ludźmi, to oprócz roli, którą tu odgrywają, mają jeszcze inne, własne życie, I piękna żona lucette wybucha nagle szlochom, gdy jest sam na sam tylko z twoją żoną... i opowiada, że nie znamy kantycz-nego nauczyciela: musiałabyś go kiedyś zobaczyć, gdy rano wstaje z łóżka i jest wściekły, i przeklina... musiałabyś go kiedyś zobaczyć, jak siedzi z potarganymi włosami, z włosami na oczach jak dzikie zwierzę, i jak mnie wtedy dręczy i judaszuje — ten JUdasz — jak mnie dręczy i judaszuje, sama nie wiem o co... bo, jak to się mówi, on pluje na to życie, które nie jest warte złamanego centa, bo chce być silny, może chce zostać kierownikiem szkoły, może ministrem, być panem i Władcą, i wszystko urządzać według własnego gustu i widzimię... A potem mnie bije, ciężkie razy jego rozwścieczonych rąk padają na moją twarz i kiedy pytam: co jest z tobą? to on odpowiada: za to, że jesteś ładna, to jest... nienawidzę cię za to, że jesteś ładna i jesteś moją żoną... wypluwam moją ślinę, ale kogo,, kogo opluję?

No i popatrz, to jest życie cienia, nazywanego przez nas kantycznym nauczycielem... ale jednak co w nim jest takiego, czego byśmy jeszcze nie wiedzieli?

## *OBRONA CHOROUUMYSKIEGO*

Student choroumyski wstaje i mówi: już od kilku tygodni piszesz o mnie i ani trochę mnie nie oszczędzasz; opisujesz mnie jak jakiegoś insekta, który siedzi pod szkłem powiększającym. Ale czy będzie mi w końcu wolno pokazać ci, jak wszystko wygląda od strony samego insekta? Gdy byłem jeszcze młody i naiwny, i jeszcze dalece nie tak cyniczny, czułem się Poetą... i czując się poetą popełniłem pierwsze wielkie głupstwo: poszedłem na uniwersytet, który był, jak to się mówi, uniwersytetem państwowym, ale na którym jednak encyklikiarzy byli panem i władcą, tak jak nadal są panem i władcą w radio i we wszystkich innych instytucjach publicznych. A równocześnie popełniłem moje pierwsze podwójne głupstwo: poszedłem na uniwersytet, żeby studiować literaturę. Myślałem, że literatura nie jest Sztuką, tylko przedmiotem... i że nie poeci, ale profesorowie mają pojęcie o tym przedmiocie. I to zło było tak głęboko zakorzenione, że wszyscy ci profesorowie patrzyli z pogardą, gdy jakiś poeta przychodził sam prowadzić wykład... i że myśleli: co też taki wie o poezji, przecież nie jest profesorem!

I tak oto zdając sobie sprawę z tego, że nie nauczę się niczego wartościowego, musiałem jednak dalej kroczyć wydeptaną ścieżką... bo jak to sam opisałeś: moja mama dała mi odczuć, że tylko dla mnie jednego pali się w piecu w gabinecie... a państwo dało mi odczuć, że każdy student kosztuje je rocznie sto pięćdziesiąt tysięcy franków... i moja mama, i państwo wyrobili we mnie tym sposobem kompleks niższości, poczucie winy, a równocześnie uczucie, że jestem insektem, który wszędzie czyni szkody.

I tak minęły lata i zostałem napompowany literaturą, i moralnie zamordowany: w mojej pracy dyplomowej

zająłem się poetą, który splunął na tę całą naukową bzdurę, i ja w mojej pracy z nim się zgodziłem, a z profesorami nie. Co też był ze mnie za osioł, bo powinienem się był szybko od tego odciąć i stwierdzić coś odwrotnego... zamiast miesiącami nad tym pracować, że aż się rozchorowałem i musiałem poprosić, żeby mi pozwolono zdawać w późniejszym terminie. Możesz sobie łatwo wyobrazić, że wtedy wybuchła bomba: stałem się symbolem młodzieży, która jest cyniczna i w nic więcej nie wierzy, która jest niewdzięczna i ma chory umysł. I aby obronić moją pracę, stanąłem przed komisją i usłyszałem, jak wydają na mnie wyrok; nie mówili o duchu mojej pracy, ale o ubocznych drobiazgach: że za wiele w niej obcych słów. Profesor Yxs przekartkował ją i oświadczył: za wiele tu niemieckich słów... a profesor Ygrec, którego prace są niemiłosiernie naszpikowane niemieckimi słowami, i który jest winien temu, że my tych wszystkich słów używamy, ten powiedział: tak, to prawda. Na przykład tutaj: powiedział pierwszy profesor Yxs, cytując jakieś niemieckie słowo. Właśnie, to prawda, powiedział profesor Ygrec, który sam ciągle używa tego słowa. A wtedy trzeci profesor... profesor Zet oświadczył: no tak, ale jakby to należało powiedzieć po niderlandzku? A profesor Ygrec zaczął się kurczowo zastanawiać i znalazł... słowo francuskie. A profesor Zet odpowiedział: no tak, ale czy to po niderlandzku? Tak więc nie rozmawiali o treści... ale później, gdy spotkałem na ulicy profesora Ygrec, pokręcił on na mój widok głową: jak to się stało, że jesteś taki cyniczny, nie jesteś już flamandem, lecz chorym kosmopolitą! A potem powinienem właściwie zostać potraktowany tak samo jak ci, co mieli przełożoną obronę... ale w gazetach stało czarno na białym, że dostałem odroczenie... czyli że oblałem i musiałem jeszcze rok odsiedzieć, to jest, że .znowu trzeba było palić w piecu w gabinecie, i że będę kosztować państwo

**150 000** franków. I pobiegłem do profesora Zet, który jednak trochę stanął po mojej stronie, i zapytałem go, czy za tym paskudnym numerem nie kryje się profesor Ygrec, ale profesor Zet wysoko dzierży sztandar ciała profesorskiego i odpowiada oburzony: no też, jak coś takiego może zakwitnąć w twoim chorym umyśle... to jest tylko i wyłącznie pomyłka administracyjna!

Była to pomyłka administracyjna, ale jak to zawsze z fiskusem bywa: musisz za tę pomyłkę zapłacić, a potem oddadzą ci te pieniądze z powrotem... ale kto mnie i mojej mamie, i państwu odda cały ten stracony rok? I ja nie godzę się z tym, i przychodzę do profesora Ygreca, którego podejrzewam, że to wszystko jego wina, i przedstawiam mu skromnie i uniżenie mój przypadek: pytam go, czy nie mógłby mi się postarać o miejsce w ich encyklicznej oświacie, żebym mógł się w tym czasie przygotować do egzaminu. Ale profesor Ygrec wali się w przenośni na dupę: ty, z twoim chorym umysłem, z twoim światopoglądem, w naszych szkołach!... mógłbym się postarać, żebyś został kancelistą albo prostym urzędnikiem w jakiejś fabryce... ale wiesz co, zostań lepiej jeszcze rok u mnie i napisz porządną pracę.

Co powiedziawszy, choroumyski znowu siada jak uwięziony insekt, który musi iść pod lupę.

### *HUMOR PROWADZI NAS DO ZŁEGO*

Kantycznemu nauczycielowi śni się nocą, że świat sam się wymordowuje, a poeta i dziennikarz z tygodników johan janssens usycha ze swej żalności nad światem... a jednak musiałbyś usłyszeć, jak tych 2 się dobierze: mają taki dowcip, z którego można uśmieć się

do łez; oto znów siedzą razem i na pewno znowu wymyślili coś nowego, bo twarz kantycznego nauczyciela nie jest już twarzą, ale zastygłą w śmiechu maską... śmieje się i śmieje, a ty nic nie słyszysz... a johanowi janssensowi łzy spływają po policzkach, śmieje się i płacze, i obydwoma rękami trzyma się za brzuch, i też nic nie słyszysz. To czerstwy dowcip. Jest to oszałamiająco historycznie-idiotyczny dowcip. Ale ty nic nie słyszysz, żadnego śmiechu, I johan janssens ściera wierzchem dłoni łzy z policzków, i nagle mówi: no popatrz, cholera, tego żalu, że człowiek pisze te felietony, w których nie można Nic napisać, nie da się nikomu opowiedzieć... to prawda, „mam żonę i dziecko”, ale żeby to wszystko wytrzymać, trzeba by mieć ze 2 żony i 2 dzieci: wszystko to jest takie strasznie do dupy, nie do Życia... ci doktorzy k.k. kakkemansi i ci doktorzy pascaliusowie prostituaani wypełniają życie duchowe swoim martwym mózgiem i swoim martwym interesem... idą patrzeć na picassa z sercem jak cesarz, bo już przecież zebrali do tekturowej teczki wszystko, co do tej pory o picassie powiedziano... ale ponieważ on ciągle tworzy coś Nowego, to oni za każdym razem tracą głowę i nie mogą ani odrobinę się w tym połapać... i piszą potem w tych różowych lewicowych pismach, że to jednak było nie tO... przypadek patologiczny... a w pismach ultramarksistowskich piszą: ojej, zupełnie nie wiem, gdzie podziała się moja głowa... czy mam ją może między nogami, niespecjalnie mi się to wszystko podoba, ale cóż, gdyby to nie był ultramar-ksista, to bym wygarnął, że to jest obrzydliwe. A potem puszczają w swojej gazecie utartą zbitkę: dzieciątko jesus w swoim żłobie autorstwa rogiera van der metsijsena. A co do reszty... nie wiem, kto aktualnie mieszka z elzą, która jest żoną vanderkriekena, ale odeszła od męża i zamieszkała razem z van derappela-nem, który zostawił swoją żonę, która mieszka z van

derperenem, którego żona mieszka z hooizolderem^który z kolei od czasu do czasu wpada do elzy, gdy ma już dość żony brata rixensardusa I... co za bagno, bagno, kurewskie bagno... mógłbym to całkiem łatwo znieść i przyglądać się temu z uśmiechem — chociaż wystarczy mi moja własna żona, która jest moim towarzyszem i kumplem, moim smutkiem i moją radością, moją kurwą, moją kochanką i moją pocieszycielką — a jednak potrafiłbym przyglądać się tej zabawie z uśmiechem, gdyby powiedzieli: jesteśmy ultramar-ksistami i jedyną miłością, która się liczy, jest wolna miłość.' Ale śmierzące, burżuazyjne motto, które im w życiu przyświeca, brzmi tak: musimy żyć w taki sposób, jak ci wszyscy porządni mieszczenie, i postępować tak, jakbyśmy byli partią, która ma encykliczną moralność.

I kantyczny nauczyciel znów wymyśla jakąś głupotę\* coś bardzo dowcipnego, tak że znowu zaczynają się obydwaj zaśmiewać, zaśmiewać bezgłośnie. Do tego stopnia, że johan janssens znów zapomni napisać, o czym trzeba by kiedyś napisać w jego felietonach.

#### *SZEF NAD SZEFAMI*

*Ale gdy oskar był z nią, ondyna podżegła go, mówiąc, że jego matka myśli tylko o własnych przyjemnościach, że zbudowała willę, nie zapłaciwszy ludziom, że jest samolubna i swojemu synowi zabrania mieć dziewczynę., a przy tym popatrz na swojego ojca, ten też musi gdzie indziej szukać tego, czego nie znajduje we własnym domu... jestem pewna, że twoja matka ma między nogami coś z drewna, inaczej nie byłoby to możliwe... nie ma się co dziwić, że twój ojciec szuka sobie*



*jakiejs pulchnej dziewczynki, która może mu dogodzić, tam gdzie on lubi. Oskarek słuchał tego ze ściśniętym sercem: po raz 1-szy słyszał, żeby tak mówiono o jego rodzicach, i rozumiał wprawdzie, że nie można żyć bez tEgo, ale jego rodzice nie byli ludźmi, oni byli bogami... a teraz, kiedy się zachwiali i upadli, wciąż jeszcze nie byli ludźmi, ale upadłymi bogami... i czuł, jak mu się robiło mdło, gdy ten obraz — jego ojca i tej pulchnej dziewczyny — pojawiał się przed jego oczami. On-dyna widziała, że zbyt pośpiesznie zabrała się do sprawy: choć tak bardzo pragnęła wyjść za mąż, wynieść się z domu i na nowo stworzyć własny świat będąc na swoim, to widziała, jak dzień w dzień sprawa się przesuwiała na później; oskarek nigdy nie przyszedł do niej z czymś konkretnym. Znowu będzie się to ciągnąć, dopóki ona nie wpadnie w złość, i już gdy to mówiła, ogarniała ją złość: otacza mnie zewsząd tylko kłamstwo i oszukaństwo, to się musi zmienić... zmienić w tym sensie, że to nie ja będę oszukiwaną i okłamywaną, ale ci wszyscy inni... jakbym jednak często o tym nie mówiła, zawsze kończy się tylko na słowach... moje dni mijają na zbijaniu bąków i łazikowaniu, i mówię niewiele więcej ponad: och, daj spokój... zostawiam wszystko, tak jak było, i pogrążam się w stanie, którego sama nie potrafię zrozumieć; ale teraz to koniec! I po raz kolejny wpadała w furję. To, czego jej brakowało, to samokontrola... aby coś osiągnąć, powinna być bardziej konsekwentna, cierpliwsza i wierniejsza swym ideałom. Ale nie była taka, wszystko działo się w niej falami, w górę i w dół, w górę i w dół. Wieczorem pisała list i gdy tak siedziała, było jasne jak słońce, że powinna kierować wielkim przedsiębiorstwem, np. handlu zagranicznego, gdzie potrzebna jest energia i odwa-9<sup>a</sup>> i gdzie człowiek musi deptać drobnomieszczańskie zasady. Najpierw napisała do brukseli, że znalezione zostały... dowody... wskazujące na to, że walerek bez*

prawnie przywłaszczył sobie pieniądze. I groziła policją, groziła bogiem, groziła wszystkim tym, czego prosty człowiek śmiertelnie się boi. Następnie napisała list do skarbków: chciała najpierw zastosować już dawno wypróbowany środek, że jest w ciąży i musi wziąć z oskarem ślub, ale odrzuciła tę romantykę, przede wszystkim dlatego, że ten stary, siwy kot był zdolny wysłać do niej lekarza, który by ją zbadał. A ona bała się lekarzy, którzy by ją badali. Nie, była jasna i rzeczowa w tym liście: dokumentacja została zebrana i będzie przesłana do sądu handlowego, a jeśli sprawa miałaby zostać załatwiona polubownie, to termin ostateczny upływa z dniem 23 czerwca, kreślę się z wyrazami szacunku, ondyna bosmans. I gdy pod ostatnim s przeciągnęła zdecydowaną kreskę, była podobna do ondyny ze swej młodości: tej, która miała tyle wiary, że góry mogła przenosić.

I popatrzyła na rozłożone na stole papiery tak, jakby ta sprawa była już skończona i trzeba się było zabrać do następnej. Ale jego matka zwróciła jej ten list... było wręcz oczywiste, że obydwie były ulepione z tej samej gliny, ondyna i pani skarbek, stały naprzeciwko siebie nie jak ogień i woda, ale jak 2 ognie, buchające przeciwko sobie. Tylko starość zaokrągliła u pani skarbek ostre kanty, ale uczyniła ją jeszcze przebieglejszą: jej zdania wiły się jak żmije, zaczynały się kocio przymilnie, a kończyły się wściekłością: och, ty kocico, pomyślała ondyna. Stara była tak przebiegła, że zaadresowała swoją epistolę do pana carolusa bosmansa, wykonawcy robót stolarskich; to, co z nim uzgodniła, miało zostać spłacone w miarę możliwości, lecz ponieważ możliwości takie jak dotąd nie zaistniały, co st nowi przeszkodę dla przystąpienia do spłat... zapytwała z uszanowaniem, czy termin, co do którego przy puszczała, że nie był przez „niego” określony, mó zostać przeniesiony na dzień późniejszy. A dalej b

*dopisek ołówkiem adresowany do ondyny, że wytoczy jej proces za deprawowanie dzieci przy torach. Podpisane: pani skarbek. Ale tak, że mógłby to być podpis każdej innej osoby, nawet samej ondyny. Ale jej najpiękniejsza sztuczka była na końcu, w postscriptum, do podpisania którego zmusiła jego: współpodpisane przeze mnie, oskara. Charakter pisma był dziecinny, bojaźliwy... ondyna wybuchnęła histerycznym śmiechem, poszła na strych i zamknęła ten list w blaszanej puszcze, w której kiedyś leżało 1000 franków.*

### **CUDZOŁÓSTWO PRZECHERY**

Z żelaznym saganem na głowie, opierającym się na jego pozaginanych uszach, isengrinus nie wiedział, gdzie się znajduje, i z kopniakiem w zadek nie wiedział, dokąd się toczy... musiałem zaiste być świńskim biskupem, myślał ciągle kręcąc się wokół swej osi... lecz na szczęście okazało się, że na jego drodze stał gruby dąb, który zderzył się z saganem. I sagan się rozleciał, a isengrinus klapnął na dupę i ujrzał na niebie sto tysięcy gwiazd. Pozbierał kawałki i poszedł z powrotem, ze zbolałym sercem, z tępą wściekłością we łbie, ale niestety tylko z planami zemsty, które były niewykonalne. Jednak nie był jeszcze u kresu swych nieszczęść, bo gdy zdążył do domu, wyszła mu naprzeciw na drogę z kapliczką jego baba hersinda... z wielkim lamentem załamując ręce i tocząc ślepiami wokoło. I to, co mu opowiedziała, to ze łzami w głosie, to znów z uśmiezkami i spuszczeniem oczu, z kokardami dla ozdoby, a równocześnie ze szpilkami, żeby ci rozedrzeć skórę, sprowadzało się mniej więcej do tego: jak mam ci to po prawdzie powiedzieć, isengrinusie, że twój piękny kuzyn przechera przyszedł do nas i załatwił swoją potrze

bę do dziecięcego łóżeczka? bo on nie lubi naszych dzieci, powiada, że wszystkie mają naturę po tatusiu, który jest żarłokiem i przebraną małpą... i chociaż uważam, isengrinusie, że to trochę prawda, to jednak nie przyznaję mu racji... ale jednak musiałam przyznać mu rację, gdy powiedział, że dzieci nic po mnie nie mają, ani mojej oszczędności, ani mojej pracowitości, nie mówiąc już o urodzie, bo nie chcę być próżna jak wszystkie kobiety... ale kiedy zrobił tO i dzieci zaczęły krzyczeć, a ja podniosłam się z pryczy — bo wiesz, że kobiecie zawsze coś dolega, jak nie dzieci, to choroby — wtedy moje matczyne serce zaczęło krwawić, ale on śmignął za drzwi i jak go miałam z powrotem sprowadzić? czy mogłam go gonić z moimi żylakami i moimi sutkami? a do tego on mógłby w biegu zacząć krzyczeć, że chciałam go napastować. I dlatego zostałam i zawołałam do niego... a ty, może będą ci mówić, że go zaprosiłam, ale to nieprawda... prawdą jest, że go zaprosiłam, ale tylko po to, żeby mu porządnie wytrzepać skórę... i on wchodzi, a ja udaję, że się boję i uciekam na górę z tą myślą, że spuszczę mu klapę na łeb, niech stoczy się ze schodów i połamie sobie nogi... o, chciałam, żeby tak się stało, ale cóż stało się innego? Lis znowu był za szybki w taki sposób, w jaki ty, o isengrinusie, nigdy nie jesteś za szybki; jeszcze stałam w pogotowiu, żeby mu spuścić klapę, kiedy on już był na górze, obok mnie, obok naszego łóżka w naszym pokoju, gdzie wiszą woskowe kwiaty z naszego ślubu pokryte kurzem wielu lat. I wtedy, mój drogi isengrinusie, podczas gdy ty o mnie zapomniałeś, podczas gdy ty bóg wie gdzie się podziewałeś, a mnie brakowało silnego ramienia, które by mi zapewniło obronę... i hersinda zapłakała, zapłakała głośno lamentując: uciekałam, chciałam uciekać wokół łóżka, ale między łóżkiem a kominkiem utknęłam z powodu mojej nieco przytęgiej figury i wąskości miejsca. A przechera, który gonił za tobą?... zbulgotał

ochryple isengrinus. Hersinda kiwnęła głową i zapłakała, i spojrzała na isengrinusa, który stał ogarnięty gniewem z zabitym na głucho okiem i z pyskiem pełnym zębów, i z odłamkami żelaznego garnka w rękach. Wpatrywał się nieruchomo w te odłamki i zdołał wypowiedzieć tylko tyle: gdy posklejasz te kawałki, będziesz miała garnek, ale gdy posklejasz kawałki twojej opowieści, hersindo, to będziesz miała zupe, której nawet diabeł nie będzie chciał spróbować, johan janssens.

### *POCZEKAMY I ZOBACZYMY*

Właściwie w tę strasznie piękną Wielkanoc powinienś był pójść na spacer w pole, żeby rozkoszować się słońcem i kwitającymi drzewami owocowymi, które malował van gogh... ale wzdłuż drogi wiodącej na pola postawiono tanie robotnicze domy... 120 000 franków za sztukę robotniczego domu, z drzwiami, które się rozlatują od razu po wstawieniu w futrynę, z podłymi oknami i podłymi podłogami, i z 2 tylko narożnymi piecami: jeden narożny piec w pokoju od ulicy i jeden w kuchni. **I** stoją tam znowu w szeregu po 4, jeden obok drugiego jak ponumerowani żołnierze albo przesuający się w kolejce bezrobotni. **I** zamiast pójść dalej i rozkoszować się słońcem i kwitającymi drzewami owocowymi malowanymi przez van gogha, wracasz do domu wciąż myśląc o tym, co to jest za społeczeństwo? **I** otwierasz drzwi swego domu i widzisz leżący list od tippetotje:

nie wiem, czy się ostatnio zastanawiałeś nad tym, <sup>eo</sup> to jest za społeczeństwo, ale ja się zastanawiałam i mogę ci dostarczyć odpowiedzi w postaci opowiadania: maluję teraz w brukseli, na avenue de aveneren por

tret kogoś, kto jest dość mały, dość gruby i dość nieważny... kogoś, kto jest jednym z dyrektorów fabryki LOPAJE, gdzie się robi pasmanterię i różne zbyteczne drobiazgi naszywane na ubranka dla małych dzieci. I poprosił mnie on o to, żebym oprócz jego portretu namalowała również portret jego żony i jego córki, wszystkie olejno i na płótnie. I gdy tak malowałam mało ważny portret jego mało ważnej córki, ta wypaplała mi całe ich mało ważne życie: mój papa zarobił na tej wojnie trochę grosza... to znaczy już mieliśmy trochę grosza, ale on spotkał w czasie wojny pewnego rzeźbiarza... takiego, co już więcej nie rzeźbił, bo z jego ręką nie było w porządku, amputacja... no więc ten rzeźbiarz spotyka mojego papę i mówi: ty, który masz trochę grosza, powinienes zacząć razem ze mną, wiem

**O** czymś, co się ładnie opłaci. I zaczęli razem działać, I to rzeczywiście trochę się opłaciło. Ale kiedy tO robili, spotkali jeszcze 3-go, takiego, co miał przedtem sklep z bielizną, ale potem został narodowym socjalistą, i który z niczego zrobił fortunę. A potem był koniec wojny i musieli zacząć handlować w zupełnie inny sposób: postanowili wspólnie stworzyć naszą fabrykę: LOPAJE; dlatego, że mój papa miał na imię louis, ten rzeźbiarz paul, a ten trzeci jef. I uczciwie mówiąc: tylko mój papa i ten rzeźbiarz kierują fabryką, bo ten trzeci — jef — był tak niesłychanie bogaty, że tylko wyłożył swoje pieniądze i nic więcej. I mówiąc jeszcze bardziej uczciwie: tylko ten rzeźbiarz ze swoją ręką kieruje naszą fabryką, bo mój papa siedzi co prawda w swoim biurze, ale nie ma zielonego pojęcia o takim handlu, jaki się teraz prowadzi; on umie tylko handlować i zarabiać tak, jak się to robiło w czasie wojny. Bo mówiąc i milcząc między nami, czy ty wiesz, jak się teraz handluje?... ze stratą! od kiedy mój papa siedzi w naszej fabryce, stracił już czwartą część tego, co zebrał w czasie wojny... czy to jest handel? A tera'

popatrz, jak to wszystko może szlag... to znaczy, chciałam powiedzieć, jak to się może wykoleić: jef nagle pada i jest martwy, tak zupełnie martwy na śmierć i jego kuzyn musi mieć z powrotem wszystkie pieniądze, które jef włożył w naszą fabrykę, to znaczy 3 czwarte, które jeszcze zostały. I powiedziałam ojcu, że on też powinien wycofać swoje 3 czwarte,, niech ten rzeźbiarz ze swoją ręką sam sobie radzi: my lepiej poczekamy i zobaczymy.

No i popatrz, i ja, tippetotje, kończę tym mój list o fabryczce LOPAJE, która jest w brukseli przy avenue de avenueren... i chcę tylko jeszcze podkreślić coś, co ta córka zaprezentowała mi jako swoją filozofię życiową i co wypaplała z paskudnym grymasem: kiedy okręt tonie, uciekają z niego szczury. I chcę podkreślić coś jeszcze, jej ostatnie słowa: my poczekamy i zobaczymy. Bo to jest prawdziwy obraz naszego społeczeństwa, w którym się wyczekuje i patrzy, bo bardziej się oplaca handlować, gdy jest wojna.

#### *ON DY NA DAJE SIĘ PRZYSZPILIĆ KOŁO JANOWCA*

*Zrobił się wieczór i ondyna nie pofinna była oczywiście iść do janowca, bo oskarek i tak nie będzie mógł wyjść: bóg wie, czy ta stara siwa mysz nie wysłała go do łóżka bez kolacji jak małe dziecko. Ondyna pomstowała na to zasrane mieszczaństwo... w porównaniu z nim ludzie z ter-muren byli w swojej niewolniczej ciemności 100 razy lepsi. I znowu odwiedziła te, z którymi w dzieciństwie chodziła do szkoły, marię i lizę, i słuchała litanii ich codziennych kłopotów: lizie pozostało<sup>w</sup> wszystkiego tylko parę zębów, choć była jeszcze prze*

*cięż młoda, a marza była ślepa jak sowa... maria przypadkowo siedziała u lizy przy piecu i zapytała, kto przyszedł: czy to nie ondyna vapeura? miała piersi zwisające aż na brzuch, na które nie można było już patrzeć. O, obyduńe były szare i wysuszone, i klęły z byle powodu, a z innego byle powodu zapalały świece i błagały świętego antoniego o opiekę... bo tego, którego nazywały naszym panem, bały się: to był bogacz. I śmiały się z tego, z czego właściwie nie było co się śmiać. Były... nie, ondyna nie potrafiła znaleźć żadnego słowa, aby opisać, jakie one rzeczywiście teraz były. Woląła pójść do gospody swojego wuja i porzucać lotkami do tarczy z mężami tych bab z ter-muren... paliła papierosa, ci mężczyźni jeszcze nigdy nie widzieli czegoś podobnego; pomyśleli o niej, że musi być okropną kurwą... za coś takiego własne żony by zamordowali, ale w innych kobietach bardzo wysoko to cenili... nieomal bili się między sobą o to, żeby wracać z ondyną do domu wieczorem i w ciemności. Ona by pozwoliła... nie z miłości, nie z rozparzenia, ale tylko po to, żeby zobaczyć, jak tO robią biedni ludzie z ter-muren. Zagramy o to, oświadczyła... i na jej ustach pojawił się twardy uśmiech, gdy dostrzegła, jak przy rzucaniu lotką trzęsą im się ciężkie i sękatę ręce. Pewien murari z fabryki filatura... którego żona już od jakiegoś czasu leżała w szpitalu, i który przez cały ten czas nie raia<sup>1</sup> ani razu kobiety w łóżku... walczył na śmierć i życia*

***O** zwycięstwo: poszedł z ondyną do domu w milczeniu' ociężale i niezgrabnie... a ona wypytywała o jego żon czy ją poznał pomiędzy balami bawełny na fabrycznym strychu... i jak sobie teraz radzi sam jeden w łóżku. Musiała mu jego burkliwe odpowiedzi wyduszać z ust... tak, nie... a tymczasem zbliżyli się do jej domu i on stanął, wpatrując się w wycięcie jej sukienki i wykręcając swoje spocone ręce. Chodź, powiedziała ondyna.*

*I poszła z nim z powrotem w ciemność, poprowadziła*



*go na stare miejsce, gdzie dorastała... gdzie poznawała w swym życiu na zmianę, miłość i cierpienie, gdzie zdarzył się jej cud, ale gdzie równocześnie w swej wściekłości i nędzy nasrała na świat, i gdzie pozwoliła oska-rkoisi wdrapać się na siebie. Śmiała się i zachowywała wyzywająco, ale równocześnie skradała się w niej żmija świadomości, że coś jest nie w porządku: czy ja właściwie nie jestem tchórzem? czy nie mam odwagi stanąć do walki z tą starą, siwą myszą? I wmawiała sama sobie, że ma odwagę. I przygwożdżona na nasypie obok torów przez tego mężczyznę, czując jego ciężki oddech na swoich ustach i na szyi, postanowiła poczekać, aż oskarek sam do niej wróci; jeśli chce mnie mieć, tak jak mnie ma ten murarz z fabryki, to niech o to powalczy.*

### **BLUES FOR YESTERDAY**

Znów jest jeden z tych błogich wieczorów, jakich wcześniej bywało tak wiele, kiedy twoi przyjaciele, twoi bohaterowie brali w swoje posiadanie twój dom... podczas gdy poeta i dziennikarz z tygodników, johan janssens, włączył twoje radio, żeby posłuchać tego żałośnie mówionego dziennika, mossieu colson z mińster-stwa stoi już czekając na to, by temu mówionemu dziennikowi ukreć leb i przełączyć radio na adapter, aby przedstawić nową płytę. I podczas gdy kantyczny nauczyciel razem z toifpoetsem robią karykaturę świata, jeden od trochę napuszonej, poważnej strony, a drugi °d strony chorobliwie kpiarskiej, to równocześnie obwieszane wstążkami i kokardami dziecko natury maria demonstruje pięknej żonie lucette najnowszy krzyk <sup>m°</sup>dy. A równocześnie kramiek wlaźł do twojej spiżar

ni i opycha się do syta. *I pośród tego rozgardiaszu pytasz ich, czy czytali ten ostatni kawałek o ondynie... jak się dała przyszpilić koło torów... i wszyscy milczą, bo nikt tego nie czytał. Wszyscy oni są nadal twoimi przyjaciółmi twoimi bohaterami, ale nikt spośród nich nie czyta już tej historii o ondynie.* I żeby jakoś uratować sytuację, kantyczny nauczyciel powiada, że rzeczywiście nie widać najmniejszego zainteresowania sztuką i innymi duchowymi sprawami: każdy lata albo jeździ autem lub motorem, każdy porusza się niesamowicie szybko, tak jakby miał obowiązek znajdować się wciąż 150 kilometrów dalej niż TAM, gdzie się znajduje... i pędząc dalej z szybkością 150 na godzinę nie rozumie się takich ludzi jak... jak — i widzi siedzącego na twoim kominku budę — jak ten tam, powiada. A kramiek, który wylazi z twojej spiżarni, dodaje z pełnymi ustami: ciągle szybciej i szybciej... a dawniej były nygusy, które ku wielkiej uciesze pętających się po ulicach łapserdaków, zataczając się, usiłowały doczłapać do domu, ale im się to nie udawało i układały się do snu na chodniku... a teraz te nygusy jeżdżą autami i przejeżdżają przerażonych łapserdaków na śmierć, zanim ułożą się ze swoim autem do snu gdzieś na drzewie albo na jakiejś ścianie. Wczoraj akurat widziałam taki wypadek, odzywa się dziecko natury maria, 3 mężczyźni mający dobrze w czubie, którzy najpierw przejechali dziewczynkę na rowerze, a potem stuknęli w inne auto, tak że ich auto przekoziołkowało 3 razy do góry kołami i leżało ze złamaną osią... i ochła-pusy wylazły z niego, i nie miały ani jednego zadrapania, bóg strzeże pijaków, i wylazły z resztek samochod i jeden z nich zaproponował, postawmy auto z powr tern i jedźmy dalej! Dawniej było tylko trochę rycer którzy walczyli, i było trochę połamanych rąk i n i dużo stratowanej trawy... powiada mossieu co<sup>1</sup> z miństerstwa, trzymając obydwoma rękami no

płyte, płytę z louisem armstrongiem... ale teraz jedna połowa świata powstaje przeciw drugiej i są miliony zabitych, a wielkie miasta stają się wypalonymi obszarami. Dawniej ktoś taki jak ja wynajdywał przez nieszczęśliwy przypadek pistolet, powiada tolfpoets ze skrzywioną twarzą, a teraz tacy jak ja siedzą i liczą, i kombinują, żeby rozszczepiać atomy... i wszystkie ich wyliczenia są oczywiście mylne, a ich wyniki całkowicie błędne... ale ich całkowicie błędny wynik, bomba atomowa, ta mimo wszystko istnieje. I oto zagłusza go piękna żona lucette: w zeszłym tygodniu byłam z wizytą u pani tidelomba, żony inżyniera z fabryki labor, i ona poleciła wytapetować swój livingroom tapetą w kwiatuszki, i kiedy tapeta była już naklejona, to ona prawie się rozpląkała: no popatrz tylko, jakie to brzydkie, ja nie LUBIĘ tapety w kwiatuszki. Ona woli raczej coś gładkiego, ale przecież nie zamawia się tapety w kwiatuszki po to, żeby później wylewać gorzkie łzy! I żeby więcej na to nie patrzeć, wskakuje do auta inżyniera z laboru i odjeżdża, odlatuje 150 na godzinę i więcej.

A gdy znowu zapada cisza, budda dalej siedzi na rogu gzymsu twojego kominka, a mossieu colson z miń-sterstwa powiada: a teraz puszczę wam mój najnowszy nabytek; louis armstrong śpiewa: blues for yesterday.

### *BADANIE LEKARSKIE*

Jest 1 maja... i johan janssens, poeta i dziennikarz<sup>2</sup> gazety codziennej, z satysfakcją odczytuje, ile to już zdobyliśmy w walce o ludzką egzystencję... zdobyliśmy Również prawo do wybierania zawodu i do opieki łebskiej, czyta johan janssens z gazety. Taak, powiada

kantyczny nauczyciel, a więc mamy opiekę lekarską... no to pozwólcie, że wam opowiem historię mojego kon-fratra, który tak samo jak ja pracuje w oświacie, będzie już ze 4 lata, i który myśli o tym, żeby zaciągnąć pożyczkę na budowę domku i potem zamieszkać w nim wraz ze swą żoną, która go wkrótce obdarzy małym nauczycielątkiem. No więc ten mój konfrater za okupacji też się ukrywał, ale tuż po wyzwoleniu od razu poszedł do wojska... też po przejściu badania lekarskiego, które wykazało, jak doskonale się do tego nadawał... a po służbie wojskowej przeszedł do szkolnictwa: został mianowany tymczasowo. I będąc mianowanym tymczasowo, siedzi już ze 4 lata w szkolnictwie. Ale teraz, zanim zostanie oficjalnie mianowany, musi przejść badanie lekarskie, i robią wydłużoną minę: jego serce jest jakby nie całkiem normalne. I teraz ja się pytam, czy patrząc na to z punktu widzenia sprawiedliwości, nie należałoby zbadać, gdzie mój konfrater nabawił się tego „nie całkiem normalnego serca”, czy w wojsku, czy też przez te 4 lata, kiedy był mianowany tymczasowo. I jeśli rzeczywiście tam nabawił się tego „jakby nie całkiem normalnego serca”, to czy można mu tak zwyczajnie dać kopa w dupę i po--zostawić na łasce losu? Jego los: wyrzucony na bruk, z zaciągniętą pożyczką na domek, wkrótce z małym eks-nauczycielątkiem na karku, walka, aby podjąć gorzką egzystencję i może wziąć się za jakiś handel. Ale gdy kantyczny nauczyciel skończył swoje opowiadanie, nikt nie ma szansy, by się oburzyć, bo tołfpoets natychmiast wtyka swoje 3 grosze: tołfpoets, który naszego społeczeństwa nie bierze na serio i cały czas się z niego podśmiewa, mówi, co następuje: ci lekarze o mnie również powiedzieli, że mam „jakby nie całkiem normalne” serce... ale że mimo to znali ludzi, którzy z takim sercem wygrywali maraton. I co z tego wynika? wynika z tego, że nauka znów nic nie wiej

ogłądają 10 000 serc i wyciągają konkluzję: takie serca występują najczęściej, a więc to są serca normalne. Ale ja się zastanawiam, czy oni zbadali, czy każdy ma serce zgodnie ze swoją naturą; weź tego nauczyciela, który się nadawał do tego, by być żołnierzem, ale nie do tego, by go oficjalnie mianowano... i weź tego człowieka, który nie miał normalnego serca, ale który jednak potrafił z nim wygrać maraton. I oczywiście każdy się śmieje z żartu tolfpoetsa, ale zaraz potem każdy znów robi się poważny, gdy mos-sieu colson z miństerstwa dodaje do tego jeszcze i to: w miństerstwie jest wydział, do którego nikt chętnie nie idzie pracować, bo wymagają tam najwyższej odporności nerwowej i wytrzymałości, i koncentracji umysłowej: przychodzą tam dziewczyny młode i świeże jak kwiaty i siedzą tam przez parę lat jak resory, które są pod największym obciążeniem... a potem to obciążenie wciąż się na Czymś odbija: jedna po drugiej dostają to nerwicy żołądka, to nerwicy serca i wyglądają wtedy jak ścięte i zwiędłe kwiaty. I dopiero wtedy dochodzi, do badania lekarskiego i wszystkie te zwiędłe kwiaty zostają wyrzucone na śmietnik: nie jesteście zdrowe i nie nadajecie się do tej pracy. Zostają więc wyciśnięte jak cytryna i wykręcone jak mokra ścierka, a potem wylatują na ulicę, bo badanie lekarskie wykazuje, że się nie nadają. No widzisz, a równocześnie muszę ci coś opowiedzieć o starym urzędniku, który już 30 lat pracuje w miństerstwie, ale cały czas jako pracownik tymczasowy... pracuje 30 lat jako pracownik tymczasowy i 30 lat czeka na nominację... i teraz dochodzi do badania lekarskiego, które wykazuje, że dolega mu to i owo, i że być może jego serce też jest „nie całkiem normalne"... i zostaje on w ten sposób zdemaskowany, tak jak się demaskuje bandytę<sup>1</sup> oszusta: 30 lat pracuje w miństerstwie i śmie teraz mieć coś, co jest nie całkiem normalne, śmie mieć ja

kaś chorobę. I nie mianują go: będzie miał nauczki. Ale... może jednak pozostać jako urzędnik tymczasowy. Może pozostać do swojej emeryturki „zaledwie tymczasowego urzędnika”, który w wyniku badania lekarskiego został zdemaskowany jako chory. I w ten sposób będzie można go ukarać, nie da mu się wyższej emerytury „mianowanego urzędnika” i nie będzie miał prawa do ewentualnych korzyści, do których inni będą mieli prawo: cha! cha!, oto znowu wykołowaliśmy małego oferkę, małego i chorego oferkę.

A kramiek słuchał tego wszystkiego i papie teraz

**O** czymś, co się dzieje w tej fabryczce tam za 1-szymi brudnymi domami, w której on jest urzędnikiem; w tej fabryczce był błąd w planie przebudowy, tak że niektóre dziewczyny musiały co 2 minuty zbiegać ze schodów i znowu po nich wbiegać... odkładać swoją rracę

1 znów zbiegać ze schodów, i z powrotem po nich wbiegać... i potem kilka z tych dziewcząt było śmiertelnie zmęczonych, a połowa załamana pospadała; i tak jak to się zdarzyło z konfratem kantycznego nauczyciela, i z tamtymi dziewczętami, i z tym starym urzędnikiem z miństerstwa, tak też odbyło się w naszej fabryczce: dopiero potem doszło do badania lekarskiego, które wykazało, że kilka dziewcząt nie nadaje się do ciągłego biegania po schodach w dół i w górę. I zostały przesunięte do innej pracy, w której się nie tak znów dużo zarabia... bo same widzicie, mówi się tym dziewczynom, nie nadajecie się, jesteście chore i słabe, a więc nie możecie zarabiać tyle co inni.

I johan janssens opuszcza gazetę, święteczną, 1 Majową, gdzie cynicznie, gorzko i boleśnie jest napisane, że wywalczyliśmy opiekę lekarską.

## CHRABĄSZCZE

Mówi się, że w twoich książkach ciągle pada i pada... ale czy ty możesz coś na to poradzić? no, popatrz tylko: jest maj i ciągle pada i pada. I tak samo jak ty... który sobie przypominasz majowe wieczory z czasów twojej młodości, gdy było tak pięknie i spokojnie, z kwitnącym janowcem i kwitnącymi jaśminami, i wracającymi z nieznajomych dziewczeczkami... więc tak samo jak ty, tołfoets również przypomina sobie te minione majowe wieczory i patrząc na uderzający o szyby deszcz odzywa się: dziś wieczorem nie będziemy musieli łapać żadnych chrabąszczy. I każdy się uśmiecha. *Ale czy ty możesz takie słowa włożyć w usta twoje) bohaterce ondynie? czy możesz pozwolić ondynce na to, by powiedziała oskarkowi: dziś wieczorem nie będziemy łapać tam przy nasypie żadnych chrabąszczy?*

Pada, a po francusku deszcz niewiele się różni od łez... il pleu i il pleure... no więc pada w twoich książkach i płacze w twoim sercu... twoja siostra jean-neke nie żyje i leży tam na deszczu, a twoja matka chodzi w kółko po domu i na jej twarzy pada... a plus do tego jest zła na ciebie... zła, że ty jeszcze żyjesz, a twoja siostra jeanneke już nie. Ale czy ty możesz coś na to poradzić? Czy możesz coś poradzić na to, że w maju pada, że pada w twoich książkach i że twoja siostra jeanneke już nie żyje? że nie miała jeszcze 26 lat, a już nie żyje? I twoja matka chodzi w kółko po swoim pustym, cichym i wyludnionym domu i jest na ciebie zła... już się prawie nie odzywa i jest tylko wtedy szczęśliwa, gdy... — nie, nie szczęśliwa, ale jednak pociesza ją to — jest pocieszona tylko wtedy, gdy ktoś jej mówi, że ten i tamten też umarł. Ale czy ja <sup>BQO</sup>g^ ją pocieszyć? ja, który żyję? Czy mogę tak zaraz Umrzeć, żeby ją pocieszyć? Twoja matka jest zła na

ciebie i opowiada potem po ludziach: wchodzi do domu i widzi, że ja płacę, i mówi: znowu płaczesz?... no i przez to jestem na niego zła, bo powinien przecież wiedzieć, że nie mogę zapomnieć naszej jeanneke. Albo opowiada: wchodzi i widzi, że płacę, i pyta: dlaczego płaczesz?... no i przez to jestem na niego zła, bo czy już zapomniał, że płacę po naszej jeanneke? Albo opowiada: wchodzi i widzi, że płacę, i o Nic nie pyta... no i przez to jestem na niego zła, bo nawet psa, który skomli za swoim młodym, pytają, dlaczego płacze, a mnie nikt nie zapyta. A ty chodzisz tam i po jakimś czasie już nie wiesz, co właściwie powinieneś powiedzieć, albo o co zapytać, albo co zmilczeć. Bo twoja matka jest zła właściwie dlatego, że ty jeszcze żyjesz... jest zła, gdy milczysz i jest zła, gdy mówisz... jest zła, gdy wchodzisz do tego domu i kiedy odchodzisz, i patrzysz na jej łzy... i jest zła, gdy nie przychodzisz do tego domu i pozostawiasz ją sam na sam z jej rozpaczą. Jest maj i pada... pada w moich książkach i płacze w moim sercu... ale czy mogę się od tego uwolnić 'mówiąc mojej matce: dziś wieczorem nie będziemy musieli łapać chrabąszczy?

***BO JA NIE JESTEM ŻADNYM MARKIEM AURELIUSZEM***

Wszystko, co jeszcze mogę zrobić... oświadcza kan-tyczny nauczyciel z pełnym zdecydowania męstwem... wszystko, co jeszcze mogę zrobić, to uzmysłwić moim uczniom fakt, że ten świat, to znaczy ta cywilizacja, jest coraz bliżej końca... i wskazać im w historii zanikających cywilizacji tych ludzi, którzy nadal stali na tonącym okręcie jak umierający kapitanowie; po



kazałem im piękny przykład marka aureliusza, który rządził umierającym rzymem... i który zupełnie sam całą swoją siłą woli i swoim rozumem powstrzymał tę śmierć na dobre 50 lat. Tam też zepsucie zaatakowało najlepsze kawałki i tam też zaczęło cuchnąć wszystko to, co jeszcze było cokolwiek warte, również tam chaos, cynizm, niepokój i bezradność przybrały niesłychane rozmiary... również tam najlepsze umysły zeszyły na manowce ewangelii, teozofii, spirytyzmów, egzystencjalizmów i personalizmów... ale on jeden stał tam jak kapitan tonącego statku i patrzył na uciekające szczury... zupełnie samotny prowadził rozmowy sam ze sobą i segregował, i rozważał, i orientował się w tym chaosie. I kto wie, co kantyczny nauczyciel jeszcze by do tego dodał, gdyby poeta i dziennikarz z tygodników, johan janssens, nie przerwał mu: teraz, po 2 tysiącach lat, opadły chmury umysłowego pyłu i orientujemy się w chaosie umierającego rzymu... widzimy, że najlepsze części były nadgryzione przez tę przerażającą chorobę, która i teraz grasuje: umysłową dżumę, umysłowy rozkład. Widzimy, jak w tym wykolejeniu marek aureliusz był kapitanem tonącego okrętu i jak wstępujące chrześcijaństwo było wiarą, która miała góry przenosić — góry, które miała przenosić, ale które po 2000 lat wysiłków i trudów nadal stoją na swoim miejscu — Ale teraz? jak to teraz wygląda? kto jest kapitanem, który stoi na mostku tonącego okrętu, a kim są uciekające szczury? Czy nie traktujemy kapitana jak szczura, który uciekł na mostek, i czy nie traktujemy szczura jak kapitana, który pozostawił swój statek na pastwę losu? A zwyrodnienie wszystkiego, co jest piękne<sup>1</sup> szlachetne — Piękne i Wzniosłe, jak dostojewski pisał w swoim czasie z dużej litery — wszystko, co jest Piękne i wzniosłe, przechodzi w stan rozkładu i cuchnę jeszcze gorzej niż to, na co od początku stworzenia

obrzydzenie braio patrzeć. Personalizm i egzystencja-lizm, i teozofia, i spirytyzm, i neofaszyzm wyrastają jak grzyby po deszczu... komunizm i socjalizm, i reakcja, i kapitał, i praca zmagają się wzajemnie ze sobą i gryzą się w swój duży palec u nogi sądząc, że gryzą wielki palec u nogi swojego przeciwnika... i kto spośród nich jest jeszcze tĄ częścią wyradzającego się społeczeństwa, a kto jest już tĄ częścią nadchodzącej nowej cywilizacji? I czy rzeczywiście nadchodzi ta nowa cywilizacja, czy też nie? Ja tego nie wiem, bo nie jestem żadnym markiem aureliuszem, jestem johanem janssenssem, dziennikarzem z tygodników.

### *PRZECZULENIE*

' Jeśli tO chcesz wiEdzieć! krzyczy kipiąc ze złości poeta i dziennikarz z tygodników, johan janssens... jeśli tO chcesz wiEdzieć! I gdy w końcu siada, człowiek ma wrażenie, że on jakby sam niezbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, cO on właściwie wie, bo nie potrafi składnie wypowiedzieć swojej złości. Jasne, odzywa się po chwili trochę mniej wzburzony... jasne, zawsze i wszędzie będzie można znaleźć ludzi sentymentalnych, ale to, jak Ten przesadza z sentymentalizmem, to przekracza ludzkie pojęcie... spotkałem poetę jana bramsa i oświadczył mi on, że od niedawna odczuwa szkarłatnoczerwone ultramarksistowskie sympatie... i najpierw mi tłumaczy, że co prawda pisuje jeszcze w czasopismach socjałów, ale że wolałby pisać w pismach ultramarksistów, tylko że... no tak... ma dziecko i żonę, i pełno kłopotów na głowie... a ponad wszystko ma posadę, której lekkomyślnie nie można utracić. I opowiedziawszy mi to wszystko z wieloma su

plami i zawijasami, wieloma wstążkami i kokardami, wieloma kwiatowymi łądogami i drutem kolczastym, zarzuca mi, że ja wciąż jeszcze piszę do pism różowo--czerwonych socjałów i już wcale nie do szkarłatno-czerwonych. I jego konkluzja była konkluzją obraźliwą: właściwie jesteś w ten sposób kimś, kto pisze dla chleba, oświadczył. Ja, johan janssens, poeta i dziennikarz z tygodników, jestem kimś, kto pisze tylko dla chleba. I w oczy mi mówi, że jestem kimś, kto pisze tylko dla chleba, a poza oczami powie zapewne, że jestem kurwą, która pisze dla pieniędzy. A jeśli to chcesz wiedzieć! johan janssens znów wybucha nagle z taką siłą, że aż przewraca twój kałamarz. Jeśli chcesz... bo co to znaczy, że ktoś pisze dla chleba?... czy budowniczowie, którzy wznosili katedry, nie budowali dla chleba, czy goya nie malował dla chleba, czy Szekspir nie grał dla chleba, czy dostojewski nie pisał dla chleba? Ale to, o co się właściwie tak strasznie wściekam, to rzecz następująca: otóż odczuwa on, jak oświadczył, ultraróżowo-czerwone sympatie i marzy, powiada, o sztuce społecznej, w której pisarz nie będzie musiał więcej brać pióra do ręki, żeby pisać najróżniejsze cudownie piękne rzeczy, ale odwrotnie, w społeczeństwie Odda Swe Pióro na Służbę... i twierdząc coś takiego nie może znieść, że my tymczasem gwizdźmy na pisanie grubych ksiąg, których i tak nikt nie czyta i od których przede wszystkim nie Przybywa w kabzie grosza... ale że ostrzemy nasze pióra po to, aby w tygodnikach zarabiać na chleb i wypowiadać nasze zdanie... I żeby w końcu johanowi janssensowi zamknąć usta, pytasz: i co mu odpowiedziałeś, johanie janssensie, żeby mu zamknąć usta? A on na to: powiedziałem mu, że pisanie dla chleba Jest takim samym uczciwym zajęciem jak każde inne uczciwe zajęcie... bo nie chodzi o sposób, w jaki się P<sup>J</sup>sze, ani o to, gdzie się pisze, ale o to, co się pisze...

i równocześnie wykazałem, że cała ta gadanina o kurwie, która każe sobie płacić, jest sentymentalizmem, bo temu, kto pracuje, trzeba płacić, jednemu płaci się nawet za to, żeby reprezentował lud, a innemu za to, żeby służył bogu i chwalił go...

Ale, a niech to, ledwo johan janssens wszystko to wypowiedział, gdy wychodzi na ulicę... i sentymentalnie, bardziej sentymentalnie, najsentymentalniej... na łeb, na szyję spada z najwyższego stopnia w jeszcze znacznie gorszy przypadek; bo oto tam, pod murem tkalni labor, rozgrywa się sentymentalna psia historia: nieduży kundel stoi na tylnych łapach obwąchując o wiele za dużą sukę i gdy to robi, chce odprawić swoje psie nabożeństwo i spełnić swój psi obowiązek, ale stoi, i tak stojąc, szturcha gdzieś w okolice jej tylnej łapy... a ona idzie dalej tak, jakby nigdy nic... i on spogląda za nią ze zdziwieniem i smutkiem, gdy ona znika za rogiem muru tkalni labor. I johan janssens stoi i patrzy na ciebie, a ty, stojąc w drzwiach, patrzysz na johana janssensa: i wasza wściekłość przeraża się w bezbrzeżne współczucie, melancholię i sentymentalizm bez granic.

#### *KWIAT OSKARKA*

*Ondyna wyczekiwała dzień za dniem, ale oskarek nie przychodził... wielokrotnie musiała tłumić w sobie pragnienie, żeby wziąć swoją złotą bransoletkę i parasol, i samej tam pójść. Traktowała to jako znak boży: jeśli przyjdzie, to się pobiorą... a jeżeli nie przyjdzie, to... no tak... E tam, co mi właściwie za różnica, myślała sobie. Ale pewnego popołudnia w tym maju, kiedy trochę siąpiło, drzwi ich domu się otworzyły i sta*

nął w nich on. Musiał się stawić na losowaniu, które miało zdecydować, czy pójdzie do wojska, czy nie, i inni chłopcy z ter-muren dogonili go na drodze z kapliczką. Szedł już pociągając nosem, chociaż wyciągnął dobry numer i wojsko go ominęło... inni mieli kwiaty na czapkach i śpiewali ciągle o leopoldzie, wiwat leopold, niech nas pocałuje w dupę... chociaż leopold umarł i jego miejsce zajął inny król... ale w ter-muren absolutnie nikt tego nie zauważył. I jeden z nich zdjął kwiat ze swojej czapki i wetknął go do staromodnego kapelusza oskarka... weszli do gospody **Chrystusa** i zabawiali się rzucaniem lotek do tarczy... oskarek, który właściwie nie wiedział, co to jest piwo, szybko poczuł, że mu się grunt kołysze pod nogami... ogarnęła go niewiarygodnie wielka melancholia, melancholia pijaka, sentymentalizm z powodu całego świata... szlochał i opowiadał o tym innym, którzy go nie słuchali, co mu jednak nie przeszkadzało wystawiać na pokaz swoje problemy nie do rozwiązania, jakby miał otworzyć sklepik z nimi. Z papierowym kwiatem na swoim kapelusiku wyszedł chwiejnie z gospody, a przechodząc obok rodzinnego domu ondyny wstąpił tam bez zastanowienia. Widział siebie jak przez mgłę stojącego w tej dziwnej kuchni i spytał: oskarku? nie masz odwagi wejść do środka?... tak, mam odwagę, jestem oskar-kiem i ważę się na wszystko... Ona, ondyna, nie mogła powstrzymać się od głośnego i bezlitosnego śmiechu triumfując, że to jednak on był zmuszony przyjść do niej... śmiała się też z jego kwiatka na kapeluszu i zapytała, czy biorą go do wojska. Nie, odpowiedział oskarek. Co za dureń... to dlaczego chodzisz z kwiatkiem na kapeluszu? Popatrzył na nią mętnymi oczami, nie **kojarzył**, co za kwiat ani co za kapelusz, co oznacza oskar, a co ondyna; za jego oczami świat kołysał się na wszystkie strony: widział kołyszącą się ondynę, któ<sup>ra</sup> zerwała kwiat z jego kapelusza i gdzieś go wetknę

la... słyszał ją, jak krzyczy: popatrz, tam go masz wetknąć... i popatrzył, i najpierw ku swojemu zdziwieniu, a potem ku wielkiemu zawstydzeniu zobaczył, że wetknęła mu ten kwiat w rozporek. Równocześnie usłyszał głośny, ironiczny śmiech i rozglądając się dookoła, po raz pierwszy zobaczył siedzącą pod oknem zulmę... wyciągnęła swój chudy palec wskazujący, żeby samej sobie pokazać, że on nosi kwiat w rozporku, i gdy śledząc spojrzeniem swój palec rzeczywiście dostrzegła kwiat, roześmiała się, ukazując bezzębne usta.

Oskarek przyglądał się temu idiotycznemu widowisku i czuł, jak świat jeszcze dziwniej zaczął się poruszać pod jego stopami... słyszał, jak ondyna coś krzyczy, widział jej szare oczy miotające ogień i śledził potem wzrokiem jej ręce, które stały się jakimiś wymachującymi na wszystkie strony rzeczami bez nazwy... opowiadała mu najprawdopodobniej, dlaczego właściwie powinien był tam wetknąć sobie ten kwiat, a o próbował to głęboko przemyśleć... wybełkotał: oczywiście, to racja. Ale gdyby musiał stwierdzić coś akurat odwrotnego niż to, co ona prawdopodobnie twierdziła, to również musiałby przyznać, że miała rację. W jego głowie tłukły się chaotycznie te wszystkie możliwe racje. Tak, to prawda... i kiwając potakująco głową, zaczął nagle rzygać po całej podłodze... ondyna musiała mu szybko podać szklanekę wody i wepchnąć go do kącika za piecem, gdzie natychmiast zasnął. Później wygoniła go do domu... stała w drzwiach spoglądając za nim i nie wiadomo dlaczego była szczęśliwa... chciała zawołać za nim coś wesołego, gdy tak szedł w rzadkiej mżawce tego majowego dnia i nagle jej się wyrwało: nie musimy dziś wieczorem łapać chrabąszczy!

## *HISTORIA BABCI WANNE*

Właściwie musisz znać tę drogę z kapliczką jak swoją własną kieszeń, mówi ci ktoś. I ty zaczynasz opowiadać o twoich rodzicach i dziadkach, i o twoich pradziadkach, którzy wszyscy odcisnęli ślady swoich stóp w kurzu i błocie drogi z kapliczką... i tylko babcia wannę, ta nie była z drogi z kapliczką, ta była hen stamtąd, cały kawał za ter-muren, pochodziła stamtąd z pól, gdzie teraz jeszcze ostatni chłop pochyla się nad swoim gruntem... miała 12 lat, ta babcia wannę, gdy przyszła do pracy w przedzalni fiktura i poznała dziadka sooi, który przewrócił ją na plecy, tak jak to wtedy pasowało mężczyźnie z drogi z kapliczką... i gdy szli do ślubu, on musiał gnać do niej piechotą na przełaj przez pola, ale gdy doszedł, okazało się, że zapomniał zaświadczenia od księdza, i znowu musiał gnać z powrotem... miał na nogach ślubne trzewiki a ponieważ jeszcze nigdy w swoim życiu nie nosił trzewików, tylko zawsze drewniane saboty, to stopy miał niezmiernie obolałe... przysiadł przy drodze, która biegnie tamtędy wśród pól, i wsadził nogi do strumienia płynącego tu za zamkiem... usiadł tam i siedział... a tymczasem babcia wannę czekała i czekała, i czekała... aż w końcu jej brat poszedł zobaczyć, gdzie się podziewa oblubieniec, i znalazł dziadka sooi z bosymi stopami w strumieniu: ależ sooi, gdzie ty przepadasz? A dziadek sooi odpowiedział: masz szczęście, żeś poszedł mnie szukać, bo sam z siebie nigdy bym więcej nie poszedł. I dziadek sooi sprowadził swoją żonę na drogę z kapliczką... tam, do tych 7 domków przy szlabanie, teraz już są zburzone... i wkrótce się okazało, że babcia wannę, *któ<sup>ra</sup>* już od 12 roku życia pracowała w przedzalni fila-<sup>Ur</sup>a, nie umie czytać ani pisać, liczyć ani rachować, S<sup>o</sup>tować ani pracować, śmiać się ani płakać, nie umie doło

żyć węgla do pieca i nic nie jest warta w łóżku: twierdziła, że jest chora i że coś ma z żołądkiem... i zaszyła się w zniszczonym fotelu pod oknem, i już nigdy więcej stamtąd nie wyszła... dziadek sooi został szewcem z drogi z kapliczką i siedział w kuchence od tyłu stukając w swoją skórę, w odpowiednim czasie wychodził zaglądać do pieca i sam gotował strawę dla nich oby dwojga — zawsze w południe były frykadele, a wieczem kawałek chleba posypanego solą — prał i zmywał" sprzątał i mył okna... ale urodzić samemu dzieci nie mógł, bo inaczej też by się z tym uporał w pojedynkę... zalewał sobie od czasu do czasu pałę i żałował, że nie ożenił się z kimś innym. Natomiast babcia wannę siedziała tam i coś miała z żołądkiem, gapiała się przez okno i w zamyśleniu śledziła taniec spadającego z drzewa liścia, i mogła dokładnie powiedzieć, kto przeszedł po drodze z kapliczką, a kto nie... nie czuła właściwie żadnych pragnień, żadnych żądz, żadnej nienawiści i żadnej miłości, żadnego współczucia i żadnego humoru, i złościła się na orkiestrę najpierwszych socjałów, że robi za dużo hałasu: tyle hałasu na Naszej drodze z kapliczką, powiadała. I tylko w ostatnich latach za-' częła po południu nasłuchiwać, czy nie rozlegnie się gwizdanie lodziarza, i wtedy kupowała sobie rożek za 50 centymów... ale z nastaniem czasów konkurencji na drogę z kapliczką przychodziło 3 albo nawet 4 lodziarzy, jednak babcia wannę nie chciała ich lodów; musiał to być rożek od tego lodziarza z dziobatą twarzą; no i popatrz, tu zza węgla wychyla się cud: nagle ten lodziarz z dziobatą twarzą umarł i tego samego dnia o tej samej godzinie umarła babcia wannę, która na niego czekała; leżą na cmentarzu niedaleko siebie: on ze swoją dziobatą twarzą, a ona ze swoim żołądkiem... ale teraz on nie może jej już więcej sprzedawać rożkoW po 50 centymów... nawiasem mówiąc, te rożki kosztu\* ją teraz już od jakiegoś czasu 5 franków. A jeśli mo<sup>a</sup>



o jej żołądku... naprawdę miała coś z żołądkiem, bo kiedy umierała i cierpiała niesamowite bóle, zaszedł do nich doktor Goethals... tylko i wyłącznie z sympatii dla dziadka Sooi, który mu naprawiał buty... i popatrzył na babcię Wanę i powiedział: rak. To był 1-szy raz, kiedy na drodze z kapliczką wypowiedziano to straszne słowo. Rak, co to za okropność?

### ZROBIŁABYM CI DZIECKO

*Tak więc znak boży był dany, Ondyna nie mogła się dalej wahać... i następnego dnia poszła do Willi Skarbków i zadzwoniła... niosła swój parasol jak kij, gotowa wymłócić każdego, kto by jej stanął w poprzek drogi. Ale ku jej niememu zdziwieniu drzwi otworzył jej drobny mężczyzna z bródką... musiał to być pan Skarbek!... i nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Widząc ten zaszuszony wiórek, tę kożę, ten biurowy taborecik, mógł on sobie być tyranem dla swoich domowników, lecz jeśli chodzi o resztę, to zupełnie nie rozumiał nic z tego, co było w życiu do zobaczenia albo usłyszenia, ciągle myślał tylko o tym, żeby wleźć pod tę czy inną spódnicę. Tak jakby był psem... albo raczej kozłem... ha, i stała w drzwiach śmiejąc się, bo symbol tego kozła miał przyklejony na swojej brodzie. Nawiasem mówiąc, musiał być bardzo encykliczny. A ponieważ stała w drzwiach i jedyne, co mogła zrobić, to się śmiać, on nic z tego nie rozumiał... znowu myślał o Tym, starał się poprzez jej ubranie dojrzeć jej pleć... Jednak była w tym trochę wina samej Ondyny... przecież ona też czuła się kobietą i chciała wiedzieć, <sup>CZ</sup>V jego pożądanie dotyczy także jej... czy jeszcze mogła się porównywać z tamtymi dziewczynami z miasta.*

*Zamknął drzwi, tak że stali razem zamknięci w tym pustym i zimnym korytarzu... wymamrotał coś i przysunął się bliżej do niej, tak że ondyna czuła się wręcz przyciśnięta do podwójnych drzwi salonu... jego ręka już się wysunęła i macała szukając jej spódnicy, ale ona swoimi zimnymi, szarymi oczami trzymała go w ryzach; wzbierała w niej duma, świadomość, że może z nim robić, co chce, opijała ją: postanowiła wykorzystać to i narzucić mu swoje reguły gry. Zapytała o oskara... i gdyby w tym momencie szara mysz odważyła się wejść do korytarza, to ondyna by ją wyśmiała; rozebrałaby się przed tym kozłem do naga. On, ten stary, był zdziwiony, że przyszła spytać o oskar-ka... o, w tym momencie było po nim doskonale widać, że niczego, absolutnie niczego nie wie o swoich domownikach. Przenikliwym, papuzim głosem zawołał: oskar!... i oskar natychmiast wyszedł spoza podwójnych drzwi salonu, tuż zza nich... tak jakby przez cały ten czas stał za tymi drzwiami nasłuchując... patrzył w ziemię i stopą rysował na podłodze jakieś figury, nie śmiejąc słowem się do niej odezwać. O nie, nie wyglądał tak, by mógł znów natychmiast podbić jej serce... ale w tym momencie nie myślała o takich drobiazgach, nie rozważała tego, czy warto było u jego boku podjąć walkę z życiem... myślała tylko o przeprowadzeniu swojej własnej, upartej woli. A przy tym: to właśnie ta jego nieporadność była jej miła... za każdym razem, gdy jakiś mężczyzna przecinał jej drogę, zaczynał węszyć jak pies i ondyna myślała: znów jakiś, co zaraz podniesie łapę. I tylko oskar w swojej dziecinnej naiwności wprawiał w drżenie jakąś cieńszą strunę, on rozmawiał z nią o swoich marzeniach i o tym, jak trudno wyciosać w kamieniu usta, jak wielką trzeba stoczyć walkę, by ułożyć na nich uśmiech... a o miłości pomyślał tylko wtedy, gdy ona go w końcu poprosiła: no, kochaj mnie. To wszystko znów stanęło jej*

*przed oczami, gdy on wcierał stopą jakieś figury w wycieraczkę przed drzwiami... wzięła go pod rękę i wyprowadziła z domu... ale pewien wstyd kazał jej skrócić nie w kierunku ter-muren, w kierunku janowca, gdzie w zeszłym tygodniu dała się przyszpilić przy torach murarzowi z fabryki... nie, poszli w kierunku miasta. Ona trzymała go ciągle pod rękę, tak jakby chciała pokazać miastu, światu, że idzie z nim... że wybrała jego dziecinność ponad ich zwierzęcość i wyrafinowanie. Spytała go, co teraz z ich ślubem, a on zawstydzony odwrócił głowę. Czy już mnie więcej nie lubisz, zapytała... a on zaczął kiwać głową, nadal ją odwracając. Ondyna roześmiała się i ścisnęła go za ramię... cała ta rozmowa, podczas której nie mogła patrzeć mu w oczy, zrobiła jej tak dobrze, że gotowa była wymyślać w nieskończoność te swoje pytania... tylko po to, żeby widzieć, jak on kiwa i potrząsa głową. Spacerowali wzdłuż rzeki i fabryk, i stacji, przeszli ulicą, na której stały same domy patrycjuszy, i ondyna nieświadomie zwolniła kroku, i rozejrzała się wokoło: oto miejsce, gdzie powinna mieszkać. Wskazała dom z wielkim oknem na górze: to by się nadawało na twoją pracownię, powiedziała... i przez to, że myślała o czymś takim, on poczuł się prawie chory ze szczęścia... ogarnęło go podniecenie i zaczął jej gorączkowo mówić o wielkich rzeźbach, o jeźdźcu na koniu. A ondyna opowiedziała swój dawny sen, w którym wisiała ucepiona końskiej grzywy, i jak pięknie byłoby wyrzeźbić w kamieniu taką naturalnej wielkości nagą dziewczynę, pod brzuchem stojącego dęba konia. On się zatrzymał i spojrzał jej głęboko w oczy: a potem, ze smutkiem, potrząsnął głową: nie, coś takiego się nie uda, to zbyt wielkie. Naucz mnie, naucz mnie rzeźbić w kamieniu, a ja to zrobię. Ty powinnaś być mężczyzną, odrzekł oskarek... a ona zatrzymała się zdziwiona... nagle, nie wiadomo czemu, zrobiło się*

*jej zimno... Ale strząsnęła z siebie to dziwne uczucie i zażartowała z tego: a ty powinienes być wtedy dziewczyną, powiedziała, a ja bym cię już urządziła. I obydwójce roześmieli się z tej myśli. Już się widzę, jak chodzę w ciąży, powiedział oskarek... i zawstydzony spuścił wzrok.*

### *GDZIE PODZIEWA SIĘ PRZECHERA?*

A następnego wieczoru tolfpoets pyta przez nos: a gdzie ty się podziewasz ze swoim przecherà, johanie janssensie? A johan janssens zaciska pętlę na szyi mówionej przez radio gazecie, tak że robi się cicho: już tyle pisałem o przecherà, powiada, że nieomal sam zaczynam się stawać przecherà... bo popatrz tylko, jak dzieło naszego życia tnę na kawałki i sprzedaję do gazet... kawałek tu, kawałek tam, tak że myślę sobie: wkrótce poznają się na tej grze i rozumieją, że ich nabijam w butelkę. Ale jest to jedyny współczesny sposób pisania dzieła życia i równocześnie zarabiania tym na chleb... dawniej dostojewski pisał swoje powieści jako powieści w odcinkach, a gazety płaciły mu co tydzień albo co miesiąc... ale ja rozłupuję nasze dzieło na felietoniki, na to i owo, tak że dla całego świata — to znaczy dla tego bardzo maleńkiego świata, który się jeszcze interesuje literaturą — staje się ono rebusem... Gzyfrem, do którego tylko my wciąż mamy klucz. I w tym miejscu johan janssens milknie na chwilę i widać, jak jego uśmiech-przechery zmienia się, wędnie i znika; ale, mówi... ale... w głębi duszy mam ciągle jeszcze wątpliwości, czy jestem przecherà, bo boję się, że znacznie bardziej jestem isengrinusem, który chce wypić więcej niż jest w kuflu i dlatego wciąż dostaje

przykrywką po nosie... bo posuwam się w tych felietonikach do tego, że włączę wszystkim na odciski i zmuszam ich, żeby jeszcze w dodatku za to płacili... kiedyś się poznają na tej grze. Bo popatrz tylko, nagle zbębnią się do kupy wszystkich twórców, którzy sądzą, że powinni swoje pióra oddać na służbę... jak to się mówi, żeby zobaczyć, Co Można Dla Tych Twórców Zrobić, ale naprawdę to tylko po to, żeby ich po raz któryś tam z kolei wykorzystać i wykorzystawszy dać im kopa w dupę. I ja tam nie idę, bo po 1-sze ja się będę sam wspierać, a po 2-gie nie mam zamiaru być służącą, która się daje wykorzystywać swojemu panu... chcę się jednoczyć po to, żeby na syndykalistycznej drodze wywalczyć coś dla siebie samego i dla innych artystów... ale nie mam zamiaru się jednoczyć po to, żeby być pajacem pociągany za sznurki. A ponadto na tym kongresie byli też twórcy holenderscy, którzy pragną oddać swe pióra na służbę, ale którzy jednak nie pragną żadnego kontaktu z johanem janssens w własnej osobie — och, ten johan janssens, w holandii go nie znoszą. A na zakończenie tej zabawy twórcy występują na tym kongresie ze sprawą ultramarksistowskiej gazety: nam, flamandzkim twórcom i intelektualistom, nic po tej gazecie, oświadczają... i nie umiemy po flamandzku redaktor naczelny, który nie zrozumiał, na co użalali się ci flamandzcy intelektualiści, występuje następnie z przemówieniem, w którym oświadcza, że intelektualiści i twórcy powinni czytać tę gazetę, bo w niej jest wszystko, co oni powinni wiedzieć. A potem mówi się, że również twórcom zapewnia się całkowitą swobodę, ale że wolałoby się, żeby np. malowali bezrobotnego, który pada martwy przed bramą fabryki... i wszyscy obecni redaktorzy gazety, łącznie z redaktorem sportowym i redaktorem od połamanych rąk i nóg, klaszczą w ręce... tylko na końcu sali, zupełnie samotnie, siedział twórca, który świat waży na końcu

swego pędzla, i ten wysłuchał tego wszystkiego, i wstał, i wyszedł. Ale kiedy johan janssens to wszystko opowiada, do pokoju wchodzi jego syn jo — który ma 10 lat i przyszedł powiedzieć, że jego tata ma wracać do domu... i uważnie wy słucha wszy ojca odzywa się nagle: może ten malarz był bezrobotny. I każdy się śmieje, lecz johan janssens, który chciałby być przechera, nie śmieje się.

### ***PLASTYCZNE WYRAŻENIA***

Może ten malarz był bezrobotny, ha! I tolfpoets pokazuje w uśmiechu swoje 2 złote zęby i opowiada bez końca o sprawach i wypadkach, i okolicznościach, w których ktoś znalazł odpowiednie słowo, żeby dowcipnie określić sytuację... ja też jestem na swój sposób poetą i dziennikarzem, oświadczam, bo starannie zanotowałem wszystkie te kawały i anegdoty, wszystkie te dowcipne powiedzonka i plastyczne wyrażenia... w swoim czasie sam je sobie wieczorami czytywałem i często musiałem się śmiać, szczególnie wtedy, gdy były tam takie, których jeszcze nie znałem — podobnie jak wariat, który sam do siebie pisze list i nie wie, co w nim jest napisane: dowie się dopiero następnego dnia, gdy przyjdzie listonosz — i jeśli pozwolicie, przypomnę wam kilka plastycznych wyrażeń:

kantyczny nauczyciel, zauważywszy, jak jego żona upięła włosy w kok: lucette, nosisz swoją głowę za swoją głową. Moja żona maria: był pijany jak gówno. Kramiek: załóżmy we dwóch kółko. Jeszcze raz kantyczny nauczyciel: ja, który już tyle książek źle-zro-zumiałem. Nasz pisarz boontje: przelazł przez ucho

igielne, ale nie na właściwą stronę. Jeszcze raz kan-tyczny nauczyciel po tym, jak syn johana janssensa jo powiedział, że w przyszłości będzie grać w drużynie piłkarskiej Jedność: my też jesteśmy drużyną, no nie, lucette, tylko że to jest Dwójność. Żona naszego pisarza, boontje: żona lekarza nigdy nie może zachorować. Mossieu colson z miństerstwa: moja żona posiwała od mieszkania w willi... I tolfpoets chce czytać dalej ze swojego zeszytu pełnego plastycznych wyrażen, ale kantyczny nauczyciel mówi nagle: tolfpoets, powinienes starannie przechowywać ten zeszyt... moja mama ma jeszcze na strychu kierownicę od jakiegoś strasznie starego roweru i też ją starannie przechowuje.

### *MANOWCE ONDYN*

*Wracając ze spaceru, z miasta z 2 fabrykami do ter--muren, ondyna i oskarek weszli na wąziutką uliczkę... wila się ona z tyłu za 1-szymi brudnymi domami za laborem i po jej jednej stronie był wysoki, ślepy mur, a po drugiej wysoko wyrosnięty żywopłot jakiejś chłopskiej zagrody, która, trudno uwierzyć, ale nadal, jak widać, istniała w środku miasta z 2 fabrykami... za dnia panował tam półmrok i tak śmierdziało, iż myśleli, że pół miasta przychodzi tutaj nocą załatwiać to i owo. Ondyna stała pod żywopłotem, patrzyła na oskarka i czekała... ale nie, on stał i nie myślał o tym, żeby ją dotknąć; czuła się przez to szczęśliwa. I znowu zaczęła drążyć ten sam temat, mówiąc o jego matce, która nie chciała mu pozwolić rzeźbić, tak że on po dłuższym czasie sam zaczął dostrzegać, że jego matka musi sobie sama radzić, że częściowo sama była winna temu, iż jeffo ojciec szuka pociechy gdzie indziej. I ciągle jeszcze*

*ukryta pod żywoplotem zapytała go, czy wie, że jego ojciec sięgał jej pod spódnicę: czy wiesz, że on tam w korytarzu wsadził mi rękę pod spódnicę? Nie rozmawiajmy o tym, powiedział oskarek... i pociągnął ją za rękę, jak przestraszone dziecko, żeby jak najszybciej wydostać się z tej ciemnej szczeliny pomiędzy ślepym murem a wyrosniętym żywoplotem. Ta ciemna uliczka kończyła się wśród 1-szych brudnych domów za laborem, dzieciaki biły się tam między sobą, mężczyźni siedzieli na tyłku na progu swoich domów i jeśli dobrze policzyć, to były tam ze 4 gospody... ludzie 'z 1-szych brudnych domów patrzyli na ondynę i oskarka, a ich kpiące oczy mówiły tak: my debrze wiemy, czegoście szukali pod żywoplotem. Potem przyszła niedziela i ondyna z oskarkiem idąc na spacer do miasta spostrzegli, że nad rzeką i w przędzalni jilatura jest przedziwnie pusto... na jakiejś barce siedziała kobieta karmiąc piersią dziecko i ondyna pokazała ją oskarkowi: chciała w ten dziwny sposób zwrócić mu poprzez tę kobietę uwagę na swoją własną naturę, na swoje bycie-kobietą. Ścisnęła go za rękę i wyszeptala, że to musi być wspaniałe, wyrzeźbić coś takiego: kiedyś będziesz miał taki żywy model, kiedyś nie będziesz musiał wychodzić z domu, żeby móc TO wykonać z natury. Ta myśl, że on sam miałby mieć dziecko, syna.., była dla niego jak podcięcie batem... zaczął mówić, jak to będzie pięknie ujrzeć w ich dzieciach połączenie tego, co najlepsze w nim i w niej... był romantyczny do granic możliwości i słuchając go miało się wrażenie, że dzieci ciągle jeszcze wychodzą z kapusty. Ale z tego czy innego powodu ondyna nie odpowiadała... on popatrzył na nią zdziwiony i zobaczył, że spogląda na drugą stronę rzeki. Co tam widać?... nic: nie było tam żywej duszy, był tylko nędzny budynek młodej partii socjalów, lokal prawo i wolność... wciśnięty pomiędzy mury browaru i fabryki glukozy. Był tam również*



*sklepik z wywieszka: spółdzielnia. O, wyglądało to tak ubogo, jakby powstało z wielkim trudem i tylko dzięki odrobinie zaoszczędzonego grosza oddanych sprawie robotników. Oskarek nie rozumiał, dlaczego ona wpatruje się tępo i w milczeniu właśnie w tO... nie rozumiał, że sprawy obecne, sprawy dnia dzisiejszego, jakby się dla niej zatarły, rozmyły i znowu stała u źródeł swej młodości... że po raz kolejny zrozumiała, jak zeszła w swym życiu z głównej drogi i zbłądziła na manowce: wydawało się jej, że ta spółdzielnia powstała wyłącznie z jej winy, z powodu jej niezdecydowania. Oskarek ścisnął ją za ramię, tak samo jak ona zawsze jego, i ondyna odwróciła się zdziwiona, i spojrzała na niego... przysięgnij mi, powiedziała, że nigdy w życiu nie będziesz się zadawać z tymi ludźmi. A on o mało się nie roześmiał, widząc jej uroczysty wyraz twarzy, ale uwięzie w jej gardle łzy, które przy tym zadźwięczały, powstrzymały go.*

#### *SKLEP Z PORCELANĄ*

Gdy isengrinus dowiedział się, jak przechera przyprawił mu rogi, upuścił kawałki sagana ze swych zmęczonych rąk, jakby to były kawałki rozpryśniętego świata... ale po tym beznadziejnym geście pustka Nicości – to znaczy pustka jego niesłychanej głupoty — przemknęła przed jego oczami, tak że je zamknął i wołał dać się ponieść wściekłości, i zaczął bez opamiętania kłać. Zwracał się do wszystkich i przedstawiał swój przypadek, opowiadał, ręce załamując i zębami po-zgrzytując. I choć każdy śmiał się szyderczo z tego tę-o isengrinusa, to słuchano go uprzejmie, użalano nad nim ogromnie, lecz się tym nie przejmowano.

On jednak próbował nakłonić ich do nowej pielgrzymki za nobla, ponieważ żywił przekonanie, iż tylko to może pozwolić wnieść jasność w sprawę... nalegał na to, żeby wyruszyli wszyscy, wszyscy jak jeden... i gdy tylko zebrali się wokół nobla, monarcha sam zaczął się uskarżać na swą chorobę, co mu nawet przerwała nobelina, oświadczywszy oficjalnie, że w każdej rodzinie jest się na "co uskarżać... w twojej na coś jednego, a w naszej na coś cośszego... Voila, właśnie o to chodzi, przerwał jej nieuprzejmy wilk, i właśnie dlatego was... siebie... enfin, innych zwołałem. I rzucając im pod nogi historię o przecherze i hersindzie, dodał jeszcze do tego: i żeby się trochę szybciej pozbył ze łba tego głupiego sagana, to bym nawet sam mógł być świadkiem. Och, odpowiedział nobel, ja się tam takimi opowieściami nie przejmuję... z tym to jak ze śmiercią, dziś twoja kolej, a jutro moja i nie ma co tego roztrząsać, bo wszyscy tu obecni mają coś podobnego w tym duchu do powiedzenia... to znaczy do przemilczenia. Jak to, zawołał wtedy byk, który stał z tyłu, przypuśćmy, że ten ryży złodziej i skończony oszust wytnie taki sam kawał z moją żoną? to go złapię i połamię na kawałki, zetnę go na miazgę i wrzucę jego śmierdzące resztki do ustępu. Znów morderstwo, zaśmiał się na to ponuro borsuk grimbeer, jedyny, który był trochę spokrewniony z lisem. I z powodu tonu, jakim grimbeer to powiedział, nikt nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Obejrzyjmy ten sklep z porcelaną, powiedział: ty, isen-grinusie, twierdzisz, że przechera przyszpilił twoją żonę między łóżkiem a kominkiem, ale czy widziałeś lub słyszałeś coś z tego, co się wydarzyło, tak żeby to poprzeć dowodami; czy przelano krew lub coś sobie przywłaszczono, czy dom został przez to uszkodzony, czy choćby krzesło złamane? jeśli dobrze słyszałem, była tylko mowa o potłuczonym saganie. Mój drogi wilku, sam sobie tylko wyrządzasz krzywdę i okrywasz hańbą

twoją hersindę, która, zechciej mi wierzyć, bardzo dobrze, że jest obecna. Tak jest, powiedziała cicho hersinda, tyle razy mu powtarzałam, że już sama więcej nie wiem, co zaszło między mną a przechera, ani jak sprawa się miała... i gdziekolwiek się nie ruszę, to przechera jest nadal bohaterem, a isengrinus wystrychniętym na dudka, a ja tą głupią, która znacznie bardziej niż swej niewinności nie umiała ustrzec swojej tajemnicy, johan janssens.

### *SPEŁNIĘ MOJ OBOWIĄZEK*

*Rozmawiałeś już o ślubie? zapytała ondyna głosem matowym i zgaszonym. Tak, odpowiedział oskar... chociaż było to kłamstwo: prawda była taka, że dopiero teraz, właśnie w tej chwili, zdecydowanie postanowił, że o tym porozmawia. Ondyna była podniecona, wypytywała go dokładnie, co stara mysz na to powiedziała... a on odpowiadał bardzo skąpo, bo nie był dobrym kłamcą. Przespacerowali z powrotem obok patrycjusza-szowskiego domu z dużym oknem, który był własnością doktora goethalsa... i ondyna pokazała mu kamienne ozdoby pod oknami: popatrz, powiedziała. Oskar spojrzął i nie zrozumiał. To znowu kobiece piersi, powiedziała. I patrząc na te kamienne kobiece piersi, zastanawiał się, dlaczego ona ciągle zwraca mu uwagę na Te rzeczy... wczoraj na tamtą kobietę na barce, a teraz na te ozdoby, i milczał, i bał się. Dał się poprowadzić 2 drogi z kapliczką w kierunku 1-szych brudnych domów i ciemnej uliczki za nimi, i było to dla niego jak niedzielna msza: również coś, co było zawsze takie same i na co był zupełnie obojętny.*

*"de teraz, gdy on już porozmawiał o ślubie, ondyna*

zaczęła sprawą poganiać: pojechała do brukseli po swoje 1000 fr., ale nie dostała ich tak łatwo, dostała 100 fr., ale w następnym miesiącu znowu się zobaczy... Nastaly ciężkie czasy dla tych, co prowadzą interes, ludzie żyją bardzo oszczędnie i wszystko, co się udaje sprzedać, to trochę lizaków dla dzieci. Walerka nie widziała, poszedł do gospody na rogu pograć trochę w karty, oznajmiła ich kuzynka... i nagle przed ondyną otwarło się pole widzenia głębokie jak urwisko: nagle zapragnęła ujrzeć walerka w jego codziennej krzątaninie; poszła aż na róg i zobaczyła go za szybą, jak gra w karty, a w każdym razie gapi się na grających i wtrąca nieproszony do gry. I to było... to było... o, życie w ter-muren toczyło się dalej i życie w jorest, i życie w brukseli, i życie w każdej innej dziurze na świecie też. Wszędzie był mały kawałek życia, ślepego i żalostnego... i ondyna wiedziała, że on w ter-muren siedziałby w tym momencie w gospodzie jej wuja i wtrącał się do karciarzy... gdyby ona go sTAMtąd nie przegnała. I coś bardzo silnego w niej, stare jak świat dążenie, by odkrywać tajemnice życia, chciało ją zmusić do tego, by wejść do środka i zapytać go, czy teraz jest już szczęśliwy... ale równie wielka siła wewnętrzna... ślepy strach przed znajomością tajemnic życia, powstrzymywała ją od tego... zawahała się i rozejrzała wokół, przebiegła obok sklepu z cukierkami i szybko poszła prosto na przystanek: 100 franków to był cały jej skarb. Skarbek. I musiała się roześmiać. W drodze powrotnej patrzyła przez okno pociągu, ale krajobraz nie interesował jej w najmniejszym stopniu, krowa i jeszcze jedna krowa, chłopska zagroda i jeszcze brud-niejsza chłopska zagroda i dla zabicia czasu zaczęła na kawałku papieru sporządzać inwentarz swego dobytku: 100 franków od kuzynki plus złota bransoleta, którą też może spieniężyć... może uda się jej jeszcze coś wyszperać w domu... powie też oskarkowi, że on

*również powinien coś sobie upatrzeć. I gdy to wszystko-zapisywała, przyszedł jej do głowy inny, iście szatański pomysł, że aż zachichotała. Ogarnęła ją niecierpliwość, wyglądała przez okno i przebierała w miejscu nogami, gdy pociąg stał dłużej na jakiejś wiejskiej stacyjce. I w końcu przybyła na drogę z kapliczką i zadzwoniła do skarbków: ale była tam tylko jego matka. Ondyna spojrzała na nią z lekceważącym uśmiechem i zapytała o... o oskara... boże, przecież powinna była wypowiedzieć swoją niedawną szatańską myśl z pociągu! i oznajmić, że właściwie przyszła do starego, do tego kozła z bródką. Mysz zaprosiła ją, żeby weszła do pustego, nieprzytulnego pokoju... wciąż jeszcze nie było tu palone, chociaż w te majowe dni padało bez końca... i natychmiast zaczęła o małżeństwie: nie będę mówić*

**O** tym, że to ty jesteś tą, która zawróciła chłopcu w głowie... nie wiem, w jaki sposób... bo jemu nie jest potrzebna żona, on ma swoją matkę... ale jeśli nie mogło być inaczej i już musiała zostać okradziona ze swego syna, to ona ma ondyne coś do zakomunikowania: dać mu niczego nie mogę, bo my niczego nie mamy, Niczego, nie mamy żadnych pieniędzy! I wyrzuciła to z siebie triumfująco... bo nareszcie mogła cieszyć się z tego, że nie mają pieniędzy. Ale zakładając z powrotem swoją maskę mieszczy, dodała to do tego gładko

*I dostojnie: ale co do reszty, to spełnię mój obowiązek.*

**SĄ JEDNAK TACY, KTÓRZY SPEŁNIAJĄ SWÓJ OBOVIĄZEK!**

I w końcu przyszedł dzień, w którym świeci majowe słońeczko... co prawda jest trochę, chłodno i dość wietrznie, ale można wytrzymać... i spacerując po polach za ter-muren, daleko od drogi z kapliczką, chciałbyś tutaj

mieszkać w niedużej chłopskiej zagrodzie... mógłbyś wyrzucić klatki dla kur i królików, tutaj wstawić większe okno, a tam wybić drzwi, i żyłbyś tanio, żyłbyś pięknie i żyłbyś przede wszystkim z dala od tego nie-wydarzonego świata. Człowiek, który nie zajmuje się polityką, mógłby tam wieść spokojny żywot, przytakuje johan janssens. Człowiek, który nie przejmuje się tym upadkiem, mógłby tu żyć szczęśliwie, dodaje kantyczny nauczyciel. A ty stoisz i rozglądasz się, jakbyś już tu mieszkał, i oddychasz głęboko... głęboko i swobodnie. I johan janssens rozumie twoje milczące szczęście... twoje tymczasowe szczęście, bo kto wie, czy znajdziesz zagrodę na sprzedaż, i kto wie, czy będziesz mógł za nią zapłacić. Jeśli nawet będzie do sprzedania, to kto wie, czy będziesz się mógł obejść bez świata i drogi z kapliczką. I johan janssens rozumie twój tymczasowy mały kawałek szczęścia i mówi nagle coś, co nie ma żadnego związku z czymkolwiek lub kimkolwiek: gdy Ja się zastanawiam, co jeszcze pozostało w tym życiu, to jest to tylko humor mojego syna jo — który ma 10 lat — i który ma swoje własne życie, i nie słucha mnie ani moich rad... swoje własne życie, ale jakie piękne! co za życie pełne fantazji i pieniącego się umysłu, i ciętego humoru: nadjeżdżające auto jest dzikim zwierzem, który rzuca się na ciebie, powiada jo. I porównuje reflektory z oczami, a zderzaki z wyszczerzonymi zębami. I gdy z nim spaceruję, opowiada mi o książce, którą właśnie czyta i w której mówi się o chłopach... i cały czas o tym gadając, spotykamy ucznia, chłopca w okularach... popatrz, tam idzie jeszcze jeden chłop, mówi, ale ten jest w okularach. To jest humor mojej żony z tych czasów, gdy jeszcze była młodą dziewczyną i gdy rozlegał się jej beztroski śmiech... ten humor i ten śmiech, który mnie wtedy ujął i zachwyił... ale którego już nie ma.

Lecz mossieu colson z ministerstwa, który idzie kilka

kroków przed tobą, odwraca się nagle i oświadcza: co z tobą jest; chciałbyś sobie kupić kawałek chłopskiej zagrody i nie przejmować się. więcej drogą z kapliczką ani światem... chciałbyś uciec od świata i uchylić się od swego obowiązku... tak jak żona johana janssensa uchyła się od swojego obowiązku, zaniedbując swój śmiech i swój humor... a gdy piszesz o kimś, kto spełni swój obowiązek, to brzmi to cynicznie: *popatrz no na tę siwą mysz, która oznajmiła triumfalnie, że nie ma pieniędzy i że wypuści oskarka na ulicę bez koszuli na grzbiecie, jeśli on zechce się żenić... ale że co do reszty, to spełni swój obowiązek. I zastanawiam się, co jeszcze zostało, żeby ona mogła wykazać swoją obowiązkowość... Nic... nic już nie zostało, a więc jej słowa były tylko formułką... pustą, ponurą, głucho brzmiącą formułką. Ale jednak są ludzie, którzy nadal spełniają swój obowiązek, którzy są w życiu jak opoka i którzy nadal spełniają swój obowiązek: czy już wam opowiadałem o tej dziewczynie w ministerstwie, która zajmowała się ministerialnymi korowodami w związku z tymi, którzy mają zostać odznaczeni? No więc, jeśli ktoś ma zostać odznaczony, to wymaga to w ministerstwie całej kupy roboty... papierów i formularzy, i całej reszty... i wszyscy ci, którzy zrobili w czasie wojny fortuny i którzy teraz mają zostać odznaczeni, śpieszą do naszej dziewczyny w ministerstwie i błagają ją, żeby się trochę pośpieszyła z tymi formularzami... i trzymają w ręce białą kopertę, i sam możesz zgadnąć, co w niej jest... i dziewczyna z ministerstwa oświadcza im wtedy z góry: spełnię mój obowiązek. I spełnia swój obowiązek: wsuwa te papiery i formularze gdzieś bardzo głęboko, bardzo daleko i bardzo nieosiągalnie... i te odznaczenia są przez to równie głęboko, równie daleko i równie nieosiągalnie odsunięte. Spotkałem ją wczoraj w windzie i ukloniłem się jej moim kapelusikiem nisko aż do ziemi.*

### *SKLEPU Z PORCELANĄ CIĄG DALSZY*

Hersinda drżała całym ciałem, to w jednej chwili jej policzki płonęły z gorączki lub wstydu, to w następnej chwili perlił się na jej skroniach pot ze strachu. I gdy tak tutaj, wśród tych wszystkich ludzi, bardziej niż kiedykolwiek świadoma była swego za ostrego nosa i swych trochę za cienkich ust — jakże często przechera szydził z niej, że była hersindą chciwą kanalią — westchnęła i przemówiła: grimbeer ma rację, wołałabym, żeby ojciec moich dzieci pogodził się z przecherą, choć przywołuję jesuska i wszystkich jego świętych na świadków, że pomiędzy mną i przecherą nie zdarzyło się nic, o czym warto byłoby wspominać, i choć chcę się zwrócić do wszystkich, którzy 10 lat temu byli na naszym ślubie... w tak wielkiej liczbie, że nie było nawet miejsca, by jajko posadzić... przez cały ten czas nie zrobiłam nic, z czego nawet najpobożniejsza zakonnica musiałaby się spowiadać: dlatego chcę przejść próbę gorącego żelaza i zimnej wody... i dodaję tutaj, że nie kiwnę dla przechery palcem bardziej niż dla ostu, którego pragnę tylko osły. Hersinda nie dokończyła jeszcze swego zdania, gdy osioł carcofas klasnął w dłonie i znów założył okulary, które mu spadły z nosa: to, co mówi hersinda, napętnia mą duszę niewypowiedzianą radością i jeśli dobrze zrozumiałem, mam z tego wnosić, iż isengrinus mógłby mieć rację, jeśli chodzi o jego oburzenie, gdyby przez pęknięcia w swoim saganie widział, że przechera go oszukuje... ale równocześnie powinienem z tego wnosić, iż hersinda nie ma racji, gdy twierdzi, że nie zdarzyło się nic takiego, co mogłoby moją dobrą, ośłą duszę wprawić w zmieszanie... och, żeby bóg zechciał, by moja oślica była tak wierna i mądra jak ty, hersindo, wiemy, że w życiu zawsze dzieje się odwrotnie: że kiwa się głową,



gdy się powinno nią kręcić... a przy tym mówiła ona o Jezusku, dla mnie znaczy to więcej niż jakiegokolwiek świadectwo... gdyby naszemu przyjacielowi wilkowi zdarzyło się nieszczęście umrzeć, to wiem, że ona nieprędko pojawi się z nowym małżonkiem, podczas gdy cały kraj będzie jeszcze w żałobie, że zamilkło dobre isengrinusowe serce. Osioł carcofas przetaił swoje okulary i rozejrzał się wokoło i ujrzał, iż wszyscy niezwykle wzruszeni słuchają jego słów i wpatrują się w króla i jego nową nobelinę... bo on sam bardzo niedawno zawarł nowe małżeństwo. O, osioł zrozumiał i natychmiast przeżegnał się, sądząc, iż diabeł siedzi mu na języku. Nawet ta miła hersinda była blada z wściekłości, a złośliwe usta miała zaciśnięte jak nóż. W ogólnej ciszy królik poprosił o ciszę, przetaił swoje struny głosowe i podsumował to w pięknej kolejności: najpierw isengrinus, który potrafił opowiedzieć, że w jego rodzinie było coś cośszego, potem grimbeer, który powiedział, że nie trzeba sklejać tego, co się połamało, potem hersinda, która przysięgła na jesuska, że jest niewinna, i w końcu carcofas, który bardzo rozumnie wywiódł, że gdy jedno może ma rację, to że jednak drugie przez to nie ma racji... pozostaje nam jeszcze tylko zawezwać przecherę i wysłuchać jego wyjaśnień... jeśli odważy się przybyć i zademonstrować to, co się zdarzyło — nazywa się to rekonstrukcją przestępstwa — i jeśli stwierdzimy, że nie było to rzeczywiście warte zachodu, to możemy ogłosić powszechny pokój... skończyłem, johan janssens.

**i**

## *ON DY NA W KAFEJCE 1-SZYCH BRUDNYCH DOMÓW*

*Tylko co wyszli na spacer, gdy ondyna przystąpiła do wykonania swego diabelskiego planu: wysłała oskar-ka okreśną drogą; ja idę po zakupy, oznajmiła, a ty czekaj na mnie w tej ciemnej uliczce. Oskarek poszedł... a ona pośpieszyła do miasta z 2 fabrykami, prosto do banku comptoir et credit. Akurat kończono u> nim pracę. Ojciec oskarka wyszedł na ulicę i ondyna popatrzyła na niego takimi oczyma, którym achilles derenancourt i nawet jego brat spirytysta norbert też nie potrafili się oprzeć za jej młodości. Wychodzę za pańskiego syna, oświadczyła, ale nie mamy pieniędzy... i może pan nam teraz pomóc odstępując swoją miesięczną pensję. A on, dureń, rozparzony osioł, był od razu gotów... chciał z nią pójść w jakieś miejsce, gdzie mogliby o tym spokojnie porozmawiać, i wymienił zamknięty dom na ulicy, która wydała się ondynie dobrze znajoma... poszła z nim tam, bo chciała wiedzieć, gdzie to jest, ponieważ jej ciekawość dla tych spraw prawdopodobnie nigdy nie wygaśnie. Ale podchodząc do drzwi, podniosła głowę... och, to było tam, gdzie ona z ludwikiem gourmonprez... I zostawiła go na progu, usprawiedliwiwszy się, że jego syn gdzieś na nią czeka... uśmiechnęła się i jeszcze raz spojrzała mu głęboko w oczy, tak jak przed chwilą, i zbywając go gładkimi słówkami, obiecując mu, a równocześnie nie obiecując, że następnym razem. Kiedy jest loypiata? I gdy on się przyznał, że dopiero w przyszłym tygodniu, ondyna oświadczyła: a więc do przyszłego tygodnia, tutaj, przy tych drzwiach. Rozpromienił się i podał jej drżącą rękę. Ondyna zostawiła go i pośpieszyła na ciemną uliczkę... oskarka tam nie było... chodziła tam i z powrotem, aż w końcu zobaczyła go stojącego przed*

domem doktora goethalsa zatopionego w marzeniach i wpatzonego w wielkie okno. Och, było przecież oczywiste, że nie mogli tam zamieszkać... nie możemy przecież wdrzeć się do środka i oznajmić doktorowi, żeby się szybko zwijał. Ironia w jej słowach dotknęła go. Wydaje mi się, że nigdy nie będziemy mieć domu, powiedział oskarek ze smutkiem. Ale w drodze powrotnej minęli kafejkę przy 1-szych brudnych domach — to znaczy minęli staroświecką gospodę, która później miała stać się kafejką 1-szych brudnych domów — i ondyna zaproponowała, żeby się napili po piwie... zamówienie przyjęła baba w postrzępionej, czarnej kombinacji i z włosami upiętymi z tyłu głowy w kok... i ondyna w rozkojarzeniu poprosiła o pokój zamiast o szklankę piwa. Och, była to wina ojca oskarka, który uczynił jej tę nieprzyzwoitą propozycję, żeby poszli do wynajętego pokoju... i usprawiedliwiała się przed oskarkiem: to przez to szukanie jakiegoś Mieszkania, już myślę pokój ze szklanką piwa. Pokój, powtórzyła baba w poszarpanej kombinacji — czy noszono już wtedy kombinacje i czy nie była to bardziej podarta koszula? — pokój, powtórzyła... mam pokój, ale czy jest wam potrzebny na parę godzin, czy chcielibyście w nim zamieszkać? I zaproponowała ondynie, żeby poszła za nią, po doszczętnie wydeptanych schodach, pomiędzy płaczem dzieci i zapachem duszonych ziemniaków... oskarek zajrzał przelotnie do kilku pokoi i ujrzał tam nie znany sobie świat... a tymczasem baba weszła z ondyna w jakieś drzwi, oskar nie wiedział w jakie... został na tych schodach i czekał, patrzył na ten nie znany sobie świat i prawie płakał. Ondyna stała w bardzo małym pokoiku i napór ubóstwa chwycił ją za gardło... pomyślała, och, nic nie pomyślała... nie potrafiła Myśleć... <sup>0</sup>le przypomniała sobie wstydliwie swoje marzenia <sup>0</sup>wielkich pokojach i salonach przyjęć, przypomniała sobie równocześnie marzenia oskarka o atelier z oświe

*tleniem od północy. Zawołała oskarka i zapytała go, co on o tym myśli... a on popatrzył na ten podły kąt i z wahaniem kiwnął głową. I żeby powiedzieć prawdę, zdążył zaledwie przestąpić próg tej komórki, gdy już ją polubił... dlatego, że była taka mała... dlatego, że będzie w niej ciepło i przytulnie: będzie mógł w niej popracować nad ich marzeniem — matką i dzieckiem — które już rzeźbił w swych marzeniach. Ona, ondyna, nie mogła jednak tak łatwo tego przyjąć... na przykład to łóżko, leżeć w łóżku, w którym już inni spali. To łóżko, powiedziała. Och, to tylko dopóki nie znajdziemy czegoś lepszego, odpowiedział jej oskarek jej własnymi słowami. Ona jednak wiedziała lepiej.*

### ***KIEDY NADEJDZIE REPUBLIKA PRZECHERY?***

I żebyś mnie nigdy więcej nie wywabiał daleko za ter-muren, powiada johan janssens... i w jego oczach jest jeszcze coś z tego oszołomienia, jakie mają ludzie, którzy przeszli po chwiejnej kładce nad głęboką przepaścią... żebyś mnie nigdy więcej nie zachęcał do przeprowadzki na Wieś, do jakiejś chłopskiej zagrody... bo już sama ta myśl zawróciła mi w głowie i obrzydziła mi moją codzienną trasę do brukseli i z powrotem: najpierw muszę rano walczyć o miejsce w pociągu, a potem muszę czytać poranne wydania gazet z wszystkimi wiadomościami o świecie... wiadomościarn które nie są żadnymi wiadomościami o świecie, któr. nie jest żadnym światem... a potem muszę na gare d nord walczyć o miejsce w tramwaju i dopiero potem mogę się zabrać do mojego niewdzięcznego dziennego zadania: wykazywania światu, że nie jest światem, lecz zdążającą ku przepaści machiną... i zdaję sobie

sprawę, że tego czy innego dnia będę się musiał pośpieszyć, bo inaczej zdążająca-ku-przepaści-machina zamiast zostać przeze mnie powstrzymana, potoczy się jak walec po mnie i moich felietonikach dalej ku przepaści. Oto moje niewdzięczne zadanie: zdejmować ludziom głowy z tułowia, żeby im dać popatrzeć na ich własną głupią pałę... i zdaję sobie jeszcze również sprawę, że tego czy innego dnia będę się musiał pośpieszyć, bo inaczej ci sami ludzie mnie zdejmą głowę z tułowia, ale ONI zrobią to po to, żeby mnie w dosłownym sensie skrócić o głowę. A równocześnie łazi mi po głowie ten twój kawałek chłopskiej zagrody, gdzie możesz żyć tanio, gdzie możesz żyć pięknie, gdzie możesz żyć bezpiecznie... i nagle ogarnia mnie oszołomienie tych, którzy przechodzą nad przepaścią, i przeklinam cię jako tego, który kazał mi myśleć o tym kawałku dalekiej i bezpiecznej chłopskiej zagrody. Bo popatrz, gdy dzień po dniu zajmowałem stanowisko i wszędzie wokoło rozgłaszałem moje zdanie i rzucałem światu prawdę w twarz... gdy to wszystko robiłem, przychodzi nagle list od dr. pascaliusa prostituaana i on mi pisze, że powinienem mieć odwagę zająć bardziej pozytywne stanowisko: twoje artykuły są skierowane to przeciw encyklikierom i libertynom, to znów przeciw różowym socjałom albo ultraszkarłatnym socjałom, i jakbyś nie miał odwagi opowiedzieć się za jednym z dwojga. I dr pascalius prostituaan nie widzi, że ja dzień w dzień rzeczywiście i naprawdę, i z całą pewnością zajmuję stanowisko: moje własne stanowisko, mój własny rnal-petuus, z którego ich ostrzeliwuję wszelkimi możliwymi środkami, aby ich... tak jak mojego przecherę... zmusić do proklamowania republiki wolnych, uczciwych, w Nic nie wierzących.

## *NIEBOSZCZYK PAN BÓG*

I pisząc jeden z ostatnich felietonów w jednym z ostatnich czasopism... powiada poeta i dziennikarz z tygodników, johan janssens... powołałem się w tym felietonie na bohatera, który moim zdaniem należy do republiki w nic nie wierzących Wolnych, i napisałem o nim tak:  
z półki „awangarda”... jak nagłe oskarżenie albo grożący palec boży spogląda na ciebie z wyrzutem i pogardą! książeczka *avant nous le deluge*, autor stanislas wulixsz. Bo ty, Stanisławie wulixszu, który nie spodziewałeś się tego wielkiego, światowego zamętu po nas, a na odwrót, widziałeś go tuż przed nami i wokół nas... ty, Stanisławie wulixszu, który z powodu tej pomyłki zostałeś przez starego bukinistę definitywnie sklasyfikowany jako awangardysta... a więc ty, Stanisławie wulixszu, pozwól mi to i owo na twój temat sformułować: zacznijmy od tego, że 2 razy byłeś we własnej, szanownej osobie w moim domu, 1-szy raz z walizką pełną pieniędzy, do wypłacenia członkom podziemia... walizką, której o mało co nie zapomniałeś... i 2-gi raz z walizką pełną zbiorów poezji, *avant nous le deluge* par stanislas wulixsz, żeby z nich poczytać, kołysząc się cały czas rytmicznie na swoim krześle jak żydzi przy czytaniu biblii, i żeby jeśli się uda, sprzedać kilka egzemplarzy... walizką, której ani na chwilę nie spuszczałeś z oka, bo za wszystkie te egzemplarze trzeba jeszcze było drukarzowi zapłacić. I żeby poczytać trochę na głos powieść co prawda nieudaną, ale za to powieść o cudownie pięknym tytule: *feu monsieur dieu*. Ale jeśli mowa o powieściach, to ty nie byłeś akurat kimś, kto powinien pisać powieści, znacznie bardziej byłeś Kimś, o kim trzeba napisać powieść: już twoi rodzice uciekli tutaj skądś z głębi rosj

strachu przed bolszewistami, żeby potem ujrzeć, jak z kolei ich syn wyrasta na bolszewistę, czyta lautre-monta, lenina i sade'a, wszystko jedno za drugim na 1 oddechu. Byłeś spirytystą i studiowałeś biologię, i pisałeś różne surrealistyczne kawałki, i co za beznadziejny groch z kapustą powstał w twoim umyśle, może wiedzieć tylko nieboszczyk pan bóg: beznadziejny obraz naszych beznadziejnych czasów. Wszak byłeś w czasie wojny partyzantem, przetrzymałeś głód i biedę, i strach, aby po wyzwoleniu chodzić z muszkietem z czasów marii teresy... bo twoja broń miała być odpowiednio duża i staroświecka, i robić odpowiednio wielki hałas... nie musiała nikogo zabijać ani ranić, ta twoja broń, musiała ona tylko mieć wygląd, który budził szacunek, i trzaskać, i wybuchać, żeby każdy od razu widział, że Stanisław wulixsz przetrzymał koszmar i nadal żyje, istnieje spirytystycznie i biologicznie, i bolszewicko, i że jego przyszłe powieści nie będą byle czym... Niestety, ...jak to mówią w przemówieniach pogrzebowych... niestety nie na darmo byłeś jako partyzant w pogodzie i niepogodzie na nocnej ścieżce, nie na darmo spałeś obok swojego muszkietu z czasów marii teresy na deskach podłogi twojego pokoju w chłopskiej wieży\*, gdy uderzyła w nią bomba, nie na darmo porzuciłeś swój dżob w najwyższej mansardzie swoich sowietofi-lów... ty, biedny jak mysz partyzant, spirytystą i bio-logista, bolszewista i sowietofil, zszedłeś z zakurzonej mansardy i na dole, na kosztownych dywanach, zignorowałeś bajecznie bogatych przyjaciół... a także nie na darmo ukrywałeś się pod postacią ostatniego urzędnika wielkiej firmy ubezpieczeniowej: doszedłeś do przerażającego odkrycia, że tbc zżera twoje płuca. Avant nous ie deluge i siedzisz teraz w Szwajcarii na koszt twojej

\* najwyższy budynek w Antwerpii zbudowany przed II woj-<sup>n3</sup> światową (przyp. tłum.)

matki, która pracuje trochę ciężiej i może trochę mniej je, i na koszt kilku przyjaciół, którzy zrobili małą składkę na rzecz... tak, jakby oni to sformułowali?... na rzecz feu monsieur Stanislas wulixsz? Ale popatrz, Stanisławie wulixsz, pociesz się, że tam w Szwajcarii twój muszkiet i twoja wiara co prawda się zagubiły, ale twój zbiór wierszy szczerzy się do nas w starym antykwariacie, z półki avant-garde. I czego więcej człowiekowi w życiu trzeba niż świadomości, że należy, być może przez pomyłkę, do avant-gardy, do szpicy, do republiki Wolnych?

Widzisz, powiada johan janssens, pisałem to jako pozdrowienie dla kogoś, o kim myślałem, że z entuzjazmem powita republikę wolnych i w-Nic-nie-wie-rzających... ale mój felieton się ukazał i na redakcję, i na mój własny dom na drodze z kapliczką spadł deszcz listów protestacyjnych. Listy od jego matki, która mi zarzuca, że nie wstydzilem się powiedzieć, iż ona musi trochę ciężiej pracować i trochę mniej jeść... i dostałem listy od wszystkich jego przyjaciół i znajomych, którzy mnie pytali, czy nie wstydzę się drwić z tego tragicznego przypadku ich przyjaciela Stanisława wulixsza i ogłaszać na cały świat, że po 1-sze, jest chory na Tę chorobę, a po 2-gie, że chodził z muszkietem, podczas gdy to był mauzer... i dostałem listy bóg wie od kogo jeszcze i dostałem w końcu list od samego Stanisława wulixsza, w którym mówi on, że potraktował tę sprawę jako żart... mniej lub bardziej niewłaściwy żart w nazwaniu go feu-monsieur wulixsz. I ja, johan janssens, przeglądałem listę ludzi, których uznaję godnymi tego, by należeli do tej republiki i widzę z konsternacją, jak ich jest mało.



## DREWNIANA MYSZ

*Tak że tydzień później ondyna stała pod zamkniętym domem, czekając na ojca oskara... myśl, żeby wejść z nim do środka, była jej jak najbardziej obca... wziąć pieniądze i oświadczyć, że jego syn o wszystkim się dowiedział i miał zamiar się utopić... że on... łatwo było znaleźć powód — 1 powód! co tam 1 — 2000 powodów. I szukając wciąż nowych powodów podniecała się, pogardzała sama sobą z powodu tego wstrętnego tchórzostwa: co z niej w końcu za mieszcza?... gdzie te czasy, gdy bóg dozwolił jej nawet popełnić morderstwo? I oto nadszedł niosąc ze sobą pieniądze... i ondyna poszła z nim., weszła na górę i rozebrała się. Stała w samej koszuli, którą już rozwiązała na ramionach i która miała tylko opaść... przytrzymała ją rękami na piersi i on wciąż jeszcze nie widział jej nagości. Czekala. Ale na co, nie wiedziała. Tak sobie czekała, niemo i tępo. I nagle zaczęła go przeklinać, zaczęła mu wyrzucać to życie kozła uganiającego się za kurwami... zatrzymaj te swoje pieniądze, śmierdzący koźle... udław się nimi, przepuść je na brudne kurewskie dupy. I wtedy wyliczyła wszystko, co jeszcze istniało w życiu prócz babskich spódnic: sztuka i nauka, i bohaterstwo, i walka, i czysta miłość, i obowiązek wobec wszystkiego, i... i... ale co on o tym wszystkim wiedział albo co z tego rozumiał?... życie jest dla ciebie o tutaj, patrz... no, patrzże? I wtedy on, być może po raz 1-szy w swoim życiu, odwrócił się, odwrócił głowę i rzucił jej swoją wypłatę. Bierz tę wypłatę i bądź szczęśliwa z naszym oskarkiem, odpowiedział jej. Ona wzięła pieniądze i popatrzyła na niego przeciągle i w zamyśleniu. Starala się go zrozumieć i przeniknąć. Gdybym ?iie była ondyną, to znaczy, gdybym nie była taka, jaka jestem, uznałabym cię za sympatycznego człowieka,*

*powiedziała. I dodała do tego jeszcze wiele innych słów... że to może nie była jego wina, ale tej starej siwej myszy. I jego ogarnęło takie wzruszenie, że jękając się, zaczął jej wyjaśniać, że oddałby Wszystko, żeby im pomóc... poszukam wszystkich pieniędzy i oddam je wam. I stał tak kiwając głową i powtarzając: ta siwa mysz, ta siwa mysz... tak, to prawda... ale wiesz co: to nie tylko siwa mysz, to jest również drewniana mysz. I wtedy roześmiał się pogardliwie, cynicznie gorzko i wstrętne.*

### **WIERZENIE KRÓLA SŁUZYCIEL**

W powietrzu jeszcze unosiły się słowa osła carcofasa i wszyscy stali niemo się w nie wpatrując, gdy borsuk mniej więcej uratował sytuację proponując wezwać samego przechera... i w tym właśnie momencie usłyszano, jak w kukielkowym teatrze na jarmarku, sz~ ranie za parawanem i ukazał się przechera, dziwacznie przystrojony z wiązką starych butów uwieszonych na szyi. Z gestem mówiącym: wiem, że stawiam nogę w sam środek tortu, troskliwie położył stare buty na ziemi, tak że oczy znoszonych podeszew i pazury otwartych paszcz gapiły się na nobla i jego nobelinę oraz na wszystkie dzikie zwierzęta. Wtedy pozdrowił wszystkich i przemówił: przychodzę z daleka i jestem dość późno, i dowiaduję się z bardzo mieszanymi uczuciami, że złożono na mnie skargę — i tu rozejrzał się, skłaniając głowę ku tej tępej wiedźmie hersindze — w związku ze sprawami, których nie godzi się wymieniać... wybaczcie mi to niewymienianie... bo moje serce nie jest w stanie pojąć, a mój umysł objąć, że dama, która pozwoliła kraść jabłka w ogrodach edenu, wy

znaje to później swojemu małżonkowi... widzę tu jedynie łagodne uczucia i pełne zrozumienie dla mnie ze strony osła i owcy, sowy i mały, i kozła, i wszystkich innych szlachetnych zwierząt, mogę im wyjawić, że ani w tej oszczędnej gospodynie wuja isengrinusa, ani we mnie nie powinni szukać najmniejszego śladu winy, bo między nią a mną nic nie zaszło... bo gdyby cokolwiek zaszło, to winy należałoby upatrywać w samym isengrinusie, który porzucił żonę i potomstwo, i szukał przygód koło pańskich dróg, chciał zostać biskupem chmielu i musiał latać z saganem na głowie. Co powiedziawszy, przechera wskazał teatralnym gestem na stare buty i powiedział, mając już w głowie zupełnie inne i poważniejsze problemy: bo gdy wszyscy uganiaли się za własnymi i mało ważnymi sprawami, ja głęboko rozmyślałem o sprawach powszechnej wagi i o chorobie świata... zastanawiałem się, co to może być za choroba, na którą cierpi nasz król i cały świat ■— bo to sprawa najważniejsza, żeby kogoś wyleczyć, trzeba najpierw wiedzieć, na jaką cierpi chorobę — i podczas rnych dalekich wypraw przyszło mi zedrzeć wiele par butów, i wszędzie widziałem to samo: władcy i przywódcy cierpią wszędzie na tę samą chorobę, którą ja w mej diagnozie nazwę dlatego królewską chorobą. Przyczyną tej choroby jest to, że królowie, władcy i przywódcy nie są zwykłymi ludźmi, lecz stoją ponad wszelką zdradą... i wynoszę z tego, że aby uniknąć królewskiej choroby, trzeba żyć tak jak najzwyklejszy człowiek: na przykład będąc noblem należałoby wejść w skórę isengrinusa, wtedy nabrałoby się wilczego zdrowia i apetytu. Choć jednak... i tu przechera zarechotał z sarkazmem... chociaż należałoby przy tym wypić lekarstwo, żeby razem z apetytem nie nabawić się głupoty. Ledwo jednak isengrinus usłyszał wypowiedaną pierwszą literę swego imienia, zerwał się i uciekł, nie oglądając się nawet na hersindę, wił się i miotął, aby wy

dostać się z kręgu, zanim się mu dobiorą do skóry. I w swym ślepym pośpiechu strącił i stłukł okulary •sła carcofasa, który złapał go za ramię i zaczął go przeklinać: „ty wilczy Ośle, zapłacisz za moje okulary”, i zamiast dalej uciekać wilk popełnił błąd, udzieliwszy osłu odpowiedzi, tak że został pojmany i obdarty ze skóry, i musiał chodzić bez niej i z gołym ciałem, johan janssens.

### *NIEUDANY PRODUKT*

A teraz jest maj i pada deszcz, lecz równocześnie z tym johan janssens i kantyczny nauczyciel w towarzystwie trzymających się trochę z tyłu tolfpoetsa i kramieka idą drogą prowadzącą na pola daleko za ter--muren... bo już mają wszystkiego dość, pragną mieszkać z dala od świata na jakimś kawałku chłopskiej zagrody. I niech nawet gównem z nieba wali, powiada tolfpoets, to my i tak będziemy szukać i znajdziemy. I zatykając nos johan janssens odzywa się: wczoraj odwiedziłem jeszcze świat sztuki, żeby napisać recenzje na kolumnę życie umysłowe... przyglądałem się tam całemu temu tragikomicznemu pozornemu artystycznemu światkowi pozorów, jakby po raz ostatni: te fajki i te długie włosy, i ta artystycznie wystawiona bohe-mowska nędza... bardzo elegancka nędza, nędza na wysokim poziomie artystycznym... danse triste de granados... i równocześnie musiałem z obrzydzeniem patrz: na to, jak biegają oni za moją dupą dziennikarza z ty godnika, żeby uzyskać pozytywną recenzję... a o sztuc nie mają pojęcia, płaczą ją ciągle z odrobiną techniiL myślą, że technika to sztuka: trup, który przewraca si do przodu, gdy pokazujesz na niego palcem, ale tru

który technicznie jest dobry, technicznie jest w porządku. A kantyczny nauczyciel, z błotem polnej drogi na butach, dodaje do tego: kto ma oczy i uszy, widzi i słyszy we Wszystkim, że człowiek jest czymś nie-pełnowartościowym... Wszystko, co robi, jest bezsensowne, jest małe, niepełne, jest wciąż takie, jakby to było... człowiek jest czymś niepełnowartościowym, nieudanym produktem tej gleby, nie potrafiącym dość pojąć i ogarnąć... jest za mały ze swoim wzrostem 1 metr 65 i ma za mało mózgu pod swoją płaską czaszką. Używa tej odrobiny rozumu, żeby popełniać głupstwa, żeby się kamuflować, udawać większego, niż jest, ważniejszego, odważniejszego, dzielniejszego, mądrzejszego... a głównie bogatszego. I mossieu colson z miń-sterstwa, który postępuje trochę z tyłu, woła do nich: i ci rzadcy ludzie, którzy rzeczywiście są Ludźmi, żyją jak egzotyczne kwiaty na zgniliźnie... jak orchidee na gnijących pniach drzew... żyją i kwitną, ale w żaden sposób nie potrafią zmienić istniejących faktów, bo sami siedzą mocno wczepieni swoimi korzeniami w ten nawóz... oni sami są produktem tego nawozu... dziećmi upadku, pomyłką i cyniczną zabawą natury, na rozkaz której z gnijącego nawozu od czasu do czasu rozkwita cudowny kwiat. A ostatnim w szeregu jest kramiek, który też musi coś wycisnąć ze swojej łepety, aby pokazać, że on też jest obecny i że też ma coś do powiedzenia: w zeszłym tygodniu grali w małym mieście z 2 fabrykami nudystyczny film, który przypadków\* nie został dostrzeżony przez zarząd gminy, a więc też nie można go było zabronić... był to apel, aby zamieszkać gdzieś na jakiejś chłopskiej zagrodzie jak adam i ewa... i wszyscy ci, którzy lubią po kryjomu posmakować zakazanego owocu, poszli o zmroku obejrzyć ten film, wysoko postawiwszy kołnierz i naciągnąwszy na oczy starą czapkę... żeby ten i ów ich nie rozpoznał... <sup>a</sup> potem, gdy następnego dnia wychodzili po mszy

z kościoła albo ze swojego biura, mówili: powinno się zabraniać takich sprośnych filmów, w których latają na golasa! I jeden pytał drugiego: też byłeś to zobaczyć? I wtedy drugi odpowiadał jednemu:... o ile sądził, że Nie był widziany: nie, słyszałem tylko, jak opowiadano. O ile zaś sądził, że może jednak był widziany: tak, ale tylko po to, żeby zobaczyć, do jakiego stopnia mają teraz odwagę posunąć się w tych sprośnościach.

■ *DOWCIP Z KRZYŻEM ZA ODWAGĘ*

I tolfpoets zostaje zapomniany... bo szukając jakiegoś kawałka chłopskiej zagrody w deszczu i błocie tego majowego miesiąca... i odpowiadając na wszystko, co inni przed chwilą powiedzieli o małości człowieka, tolfpoets znowu coś wyciąga ze swoich tolfpoetsów: przedwczoraj taki jeden został odznaczony, jakiś stary murarz z laboru, dostał krzyż 1-szej klasy, bo dokonał jakiegoś tam bohaterskiego czynu... i wciskając mu do ręki odznaczenie, zapytano go: a w jaki sposób znalazł pan w krytycznym momencie odwagę, żeby dokonać tego bohaterskiego czynu?... a murarz odpowiedział: och, wiecie, byłem pijany...! I ze swoim krzyżem 1-szej klasy wraca do domu i oczywiście odwiedza parę knajpek i w końcu trafia do swoich, którzy go otoczyli kołem i proszą, żeby im ten krzyż pokazał... a on, znowu" będąc pijany, szuka po kieszeniach i już go nie znaj duje.

## SLUB KLÓTNI I AMBARASU

*Ondyna nadała takie tempo przygotowaniom do ślubu, że u vapeura i u skarbków aż się przestraszano. Za to i tamto trzeba było zapłacić, akurat teraz, kiedy vapeur miał zanieść do składu drzewnego swoją pierwszą ratę... była to ogromna suma i vapeur przeraził się tego jeszcze bardziej niż tego ślubu: jeśli co pół roku będzie musiał zebrać taką furę pieniędzy, to nie wie, co z nim, starym człowiekiem, się stanie: nie mógł liczyć na boga, bo bóg był za wielki, bogiem było niebo i ziemia, i nauka, i wszyscy ludzie razem wzięci. Ale ondynie nic nie mówił o swoich problemach, cierpiał w samotności, milcząc nosił swoje zmartwienie głęboko w sercu... ale czy to dlatego, że żałował jej tej radości, jaką by miała, wiedząc, jak się z nim sprawy mają, czy też dlatego, że cieszył się tą swoją samoudręką, powiedział jej całkiem zwyczajnie, że nie ma pieniędzy na ten ślub. Ondyna również powiedziała, że nie ma... stali jedno przed drugim i dziwne było widzieć na ustach obydwójga uśmieszek, który pochodził z tego samego źródła, z tej samej rodzinnej cechy, ale ze względu na ich zupełnie różne spojrzenia na życie nabierał całkiem innego wyrazu. Oskarek również miał swój udział w ogólnym cierpieniu, w ogólnym bólu i udręce: on także musiał od czasu do czasu przybiec do matki z rzeczami do zapłacenia... mysz pytała wtedy zdziwiona: co to takiego?... tylko po to, żeby swojemu synowi sprawić przykrość. Kręciła głową i mówiła, że na coś takiego nie ma pieniędzy... ale jego ojciec, z którego był mały, drański judasz, spytał, co ona w takim razie zrobiła z jego pieniędzmi: w ani jednym sklepie nie płacisz, mieszkasz w willi i nie regulujesz czynszu, niczego prawie nie jemy, nie kupujesz węgla, <sup>a</sup> teraz, kiedy twój syn się żeni, chcesz go wyrzucić*

na ulicę bez koszuli na grzbiecie... coś mi się zdaje, że wsadzasz te pieniądze pod jakąś belkę na strychu. I ona zbladła, nieomal zemdląca, bo to była prawda, że wsadziła trochę pieniędzy pod belkę na strychu... jeśli on o tym wiedział, to już połowę ukradł i wydał na kurwy. Oskarek wodził wzrokiem od jednego do drugiego i nie wiedział, komu ma wierzyć. Był to dziwny ślub, ślub kłótni i ambarasu... a ondyna, która zamówiła mięso i kwiaty, i pasztet, i dywany w kościele, i poprosiła, żeby sporządzono rachunek, kazała wysłać ten rachunek na nazwisko skarbków. Najpierw miała ■ zamiar podzielić to po połowie pomiędzy obie strony... ale ostatecznie ten jeden to był jej ojciec, a tamtej myszy ondyna nienawidziła wprost bezgranicznie: to nie jest mysz, pomyliłam się, to jest szczur, powiedziała ondyna, szczur, którego trzeba rozdeptać. I przeniosła mszę na wcześniejszą godzinę bliżej południa, wtedy będzie jeszcze droższa. To dziwne, ale gdy ich widziałeś kroczących w kościele po dywanie: oskar pod ramię ze swoją matką, a ondyna ze swym ojcem... wszyscy z uśmiechem na ustach... co prawda dość sztywnym uśmiechem, uśmiechem okolicznościowym... to był to ślub jak 1000 innych. Tylko zulma zachowywała się w kościele trochę dziwnie... ale nawet walerek, który był świadkiem ondyny, wyglądał tak normalnie, jak sam ksiądz. Wesele, jeśli to można nazwać weselem, przebiegało w milczeniu, siedzieli na deskach ustawionych na kozłach w warsztacie va-peura, podzieleni na dwie strony: bosmansowie i skarb-kowie. Brali mięso i chowali je, mysz miała całą torbę wypchaną tortami, a walerek pochował butelki z alkoholem w kącie z trocinami. Tylko 2 nic sobie nie robiło z tej hecy: ondyna i jej teść; siedzieli w kącie i przyglądali się sobie ukradkiem, jakby jedno się bało, że drugie może coś wygadać. Ondyna żałowała, że wtedy w tamtym pokoju stanęła po stronie tego



*wszystkiego, co na świecie Piękne i Wzniosłe... trzeba było być sprytniejszą i doszczętnie go oskubać. Co tam teraz słyhać u... u... pana ludwika derenancourt, zapytała i pytając o to, lekko dyszała, dwoma palcami przycisnęła pulsującą tętnicę na swojej szyi. A ojciec oskarka odpowiedział, w największej tajemnicy, że pan achilles derenancourt musi mieć wciąż nowe mięso na półmisku, coraz świeższe, coraz młodsze... teraz żył ze smarkulą, która chodziła jeszcze do szkoły na pont-straat... a wiesz, gdzie on ją znalazł?... w tym zamkniętym domu koło stacji, gdzie była dostępna po lekcjach... zabrał ją ze sobą i napisał artykuł o postępującym zepsuciu obyczajów, a teraz sam z nią śpi. I ondyna ujrzała w jego oczach żal tej małej, psiej duszy... żal, że to nie on wyciągnął tego dzieciaka z burdelu. Ale on też ujrzał w oczach ondyny żal... jakiś żal... Ale ondyna już odegnała od siebie te myśli i wystąpiła nagle z brutalnym pytaniem: jak doszło do tego, że on myślał tylko o tym, aby żyć i umrzeć pod babską spódnicą... podczas gdy oskar odwrotnie... oskar... I popatrzyła na niego wiele mówiącym wzrokiem. On zaśmiał się współczująco: poczekaj jeszcze trochę, może ten oskar ma coś z rybiej krwi swojej matki..., ale ja doszedłem do 17 lat, zanim udało mi się popróbować... przekonasz się, że on nadrobi to, co stracił. Wtedy ondyna wstała i obciągnęła spódnicę: jesteś draniem, powiedziała. I zawołała oskarka, i zostawiła ich wszystkich.*

**RAK**

No i popatrz, ledwo co wypowiedziałeś swoje współczucie dla tego nieudanego produktu, którym jest czło

wiek... dla tej odrobiny pleśni, którą jest człowiek... dla tej odrobiny raka, raka fizycznego i umysłowego, którym jest człowiek... ledwo co wypowiedziałeś swoje bezgraniczne współczucie, myśląc przy tym: jakby się zbliżał koniec naszej książki, więc powinniśmy zadbać i o to, żeby okazać także trochę współczucia... ledwo co o tym zdążyłeś pomyśleć, żeby okazać swoje bezgraniczne współczucie, gdy idziesz ze swoim ojcem na spacer do miasta z 2 fabrykami i on mówi: ale czy zwróciłeś uwagę na to, że wszyscy ci, co byli podczas wojny proniemiecko nastawieni, mają rzeczywiście niemieckie gęby? I te słowa spadają na twoje serce i na twój umysł dosłownie jak wiadro zimnej wody... bo rzeczywiście tak jest: patrząc na tych, którzy byli mniej lub bardziej zarażeni tym umysłowym rakiem, zauważasz, że wszyscy oni mają mniej lub bardziej taką samą fizjonomię... i że zatem w gruncie rzeczy nie są winni temu, że myśleli i odczuwali sercem i umysłem jak obóz koncentracyjny. I tak oto dochodzisz do oszałamiającej myśli, że właściwie nie może być mowy o Zbrodni, bo każdy działa zgodnie ze swymi najlepszymi przekonaniem, że te przekonania są zdeterminowane przez skład jego mózgu, przez jego serce i jego nerki, przez hormony i migdały... i że być może w związku z tym są określone rodzaje ras ludzkich i że każdy rodzaj działa zgodnie ze swymi najlepszymi przekonaniem. I dręcząc się tą być może błędną myślą, patrzysz na synka johana janssensa — który ma **10** lat — i zastanawiasz się, do jakiego rodzaju rasy on należy... najprawdopodobniej do tej samej rasy co jego ojciec: rasy, która chce przygarnąć świat do serca w poczuciu bezgranicznej litości... ale przez to również do tej, która ciągle pozwala robić się na szaro i odrzucać, spychać w kącie, zamykać w obozie koncentracyjnym i odtrącać na bok przez cwaniaków i karierowiczów. I czując, jak ogarnia cię wściekłość,

chciałbyś sam siebie wytarłosić za uszy i pędzisz do sklepu z bronią, i kupujesz synkowi johana janssensa wiatrówkę z ołowianymi kulkami: weź to i naucz się strzelać najlepiej, jak można, naucz się bronić przed rasą, która zechce cię odwalić, zepchnąć w ką, zamknąć cię w obozie koncentracyjnym. I synek johana janssensa przyjmuje tę broń i uczy się strzelać jak najlepiej... i nagle znów wraca do twojego ogródka z drżącymi ustami i przedziwnie wielkimi oczami, a na jego dłoni leży martwy wróbel. No i popatrz, nie potrafisz tego opisać, bo fale wzruszenia wstrząsają twoim piórem, gdy on tak pokazuje tego martwego wróbla, jest dumny... dumny, że już umie tak strzelać... ale zalewa się rzewnymi łzami, bo zastrzelił ot tak sobie małą, miłą istotkę i teraz leży ona martwa na jego dłoni. Mały, miły wróbel, którego on ot tak sobie zastrzelił. I razem wróciliśmy do małego ogródka i pochowaliśmy tego wróbla. Ale popatrz, tam, za innymi ogródkami, w ogrodzie zamku derenancourtów, chodzi ich syn z o wiele droższą wiatrówką, taką, co może uchodzić za karabin maszynowy... trach, 20 kul... i dziurawi nią wróble jak sito, wszystkie wróble, jakie zobaczy. No i ty znówu stoisz, ty i synek johana janssensa — który ma 10 lat — ogarnięty swoim bezgranicznym współczuciem: gotów zawsze i na wieki wieków amen pozwolić się wymordować tym, którzy NIE czują żadnego bezgranicznego współczucia. A oto najlepszy moment w tej zabawie: że nie wolno ci im pokazać, jak bardzo jesteś przeniknięty bezgranicznym współczuciem dla nich, bo dopiero wtedy triumfowaliby na całego... a plus do tego nie wolno ci pisać, że w gruncie rzeczy rzeczywiście istnieją rozmaite rasy ludzi; bo wtedy wykorzystaliby twój pomysł i uważali własną rasę za rasę Najwyższą, która rasę synka johana janssensa musi rozgnieść obcasem.

## *W POKOJU NAD KAFEJKĄ*

*Vapeur nie zauważył, że jego córka odeszła, na zawsze... był pijany i bełkotał w swoim światowym języku... śpiewał, wyśpiewywał swój smutek i zmartwienie, a równocześnie wśpiewywał sobie odwagę, żeby rano zabrać się do tej rynny... bo musiał się do niej zabrać, ponieważ musiał przecież mieć pieniądze, żeby za pół roku spłacić swój procent. Ondyna i oskarek poszli po ciemnej drodze z kapliczką do swojego pokoju w gospodzie przy 1-szych brudnych domach... a za sobą słyszeli kroki, mysie kroki... to była jego matka, która zupełnie sama i wciąż płacząc udawała się do swojej nie spłaconej willi i wołała za nim w ciemności. Było to jak symbol: jego matka, która wołała, i ondyna, która ciągnęła go za rękę dalej. Wślizgnęli się do swojego pokoju i nareszcie weszli razem do łóżka... oskarek natychmiast zasnął, w ciepłe jej ciała... ale ondyna odwrotnie, leżała przytomna, ścisnęła swoje uda i nie miała odwagi dotknąć prześcieradłem swego policzka: w tym łóżku sypiali ludzie, których ona nie знаła. A na kawałku ściany nad maleńkim kominkiem dostrzegła krzyż... wyglądał tak, jakby się poruszał. Ale chociaż każdemu groziła bogiem i jego piekielnymi karami, to czas, kiedy wierzyła w cuda, już dawno minął... stanęła na łóżku i uważnie przyjrzała się temu krzyżowi... rzeczywiście się poruszał... i zdjąwszy go z gwoźdźcia ujrzała, że roi się tam od pluskiew. Krzesło i obce łóżko, w którym nie miała odwagi zasnąć, plus do tego krzyż poruszający się od pluskiew, oto co dostała w życiu, po całej swojej walce, po loszystkich swoich rozpaczliwych zmaganiach, żeby coś w swej młodości osiągnąć. O, małżeństwo wyobrażała sobie jako... jako coś innego... jako coś w odległej przyszłości, co postawi wszystko do góry nogami, co*

*w końcu przyniesie to, czego już tak długo łaknęła... Pragnęła czegoś, jakichś zmian w tym tętym życiu w ter-muren... i oto miała teraz zmianę, ale nie była to całkowicie poprawa. Oskar mógł paplać o kamieniu i marmurze... i jak to ondyna nagle odkryła z autoironią: o twardym i zimnym... ale praktycznie nie był on w jej życiu wart ani centa... och tak, sama o tym wiedziała, tEgo właśnie pragnęła... ale prawdę mówiąc, on też jej tym i owym zawrócił w głowie: czy musiał zaczynać od tego, że wyrzeźbi ją w kamieniu, że stanie się sławny? Tak, musiał, siedział jednoJc tylko na brzegu łóżka — bo ona siedziała na jedynym krześle —i czekał południa, czekał na obiad. Nie mieli nawet piecyka, żeby gotować, nie mieli drewna, nie mieli skrzynki na węgiel, nie mieli ziemniaków ani chleba... i oskarek nagle sobie uświadomił, że się ożenił i że... albo nie, z całą pewnością niczego sobie nie uświadomił i siedział zwyczajnie czekając na to, co ondyna na ten temat powie.*

#### **OPOWIADANIE STAREGO GARBUSA**

Stary garbus spotyka cię na drodze z kapliczką i stoi, bo mam ci coś do powiedzenia, oznajmia: zdaje się, że napisałeś opowiadanie o naszej drodze z kapliczką i że teraz masz zamiar się wycofać gdzieś na jakąś chłopską zagrodę: no więc twoje życie jest niewłaściwe, tak samo jak niewłaściwe będzie twoje opowiadanie... życie na jakiejś chłopskiej zagrodzie daleko od świata to nie jest żadne życie... a książka o drodze z kapliczką to nie jest żadna książka... gdybym ja miał napisać książkę, to byłoby w niej tak: to jest coś, co jest bardzo stare i co słyshałem jeszcze od mojej matki nieboszczki,

która mi to przez całe życie opowiadała: biedna, ale piękna dziewczyna jest sierotą i przytułek oddaje ją do jakiejś chłopskiej rodziny, jak to wtedy bywało, i ona rośnie tam, i robi się jeszcze piękniejsza, niż była, i zakochuje się w niej syn notariusza albo burmistrza, ale on musi wyjechać się kształcić na uniwersytecie na doktora, i zostaje doktorem, i żeni się z jakąś bogatą madame, a piękna dziewczyna rodzi dziecko, co jest od niego, i przez to wszyscy nią gardzą, i idzie oddać to dzieciątko do sierocińca prowadzonego przez zakonnice, i kładzie je na półce, i półka się obkręca, i ona traci to dziecko na zawsze, obciera być może łzę i wychodzi, a potem zaczyna się jej życie takie, jakim jest życie biednej, ale pięknej i upadłej dziewczyny, zapada na Tę Chorobę i musi iść do szpitala, i umiera, i przy jej łóżku stoi ksiądz, i doktor, i ten doktor to jej mąż, on to poznaje po pierścionku, który w swoim czasie wsunął jej na palec, i pyta się, co się stało z ich dzieckiem, i ona mówi, że oddała dziecko do klasztoru sióstr świętego dromedariusza, i ksiądz mówi: ja jestem tym dzieckiem, które zostało oddane do klasztoru sióstr świętego dromedariusza. I stary garbus milknie i wpatruje się w ciebie, bo to jest powieść, którą on by napisał, oczywiście trochę rozciągniętą, żeby było dłużej... Ale widzisz? ta umierająca kobieta, która była biedną, ale piękną dziewczyną, z lekarzem i księdzem przy swoim łożu śmierci, co mieli być jej mężem i jej synem... to by dopiero była książka, ale twoja książka to znowu nie będzie żadna książka i nic w niej nie będzie o życiu TAKIM, JAKIE ONO JEST.

*Wielką pomoc w przygotowaniu niniejszego przekładu okazała mi pani Lucy Vyncke-d'Hooghe, za co pragnę złożyć Jej serdeczne podziękowanie.*

*Tłumacz*